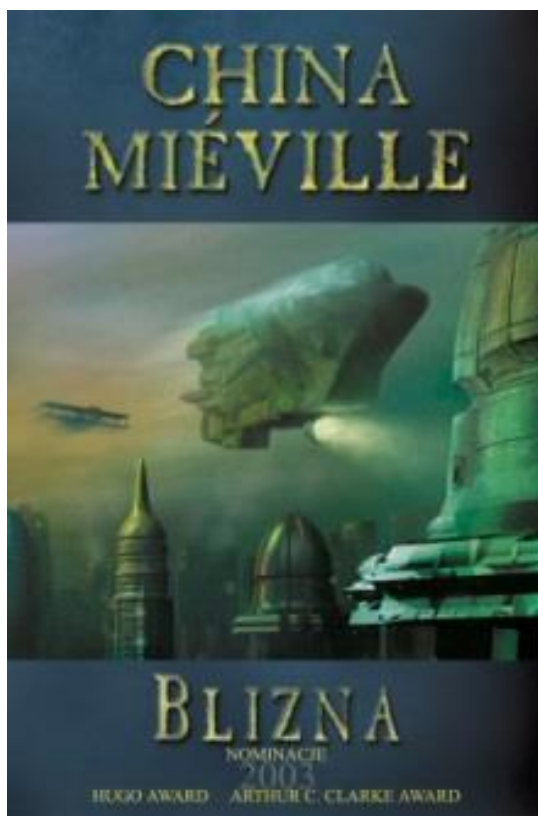


Annotation

Blizna, rozgrywająca się w tym samym świecie co Dworzec Perdido, to kreacja pełna rozmachu i młodzieńczej energii, widać w niej przy tym, że Mieville próbuje szukać oryginalności także w fabule. Kogo znużyły powtarzane w nieskończoność schematy fantastyki tolkienowskiej i tęskni do światów naprawdę innych, niepodobnych do niczego, co zna, powinien odwiedzić uniwersum Chiny Mieville'a – tędy prowadzi droga do fantastyki XXI wieku. Grupa skazańców i niewolników o groteskowo przetworzonych ciałach jest transportowana drogą morską do młodej kolonii Nowego Crobuzon. W podróży tej towarzyszy im kilka innych osób, z których każda ma powód do ucieczki z miasta. Jest wśród nich Bellis Coldwine, zdolna lingwistka, która zatrudnia się jako tłumaczka, co pozwala jej opłacić przejazd i uniknąć straszliwej kary. Jest bowiem powiązana z Isaakiem Danem der Grimnebulinem, genialnym naukowcem-renegatem, który niegdyś niechcący sprowadził koszmar na Nowe Crobuzon. Bellis ma jasno określony plan: przenieść się do kolonii w przyszłość, gdy będzie mogła bezpiecznie wrócić. Na Wezbranym Oceanie statek opanowują jednak piraci i mordują wszystkich oficerów. Pasażerowie i szeregowi członkowie załogi zostają przewiezieni na Armadę, do miasta zbudowanego z kadłubów zdobytych okrętów. Tym pływającym lasem masztów rządzi dziwna, dwuosobowa struktura zwana Kochankami. Na Armadzie wszyscy dostają pracę i nawet prze-tworzeni mają takie same prawa jak ludzie, ludzie-kaktusy i ludzie-raki. Nikomu nie wolno jednak opuścić miasta. Samotna i sfrustrowana Bellis wie, że zdradzenie się z chęcią ucieczki oznaczałoby dla niej wyrok śmierci. Zamiast tego Bellis ukradkowo szuka informacji na temat planów Armady. Odpowiedź tkwi w ciemnych, amorficznych kształtach zwisających w wodzie wiele kilometrów pod miastem – przerażających obiektach obarczonych niezwykłą, mrozącą krew w żyłach misją...



-
- [China Miéville](#)
 - [CZEŚĆ PIERWSZA. KANAŁY](#)
 - [CZEŚĆ DRUGA. SALT](#)
 - [CZEŚĆ TRZECIA. FABRYKA KOMPASÓW](#)
 - [CZEŚĆ CZWARTA. KREW](#)
 - [CZEŚĆ PIĄTA. SZTORMY](#)
 - [CZEŚĆ SZÓSTA. „PORANNY WĘDROWIEC”](#)
 - [CZEŚĆ SIÓDMA. CZUJKA](#)
-

China Miéville

Blizna

Nowy Crobuzon #2
Przełożył Tomasz Bieroń
Tytuł oryginału: *The Scar
Claudii, mojej matce*

A przecież wspomnienie nie chciało się wtopić w zachodzące słońce, to zielone i zastygłe spojrzenie na rozległy błękit morza, gdzie złamane serca są wydłubywane ze swoich ran. Ślepe niebo ukazało biel intelektu ludzkiej kości, zdzierając z pęknięcia emocje, aby ukazać tkwiący pod spodem żal. A lustro ukazuje mnie, nagi i bezbronny fakt.

Dambudzo Marechera, Black Sunlight

Podziękowania

Najserdeczniejsze i najgorętsze podziękowania dla Emmy Bircham, jak zawsze.

Pragnę wyrazić ogromną wdzięczność wszystkim pracownikom wydawnictwa Macmillan i Del Ray, przede wszystkim moim redaktorom, Peterowi Lavery'emu i Chrisowi Schluepowi. A Mic Cheetham jak zwykle zasłużył sobie na moją niewypowiedzianą wdzięczność.

Składam podziękowaniawszystkom osobom, które czytały wstępne wersje i udzieliły mi porad: mojej matce Claudii Lighfoot, mojej siostrze Jemimie Miéville, Maksowi Schaefferowi, Farah Mendelsohn, Markowi Gouldowi, Olivierowi Cheetamowi, Andrew Butlerowi, Mary Dandys, Nicholasowi Blake'owi, Deannie Hoak, Jonathanowi Straganowi, Coleen Lindsay, Kathleen O'Shea i Simonowi Kavanaghowi. Bez nich byłaby to znacznie gorsza książka.

Blizna

Półtora kilometra pod najniższą chmurą kamień śący wodę i zaczyna się morze.

Nadano mu wiele imion. Każda zatoka, zatoczka i strużka została zaklasyfikowana, jakby była odrębna. A przecież morze jest jedno, wytyczanie granic to absurd. Morze wypełnia przestrzeń między kamieniami i piaskiem, łąsi się do wybrzeży i zasypuje rowy między kontynentami.

Na krańcach świata słona woda jest taka zimna, że aż parzy. Wielkie kawały zamrożonego morza małpują ląd, pękają, trzaskają i przekształcają się, poprzecinane tunelami, mieszkaniem krabów mrozowych, filozofów ze skorupami z żywego lodu. Na południowych płycznach są lasy robaków rurkowców, listownie i drapieżnych koralu. Samogłowy poruszają się z idiotycznym wdziękiem. Trylobity zakładają gniazda w kościach i rozkładającym się żelazie.

Morze kipi.

Unoszący się swobodnie powierzchniacy żyją i umierają na górze, nigdy nie widząc brudu pod spodem. Złożone ekosystemy rozkwitają w sadzawkach szelfu i na płaskich terenach, ślizgają się na organicznych piarżyskach do krawędzi skalnych pólek i spadają do strefy głębinowej.

Są wąwozy. Stworzenia lokujące się gdzieś pomiędzy mięczakami a bóstwami koczują cierpliwie poniżej trzynastego kilometra toni. W pozbawionym światła chłodzie toczy się brutalna ewolucja. Prymitywne istoty wydzielają szlam i fosforescencję, poruszając się szarpnięciami niewyraźnych kończyn. Logika ich form ma swój rodowód w koszmarach sennych.

Są bezdenne słupy wody. Są miejsca, gdzie granitowo-błotny fundament morza opada pionowymi tunelami, które wylewają się na inne płaszczyzny, pod tak wielkim ciśnieniem, że woda płynie leniwie i gęsto. Wytryska porami rzeczywistości, przesączając się z powrotem niebezpiecznymi wylewami, zostawiając szczeliny, przez które mogą przeniknąć usunięte siły.

W mroźnych, środkowych głębinach sztolnie hydrotermiczne przebijają się przez skały i bryzgają obłokami podgrzanej do nienaturalnej temperatury wody. Niepospolite stworzenia pławią się w tym lokalnym cieple przez całe swoje krótkie życie, nigdy nie wypływając poza metrową strefę ciepłej, zmineralizowanej wody, bo zimno by je zabiło.

Krajobraz pod powierzchnią to krajobraz gór, kanionów i lasów, ruchomych wydm, lodowych jaskiń i cmentarzy. Woda jest gęsta od materii. W głębinach unoszą się dziwnie wyspy, złapane w pułapkę czarodziejskich pływów. Niektóre mają rozmiary trumien, to płyty krzemienia i granitu, które nie chcą pójść na dno. Inne to poskręcane, długie na kilkaset metrów skały, zawieszane wiele kilometrów pod powierzchnią, jadące na grzbiecie powolnych, wyrafinowanych strumieni. Na tych niezatapialnych łąkach żyją całe społeczności, rozkwitają ukryte królestwa.

Na dnie oceanu jest heroizm i brutalna wojna, niezauważana przez mieszkańców stałego łądu. Są bogowie i katastrofy.

Między morzem a powietrzem kursują intruzi. Ich cienie kładą się na dnie tam, gdzie jest dostatecznie wysoko, aby dosięgało światło. Statki kupieckie i kogi, statki wielorybnicze przepływają nad zbutwiałymi szczątkami innych krypt. Ciała marynarzy użyźniają wodę. Padlinożerne ryby karmią się oczami i ustami. W architekturze koralu są szczyby w miejscach, z których zabrano maszty i kotwice. Stracone okręty są opłakiwane lub zapomniane, żywe dno morza bierze je do siebie i chowa pod nawarstwieniami skorupiaków, udostępnia je jako jaskinie dla pozakastowych raków lub innych, jeszcze bardziej prymitywnych stworzeń.

W najgłębszych miejscach, gdzie zasady fizyki rozpadają się pod miażdżącym ciężarem wody, ciała wciąż opadają miękko przez ciemności, wiele dni po zatonięciu ich jednostek.

Rozkładają się podczas swojej długiej podróży w dół. O czarny piasek na dnie świata uderzą tylko obrośnięte algami kości.

Na krawędzi półek skalnych, gdzie zimna, jasna woda ustępuje przejmującym ciemnościom, kuśtyka samiec raka. Dostrzega ofiarę, stuka i grzechocze gardłowo, aby zdjąć kaptur ze swej myśliwskiej kałamarnicy i wystrzelić.

Pocisk wyfruwa, mknie ku ławicy spasionych makreli, które kotłują się i porządkują szyki jak chmura sześć metrów wyżej. Długie na niecałe pół metra macki rozprostowują się i ponownie podwijają. Kałamarnica powraca do swego pana, wlokąc konającą rybę, a ławica na powrót zwiiera szeregi.

Rak ucina głowę i ogon makreli i wrzuca tułów do siatkowej torby u pasa. Zakrwawiony łeb daje kałamarnicy do pogryzania.

Górna część ciała raka, miękka i nie opancerzona, odczuwa najmniejsze zmiany ciśnienia wody i temperatury. Rak czuje świerzbiecie skóry, kiedy skomplikowane przepływy wodne spotykają się ze sobą i wchodzi w interakcje. Z nagłym spazmem chmura makreli zbija się w kupę i znika za spieczoną skórą rafy koralowej.

Rak unosi ramię i każe kałamarnicy się przybliżyć, po czym łagodnie dodaje jej otuchy. Przebiera palcami po swoim harpunie.

Stoi na granitowej półce, wodorosty i paprocie pieszczą jego długie podbrzusze. Po prawej dźwigają się wzwyż nabrzmienia porowatej skały. Po lewej zbocze szybko opada do dys fotycznej wody. Rak czuje chłód bijący z dołu. Spogląda w stromą gradację błękitu. Daleko w górze, na powierzchni, falują zmarszczki światła. Rak stoi tylko trochę powyżej granicy wiecznych ciemności.

Stąpa ostrożnie, na krawędzi płaskowyzu. Często przychodzi tutaj polować, bo miejscowa zwierzyna jest mniej ostrożna, z dala od jaśniejszych, cieplejszych płyczn. Czasem z głębin wynurza się ciekawski gruby zwierz, nienawykły do jego sprytniej taktyki i najeżonych włóczni. Rak przemieszcza się nerwowo w prądzie wodnym i patrzy w stronę otwartego morza. Czasem ze strefy półmroku wynurza się nie zwierzyna łowna, tylko drapieżniki.

Przetaczają się przez niego falki zimna. Kamyczki u jego stóp są wrywane z posad, powoli podskakują w dół zbocza i znikają z pola widzenia. Rak bierze się w garść na śliskich głazach.

Gdzieś w dole słychać cichą perkusję kamieni. Po skórze przebiega mu chłód, którego nie przyniósł żaden prąd. Kamienie zmieniają układ i płyn taumaturgiczny tryska przez nowe szczeliny.

Z zimnej wody, na skraju ciemności, wynurza się coś złowrogiego.

Myśliwska kałamarnica raka wpada w panikę i kiedy on znowu wypuszcza ją do boju, natychmiast rzuca się w górę zbocza, ku światłu. Rak wbija wzrok w głębiny, szukając źródła tego groźnego dźwięku.

Rozlega się złowroźna wibracja. Kiedy rak usiłuje przebić wzrokiem wodę skażoną kurzem i planktonem, coś się porusza. Daleko w dole dygocze kamienna

zatyczka większa od człowieka. Rak panikuje, kiedy wielki, nieregularny kamień nagle wyzwała się i zaczyna zsuwać.

Grzmiące odgłosy tej wędrówki nie cichną jeszcze długo po tym, jak kamień przestaje być widoczny.

W zboczu jest teraz dziura, plamiąca morze ciemnością. Przez jakiś czas panuje cisza i bezruch, rak z niepokojem przebiera palcami po włócznie, ściskają, unosi i czuje, że drży.

A potem z dziury miękko wyslizguje się coś bezbarwnego i zimnego.

Wprawia oko w dezorientację, mknąc z groteskową organiczną chyżością, której intencji nie sposób zgłębić, jak w wypadku krwi ciekącej z rany. Rak znieruchomiał. Jego strach jest dojmujący.

Wyłania się inny kształt. Rak znowu nie umie go rozszyfrować: wymyka się jego władzom poznawczym. Jest jak wspomnienie albo wrażenie. Nie pozwoli się nazwać. Jest szybki, cielesny i lodowato przerażający.

Za nim idzie następny i jeszcze jeden, wreszcie w ciemności płynie szybki, nieprzerwany strumień. Twory te przemieszczają się, nie całkiem niewidzialne, łączą się ze sobą i rozpraszają, ich ruchy są nieprzejrzyste.

Rak nie porusza się. Słyszy dziwne, szeptane dyskusje na grzbietach pływów.

Otwiera szerzej oczy, kiedy widzi potężne, zakrzywione do tyłu zęby, fałdliste ciała. Wężowate, muskularne twory trzepoczą w lodowatej wodzie.

Rak szarpie całym ciałem i cofa się o krok, jego stopy ślizgają się na pochyłym kamieniu, próbuje się uspokoić, ale za wolno - wychodzą z niego ciche, potrzaskane dźwięki.

Jednym leniwym, drapieżnym szarpnięciem ciemne stworzenia odbywające w dole naradę poruszają się. Rak widzi ciemne punkty tuzina oczu i wie, z mdlącym strachem, że patrzą.

A potem, z monstualnym wdziękiem, startują do góry i rzucają się na niego.

CZĘŚĆ PIERWSZA. KANAŁY

Rozdział pierwszy

Dopiero jakieś szesnaście kilometrów za miastem rzeka wytraca impet, wpływając do pozarastanej delty, która łączy się z Zatoką Żelazną.

Statki, które wyruszają w podróż na wschód z Nowego Crobuzon, napotykają mniej wypiętrzony krajobraz. Na południe znajdują się szalasy i zbutwiałe pomosty, z których wiejscy robotnicy rolni łowią ryby dla uzupełnienia monotonnej diety. Dzieci nieufnie machają podróżnym. Od czasu do czasu trafia się skalny pagórek albo zagajnik ciemnodrzewu, tam nie można uprawiać roli, ale generalnie ziemia nie jest kamienista.

Ze statków marynarze widzą nad pasem żywopłotu, drzew i jeżyn ciąg pól. Jest to szczeniasty koniec Spirali Zbożowej, długiego węża ziemi uprawnej, która żywi miasto. Na polach widać mężczyzn i kobiety, zbierają plon, orzą czarną ziemię albo wypalają ściernisko – zależnie od pory roku. Między polami pływają łodzie na pych. Kanałami ukrytymi za groblami z ziemi i roślinności kursują bez końca pomiędzy metropolią a plantacjami. Wożą na wieś środki chemiczne i paliwo, kamień, cement i przedmioty zbytku. Wracają do miasta obok mógg upraw usianych wioseczkami, wielkimi domami i młynami, załadowane workami zboża i mięsa.

Transport nigdy nie ustaje. Nowe Crobuzon jest nienasycone.

Północny brzeg Wielkiej Smoły jest bardziej dziki.

Ten długi pas suchej roślinności i bagien ciągnie się przez ponad sto dwadzieścia kilometrów, aż do miejsca, gdy wzgórze i niskie góry skradające się z zachodu całkiem go pochłoną. Ograniczony przez rzekę, góry i morze skalisty busz jest miejscem opuszczonym. Jeśli zamieszkuje go jakieś stworzenia inne od ptaków, to się nie pokazują.

Bellis Coldwine wsiadła na statek płynący na wschód w ostatnim kwartale roku, kiedy bezustannie pada deszcz. Widziane przez nią pola były jedynie zimnym błotem. Po półnagich drzewach spływała woda. Na tle chmur ich sylwetki wyglądały jak narysowane niewysychającym tuszem.

Później, wróciwszy myślami do tych ponurych czasów, Bellis była wstrząśnięta szczegółami swoich wspomnień. Pamiętała kształt klucza gęsi, które przeleciały z krzykiem nad statkiem. Pamiętała smród żywicy i ziemi. Pamiętała łupkowy odcień nieba. Pamiętała, że przeszukiwała wzrokiem żywopłoty, ale nie zobaczyła nikogo. Tylko nici dymu drzewnego w nasiąkniętym wodą powietrzu i przysadziste domy zamknięte przed niepogodą.

Powściągliwy ruch zieleni na wietrze.

Stała na pokładzie zawinięta w szal, wypatrywała za bawiącymi się dziećmi, wędkarzami albo kimś pielęgnującym jeden z zapuszczonych warzywników. Ale słyszała tylko dzikie ptactwo. Jedyne formy o ludzkich kształtach, które widziała, były strachy na wróble, z pozbawionym emocji wyrazem wieśniaczych twarzy.

Podróż nie trwała długo, ale wspomnienie o niej zawładnęło nią jak infekcja. Czuła się przywiązana postronkiem do miasta, które zostało z tyłu, toteż im bardziej się oddalała, tym bardziej wydłużały się minuty, przeciągając jej małą podróż.

A potem postronek pękł i wyrzuciło ją jak z katapulty – znalazła się tutaj, teraz, sama i z dala od domu.

Znacznie później, kiedy była wiele kilometrów od wszystkiego, co знаła, Bellis budziła się zaskoczona, że nie śniła o mieście, które od ponad czterdziestu lat było jej domem. Śniła o tym małym odcinku rzeki, o tym osmaganym przez żywioły prowincjonalnym korytarzu, który otaczał ją przez mniej niż pół dnia.

Na kawałku spokojnej wody, kilkaset metrów od kamienistego brzegu Zatoki Żelaznej, zacumowane były trzy rozpadające się statki. Ich kotwice tkwiły głęboko w szlamie, a łańcuchy obrosły wieloletnią warstwą skorupiaków.

Nie nadawały się do pływania po morzu, posmarowane smołą, z wielkimi drewnianymi konstrukcjami wznoszącymi się chybotliwie na rufie i dziobie. Z masztów zostały kikuty. Kominy były zimne i oblepione starym guanem.

Okręty stały blisko siebie. Otaczały je boje złączone łańcuchem, biegnącym nad i pod wodą. Trzy stare jednostki tkwiły zamknięte na własnym poletku morza, nie poruszonym żadnymi prądami.

Przyciągały wzrok. I były obserwowane.

Na innym statku, nieco dalej, Bellis przystawiła głowę do bulaju i spojrzała na nie, jak to już zrobiła kilkakrotnie w ciągu minionych godzin. Splotła ciasno ramiona pod piersiami i nachyliła się w stronę szyby.

W jej kajucie panowała cisza. Ruch morza w dole był tak powolny i niewielki, że właściwie niedostrzegalny.

Niebo było szare jak krzemień i mokre. Brzeg i skaliste wzgórze otaczające Zatokę Żelazną wyglądały na zmęczone i zmarznięte, z łatanami płożącej się trawy i jasnych, słonowodnych paproci.

Te drewniane kadłuby na wodzie stanowiły najciemniejsze akcenty w polu widzenia.

Bellis powoli usiadła z powrotem na pryczy i wzięła do ręki list. Był pisany jak dziennik: linijki lub akapity oddzielone datami. Czytając najnowsze wpisy, otworzyła blaszaną puszkę z cigarillos i zapałkami. Zapaliła i zaciągnęła się głęboko, po czym wyjęła wieczne pióro i, zanim wypuściła dym, dodała kilka słów zwięźle oddających myśl.

Czaszela, 26 rindena 1779; pokład „Terpsychorii”

Minął już prawie tydzień, odkąd opuściliśmy przystań w Smołoujściu i cieszę się, że stamtąd wyjechałam. To brzydkie, brutalne miasto.

Noce spędzałam na kwaterze, tak jak mi doradzano, ale dni należały do mnie. Zobaczyłam wszystko, co istotne. Miasto jest cienkie jak wstążka – pas przemysłowy, który ciągnie się mniej więcej półtora kilometra na północ i południe od ujścia, przecięty wodą. Każdego dnia o świcie do kilku tysięcy mieszkańców dołącza wielka rzesza przybyszów z metropolii, którzy statkami i wozami przybywają tu z Nowego Crobuzon do pracy. Każdej nocy bary i burdele są tłoczne od nietutejszych marynarzy na krótkiej przepustce.

Słyszałam, że najbardziej renomowane statki płyną dodatkowe kilka kilometrów do samego Nowego Crobuzon, aby rozładować swój ładunek w dokach Kelltree. Port w Smołoujściu od dwustu lat działa na pół gwizdka. Tylko frachtowce i statki korsarskie robią tutaj rozładunek – ich ładunek też trafia do miasta, ale oni nie mają czasu i pieniędzy na przebycie jeszcze tych kilku kilometrów ani środków na wyższą opłatę pobieraną przez administrację kanału.

Tu zawsze są statki. Zatoka Żelazna roi się od nich – odpoczywających po długich wyprawach, szukających schronienia przed morzem. Statków kupieckich z Gnurr Kett, Khadoh i Shankell, zmierzających do Nowego Crobuzon albo z Nowego Crobuzon, zacumowanych na tyle blisko Smołoujścia, aby ich załogi mogły znaleźć chwilę wytchnienia. Czasem, daleko na środku zatoki, widywałam morskie wyrmeny wypuszczane ze statków-rydwanów, igrające i polujące.

Gospodarka Smołoujścia nie ogranicza się do prostytucji i piractwa. W mieście jest pełno zakładów przemysłowych i bocznic kolejowych. Miasto żyje z budowy statków, jak to robiło od stuleci. Wybrzeże jest usiane stoczniami, z pochylniami, które tworzą niezmiernie las pionowych dźwigarów. W niektórych straszą upiorne, niedokończone jednostki. Praca jest ustawiczna, głośniejsza i brudna.

Ulice są przecinane małymi prywatnymi liniami kolejowymi, które przewożą drewno, paliwo czy cokolwiek z jednej strony Smołoujścia na drugą. Każda firma zbudowała sobie własną linię łączącą jej rozmaite obiekty i nikogo na nianie wpuszcza. Miasto jest idiotyczną gmatwaniną linii kolejowych, które niepotrzebnie się powielają.

Nie wiem, czy to wszystko jest Ci wiadome. Nie wiem, czy odwiedzałeś to miasto.

Stosunek tutejszych do Nowego Crobuzon jest ambiwalentny. Smołoujście nie przetrwałoby ani jednego dnia bez mecenatu stolicy. Wiedzą o tym, co budzi w nich resentymenty. Ich arogancka niezależność to tylko poza.

Musiałam zatrzymać się tutaj prawie trzy tygodnie. Kapitan „Terpsychorii” był zbulwersowany, kiedy mu powiedziałam, że wsiądę w Smołoujściu, zamiast popłynąć z nim z samego Nowego Crobuzon, ale uparłam się, bo musiałam. Moja pozycja na tym statku była uwarunkowana znajomością ręcznego salkrikaltorskiego, na którą

niezgodnie z prawdą się powołałam. Miałam niecały miesiąc na to, aby przeistoczyć kłamstwo w prawdę.

Załatwiłam sobie, że dni spędzałam w Smołoujściu w towarzystwie niejakiego Marikkatcha, leciwego raka, który zgodził się zostać moim nauczycielem. Codziennie chodziłam nad słonowodne kanały dzielnicy raków. Siadałam na niskim balkonie, który otaczał jego pokój, a on wspierał opancerzoną, dolną część ciała na jakimś zanurzonej w wodzie meblu, drapał się po chudej, ludzkiej klatce piersiowej i męczył mnie swoimi wywodami.

Nie było łatwo. On nie umie czytać. Nie jest nauczycielem z wykształcenia. Mieszka w mieście tylko dlatego, że okaleczył go jakiś drapieżnik, urywając mu prawie całą nogę po lewej stronie, toteż nie może polować nawet na ślamazarne ryby z Zatoki Żelaznej. Sądzę, że wyszłaby z tego lepsza historia, gdybym napisała, że budził moją sympatię, że jest uroczym, aczkolwiek nieco zrzedliwym starszym panem, ale tak naprawdę to ladaco i nudziarz. Ale nie mogłam sobie pozwolić na narzekanie. Nie miałam wyboru, jak tylko skupić się, wykonać kilka zakłęb koncentracyjnych, wprowadzić się w językowy trans – ach, jakie to było trudne, bo od tak dawna nie ćwiczyłam umysłu, że zrobił się obrzydliwie zgnuśniały! – i spijać każde jego słowo.

Nauka była pospieszna i niesystematyczna – żeby nie powiedzieć kompletnie chaotyczna – ale zanim „Terpsychoria” zawinęła do portu, umiałam się porozumieć w mlaskowej mowie raka.

Zostawiłam tego zgorzkniałego, starego drania w jego stojącej wodzie, wypowiedziałam kwaterę i przeniosłam się do kajuty, w której teraz piszę.

Wyłynęliśmy z portu w Smołoujściu w pylnik, kierując się z wolna ku bezludnym, południowym brzegom Zatoki Żelaznej, trzydzieści dwa kilometry od miasta. W starannym szyku, w strategicznych punktach na skraju zatoki, w zacisznych miejscach koło pagórkowatego lądu i sosnowych lasów, dostrzegłam statki. Nikt nie chce o nich mówić. Wiem, że są to statki rządu nowocrobuzońskiego. Kaperskie i inne.

Dzisiaj jest czaszela.

W łańcolę zdołałam przekonać kapitana, żeby puścił mnie na ląd i spędziłam przedpołudnie na brzegu. Zatoka Żelazna nie grzeszy urodą, ale wszystko jest lepsze od tego przekłętą statku. Zaczynam wątpić, czy po Smołoujściu w ogóle nastąpiła jakaś poprawa. Nieustanny, debilny plusk fal doprowadza mnie do obłędu.

Dwaj małomówni marynarze zawieźli mnie łodzią wiosłową na brzeg i patrzyli bez litości, jak przestępuję przez burtę i brodzę w lodowatej wodzie. Moje buty do tej pory są sztywne i białe od soli.

Usiadłam na kamienistej plaży i rzucałam kamyki do wody. Przeczytałam kawałek długiej, kiepskiej powieści, którą znalazłam na okręcie. Obserwowałam statek. Jest zacumowany blisko więzień, dzięki czemu nasz kapitan może bez problemu podejmować wyższych rangą więzienników i toczyć z nimi rozmowy. Obserwowałam same statki karne. Na ich pokładach i za bulajami nie było żadnego ruchu. Ani śladu ruchu.

Słowo daję, nie wiem, czy dam radę. Tęsknię za Tobą i za Nowym Crobuzon.

Pamiętam moją podróż.

Trudno uwierzyć, że tylko szesnaście kilometrów dzieli miasto od zapomnianego przez Boga morza.

Rozległo się stukanie do drzwi malutkiej kajuty. Bellis zacisnęła usta i pomachała kartką papieru, żeby ją wysuszyć. Niespiesznie złożyła ją i schowała do komody ze swoim dobytkiem. Podciągnęła kolana trochę wyżej i bawiła się piórem, patrząc, jak drzwi się otwierają. W progu stała zakonnica, uchwyciwszy się obu stron framugi.

– Mogę wejść, panno Coldwine? – spytała niepewnie.

– To jest też siostry kajuta – odparła cicho Bellis.

Pióro wirowało wokół kciuka. Była to neurotyczna sztuczka, którą Bellis opanowała na uniwersytecie.

Siostra Meriope wtoczyła się do środka i usiadła na wolnym krześle. Przyglądała ciemnordzawy habit i zaczęła się bawić kwefem.

– Minęło już trochę czasu, odkąd zostałyśmy współlokatorkami, panno Coldwine – zaczęła siostra Meriope – ale ja w ogóle nie mam poczucia, że panią znam. I nie chciałabym, żeby ta sytuacja się utrzymywała. Będziemy razem podróżować i mieszkać przez wiele tygodni... Odrobina zażyłości, odrobina bliskości z pewnością pozwoliłaby mi przyjemniej je spędzić...

Głos odmówił jej posłuszeństwa i ciasno splótła dłonie.

Bellis patrzyła na nią bez ruchu. Wbrew sobie poczuła, że do jej duszy napływa strużka wzdorliwej litości. Umiała sobie wyobrazić, jak postrzegają siostra Meriope: kanciasta, ostra, chuda jak patyk. Błada. Usta i włosy poplamione zimnym fioletem koloru sińców. Wysoka i bezwzględna.

„Nie masz poczucia, że mnie znasz, siostrze – pomyślała – bo w ciągu tygodnia powiedziałam do ciebie nie więcej niż dwadzieścia słów, nie patrzę na ciebie, dopóki się do mnie nie odezwiesz, a wtedy miazdżę cię wzrokiem”. Westchnęła. Meriope była okaleczona przez swoje powołanie. Bellis umiała sobie wyobrazić, że zakonnica pisze w swoim dzienniku: „Panna Coldwine jest milcząca, ale wiem, że pokocham ją jak siostrę”. „Nie zamierzam dać się wplątać w znajomość z tobą” – pomyślała Bellis. „Nie będę twoją powierniczką. Nie zbawię cię, niezależnie od tego, jaka tragedia rodem z kiepskiego melodramatu cię tutaj sprowadza”.

Bellis bez słowa patrzyła na siostrę Meriope.

Kiedy się sobie przedstawiły, Meriope twierdziła, że płynie do kolonii zakładać kościół, nawracać, na chwałę Dariocha i Jabbera. Jej słowom towarzyszyło pociągnięcie nosem i ukradkowe spojrzenie, przez co były idiotycznie nieprzekonujące. Bellis nie wiedziała, dlaczego wysyłają Meriope do Nova Esperium, ale musiało się to wiązać z jakimś nieszczęściem lub hańbą, pogwałceniem jakiegoś idiotycznego ślubu zakonnego.

Spojrzała w okolice pępka Meriope, szukając spęcznienia pod tymi wybaczącymi szatami. Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Córki Dariocha zobowiązywały się do rezygnacji ze zmysłowych uciech.

„Nie zamierzam brać na siebie roli twojego spowiednika” – pomyślała Bellis. „Muszę sobie radzić z moim własnym sakramenckim wygnaniem”.

– Obawiam się, że siostra zastała mnie przy pracy – powiedziała. – Niestety, nie mam czasu na rozmowy towarzyskie. Może innym razem.

Zezłościła się na siebie za tę furteczkę, ale niepotrzebnie: Meriope była załamana.

Kapitan chce panią widzieć – powiedziała przygnębiona zakonnica. – O szóstej w jego kajucie.

Wyszła na korytarz jak zbity pies.

Bellis westchnęła i zakłęła pod nosem. Zapaliła kolejne cigarillo i dopiero jak je skończyła, ponownie wyjęła list.

„Chyba zwariuję – nagryzmoliła szybko – jeśli ta przeklęta zakonnica nie przestanie się do mnie łąsić i nie zostawi mnie w spokoju. Niech bogowie mają mnie w swojej opiece. Niech bogowie spuszczą zarazę na ten przeklęty statek”.

Było ciemno, kiedy Bellis udała się do kapitana.

Jego kajuta pełniła również funkcję biura. Była nieduża, ładnie urządzona w ciemnodrzewie i mosiądzu. Na ścianach wisiało trochę obrazów i rycin. Od jednego spojrzenia Bellis wiedziała, że nie należą do kapitana, tylko do wyposażenia statku.

Kapitan Myzovic pokazał jej gestem, żeby usiadła.

– Panno Coldwine, mam nadzieję, że kajuta spełnia pani wymagania. Jedzenie? Załoga? Znakomicie, znakomicie. – Rzucił okiem na papiery, które leżały na jego biurku. – Chciałem z panią omówić kilka spraw. – Czekala ze wzrokiem utkwionym w kapitana. Był przystojnym mężczyzną po pięćdziesiątce, o twardym obliczu. Mundur miał czysty i odprasowany, co nie należało do reguły wśród kapitanów marynarki. Bellis nie wiedziała, co byłoby dla niej korzystniejsze: spokojnie patrzeć mu w oczy czy skromnie spuścić wzrok. – Panno Coldwine, nie poświęciliśmy zbyt wiele uwagi pani obowiązkom. Oczywiście wyświadczę pani tę grzeczność, że będę panią traktował jak damę. Muszę pani powiedzieć, że nie jestem przyzwyczajony do zatrudniania osób pani płci i gdyby pani referencje nie zrobiły wrażenia na władzach Esperium, to zapewniam panią... – Pozwolił temu zdaniu rozpieczętować się. – Nie zamierzam obarczać pani niewygodami. Mieszka pani w kajucie pasażerskiej. Jada pani w mesie pasażerskiej. Ale, jak pani wiadomo, nie jest pani pasażerem z biletem. Sprowadzają panią do siebie władze kolonii Nova Esperium i na czas podróży ja ich reprezentuję. Dla siostry Meriope, doktora Tearflya i innych nie ma to większego znaczenia, ale dla pani oznacza to, że jestem pani pracodawcą. Oczywiście nie należy pani do załogi – ciągnął. – Nie będę pani rozkazywał, tak jak rozkazuję im. Jeśli pani woli, będę panią prosił o wykonywanie obowiązków, ale życzę sobie, aby pani te prośby spełniała. – Zmierzyli się nawzajem wzrokiem. – Rzecz jasna – podjął nieco mniej rygorystycznym tonem – nie przewiduję żadnych uciążliwych zadań. Większość załogi pochodzi z Nowego Crobuzon lub Spirali Zbożowej, a pozostali świetnie władają językiem ragamoll. Będę pani potrzebował przede wszystkim na Salkrikaltorze, a przybędziemy tam najwcześniej za tydzień, ma pani zatem mnóstwo czasu na to, żeby wypocząć, poznać innych pasażerów. Wyptywamy jutro wczesnym rankiem. Podejrzewam, że zanim pani wstanie, będziemy już na morzu.

– Jutro? – zdziwiła się Bellis.

Było to pierwsze słowo, które wypowiedziała, kiedy przyszła do kapitana.

Ten spojrzał na nią ostro.

– Tak. Czy to stanowi dla pani jakiś problem?

– Pierwotnie – odparła głosem nie zdradzającym żadnych emocji – mówił mi pan, że wyptywamy w pylnik, panie kapitanie.

– Owszem, panno Coldwine, ale plany się zmieniły. Skończyłem robotę papierkową znacznie szybciej, niż się spodziewałem, a moi koledzy ze statku karnego są gotowi przekazać mi skazańców dzisiaj wieczorem. Wyptywamy jutro.

– Liczyłam na to, że uda mi się wrócić do miasta i wysłać list – oznajmiła Bellis, wciąż beznamiętnym tonem. – Ważny list do znajomego w Nowym Crobuzon.

– Wykluczone. Nie da się zrobić. Nie zamierzam dłużej tutaj sterczeć. – Bellis siedziała bez ruchu. Nie bała się tego człowieka, ale nie miała nad nim żadnej władzy. Usiłowała wymyślić, co mogłoby wzbudzić jego życzliwość i nakłonić do przystania na jej prośbę. – Panno Coldwine – odezwał się znienacka i ku zaskoczeniu Bellis jego głos był znacznie łagodniejszy. – Obawiam się, że jutrzejszy

termin wypłynięcia jest już nieodwołalny. Jeśli pani chce, może pani oddać list porucznikowi statku karnego Catarrsowi, ale powiem szczerze, iż nie jest to całkiem godny zaufania kanał przesyłowy. Będzie pani miała okazję wyekspediować swoją korespondencję na Salkrikaltorze. Nawet jeśli nie spotkamy tam żadnych statków z Nowego Crobuzon, jest tam magazyn, do którego wszyscy kapitanowie mają klucze. Tam zostawi pani list i zabierze go następny statek do kraju. Opóźnienie nie będzie duże. Może pani z tego wyciągnąć ważną naukę, panno Coldwine – dodał. – Na morzu nie wolno tracić czasu. Niech pani będzie łaskawa zapamiętać: nie zwlekać.

Bellis posiedziała jeszcze trochę, ale ponieważ nie mogła nic zrobić, zacisnęła usta i wyszła.

Długo stała pod zimnym niebem Zatoki Żelaznej. Gwiazd nie było widać, a księżyc i jego siostry, dwa małe satelity, rozmywały się. Bellis ruszyła, odrętwiała z zimna, po krótkiej drabince weszła na przedni pokład i skierowała się ku bukszprytowi.

Chwyciła za żelazny reling i stanęła na palcach. Jej wzrok sięgał spory kawałek nad bezświatłne morze.

Odgłosy załogi za jej plecami zamierały. W oddali dostrzegła dwie skapujące szpile światła: pochodnię na mostku statku karnego i jej bliźniaczkę w czarnych odmętach.

Z bocianiego gniazda lub jakiejś rei, z bliżej nieokreślonego miejsca położonego co najmniej sto stóp nad jej głową, dobiegły ją dźwięki czyjegoś śpiewu. W niczym nie przypominało to bezdennie głupich szant, które słyszała w Smołoujściu. Pieśń była powolna i wymagała dużego kunsztu.

„Będziesz musiał poczekać na mój list” – powiedziała bezgłośnie Bellis. „Będziesz musiał poczekać na wieści ode mnie. Będziesz musiał poczekać trochę dłużej, aż dotrę do krainy ludzi-raków”.

Wpatrywała się w noc do momentu, gdy ostatnie linie podziału na brzeg, morze i niebo zatraciły się. Potem, otulona ciemnościami, powoli ruszyła ku rufie, w stronę ciasnych drzwi i niskich korytarzy wiodących do jej kajuty – wycinka przestrzeni, który wyglądał jak pomyłka popełniona przy projektowaniu statku.

Później statek poruszył się ciężko, o najzimniejszej porze. Bellis drgnęła na swojej prycy, podciągnęła koc pod szyję i gdzieś poniżej progu snu zdała sobie sprawę, że odbywa się załadunek żywego frachtu.

Jestem zmęczony tutaj w ciemnościach i jestem nabrzmiąły ropą.

Moja skóra jest napięta, pomarszczona, wyje, kiedy jej dotknę. Jestem zainfekowany. Boli mnie tam, gdzie dotknę, a dotykam się wszędzie, aby sprawdzić, czy cały nie zdrętwiałem.

Wciąż jednak dziękuję temu, co sprawia, że moje żyły wypełnia krew. Drażnię stropy i podchodzą nią obficie. Taka mała pociecha, mimo bólu.

Przychodzą po nas, kiedy powietrze jest takie nieruchome i czarne, nie słychać nawet nawoływania morskich ptaków. Otwierają drzwi i świecą do środka, wyławiając nas z ciemności. Prawie się wstydzę, że tak ulegliśmy, ulegliśmy brudowi.

Nie widzę nic oprócz ich światła.

Tych, co leżą razem, rozdzielają, i opasują ramionami spastyczną tkanę, która pulsuje mi w talii, kiedy zaczynają nas spędzać na górę.

Wędrujemy smolistymi korytarzami i przez maszynownie, bardzo chcę wiedzieć, do czego to wszystko służy. Jestem gorliwszy, jestem szybszy od niektórych starych zgiętych wół, kaszlących, pryskających śliną i bojących się poruszyć.

A potem następuje połknięcie, jestem zjedzony przez zimno, pożarty przez ciemności i, na spółkujących bogów, jesteśmy na zewnątrz.

Na zewnątrz.

Jestem od tego ogłupiały. Ogłupiały z zachwytu.

To już tyle czasu.

Zbijamy się w kupę, każdy zetknięty z sąsiadem jak troglodcy, jak krótkowzroczne trowy. Starzy są w strachu przez brak ścian i kątów, przez ruch zimna, przez wodę i powietrze.

Mógłbym zawołać: „Bogowie, pomóżcie!”. Mógłbym.

Wszystko czarne na czarnym tle, ale i tak widzę wzgórze, wodę, chmury. Widzę więzienia ze wszystkich stron, podskakują jak szałwicy. Niech nas wszystkich Jabber porwie. Widzę chmury.

„Ja cię sadzę” - świergołę, jakbym uspokajał niemowlę. To dla mnie jest przeznaczony ten kojący dźwięk.

A potem popychają nas jak bydło, powłóczenie nogami, ślinienie się, pierdzenie, zdziwione mamrotanie, przez pokład okaleczony ciężarem ciał i kajdan, na rozkołysany most linowy. Poganiają nas, wszystkich co do jednego, każdy zatrzymuje się na chwilę na środku nisko zwieszzonego przejścia między statkami, ich myśli są widzialne i jasne jak chemiczna erupcja.

Zastanawiają się nad skokiem. Do wód zatoki.

Ale linowe ściany po bokach mostka są wysokie, z drutem kolczastym na górze, a nasze biedne ciała są obolałe, słabe, każdy po chwili wahania rusza dalej, przeprawia się na nowy statek.

Jak też przystają, kiedy przychodzi moja kolej. Tak jak inni, za bardzo się boją.

A potem jest nowy pokład pod stopami, wyszorowany do gładkości żelaza i czysty, wibruje od silników, kolejne korytarze i brzęk kluczy, i po tym wszystkim jeszcze jeden długi, nieoświetlony pokój, gdzie padamy wyczerpani i pozamieniani, gdzie podnosimy się powoli, żeby sprawdzić, kogo mamy za nowego sąsiada. Wokół mnie rozpoczynają się syczące dyskusje i pyskówki, kłótnie i uwiedzenia, i gwałty, które składają się na nasze życie polityczne. Zawijają się nowe sojusze. Nowe hierarchie.

Przez jakiś czas siedzą osobno, w cieniu.

Nadal tkwię w tej chwili, kiedy wkroczyłem w noc. Jak muszka w bursztynie. Dałem się złapać w pułapkę, ale - niech mnie licho – jaki jestem dzięki temu piękny!

Mam teraz nowy dom. Będę mieszkał w tej chwili jak najdłużej, dopóki wspomnienia nie ulegną rozkładowi, a wtedy wyjdę, przybędę w to nowe miejsce, w którym siedzimy.

Rury łomczą gdzieś jak wielkie młoty.

Rozdział drugi

Za Zatoką Żelazną morze było brutalne. Jego chlapiący atak zbudził Bellis. Opuściła kajutę, przechodząc obok siostry Meriope, która, jak sądziła Bellis, wymiotowała nie tylko na skutek choroby morskiej.

Na pokładzie powitał ją wiatr i głośnie trzaskanie, bo żagle szarpały się jak zwierzęta na postronkach. Olbrzymi komin wypuścił trochę sadzy, statek buczał mocą parowego silnika głęboko w dole.

Bellis usiadła na kontenerze. „A więc ruszamy” – pomyślała nerwowo. „Odplywamy. Żegnamy stały ląd”.

Kiedy stali na cumach, na „Terpsychorii” wrzała praca: ktoś zawsze coś szorował albo podnosił jakieś urządzenie, albo biegał z jednego końca statku na drugi. Teraz jednak wrażenie ogólnej krzątaniny nasiliło się niepomierne.

Bellis obserwowała pokład główny, jeszcze niegotowa spojrzeć na morze.

Takielunek roił się od żywych stworzeń. Większość marynarzy wywodziła się spośród ludzi, ale tu i ówdzie wyposażony w kręgosłup hotchi śmigał po siatkach lin na bocianie gniazdo. Na pokładach ludzie przeciągali kontenery, kręcili korbami ogromnych wind, wykrzykiwali komendy niezrozumiałym, skrótowym żargonem, przesuwali łańcuchy przez wielkie bloki. Widziała mamucich przedstawicieli rodu ludzi-kaktusów, zbyt ciężkich i niezdarnych, żeby wspinać się po linach, ale nadrabiali to staraniami na dole, swoją siłą. Włókniste roślinne bicepsy przeżyły się potężnie, kiedy ciągnęli i pchali.

Chodzili wśród nich oficerowie w granatowych mundurach.

Wicher owiewał statek i peryskopowe nasady komina zawodziły jak smętne flety.

Bellis skończyła cigarillo. Wstała powoli i podeszła do burty, ze spuszczonej oczami, dopiero przy relingu spojrzała w morze.

Nie było widać ani skrawka lądu.

„Och, bogowie, spójrzcie na to wszystko” – pomyślała wstrząśnięta.

Po raz pierwszy w życiu Bellis nie widziała wokół siebie nic oprócz wody.

Była sama pod kolosalnym, stojącym dęba niebem i lęk wezbrał w niej jak żółć. Bardzo chciała znaleźć się z powrotem pośród uliczek swego miasta.

Bryzgi piany szybko rozchodziły się po statku, znikając i natychmiast pojawiając się znowu. Woda tworzyła misterne marmurkowe wzory. Ustępowała drogi statkowi, tak jak ustąpiłaby drogi wielorybowi, kanadyjce czy liściowi – tępa zgodliwość, którą mogła zanegować nagłym wypiętrzeniem się.

Woda była ogromnym, niedorozwiniętym dzieckiem. Silnym, głupim i kapryśnym.

Bellis nerwowo strzelała wokół oczami, szukając jakiejś wyspy, jakiegoś poszarpanego kawałka wybrzeża. Ale akurat niczego takiego nie było.

Chmura morskich ptaków leciała ich śladem, nurkowały w kilwaterze za padliną, opryskując pokład i fale odchodami.

Żeglowali bezustannie przez dwa dni.

Żal, że podróż się rozpoczęła, sprawił, iż była dziwnie oszołomiona. Przemierzała korytarze i pokłady, zamykała się w kajucie. Patrzyła tępo, jak „Terpsychoria” mija w oddali skały i maleńkie wysepki, oświetlone szarym światłem dnia lub księżycową poświatą.

Marynarze lustrowali horyzont, oliwiąc wielkokalibrowe strzelby. Z setkami niedokładnie naniesionych na mapy wysepki i miasteczek handlowych, z mnogością statków zaopatrujących nienasyconą handlową paszczę Nowego Crobuzon na jednym z końców, Kanał Bazyliszka był domeną piratów.

Bellis wiedziała, że tak dużego statku, z kadłubem opancerzonym żelazem i banderą Nowego Crobuzon na maszcie, raczej nie odważą się zaatakować. Deprymowała ją tylko ta wzmożona czujność załogi.

„Terpsychoria” była statkiem kupieckim. Nie zbudowano jej z myślą o pasażerach. Nie było biblioteki, salonu, bawialni. Mesę dla pasażerów urządono bez większego zaangażowania; nie licząc kilku tanich litografii, ściany były tam gołe.

Bellis siadała do jedzenia osobno, a na sympatyczne zagajenia odpowiadała monosylabami, podczas gdy inni pasażerowie pod brudnymi oknami grali w karty. Bellis przyglądała im się ukradkowo i z wagą.

W kajucie bez końca inwentaryzowała swój dobytek.

Opuściła miasto w pośpiechu. Miała ze sobą niewiele ubrań, wszystkie w swoim ulubionym, ascetycznym stylu: pokutnicze, czarne lub popielate. Miała też siedem książek: dwa tomy z dziedziny językoznawstwa, podręcznik rączęgo salkrikaltorskiego, antologię opowiadań w różnych językach, gruby, pusty notatnik i egzemplarze dwóch monografii swojego autorstwa: *Gramatologię wysokiego kettai* oraz *Kodeksy sawann Wormseye*. Miała trochę biżuterii z gagatu, granatu i platyny, niedużą kosmetyczkę, atrament i pióra.

Godzinami uzupełniała list o nowe szczegóły. Opisywała brzydotę otwartego morza, ostre skały, które wyskakiwały niby pułapki na zwierzęta. Sporządzała długie, parodystyczne opisy oficerów i pasażerów, lubowała się bowiem w karykaturze. Siostra Meriope, kupiec Bartol Gimgewry, chudy jak nieboszczyk chirurg Mollificatt, wdowa Cardomium z niezamężną córką, nie wadząca nikomu para, która pod piórem Bellis przepoczwarzyła się w tandem snujących intrygi łowczyń mężów. Johannes Tearfly stał się zawodowym bufonem wyśmiewanym w musicalach. Wymyślała dla nich wszystkich przyczyny, które kazały im wyruszyć w podróż przez pół świata.

Na drugi dzień, stojąc w tylnej części statku, koło mierzwy mew i rybołówów, które wciąż kłóciły się przy okrętowym ścieku, Bellis szukała wzrokiem wysepek, ale widziała tylko fale. Poczula się porzucona. A potem, kiedy przeczesywała horyzont, usłyszała jakiś hałas.

Kawałek dalej doktor Tearfly, przyrodnik, obserwował ptaki. Bellis przybrała srogą minę. Zamierzała odejść, jak tylko doktor Tearfly się do niej odezwie.

Kiedy spuścił głowę i zobaczył, że ona przygląda mu się zimno, uśmiechnął się do niej z roztargnieniem i wyjął notes. Jego uwaga nie zatrzymała się na niej ani chwili. Bellis patrzyła, jak doktor Tearfly rysuje mewy, jakby jej tam w ogóle nie było.

Oceniała go na męczyznę pod sześćdziesiątkę. Rzedniejące włosy cesał do tyłu. Nosił małe, prostokątne okulary i kamizelkę z tweedu.

Na przekór akademickiemu stereotypowi nie sprawiał jednak wrażenia słabeusza czy groteskowego mola książkowego. Był wysoki i niezłe się trzymał.

Szybkimi, precyzyjnymi pociągnięciami ołówka przenosił na papier podwinięte ptasie pazury i brutalną wojowniczość oczu mew. Bellis poczuła do niego odrobinę sympatii.

Po jakimś czasie odezwała się.

Przyznała w duchu, że tak się łatwiej podróżuje. Johannes Tearfly był uroczym człowiekiem. Bellis podejrzewała, że równie przyjaźnie odnosiłby się do każdej innej osoby na pokładzie.

Zjedli razem lunch i bez większych problemów odciągnęła go od innych pasażerów, którzy bacznie im się przyglądali. Tearfly był człowiekiem, który nie miał w sobie ani śladu intryganctwa. Nawet jeśli przyszło mu do głowy, że dotrzymanie

towarzystwa nieuprzejmej i zdystansowanej Bellis Coldwine może być powodem plotek, zupełnie się tym nie przejmował.

Tearfly chętnie mówił o swojej pracy. Z entuzjazmem wyrażał się o niezbadanej faunie Nova Esperium. Powiedział Bellis, że po powrocie do Nowego Crobuzon planuje napisać monografię. Gromadził rysunki, heliotypy i obserwacje.

Bellis opisała mu ciemną, górzystą wyspę, którą widziała na północy w późnych godzinach wieczornych poprzedniego dnia.

– To była Morin Północna – powiedział. – Na północny zachód od nas przypuszczalnie mamy w tej chwili Cancir, a po zmroku przybijemy do brzegu Wyspy Tańczącego Ptaka.

Pasażerowie bez przerwy rozmawiali o położeniu statku i jego zmianach, toteż Tearfly patrzył na Bellis z zainteresowaniem, zaskoczony jej ignorancją. Nie przejęła się tym. Ważne było dla niej to, przed czym ucieka, nie zaś gdzie jest i dokąd zmierza.

Wyspa Tańczącego Ptaka pojawiła się na horyzoncie tuż po zachodzie słońca. Wulkaniczna skała była ceglasczerwona i wypiętrzała się w małe wierzchołki podobne do kości ramion. Na nadmorskim zboczu usadowił się Qe Banssa, ubogi, brzydki, mały port rybacki. Myśl, że przyjdzie jej postawić stopę w kolejnym rozżalonym mieście, tkwiącym w pułapce ekonomiki morza, przygnębiła Bellis.

Marynarze, którzy nie dostali przepustki, patrzyli naburmuszeni, jak ich koledzy i pasażerowie schodzą po trapie. W porcie nie było innych statków z Nowego Crobuzon: Bellis nie miała komu zostawić listu. Zadała sobie pytanie, po co zawinęli do takiej dziury.

Poza męczącą wyprawą badawczą do sawann Wormseye przez kilku laty, Bellis nigdy tak bardzo nie oddaliła się od Nowego Crobuzon. Obserwowała ludzi w porcie, starych, ale o żywych spojrzeniach. Wiatr niósł ze sobą garstkę dialektów. Większość okrzyków należała do dialektu salt, szwargotu marynarzy, skleconego z tysiąca języków używanych nad Kanałem Bazyliuszka, w Ragamoll, Perrickish, na Wyspach Pirackich i Jheshull.

Bellis patrzyła, jak kapitan Myzovic idzie po stromych schodach do blankowanej ambasady Nowego Crobuzon.

– Czemu zostaje pani na pokładzie? – spytał Johannes.

– Nie ciągnie mnie ani do tłustego jedzenia, ani do świecidełek. Te wyspy mnie przygnębiają.

Johannes uśmiechnął się powoli, jakby jej postawa wzbudziła w nim zachwyt. Wzruszył ramionami i spojrzał na niebo.

– Będzie padać, a ja mam pracę do wykonania na statku – oznajmił, jakby ona odpowiedziała mu tym samym pytaniem.

– Dlaczego w ogóle się tutaj zatrzymujemy?

– Podejrzewam, że w jakichś sprawach urzędowych – odparł ostrożnie Johannes. – To ostatnia większa placówka. Dalej wpływy Nowego Crobuzon są znacznie bardziej... ograniczone. Przypuszczam, że kapitan ma tutaj najprzeróżniejsze sprawy do załatwienia. Na szczęście to nie nasz interes – dodał po chwili przerwy. Spojrzeli na wciąż ciemniejący ocean. – Widziała pani jakichś skazańców? – spytał zniechęca.

Bellis popatrzyła na niego zaskoczona.

– Nie, a pan?

Poczuła się przyciśnięta do muru. Fakt, że statek wiezie czujący ładunek, deprymował ją.

Uświadomienie sobie, że musi opuścić Nowe Crobuzon, było nagłe i przerażające. Planowała wyjazd w stanie lekkiej paniki. Musiała uciec jak najdalej i jak najszybciej. Cobsea i Myrshock leżały zbyt blisko. Gorączkowo zastanawiała się nad Shankell, Yoraketche, Neovaa n i Tesh. Były to jednak kraje zbyt odległe, zbyt niebezpieczne, zbyt obce, zbyt trudno dostępne albo zbyt przerażające. Nie oferowały niczego, w czym mogłaby się zadomowić. Bellis uświadomiła sobie ze zgrozą, że rozstanie jest dla niej niezmiernie trudne, że kurczowo trzyma się Nowego Crobuzon, tego, co ją określa.

Wtedy pomyślała o Nova Esperium. Z otwartymi ramionami wita nowych obywateli. Nie zadaje pytań. Pół świata od Nowego Crobuzon, małe otarcie cywilizacji na skórze nieznanymi lądów. Swoista filia ojczystego kraju, kolonia Nowego Crobuzon. Bardzo szorstka, arogancka i twarda, mniej rozpieszczona – Nova Esperium była zbyt młoda, aby mogła sobie pobłażać – ale kultura wzorowana na kulturze jej miasta.

Uzmysłowiła sobie, że jeśli obierze ten cel podróży, Nowe Crobuzon opłaci jej przejazd, mimo że będzie stąd umykała. I zostanie jej nić komunikacyjna: rzadko, lecz regularnie kursujące statki. Kiedy dojdzie do wniosku, że może bezpiecznie wrócić, po prostu wsiądzie na jeden z nich.

Ale jednostki, które podejmowały długą, niebezpieczną podróż z Zatoki Żelaznej przez Wezbrany Ocean, woziły do Nova Esperium siłę roboczą. To oznaczało ładownię pełną więźniów: peonów, parobków i prze-tworzonych.

Jedzenie kwasilo się jej w żołądku na myśl o mężczyznach i kobietach zamkniętych na dole, bez światła, dlatego starała się o nich nie myśleć. Gdyby wybór należał do niej, trzymałaby się jak najdalej od takich podróży i takiego brutalnego handlu.

Bellis spojrzała na Johannesesa, usiłując odgadnąć jego myśli.

– Przyznam – powiedział z wahaniem – że jestem zaskoczony, iż w ogóle ich nie słysząc. Sądziłem, że będą częściej wypuszczani.

Bellis milczała. Czekala, aż Johannes zmieni temat, żeby mogła kontynuować próby wytrząśnięcia z głowy tego, co znajdowało się pod pokładem.

Słyszała hulaszczce odgłosy dochodzące z portowych pubów w Qe Banssa. Brzmiały ponaglać.

Pod smołą i żelazem, w wilgotnych celach w dole. Jedzenie przymocowane śrubami, przedmiot walki. Gówno, sperma i krew krzepną. Wrzaski i bójkę na pięści. Łańcuchy jak kamień i wszędobylskie szepty.

– Szkoda mi cię, chłopcze. – Głos był szorstki z braku snu, ale zawierał nutkę autentycznego współczucia. – Najpewniej weźmiesz za to w skórę. – Przed kratami ładowni więziennej stał chłopiec okrętowy i zasmuconym wzrokiem patrzył na odłamki gliny i rozlaną, gęstą zupę. Nalewał jedzenie do misek skazańców i jedna mu się wyslizgnęła z ręki. – Głina wygląda na mocną jak żelazo, dopóki się jej nie upuści.

Mężczyzna za kratami był równie uświniony i zmęczony jak wszyscy inni więźniowie. Spod podartej koszuli pulsował tumor, z którego sterczały dwie długie, smrodliwe macki. Kołysały się bez życia, koślawe, chlupoczące uciążliwości. Podobnie jak większość transportowanych więźniów, mężczyzna był prze-tworzonym, wciśniętym przez naukę i taumaturgię w nowy kształt, w ramach kary za jakąś zbrodnię.

– Przypomina mi się historia o tym, jak Crawfoot poszedł na wojnę – powiedział mężczyzna. – Znasz? – Boy okrętowy zebrał z podłogi tłuste mięso i marchew, żeby wrzucić je do wiadra. Zerknął na mężczyznę.

Skazaniec pokuśtykał do tyłu i oparł się o ścianę.

– To było tak. Pewnego dnia na początku świata Darioch wygląda ze swojego domku na drzewie i widzi, że do lasu zbliża się wojsko. I niech mnie cholera, jeśli to nie Nietoperzokórcy, którzy wrócili po swoje miotły. Wiesz, w jaki sposób Crawfoot zabrał im miotły, prawda? – Boy okrętowy miał około piętnastu lat, dużo, jak na pełniąca funkcję. Spojrzał mężczyźnie w oczy i uśmiechnął się, że tak, zna tę historię. Nagła zmiana, która w nim nastąpiła, była tak wyraźna i niezwykła, jakby na chwilę otrzymał nowe ciało. Przez chwilę wyglądał krzepko i butnie, a po zniknięciu uśmiechu, kiedy wrócił do gara zjedzeniem i misek, odrobina tej nagłej zuchwałości w nim pozostała.

Dobra – podjął więzień – czyli Darioch wzywa do siebie Crawfoota, pokazuje mu nietoperzokórców i mówi: „Ty nawarzyłeś tego piwa, Crawfoocie. Zabrałeś im ich rzeczy. Tak się składa, że Solniak jest na skraju świata, dlatego ty będziesz musiał wziąć na siebie ciężar walki”. Crawfoot pomstuje, biadoli, kłapie gębą...

Mężczyzna palcami dłoni naśladował ruch gadatliwych ust. Zamierzał podjąć swoją opowieść, ale chłopiec mu przerwał:

Znam to – powiedział, doznawszy nagłego olśnienia. – Już to kiedyś słyszałem.

Szkoda – odparł mężczyzna po chwili milczenia, zaskoczony swoim rozczarowaniem. – Ale wiesz co, synu, ja już dawno tego nie słyszałem, to może opowiem do końca.

Chłopiec spojrzał na niego badawczo, jakby chciał sprawdzić, czy więzień nie kpi z niego.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedział. – Może pan robić, co pan chce. Mnie wszystko jedno. – Więzień opowiedział tę historię, cicho, z przerwami na kaszel i westchnienia. Boy pojawiał się i znikał za kratami, sprzątał mesę, wydawał dokładki. Był na miejscu, kiedy opowieść dobiegła końca, kiedy pancierz z gliny i porcelany roztrzaskał się, toteż Crawfoot był gorzej poraniony, niż gdyby nie włożył żadnej zbroi. Chłopiec spojrzał na zmęczonego opowiadaniem mężczyznę i znowu uśmiechnął się szeroko. – Niech mi pan powie, jaki z tego płynie morał?

– Se myślę, że już wiesz – odparł z nikłym uśmiechem. Chłopiec skinął głową i skupiony skierował wzrok na sufit.

– „Nie lepszy rydz niż nic: szukaj, aż znajdziesz prawdziwka” – wyrecytował. – Zawsze wolałem historie bez morałów – dodał.

Kucnął przy kratkach.

– Kurwa, popieram, chłopie – powiedział mężczyzna. Podał mu rękę przez kraty. – Jestem Tanner Sack.

Boy okrętowy zawahał się: nie nerwowo, tylko ważąc za i przeciw. Ucisnął podaną rękę.

– Dzięki za opowieść. Jestem Szekel.

Rozmawiali dalej.

Rozdział trzeci

Bellis ocknęła się ze snu, kiedy podnieśli kotwicę, chociaż zatokę wciąż spowijały ciemności. „Terpsychoria” wibrowała i dygotała jak zmarznięte zwierzę. Bellis przetoczyła się pod iluminator i patrzyła na oddalające się nieliczne światła Qe Bansa. Rano nie wpuszczono jej na pokład główny.

– Przykro mi, proszę pani – powiedział jeden z marynarzy. Był młody i niemilosiernie zażenowany faktem, że musi zatarasować jej drogę. – Taki jest rozkaz kapitana: do dziesiątej pasażerom nie wolno wejść na ten pokład.

– Dlaczego?

Skulił się w sobie, jakby go uderzyła.

– Więźniowie mają spacer – wyjaśnił. Bellis otworzyła oczy odrobinę szerzej. – Kapitan pozwolił im trochę się dotlenić, a potem musimy wyczyścić pokład. Straszne z nich brudasy. Może pani tymczasem zje śniadanie, proszę pani? Migiem się z tym uwiniemy.

Kiedy znalazła się poza polem widzenia młodego człowieka, stanęła i rozważyła sytuację. Nie podobał się jej ten zbieg okoliczności, tak szybko po rozmowie z Johannesem.

Bellis chciała zobaczyć mężczyzn i kobiety wiezione na dole. Nie umiała powiedzieć, czy powoduje nią niezdrowa ciekawość, czy też jakaś szlachetniejsza pobudka.

Zamiast skierować się za grotmaszt, w stronę mesy, przemykała w półmroku bocznymi korytarzami, mijając miniaturowe drzwi. Przez ściany przenikały basowe dźwięki: ludzkie głosy przypominały szczekanie psów. Na końcu korytarza otworzyła ostatnie drzwi, do pełnej półek spiżarni. Bellis rozejrzała się, ale była sama. Dokończyła cigarillo i weszła do środka.

Odsunąwszy na bok puste butelki, zobaczyła, że przedpotopowe okienko zasłonięto półkami. Przesunęła stojące w tym miejscu rzeczy i bez większego skutku usiłowała przetrzeć szybę.

Szarpnęło ją, kiedy po drugiej stronie ktoś przeszedł, nie więcej niż metr obok. Nachyliła się i spróbowała przebić brud wzrokiem. Miała przed sobą ogromny bezanmaszt. Widziała też, choć mniej wyraźnie, grotmaszt i fokmaszt z przodu. W dole znajdował się pokład główny.

Odprawiający swoje rytuały marynarze ruszali się, wspinali, sprząтали, kręcili korbami.

Było też mnóstwo innych osobników, pozbijanych w grupy, poruszających się powoli, jeśli w ogóle. Bellis wykrzywiła usta. Byli to w większości ludzie, przede wszystkim mężczyźni, ale nie sposób ich było jakoś ogólnie zaszufładować. Zobaczyła mężczyznę z krętą, długą na metr szyją, kobietę z wiązką spazmujących ramion, postać, której dolną część stanowił odwłok gąsienicy, a także stworzenie z metalowymi drutami sterczącymi z kości. Łączyło ich tylko jedno: zszarzałe ubranie.

Bellis nigdy nie widziała w jednym miejscu tak wielu prze-tworzonych, tak wielu pozmienianych w fabrykach kary. Niektórych zmodyfikowano dla celów przemysłu, innych zdeformowano zaś tylko po to, aby wyglądali groteskowo, z odkształconymi ustami, oczami i bogowie raczą wiedzieć czym jeszcze.

Było kilku więźniów-kaktusów, jak również przedstawicieli innych ras: hotchi z połamanymi kręgosłupami, garstka khepri, których skarabeuszowe głowociała drgały i połyskiwały w wypłukanym słońcu. Oczywiście nie zobaczyła żadnych vodyanoi. Podczas takiej podróży słodka woda była zbyt cenna, aby ją marnować na utrzymywanie ich przy życiu.

Bellis usłyszała okrzyki strażników. Ludzie i kaktusy paradowali pośród prze-tworzonych z biczami w garści. Grupkami po dwóch, trzech i dziesięciu więźniowie zaczęli łaźić w kółko po pokładzie.

Tych, którzy leżeli bez ruchu, spotykała kara.

Bellis odwróciła wzrok.

A więc to byli jej niewidoczni towarzysze podróży.

„Świeże powietrze jakoś nie dodało im wigoru” – pomyślała bez emocji. Gimnastyka chyba nie sprawiała im przyjemności.

Tanner Sack poruszał się dostatecznie szybko, aby nie dostać w skórę. Rytmicznie wodził oczami: w dół na trzy długie kroki, żeby nie ściągać na siebie uwagi, potem do góry na jeden krok, żeby zobaczyć niebo i wodę.

Statek wibrował z lekka od maszyny parowej na dole i zagle były naprężone. Skały Wyspy Tańczącego Ptaka szybko uciekały do tyłu. Tanner pomału przesunął się ku prawej burcie.

Otaczali go mężczyźni, z którymi był upchnięty w jednej ładowni. Kobiety stały w mniejszych grupkach, trochę z boku. Wszystkie miały brudne twarze i rzucały mu zimne spojrzenia. Nie zbliżał się do nich.

Nagle usłyszał gwizdek, ostry, dwutonowy dźwięk różny od krzyku mew. Podniósł wzrok. Szekel siedział na jakimś potężnym metalowym wysięgniku i szorował go do czysta. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, puścił oko do Tannera i uśmiechnął się pospiesznie. Tanner odwzajemnił uśmiech, ale chłopiec nie patrzył już w jego stronę.

Oficer i marynarz z pięknymi epoletami dyskutowali na dziobie statku, nachyleni nad jakąś mosiężną machiną. Kiedy Tanner wyciągnął szyję, żeby sprawdzić, o co chodzi, dostał przez plecy kijem, niezbyt mocno, ale z zapowiedzią, iż następnym razem będzie dużo gorzej. Strażnik-kaktus wrzeszczał na niego, żeby się szybciej ruszał, dlatego jeszcze przyspieszył kroku. Obca tkanka przyszyta do klatki piersiowej Tannera pulsowała. Macki swędziały i zrzucały skórę jak po oparzeniu słonecznym. Z braku maści splunął na nie i wtarł ślinę.

Punktualnie o dziesiątej Bellis dopiła herbatę i wyszła na zewnątrz. Pokład został zamieciony i wyszorowany do czysta. Ani śladu po więźniach, którzy niedawno na nim stali.

– Dziwnie mi się robi, kiedy pomyślę – powiedziała Bellis trochę później, kiedy spoglądali z Johannesem na wodę – że w Nova Esperium być może będziemy przełożonymi mężczyzn i kobiet, którzy płynęli z nami tym statkiem, i nigdy się tego nie dowiemy.

– W pani wypadku to wykluczone. Odkąd to językoznawca potrzebuje skazanego na karne roboty asystenta?

– Przyrodnik też nie.

– Z gruntu się pani myli – odparł łagodnie. – Trzeba zanieść skrzynie do buszu, pozakładać pułapki, wlec zanarkotyzowane albo martwe ciała, pokonać niebezpieczne zwierzęta... Praca przyrodnika nie ogranicza się do malowania akwarelami. Pokażę pani kiedyś moje blizny.

– Mówi pan poważnie?

– Tak. – Zamyślił się. – Mam długie na trzydzieści centymetrów rozcięcie, będące pamiątką po rozwścieczonej sarduli... ugryzienie noworodka chalkydri...

– Sarduli? Naprawdę? Mogę zobaczyć? Johannes pokręcił głową.

– Dopadła mnie... blisko intymnego miejsca.

Nie patrzył na nią, ale nie sprawiał wrażenia szczególnie tym zawstydzonego.

Johannes dzielił kajutę z Gimgewrym, niespełnionym kupcem okaleczonym świadomością swojej nieudaczności, który patrzył na Bellis z rozdzierająco smutnym

pożądaniem. Johannes nigdy nie był lubieżny. Zdawało się, że zawsze myśli o tych innych rzeczach, które nie pozwalają mu zauważyć powabów Bellis.

Nie oczekiwała, żeby się do niej zalecał, natychmiast dałaby mu kosza, gdyby spróbował. Przywykła jednak do tego, że mężczyźni usiłują z nią flirtować: zazwyczaj niezbyt długo, tylko do momentu uświadomienia sobie, że jej chłód nie jest pozą, do rezygnacji z której zdołają ją przekonać. Postawa Tearflya była szczerze aseksualna, co ją deprymowało. Zadała sobie pytanie, czy nie jest sodomitą, jak to nazywał jej ojciec, ale nie dostrzegła żadnych oznak tego, aby inni mężczyźni na pokładzie pociągali go bardziej niż ona. A potem skarciła się za swoją małoduszność.

Odniosła wrażenie, że zatrzepotał w nim strach, kiedy zawisła między nimi ta insynuacja. „Może nie interesuje się tymi sprawami” – pomyślała. „A może jest tchórzem”.

Szekel i Tanner wymieniali się opowieściami.

Szekel słyszał już wiele opowieści spośród *Kronik Crawfoota*, ale Tanner znał je wszystkie. A z tych słyszanych przez Szekla znał inne warianty, które też opowiadał. Z kolei Szekel mówił mu o oficerach i pasażerach. Miał wiele słów pogardy dla Gimgewry'ego, bo słyszał przez drzwi klozetu burzliwe odgłosy jego masturbowania się. Tearflya, którego zaliczał do kategorii roztargnionych, poczciwych wujaszków, uważał za bezdennie nudnego, a o kapitanie Myzovicu, który budził w nim strach, Szekel chojracko opowiadał, niezgodnie zresztą z prawdą, że widział go, jak chodził po pokładach pijany.

Pożądał panny Cardomium. Lubił Bellis Coldwine, z komentarzem: „Ale powiedzcie, że jest zimna, to nic nie powiedzcie”.

Tanner słuchał tych insynuacji i opisów, tam gdzie trzeba reagując śmiechem lub zdziwieniem. Szekel powtarzał mu plotki i bajki, którymi wymieniali się marynarze – o piasach i kobietach-korsarzach, Marichończykach i strupopiratach, stworzeniach żyjących pod wodą.

Za Tannerem ciągnęła się długa ciemność ładowni.

Stale myszkowano za jedzeniem i paliwem. Chodziło nie tylko o resztki mięsa i chleba: wielu więźniów to byli prze-tworzeni z metalowymi częściami i silnikami parowymi. Jeśli woda w kotłach im wystygła, byli unieruchomieni, dlatego chomikowali wszystkie potencjalnie palne materiały. W kącie ładowni naprzeciwko drzwi stał pewien staruszek, którego cynowy trójnóg, służący do chodzenia, od wielu dni ani drgnął. Palenisko było kompletnie zimne. Starzec jadał tylko wtedy, kiedy ktoś pofatygował się go nakarmić. Nikt się nie spodziewał, że przeżyje podróż.

Szekel był zafascynowany brutalnością tego małego królestwa. Obserwował tego starca z dużą uwagą. Widział siniaki więźniów. Wpadały mu w oko podwójne sylwetki spółkujących ze sobą mężczyzn, za obopólną zgodą albo w ramach gwałtu.

Przed wyjazdem z miasta był szefem gangu w Krucznych Wrotach i martwił się, czy poradzi sobie bez swoich podkomendnych. Podczas pierwszej jego kradzieży, popełnionej w wieku sześciu lat, do kieszeni wpadła mu moneta szklowa i przydomek ten przylgnął do niego. Twierdził, że żadnego innego imienia nie pamięta. Najął się do pracy na statku, kiedy działalność jego gangu, obejmująca także okazjonalne włamania, zanadto zwróciła na siebie uwagę milicji.

– Jeszcze miesiąc, a siedziałbym razem z tobą, Tanner – powiedział. – Wiele do tego nie potrzeba.

Pod opieką okrętowych taumaturgów i marynarzy wyrmenów maszyna meteoromantyczna na dziobie „Terpsychorii” usuwała powietrze sprzed statku. Za żaglami tworzyło się podciśnienie i statek mknął po falach z dużą prędkością.

Maszyna przypominała Bellis wieże chmur w Nowym Crobuzon.

Pomyślała o wielkich urządzeniach sterczących ponad dachy Tar Wedge, skomplikowanych i zepsutych. Zażęknęła za ulicami i kanałami miasta, za jego ogromem.

I za silnikami. Maszynami. W Nowym Crobuzon otaczały ją maszyny. Teraz był tylko mały meteoromanta i konstruktor obsługujący mesę. Silnik parowy na dole zamieniał całą „Terpsychorię” w mechanizm, ale był niewidoczny. Bellis wędrowała po statku jak chuligański trybik. Tęskniła za utylitarnym chaosem, do którego opuszczenia ją zmuszono.

Żeglowali po ruchliwym obszarze morza. Mijali inne statki: w ciągu dwóch dni od wypłynięcia z Qe Banssa Bellis widziała ich trzy. Pierwsze dwa były małymi, wydłużonymi kształtami na horyzoncie, trzeci, krępa karawela, podpłynął znacznie bliżej. Jak oznajmiały proporczyki na żaglach, pochodził z Odraline. Kołysał się jak wariat na wzburzonym morzu.

Bellis widziała marynarzy na pokładzie. Patrzyła, jak skaczą po skomplikowanym olinowaniu i refują trójkątne żagle.

„Terpsychoria” mijają jałowe z wyglądu wyspy: Cadann, Rin Lor, Eidolon. Z każdą z nich związane były opowieści ludowe i Johannes znał je wszystkie.

Bellis godzinami obserwowała morze. Tutaj, daleko na wschód, woda była znacznie bardziej przejrzysta niż w pobliżu Zatoki Żelaznej: widziała nawet smugi wielkich ławic. Marynarze, którzy nie pełnili służby, siedzieli z nogami za burtą i łowili ryby na prymitywne wędkę, ozdabiając kości i kły narwali za pomocą noży i sadzy.

Od czasu do czasu w oddali pojawiały się krzywizny wielkich drapieźców w rodzaju orki. Pewnego razu o zachodzie słońca „Terpsychoria” przepłynęła blisko zalesionego cypla, paru kilometrów lasu wykwitającego z oceanu. Niedaleko wybrzeża sterczało z wody stado głazów. Serce Bellis na moment przestało bić, kiedy jeden z głazów stanął dęba i z wody wynurzyła się potężna łabędzia szyja. Masywny łeb przekręcił się i Bellis patrzyła, jak plesiauri leniwie brodzą ku brzegowi i znikają.

Na jakiś czas ogarnęła ją fascynacja podmorskimi mięsożercami. Johannes zabrał ją do swojej kajuty i zaczął szperać w książkach. Ujrzała kilka z jego nazwiskiem na grzbiecie: *Anatomia sarduli*, *Drapieżnictwo w kałużach poodpływowych Zatoki Żelaznej*, *Teorie megafauny*. Po znalezieniu szukanej monografii pokazał jej sensacyjne obrazki przedpotopowych, dziesięciometrowych ryb z krótkimi, grubymi łbami, rekinów chochlikowych ze szczerbatymi zębami i wysuniętymi czołami, i jeszcze wiele innych dziwów.

Wieczorem, drugiego dnia po wypłynięciu z Qe Banssa zobaczyli ląd opasujący Salkrikaltor: poszarpane szare wybrzeże. Minęła dziewięta, ale niebo było absolutnie bezchmurne, a księżyc i jego córki świeciły bardzo jasno.

Bellis wbrew sobie zachwyła się tym górzystym, smaganym przez wiatr krajobrazem. Daleko w głębi lądu, u granic zasięgu jej wzroku, widziała ciemny las przywarty do zboczy wąwozów. Na wybrzeżu z drzew zostały tylko martwe, wyżarte przez sól łupiny.

Johannes aż zaklął z przejęcia.

– Bartoll! Sto sześćdziesiąt kilometrów na północ stąd jest ten diabelny most Cyrhussine, czterdzieści kilometrów długości. Miałem nadzieję, że go zobaczymy, ale to byłoby chyba kuszenie licha.

Statek odbijał od wyspy. Było zimno i Bellis ze zniecierpliwieniem trzepała połami cienkiego płaszcza.

– Idę do środka – powiedziała, ale Johannes jakby jej nie usłyszał.

Patrzył wstecz, na znikające wybrzeże Bartoll.

– Co się dzieje? – mruknął pod nosem. Bellis odwróciła się gwałtownie. Jego głos zabrzmiał tak, że od razu wyobraziła sobie, jak marszczy brwi. – Dokąd my płyniemy? – Johannes zaczął gestykulować. – Niech pani spojrzy... Odbijamy od Bartoll. – Wyspa była teraz tylko rozmazaną smugą na skraju morza. – Salkrikaltor jest tam, na wschód. Za parę godzin moglibyśmy płynąć nad rakami, ale kierujemy się na południe... Oddaliśmy się od wspólnoty...

– Może raki nie lubią jak statki przepływają im nad głową – zasugerowała Bellis, ale Johannes pokręcił głową.

To jest standardowa trasa: z Bartoll na wschód do Salkrikaltoru. My płyniemy gdzie indziej. – Narysował w powietrzu mapę. – To jest Bartoll, to jest Gnomon Tor, a między nimi, na morzu... Salkrikaltor. Tu w dole, gdzie teraz płyniemy, nie ma nic prócz rzędu kolczastych wysepek. Zmierzamy do Salkrikaltoru mocno okrężną drogą. Ciekawe dlaczego.

Nazajutrz rano kilku innych pasażerów wiedziało, że płyną nietypową trasą. W ciągu paru godzin wiadomość rozniosła się po ciasnych jak w klasztorze korytarzach. Kapitan Myzovic przemówił w mesie do wszystkich czterdziestu pasażerów. Bo przyszła nawet blada, litość budząca siostra Meriope i inne ofiary podobnych dolegliwości.

– Nie ma żadnych powodów do niepokoju – zapewniał ich.

Był wyraźnie zły, że go wezwano. Bellis odwróciła wzrok i wyjrzała przez okno. „Po co tutaj jestem?” – pomyślała. „Przecież nie obchodzi mnie, dokąd płyniemy i jak się tam dostaniemy. Mam to gdzieś”. Nie przekonała jednak samej siebie i została w mesie.

– Ale dlaczego zboczyliśmy z normalnego kursu, panie kapitanie? – spytał ktoś.

Kapitan wypuścił gniewnie powietrze.

– Tak... Posłuchajcie. Robię objazd wokół Fins, wysp u południowego krańca Salkrikaltoru. Nie mam obowiązku tłumaczyć się przed wami z tej decyzji. Ale... – urwał, żeby dotarło do pasażerów, jak wielki spotkał ich zaszczyt – w zaistniałych okolicznościach... Muszę was wszakże poprosić, abyście powściągliwie obchodzili się z tą informacją... Opłyniemy Fins, zanim dotrzemy do Salkrikaltoru, aby minąć pewien obiekt należący do Nowego Crobuzon. Pewne morskie zakłady przemysłowe. O których istnieniu opinia publiczna nic nie wie. Mógłbym zatrzymać was w kajutach, ale pewnie byście coś zobaczyli przez iluminatory i mnożyłyby się plotki i spekulacje. Pozwalam więc iść na górę. Tylko na pokład rufówki. Ale... Ale odwołuję się do waszych uczuć patriotycznych i obywatelskich, abyście zachowali dyskrecję w kwestii tego, co zobaczycie dzisiaj wieczorem. Czy wyrażam się jasno?

Ku obrzydzeniu Bellis zapadła nabożna cisza. „Ogłupił ich swoją pompatycznością” – pomyślała i odwróciła się z pogardą.

Od czasu do czasu fale rozbijały się o skalny kiel, ale nic bardziej dramatycznego nie było widać. Większość pasażerów zebrała się na rufie i z wyężeniem obserwowali morze.

Bellis wbiła wzrok w horyzont, zirytowana, że nie jest sama.

– Myśli pani, że domyślimy się, jak to zobaczymy? – spytała gdakająca kobieta, której Bellis nie znała.

Puściła pytanie mimo uszu.

Ściemniło się i zrobiło znacznie chłodniej, toteż niektórzy pasażerowie zeszli pod pokład. Górzyste Fins wyskakiwały i znikwały na horyzoncie. Bellis piła grzane wino na rozgrzewkę. Patrzenie na morze znudziło ją i przeniosła uwagę na marynarzy.

O drugiej w nocy, kiedy na pokładzie została już tylko połowa pasażerów, na wschodzie coś się wyłoniło.

– Bogowie w niebiesiech – szepnął Johannes.

Przez dłuższy czas mieli przed sobą tylko groźny, nieczytelny kontur. Kiedy byli dostatecznie blisko, Bellis zobaczyła, że jest to ogromna, czarna wieża stercząca z morza. Z jej wierzchołka dobywało się oleiste światło, chlust brudnego płomienia.

Od wieży dzieliło ich może półtora kilometra. Bellis sapnęła.

To była morska platforma wiertnicza. Kwadrat o boku ponad sześćdziesięciu metrów, potężny betonowy ciężar wsparty na trzech gigantycznych metalowych nogach. Bellis słyszała huk.

Fale rozbijały się o wsporniki. Wznoszące się na platformie konstrukcje tworzyły na tle nieba linię równie skomplikowaną i pokrętną jak w mieście. Nad trójnogiem majaczył z pozoru chaotyczny las wieżyczek, a dźwignie poruszały się jak szponiaste dłonie. Potężny minaret dźwigarów strzelał nad tym wszystkim ku niebu, sącząc ogień. Taumaturgiczne zmarszczki zniekształcały przestrzeń nad płomieniem. W cieniach pod platformą wbijał się w morze ogromny metalowy szyb, na którego kolejnych kondygnacjach migotały światła.

– Na Jabbera, cóż to jest? – wydyszała Bellis.

Niezwykły widok budził grozę. Pasażerowie gapili się jak idioci.

Góry najbardziej wysuniętej na południe wyspy archipelagu Fins były majaczącym w oddali cieniem. W pobliżu podstawy platformy kręciły się drapieżne kształty: pancerniki patrolu. Z pokładu jednego z nich skomplikowanym rytmem zamrugało światło, a po chwili przyszła odpowiedź z mostka „Terpsychorii”.

Gdzieś z wnętrza bajecznej konstrukcji zabrzmiała syrena.

Oddalali się od platformy, kurczącej się w oczach Bellis i rzygającej płomieniami. Johannes zastygł ze zdziwienia.

– Nie mam pojęcia – odparł powoli.

Dopiero po chwili Bellis uzmysłowiła sobie, że odpowiedział na jej pytanie. Nie odejmowali wzroku od potężnego kształtu, póki jeszcze dało się go wyłowić z ciemności.

Kiedy zniknął, w milczeniu ruszyli w stronę korytarza. A potem, kiedy byli już pod drzwiami do kajut, za ich plecami ktoś krzyknął:

– Jeszcze jedna!

Nie minął się z prawdą. Wiele kilometrów od statku w niebo strzelała druga kolosalna platforma.

Większa od pierwszej. Na czterech nogach z nadgryzionego przez żywioty betonu. Oszczędniej zabudowana, z jedną krępą wieżą w każdym rogu i gigantycznym żurawiem koło krawędzi. Konstrukcja warczała jak żywe stworzenie.

Obrońcy tej kolubryny znowu kontrolnie błysnęli latarkami i „Terpsychoria” znowu odpowiedziała.

Dmuchał wiatr, a niebo było zimne jak żelazo. W płycznach ponurego morza wznosiła się potężna budowla, obok której „Terpsychoria” przemknęła w ciemnościach.

Bellis i Johannes zaczekali jeszcze godzinę, ze zgrabiałymi dłońmi i spiralami buchającej z ust pary, ale nic innego się nie pojawiło. Widzieli tylko wodę, a tu i ówdzie cienie Fins, wyszczerbione i nieoświetlone.

Łańcola, 5 a rory 1779; pokład „Terpsychorii”

Jak tylko weszłam dziś przed południem do kajuty kapitana, od razu wiedziałam, że coś go rozgniewało. Zgrzytał zębami i ciskał oczami gromy.

– Panno Coldwine – powiedział – za kilka godzin przybędziemy do Salkrikaltoru. Inni pasażerowie i załoga otrzymają kilka godzin przepustki, ale obawiam się, że pani ten przywilej nie będzie dany.

Mówił tonem neutralno-groźnym. Uprzątnął akcesoria z biurka. Nie umiem wyjaśnić dlaczego, ale wytrąciło mnie to z równowagi. Normalnie kapitan jest otoczony redutą różnych bzdetów, które tworzą między nami bufor.

– Spotkam się z przedstawicielami Wspólnoty Salkrikaltoru i pani będzie tłumaczyła. Pracowała pani z delegacjami handlowymi, więc zna pani system. Pani będzie przekładała na raczy salkrikaltorski dla delegatów, a ich tłumacz odda ich słowa w języku ragamoll mnie. Będziecie się nawzajem sprawdzali, żeby z żadnej strony nie było żadnego kanciarstwa, ale nie jest pani uczestniczką tych rozmów. Czy wyrażam się dostatecznie jasno? – spytał belferskim tonem. – Nie usłyszysz pani nic z tego, co między nami padnie. Jest pani tylko przekaźnikiem. Nic pani nie słyszy. – Patrzyłam draniowi prosto w oczy. – Będą omawiane sprawy o najwyższym znaczeniu z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa. Na pokładzie statku, panno Coldwine, nie da się niczego utrzymać w tajemnicy. Niech mnie pani uważnie posłucha. – Nachylił się ku mnie. – Jeśli pani napomknie komukolwiek o tym, co będzie mówione: moim oficerom, rzygającej zakonnicy czy swojemu bliskiemu przyjacielowi doktorowi Tearflyowi, ja się o tym dowiem.

Nie muszę Ci chyba mówić, że byłam wstrząśnięta.

Do tej pory unikałam konfrontacji z kapitanem, ale złość sprawiła, że zrobił się kapryśny. Nie zamierzam okazywać po sobie słabości. Kilka miesięcy wzajemnych kwasów mniej kosztuje niż strategiczne położenie uszu po sobie za każdym razem, kiedy on pojawia się w polu widzenia.

Poza tym wpadłam w furję.

Przyprószyłam swój głos szronem.

– Panie kapitanie, omawialiśmy te kwestie, kiedy zaproponował mi pan to stanowisko. Moje doświadczenie zawodowe i referencje są panu znane. Nie przystoi panu kwestionować na tym etapie moich kwalifikacji – mówiłam chyba nawet zbyt wyniośle. – Nie jestem jakąś karnie delegowaną do pracy siedemnastolatką, którą może pan zastraszać. Wykonam swoją pracę zgodnie z umową i nie pozwolę, żeby podawał pan w wątpliwość mój profesjonalizm.

Nie mam pojęcia, co go rozzłościło, i nic mnie to nie obchodzi. Niech bogowie spuszczą zarazę na jego drańską skórę.

Teraz siedzę z „rzygającą zakonnica”, aczkolwiek czuje się chyba trochę lepiej i napomknęła nawet o wzięciu udziału w nabożeństwie w migalec, i kończę ten list. Zbliżamy się do Salkrikaltoru, gdzie będę miała okazję zapieczętować go i zostawić, aby zabrał go pierwszy przepływający tędy statek do Nowego Crobuzon.

To długie pożegnanie dotrze do Ciebie z ledwo kilkutygodniowym opóźnieniem. Czyli nie tak źle. Mam nadzieję, że zastanie Cię w dobrym zdrowiu.

Mam nadzieję, że tęsknisz za mną tak bardzo, jak ja tęsknię za Tobą. Nie wiem, co zrobię bez tego środka łączności z Tobą. Minie co najmniej rok, zanim znowu o mnie coś usłyszysz, zanim kolejny statek zawinie do portu w Nova Esperium. Pomyśl, jak ja wtedy będę wyglądała! Włosy długie i zlepione błotem, strój nudysty, upstrzona magicznymi znakami jak jakiś szaman-dzikus! Jeśli nie wpadnę przez ten czas we wtórny analfabetyzm, to napiszę do Ciebie, opowiem Ci, jak mija mi czas, i spytam, co słychać w moim mieście. Może Ty odpiszesz mi, że jest bezpiecznie i mogę wracać do domu.

Pasażerowie z przejściem dyskutowali o tym, co widzieli ubiegłej nocy. Bellis wzgardziła nimi. „Terpsychoria” przecisnęła się przez Candlemaw Straits na spokojniejsze wody Salkrikaltoru. Najpierw pojawiła się na horyzoncie bujnie porośnięta wyspa Gnomon Tor, a potem, przed piątą po południu, zobaczyli Salkrikaltor.

Słońce stało bardzo nisko na niebie i światło było gęste. Linia brzegowa Gnomon Tor rysowała się zielono i wyraziście kilka kilometrów na północ. W horyzontalnym lesie coraz dłuższych cieni wieże i dachy Salkrikaltoru odbijały się na falach.

Budowle zrobione były z betonu, żelaza, skały, szkła i płytów wytrzymałego zimnowodnego koralu. Cienkie jak kręgosłup mosty, spinające ze sobą kolumny owinięte spiralami schodów. Misterne stożkowe wieże wysokie na trzydzieści metrów, ciemne, kwadratowe baszty. Chaos kiepsko harmonizujących ze sobą stylów.

Linia dachów kojarzyła się z wybujałym dziecięcym rysunkiem rafy koralowej. Organiczne wieże pęczniały jak odlewy z pierścienic. Były analogi koralu koronkowych: mieszkalne wysokościowce, rozgałęziające się na dziesiątki klitek, a także krępe areny z wieloma oknami, podobne do gargantuicznych gąbek baryłkowatych. Falbankowe wstążki architektury w stylu koralu ogniowego.

Wieże zanurzonego miasta wznosiły się trzydzieści metrów nad fale. Na poziomie morza ziały wielkie bramy. Zielony szlam wyznaczał linię wodną.

Były też nowsze budynki. Jajokształtne gmachy wyrzeźbane z kamienia i żebrowane żelazem, wydźwignięte nad wodę na szczudłach, które sterczały nad zatopiony miejski krajobraz. Pływające platformy zwieńczone rzędami kwadratowych domów z cegły – podobnych do tych z Nowego Crobuzon – groteskowo siedziały na wodzie jak kwoki.

Były tysiące raków i niemało ludzi, na kładkach i mostach na poziomie wody, jak również o wiele wyżej. Dziesiątki płaskodennych barek i łodzi kursowały między wieżami.

Statki oceaniczne dokowały na obrzeżach miasta, zacumowane do wbitych w dno morza pachołów. Kogi, jonki, klipry, tu i ówdzie statek parowy. „Terpsychoria” była coraz bliżej.

– Niech pani spojrzy – powiedział ktoś do Bellis i pokazał w dół.

Spojrzała, woda była zupełnie przezroczysta. Mimo że światło dnia już dogasało, Bellis widziała głęboko zanurzone szerokie ulice przedmieść Salkrikaltoru. Ich przebieg wyznaczały zimne latarnie uliczne. Wierzchołki budynków sięgały nie wyżej

niż sto pięćdziesiąt metrów pod powierzchnię wody, aby nie zahaczały o nie przepływające górą statki.

Na mostkach łączących podmorskie wieże Bellis zobaczyła kolejne rzesze obywateli, kolejne rzesze raków. Chodzili i pływali szybko, poruszając się z większą łatwością niż ich współziomkowie na powierzchni.

„Co za niezwykle miasto!”

Kiedy „Terpsychoria” rzuciła cumy, Bellis patrzyła z zazdrością, jak spuszczają szalupy. Większość pasażerów i załogi z zapalem ustawiły się w kolejce do drabinek linowych. Szeroko uśmiechnięci, trajkotali z przejęciem, kierując spojrzenia ku miastu.

Zapadł zmierzch. Po wieżach Salkrikaltoru zostały tylko sylwetki. Rozświetlone okna odbijały się w czarnej wodzie. W powietrzu unosiły się nikłe dźwięki: muzyka, krzyki, zgrzyt maszyn, szum fal.

Bądźcie z powrotem na pokładzie do drugiej w nocy! – wrzasnął jakiś podporucznik. – Trzymajcie się osiedli ludzkich i wszelkich innych terenów nawodnych. Jest tam mnóstwo do roboty bez narażania płuc na szwank.

Panno Coldwine? – Bellis odwróciła się do porucznika Cumbershuma. – Proszę ze mną. Batysfera gotowa.

Rozdział czwarty

Zamknięta w maleńkiej batysferze, ciasnej plątaninie miedzianych rur i tarcz zegarowych, Bellis wyciągnęła szyję, bo Cumbershum, kapitan Myzovic i podchorąży u steru zasłaniali jej widok.

Fale chlapały o dół wzmocnionej szyby przedniej, a tu nagle batysfera zanurzyła się, woda zalała bąbelkowe szkło i niebo znikło, a razem z nim plusk i chlerlawe wołania mew. Nie było słycać nic oprócz buczącego skowytu śruby.

Bellis wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

Batysfera przechyliła się i z gracją opadała ku niewidocznej skale i piaskowi. Pod jej zadartym nosem rozblęła mocna lampa łukowa, tworząc stożek rozświetlonej wody.

Blisko dna kapsuła ustawiła się trochę bardziej pionowo. Spływało ku nim rozrzedzone światło wieczoru, spowalniane przez ogromne, czarne cienie statków.

Nad ramieniem kapitana Bellis wbiła wzrok w ciemną wodę. Minę miała obojętną, ale ręce poruszały się z przejęcia. Ryby zakreślały precyzyjne fale, pływając wciąż wokół topornego metalowego intruza. Przyspieszony oddech Bellis brzmiał nienaturalnie głośno.

Batysfera ostrożnie wybierała drogę pomiędzy łańcuchami zwisającymi jak pnącza z baldachimu statków w górze. Pilot poruszał dźwigniami z fachowym wdziękiem. Kapsuła pomknęła do góry nad niewielkim nawisem skorodowanej skały i pojawił się Salkrikaltor.

Bellis aż sapnęła.

Wszędzie paliły się zanurzone w wodzie światła. Kule zimnej iluminacji, lodowe księżyce, bez śladu sepii charakterystycznej dla gazowych latarni Nowego Crobuzon. Miasto jarzyło się w ciemniejącej wodzie niby sieć rybacka pełna upiornych świateł.

Kraniec miasta wyznaczały niskie budynki z porowatego kamienia i koralu. Między wieżami i nad dachami gładko sunęły inne batysfery.

Zatopione promenady w dole wspinały się ku odległym fortyfikacjom i katedrom w centrum, gdzieś tak półtora kilometra dalej, słabo widocznym przez toń zatoki. Tam, w sercu Salkrikaltoru, gmachy wyrastały ponad morze. Część znajdująca się

pod powierzchnią nie ustępowała misternością partiom nawodnym. Miasto było skomplikowaną siecią wzajemnych połączeń.

Bellis wszędzie widziała raki. Bez większego zainteresowania podnosiły wzrok, kiedy kapsuła przepływała nad nimi. Stały i targowały się przed sklepami ozdobionymi falującym, kolorowym płótnem; toczyły spory na zielonych skwerkach z wodorostów i chodziły labiryntem bocznych uliczek. Powoziły furmankami zaprzęgniętymi w nietypowe zwierzęta pociągowe: morskie ślimaki wysokie na prawie dwa metry. Ich dzieci zabawiały się w ten sposób, że drażniły zamknięte w klatkach okonie i wielobarwne ślizgi.

Bellis zobaczyła połataną, połowicznie wyremontowane domy. Z dala od głównych ulic prądy wodne porywały organiczne śmieci, gnijące na koralowych podwórzach.

W wodzie każdy ruch zdawał się rozciągnięty. Raki pływały nad dachami, nieelegancko trzepiąc ogonami. Zstępowały z wysokich półek i opadały powoli, rozkładając odnóża do lądowania.

Z wnętrza batysfery miasto sprawiało wrażenie pogrążonego w ciszy.

Powoli sunęli ku monumentalnej architekturze centrum Salkrikaltoru, przeszkadzając rybom i trącąc śmieci. „Prawdziwa metropolia” – pomyślała Bellis. Kipiła życiem, zupełnie jak Nowe Crobuzon, ale była otulona i na poły ukryta przez wodę.

– Mieszkania dla urzędników – pokazał jej Cumbershum. – To jest bank, a to fabryka. To dlatego raki robią takie interesy z Nowym Crobuzon: możemy im pomóc z techniką napędu parowego. Pod wodą bardzo trudno się poruszać. Tu mieści się rada naczelna Raczej Wspólnoty Salkrikaltoru.

Budynek miał wyszukaną konstrukcję: okrągły i bulwiasty jak nieprawdopodobnie wielki koral mózgowy, ozdobiony marszczoną wykładziną. Wieże strzelały wwyż ponad powierzchnię wody. Większość skrzydeł gmachu – zaznaczonych zwiniętymi węzami i różnymi znakami hieroglificznymi – miała otwarte okna i drzwi w tradycyjnym stylu salkrikaltorskim, żeby małe rybki mogły bez przeszkód wpływać i wypływać. Jedna część była wszakże szczelnie zamknięta, wyposażona w bulaje i grube metalowe drzwi. Z wylotów przewodów wentylacyjnych dobywał się nieprzerwany strumień bąbelków.

– W tym skrzydle spotykają się z powierzchniakami – powiedział porucznik. – Tam właśnie zmierzamy.

– W górnej części Salkrikaltoru mieszka cała masa ludzi – odparła Bellis. – Nad wodą jest mnóstwo pomieszczeń, a raki potrafią przez wiele godzin wytrzymać na powierzchni. Dlaczego każą nam spotykać się z nimi tutaj?

– Z tego samego powodu, dla którego my przyjmujemy ambasadora Salkrikaltoru w salach recepcyjnych Parlamentu, panno Coldwine – wyjaśnił kapitan – mimo że nie jest to dla niego szczególnie wygodne. To ich miasto, my jesteśmy tutaj tylko gośćmi. To znaczy my.

Pokazał ruchem dłoni, że zbiór ten obejmuje tylko jego i porucznika Cumbershuma.

„Ty świński synu” – pomyślała z furią Bellis, której twarz zastygła w lodowatym wyrazie.

Pilot zmniejszył prędkość niemal do zera i przez duży, ciemny otwór wniknął do hermetycznego skrzydła budynku. Płynęli nad rakami, które machaniem odnóży skierowały ich do ślepo zakończonego betonowego korytarza. Olbrzymie wrota zamknęły się za nimi z dostojnym hukiem.

Z grubych rur oplatających ściany bluzgała potężna, nieprzerwana eksplozja baniek powietrza. Morze było wypychane na zewnątrz zaworami i śluzami. Poziom wody powoli opadał. Kapsuła stopniowo osiadła na betonowej posadzce i przechyliła się na bok. Woda zesła poniżej iluminatora, zostawiając na nim strużki i krople. Bellis miała przed oczyma powietrze. Po wypompowaniu morza pomieszczenie przedstawiało się mało okazale.

Kiedy pilot nareszcie odkręcił śruby, właz otworzył się, czemu towarzyszył litościwy, chłodny podmuch. Na betonie stały kałuże słonej wody. W pomieszczeniu dominował zapach listownic i ryb. Kiedy Bellis opuściła batysferę, oficerowie poprawili mundury.

Za nimi stał rak płci żeńskiej, z włócznią w garści – zbyt ozdobną i cienką, żeby służyła do celów innych niż ceremonialne, uznała Bellis – i napierśnikiem z jaskrawozielonego materiału, który nie był metalem. Wartowniczką skinęła głową w ramach pozdrowienia.

– Niech jej pani podziękuję za powitanie – powiedział kapitan, Bellis. – Niech ją pani poprosi o poinformowanie przewodniczącego rady o naszym przybyciu.

Bellis wypuściła powietrze i spróbowała zapanować nad tremą. Wzięła się w garść i przypomniała sobie słownictwo, gramatykę, składnię, wymowę i duszę rączego salkrikaltorskiego: wszystko, czego się nauczyła przez te tygodnie wytężonej pracy z Marikkatchem. Zmówiła w duchu szybką, cyniczną modlitwę.

Potem tak ustawiła aparat głosowy, aby dobiegły się z niego mlaskające szczeknięcia raków, słyszalne w powietrzu i wodzie.

Ku jej niezmiernej uldze raczka przytaknęła i odpowiedziała.

– Zostaniecie zaanonsowani – rzekła, pedantycznie poprawiając Bellis, która użyła niewłaściwego czasu gramatycznego. – Wasz pilot czeka tutaj. Wy idziecie ze mną.

Duże, szczelne bulaje wychodziły na ogród pełen krzykliwych, morskich roślin. Na ścianach wisały gobeliny ilustrujące wielkie chwile z dziejów Salkrikaltoru. Podłoga ułożona była z kamiennych płyt, całkiem suchych, podgrzewanych jakimś ukrytym źródłem ciepła. Ozdoby utrzymane były w ciemnej kolorystyce – gagat, czarny koral, czarna perła.

Trzy racze samce skłoniły głowy na powitanie ludzi. Jeden, trochę młodszy od swoich towarzyszy, stał nieco z tyłu, zupełnie jak Bellis.

Były blade. W porównaniu z ludźmi-rakami ze Smołoujścia spędzali znacznie większą część życia pod wodą, gdzie słońce nie mogło ich przebarwić. Górne części ciała raków odróżniały się od ludzkich tylko niewielką krezą skrzeli na szyi, ale w ich podmorskiej bladości było coś obcego.

Opancerzone zady raków wyglądały jak zapożyczone od gigantycznych homarów skalnych: olbrzymie skorupy. Ludzkie brzuchy wystawały nad miejscem, w którym powinny być oczy i czułki. Nawet na powietrzu, w obcym dla nich żywiole, mnogość odnóży funkcjonowała z misterną gracją. Przy poruszaniu się emitowały cichy dźwięk, delikatną perkusję chityny.

Swoje skorupiakowate odwłoki przyozdabiały rodzajem tatuażu, wycinając w pancerzu wzory i barwiąc je różnymi ekstraktami. Dwa dalsze raki olśniewały kalejdoskopem symboli po bokach.

Jeden z nich wysunął się do przodu i przemówił bardzo szybko w języku salkrikaltorskim.

– Witamy – powiedział młodszy rak, tłumacz, po chwili milczenia. Mówił w ragamoll z bardzo wyraźnym akcentem. – Cieszymy się, że przybyliście i rozmawiacie z nami.

Dyskusja powoli ruszyła z miejsca. Przewodniczący rady, król Skarakatchi, i radca, król Drood'adji, zgodnie z ceremoniałem dawali wyraz uprzejmemu zachwytowi, a Myzovic i Cumbershum odwdzięczali im się tym samym. W ogólnej opinii doskonale się stało, że się spotkali i że dwa wielkie miasta utrzymują ze sobą tak znakomite stosunki. Wyrażono pogląd, że handel jest zdrową metodą na zapewnienie wzajemnej życzliwości i tak dalej.

Potem rozmówcy imponująco gładko przeszli do omawiania konkretów. Przerzucili się na takie kwestie, jak liczba jabłek i śliwek, które „Terpsychoria” zostawi na Salkrikaltorze, oraz liczba butelek maści i trunków, które otrzyma w zamian.

Po niedługim czasie na wokandzie stanęły sprawy wagi państwowej, informacje, które musiały pochodzić z wyższych szczebli władzy w Nowym Crobuzon: kiedy i czy nastąpi wymiana ambasadorów, kiedy i czy zostaną podpisane traktaty handlowe z innymi państwami i czy takie posunięcia wpłyną na stosunki z Salkrikaltorem.

Bellis nie miała większych problemów z zamykaniem uszu na to, co tłumaczyła, z przepuszczaniem przez siebie tych informacji jak przez rurę. Nie z patriotyzmu czy lojalności wobec rządu Nowego Crobuzon – bo nie poczuwała się do tego – tylko ze znudzenia. Tajne negocjacje były niezrozumiałe, a strzępki informacji, które przechodziły przez Bellis, nieciekawe i nużące. Myślała o czymś zupełnie innym: o tonach wody u góry, zaintrygowana faktem, że nie czuje paniki.

Przez jakiś czas pracowała jak automat, prawie natychmiast zapominając to, co wyszło z jej ust.

Aż do momentu, gdy usłyszała, że głos kapitana się zmienił, i odruchowo nastawiła ucha.

– Mam jeszcze jedno pytanie, ekscelencjo – powiedział kapitan Myzovic i napił się wody ze szklanki. Bellis wykaszała i wywarczała dźwięki mowy salkrikaltorskiej. – W Qe Banssa polecono mi sprawdzić niesłyszana pogłoskę przekazaną mi przez przedstawiciela Nowego Crobuzon. Byłem przekonany, że nastąpiło jakieś nieporozumienie tak nedorzecznie to zabrzmiało. Niemniej jednak popłynąłem okrężną drogą wokół Fins, co było powodem naszego spóźnienia na to spotkanie. Ku mojej konsternacji i zatroskaniu okazało się, że pogłoski były prawdziwe. Podnoszę tę kwestię, ponieważ wiąże się ona z naszymi przyjaznymi stosunkami z Salkrikaltorem. – Głos kapitana stał się bardziej stanowczy. – Sprawa dotyczy naszych interesów na wodach Salkrikaltoru. Jak panom radcom doskonale wiadomo, na południowym krańcu Fins poczyniliśmy inwestycje o żywotnym dla nas znaczeniu i płacimy niemałe sumy za prawo do cumowania tam naszych platform, naszych wiertnic. – Bellis nigdy nie słyszała słowa „wiertnica” i bez zająknięcia powtórzyła je w ragamoll. Ludzie-raki najwyraźniej zrozumieli. Przekład wciąż był automatyczny i płynny, ale Bellis z zafascynowaniem słuchała każdego słowa kapitana. – Minęliśmy je po północy. Najpierw pierwszą, potem drugą. Wszystko było tak, jak trzeba, zarówno na platformie „Manekin”, jak i tej nazwanej „Gwiazda Odpadu”. Ale... panowie radcy... – Nachylił się, odstawił szklankę i wbił w rozmówców drapieżne spojrzenie. – Mam bardzo istotne pytanie. Gdzie jest trzecia platforma?

Raczy urzędnicy wytrzeszczyli oczy. Z powolną, komiczną symultanicznością spojrzeli po sobie, aby ponownie skierować wzrok na kapitana Myzovica.

– Przyznajemy, że jesteśmy... zakłopotani tym, co pan mówi, panie kapitanie.

Tłumacz cicho przełożył słowa swoich przywódców, niezmiennym głosem, ale na ułamek sekundy spotkał się z Bellis wzrokiem. Coś między nimi przeskoczyło, wspólne zdziwienie, poczucie koleżeństwa.

„W co zostaliśmy wplątani, bracie?” – pomyślała Bellis i zatęskniła za cigarillo.

– Nie posiadamy żadnej wiedzy o tym, o czym pan mówi – wyrzekł jej odpowiednik po drugiej stronie. – Platformy nas nie interesują, byle regularnie wpływał czynsz za cumowanie. Co się stało, Panie kapitanie?

– Stało się to – odparł kapitan Myzovic napiętym tonem – że nasza głębokowodna wiertnica, nasza ruchoma platforma, zniknęła. – Zaczekał, aż Bellis przekaże jego słowa, a potem zaczął jeszcze trochę, przedłużając milczenie. – Pozwolę sobie dodać, że zniknęła wraz ze switą pięciu pancerników, oficerami, załogą, naukowcami i geoempatą. Pierwsza wiadomość o tym, że platformy „Sorgo” nie ma już tam, gdzie być powinna, dotarła na Wyspę Tańczącego Ptaka trzy tygodnie temu. Załogi pozostałych platform pytały, dlaczego nie powiadomiono ich o rozkazie relokacji „Sorgo”. Ale taki rozkaz nie został wydany. – Kapitan odstawił szklankę i przeszył dwa raki wzrokiem. – „Sorgo” miała pozostać *in situ* przez co najmniej sześć kolejnych miesięcy. Powinna być tam, gdzie ją zakotwiczyliśmy. Panie przewodniczący, panie radco. Co się stało z naszą platformą?

– Nic na ten temat nie wiemy.

Tłumacz oddał w przekładzie miękkość tonu Skarakatchiego. Kapitan Myzovic splótł dłonie.

– Rzecz wydarzyła się ledwo sto mil morskich od tego miejsca, na wodach terytorialnych Salkrikaltoru, na obszarze morza regularnie patrolowanym przez waszą marynarkę wojenną i przez waszych myśliwych, a wy nic nie wiecie? – spytał opanowanym, lecz groźnym tonem. – Coś niezwykłego, panowie radcy. Nie umiecie powiedzieć, co się stało? Zatopił ją nienaturalny szkwał, zaatakowano ją i zniszczono? Chcecie powiedzieć, że nic nie słyszeliście? Coś takiego zdarzyło się tuż pod waszym nosem, a do was absolutnie nic nie dotarło?

Zapadła długa cisza. Raki nachyliły się ku sobie i odbyły szeptaną naradę.

– Dochodzą do nas różne pogłoski... – powiedział król Skarakatchi za pośrednictwem tłumacza. Drood’adji rzucił im obu ostre spojrzenie. – Ale o tym nic nie słyszeliśmy. Możemy zaofiarować naszym przyjaciółom z Nowego Crobuzon wsparcie i wyrazy współczucia, ale nie mamy dla nich żadnych informacji.

– Nie ukrywam, że jestem bardzo niezadowolony – powiedział kapitan Myzovic po cichej konsultacji z Cumbershumem. – Nowe Crobuzon nie może dłużej płacić za prawo do cumowania platformy, której już nie ma. Niniejszym obniżamy czynsz o jedną trzecią. I powiadomimy nasze władze o tym, że nie byliście w stanie udzielić nam pomocy. Położy się to cieniem na reputacji Salkrikaltoru jako strażnika naszych interesów. Mój rząd dokona pogłębionej analizy tej sytuacji. Być może trzeba będzie dokonać pewnych korekt w naszych wzajemnych stosunkach. Dziękuję za waszą gościnność. – Dopił wodę. – Zatrzymamy się na noc w porcie Salkrikaltor. Jutro rano podnosimy kotwicę.

– Chwileczkę, panie kapitanie, jeśli można. – Przewodniczący rady podniósł dłoń. Mruknął coś krótkiego do Drood’adjiego, który skinął głową i dostojnym krokiem wyszedł z sali. – Jest jeszcze jedna sprawa do omówienia.

Po powrocie Drood’adjiego Bellis wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Przyszedł z nim mężczyzna rasy ludzkiej.

Był tutaj tak bardzo nie na miejscu, że wprawilo ją to w osłupienie. Gapiła się na niego jak kretynka.

Mężczyzna, trochę młodszy od niej, miał szczerą i pogodną twarz. Przyszedł z dużym plecakiem i w czystym, choć znoszonym ubraniu. Uśmiechnął się do Bellis rozbajająco. Zmarszczyła brwi i zerwała kontakt wzrokowy.

– Kapitan Myzovic? – Mężczyzna mówił w ragamoll z akcentem crobuzońskim. – Porucznik Cumbershum? – Uściśnął im obu dłonie. – Niestety, nie znam pani nazwiska, łaskawa pani – powiedział, podając jej rękę.

– Panna Coldwine jest naszą tłumaczką – powiedział kapitan, zanim Bellis zdążyła odpowiedzieć. – Jeśli ma pan jakąś sprawę, proszę mówić ze mną. Kim pan jest?

Mężczyzna wyjął z kieszeni marynarki urzędowo wyglądający zwój.

– To powinno wszystko panu wyjaśnić, panie kapitanie. Kapitan uważnie przejrzał dokument. Po chwili podniósł ostro wzrok i lekceważąco pomachał zwojem.

– Co to za bzdury, co licha ciężkiego? – syknął tak nagle, aż Bellis drgnęła nerwowo.

Trącił zwojem Cumbershuma. – Sądzę, że sytuacja jest w miarę czytelna, panie kapitanie – powiedział mężczyzna. – Mam inne kopie, na wypadek, gdyby pański gniew wziął górę nad pańskim rozsądkiem. Obawiam się, że będę musiał przejąć dowodzenie pańskim statkiem.

Kapitan wydał z siebie szczenięcie śmiechu.

– Doprawdy? – Jego głos był niebezpiecznie napięty. – Tak się rzeczy mają, panie... – Pochylił się nad dokumentem trzymanym przez porucznika. – Panie Fennec? Doprawdy?

Bellis zauważyła, że Cumbershum patrzy na nowo przybyłego z zaskoczeniem i paniką. Wszedł kapitanowi w słowo.

– Panie kapitanie, niech wolno mi będzie zasugerować, abyśmy podziękowali naszym gospodarzom i pozwolili im wrócić do ich spraw.

Spojrzał znacząco w stronę raków. Tłumacz słuchał uważnie. Kapitan zawahał się i skinął zdawkowo głową.

– Panno Coldwine, proszę poinformować naszych gospodarzy, że ich gościnność przerosła nasze oczekiwania – rozkazał szorstko. – Niech im pani podziękuje, że poświęcili nam swój czas. Sami trafimy do wyjścia.

Kiedy Bellis mówiła, raki kłaniały się z wdziękiem. Dwaj radcy podeszli do przodu i podali im ręce na pożegnanie, ku niekamuflowanej furii kapitana. Wyszli tymi samymi drzwiami, którymi przybył Fennec.

– Panno Coldwine. – Kapitan pokazał na drzwi, które prowadziły z powrotem do batysfery. – Proszę zaczekać na zewnątrz. To są sprawy wagi państwowej.

Bellis ślęczała na korytarzu, przeklinając w duchu. Zza drzwi dobiegały ją bojowe ryki kapitana, ale choćby nie wiedzieć jak się wyteżęła, nie rozumiała ani słowa z tego, co było mówione.

– A niech to wszyscy diabli – mruknęła i wróciła do gołego, betonowego pomieszczenia, w którym kapsuła leżała na boku niby jakieś karykaturalne stworzenie błotne. Racza odźwierna czekała bezczynnie, mlaskając z cicha.

Pilot kapsuły dłużył w zębach. Czuć było od niego rybami.

Bellis oparła się o ścianę i czekała.

Po z górą dwudziestu minutach do pomieszczenia wpadł jak burza kapitan, a za nim Cumbershum, który rozpaczliwie usiłował go udobruchać.

– Kurwa, nie mów nic do mnie teraz, Cumbershum, dobra? – krzyczał kapitan. Oczy osłupiałej Bellis wyszły z orbit. – Trzymaj z dala ode mnie tego pierdolonego

Fenneca, bo inaczej nie ręczę za siebie – nawet jeśli legitymuje się urzędowym listem z pierdoloną pieczęcią.

Za plecami porucznika, w drzwiach, pokazała się głowa Fenneca.

Cumbershum pokazał Bellis i Fennecowi, żeby zajęli miejsca z tyłu batysfery – Wyglądał na wystraszona. Kiedy usiadł przed Bellis, obok kapitana, zobaczyła, że ucieka przed jego wzrokiem.

Po tym, jak morze zaczęło się wlewać przez ściany betonowego hangaru i silniki wprawiły kapsułę w wibrację, mężczyzna w podniszczonym, skórzanym płaszczu odwrócił się do Bellis z uśmiechem.

– Silas Fennec – szepnął i podał jej rękę.

Bellis uścisnęła ją po chwili wahania.

– Bellis – burknęła. – Coldwine.

Podczas jazdy na powierzchnię nikt się nie odzywał. Po wejściu na pokład „Terpsychorii” kapitan pognął do swojego biura.

– Panie Cumbershum – warknął – sprowadź pan tutaj pana Fenneca.

Silas Fennec zobaczył, że Bellis go obserwuje. Szarpnął głową w stronę pleców kapitana i wywinął oczami, po czym skinął pożegnalnie głową i potruczał w ślad za kapitanem.

Johannes zwiedzał miasto. Urażona Bellis patrzyła przez wodę na światła, które wysnuwały z mroku wieże. Przy burtach „Terpsychorii” nie było szalup i nie miał jej kto zawieźć na ląd. Kipiała frustracją. Nawet kwiląca siostra Meriope znalazła w sobie dość siły, żeby opuścić statek.

Bellis udała się na poszukiwania Cumbershuma. Nadzorował marynarzy latających uszkodzony żagiel.

– Panna Coldwine.

Obrzucił ją chłodnym spojrzeniem.

Panie poruczniku, chciałam spytać, czy mogłabym zdeponować korespondencję w należącym do Nowego Crobuzon magazynie, o którym mówił mi kapitan Myzovic. Mam coś pilnego do wysłania... Głos odmówił jej posłuszeństwa. Cumbershum pokręcił głową. Niemożliwe, panno Coldwine. Nie mam kogo z panią posłać, nie mam klucza i w żadnym wypadku nie zamierzam prosić teraz o niego kapitana... Życzy sobie pani, abym kontynuował?

Nieszczęśliwa Bellis zapanowała nad sobą siłą woli.

– Panie poruczniku – powiedziała pozbawionym emocji tonem. – Panie poruczniku, kapitan osobiście obiecał mi, że będę mogła zostawić list. To niezwykle ważne.

– Panno Coldwine, gdyby to ode mnie zależało, sam bym panią eskortował, ale nie mogę i obawiam się, że nie mam na ten temat nic więcej do powiedzenia. Chociaż z drugiej strony... – Rozejrzał się chyłkiem na boki i powtórzył: – Chociaż z drugiej strony... proszę nikomu o tym nie mówić, ale... magazyn nie będzie pani potrzebny. Więcej powiedzieć nie mogę. Za kilka godzin pani zrozumie. Kapitan zwołał spotkanie na jutro rano. Wszystko wyjaśni. Proszę mi uwierzyć, panno Coldwine. Nie musi pani zostawiać listu tutaj. Daję pani na to moje słowo.

„Co on sugeruje?” – pomyślała Bellis, jednocześnie spanikowana i uradowana. „Na wszystkich bogów, co on sugeruje?”

Jak większość skazańców Tanner Sack z zasady nie oddalał się zanadto od miejsca, które sobie zajął na pokładzie. Znajdowało się blisko sporadycznego światła z góry, jak również pożywienia, toteż było przedmiotem powszechnego pożądania.

Dwukrotnie ktoś usiłował je ukraść, przenosząc się na jego kawałek podłogi, kiedy on poszedł za potrzebą. W obu wypadkach Tanner zdołał bez walki przegonić intruza.

Godzinami siedział oparty o ścianę na jednym z końców klatki. Szekel nigdy nie musiał go szukać.

– Hej, Sack! – Tanner spał i upłynęło sporo czasu, zanim rozproszyły się chmury w jego głowie. Szekel uśmiechał się do niego zza krat. – Obudź się, Tanner. Chcę ci opowiedzieć o Salkrikaltorze.

– Cicho bądź, mały – burknął mężczyzna obok Tannera. – Próbuujemy spać.

– Odpiardol się, prze-tworzony kutasie – bluznął Szekel. – Chcesz dostać coś do jedzenia, jak następnym razem tu przyjdę?

Tanner zamachał pojednawczo rękami.

– Już dobrze, chłopie, już dobrze – powiedział, usiłując do końca się rozbudzić.

– Mów, co masz do powiedzenia, byle nie za głośno, co?

Szekel uśmiechnął się od ucha do ucha. Był pijany i uradowany.

– Widziałeś kiedyś Salkrikaltor, Tanner?

– Nie, chłopie. To mój pierwszy wyjazd z Nowego Crobuzon – odparł Tanner łagodnie.

Mówił cicho w nadziei, że Szekel będzie go w tym naśladował.

Chłopiec wywinął oczami i oparł się o ścianę.

– Wsiadasz do łódki i wiosłujesz koło budynków, które wychodzą prosto z morza. Miejscami są blisko siebie jak drzewa. Wysoko w górze są wielkie mosty i czasem widać, jak ktoś, człowiek albo rak, skacze do wody. Jak człowiek, to na główkę, jak rak, to z podwiniętymi wszystkimi odnóżami, a potem ląduje w wodzie i wypływa na powierzchnię albo znika w głębinie. Właśnie byłem w barze w dzielnicy Od Łądu. To... – Dla zilustrowania słów układał dłonie w powyginane kształty. – Wysiada się z łódki prosto przez duże drzwi do wielkiej sali z tancerkami. – Uśmiechnął się łobuzersko. – A potem do baru, kurwa, nie ma podłogi, tylko rampa, co kilometrami schodzi do morza. Wszystko podświetlone od dołu. Raki łążą po tej kładce w tę i w w tę, do baru albo z powrotem do domu, wynurzają się i zanurzają. – Szekel cały czas uśmiechał się szeroko i kręcił głową. – Jeden z naszych tak się uwalił, że sam ruszył w drogę... – podjął ze śmiechem. – Wywlekliśmy go przemoczonego z wody. Rany, Tanner... W życiu czegoś takiego nie widziałem. My tu gadamy, a oni kręcą się pod nami. W tej chwili. Zupełnie jak we śnie. Miasto siedzi na morzu, a pod spodem jest go więcej niż na wierzchu. Jakby było odbite w wodzie, ale oni mogą wejść w to odbicie. Chcę to zobaczyć, Tanner – oznajmił z przejęciem. – Na statku są kombinezony, hełmy i różne inne... Jak by się dało, to zaraz bym zszedł. Zobaczył wszystko tak, jak oni widzą... – Tanner zastanawiał się, co powiedzieć, ale wciąż był zmęczony. Potrząsnął głową i usiłował sobie przypomnieć te fragmenty *Kronik Crawfoota*, które mówiły o życiu w morzu. Zanim zdążył się odezwać, Szekel dźwignął się na nogi. – Lepiej pójdę. Kapitan wszędzie powywieszał ogłoszenia. Rano zebranie, ważne instrukcje, sru-tu-tu-tu. Lepiej się przekimam.

Zanim Tanner przypomniał sobie historię o Crawfoocie i skrytobójcach spod znaku konchy, Szekla już nie było.

Rozdział piąty

Następnego dnia, kiedy Bellis wstała, „Terpsychoria” znajdowała się na otwartym morzu.

Płynęli na wschód i było coraz cieplej, dlatego pewnie pasażerowie, którzy zebrali się celem wysłuchania kapitańskiego ogłoszenia, nie mieli już na sobie swoich

najgrubszych płaszczy. Załoga stała w cieniu bezanmasztu, a oficerowie przy schodkach na mostek.

Nowo przybyły, Silas Fennec, trzymał się z boku. Zobaczył, że Bellis patrzy na niego i uśmiechnął się do niej.

– Poznała go pani? – spytał Johannes Tearfly zza jej pleców. Pocierając podbródek, przyglądał się Fennecowi z zainteresowaniem. – Była pani z kapitanem pod wodą, prawda? Kiedy zjawił się Fennec?

Bellis wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

– Nie rozmawialiśmy.

– Czy może wiadomo pani, dlaczego zmieniliśmy trasę? – Bellis zmarszczyła brwi na znak, że nie rozumie pytania. Spojrzał na nią karcąco. – Słońce mamy po lewej stronie. Płyniemy zatem na południe. Czyli nie tam, gdzie powinniśmy.

Kiedy na schodkach pojawił się kapitan, pomruki na pokładzie umilkły. Podniósł do ust miedziany lejek.

– Dziękuję, że zebraliście się tak szybko. – Wiatr niósł blaszane echo jego słów. – Mam przykrą wiadomość. – Na chwilę odsunął megafon od ust i zdawał się układać w głowie wypowiedź. Kiedy do niej powrócił, brzmiał bojowo: – Z góry zaznaczam, że nie dopuszczam żadnych sporów ani polemik. To nie jest czas na dyskusje. Reaguję na nieprzewidziane okoliczności i nie pozwolę na kwestionowanie moich decyzji. Nie płyniemy do Nova Esperium. Wracamy do Zatoki Żelaznej.

Pośród pasażerów rozległy się odgłosy zbulwersowania i oburzenia, a pośród załogi pomruki osłupienia.

„Nie może tego zrobić!” – pomyślała Bellis. Ogarnęła ją panika, ale przyjęła nowinę bez zaskoczenia. Zdała sobie sprawę, że spodziewała się tego, odkąd Cumbershum zasugerował, że nie trzeba będzie zostawiać listu w magazynie. Uzmysłowała sobie również, że w głębi duszy cieszy się z perspektywy powrotu. Brutalnie zdławiła w sobie to uczucie. „To nie będzie dla mnie powrót do domu” – pomyślała z rozpaczą. „Muszę uciec. Co ja zrobię?”

– Dosyć! – krzyknął kapitan. – Jak mówię, ta decyzja nie przysłała mi łatwo. – Podniósł głos, aby wybić się ponad okrzyki protestu. – W ciągu tygodnia będziemy z powrotem w Zatoce Żelaznej, ale dla płacących pasażerów znalezione zostaną zastępcze rozwiązania. Być może będziecie musieli popłynąć innym statkiem. Mam świadomość, że wydłuży to wam podróż o miesiąc, ale mogę z tego powodu tylko wyrazić ubolewanie.

Jego ponura i wściekła mina nie miała w sobie nic ubolewającego.

– Nova Esperium będzie musiała przeżyć bez was jeszcze kilka tygodni. Pasażerowie do godziny trzeciej będą przebywali na pokładzie rufówki. Załoga zaczeka tutaj na nowe rozkazy.

Odstawił od ust tubę i ruszył na dół.

Przez chwilę był jedyną rzeczą, która się poruszała. Potem cisza pękła i wbrew poleceniu kapitana ruszyła ku niemu fala pasażerów, żądając zmiany decyzji. Rozbrzmiały kapitańskie warknięcia oburzenia.

Bellis wpatrywała się w Silasa Fenneca i usiłowała poukładać to wszystko w sensowną całość.

Fennec obserwował całe poruszenie z zastygłą twarzą. Zauważył, że Bellis patrzy na niego, na moment nawiązał z nią kontakt wzrokowy. Po czym powoli się oddalił.

Johannes Tearfly miał zdruzgotaną minę. Jego rozdziawione w rozpacz usta wyglądały niemal komicznie.

– Co on wyprawia? O czym on mówi? Nie mogę przez dwa kolejne tygodnie czekać w deszczu Zatoki Żelaznej! Dalijabber! I czemu płyniemy na południe? Znowu obrał dłuższą trasę wokół Fins. Co się dzieje?

– Szuka czegoś – powiedziała Bellis ściszym głosem. Wzięła go za łokieć i delikatnie odciągnęła od tłumu pasażerów. – Szkoda pańskiego pomstowania na kapitana. W życiu się do tego nie przyzna, ale sądzę, że nie ma wyboru.

Kapitan maszerował po pokładzie od relingu do relingu, lustrując lunetą horyzont. Oficerowie wykrzykiwali rozkazy do marynarzy w bocianich gniazdach. Bellis obserwowała osłupiałych i snujących hipotezy pasażerów.

– Co za skandal, żeby tak wrzeszczeć na pasażerów, którzy płacą za przejazd! – podsłuchiwała.

– Stałam pod biurkiem kapitana i usłyszałam, jak ktoś oskarża go o marnowanie czasu, o niewykonywanie rozkazów – relacjonowała zdumiona panna Cardomium. – O co tu chodzi?

„To Fennec” – pomyślała Bellis. „Jest zły, bo nie płyniemy prosto do Zatoki Żelaznej. Myzovic... chce spróbować znaleźć po drodze»Sorgo«”.

Morze za Fins było ciemniejsze, mocniejsze i zimne i nie rozbijało się o skały. Niebo wyglądało mizernie. Znajdowali się za Kanałem Bazyliszka. Był to kraniec Wezbranego Oceanu. Bellis z niesmakiem wpatrywała się w bezkresne, zielone fale. Zakręciło jej się w głowie. Wyobraziła sobie trzy, cztery, pięć tysięcy mil morskich słonej wody ciągnące się w kierunku wschodnim i zamknęła oczy. Wiatr smagał ją natarczywie.

Bellis zdała sobie sprawę, że znowu myśli o rzece, o powolnym odcinku wody, łączącym Nowe Crobuzon z morzem niby pępowina.

Kiedy Fennec na powrót się pojawił, szybkim krokiem zmiierzając na pokład rufówki, Bellis stanęła mu na drodze.

– Panie Fennec... Pojaśniał na jej widok.

– Bellis Coldwine. Mam nadzieję, że zmiana trasy zanadto pani nie zmartwiła.

Pokazała mu, żeby poszedł za nią poza zasięg słuchu kilku pasażerów i członków załogi, którzy byli w pobliżu. Stanęła w cieniu olbrzymiego komina.

– Niestety, jestem zmartwiona, panie Fennec – powiedziała. – Mam bardzo konkretne plany. To dla mnie poważny problem. Nie mam pojęcia, kiedy uda mi się znaleźć następnego statek, który będzie potrzebował moich usług. – Silas Fennec skłonił głowę w wyrazie współczucia, ale widać było po nim, że myśli o czym innym. – Ciekawa jestem, czy zechce pan uchylić rąbka tajemnicy wymuszonej zmiany planów, która tak mocno rozgniewała kapitana. – Zawahała się. – Powie mi pan, co się dzieje? Bardzo pana proszę.

– Nie mogę, panno Coldwine – odparł łagodnie Fennec, uniósłszy brwi.

– Panie Fennec – wycedziła chłodnym tonem – widział pan reakcję pasażerów. Ma pan świadomość, jacy są niezadowoleni. Nie sądzi pan, że należy mi się jakieś wytłumaczenie? To znaczy wszystkim się należy, ale mnie szczególnie. Wyobraża pan sobie, co by było, gdybym podzieliła się z innymi swoimi podejrzeniami, że winnym całego zamieszania jest tajemniczy przybysz...

Bellis mówiła szybko, chcąc go sprowokować albo zawstydzić, żeby powiedział jej prawdę, ale urwała na widok jego reakcji. Wyraz jego twarzy w ułamku sekundy uległ całkowitej przemianie.

Przyjazna, nieco chytra mina zhardziła. Uniósł do góry palec w uciszającym geście. Rozejrzał się szybko dokoła, a następnie powiedział do niej szczerym i poważnym tonem:

– Panno Coldwine, rozumiem pani złość, ale musi mnie pani wysłuchać. – Wyprężyła się, wytrzymując jego spojrzenie. – Musi pani wycofać swoją groźbę. Nie będę się odwoływał do pani kodeksu zawodowego ani do pani honoru – szepnął. – Przypuszczalnie zapatruje się pani na te pojęcia równie cynicznie jak ja. Odwołam się do pani dobra. Nie mam pojęcia, co pani sobie wydedukowała ani czego się pani domyśla, ale jedno pani powiem: to sprawa niezmiernej wagi, abym wrócił do Nowego Crobuzon szybko, bez przeszkód, bez hałasu. Ogromnie wiele od tego zależy, panno Coldwine – podjął po długiej chwili milczenia. – Nie może pani siać podejrzeń. Proszę panią, aby zachowała pani te sprawy dla siebie. Polegam na pani dyskrecji.

Nie groził jej. Jego mina i głos były surowe, lecz nie agresywne, godnie z jego własnymi słowami prosił ją, a nie usiłował zastraszyć. Mówił do niej jak współnik, powiernik.

Jego stanowczość zrobiła na niej wrażenie, ale i zbulwersowała ją. Ze zdziwieniem także zdała sobie sprawę, że spełni jego prośbę i zachowa dla siebie to, co usłyszała.

Zobaczył tę decyzję na jej twarzy i podziękował zdawkowym skinieniem głowy, aby po chwili zniknąć tak nagle, jak się pojawił.

Po powrocie do kajuty Bellis zastanawiała się nad swoimi przyszłymi krokami. Dłuższy pobyt w Smołujściu nie byłby dla niej bezpieczny. Musiała jak najszybciej wsiąść na jakiś statek. Na dnię jej żołądka załęgła się nadzieja, że dotrze do Nova Esperium, ale ogarnęło ją okrutne przeświadczenie, że nie może już sama wybierać celu podróży.

Nie była tym wstrząśnięta. Po prostu zdała sobie sprawę, racjonalnie i powoli, że będzie musiała pojechać tam, gdzie będzie się dało. Nie mogła zwlekać.

Sama, z dala od chmury złości i zamętu, która usadowiła się nad resztą statku, Bellis poczuła, że cała nadzieja z niej uszła. Czuła się sucha jak stary papier, miała wrażenie, że podmuchy wiatru na pokładzie podarłyby ją i rozrzuciły na różne strony.

Częściowa znajomość tajemnic kapitana nie dodawała jej otuchy Bellis jeszcze nigdy nie czuła się taka bezdomna.

Złamała pieczęć swego listu, westchnęła i zaczęła uzupełniać ostatnią stronę.

„Czaszela, 6 arory 1779, wieczór...

Ach, mój drogi, kto by pomyślał, że będę miała okazję dopisać kilka słów?”

Wlało to w jej serce trochę otuchy. Cierpki ton, którym się posługiwała, był pozą, ale pisanie pocieszało ją i nie przerwała nawet wtedy, kiedy siostra Meriope wróciła do kajuty i położyła się spać. Bellis pisała dalej w świetle maleńkiej lampki oliwnej, sugerując spiski i tajemnice, podczas gdy Wezbrany Ocean monotonnie wgrzyzał się w żelazo „Terpsychorii”.

Wychyleni nad relingiem bakburty marynarze gestykulowali i krzyczeli. Bellis podążyła za ich spojrzeniami i uzmysłowiła sobie, że patrzą do góry.

Sześćdziesiąt metrów powyżej, ponad wodami oceanu, wisiał na niebie nieruchomy mężczyzna.

Bellis sapnęła jak idiotka.

Mężczyzna wierzgnął nogami niby niemowlę i spojrzał w stronę statku. Wydawało się, że stoi w powietrzu. Był zapięty w uprząż, dyndał tuż pod nabitym do granic wytrzymałości balonem.

Pomanipulował przy pasku i coś, jakiś balast, spadło, wirując leniwie w dół. Mężczyzna z szarpnięciem poleciał dwanaście metrów do góry. Do wtóru nikłego szumu śmigła poruszał się po nieestetycznym krzywoliniowym torze. Przystąpił do długiego, niejednostajnego okrążania „Terpsychorii”.

– Wszyscy z powrotem na stanowiska, do ciężkiej cholery!

Załoga przezornie rozproszyła się na dźwięk głosu kapitana, który wymaszerował na główny pokład i spojrzał przez lunetę na krążącą pomału postać.

– Ejże tam! – ryknął przez tubę na awiatora. Głos niósł bardzo dobrze. Wydawało się, że nawet morze przycichło. – Tutaj kapitan Myzovic z „Terpsychorii”, parowca pływającego pod banderą marynarki handlowej Nowego Crobuzon. Rozkazuję panu, aby pan wylądował i wylegitymował się. W przeciwnym razie uznam pańskie działania za akt agresji. Mam pan minutę na rozpoczęcie lądowania, a potem będziemy się bronili.

– Na Jabbera – szepnął Johannes. – Widziała pani kiedyś coś takiego? Ten człowiek jest o wiele za daleko, żeby przyleciał z nad stałego lądu. To na pewno zwiadowca z jakiegoś statku ukrytego za horyzontem.

Mężczyzna nadal krążył nad nimi i przez kilka sekund słychać było tylko buczenie jego silnika.

– Piraci? – szepnęła w końcu Bellis.

– Niewykluczone. – Johannes wzruszył ramionami. – Ale korsarze nie porwaliby się na tak duży i tak dobrze uzbrojony statek jak nasz. Atakują mniejsze statki handlowe z drewnianymi kadłubami. A jeśli to najemnicy z Figh Vadiso czy skąd tam, to siły ogniowej może by im nawet starczyło, ale byłiby szaleńcami, gdyby narażali się na wojnę z Nowym Crobuzon. To nie są czasy Wojen Pirackich, na Jabbera!

– Dobra, to jest moje ostatnie ostrzeżenie! – krzyknął kapitan. Czterech muszkieterów ustawiło się przy relingu i wzięło na cel podniebnego gościa.

Odgłos jego silnika natychmiast uległ zmianie. Mężczyzna szarpnął całym ciałem i zaczął się nieskładnie oddalać od statku. Ognia! – krzyknął kapitan.

Muszkiety wypaliły, ale mężczyzna pomknął ukośnie do góry poza ich zasięg. Długo się zmniejszał, pomału znikając w oddali. W kierunku obranym przez aeronautę nic nie było widać.

– Do swojego statku ma co najmniej trzydzieści kilometrów – powiedział Johannes. – Będzie leciał godzinę albo i dłużej.

Kapitan wrzeszczał na załogę, grupował marynarzy w jednostki bojowe, uzbrajał ich i rozlokowywał przy burcie.

Cumbershum potruchtał do zebranych na pokładzie rufówki pasażerów z poleceniem, żeby udali się do swoich kajut lub do mesy. Przemawiał lapidarnym tonem.

– „Terpsychoria” z łatwością stawi czoło każdemu piratowi i ten zwiadowca bez problemu to sobie uzmysłowił, ale dopóki nie znajdziemy się za archipelagiem Fins, kapitan domaga się, aby nie przeszkadzali państwo załodze. Bardzo państwa proszę.

Bellis długo siedziała z listem w kieszeni. Paliła, piła wodę i herbatę w mesie, gdzie zajęta była połowa miejsc. Z początku atmosfera była napięta, ale po godzinie strach trochę się rozwiął. Zaczęła czytać.

Potem rozległy się stłumione okrzyki i tupot biegnących stóp. Bellis rozlała fusy i razem z innymi pasażerami rzuciła się do okna.

Mknęła ku nim garstka ciemnych kształtów.

Krępe, opancerzone stateczki zwiadowcze.

– Obłąkańcy! – syknął doktor Mollificatt. – Ileż ich jest, pięć? Nie mogą nas zaatakować!

Na pokładzie „Terpsychorii” rozległ się potężny huk i morze przed pierwszą łodzią eksplodowało ogromnym słupem pary i wody.

– To był strzał ostrzegawczy – powiedział ktoś. – Ale oni nie zawracają.

Małe jednostki parły dalej przez burzę piany, gnając samobójczo ku wielkiemu, żelaznemu statkowi. Na górze znowu było dużo biegania i wykrzykiwania komend.

– To będzie nieapetyczna scena – skrzywił się doktor Mollificatt.

W tej samej chwili „Terpsychoria” gwałtownie zboczyła z kursu do wtóru zgrzytu metalu o metal.

Tanner Sack padł ciężko na sąsiada. Buchnął jeden wielki okrzyk strachu. Kiedy prze-tworzeni zwalali się na siebie, pękały strupy i zakażone ciało. Wrzaski bólu rozdarły stęchłe powietrze.

Zamknięci w ciemnościach więźniowie poczuli, że statek nagle został wyrwany z korzeniami z morza.

– Co się dzieje? – krzyczeli w stronę kłap. – Co jest grane?

– Pomocy!

Potyając się, kopniakami i pazurami torowali sobie drogę ku kratom, miażdżąc się nawzajem o żelazne pręty. Panika robiła się coraz bardziej wrzaskliwa.

Tanner Sack krzyczał razem ze współwięźniami.

Nikt do nich nie przyszedł.

Statek zatoczył się jak po ciosie pięścią. Bellis stwierdziła, że rzuciło nią o okno. Pasażerowie rozpięchali się, krzyczeli, wrzeszczeli, dźwigali się na nogi z trwogą w oczach, roztrącali na boki porozrzucane krzesła i stołki.

– Na Jabbera, cóż to było? – krzyknął Johannes. W pobliżu ktoś się modlił.

Bellis wraz z innymi wygramoliła się na pokład. Opancerzone stateczki nadal pruły ku „Terpsychorii” od bakburty, ale za sterburty, gdzie nikt nie patrzył, nagle tuż koło statku wyskoczył ogromny, czarny okręt podwodny.

Miał ponad trzydzieści metrów długości, był najeżony rurami i wyposażony w segmentowane, metalowe płetwy. Ze szwów między płachtami blachy i spod uszczeltek bulajów wciąż sphywała morska woda.

Bellis wpatrywała się w to grozę budzące zjawisko. Marynarze i oficerowie przekrzykiwali się bezładnie, biegali od burty do burty, próbowali się przegrupować.

Dwa włazy w dachu okrętu podwodnego zaczęły się podnosić.

– Ej, wy! – krzyknął Cumbershum na pasażerów. – Natychmiast do środka!

Bellis cofnęła się na korytarz.

„Jabberze, dopomóż, och, drodzy bogowie, och, szlag i cholera” – myślała chaotycznym strumieniem. Rozglądała się panicznie dokoła i słyszała, jak pasażerowie ganiają bez sensu z miejsca w miejsce.

A potem przypominała sobie o spizarni, z której widać było pokład.

Z zewnątrz, zza cienkiej ściany, dolatywały do niej okrzyki i huk wystrzałów. Gorączkowo uprzątnęła z półki rzeczy zasłaniające okno i przysunęła oczy do brudnej szyby.

Kłęby dymu przebarwiły powietrze. Mężczyźni biegali w panice na wszystkie strony. Trochę dalej grupki ludzi toczyły bezładną i niemiłą dla oka bitwę.

Wśród agresorów byli głównie ludzie i kaktusy plus kilka groźnie wyglądających kobiet i trochę prze-tworzonych. Przywdziali ostentacyjnie cudaczne stroje: długie kolorowe płaszcze i pantalony, buty z długimi cholewami i wybijane ćwiekami pasy. Od piratów z pantomimy i starych rycin różnił ich stan czystości i wiek strojów, wyraz zastygłej determinacji na twarzach i organizacyjna sprawność abordażu.

Bellis widziała wszystko w aż bolesnych szczegółach. Odbierała walkę jak serię obrazów, heliotypów wyświetlanych jeden po drugim w ciemnościach. Dźwięk – trzeszczący hałas w tylnej części jej czaszki – sprawiał wrażenie niezwiązanego z tym, co widziała.

Zobaczyła, że kapitan i Cumbershum wydają rozkazy z przedniego kasztelu, strzelają z pistoletów i gorączkowo je ładują. Odziani na granatowo marynarze walczyli z niefachową desperacją. Podchorąży-kaktus odrzucił złamaną klingę i powalił jednego z korsarzy potężnym ciosem pięści, po czym ryknął z bólu, kiedy kamrat jego ofiary chlasnął go w ramię, z którego bryznęła żywica. Grupa przerażonych marynarzy zaatakowała piratów bagnietami, zawahała się i została wzięta w dwa ognie przez dwóch prze-tworzonych z wielkimi garłaczami. Młodzi marynarze padli z wrzaskiem na ziemię pośród deszczu poszarpanego ciała i odłamków.

Między masztami Bellis ujrzała trzy lub cztery wiszące postacie, podpięte do balonów jak pierwszy zwiadowca, latali nisko nad walczącymi i palili z flint.

Pokład zabarwił się posoką.

Wrzaski narastały. Bellis zaczęła dygotać. Zagryzła wargę. W scenie, którą miała przed oczyma, było coś nierzeczywistego. Przemoc była groteskowa i paskudna, ale w szeroko rozwartych oczach marynarzy Bellis widziała osłupienie, niemożność uwierzenia, że to dzieje się naprawdę.

Piraci byli uzbrojeni w ciężkie bułaty i krótkie pistolety. W pstrych strojach wyglądali jak uliczny motłoch, ale byli szybcy i zdyscyplinowani, walczyli jak wojsko.

– Psiakrew! – krzyknął kapitan Myzovic, po czym podniósł wzrok i wypalił. Jeden z wiszących baloniarzy szarpnął całym ciałem, głowa odskoczyła mu do tyłu i poleciał łuk krwi. Ręce zacisnęły się spastycznie na pasku, uwalniając balast, który kojarzył się z ciężkimi odchodami. Zwłoki szybkim ruchem wirowym pofrunęły ku chmurom. Kapitan gestykulował jak szaleniec. – Przegrupować szyki, do kurwy nędzy! Zdjąć tego drania na pokładzie rufówki!

Bellis przekręciła głowę, ale cel kapitana znajdował się poza polem jej widzenia. Słyszała jednak, jak osobnik ten wydaje lakoniczne rozkazy. Agresorzy zaprzestali walk jeden na jeden, aby sformować zwarte oddziały, wziąć na cel oficerów i spróbować się przebić przez linię marynarzy, którzy zastawiali im drogę na mostek.

– Poddajcie się! – krzyknął głos zlokalizowany w pobliżu jej okna. – Poddajcie się, a skończy się ta rzeź!

– Wyprawcie drania na tamten świat! – krzyknął kapitan do swojej załogi.

Pięciu czy sześciu marynarzy przebiegło koło okna Bellis z dobytymi szablami i pistoletami. Po chwili ciszy rozległ się łoskot i cichy trzask.

– Och, Jabberze...

Krzyk był histeryczny, ale nagle przerwał go odgłos torsji. Gejzer wrzasków wystrzelił pod niebo.

Dwaj spośród marynarzy zatoczyli się do tyłu, ponownie pojawiając się za oknem Bellis, która krzyknęła zmartwiła ze zgrozy. Padli na pokład w wielkich kałużach krwi i szybko oddali ducha. Ich ubrania i ciała były niewiarygodnie podziurawione, jakby dopadły ich setki wrogów. Trudno byłoby znaleźć na nich dziesięć centymetrów kwadratowych skóry bez głębokiej jamy, a z głów została miazga mięsa i kości.

Bellis wpatrywała się w ten widok jak urzeczona. Dygotała z rękami na ustach. Rany miały w sobie coś głęboko nienaturalnego. Ich status ontologiczny był nieokreślony, a ich substancjalność równie wątpliwa jak substancjalność mar sennych. Ale krew, która się pod nimi zebrała, była całkiem rzeczywista, a obaj mężczyźni naprawdę nie żyli.

Wstrząśnięty kapitan patrzył wytrzeszczonymi oczami. Bellis słyszała tysiące nakładających się na siebie szeptów powietrza. Rozległy się dwa bełkotliwe okrzyki i mokre tąpnięcia padających ciał.

Przed oknem Bellis przebiegł ostatni z marynarzy, wycofywał się, wrzeszcząc w przerażeniu. Rzucona rusznica skałkowa trzasnęła go solidnie w tył głowy. Nieborak padł na kolana.

– Ty przekłeta przez bogów świni! – krzyczał kapitan Myzovic oburzonym i przesyconym strachem głosem. – Ty miłujący demony draniu!

Nie zwracając na niego uwagi, odziany na szaro mężczyzna powoli wszedł w pole widzenia Bellis. Nie był wysoki. Kroczył z wystudiowanym dostojeństwem, tak poruszając swoim muskularnym ciałem, jakby należało do znacznie szczuplejszego człowieka. Miał na sobie skózaną zbroję, ciemnoszary rynsztunek wyposażony w dziesiątki kieszeni, pasków i kabur. I poznaczony strugami krwi. Bellis nie widziała twarzy mężczyzny.

Podszedł do leżącego na pokładzie człowieka, trzymając w ręku miecz, z którego ściekała gęsta krew.

– Poddaj się – powiedział cicho do przeciwnika, który spojrzał na niego ze zgrozą, chlipnął i zaczął idiotycznie macać wokół siebie za nożem. Odziany na szaro mężczyzna wykonał taneczny piruet na ugiętych nogach i z wysokości potraktował biedaka podeszwą buta w głowę. Krwawiący marynarz legł jak długi, nieprzytomny albo martwy. Po wylądowaniu szary rycerz natychmiast znieruchomiał, jakby w ogóle nie wykonał żadnego manewru. – Poddajcie się! – krzyknął bardzo głośno i załoga „Terpsychorii” do reszty straciła ducha walki. Wiedzieli, że nie mają szans. Ciała leżały pokotem, a konający wrzeszczeli o pomoc. Większość nieboszczyków miała na sobie granatowe stroje marynarki handlowej Nowego Crobuzon. Co chwila z okrętu podwodnego i opancerzonych holowników schodzili kolejni piraci. Otoczyli załogę „Terpsychorii”, opasali ich kordonem na pokładzie głównym. – Poddajcie się! – krzyknął ponownie szary korsarz z nieznanym akcentem. – Rzućcie broń, a oszczędzimy was. Podnieście na nas rękę, a będziemy was zabijali, dopóki się nie opamiętacie.

– Bogowie, pieprzcie to i rozwalcie... – krzyknął kapitan Myzovic, ale dowódca piratów wszedł mu w słowo.

– Ilu swoich ludzi skaże pan na śmierć, panie kapitanie? – spytał aktorską emisją głosu. – Niech pan im rozkaże rzucić broń, żeby nie czuli się jak dezserterzy. Albo niech im pan rozkaże umierać. – Wyjął z kieszeni kawałek grubego filcu i zaczął wycierać brzeszczot miecza. – Decyzja należy do pana, kapitanie.

Myzovic i Cumbershum nachylili się ku sobie i po krótkiej wymianie zdań kapitan spojrział na swoich osłupiałych, przerażonych ludzi i wyrzucił ramiona do góry.

– Rzućcie broń! – krzyknął. Dopiero po chwili muszkiety, pistolety i kordy z głuchym łoskotem uderzyły o pokład. – Mają zbyt dużą przewagę!

– Proszę nie ruszać się z miejsca, panie kapitanie! – polecił szary korsarz. – Ja przyjdę do pana.

Powiedział coś szybko w języku salt do piratów, którzy stali koło niego przed oknem spiżarki. Bellis wyłowiła słowo „pasażerowie” i adrenalina napłynęła jej do głowy.

Skulona bez ruchu słuchała wrzasków pasażerów wywlekanych przez piratów na pokład.

Usłyszała głos Johannesesa Tearflya, łzawe zawodzenia siostry Meriope, wystraszoną pompatyczność doktora Mollificatta. Rozległ się huk wystrzału, a potem okrzyk przerażenia.

Spędzani na główny pokład pasażerowie lamentowali nad swoim losem.

Piraci gruntownie podeszli do swojego zadania. Bellis słyszała trzaskanie drzwi przeszukiwanych kajut. Podjęła desperacką próbę zaklinowania drzwi, ale mężczyzna na korytarzu bez trudu otworzył je ramieniem. Na widok srogiego, zbryzganego krwią pirata, na widok jego maczety Bellis odechciało się stawiania oporu. Rzuciła na podłogę butelkę, w którą się uzbroiła, i pozwoliła wywlec się ze spiżarni.

Rannych i nieszczęśliwych członków załogi, w liczbie prawie stu, ustawiono w szyku na jednym końcu pokładu. Poległych wyrzucono za burtę. Pasażerów spędzono razem trochę dalej. Niektórzy, a wśród nich Johannes, mieli rozkrwawione nosy i byli posiniaczeni.

Pośród cizby pasażerów, w niczym się nie wyróżniającym, brązowym stroju, z równie przybitą i znękaną miną jak inni, stał Silas Fennec. – Spuścił głowę, uciekając przed ukradkowymi spojrzeciami Bellis.

Na środku pokładu stał śmierdzący fracht „Terpsychorii”: dziesiątki przetworzonych, których wprowadzono na górę. Byli zupełnie zdezorientowani i odwykłymi od światła dziennego oczami patrzyli na piratów nic nie rozumiejącym wzrokiem.

Zachwyceni intruzi śmigali po takielunku i zamiatali za burtę pozostałości po bitwie. Otoczyli śródokręcie i wycelowali w jeńców strzelby i łuki.

Wprowadzenie na górę wszystkich zastrachanych, osłupiałych przetworzonych zajęło sporo czasu. Przy przeszukiwaniu cuchnących ładowni znaleziono kilka zwłok. Spuszczono je do morza, gdzie metalowe kończyny i akcesoria szybko pociągnęły je w ciemną toń.

Ogromny okręt podwodny nadal kolebał się po królewsku na wodzie niedaleko „Terpsychorii”. Rozkołys obu spiętych ze sobą linami jednostek był zsynchronizowany.

Mężczyzna w szarym stroju, przywódca piratów, pomału obrócił się ku jeńcom. Bellis po raz pierwszy zobaczyła jego twarz.

Miał niecałe czterdzieści lat, jak oceniała, krótko obcięte, szpakowate włosy i grubo ciosane rysy. Głęboko osadzone oczy były melancholijne, usta naprężone i smutne.

Bellis stała obok Johannesesa, blisko milczących oficerów. Korsarz w skórzanym pancerzu podszedł do kapitana. Mijając pasażerów, przez dwa albo trzy kroki patrzył na Johannesesa.

– A więc „Terpsychoria” jest wasza – powiedział kapitan Myzovic na tyle głośno, że wiele osób go usłyszało. – Zgaduję, że chcecie okupu. Powiem panu, że niezależnie od tego, jaką siłę pan reprezentuje, popełniła ona poważny błąd. Nowe Crobuzon nie puści tego płazem.

Dowódca piratów ani drgnął.

– Nie, panie kapitanie – odparł. Teraz, kiedy nie musiał przekrzykiwać bitewnej wrzawy, jego głos był delikatny, niemal kobiecy. Podobnie jak twarz, która zdawała się naznaczona jakąś tragedią. – Nie chcemy okupu. Siła, którą reprezentuję, ma gdzieś Nowe Crobuzon, panie kapitanie. – Spojrzał Myzovicowi prosto w oczy, aby powoli i z powagą pokręcić głową. Bez patrzenia wyciągnął rękę za siebie i jeden z jego ludzi podał mu duży pistolet skałkowy. Korsarz fachowo zmrużył oczy i sprawdził panewkę. – Pańscy ludzie są dzielni, ale nie są żołnierzami – powiedział, unosząc broń. – Będzie pan patrzył w inną stronę, panie kapitanie?

Dopiero po paru sekundach ciszy Bellis poczuła szarpnięcie żołądka i nogi się pod nią ugięły, kiedy dotarł do niej sens słów pirata.

Kapitana i innych olśnienie to naszło w tej samej chwili. Rozległy się stłumione okrzyki, a Myzovic otworzył szerzej oczy. Gniew i zgroza toczyły ze sobą paskudną walkę wśród rysów jego twarzy. Usta wykrzywiły się, otworzyły i zamknęły.

– Nie, nie będę patrzył w inną stronę! – krzyknął wreszcie. Bellis zaparło dech, kiedy usłyszała ten przesycony histerią i szokiem głos – Ani mi się śni, idź pan do diabła i pierdolę pana. Jest pan pierdolonym tchórzem, zasranym gnojem...

Szary korsarz skinął głową.

– Jak pan sobie życzy – powiedział.

Podniósł pistolet i strzelił kapitanowi Myzovicowi w oko.

Rozległo się krótkie trzaśnięcie, trysnęła krew, kapitan szarpnął się spazmatycznie do tyłu, jego zmasakrowana twarz wyglądała groteskowo i głupio.

Kiedy uderzył o deski pokładu, buchnął chór wrzasków i sapnięć niedowierzania. Johannes zachwiał się, emitując gardłowe dźwięki. Bellis dostała torsji i przełknęła ślinę. Jej oddech znacznie przyspieszył, kiedy wpatrywała się w trupa podrygującego w kałuży posoki. Schyliła się z obawy, że zwymiotuje.

Gdzieś za jej plecami siostra Meriope zająkliwym głosem zaczęła odmawiać lament do Dariocha.

Morderca oddał pistolet i otrzymał nowy, świeżo podsypany prochem i naładowany. Ponownie odwrócił się w stronę oficerów.

– O Jaberze – westchnął Cumbershum drżącym głosem. Oderwał wzrok od ciała kapitana, aby przenieść go na pirata. – O Jaberze kochany – wyskomlił i zamknął oczy.

Szary korsarz strzelił mu w skroń.

– Bogowie! – krzyknął ktoś histerycznie.

Oficerowie wrzeszczeli, rozglądali się panicznie wokół siebie, próbowali się cofnąć. Grzmot tych dwóch wystrzałów zdawał się krążyć nad pokładem niby dźwiękowe upiory.

Ludzie krzyczeli. Niektórzy oficerowie padli błagalnie na kolana. Bellis nie mogła złapać oddechu.

Szary rycerz szybko pokonał drabinkę prowadzącą na przedni kasztel i krzyknął przez złożone w tubę dłonie:

– Zabijanie skończone! – Zaczekał, aż okrzyki zgrozy ucichną.

– Zabijanie skończone – powtórzył. – Tyle nam wystarczy. Słyszycie? Już koniec. – Rozłożył ramiona, bo znowu wszczął się harmider, tym razem osłupienia i nieufnej ulgi. – Posłuchajcie mnie! – krzyknął. – Mam wam coś do oznajmienia. Wy,

granatowi, członkowie marynarki handlowej Nowego Crobuzon. Wasze dni w marynarce dobiegły kresu. Wy, porucznicy i podporucznicy, musicie na nowo przemyśleć swoją sytuację życiową. Tam, gdzie się wybieramy, nie ma miejsca dla ludzi, którzy oddają cześć patentom oficerskim wydawanym przez Nowe Crobuzon. – Z desperacką, pełną strachu ukradkowością Bellis rzuciła okiem na Fenneca, który z wściekłym wytężeniem wpatrywał się w swoje splecione razem dłonie. – Wy... – podjął dowódca piratów, pokazując na mężczyzn i kobiety z ładowni.

– Nie jesteście już prze-tworzonymi, nie jesteście już niewolnikami. Wy... – Spojrzał na pasażerów. – Wasze plany na nowe życie muszą ulec zmianie. – Omiótł wzrokiem ogłupiałych jeńców. Powolne kanaliki krwi dopływały ku nim od zwłok kapitana i pierwszego oficera.

– Popłyniecie ze mną – powiedział ciszej, ale dostatecznie głośno, żeby wszyscy usłyszeli. – Do nowego miasta.

Interludium I. GDZIE INDZIEJ

Niewyraźne obiekty suną przez wodę, przytrzymując się kamieni.

Poruszają się nocą przez morze gęste od ciemności, przez pola uprawne listownie i innych wodorostów zdążają ku, rozpraszającym półmrok płyczn, rączym wioskom. Bezgłośnie mkną przez wodę do kraali.

Uwięzione foki zauważają je i kosztują wysyłane przez nie prądy zniekształconej wody, po czym w napadzie paniki skręcają się i rzucają o plecione ściany i dachy swoich klatek. Intruzi zaglądają niby ciekawskie chochliki przez wydłubane otwory okienne szalásów, budząc trwogę w sercach mieszkańców, którzy wybiegają na segmentowanych nogach, panicznie wymachując widłami i włóczniami.

Raczy rolnicy zostają szybko pokonani, wzięci do niewoli i obezwładnieni, a potem się ich przesłuchuje. Ogłupieni taumaturgią, przekonani użyciem siły, raki mruczą pod nosem odpowiedzi na wyszczone pytania.

Z przypadkowych okruczeń informacji gibcy myśliwi dowiadują się tego, co chcieli wiedzieć.

Słyszą o ostrzelanych batyskafach z Salkrikaltoru, które krążą pośród miasteczek Kanału Bazyliszka. Patrolują tysiące mil morskich, strzegą mgławicowych granic wpływów raczej republiki. Wypatrują intruzów.

Myśliwi kłócą się, głowią i obradują.

„Wiemy, skąd przybył”.

„Ale może nie wraca”.

Nie ma pewności. Do ojczyzny czy przeciwnie – na wschód?

Trop rozwidla się i zostaje tylko jedna możliwość. Myśliwi rozdają się na dwa kontyngenty. Jeden kieruje się na południowy-zachód ku płytkiej wodzie, ku Zatoce Żelaznej, Smołoujściu i niemrawej, rozwodnionej solance ujścia Wielkiej Smoły, aby patrzeć i słuchać, czekać na słowo, szpiegować i ukrywać się, poszukiwać słowa.

Oddalają się z trzepotem przemieszczanej wody.

Druga grupa, z mniej określonym zadaniem, zmierza w drugą stronę, i w dół.

Płyną powoli, ku miażdżącym głębinom.

Interludium II. BELLIS COLDWINE

Och, och, dokąd płyniemy?

Zamknięci w kajutach i przesłuchiwanie przez istoty o wyzutyk z emocji twarzach, jakby ci mordercy, ci piraci byli ankieterami od spisu powszechnego,

urzędnikami albo... „Imię i nazwisko?” - pytają. „Zawód?”. Potem chcą poznać więcej. „Powód, dla którego płynę do Nova Esperium?”. A ja myślę, że zaraz roześmieję się im w twarz.

Dokąd, kurczę, płyniemy?

Robią długie notatki, rozpisują mnie na drukowanych formularzach, po czym przenoszą uwagę na siostrę Meriope, aby poddać ją tej samej procedurze. Tak samo traktują lingwistkę i zakonnicę, kiwając nieznacznie głowami i wyjaśniając niezrozumiałe kwestie.

Dlaczego nie zabierają nam rzeczy? Dlaczego nie zerwą ze mnie biżuterii, nie zgwałcą mnie, nie przeszyją mieczem? Broń, pieniądze i książki trzeba oddać, mówią, ale inne przedmioty osobiste możemy zatrzymać. Przeszukują - bez większego zaangażowania - nasze morskie kufry, zabierają sztylety, banknoty i monografie, brudząc mi przy okazji ubranie, ale wszystko inne zostawiają. Zostawiają listy, buty, obrazki i wszystkie nagromadzone przez lata bzdety.

Walczę o książki. „Nie mogę wam ich oddać” - mówię. „Pozwólcie mi je zatrzymać, są moje, niektóre sama napisałam”. Pozwalają mi zatrzymać pusty notes, ale zabierają wszystko, co drukowane, opowiadania, podręczniki, długą powieść. Bez wysiłku. Nie robi na nich żadnego wrażenia, kiedy im pokazuję, że B. Coldwine to ja. Odbierają mi coldwajny.

Nie wiem dlaczego. Nie umiem wyłowić żadnego sensu w tym, co robią.

Siostra Meriope siedzi i modli się, mamrocze swoje święte sury, a ja jestem zaskoczona i ucieszona, że nie płacze.

Trzymają nas w kajutach i od czasu do czasu przynoszą herbatę i jedzenie, ani niemili, ani sympatyczni, obojętni jak pracownicy zoo. „Chcę stąd wyjść” - mówię im. Łomoczę do drzwi i krzyczę, że muszę iść do klozetu. Wychylam głowę za framugę i wartownik na moim korytarzu ryczy na mnie, żebym wracała do środka, po czym przynosi mi wiadro, w które siostra Meriope wpatruje się z udręczeniem. Mnie jest wszystko jedno, kłamałam, chciałam znaleźć Johannesą albo Fenneca. Chcę sprawdzić, co się dzieje gdzie indziej.

Zewsząd tupot stóp i urywki rozmowy w języku, który prawie rozumiem. Północ-północny wschód, słyszę, i po drugiej stronie pokładu i - N igdy? Nie umiem powiedzieć i - gdzie się podziała Jego Opiekuńczość? A potem słyszę kolejne zdania, których sens nie jest dla mnie jasny.

Przez bulaj, tuż przy moim miejscu w kabinie, widzę tylko wodny pył, ciemności w górze i w dole. Bez przerwy palę.

Kiedy kończą mi się cigarillos, kładę się i zdaję sobie sprawę, że nie czekam na śmierć, nie wierzę, że umrę, czekam na coś innego.

Dotrzeć. Zrozumieć. Znaleźć się u celu podróży.

Patrząc na obraz olejny malowany przez zachód słońca, z pewnym zaskoczeniem uzmysławiam sobie, że zamykam oczy, jestem potwornie zmęczona, i na Diabli Ogon, naprawdę? Naprawdę będę spała? Tak, będę,

śpię

niespokojnie, ale długo, pod powiekami zaspanych oczu miga religijne kwilenie Meriope, czasem się otwierają, ale nadal

śpią

aż w przyptywie paniki siadam i spoglądam przez bulaj na jaśniejące morze.

Nadchodzi ranek. Przegapiłam noc, schowana w mojej śniącej głowie.

Ubieram się starannie. Czyszczę buty z długimi cholewami. Jak zawsze nakładam makijaż i spinam z tyłu włosy.

Jest w pół do siódmej, kiedy człowiek-kaktus puka do drzwi i przynosi nam owsiankę. „Jesteśmy już prawie na miejscu” - mówi. „Jak dołyniemy, udacie się za innymi pasażerami, zaczekacie, aż będzie wywołane wasze nazwisko, pójdziecie tam, gdzie wam każą i...”. Ale ja się gubię, gubię się, co dalej? Czy wtedy zrozumiemy? Czy będziemy wiedzieli, co jest grane?

Dokąd płyniemy?

Pakuje swoje rzeczy i przygotowuję się do zejścia ze statku - gdzieś, gdzieś. Myślę o Fennecu. Co robi i gdzie jest? Był taki spokojny, kiedy zabito kapitana... i trysnęła krew. Nie chciałby, aby wiadano, że otrzymał zlecenie od rządu, że może dowodzić statkami, zmieniać rozkład rejsów oceanicznych.

Trzymam go w garści.

Na zewnątrz. Na szybki, rzeński wiatr, który nęka mnie uporczywie.

Oczy mam jak jaskiniowiec. Nauczyłam się patrzeć w ponurym, brązowym świetle kajuty i ten poranek oszałamia mnie. Oczy mi łzawią, mrugam i mrugam i w górze morskie chmury uciekają ode mnie. Zewsząd słyszę miękki aplauz fal. Czuję w powietrzu smak soli.

Wokół mnie są inni, Mol lificatt, Cardomium numer jeden i Cardomium numer dwa. Murrigan, Etenry, Cohl, Gimgewry, Yoreling, Tearfly, mój Johannes szybko mnie zauważa i rzuca mi przelotny uśmiech, po czym pochłania go tłum. Jest gdzieś Fennec, głowa nadal spuszczone, w tym świetle wszyscy wyglądamy tak, jakbyśmy byli z gruboziarnistego papieru, z podłejszej materii niż reszta dnia, który ignoruje nas z bezczelnością zakichanego dziecka.

Chcę zawołać do Johannaesa, ale porywa go prąd ludzi, a ja bez końca patrzę oczami, które znowu widzą wyraźnie.

Zmagam się z moim kufrem, potykam się, kuśtykam przez cały pokład. Czuję się zmaltrętowana przez światło i powietrze, po raz drugi podnoszę wzrok i widzę, że ptaki kreślą w powietrzu łuki. Brnę przed siebie, nie odrywając od nich oczu, zmierzają beładnie ku horyzontowi, widzę maszty na trasie ich lotu. Unikałam tego. Specjalnie nie patrzyłam w bok, nie sprawdzałam, gdzie jesteśmy. Cel podróży czaił się w kąciuku oka, ale teraz, kiedy obserwuję mewy, wskakuje w moje pole widzenia.

Jest wszędzie. Jak mogłam nie widzieć?

Ktoś wywołuje nazwiska, dzieli nas na grupy i wydaje skomplikowane polecenia, ale ja nie słucham, bo rozglądam się po...

Drogi Jabberze

Wywołują moje nazwisko i znowu jestem koło Johannaesa, ale nie patrzę na niego, bo

oglądam

maszt za masztem i żagiel i wieża i

dalej i dalej

Jesteśmy tutaj

*koło tego lasu
na Diabli Ogon i Jabberze i kurwa
złudzenie, złudzenie optyczne
miasto, które porusza się i marszczy i bez końca kolebie z boku na bok
„Panno Coldwine” - mówi ktoś chłodno, aleja nie mogę, nie teraz, kiedy patrzę,
zestawiłam kufer na ziemię i patrzę i ktoś ściska Johannesowi dłoń, a on patrzy
osłupiały na tę osobę.
„Doktorze Tearfly, serdecznie witamy, to dla nas wielki zaszczyt” ale ja nie
słucham, bo jesteśmy na miejscu, dotarliśmy, i spójrz na to, spójrz na to och, chyba
to zrobię, mogłabym się zaśmiać albo puścić pawia, żołądek się we mnie przewraca,
spójrz, jesteśmy na miejscu.
Jesteśmy na miejscu.*

CZĘŚĆ DRUGA. SALT

Rozdział szósty

Pod wodą były lampy. Zielone, szare, zimnobiałe i bursztynowe kule w raczej stylistyce, wyznaczające spód miasta.

Światło kłuło zawieszono w wodzie cząstki. Pochodziło nie tylko z tysiąca wiązek iluminacji, ale także z korytarzy wczesnego światła słonecznego, które ukośnie wybijało tunele od fal do głębin. Ryby i kryl okręzały je i przepływały przez nie bezwiednie.

Od dołu miasto było archipelagiem cieni, nieregularnym, rozrośniętym i niesamowicie skomplikowanym. Przemieszczały się w nim prądy. Kile przebiegały we wszystkich możliwych kierunkach. Łańcuchy kotwiczne snuły się jak włosy, urwane i zapomniane. Z otworów miasta buchały odpadki, fekalia i cząstki stałe, nafta przeciskała się z trudem i szła do góry, aby utworzyć niewielkie plamy na powierzchni. Nieprzerwany wypływ śmieci paskudził wodę i był przez nią połykany.

Pod miastem ciągnęło się kilkaset metrów szybko rzadniejącego światła, a poniżej kilometry podwodnych ciemności.

Spód Armady kipiał życiem.

Ryby przemykały przez jej architekturę. Istoty podobne do traszek rozumnie i z poczuciem celu poruszały się między różnymi kryjówkami – Klatki z drutu tkwiły w jamach albo wisiały na łańcuchach, tłoczne od spasionych dorszy i tuńczyków. Mieszkania raków przypominały koralowe polipy.

Za obrzeżami miasta i pod nim, na kresach światła, wielkie, półdziki wyrmeny kręciły w wodzie korkociągi i żerowały. Sztwne cienie batyskafów buczały. Delfin stale wydawał z siebie czujne dźwięki. Ruchoma ekologia i polityka była uwiązana do zwapniałej podstawy miasta.

Dookolne morze rezonowało odczuwalnym fizycznie hałasem: mlaskami w wyraźnym staccato, wibracjami huczącego metalu, połykanym dźwiękiem wzajemnego hydrotarcia prądów. Szczęknięciami, które rozpraszały się po osiągnięciu powierzchni.

Wśród tych, którzy unosili się lub przytrzymywali czegoś w wodzie, były dziesiątki mężczyzn i kobiet. Nieporadnie poruszali się w rozciągniętym czasie, niezdarni na tle eleganckich, wielkolistnych paproci i gąbek.

Woda była zimna. Powierzchniacy nosili gumowane, skórzane kombinezony i ogromne kaski z miedzi i hartowanego szkła, połączeni z taflą wody rurami doprowadzającymi powietrze. Trzymali się drabin i odciągów, niebezpiecznie zawieszani nad niewyobrażalną przestrzenią.

Szczelnie zamknięci w kaskach, byli odcięci od dźwięku i każdy poruszał się rozważnie obok reszty, ale też zupełnie sam. Przelazili jak wszy przez rurę, która wbijała się w mętne morze jak odwrócony komin. Był to kwitnący patchwork alg i muszel o niezwykłych kształtach. Chwasty i parzący filigran obrastały wszystko jak bluszcz i dyndały w dół i do góry, trącając plankton.

Z nagiej piersi jakiegoś nurka wystawały dwie długie macki, kołysząc się z prądem morskim, ale także zgodnie ze swoimi słabymi wewnętrznymi popędami.

Nurkiem tym był Tanner Sack.

Trzepiąc ogonem, delfin sunął w stronę obrzeży miasta, do góry, ku światłu. Przebrnął przez malejące ciśnienie wody, wyskoczył w powietrze, zgiął się wpół jak scyzoryk, zawisł w pyle wodnym i zmierzył miasto bystrym okiem.

Znowu w dole, mknął przez prąki wody. Trochę dalej majaczyły ogromne kształty, niewyraźnie widoczne przez wodę i rozedrgania taumaturgii. Pilnowały ich rekiny na uwięzi i nie wolno ich było badać. Oko nie mogło się na nich zogniskować.

Nie podpływali do nich nurkowie.

Jakieś głosy wyrwały Bellis ze snu.

Od jej przybycia do Armady minęło wiele tygodni.

Każdy ranek był taki sam. Budzenie się, siadanie na łóżku, czekanie, rozglądanie się po pokoiku z dygoczącym niedowierzaniem, które nie chciało ustąpić. Nabrzmiwało w niej jeszcze mocniej niż tęsknota za Nowym Crobuzon.

„Skąd się tutaj wzięłam?”. Pytanie to nie odstępowało jej ani na krok.

Rozsunęła zasłony, uchwyciła się parapetu i patrzyła na miasto.

Pierwszego dnia po przybyciu stali ze swoimi rzeczami na pokładzie „Terpsychorii”, otoczeni przez strażników oraz mężczyzn i kobiety z wykazami osób i różnymi urzędowymi papierami. Twarze piratów były harde, porane okrucieństwem żywiołów. Przez zasłonę swego strachu Bellis przyglądała im się uważnie, lecz nie umiała ich w żaden sposób zaklasyfikować. Istny melanż etniczno-kulturowy. Każdy miał skórę innego koloru. Niektórzy byli pokryci abstrakcyjnymi wzorami z blizn, a niektórzy nosili stroje z batików. Wyglądali tak, jakby nie łączyło ich ze sobą nic oprócz ogólnej srogości.

Kiedy nagle zeszywnieli w jakiegoś rodzaju postawie na baczność, Bellis wiedziała, że przybyli ich zwierzchnicy. Przy relingu stało dwóch mężczyzn i kobieta. Morderca, odziany w szary pancerz dowódcy abordażu, podszedł do nich. Ubranie i szpadę miał już całkiem czyste.

Młodszy z dwóch mężczyzn i kobieta zbliżyli się do korsarza. Bellis wytrzeszczyła oczy na ich widok.

Mężczyzna miał na sobie ciemnoszary garnitur, a kobieta prostą, niebieską sukienkę. Oboje byli wysocy i nosili się z dostojeństwem typowym dla władzy. Mężczyzna miał starannie przystrzyżone wąsy i naturalnie arogancki sposób bycia. Rysy twarzy kobiety były ciężkie i nieregularne, ale usta zmysłowe, a okrutny wyraz oczu hipnotyzujący.

Tym, co kazało Bellis wpatrywać się w nich z fascynacją i odrazą, co przykuło jej uwagę, były... blizny.

Jedna ciągnęła się od kąta lewego oka kobiety do kącika ust. Równiutka i nieprzerwana. Druga, grubsza, krótsza i bardziej postrzępiona, od prawej strony nosa poziomo po policzku, a potem zakręcała do góry w stronę oka. Były też inne, wrysowane w jej twarz. Szpeciły ochrową skórę z estetyczną precyzją.

Przeskakując wzrokiem z kobiety na mężczyznę i z powrotem, Bellis poczuła w ustach smak piółunu. „Cóż to za chora sprawa?” – pomyślała zdeprymowana.

Wzory zdobiące twarz mężczyzny były lustrzanym odbiciem wyżej opisanych. Długa, zakrzywiona blizna po prawej stronie twarzy, krótsze, ząbkowane nacięcie pod lewym okiem. Jakby był zniekształconym odzwierciedleniem kobiety.

Kiedy zbulwersowana Bellis patrzyła na okaleczoną parę, kobieta przemówiła:

– Na pewno zdążyliście już zdać sobie sprawę – powiedziała dobrą ragamollszczyzną, dostatecznie głośno, żeby wszyscy usłyszeli – że Armada nie jest jak inne miasta.

„Czy to jest powitanie?” – pomyślała Bellis. „Czy tylko tyle dostaną zestresowani i zdezorientowani rozbitkowie z »Terpsychorii«?”

Kobieta mówiła dalej.

Opowiedziała im o swoim mieście. Momentami milkła i wątek płynnie podejmował mężczyzna. Byli prawie jak bliźniacy, którzy kończą za siebie zdania.

Trudno jej się słuchało tego, co mówili. Bellis osłupiała na widok uczuć, które przeskakiwały między mężczyzną i kobietą za każdym razem, gdy na siebie spojrzeli. Przede wszystkim jakiś głód. Bellis czuła się wybita z orbit czasu, jakby to jej się tylko śniło.

Później przyszło uświadomienie, że przyswoiła sobie wiele z tego, co zostało powiedziane, przeniknęło to do jej wnętrza gdzieś poniżej progu świadomości. I wbrew jej woli wyszło na wierzch, kiedy zaczęła mieszkać na Armadzie.

Wtedy całkowicie skupiła uwagę na niezwyklej nici emocjonalnej, jaka łączyła tę parę. Poza tym doszło do niej tylko rozradowane osłupienie, z jakim przyjęto ostatnie zdanie kobiety.

Słowa dotarły do niej dobre kilka sekund po tym, jak zostały wypowiedziane, jakby jej czaszka była z materiału spowalniającego dźwięk.

Rozległo się ogólne sapnięcie, głośne „juhu”, a potem potężna erupcja radości setek wycieńczonych, prze-tworzonych więźniów, którzy dygotali i śmierdzeli. Hałas narastał i narastał, z początku niepewny, potem upojny i triumfalny.

– Ludzie, kaktusy, hotchi, raki... prze-tworzeni – powiedziała kobieta. – Na Armadzie wszyscy jesteście marynarzami i obywatelami. Na Armadzie nie ma dyskryminacji. Tutaj jesteście wolni. I równi sobie.

To nareszcie było jakieś powitanie. Na które prze-tworzeni zareagowali głośnym i łzawym podziękowaniem.

Bellis wraz ze swoimi przypadkowymi towarzyszami została zapędzona do miasta, w którym mężczyźni i kobiety reprezentujący różne fachej czekali z kontraktami i przenikliwymi, zaciekawionymi spojrzeniami. Wychodząc z pomieszczenia, spojrzała na przywódców i ze zdziwieniem zobaczyła, że ktoś do nich dołączył.

Kompletnie zdezorientowany Johannes Tearfly patrzył w dół na dłoń podaną mu przez mężczyznę z bliznami – tak jakby nie wiedział, co z nią począć. Starszy pan,

który stał obok mordercy i pokrytej bliznami pary, podszedł do przodu, głaszcząc się po siwej brodzie, i przywitał się z Johannesem, wymawiając jego nazwisko.

Bellis tylko tyle zobaczyła i usłyszała, zanim ją zabrano. Ze statku do Armady, jej nowego państwa-miasta.

Flotylla siedzib mieszkalnych. Miasto zbudowane na starych kościach łodzi.

Zniszczone ubrania wszędzie trzęsły się i suszyły na wiejącym ze stałą prędkością wietrze. Trzepotały w uliczkach Armady, koło wysokich gmachów z cegły, wieżyczek, masztów, kominów i przedpotopowego takielunku. Bellis patrzyła ze swojego okna na panoramę poprzesławianych masztów i bukszprytów, na miejski krajobraz galionów i kaszteli, na setki statków związanych razem, zajmujących prawie półtora kilometra kwadratowego morza, i zbudowane na nich miasto. Niezliczone przykłady architektury morskiej: ogołoczone łodzie wikingów, galery, lugry i brygantyny, liczące setki metrów długości parowce i kajaki nie dłuższe od człowieka. Były też nieznanne typy łodzi: prakecze, barka wyrzeźbiona ze skostniałego ciała wieloryba. W płataninie lin i ruchomych, drewnianych kładek setki statków – skierowanych we wszelkich możliwych kierunkach – unosiły się na wodzie. Miasto było głośnie. Psy na uwięzi, okrzyki przekupniów, buczenie silników, młotki i tokarki, tłuczenie kamieni. Klaksony w warsztatach, śmiech i wołania, wszystko w jednej z odmian języka salt, skundlonej mowie marynarskiej, która była językiem Armady. W tle tych odgłosów miasta gardłowy hałas łodzi. Narzekania drewna, trzask skóry i liny, perkusyjne stukanie statku o statek.

Armada bez przerwy się ruszała, mosty kołysały się z boku na bok, wieże się chwiały. Miasto przesuwało się na wodzie.

Statki w każdym elemencie poddano konwersji. Dawne koje i grodzie stały się domami, na dawnych pokładach działowych powstały warsztaty. Miasto nie dało się jednak zniewolić istniejącym skórom statków, lecz je przekształciło. Statki rozbudowano, a raczej nadbudowano, style i materiały zaczerpnięte z setek historii i estetyk złożyły się na eklektyczną architekturę.

Wiekowe pagody przycupnęły na pokładach starożytnych galer wiosłowych, a betonowe monolity wyrastały jak dodatkowe kominy na korowcach skradzionych z mórz południowych. Ulice między budynkami były ciasne. Biegły po mostach nad przebudowanymi statkami, pośród labiryntów, placyków i okazałych gmachów. Tereny parkowe rozpełzały się po kliprach, nad zbrojowniami, na głęboko ukrytych pokładach. Domy napokładowe pękały od naprężeń wywołanych bezustannym ruchem statków.

Bellis widziała markizy straganów Targu Zimowej Słomy: setki zgrabnych szkut i płaskodennych łodzi przemysłowych, góra na sześć metrów długich, wypełniających luki między większymi jednostkami. Łódeczki bez przerwy o siebie stukały, spętane łańcuchami i powiązane linami, które obrosły wodnym zielskiem. Straganiarze otwierali swoje placówki handlowe, przystrajali sklepowe łódeczki wstążkami i szyldami, rozwieszali towar. Poranni zakupowicze schodzili na targ z okolicznych statków po stromych mostach linowych, wprawnie przedostając się z łodzi na łódź.

Koło targu znajdowała się korweta porośnięta bluszczem i pnącymi kwiatami. Zbudowano na niej pięknie rzeźbione, niskie siedziby mieszkalne. Masztów nie ścięto, lecz opleciono zielenią, przez co przypominały sędziwe drzewa. Był okręt podwodny, który od dziesięcioleci nie zszedł pod powierzchnię. Wokół jego peryskopu ciągnęła się grań wąskich domów, podobna do płetwy piersiowej. Korwetę i okręt podwodny łączyły falujące, drewniane mostki przechodzące nad targiem.

Parowcowi nadano funkcję bloku mieszkalnego, w kadłubie wykonano nowe okna, a na śródokręciu stanęły drabinki dla dzieci. W pudłowatym kołowcu mieściła się pieczarkarnia. Statek-rydwan, z dekoracyjnie wypolerowanym wędzidłem, dźwigał ciężar ceglanej zabudowy szeregowej, która wypełniała krzywizny jego skutniczych fundamentów. Z kominów wzbijały się łańcuchy dymu.

Budynki przybrane kośćmi, kolory od różnych odcieni szarości i rdzy po wybujałe barwy heraldyczne; miasto ezoterycznych kształtów. Jego hybrydowość była ponura i nieujmująca, oszpecona graffiti i skutkami butwienia drewna. Architektura falowała razem z wodą, co niosło ze sobą jakąś niejasną groźbę.

Na dawnych frachtowcach znalazły przytulisko zarówno slumsy, jak i miejskie pałace, które chwiały się zresztą też na pokładach słupów. Były kościoły, sanatoria i opuszczone domy, wszystkie nieustannie lizane przez wilgoć, obrysowane solą, zanurzone w dźwiękach fal i niosącym zarówno świeżość, jak i zgniliznę zapachu morza.

Statki spinały ze sobą łańcuchy i dźwigary na zawiasach. Każda krypa była pontonem w sieci pomostów linowych. Łodzie tworzyły morskie ściany wbitych w dno statków, które otaczały unoszące się swobodnie jednostki. Port Basilio, gdzie marynarka Armady albo goście mogli zacumować, dokonać napraw albo rozładować towar, chronił przed sztormami.

Największe statki krążyły po obrzeżach miasta, za holownikami i parowcami przywiązanych do boków Armady. Na otwartej wodzie pływały flotylle łodzi rybackich, okręty wojenne, statki-rydwany, trałowce i inne. Była to prywatna marynarka Armady, buszująca po świecie i wracająca do ojczystego portu z ładunkiem odebrany siłą wrogiem lub morzu.

Jeszcze dalej, za nadmiejskim niebem, rojącym się od ptaków i innych kształtów, za wszystkimi jednostkami pływającymi ciągnęło się morze.

Otwarte morze. Fale jak owady w nieustannym ruchu.

Niesamowite i puste.

Bellis dano do zrozumienia, że jest pod opieką tych, którzy ją złapali, była mieszkanką okręgu Niszczukowody, rządzonego przez mężczyznę i kobietę z bliźniami. Obiecali robotę i kwaterunek wszystkim, których wzięli do niewoli, i szybko się z tego wywiązali. Z przerażonymi, zdeorientowanymi przybyszami spotkali się urzędnicy, wywoływali ich nazwiska z listy, wypytywali nowych o kwalifikacje i inne szczegóły, po czym lakonicznie wyjaśniali w pidżyn salt, jaką pracę mają do zaoferowania.

Bellis dopiero po paru minutach zrozumiała, a jeszcze później uwierzyła, że proponuje jej się pracę w bibliotece.

Podpisała podsunięte jej dokumenty. Oficerów i marynarzy z „Terpsychorii” bez ceregieli zabierano na „testy” i „reedukację”, toteż Bellis wołała nie robić trudności. Naskrobała swoje nazwisko, chociaż wszystko się w niej gotowało. „I wy to nazywacie umową?!” – chciała krzyknąć. „Wszyscy wiedzą, że nie mamy żadnego wyboru”. Ale podpis złożyła.

Te wszystkie pozory legalizmu wzbudziły zamęt i wprawiły ją w pewne zakłopotanie.

Przecież to piraci. Pirackie miasto, rządzące się okrutnym merkantylizmem, istniejące w porach skórnym świata, porywające nowych obywateli z jego statków, unoszący się w wodzie i na wodzie ośrodek handlu kradzionymi towarami, gdzie obowiązuje prawo silniejszego. Dowody na to były widoczne gołym okiem: srogość

obywateli, noszenie przez nich broni, dyby i pręgierze, które widziała na statkach Niszczukowód. Na Armadzie na straży porządku stoi morska dyscyplina, knut.

Hydromiasto nie było jednak prymitywną brutokracją, której spodziewała się Bellis. Funkcjonowały tutaj również inne logiki. Były napisane na maszynie umowy, urzędy zarządzające nowymi przybyszami. I urzędnicy: administracyjna kasta, zupełnie jak w Nowym Crobuzon.

Obok rządów pałki – a może nie obok, tylko u ich podstaw lub jako ich otoczka – istniała biurokracja. Armada to nie był statek, tylko państwo-miasto. Bellis przybyła do kraju równie skomplikowanego i zorganizowanego jak jej własny.

Urzędnicy zabrali ją na „Chromolit”, butwiejący od dawna kołowiec, i zakwaterowali ją w dwóch małych, okrągłych pokojach połączonych kręconymi schodami, a zbudowanymi w niegdysiejszym dużym kominie statku. Gdzieś daleko w dole, w trzewiach statku, tkwił silnik, który swego czasu wydmuchiwał sadzę przez jej obecny dom. Wystygł na długo, zanim się urodziła.

Powiedzieli jej, że musi co tydzień płacić czynsz w Okręgowym Biurze Osadnictwa. Dali jej zaliczkę na poczet pensji, w banknotach i monetach: „dziesięć oczek składa się na flagę, dziesięć flag na finiał”. Pieniądze były kiepsko wydrukowane na szorstkim papierze, kolor atramentu różnił się od banknotu do banknotu.

Potem powiedzieli jej, rudymentarną ragamollszczyzną, że nigdy nie opuści Armady, i zostawili ją samą.

Czekała, ale niczego się nie doczekała. Została sama w mieście, które było dla niej więzieniem.

W końcu głód wygnał ją na ulicę, gdzie kupiła tłuste jedzenie od sprzedawcy paplającego w salt zbyt szybko, żeby wiele zrozumiała. Spacerowała ulicami, zaskoczona, że nikt jej nie zaczepia. Czuła się zupełnie obco, uderzył w nią szok kulturowy, paraliżujący jak migrena. Była otoczona przez kobiety i mężczyzn w dziwacznych, podartych strojach, dzieci ulicy, ludzi-kaktusów i khepri, hotchi, llorgiss, olbrzymów gessin, vumurt i innych. Ludzie-raki mieszkali w dole miasta, a na wierzch chodzili za dnia, ślamazarni ze swoimi opancerzonymi nogami.

Ulice były wąskimi graniami między domami stłoczonymi na pokładach. Bellis przywykła do wiercenia się miasta, do zmiennej, ruchliwej linii dachów. Otaczały ją zawołania i rozmowy w salt.

Szybko przyswajała sobie mowę swego nowego kraju: słownictwo było skradzione z innych języków, na ogół jej znanych, a składnia bardzo prosta. Musiała się nią posługiwać – nie mogła uniknąć kupowania jedzenia, pytania o drogę lub wyjaśnienie czegoś, rozmawiania z innymi Armadyjczykami – i wtedy jej akcent zdradzał napływową, a nie rdzenną mieszkankę miasta.

Rozmówcy w większości okazywali cierpliwość, a nawet gruboskórną jowialność, wybacząc jej arogancję. Może oczekiwali, że przestanie być taka naburmuszona, kiedy zadomowi się na Armadzie.

Nie przestała.

Tego ranka, kiedy wychodziła z komina „Chromolitu”, znowu powstało w jej głowie pytanie: „Skąd się tutaj wzięłam?”. Szła ulicą w mieście statków, w słońcu, otoczona tłumem swoich porywaczy. Miała wokół siebie mężczyzn i kobiety, ludzi i inne rasy, nawet trochę konstruktów, wszyscy targowali się, pracowali, szwar gotali w salt. Bellis maszerowała przez Armadę, swoje więzienie.

Zmierzała do Pamięcioimpulsowni. Okręg ten przylegał do Niszczukowód i potocznie mówiono o nim „Książkowice” albo „dzielnica kheprich”.

Biblioteka Wielkiego Mechanizmu znajdowała się trzysta metrów od statku mieszkalnego „Chromolit”. Po drodze Bellis musiała przejść przez sześć statków.

Niebo roiło się od pojazdów latających. Gondole kołysały się pod sterowcami, rozwożąc pasażerów po kanciastej zabudowie, schodząc między stłoczone domy i spuszczać drabinki linowe, mijając znacznie większe statki powietrzne, które transportowały towary i maszyny. Konstrukcja tych ostatnich była przypadkowa. Niektóre sklecono jak popadnie z komór gazowych sterowców, wyłaczarek i silników, jakby ktoś wysypał śmieci. Maszty służyły jako pachołki cumownicze. Wykwitały z nich różnokształtne aerostaty, kojarzące się z pulchnymi zmutowanymi owocami.

Z „Chromolitu” Bellis przeszła po stromej kładce na szkuner „Jarvee”, pełen kiosków z tytoniem i słodyczami. Potem przedostała się na barkentynę „Siedzący Ryś”, na której pokładzie kupcy jedwabni sprzedawali ścinki z korsarskiej działalności Armady. Potem w prawo, obok złamanego morskiego filaru Iorgissów, podskakującego niby jakaś diabelska rybia przynęta, a następnie przez most Taffeta.

Teraz Bellis znajdowała się na „Srogim”, olbrzymim kliprze, wyznaczającym granicę Książkowic, dzielnicy rządzonej przez kheprich. Koło wozów, ciągniętych przez chorowite końsko-wołowe mieszańce, stała ekipa sióstr-strażniczek rasy khepri.

Podobne trójki pełniły służbę w Kinken i Creekside, crobuzońskich gettach dla kheprich. Bellis nie miała wątpliwości, że khepri na Armadzie, podobnie jak w Nowym Crobuzon, są potomkami rozbitków ze Statków Miłosierdzia, oddającymi cześć temu, co pozostało, temu, co zapamiętali z panteonu Bered Kai Nev. Strażniczki nosiły tradycyjną broń. Ich gibkie, humanoidalne ciała były osmagane przez żywioły, a gigantyczne głowoskarabeusze opalizowały w zimnym słońcu.

Jako że khepri nie mówią, ulice Książkowic były cichsze od ulic Niszczukowód, za to powietrze było delikatnie zaprawione pozostałościami chemicznych oparów, których członkowie tej rasy używają do porozumiewania się ze sobą. Swoisty odpowiednik głośniejszej miejskiej wrzawy.

Ulice i place zdobiły ślinorzeźby kheprich, takie jak na placu Posągów w Nowym Crobuzon. Postacie mityczne, abstrakcyjne formy stworzenia morskie wykonane w opalizującym materiale metabolizowanym przez kheprich w ich głowoskarabeuszach. Kolory były stonowane, jakby jagody barwnikowe występowały tutaj mniej obficie albo były gorszej jakości.

Idąc aleją na „Zbity Pył”, nakręcanym statku kheprich – Statku Miłosierdzia, który uszedł Pochłonięcia – Bellis zwolniła, zafascynowana jego trybikami i architekturą. Z pokładowego pola statku rolniczego za rufą leciały jej pod nogi insekty i łuski, a pomiędzy listewek dolnych pokładów dobywały się odgłosy zwierząt hodowlanych.

Potem na korpulentny statek-fabrykę „Aronnax Lab”, obok warsztatów metalurgicznych i rafinerii, na Krome Plaza, gdzie wielka podwieszana platforma sięgała aż do pokładu „Pinchermarna”, ostatek z jednostek składających się na Bibliotekę Wielkiego Mechanizmu.

– Spokojnie... nikogo nie obchodzi, że się pani spóźniła – powiedziała Carianne, jedna z członków personelu rasy ludzkiej, kiedy Bellis mijała ją spiesznym

krokiem. – Jest pani nowa, jest pani uprowadzona, niech pani to wykorzystuje, póki się da. Bellis usłyszała jej śmiech, ale nie zareagowała. Korytarze i przerobione mesy były tłoczne od regałów książkowych i dogorywających lamp naftowych. Naukowcy wszystkich ras wydymali usta, jeśli je mieli, i melancholijnie podążali wzrokiem za Bellis. W dużych czytelniach panowała cisza. Pokryte błoną kurzu i zasuszonych owadów okna wydawały się postarzać światło, które padało na wieloosobowe stoły i woluminy w dziesiątkach języków. Tłumione kaszlnięcia brzmiały jak przeprosiny, kiedy Bellis weszła do działu nabytków. Książki chwiały się na szafkach i wózkach oraz tworzyły wieże na podłodze.

Siedziała tam godzinami i metodycznie kodowała. Ustawiała książki napisane typami pisma, których nie umiała przeczytać, ewidencjonowała inne tomy na kartach bibliotecznych. Katalogowała je alfabetycznie – alfabet języka salt był prawie identyczny z ragamollskim – według autora, tytułu, języka, dziedziny i tematu.

Niedługo przed przerwą na lunch Bellis usłyszała kroki. „Pewnie Szekel” – pomyślała. Był jedyną osobą z „Terpsychorii”, z którą się widywała i z którą rozmawiała. Uśmiechnęła się na myśl o tym: Bellis Coldwine skumpłowana z chłopcem okrętowym. Przed dwoma tygodniami wparował do niej dumnie, po nastoletniemu rozgorączkowany, przejęty pirackim abordażem i nową sytuacją.

Ktoś mu powiedział, że „groźna, wyniosła pani w czerni, z sinymi ustami”, pracuje w bibliotece, wyjaśnił jej. Mówiąc to, uśmiechał się od ucha do ucha, a ona odwróciła wzrok, aby nie widział, że ją również to bawi.

Jego środki do życia pochodziły z rozmaitych, niejasnych źródeł. Mieszkał z prze-tworzonym z „Terpsychorii”. Bellis zaproponowała mu miedzianą flagę w zamian za pomoc w przenoszeniu książek i Szekel się zgodził. Od tego czasu przyszedł kilka razy, trochę popracował, opowiadał jej o Armadzie i rozproszonych rozbitkach z ich statku.

Dużo się od niego dowiadywała.

Ale tym razem wąskim korytarzem zbliżał się do niej nie Szekel, tylko speszony, uśmiechnięty pytająco Johannes Tearfly.

Z pewnym zażenowaniem przypomniała sobie później, że wstała na jego widok – „z okrzykiem radości emocjonalnego dziecka, na litość bogów!” – i zarzuciła mu ramiona na szyję.

Johannes przytulił ją, uśmiechając się z nieśmiałą serdecznością. Po długiej chwili splecionego powitania rozstąpili się i spojrzeli na siebie nawzajem.

Powiedział jej, że wcześniej nie miał okazji się wyrwać. Spytała, jak mu się powodzi. Wyślano go do biblioteki i zaryzykował poszukanie jej. Ponowiła pytanie: „Ale co robisz, do licha?”. Odparł, że nie może jej powiedzieć, że musi już iść, o mało nie tupnęła ze złości, ale on mówił: „zaczekaj, zaczekaj”, miał teraz więcej wolnego czasu, niechże Bellis chwilę posłucha.

– Jeśli jesteś wolna jutro wieczór, zabrałbym cię na kolację. W prawoburtowej części Niszczukowód, na „Zaplecionym Języku”, jest lokal o nazwie „Czas Niezrealizowany”. Znasz go?

– Znajdę – odrzekła.

– Mógłbym po ciebie przyjść...

– Znajdę.

Uśmiechnął się do niej z zaskoczoną przyjemnością którą zapamiętała. „Jeśli jesteś wolna, dobre sobie!” – pomyślała z przekąsem. „Czy on naprawdę uważa... Czy to możliwe?”. Nagle ogarnęła ją niepewność, prawie strach. „Czy inni chodzą gdzieś co wieczór? Czy jestem sama na wygnaniu? Czy

pasażerowie»Terpsychorii«co wieczór urządzają sobie hulanki w swojej nowej ojczyźnie?

Kiedy wychodziła wieczorem z biblioteki, ciasne dzielnice i wąskie uliczki Armady przytłaczały ją, ale skoro podniosła wzrok i spojrzała w dal, Wezbrany Ocean przygniótł ją niby granit i zapało jej dech. Nie mogła uwierzyć, że masa wody i powietrza nad Armadą nie zatopi jej, nie unicestwi w jednej chwili. Policzyła monety, które miała przy sobie, i podeszła do kierowcy podniebnej taksówki, który napełniał bak swego sterowca w hangarze na „Aronnax Lab”.

Zachwiała się w gondoli, która buczała spokojnie trzy metry nad najwyższym pokładem. Bellis widziała, jak obrzeża miasta podskakują chaotycznie, poruszają się pomalutku z różnymi prądami. Oto odległy las nawiedzanej dzielnicy. Arena. Warownia Brucolaca.

A w centrum Niszczukowód niezwykle zjawisko, na które Bellis nie mogła się napatrzeć – źródło siły dzielnicy. Coś dominującego nad okolicą: największy statek w mieście, największy statek, jaki Bellis w życiu widziała.

Prawie dwieście siedemdziesiąt metrów żelaza. Pięć gigantycznych kominów i sześć masztów odartych z brezentu, wysokich na ponad sześćdziesiąt metrów. W górze zacumowany olbrzymi sterowiec-kaleka. Z każdej burty statku wielkie koło łopatkowe, niby industrialna rzeźba. Pokłady, wolne od chaotycznej zabudowy szpecącej inne statki, zdawały się prawie nagie. Warownia Kochanków, niby wyrzucony na brzeg tytan: „Wielki Wschodni”, kołysząca się ascetycznie wśród manierystycznej architektury Armady.

– Zmieniłam plany – powiedziała nagle Bellis. – Proszę mnie nie zawozić na „Chromolit”.

Skierowała pilota w kierunku rufa-rufa-sterburta – punktem odniesienia dla całego miasta był gigantyczny „Wielki Wschodni”.

Taksówkarz delikatnie pociągnął za ster, spojrzała w dół na mieszkańców. Powietrze rozstępowało się, kiedy aeronauta brnął między takielunkiem i masztami sterczącymi wokół nich ku niebu nad Armadą. Przy wieżach Bellis widziała miejskie ptaki: mewy gołębie i papugi. Wysiadywały jaja na dachach i w bocianich gniazdach, obok innych istnień.

Słońce zaszło i miasto migotało. Bellis poczuła przyływ melancholii, kiedy mijając obsypany światłkami takielunek w tak niewielkiej odległości, że mogła za niego chwycić. Zobaczyła miejsce, do którego zmierzała: aleja św. Carcheriego na parowcu „Serce Glomara”. Była to wystawna w kiczowatym stylu promenada z kolorowymi latarniami ulicznymi, sękatymi rdzawnikami i pokrytymi stiukiem fasadami. Kiedy gondola zaczęła opadać, Bellis wbiła wzrok w mniej okazały, ciemniejszy kształt za terenami parkowymi.

Sto dwadzieścia metrów dalej, mieniając się nieczystościami, stała wieża zbudowana ze splecionych dźwigarów, sięgająca pułapu lotu sterowców i buchająca ogniem. Masywne betonowe cielsko na czterech nogach podobnych do porozłupywanych słupów wyrastało z zabrudzonego morza. Ciemne żurawie poruszały się bez widocznego celu.

Konstrukcja była monstualna, imponująca, brzydka i zatrważająca. Bellis siedziała w opadającym aerostacie i nie odrywała wzroku od „Sorgo”, ukradzonej platformy wiertniczej, będącej własnością Nowego Crobuzon.

Rozdział siódmy

Przez cały następny dzień padało bezlitośnie, twarde, szare krople przypominały odłamki krzemienia.

Przekupnie ucichli. Dokonywano bardzo niewielu transakcji. Schodnie i pomosty Armady były śliskie. Zdarzały się wypadki: pijani albo nieporadni wpadali do zimnego morza.

Miejskie małpy siedziały przygnębione pod markizami i kłóciły się. To żarłoczne plemię szkodników buszowało po mieście, toczyło walki, rywalizowało ze sobą o resztki jedzenia i terytorium, poruszało się brachiacyjnie pod mostami i śmigało po takielunku. Nie były to jedyne zwierzęta żyjące dziko na Armadzie, ale ze wszystkich padlinożerców to im najlepiej się powodziło. Teraz siedziały skulone w zimnym, wilgotnym powietrzu i bez entuzjazmu iskały się nawzajem.

W półmroku Biblioteki Wielkiego Mechanizmu tabliczki z napisem „Prosimy o ciszę” wyglądały śmiesznie na tle perkusji deszczu.

Krwiorogi w dzielnicy Ałozowice rozbrzmiały smętnie, jak zawsze w sytuacji, kiedy padało rzęsiście i strupodzieje powiedzieli, że niebo krwawi. Woda chlustała o pokład „Uroca”, okrętu flagowego Pragnieniowic. Ciemna i gnijąca tkanka nawiedzanego okręgu okrywała się pleśnią i jątrzyła paskudnie. Mieszkańcy sąsiedniego okręgu Tobietwój jak zawsze pokazywali w stronę budynków opuszczonej dzielnicy i ostrzegali, że gdzieś w środku lata upiór.

Godzinę po zmroku w dystyngowanym gmachu Hol Kurhanu na „Człekoźwierzu”, okręcie flagowym Ałozowic, skończyło się burzliwe zebranie. Strażnicy-strupodzieje na zewnątrz słyszeli, jak delegaci wychodzą. Przebiegali palcami po broni i skorupach organicznych Panczerzy.

Był wśród nich człowiek: średniego wzrostu i obficie umięśniony, w popielatej skórze, z mieczem u boku. Mówił i poruszał się ze spokojnym wdziękiem.

Rozmawiał ze strupodziejami o uzbrojeniu, a następnie polecił, aby pokazali mu ciosy i zamachy z *mortu crutt*, ich sztuki wojennej. Pozwolił im dotykać filigranu drucików, które szły po prawym ramieniu i boku panczerza do baterii na pasie.

Mężczyzna porównywał cios „uparty gwóźdź” z walki tupanej do uderzenia „sadr” z *mortu crutt*. Wraz ze swoim sparingpartnerem powoli rozkładali ramiona, demonstrując te metody ataku, kiedy u góry schodów nad nimi otworzyły się drzwi. Strażnicy błyskawicznie stanęli na baczność. Mężczyzna w szarym stroju wyprostował się powoli i poszedł na róg antresoli.

Schodził ku nim mężczyzna owładnięty zimną furią, wysoki, młody, zbudowany jak tancerz, z piegowatą, jasnopozielatą cerą. Włosy zdawały się należeć do kogo innego: były ciemne, długie, ciasno kręcone, wisały mu z głowy niesfornymi kosmykami niby rozwichrzzone runo. Podskakiwały i zwijały się przy każdym kroku.

Mijając strupodziejów, ukłonił się zdawkowo, na co oni odpowiedzieli bardziej ceremonialnym pozdrowieniem. Stał przed mężczyzną w szarym stroju i patrzyli na siebie z nieprzeniknionymi minami.

– Żywomość Douł – powiedział przybysz tonem niewiele głośniejszym od szeptu.

– Martwomość Brucolac – brzmiała odpowiedź.

Uther Douł wpatrywał się w szeroką, urodziwą twarz Brucolaca.

– Wszystko wskazuje na to, że twoi pracodawcy nie wycofują się ze swojej idiotycznej intrygi – mruknął Brucolac. – Nie mogę uwierzyć – dodał po dłuższej przerwie – że aprobujesz to szaleństwo. – Uther Douł nie poruszył się, nie odejmował wzroku od rozmówcy. Brucolac wyprostował plecy i wydał z siebie prychnięcie, które mogło wyrażać pogardę, poczucie wspólnego wtajemniczenia i wiele innych rzeczy. – Nic z tego nie będzie – powiedział. – Miasto na to nie pozwoli. Nie po to istnieje.

Brucolac otworzył usta i wyskoczył z nich wielki, rozwidlony język, kosztując powietrze i upiory potu Uthera Doula.

Pewne rzeczy były dla Tannera Sacka zupełnie niezrozumiałe.

Nie mógł pojąć, w jaki sposób wytrzymuje chłód morskiej wody. Jego spore macki prze-tworzonego sprawiały, że musiał schodzić pod powierzchnię z obnażonym torsem i pierwsze zetknięcie z wodą było dla niego szokiem. O mało nie zrezygnował, ale potem umazał się st arym smarem. Aklimatyzacja przebiegała niewiarygodnie szybko. Nadal miał świadomość, że woda jest zimna, ale była to wiedza czysto abstrakcyjna. Chłód nie paraliżował go.

Nie rozumiał, dlaczego słona woda leczy jego macki.

Odkąd mu je wszczepiono z mocy kaprysu crobuzońskiego sędziego grodzkiego – kara rzekomo adekwatna do jego przestępstwa według jakiejś protekcyjnej alegorycznej logiki, w której nie dostrzegał żadnego sensu – zwisały bezwładnie jak śmierzące kończyny trupa. Naciął je w ramach eksperymentu, warstwy wszczepionych nerwów zawrzały i prawie zemdlął z bólu. Ale mieszkał w nich tylko ból, dlatego owijał się nimi jak gnijącymi pytonami i próbował nie pamiętać o ich istnieniu.

Tymczasem zanurzone w morskiej wodzie zaczęły się ruszać.

Mnogość drobnych infekcji ustąpiła i były teraz chłodne w dotyku. Po trzech nurkowaniach, ku jego niepomiernemu zdumieniu, macki zaczęły się poruszać niezależnie od wody.

Wracał do zdrowia.

Po kilku tygodniach nurkowania macki odbierały coraz to nowe bodźce, a ich przyssawki napinały się delikatnie i przywierały do pobliskich płaskich powierzchni. Tanner uczył się nimi sterować.

W pełnych zamętu pierwszych dniach po przybyciu do Armady Tanner wędrował po dzielnicach miasta i osłupiały słuchał, jak kupcy i majstrowie proponują mu pracę w języku, który bardzo szybko opanowywał.

Po zweryfikowaniu informacji, że Tanner jest inżynierem, oficer łącznikowy Urzędu Portowego Niszczukowód spojrzął na niego łapczywie i postępując się dziecinną odmianą salt plus pantomimicznymi gestami dłoni, spytał, czy chce się wyszkolić na nurka. Łatwiej nauczyć inżyniera nurkować, niż wpoić nurkowi umiejętności, które posiadał już Tanner.

Nie było łatwo nauczyć się oddychać powietrzem pompowanym z góry, nie panikując w ciasnym kasku, nauczyć się nie kompensować równomiernie odchyłek i nie wpadać w korkociąg. Jedno przyszło mu bez problemu: czerpanie rozkoszy z pławienia się w spowolnionym żywiole czasu, w ruchomej przejrzystości wody widzianej przez szkło.

Wykonywał pracę podobną do dawnej – łatanie, naprawy, remonty, gmeranie narzędziami w wielkich silnikach – tyle że teraz, daleko w dole pod dokerami i pod żurawiami, robił to w napierającej zewsząd wodzie, obserwowany przez ryby i węgorze, miotany prądami urodzonymi wiele kilometrów dalej.

– Mówiłem ci, że Oziębła pracuje w bibliotece, nie?

– Mówiłeś, chłopie – odparł Tanner.

On i Szekel jedli lunch pod zadaszeniem w dokach podczas nieustającej ulewy.

Szekel zjawiał się w porcie z grupką obszarpańców w wieku od dwunastu do szesnastu lat. W ocenie Tannera wszyscy pozostali urodzili się w mieście. Fakt, że

dopuszcili do swego grona osobę porwaną, która wciąż z trudem wystawiała się w języku salt, dowodził wielkich zdolności adaptacyjnych Szekla.

Zostawili Szekla, żeby mógł spokojnie zjeść lunch z Tannerem.

– Lubię tę bibliotekę – powiedział. – Lubię tam chodzić, nie tylko ze względu na Oziębłą.

– Nie zaszkodziłoby ci, jakbyś trochę poczytał, chłopie – powiedział Tanner. – Skończyliśmy *Kroniki Crawfoota*. Mógłbyś znaleźć jakieś inne opowieści. Mógłbyś mi je poczytać, dla odmiany. Jak u ciebie z alfabetem?

– Odróżniam litery – odparł Szekel ogólnikowo.

– No to widzisz. Idź pogadać z panną Oziębłą, niech ci coś poleci do czytania.

Przez chwilę jedli w milczeniu, patrząc, jak grupa raków z Armady wychodzi ze swojego ulowraka na dole.

– Jak tam jest na dole? – spytał w końcu Szekel.

– Zimno – odrzekł Tanner. – I ciemno. Ciemno, ale... świetliście. Ciężko. Otacza cię ciężar. Są kształty, które ledwo, ledwo widzisz, wielkie, ciemne kształty. Statki podwodne i co tam jeszcze. Czasami się wydaje, że widać coś innego. Ale niewyraźnie i jest przy nich straż, to nie można za blisko podpłynąć. Obserwowałem raki pod ich wrakami. Morskie wyrmeny, które czasem dosiadają statków-rydwanów. Ludzie-ryby, podobni do traszek, z Ciepłarni. Tak się poruszają, że ledwo je widać. Delfin Bastard John. Jest szefem bezpieczeństwa Kochanków tam w dole i zimnym draniem, większego sukinsyna w życiu nie spotkałem. No i jest trochę... przetworzonych.

Jego głos rozpląnął się w milczeniu.

– Pomyłone, nie? – powiedział Szekel, bacznie przyglądając się Tannerowi. – Nie mogę się przyzwyczaić... – Nic więcej nie powiedział. Ale żaden z nich nie mógł się przyzwyczaić. Kraina, w której przetworzeni mają równe prawa z innymi. W której przetworzony może być majstrem albo kierownikiem, a nie tylko robociarzem.

Szekel zobaczył, że Tanner pociera macki.

– Co z nimi? – spytał.

Tanner uśmiechnął się i skoncentrował, po czym jedno z gumowatych odnóży skurczyło się trochę i zaczęło pełznąć niby zdychający wąż ku chlebowi Szekla. Chłopiec nagroził ten wyczyn oklaskami.

Na skraju pirsu, gdzie raki wypływały na powierzchnię, stał wysoki człowiek-kaktus, z nagą piersią podziurawioną włóknistymi, warzywnymi bliznami. Na plecach miał ogromny kuszarpacz.

– Znasz go? – spytał Tanner. – Nazywa się Hedrigall.

– To nie jest nazwisko kaktusa – stwierdził Szekel. Tanner pokręcił głową.

– On nie pochodzi z Nowego Crobuzon ani nawet z Shankell – wyjaśnił. – Uprawdzili go, tak jak nas. Przybył do miasta ponad dwadzieścia lat temu. Jest z Dreer Samher, więcej jak trzy tysiące kilometrów od Nowego Crobuzon. I coś ci powiem, Szekel: jakie on zna historie! Po co komu książki... Był kupcem-piratem, zanim go złapali i ściągnęli tutaj, i chyba nie ma w morzu takiego stworzenia, którego by nie widział. Potrafi obciąć włos strzałem z tego kuszarpacza, taki z niego snajper. Widział keragorae, ludzi-komary, przemieszczonych i co tam chcesz. I, bogowie, jak on umie o nich opowiadać! W Dreer Samher mają bazarzy, co zawodowo opowiadają historie. Hed był bazarzem. Umie tak zrobić, żeby jego głos był hipnagogiczny. Jak Wed opowiada historie, człowiek jest od tego kompletnie upity.

Człowiek-kaktus stał bez ruchu, pozwalając deszczowi bębnić o swoją skórę. – A teraz jest aeronautą – podjął Tanner. – Od lat pilotuje statki powietrzne: „Wielki Wschodni”, zwiadowcze i bojowe. To jeden z najważniejszych ludzi Kochanków i

bardzo fajny gość. Większość czasu spędza teraz w „Arogancji”. – Tanner i Szekel spojrzeli za siebie do góry. Co najmniej trzysta metrów nad pokładem „Wielkiego Wschodniego” wisiała na uwięzi „Arogancja”. Był to wielki, okaleczony aerostat, z powgniatanymi tylnymi statecznikami i silnikiem, który od lat się nie kręcił. Zacumowany do wielkiego statku w dole na setkach metrów usztywnionej smołą liny, służył miastu za bocianie gniazdo. – Hedrigall lubi tam siedzieć – dodał. – Powiedział mi, że ostatnio lubi ciszę i spokój.

– Tanner, jak ci się widzą Kochankowie? – spytał powoli Szekel. – Znaczący pracujesz dla nich, słyszysz, co mówią, wiesz, jacy są. Co o nich myślisz? Czemu robisz, co ci każą?

Tanner wiedział, że Szekel nie zrozumie go do końca, ale pytanie było tak poważne, że spojrzął bacznie na chłopca, z którym współkwaterował – na wielkim, żelaznym hulku od bakburty. Jego strażnik więzienny, słuchacz i przyjaciel był dla niego jak członek rodziny.

– Miałem być niewolnikiem w koloniach, Szekel – wyjaśnił spokojnym tonem. – Kochankowie z „Wielkiego Wschodniego” wzięli mnie do siebie, dali mi płatną pracę i powiedzieli, że srają rzadkim gównem na to, że jestem prze-tworzony. Kochankowie dali mi życie, kraj i dom. I choćby chuj wie, co chcieli zrobić, ja ich popieram. Nowe Crobuzon może pocałować mnie w dupę, chłopie. Jestem teraz obywatelem Armady, mieszkańcem Niszczukowód. Uczę się salt. Jestem lojalny.

Szekel wybałuszył na niego oczy. Tanner był wolno mówiącym, spokojnym człowiekiem i Szekel nigdy wcześniej nie widział u niego takiej żarliwości.

Był pod wielkim wrażeniem.

Deszcz nie przestawał padać. W całej Armadzie dawni pasażerowie „Terpsychorii” usiłovali żyć.

Na kiczowatych jolach i barkentynach kłócili się, kupowali, sprzedawali i kradli, uczyli się salt, niektórzy lali łzy, ślęczeli nad mapami miasta, obliczali odległość dzielącą ich od Nowego Crobuzon albo Nova Esperium. Opłakiwali swoje dawne życie, oglądając heliotypy przyjaciół i kochanków z ojczyzny.

W więzieniu reedukacyjnym między Niszczukowodami a Ałozowicami siedziały dziesiątki marynarzy z „Terpsychorii”. Niektórzy krzyčili na swoich strażników-terapeutów, którzy próbowali ich uspokoić, jednocześnie oceniając, czy dany człowiek potrafi wyzwolić się ze swoich dawnych więzi, czyjego lojalność wobec Nowego Crobuzon ulegnie stępieniu, czy można go przeciągnąć na stronę Armady.

Jeśli uznali, że nie można, zastanawiali się, co w takim razie z nim zrobić.

Bellis przybyła do „Czasu Niezrealizowanego” z makijażem i włosami sponiewieranymi przez wiatr. Kelner przywitał się z nią uprzejmie, a ona wytrzeszczyła oczy, zaskoczona takim traktowaniem. „Jakby był prawdziwym kelnerem, w prawdziwej restauracji, w prawdziwym mieście” – pomyślała.

„Zapleciony Język” był dużym, wiekowym statkiem. Upakowano na nim tyle budynków, tak gruntownie go przerobiono, tyle przy nim majstrowano, że nie dało się powiedzieć, do jakiego typu jednostek pływających kiedyś się zaliczał. Od stuleci stanowił część Armady. Przedni kasztel pokrywały ruiny: stare świątynie z białego kamienia, w znacznej części skruszonego lub sproszkowanego. Ruiny były porośnięte bluszczem i pokrzywami, które nie odstraszały jednak miejscowych dzieci.

Na ulicach „Zaplecionego Języka” widziało się dziwne kształty, bryły nieokreślonych substancji ocalonych z morza i walających się po kątach, jakby o nich zapomniano.

Restauracja była mała, nagrzana i urządzona w boazerii z ciemnodrzewu, z zajętą połową stolików. Okna wychodziły na pas keczów i kajaków w dokach Portu Jeżowca, drugiego portu Armady.

Bellis z ukłuciem w sercu zobaczyła, że u sufitu restauracji wiszą sznury papierowych lampionów. Ostatnim tak przystrojonym lokalem, który widziała, był „Zegar i Kogucik” na Polach Salacusa w Nowym Crobuzon.

Musiła potrząsnąć głową żeby wytrześć z niej gryzącą melancholię. Przy stoliku w rogu Johannes wstawał z krzesła i machał do niej.

Przez jakiś czas siedzieli bez słowa. Johannes sprawiał wrażenie onieśmiałego, Bellis zaś poczuła przyływ pretensji o to, że tak długo się nie kontaktował, a że miała świadomość, iż jest niesprawiedliwa, uciekła w milczenie.

Ze zdumieniem zobaczyła, że stojąca na stole butelka czerwonego wina to stary rocznik galaggi, House Predicus 1768. Spojrzała na Johanna szeroko otwartymi oczami. Zaciśnięte usta nadawały jej twarzy wyraz dezaprobaty.

– Pomyślałem, że powinniśmy uczcić nasze ponowne spotkanie – wyjaśnił.
Wino było wyśmienite.

– Dlaczego zostawili mnie... nas... samym sobie? – spytała Bellis. Żebyśmy sobie radzili? Albo zdechli? – Pojadała potrawę z ryb i gorzkich liści hodowanych na statkach. – Wydaje mi się nierozsądne, żeby wyrwać kilkaset osób z ich życia, a potem puścić samopas tutaj...

– Nie puścili nas samopas – zareplikował Johannes. – Ilu innych pasażerów „Terpsychorii” widziałaś? Ilu członków załogi? Nie pamiętasz rozmów, pytań zaraz po przybyciu? To były egzaminy. Oceniali, kto stanowi zagrożenie, a kto nie. Jeśli uznali, że ktoś jest mąciwodą albo osobą za bardzo... przywiązaną do Nowego Crobuzon...

– To co? – Bellis chciała, żeby dokończył. – Jak kapitana?

– Nie, nie, nie – zaprzeczył szybko Johannes. – Myślę, że nad takimi się pracuje. Znasz proceder przymusowego wcielania do wojska czy marynarki. W marynarce Nowego Crobuzon jest mnóstwo marynarzy, których wcześniejszy związek z morzem ograniczał się do tego, że w dniu, w którym zostali „zwerbowani”, balowali w tawernie. Co nie zmienia faktu, że po łapanie większość łąduje w marynarce.

– Na jakiś czas.

– Tak. Nie twierdzą, że to jest dokładnie to samo. Wielka różnica polega na tym, że kiedy skaptuje cię Armada, nie możesz odejść.

– Słyszałam to tysiące razy, ale co z flotą Armady? Co z żyjącymi pod wodą rakami? Myślisz, że nie mogą uciec? Zresztą, gdyby to była prawda, gdyby ludzie nie mieli możliwości wyjechać, tylko rdzenni mieszkańcy chcieliby tutaj żyć.

– Masz rację – odparł Johannes. – Tutejsi piraci spędzają na morzu wiele miesięcy, może nawet lat, zanim wrócą do Armady. Zawijają do innych portów podczas tych wypraw i jestem pewien, że niektórzy członkowie załóg znikają. Na świecie musi mieszkać sporo byłych Armadyjczyków.

Ale fakt jest taki, że załogi są wybierane według dwóch kryteriów – pierwsze to lojalność, a drugie – że jeśli rzeczywiście zdezerteruje nie będzie to miało znaczenia. Przede wszystkim prawie wszyscy urodzili się w mieście: uprowadzeni rzadko otrzymują patent. Tacy jak ja nie mogą liczyć na to, że dostaną się na taki statek. Większość porwanych nie wychyli nosa poza granice Armady.

– Pomyśl jednak, kogo porywają, Bellis. Trochę marynarzy, to na pewno, trochę „konkurencyjnych” piratów, paru kupców. Ale Armadyjczycy spotykają na swej drodze mnóstwo statków. Myślisz, że atakują wszystkie? Porywają przede wszystkim takie

statki jak... Terpsychoria". Przewożące niewolników. Albo transportujące przetworzonych do kolonii. Albo statki-więzienia. Albo z jeńcami wojennymi. Większość przetworzonych na „Terpsychorii” już dawno zrozumiała, że nigdy nie wrócą do ojczyzny. Dwadzieścia lat, na rany bogów, to jest dożywocie i oni o tym wiedzą. A tutaj mają pracę, pieniądze i szacunek... Czy można się dziwić, że to akceptują? O ile mi wiadomo, tylko siedmiu przetworzonych z „Terpsychorii” jest leczonych na odrzucenie i dwóch z nich już cierpi na demencję.

„Do jasnej cholery – pomyślała Bellis – skąd o tym wiesz, na Jabbera?”

– Co z takimi jak ty i ja? – kontynuował Johannes. – Wszyscy wiedzieliśmy, że spędzimy poza krajem, poza Nowym Crobuzon, lekko licząc pięć lat. Pomyśl, jaka z nas była pstrokata zbieranina. Oceniam, że bardzo niewielu pasażerów łączyły z miastem nierozzerwalne więzi. Zgoda, po przyjeździe tutaj są wytrąceni z utartych kolein, zaskoczeni, zdezorientowani, wystraszeni. Ale nie przetrąceni. Czy kolonizatorom Nova Esperium nie obiecuje się „nowego życia”? Czy nie tego większość z nas szukała?

„Być może większość, ale nie wszyscy” – pomyślała Bellis. „A jeśli koniecznym warunkiem popuszczenia nam smyczy jest zadowolenie z życia tutaj, to przecież bardzo łatwo mogą się pomylić w ocenie”.

– Nie sądzę – stwierdził Johannes – by byli tak naiwni, żeby pozwolić nam żyć bez żadnej kontroli. Zdziwiłbym się, gdyby nas nie obserwowali. Podejrzewam, że jesteśmy pod obserwacją. Zresztą, co moglibyśmy zrobić? To jest miasto, a nie szalupa, którą można sterować albo zatopić. Tylko załoga może stwarzać jakiegokolwiek problemy.

Wielu ma rodziny, które na nich czekają. To oni najprędzej odmówią pogodzenia się z faktem, że to jest ich nowy kraj.

„Tylko oni?” – pomyślała Bellis, której zrobiło się gorzko w gardle.

– Więc co z nimi będzie? – spytała wyzutym z emocji głosem. – Podzielią los kapitana? Cumbershuma?

– Słyszałem... – wzdrygnął się Johannes – że spotyka to tylko kapitanów i pierwszych oficerów napotkanych statków. Że mają oni zbyt wiele do stracenia, że są szczególnie silnie związani z macierzystym portem...

Jego mina miała w sobie coś wazeliniarskiego i przymilnego. Bellis, która czuła się coraz bardziej obco, zdała sobie sprawę, że jest sama.

Przyszła tutaj z myślą, że może uda się porozmawiać z Johannesem o Nowym Crobuzon, że on podzieli jej smutek, że Bellis dotknie okaleczonej części swojej duszy i porozmawia o ludziach i ulicach, za którymi tak bardzo tęskni. A może nawet poruszą temat, którym od tygodni podszyte były jej myśli: ucieczka.

Johannes aklimatyzował się jednak. Pilnował się, żeby mówić neutralnym tonem jak autor reportażu. Ale nie był neutralny: bronił władz miasta. Znalazł na Armadzie coś, co sprawiło, że gotów był uznać ją za swoją nową ojczyznę.

„Jak oni to osiągnęli?” – pomyślała. „Co on robi?”

– Co jeszcze słyszałeś? – spytała po dłuższej chwili lodowatego milczenia.

– Z wielką przykrością się dowiedziałem, że wśród tych, którzy zaraz po przyjeździe padli ofiarą chorób, był Mollificatt – powiedział z autentycznie smutną miną. Skundlona i zmienna populacja Armady była nosicielką rozlicznych chorób. Rdzenni mieszkańcy byli na nie uodpornieni, ale na każdy kontyngent wprowadzonych rzucały się infekcje i zakażenia, od których jakiś ich odsetek nieuchronnie umierał.

– Doszły mnie pogłoski, że nasz nowy towarzysz podróży, pan Fennec, pracuje gdzieś w Niszczukowodach albo okręgu Tobietwój. Siostra Meriope... – Uniósł brwi i

pokręcił głową. – Siostra Meriope jest przetrzymywana w szpitalu dla własnego bezpieczeństwa. Stale grozi, że coś sobie zrobi. Bellis – dokończył szeptem – ona spodziewa się dziecka.

Bellis wywinęła oczami do nieba.

„Nie mogę tego słuchać” – pomyślała Bellis, która odzywała się tylko dla zachowania pozorów, że uczestniczy w tej rozmowie. Czuła się samotna. „Pikantne tajemnice i frazesy. Co jeszcze usłyszę?” – zastanawiała się z pogardą, kiedy Johannes odfajkowywał listę pasażerów i oficerów „Terpsychorii”. „Któryś z zaufanych marynarzy w rzeczywistości był kobietą, która się przebrała, bo chciała pływać po morzu? Miłość i sodomia wśród załogi?”

Tego wieczoru Johannes miał w sobie coś godnego politowania. Taka myśl nigdy wcześniej nie postąpiła jej w głowie.

– Skąd o tym wszystkim wiesz, Johannesie? – spytała w końcu Bellis. – Gdzie mieszkasz? Co robisz?

Johannes przełknął ślinę i długo wpatrywał się w swój kieliszek.

– Bellis... – Zwykle restauracyjne odgłosy dokoła zdawały się bardzo głośne. – Bellis... Czy mogę ci to powiedzieć w zaufaniu? – Westchnął i podniósł na nią wzrok. – Pracuję dla Kochanków. Nie w dzielnicy Niszczukowody, tylko bezpośrednio dla nich. Mają zespół badawczy, który pracuje nad... – Pokręcił głową i uśmiechnął się zachwycony. – Nad absolutnie niezwykłym projektem. Wyjątkowa okazja. Zaprośili mnie, abym do nich dołączył, ze względu na moje dotychczasowe dokonania. Czytali niektóre moje prace i uznali, że chcą, abym z nimi pracował.

Zdała sobie sprawę, że Johannes nie posiada się z radości. Był jak dziecko, zupełnie jak dziecko.

– To są taumaturgowie, oceanolodzy, biolodzy morscy. Do zespołu należy człowiek, który brał udział w napadzie na „Terpsychorię”

– Uther Doul. To on wszystkim zawiaduje. Jest filozofem. Realizowanych jest wiele różnych projektów. Z kryptogeografii, teorii prawdopodobieństwa i z tego, nad czym ja pracuję. Człowiek, który stoi na czele tego projektu, jest fascynujący. Był w komitecie powitalnym: wysoki starzec z brodą.

– Pamiętam – powiedziała Bellis. – Podszedł do ciebie.

Uczucie, które przebiegło po twarzy Johannesesa, mieściło się gdzieś pomiędzy skruchą a rozradowaniem.

– Tak. Nazywa się Tintinnabulum. Myśliwy, samotnik, zatrudniony przez miasto. Mieszka na „Kastorze” z siedmioma innymi mężczyznami, tam gdzie Niszczukowody graniczą z Ałozowicami i Książkowicami. Mały statek z dzwonnica... Prowadzimy takie fascynujące badania – powiedział nagle i na widok jego radości Bellis zrozumiała, w jaki sposób Armada go kupiła. – Sprzęt mają przestarzały i zawodny, maszyny analityczne są stare jak świat, ale to tylko przydaje naszej pracy radykalizmu. Mam do nadrobienia wiele miesięcy badań. Uczę się salt. Moja praca polega na czytaniu przeróżnych rzeczy. – Uśmiechnął się do niej z niedowierzającą dumą. – Projekt opiera się na pewnych podstawowych tekstach. Jeden z nich jest mój. Potrafisz w to uwierzyć? Czy to nie jest niesamowite? Pochodzą z całego świata. Z Nowego Crobuzon, z Khadoh. Są też tajemnicze książki, których nie

możemy znaleźć. W ragamoll, w salt, pisane pismem księżycowym... Jeden z najważniejszych tekstów został ponoć napisany w wysokim kettai. Skompilowali listę z bibliografii zamieszczonych w książkach, które mamy. Bogowie raczą wiedzieć, skąd oni wytrzasnęli taką fantastyczną bibliotekę, Bellis. Połowy z tych książek nie mogłem u nas znaleźć...

– Ukradli je, Johannesie – powiedziała, co go uciszyło. – To jest odpowiedź na twoje pytanie. Każdy tom w Bibliotece Wielkiego Mechanizmu jest kradziony, co do jednego. Ze statków, z pładowanych miast na wybrzeżu. Ukradziony takim ludziom jak ja, Johannesie. Książki, które napisałam, zostały mi odebrane. W ten sposób je zdobywają. – W jej trzewia wpełzał jakiś chłód. – Powiedz mi... – Napita się wina, wzięła głęboki wdech i zaczęła jeszcze raz: – Powiedz mi, Johannesie, czy to nie jest raczej niezwykle, że z całego pieprzonego oceanu, z całego bezkresnego morza wydłubali akurat ten statek, który wioził ich intelektualnego bohatera?

Znowu ujrzała w jego oczach ten przepraszający melanż poczucia winy i uniesienia.

– Tak – odparł ostrożnie. – O tym też chciałem z tobą porozmawiać, Bellis.

Wiedziała, co powie Johannes, i brzydziła się nim, ale wciąż go lubiła, bardzo go lubiła, tak bardzo chciała się mylić, że nie wstała do wyjścia. Chciała, aby wyprowadził ją z błędu, chociaż wiedziała, że tak się nie stanie.

– To nie był zbieg okoliczności, Bellis – usłyszała słowa Johannesesa. – Mają agenta na Salkrikaltorze. Dostają spisy pasażerów płynących do kolonii. Wiedzieli, że płyniemy. Wiedzieli, że ja płynę.

Drzwi otworzyły się i zamknęły; podmuch powietrza zakółysał lampami – Przy pobliskim stole ktoś zaśmiał się uroczo. Owiał ich zapach farszu mięsnego. – Dlatego porwali nasz statek. Chodziło im o mnie – powiedział cicho i Bellis zamknęła oczy, przegrana.

– Och, Johannesie – wydusiła.

– Bellis – zaniepokoił się i wyciągnął ku niej dłoń, ale odtrąciła go opryskliwym gestem. „Co, sądzisz, że się rozplączę?” – pomyślała z furią.

– Pozwól sobie powiedzieć, Johannesie, że jest kolosalna różnica między pięcioletnim czy nawet dziesięcioletnim wyrokiem a dożywociem. – Nie mogła na niego patrzeć. – Może dla ciebie, dla Meriope, dla sióstr Cardomium i kogo tam jeszcze Nova Esperium oznaczała nowe życie, ale nie dla mnie. Nie dla mnie! Dla mnie to była ucieczka, konieczna i tymczasowa. Urodziłam się w Chnum, Johannesie. W Mafaton zdobyłam wykształcenie. W Brock Marsh mężczyzna mi się oświadczył. Na Polach Salacusa zerwałam z nim. Nowe Crobuzon to moja ojczyzna. Na zawsze pozostanie moją ojczyzną. – Johannes patrzył na nią z rosnącym zakłopotaniem. – Nie interesują mnie kolonie. Nie interesuje mnie zasrana Nova Esperium. Ani trochę. Nie chcę żyć z bandą sprzedajnych nieudaczników, przetrąconych niebieskich ptaków, pohańbionych zakonnic, biurokratów zbyt niekompetentnych albo mających za słabe plecy, żeby wrócić do kraju, ziejących do nas nienawiścią przerażonych tubylców... Dalijabber, Johannesie, nie interesuje mnie morze. Lodowate, obrzydliwe, brudne, monotonne, cuchnące... Nie interesuje mnie to miasto! Nie chcę mieszkać w *curio*, Johannesie. To jest wesołe miasteczko! To jest straszak na dzieci! „Nawodne Miasto Piratów”! Nie chcę tego! Nie chcę mieszkać w tym wielkim, rozkołysanym pasożycie, który wysysa ze swoich ofiar ostatnią krew jak jakiś zasrany, wielki nartnik. To nie jest miasto, Johannesie – tylko prowincjonalne miasteczko, które nie ma nawet dwóch kilometrów powierzchni, i ja tego nie chcę... Zamierzałam wrócić do Nowego Crobuzon. Absolutnie nie chciałam

dożyć swoich dni poza nim. Jest brudny, okrutny, trudny i niebezpieczny – zwłaszcza dla mnie, zwłaszcza teraz – ale to moja ojczyzna. Nigdzie na świecie nie takiej kultury, przemysłu, ludności, taumaturgii, języków, sztuki, książek, polityki, historii... Nowe Crobuzon to najwspanialsze miasto w Bas-Lag. – W ustach Bellis, a zatem osoby pozbawionej złudzeń co do brutalności, nędzy i ucisku w Nowym Crobuzon, deklaracja ta robiła znacznie większe wrażenie niż w ustach jakiegokolwiek parlamentarzysty. – I ty mi mówisz – dokończyła – że przez ciebie zostałam na całe życie wygnana z mojego miasta? Johannes patrzył na nią zdruzgotany.

– Nie wiem, co powiedzieć, Bellis. Mogę cię tylko przeprosić. To nie była moja decyzja. Kochankowie wiedzieli, że jestem na liście pasażerów. Mieli też inny powód. Potrzebują więcej dział. Być może tak czy owak porwaliby „Terpsychorię”, ale... raczej nie. Chodziło im przede wszystkim o mnie. Ale, Bellis, proszę cię! – Nachylił się ku niej gorączkowo. – To nie była moja decyzja. To nie ja cię tutaj zesłałem. Nie miałem o niczym pojęcia.

– Ale pogodziłeś się z tym, Johannesie – powiedziała Bellis i nareszcie wstała. – Pogodziłeś się. Ty znalazłeś sobie coś, dzięki czemu jesteś tutaj szczęśliwy, Johannesie. Rozumiem, że to nie była twoja decyzja, ale ty też zrozum, że nie mogę siedzieć tutaj jak gdyby nigdy nic i rozmawiać sobie wesoło, skoro to przez ciebie zostałam pozbawiona ojczyzny... I nie nazywaj ich zasranymi Kochankami, jakby ta para zboczeńców była konstelacją niebieską albo czymś w tym rodzaju. Robisz się cały nabożny, jak o nich mówisz. Są tacy jak my, Mają imiona i nazwiska. Mogłeś powiedzieć nie, Johannesie. Mogłeś odmówić.

Kiedy odwróciła się do wyjścia, zawołał jej imię. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby odezwał się takim tonem, kamiennym i wściekłym. Była w szoku.

Patrzył na nią z rękami splecionymi na stole.

– Bellis – powiedział tym samym tonem – przykro mi, naprawdę bardzo mi przykro, że czujesz się wygnana ze swojej ojczyzny. Nie miałem o niczym pojęcia. Ale co właściwie budzi twój sprzeciw? Że żyjesz w pasożytniczym mieście? Bardzo wątpliwy argument. Nowe Crobuzon jest może bardziej subtelne w swoim codziennym funkcjonowaniu, ale spróbuj powiedzieć mieszkańcom ruin Suroch, że Nowe Crobuzon nie jest piratem... Kultura? Nauka? Sztuka? Bellis, czy ty w ogóle nie zdajesz sobie sprawy, gdzie jesteś? To miasto jest sumą setek kultur. Każde nadmorskie państwo straciło swoje okręty na skutek wojny, porwań i dezercji. I trafiły tutaj. Z nich zbudowana jest Armada. To miasto jest sumą zaginionych statków z całych dziejów. Mieszkają tutaj wagabundy i pariasi z kultur, o których Nowe Crobuzon nawet nie słyszało. Zdajesz sobie z tego sprawę? Rozumiesz, co to oznacza? Renegaci z różnych kultur spotykają się tutaj, zachodzą na siebie jak rybie łuski i tworzą coś nowego. Okręty Armady puły fale Wezbranego Oceanu w gruncie rzeczy od zawsze, zbierając wyrzutków i uciekinierów wszystkich krajów. Dalijabber, Bellis, jak możesz być taką ignorantką...? Historia? Legendy i pogłoski o tym kraju krążyły wśród narodów morskich od stuleci. Wiedziałaś o tym? Znasz jakieś opowieści marynarzy? Najstarszy okręt Armady liczy ponad tysiąc lat. Statki się zmieniają, ale miasto wywodzi swoje dzieje co najmniej z czasów Wojen Mięsożerców, a niektórzy mówią nawet, że powstało w epoce Imperium Widmowców. Miasteczko? Nikt nie zna liczby ludności Armady, ale wynosi ona co najmniej setki tysięcy. Policz te wszystkie warstwy pokładów. Tutejsze ulice przypuszczalnie nie ustępują w kilometrach bieżących ulicom Nowego Crobuzon... Nie wierzę ci, Bellis. Nie sądzę, aby istniały jakieś obiektywne powody, dla których nie chcesz tutaj żyć, dla których wolisz Nowe Crobuzon. Myślę, że po prostu tęsknisz za domem. Nie zrozum mnie źle. Nie musisz się z niczego tłumaczyć. To zrozumiałe, że kochasz

Nowe Crobuzon. Ale całe twoje gadanie w gruncie rzeczy sprowadza się do jednego: „Nie podoba mi się tutaj, chcę do domu”. – Po raz pierwszy spojrział na nią z czymś zbliżonym do niechęci. – Ale jeśli położyć twoje pragnienie powrotu naprzeciw pragnień kilkuset prze-tworzonych z „Terpsychorii”, którzy nie są już traktowani jak zwierzęta, to obawiam się, że nie przeważą ono szali.

Bellis wbiła w niego wzrok.

– Gdyby ktoś przypadkiem doniósł władzom – powiedziała lodowatym tonem – że przypuszczalnie nadaję się do internowania i relacji, to przysięgam ci, że skończyłabym ze sobą.

Groźba była idiotyczna i zupełnie gołostowna, o czym Johannes w jej przekonaniu wiedział, ale Bellis nie chciała się poniżyć i prosić go o cokolwiek. Wiedziała, że jest w jego mocy napytać jej poważnej biedy. Był kolaborantem.

Odwróciła się i wyszła na deszcz, który wciąż spowijał Armadę niczym całunem. Tak wiele rzeczy chciała mu powiedzieć, o tak wiele rzeczy zapytać. Chciała porozmawiać o platformie „Sorgo”, tej gigantycznej, buchającej płomieniami enigmie, która teraz stała w zatoczce statków. Chciała wiedzieć, czy Kochankowie ją ukradli, jakie jest jej działanie, jakie mają co do niej plany. Co się stało z załogą? Gdzie jest geoempata, którego nikt nie widział? Była pewna, że Johannes to wszystko wie, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby z nim jeszcze kiedykolwiek porozmawiać.

Nie umiała wytrząsnąć z uszu jego opowieści. Miała gorącą nadzieję, że jej słowa wciąż go dręczyły.

Rozdział ósmy

Na drugi dzień rano, spoglądając przez okno, Bellis zobaczyła nad dachami i kominami, że miasto się porusza.

O niewiadomej porze nocy setki holowników, które bezustannie kręciły się wokół Armady, zostały zaprzęgnięte. Grubymi łańcuchami przymocowano je do obręczy miasta. Rozpostarły się w wachlarz, naprężając łańcuchy.

Bellis przywykła do kompasowej niekonsekwencji miasta. Jednego dnia słońce wschodziło na lewo od jej mieszkania w dawnym kominie statku, a drugiego dnia na prawo, bo w nocy Armada obróciła się powoli. Wybryki słońca mocno utrudniały orientację. Z braku widocznego stałego ładu można się było oprzeć tylko na położeniu gwiazd, a patrzenie w gwiazdy zawsze nudziło Bellis: nie należała do osób, które potrafią natychmiast rozpoznać Trójroźca, Niemowlę czy inne konstelacje. Nocne niebo nic dla niej nie znaczyło.

Dzisiaj słońce weszło prawie dokładnie na wprost jej okna. Statki, które holowały ciężar Armady, napinając łańcuchy, znajdowały się w jej polu widzenia. Po chwili oceniła, że płyną na południe.

Ten tytaniczny wysiłek wzbudził w niej podziw. Jak mrówki ciągnące olbrzyma. Trudno było określić prędkość tego ruchu, ale przepływ wody między statkami i chlapanie fal o obrzeża miasta kazały Bellis uznać, że jest ona porażająco niska.

„Dokąd płyniemy?” – dumiała bezsilnie.

Poczuła dziwne zawstydzenie. Od jej przybycia do Armady minęło wiele tygodni, lecz zdała sobie sprawę, że nie zastanawiała się nad ruchem miasta, nad jego morską wędrówką nad jego kursem, nie zadała sobie pytania, w jaki sposób piracka flota odnajduje drogę do ruchomego portu. Nagle przypomniała sobie słowną napaść Johannaesa i ciarki ją przeszły.

Część z tego, co mówił, była prawdą.

Podobnie jak wiele z jej słów, rzecz jasna. Bellis wciąż była na niego zła. Nie chciała mieszkać na Armadzie i myśl o tym, że miałyby dożyć swoich dni na tym wysypisku butwiejących kryp, wzbudziła w niej złość tak silną, że bliską paniki. Ale mimo wszystko...

Mimo wszystko prawdą było, że zamknęła się w skorupie własnego nieszczęścia. Nie miała pojęcia nie tylko, w jakiej sytuacji się znalazła, ale i nie знаła zupełnie historii i życia politycznego Armady. Zdała sobie sprawę, że to niebezpieczne. Nie rozumiała gospodarczego funkcjonowania miasta. Nie wiedziała, skąd przyplływają statki zawijające do Basilio i Portu Jeżowca. Nie wiedziała, gdzie w danej chwili znajduje się miasto i dokąd płynie.

Zaczęła otwierać się na rzeczywistość, kiedy stała w szlafroku i patrzyła, jak słońce wlewa się między dziobami sunącego powoli miasta. Poczowała, że jej ciekawość rozchyła płatki.

„Kochankowie...” – pomyślała z niesmakiem. „Zacznijmy od tego. Dalijabber, Kochankowie. Na Jabbera, kim oni są?”

Szekel pił z nią kawę na górnym pokładzie biblioteki.

Był bardzo przejęty. Powiedział jej, że robi coś z pewną osobą i coś innego z drugą, że z trzecią się pobił, że czwarta mieszka w Pragnieniowicach. Bellis była zdruzgotana faktem, że dzieciak tak dobrze zna miasto. Skandal własnej niewiedzy znowu stanął jej przed oczyma i uważnie słuchała bezładnych wynurzeń Szekla.

Powiedział jej o Hedrigallu, aeronaucie-kaktusie. Powiedział Bellis o niechlubnej przeszłości kaktusa jako pirata-kupca pod banderą Dreer Samher i opisał jej podróżę Hedrigalla na monstrualną wyspę na południe od Gnurr Kett, gdzie handlował z ludźmi-moskitami.

Bellis wypytywała go o poszczególne okręgi, o dzielnicę nawiedzaną przez upiory, o platformę „Sorgo”, o Tinnabulum. Było to jak odsłanianie kolejnych kart.

– Tak, znam Tinnabola – odparł. – I jego kumpli. Dziwni kolesie. Makler, Metzger, Promus, Tinnabol. Jeden nazywa się Argentarius, wariat, nikt się z nim nie spotyka. Reszty nie pamiętam. Wnętrze „Kastora” jest całe w trofeach. Ohyda. Morskie trofea. Na każdej ścianie. Wypchane ryby-młoty i orki, różne paskudztwa z pazurami i mackami. Czaszki. I harpuny. Heliotypy załogi stojącej na trupach stworzeń, których wolałbym nigdy nie zobaczyć. To myśliwi. Są w mieście od niezbyt dawna. Nie zostali uprowadzeni. Krąży kupa historii i plotek o tym co robią i dlaczego tutaj są. Tak jakby na coś czekali. – Bellis nie mogła zrozumieć, skąd Szekel tak dużo wie o Tinnabulu – dopóki nie podjął z szerokim uśmiechem: – Tinnabul ma asystentkę, Angevine. Interesująca kobitka. Znowu się uśmiechnął i Bellis odwróciła głowę, zażenowana jego cielejącym entuzjazmem.

Na Armadzie były drukarnie, autorzy, wydawcy i tłumacze, wydawano nowe książki i przekłady klasycznych tekstów na język salt. Ale brakowało papieru: nakłady były bardzo małe, a książki drogie. Okręgi korzystały z usług Biblioteki Wielkiego Mechanizmu w Książkowicach i dużo płaciły za prawo do wypożyczania jej zbiorów.

Książki pochodziły głównie z działalności pirackiej okręgu Niszczukowody. Od nieznanego stuleci ten najbardziej wpływowy okręg na Armadzie oddawał wszystkie swoje zasoby książkowe w darze Pamięcioimpulsowni. Niezależnie od tego, kto rządził Książkowicami, darowizny te zapewniały Niszczukowodom lojalność władz tego okręgu. Inne okręgi naśladowały tę praktykę, chociaż może bez tak ścisłego nadzoru. Pozwalały uprowadzonym zachować jeden czy dwa woluminy albo prehandlowywały najrzadsze pozycje ze zdobytych przez siebie zbiorów. W

Niszczukowodach, gdzie indywidualne gromadzenie książek traktowano jako poważne przestępstwo, proceder ten był nieznanym.

Od czasu do czasu statki z Niszczukowód wyprawiały się do nadmorskich osad Bas-Lag i wywoływały burze słowne, po czym piraci chodzili od domu do domu, konfiskując wszystkie znalezione książki i rękopisy. Wszystko dla Książkowic, dla Pamięcioimpulsowni.

Dostawa łąpu odbywała się w sposób ciągły, dlatego Bellis i jej współpracownicy stale mieli zajęcie.

Nowi przybysze rasy khepri, których Statki Miłosierdzia na chybił trafił porwała Armada, ponad stulecie wcześniej przejęli okręg Książkowice w wyniku subtelного zamachu stanu. Starczyło im mądrości, by mimo tradycyjnego braku zainteresowania kheprich tekstami pisany mi – złożoność ich oczu nieco utrudniała czytanie – zdać sobie sprawę, jak ważną rolę odgrywa biblioteka w życiu tego okręgu. Ich bibliotekarska posługa trwała po dziś dzień.

Bellis nie umiała oszacować liczby książek: na statkach bibliotecznych było całe mnóstwo maleńkich, starych ładowni, przerobionych kominów i grodzi, ogołoconych z wyposażenia kajut i dobudówek wypchanych po brzegi tekstami, w tym wieloma starożytnymi, a tysiący z nich od dawna nikt nie miał w rękach.

Katalogi nie obejmowały całości zbiorów. W niedawnych wiekach powstała machina urzędnicza, której funkcją było sporządzanie spisu zbiorów biblioteki, ale za niektórych rządów biurokraci byli mniej staranni niż za innych. Ciągłe zdarzały się pomyłki. Niektóre nowe nabytki odkładano na półki w przypadkowe miejsca, po niedostatecznym sprawdzeniu. Do systemu katalogowania wkładały się błędy i rodziły kolejne błędy. W bibliotece kryły się woluminy z całych dziesięcioleci, na widoku, lecz niewidoczne. Krążyły plotki i legendy o ich magicznej, utraconej, ukrytej czy zakazanej treści.

Idąc po raz pierwszy ciemnymi korytarzami, Bellis wiodła palcem po kilometrach półek. Wyjęła na chybił trafił jakąś książkę, otworzyła i struchlała na widok nazwiska ręcznie wypisanego blaknącym atramentem u góry pierwszej strony. Wyciągnęła inny tom i zobaczyła inne nazwisko, wykaligrafowane w tylko trochę mniej odległych czasach. Trzeciej książki nikt nie oznaczył jako swojej, ale w czwartej znów widniało nazwisko jakiegoś dawno zmarłego właściciela.

Bellis stała bez ruchu i wpatrywała się w te nazwiska. Nagle poczuła lęk, coś jakby klaustrofobię związaną z tym miejscem. Była zamknięta pośród kradzionych książek, zakopana w nich jak w ziemi. Pomyślała o niezliczonych setkach tysięcy nazwisk, które ją otaczały, wypisanych nadaremnie w prawym górnym rogu. Ciężar tego całego zlekceważonego atramentu – tysiący manifestów „to jest moje”, „to jest moje”, które zwyczajnie i władczo zignorowano – zaparł Bellis dech w piersiach. Z jaką łatwością złamano te małe rozkazy!

Miała wrażenie, że kłębią się wokół niej posępne upiory, nie umiejąc przyjąć do wiadomości, że woluminy nie należą już do nich.

Tego dnia, sortując nowe nabytki, Bellis trafiła na jedną ze swoich książek.

Długo siedziała z rozsuniętymi nogami, oparta o regał, i wpatrywała się w egzemplarz *Kodeksów sawann Wormseye*. Pomacała strzępiący się znajomy grzbiet z wytłaczanym „B. Coldwine”. Był to jej własny egzemplarz: poznała po sposobie zużycia. Przyglądała się trwożnie, jakby to był egzamin, którego mogłaby nie zdać. Na wózku nie było jej drugiej pracy, *Gramatologii wysokiego ket tai* ale znalazła podręcznik ręcznego salkrikaltorskiego, który zabrała ze sobą na „Terpsychorię”.

„W końcu przyszły nasze książki” – pomyślała. Podziało to na nią jak cios pięścią. „To było moje. Zabrano mi to”.

Co jeszcze pochodziło z jej statku? „Czy ten egzemplarz *Czasów przyszłych* należał do doktora Mollificatta?” – zastanawiała się. A *Ortografia i hieroglify* do wdowy Cardomium?”

Nie mogła usiedzieć na miejscu. Wstała i wędrowała po bibliotece, spięta, oszołomiona i zdruzgotana. Wyszła na powietrze i chodziła po kładkach łączących ze sobą statki biblioteczne, tuląc do piersi swoją książkę, aby w końcu wrócić do półmroku przy regałach.

– Bellis? – Podniosła wzrok zaskoczona. Stała przed nią Carrienne, z ustami lekko wykrzywionymi ubawieniem lub zatroskaniem. Była potwornie blada, ale jak zawsze mówiła silnym głosem. Bellis trzymała w rękach książkę. Uspokoila oddech i przegnała kryzys z twarzy, dokonując zamaskowania emocji w rysach twarzy, i zastanawiała się, co powiedzieć. Carrienne wzięła ją za ramię i pociągnęła za sobą. – Bellis – powtórzyła i chociaż na jej twarzy igrał szyderczy uśmiezek, z głosu przebijała autentyczna życzliwość. – Najwyższy czas, żebyśmy się trochę wysiliły i poznały bliżej. Jadłaś już lunch?

Carrienne ciągnęła ją delikatnie korytarzami „Tańczącej Wagi”, po czym częściowo krytym pomostem przeszły na pokład „Pinchermarna”. Bellis myślała sobie po drodze: „To nie w moim stylu, żeby komuś pozwolić się wlec. To do mnie zupełnie niepodobne”. Ale stan oszołomienia, w którym się znajdowała, sprawił, że uległa natarczywości Carrienne.

W wyjściu Bellis uzmysłowiła sobie z zaskoczeniem, że nadal trzyma swój egzemplarz *Kodeksów sawann Wormseye*. Przyciskała go do siebie tak mocno, że krew odpłynęła jej z rąk.

Serce zabiło jej szybciej, kiedy zdała sobie sprawę, że pod opieką Carrienne może po prostu minąć strażnika, nie pokazując mu książki, może opuścić bibliotekę ze swoją kontrabandą.

Lecz im bliżej była drzwi, tym bardziej się wahała, tym gorzej rozumiała swoje pobudki, tym bardziej się bała, że ją złapią. W końcu śmiało, z długim westchnieniem, odłożyła monografię na stolik obok lady, Carrienne obserwowała ją z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. W świetle za drzwiami Bellis spojrzała za siebie na porzucony wolumin i poczuła przyływ jakiejś rozedrganej emocji.

Nie umiała powiedzieć, czy jest to poczucie triumfu czy klęski.

„Psire” był największym statkiem Pamięcioimpulsowni. Ten wielki parowiec archaicznej konstrukcji został przerobiony na potrzeby przemysłu i taniego mieszkalnictwa. Na jego tylnym pokładzie wznosiły się krępe, betonowe bloki, zapaskudzone lepami na ptaki. Sznury z praniem wisały między oknami, z których wychylali się ludzie i khepri, aby prowadzić sąsiedzkie rozmowy. W ślad za Carrienne Bellis zeszła po drabince sznurowej, pośród zapachu soli i wilgoci, na galerę w cieniu „Psire”.

Pod pokładem galery znajdowała się restauracja, pełna zgiełkliwych stołowników. Kelnerzy wywodzili się spośród kheprich i ludzi, były nawet dwa pordzewiałe konstrukty. Maszerowali wąskim przejściem między dwoma rzędami ław, stawiając przed klientami miski z owsianką oraz talerze z czarnym chlebem, sałatkami i serami.

Carrienne złożyła zamówienie, po czym spojrzała na Bellis ze szczerym zatroskaniem.

– Co się z tobą dzieje? – spytała. Bellis podniosła na nią oczy i przez jedną straszną chwilę miała wrażenie, że się rozplacze. Szybko jej przeszło i przybrała maskę spokoju. Odwróciła wzrok od Carrienne ku innym klientom, ludziom, kheprim i ludziom-kaktusom. Parę stołów dalej siedziały dwa llogissy. Ich trójwidlaste ciała zdawały się zwrócone we wszystkie strony naraz. Za jej plecami połyskiwało ziemnowodne stworzenie z Ciepłarni, należące do jakiegoś kompletnie dla niej egzotycznego gatunku. Czuła, że chlupoczące fale poruszają restauracją. – Wiem, co mam przed oczyma, Bellis – powiedziała Carrienne. – Ja też zostałam uprowadzona.

Bellis podniosła raptownie głowę.

– Kiedy?

– Niecałe dwa lata temu. – Carrienne wyglądnęła przez okno na port Basilio i pracowite holowniki, które wciąż ciągnęły za sobą miasto. Powiedziała coś powoli i wyraźnie w języku, który Bellis prawie rozumiała. Analityczna część jej umysłu lingwistki zaczęła zestawiać dźwięki, katalogować charakterystyczne rytmiczne spółgłoski szczelinowe ale Carrienne ją ubiegła. – Tak się mawiało w starym kraju do ludzi którzy mieli zły nastrój. Głupi frazes w stylu: „Mogło być gorzej.” Dosłownie to znaczy: „Dalej masz oczy, a twoje okulary nie są rozbite”. – Nachyliła się i uśmiechnęła. – Ale nie obrażę się, jeśli nie poprawi ci to humoru. Jestem dalej od mojej pierwszej ojczyzny niż ty, Crobuzonko. Ponad trzy tysiące kilometrów dalej. Pochodzę z Cieśniny Ognistej Wody. – Zaśmiała się na widok uniesionej brwi i niedowierzającej miny Bellis. – Z wyspy Geshen, kontrolowanej przez Wiedźmokrację. – Skosztowała karłowatego, armadyjskiego kurczaka. – Przez Wiedźmokrację, bardziej uroczyście zwaną Shud zar Myrion zar Koni. – Wykonała żartobliwy gest w stylu „abrakadabra”. – Miasto Szczurdzinów, Ul Tryskającego Smutku i tak dalej. Wiem, co wy, Crobuzończycy, o nas mówicie. Bardzo niewiele z tego pokrywa się z prawdą.

– Jak cię uprowadzono? – spytała Bellis.

– Dwukrotnie. Najpierw mnie raz ukradli, a potem zrobili to znowu. Płynęliśmy naszym trawlerem wyciągowym do Kohnid w Gnurr Kett. To była długa, ciężka podróż. Miałam siedemnaście lat. Wygrałam konkurs na galion i konkubinę. Dni spędzałam przywiązana do bukszprytu, rozsypując przed okrętem płatki orchidei, a noce schodziły mi na stawianiu mężczyznom pasjansów albo w ich łózkach. Było to monotonne, ale dni mi się podobały: wisałam sobie, śpiewałam, spałam, obserwowałam morze. Zostaliśmy jednak zaatakowani przez wojenną kogę z Dreer Samher. Samheryjczycy zazdrośnie strzegli swego handlu z Kohnid. Mieli monopol... Dalej mają? – Bellis mogła tylko pokręcić niepewnie głową w znaczeniu: „Nie wiem”. – Przywiązali naszego kapitana na moim miejscu pod bukszprytem i puścili statek w dryf. Większość naszych ludzi powsadzali do szalup z niewielką ilością zapasów i skierowali ku brzegowi. Wątpię, czy dopłynęli, mieli za daleko. A niektórych z nas zatrzymali na swoim statku.

Nie taktowali nas źle, jeśli pominąć kajdany i chamskie odzywki. Zachowałam się jak idiotka rozmyślaniami o tym, co ze mną zrobią, a potem przyszedł drugi atak. Okrąg Pragnieniowice potrzebował statków wystąpi w morze kłusowników. Armada znajdowała się wtedy na południe stąd, toteż Dreer Samher było pod ręką.

– No i jak ci się...? Ciężko było, jak cię tutaj przywieźli?

Carrienne przyglądała się jej przez jakąś chwilę.

– Niektórzy z ludzi-kaktusów nigdy się nie przystosowali. Odmawiali, próbowali uciekać, rzucali się na strażników. Sądzę, że ich zabito. Ja i moi towarzysze... – Wzruszyła ramionami. – Nasza sytuacja była zupełnie inna, bo Armada nas

uratowała. Ale tak, było ciężko, byłam nieszczęśliwa, tęskniłam za swoim bratem i tak dalej. Ale widzisz, dokonałam wyboru. Wybrałam życie, przetrwanie... Po jakimś czasie niektórzy moi współpasażerowie ze statku wyprowadzili się z Pragnieniowic. Jeden mieszka w Ałozowicach, inny w dzielnicy Tobietwój. Ale większość z nas została w okręgu, który nas przyjął. – Na moment zajęła się jedzeniem, aby znowu podnieść wzrok. – To jest możliwe, Bellis. Zdomowisz się tutaj.

Intencja była pocieszająca, przez Carrienne przemawiała życzliwość, ale w uszach Bellis słowa te zabrzmiały jak groźba.

Carrienne mówiła jej o okręgach.

– Niszczukowody znasz – mówiła beznamiętnym tonem. – Kochankowie. Pokryci bliznami Kochankowie. Popieprzeni dranie. Pamięcioimpulsownię znasz.

„Dzielnica intelektualistów, jak Brock Marsh w Nowym Crobuzon” – pomyślała Bellis.

– Ałozowice, dzielnica strupodziejów. Ciepłarnia. Tobietwój. – Carrienne odliczała okręgi na palcach. – Czasy. Budy. Rada Demokratyczna. Dzielnia reduta rządów ludu. I Pragnieniowice – dokończyła. – Tam, gdzie ja mieszkam.

– Dlaczego wyjechałaś z Nowego Crobuzon, Bellis? – spytała nieoczekiwanie. – Nie wyglądasz mi na typ kolonistki. Bellis spuściła wzrok.

– Musiałam. Miałam kłopoty.

– Z prawem?

– Coś się stało... – Westchnęła. – Nic nie zrobiłam. Absolutnie nic. – Mimo woli głos miała zaprawiony goryczą. – Kilka miesięcy temu w mieście szalała choroba. Chodziły plotki, że znam jedną z osób, które maczały w tym palce. Milicja rozpracowywała całe jego środowisko, wszystkie osoby, z którymi miał styczność. W końcu dotarliby do mnie. Nie chciałam wyjeżdżać. To nie był wolny wybór.

Lunch towarzystwo, nawet czcze pogaduszki, którymi Bellis zasadniczo gardziła, wszystko to podziałało na nią uspokajająco. Kiedy wstawały do wyjścia, spytała Carrienne, czy dobrze się czuje.

– Zauważyłam w bibliotece... Nie miej mi za złe, że to powiem, ale wydałaś mi się dosyć blada.

Carrienne uśmiechnęła się cierpko. – Po raz pierwszy zapytałaś mnie o samopoczucie, Bellis. Uważaj z tym, bo zacznę myśleć, że nie masz mnie kompletnie gdzieś. – Żartobliwy przytyk zabołał. – Nic mi nie jest. Po prostu wczoraj wieczór zostałam opodatkowana.

Bellis pogrzebała w informacjach, które zdążyła już sobie przyswoić, dla sprawdzenia, czy wypowiedź Carrienne nabierze sensu. Nie nabrała.

– Nie rozumiem – powiedziała, zmęczona tymi ciągłymi łamigłówkami.

– Mieszkam w Pragnieniowicach, Bellis – powiedziała Carrienne. – Czasem nas opodatkowują, kapujesz? Wiesz, że naszym władcą jest Brucolac, prawda? Słyszałaś o nim?

– Nazwisko słyszałam, ale nic o nim nie wiem.

– Brucolac. Nasz oupyr. Loango. Katakana. – Po każdym ezoterycznym słowie Carrienne szukała w oczach Bellis błysku rozpoznania, ale nie znalazła. – Hemofag, Bellis. Nieumarły. Wampir.

Otoczona od wielu tygodni kłębem plotek i sugestii podobnych do natarczywych muszek, Bellis dowiedziała się co najmniej trochę o każdym z okręgów. Wszystkie te dziwaczne femtopaństewka spięte razem w niezdrową wspólnotę, darzące się nawzajem niechęcią i walczące o wpływy metodą intryg.

Jakimś cudem jednak ominęły ją sprawy najbardziej bulwersujące, najbardziej niesamowite, najbardziej przerażające. Tego dnia wieczorem pomyślała o tej chwili, kiedy jej uzmysłowiono, jaką jest ignorantką: Carrienne wyjaśniła jej przyczyny swojej błądności i Bellis zdała sobie sprawę, jak daleko od domu się znalazła.

Ucieszyła się, że jej reakcja na taką odpowiedź ograniczyła się do zblednięcia. Coś w niej zhardziało, kiedy usłyszała słowo „wampir” – to samo w ragamoll i salt. Carrienne uzmysłowiła jej w tym momencie, że to jest już kres podróży, że już bardziej nie oddali się od swego kraju.

Na Armadzie mówili językiem, który rozumiała. Rozpoznawała statki, mimo przeróbek i remontów. Na Armadzie funkcjonowały pieniądze i rząd. Różnic w kalendarzu i terminologii mogła się nauczyć. Architektura oparta na znaleziskach i wrakach była dziwaczna, lecz do ogarnięcia. Ale żeby wampir nie musiał się ukrywać i żerować ukradkiem, żeby mógł chodzić sobie spokojnie nocnymi ulicami, żeby mógł rządzić?!

Bellis uprzytomniła sobie w tej chwili, że wszystkie wyznaczniki kulturowe, którymi się posługiwała, są nieaktualne. Miała dosyć swojej ignorancji.

W katalogu kartkowym „Nauki ścisłe” palce Bellis mknęły przez alfabet, aż dotarły do nazwiska Johannesesa Tearflya. Biblioteka miała więcej niż jeden egzemplarz kilku spośród jego książek.

„Skoro Kochankowie tak strasznie chcieli cię dostać, Johannesie – pomyślała, spisując sygnatury – to zamierzam zajrzeć im w głowy. Zobaczmy, co ich tak podnieciło”.

Jedna z książek była wypożyczona, ale pozostałe dostępne w co najmniej jednym egzemplarzu. Jako pracownik biblioteki, Bellis mogła wypożyczać książki na zewnątrz.

Było bardzo zimno, kiedy wracała do domu przez ciżbę mieszkańców, pod roztrajkotanymi armadyjskimi małpami na takielunku, po rozkołysanych pomostach, pokładach i napowietrznych ulicach miasta, nad falami chlapiącymi między statkami. W powietrzu furczało od wulgarnych zaczepki. Bellis niosła w torbie *Drapieżnictwo w kałużach poodpływowych Zatoki Żelaznej*, *Anatomia sarduli*, *Eseje o dzikich zwierzętach*, *Teorie megafauny* oraz *Życie międzyplaszczynowe jako zagadnienie dla przyrodnika* - wszystkie pozycje autorstwa Johannesesa Tearflya.

Siedziała do późna skulona przy piecu, podczas gdy na zewnątrz zamarzające chmury rozpylały światło księżyca. Czytała w świetle lampy, przeskakując od książki do książki.

O pierwszej w nocy wyrzała przez okno na pogrążony w ciemnościach skutniczy krajobraz.

Wieniec łodzi okalających miasto wciąż holował je do przodu.

Pomyślała o wszystkich armadyjskich statkach, które wyszły w morze, o narzędziach jego piractwa, spijających krew mijanych statków i wspólnot. Miesiącami pokonywały tysiące mil morskich, aż wreszcie wracały obładowane łupami do poruszającego się miasta, jakimiś tajemnymi metodami znajdując drogę.

Miejscy znawcy sztuki żeglarskiej obserwowali niebo i po jego mikroskopijnych zmianach rozpoznawali, że zbliżają się statki. Wydawano wtedy rozkaz, aby holowniki usunęły Armadę z drogi obcym jednostkom. Czasami manewr ten kończył się niepowodzeniem i zagraniczne statki zajmowano, zapraszano do wymiany handlowej lub ścigano. Dzięki tajemnej nauce władze Armady umiały odróżnić własne statki od cudzych i witały je w domu.

Mimo późnej pory z niektórych dzielnic dobiegały odgłosy pracy przemysłu, wybijające się nad szum fal i nocne wołania zwierząt. Między warstwami lin i drewna, które nakładały się na pole widzenia jak rysy na heliotypie, Bellis widziała małą zatokę łodzi od rufowego końca Armady, gdzie stała rozkraczona platforma „Sorgo”. Od wielu tygodni z jej komina buchał ogień i taumatologiczne popłuczyny. Brzydkie bure światło nie pozwalało zobaczyć gwiazd nad platformą.

Ale ten etap dobiegł już końca. Chmury nad „Sorgo” były ciemne. Płomień zgasł.

Po raz pierwszy od przybycia do Armady Bellis pogrzebała w swoich rzeczach i wyjęła zaniedbany list. Usiadła przy piecu, wzięła do ręki pióro i... ostygła w zapale. Potem, zirytowana swoim wahaniem, zaczęła pisać.

Mimo że Armada powoli zmierzała na południe ku cieplejszym wodom, na kilka dni zrobiło się zimno. Wiatry z północy przywiewały mróz. Drzewa, bluszcz, ogródki ozdabiające pokłady statków zmarniały i poczerniały.

Tuż przed atakiem zimna Bellis zobaczyła po stronie bakburty wieloryby, które bawiły się, czerpiąc z tego widoczną radość. Po kilku minutach nagle zbliżyły się do Armady, wzbijając olbrzymimi ogonami gejzery wody, i zniknęły. Prawie natychmiast przyszedł mróz.

W mieście nie było zimy, nie było lata ani wiosny, nie było żadnych pór roku. Była tylko pogoda. Na Armadzie pogoda zmieniała się z funkcji miejsca, a nie czasu. Pod koniec roku, kiedy na Nowe Crobuzon spadały burze śnieżne, Armada pławiła się w Morzu Kominkowym albo wręcz przeciwnie, mieszkańcy siedzieli pod pokładami a członkowie załóg w grubych płaszczach holowali miasto ku kotwicznemu na Niemyim Oceanie, w temperaturach, przy których crobuzońska zima wydawałaby się łagodna.

Armada myszkowała po oceanach Bas-Lag według schematów dyktowanych przez piractwo, handel, rolnictwo, względy bezpieczeństwa i inne niejasne czynniki, przyjmując pogodę z dobrodziejstwem inwentarza.

Zmienny klimat nie sprzyjał roślinności. Flora Armady potrafiła przetrwać dzięki taumatologii, szczęściu i przypadkowi, jak również pewnym zabiegom rolniczym. Stulecia uprawy roślin doprowadziły do powstania wytrzymałych odmian, odpornych na duże zmiany temperatury. Zbiory odbywały się nieregularnie w różnych okresach roku.

Ziemie uprawne rozlokowano na pokładach pod sztucznym oświetleniem. W wilgotnych, starych ładowniach urządzone były pieczarkarnie, a w hałaśliwych, cuchnących kajutach mieszkali pokolenia zwierząt-mieszkańców. Poletka listo wnic i jadalnych morszczyków rosły na tratwach zacumowanych obok drucianych klatek pełnych jadalnych skorupiaków i ryb.

Z upływem dni Tanner coraz biegłej posługiwał się językiem salt i zaczął spędzać więcej czasu z kolegami z pracy. Bawili się w pubach i salach hazardu w porcie Basilio, od strony rufowej. Czasem przychodził też Szekel, który dobrze się czuł w towarzystwie tych ludzi, ale często zabierał się w pojedynkę na „Kastora”.

Tanner wiedział, że chłopak spotyka się z Angevine, kobietą, której Tanner nie miał okazji poznać, służącą albo ochraniarką kapitana Tintinnabuluma. Szekel

opowiedział mu o niej nieporadnym językiem nastolatka. Z początku Tanner był szczerze rozbawiony i miał do tego wyrozumiały stosunek. Z nostalgią wspominał własną młodość.

Szekel spędzał coraz więcej czasu z dziwnymi, skrupulatnymi myśliwymi, którzy mieszkali na „Kastorze”. Pewnego razu Tanner poszedł tam po niego.

Pod pokładem Tanner zagłębił się w porządnie zamieciony korytarz z drzwiami do kajut, na których widniały wywieszki z nazwiskami: „MODIST – przeczytał – FABER i ARGENTARIUS”. Kajuty towarzyszy Tintinnabuluma.

Szekel był w mesie, z Angevine.

Tanner przeżył szok. Angevine miała ponad trzydzieści lat, jak oceniał, i była prze-tworzoną... Szekel mu o tym nie powiedział.

Nogi Angevine kończyły się tuż poniżej ud. Sterczała jak jakiś dziwny galion z przedniej części wózka napędzanego silnikiem parowym ciężkiej maszynierii na gąsienicach, z paleniskiem pełnym koksu i drewna.

„To niemożliwe, żeby urodziła się w mieście” – uzmysłowił sobie Tanner. Tego rodzaju prze-tworzenie było zbyt brutalne, kapryśne, nieekonomiczne i okrutne, żeby dokonano go z innych powodów niż za karę.

Zaliczył jej na plus, że znosi natręctwo chłopaka. Potem zobaczył, z jakim przejściem Angevine rozmawia z Szeklem, jak się ku niemu nachyla – pod dziwnym kątem, zakotwiczona w ciężkim wehikule – jak patrzy mu w oczy. Tanner stanął jak wryty, przeżywszy ponowny szok.

Tanner zostawił Szekla z jego Angevine. Nie spytał, co jest grane. Szekel, nagle wtrącony w nowy dla niego konglomerat uczuć, zachowywał się jak hybryda dziecka i mężczyzny, to chępliwym i strojącym piórka, to poważnym i owładniętym silnymi uczuciami. Tanner zdołał z niego wydobyć, że Angevine została uprowadzona przed dziesięciu laty. Podobnie jak „Terpsychorię”, jej statek skradziono na trasie do Nova Esperium. Angevine również pochodziła z Nowego Crobuzon.

Kiedy Szekel wrócił do małych pomieszczeń przy bakburcie starego statku fabrycznego, Tanner był zazdrosny, a potem skruszony. Postanowił czuwać nad Szeklem, ale bez ograniczania mu swobody.

Tanner usiłował wypełnić powstałą lukę, zawierając nowe przyjaźnie. Spędzał więcej czasu z kolegami z pracy. Robotników portowych łączyła ze sobą silna zażyłość. Tanner brał udział w ich lubieżnych żartach i zabawach.

Otworzyli się na niego, a wciągnęli go do swojej paczki głównie tym, że opowiadali wspaniałe historie. Jako, że był nowy, mieli znakomity pretekst do odgrzania opowiedzenia plotek, które wszyscy z nich słyszeli mnóstwo razy. Któryś wspominał o martwych morzach, wrzących pływach albo węgorzowatym królu i mówił do Tannera: „Pewnie nie słyszałeś o martwych morzach Tanner. Opowiem ci...”.

Tanner Sack nasłuchiwał się najdziwniejszych historii z mórz Bas-Lag i legend o pirackim mieście, a nawet o Niszczukowodach. Dowiedział się o straszliwych sztormach, które przeżyła Armada, poznał historię blizn na twarzach Kochanków, dowiedział się, w jaki sposób Uther Doul złamał kod możliwości i znalazł swój niezwykły miecz.

Brał udział w świętowaniu tego czy innego radosnego wydarzenia – ślubu, narodzin, wygranej w karty. I w mniej wesołych imprezach też. Kiedy podczas portowego wypadku odłamek szkła uciął kobiecie-kaktusce pół ręki, zorganizowano zbiórkę pieniędzy, a Tanner dał taką liczbę oczek i flag, z jaką tylko mógł się bezpiecznie rozstać. Innym razem w okręgu zapanowało przygnębienie na wiadomość, że statek z Niszczukowód, „Groźba Magdy”, zatonął w pobliżu Cieśniny

Ognistej Wody. Tanner pograżył się wraz z innymi w żalobie i jego smutek nie był udawany.

Ale chociaż lubił kolegów z pracy, a w tawernach i przy stołach biesiadnych miło spędzało się wieczory – no i czynił przy tej okazji skokowe postępy w nauce języka salt – nie mógł nie zauważyć, że spotkania te otacza jakaś niejasna atmosfera tajności. Nie mógł zrozumieć, o co w tym chodzi.

Podczas swojej pracy podwodni inżynierowie natrafiali na pewne tajemnice. Cóż to za cienie czasem dostrzega za uwiązany na krótkich postronkach rekinami-strażnikami, za zasłonami maskujących błysków? Jaki jest cel napraw wykonywanych codziennie przez Tannera i jego kolegów? Co to za substancja, którą „Sorgo”, skradziona platforma otaczana przez nich tak troskliwą opieką, wysysa z dna morza tysiące metrów w dół? Tanner wielokrotnie podążał wzrokiem za grubą, segmentowaną rurą i kręciło mu się w głowie, kiedy znikła w morskiej toni.

Jaki jest charakter tego projektu, o którym rozmawia się zaszyfrowanymi uwagami i skinieniami głowy? Jaki jest plan spajający wszystkie ich działania? O którym nikt nie chce mówić otwarcie, lecz wielu zdaje się o nim trochę wiedzieć, a wielu z nieostrożności lub nieposkromionego samochwalstwa udaje, że go rozumie?

Za przemysłem niszczukowodzkim kryło się coś dużego i ważnego lecz Tanner Sack jeszcze nie wiedział, co to jest. Podejrzewał, że wszyscy koledzy podzielają jego niewiedzę, ale mimo to czuł się wykluczony z jakiejś wspólnoty: opartej na kłamstwach, bładzie i bredzeniu od rzeczy.

Niekiedy docierały do niego historie o innych pasażerach, członkach załogi albo więźniach z „Terpsychorii”.

Szekel powiedział mu o zatrudnionej w bibliotece Coldwine. Johannes Tearflya widział osobiście, odwiedzającego port z uzbrojonym w notatniki i porozumiewającym się między sobą półgłosem zespołem o poufny charakterze. Przez głowę Tannera przemknęła cierpka myśl, że hierarchie szybko się odtwarzają, że podczas gdy on zaharowuje się jak idiota pod wodą, jaśnie pan Johannes patrzy sobie, odfajkowuje coś w notesie i gmera w kieszeniach kamizelki.

Hedrigall, zawsze demonstrujący kamienne oblicze człowiek-kaktus siedzący za sterami „Arogancji”, powiedział Tannerowi o niejakim Fenchu, także z „Terpsychorii”, który często odwiedzał port. „Znasz go?” – spytał Hedrigall, a Tanner pokręcił tylko głową: nużyło go tłumaczenie, że nie znał nikogo ze stref powyżej ładowni. „Fench to dobry człowiek” – powiedział Hedrigall, można z nim pogadać, zna już chyba wszystkich na statku i wypowiada się jak osoba wtajemniczona o takich ludziach jak król Friedrich i Brucolac.

Hedrigall mówił o tym wszystkim z nieobecną miną, co skojarzyło się Tannerowi z Tintinnabulumem. Hedrigall należał do ludzi, którzy zawsze sprawiają wrażenie, że wiedzą coś, o czym nie mogą rozmawiać. Tanner czuł jednak, że nadużyłby załączkowej przyjaźni, gdyby zapytał go o to prosto z mostu.

Tanner nabrał zwyczaju spacerowania po mieście nocą.

Wędrował otoczony odgłosami wody i statków, z zapachem morza w środku. Pod księżycem i jego rozjarzonymi córkami, których światło rozpylały rzadkie chmury, Tanner miarowym krokiem maszerował wokół zatoki z milczącym teraz „Sorgo”. Minął sadybę raków: półzatopiony kliper, z przednim i tylnym kasztelem sterczącymi jak góry owe. Krytym pomostem przedostał się na tyły olbrzymiego „Wielko Wschodniego”. Spuścił głowę, mijając kilka innych osób dotkniętych bezsennością lub pracujących na nocną zmianę.

Mostkiem linowym do prawej części Niszczukowód. Oświetlony sterowiec sunął powoli górą, w pobliżu rozbrzmiała syrena i tłukł się młot parowy. „Kto tak późno pracuje?”. Dźwięki te tak bardzo kojarzyły mu się z Nowym Crobuzon, że na moment ogarnęło go silne trudne do nazwania uczucie.

Tanner zatracił się w labiryncie starych statków i cegieł.

W wodzie widział rozbłyskujące na krótko, chaotyczne smugi światła: lęki bioluminescencyjnego planktonu. Miał wrażenie, że na odgłosy miasta od czasu do czasu odpowiada z oddali coś dużego i żywego.

Odbił w kierunku Bud i Portu Jeżowca. W dole miał morze; po obu stronach niszczejacej, ceglanej zabudowy, wilgotnej od pleśni i z solnymi zaciekami. Wysokie ściany i okna, wiele rozbitych, boczne uliczki wijące się pomiędzy starymi grodziami i nasadami kominów. Śmieci na wyludnionych dwumasztowcach z mórz wschodnich. Balustrady i relingi rufowe, o które zimny wiatr uderzał strzępami plakatów. Polityka i rozrywka reklamowana krzykliwymi kolorami pozyskanymi od kałamarnic i mięczaków albo kradzionym atramentem.

Dokoła wałęsały się koty.

Miasto przemieszczało się i korygowało swój układ, a niestrudzona flota parowców poza obszarem Armady parła naprzód, naprężając łańcuchy i holując swój kraj.

Tanner stał pośród ciszy i patrzył na stare wieże, kominy, dachy fabryk i drzewa. Za połacią wody, urozmaiconą przez wioskę łodzi mieszkalnych, światła migotały w kajutach statków z krain, o których Tanner Sack nic nie wiedział. Nie tylko on oglądał noc.

- Pieprzyłeś się już? – spytała, a Szekla naszły niechciane wspomnienia. Przetworzone kobiety w ciemnym smrodzie „Terpsychorii”, które brały w siebie jego niewprawnego kutasa w zamian za dodatkowe porcje chleba. Kobiety, które marynarze przytrzymywali, czy były chętne czy nie – wszyscy mężczyźni skandowali, żeby się do nich przyłączył – i na których dwa razy leżał, przy czym raz tylko udawał, że skończył i ześliznął się z niej, zdeprymowany jej wrzaskami, a drugi raz wszedł w nią naprawdę i spuścił się w środku, mimo że broniła się zawzięcie i płakała. A wcześniej dziewczyny w bocznych uliczkach Zakola Smogu i chłopcy, tacy jak on, pokazujące swoje narządy intymne.

Ich obcowanie ze sobą mieściło się gdzieś pomiędzy handlem wymienni seksem, znęcaniem się i zabawą. Szekel otworzył usta, żeby odpowiedzieć, prawdy wydostawały się z trudem, ona to zobaczyła i przerwała mu, z miłosierdzia, i powiedziała: – Nie chodzi mi o dla zabawy albo za pieniądze ani jeśli gwałciłeś albo byłeś gwałcony, tylko czy robisz to z kimś, kto cię chciał i kogo ty chciałeś, jak prawdziwi ludzie, jak równy z równym. – I oczywiście, kiedy to powiedziała, odpowiedź brzmiała nie, i udzielił jej, wdzięczny, że Angevine zrobiła z tego Szeklowy pierwszy raz - niezastużony dar, który przyjął z pokorą i skwapliwie.

Patrzył, jak zdejmuje bluzkę, i jego oddech stał się bardzo krótki na widok takiej ilości kobiecego ciała i na widok ochoty w jej oczach. Czuł promieniujące ciepło jej kotła - któremu nie mogła pozwolić zgasnąć, powiedziała mu, który nieprzerwanie zjadał paliwo, stary, zepsuty i łapczywy ponad wszelką miarę – i zobaczył ciemną cynę jej uprząży w miejscu, gdzie spotykała się z mięsistymi udami. Sam bez trudu zrzucił z siebie wszystkie warstwy ubrania i stał dygoczący, chudy i mizerny, jego fiut podrygiwał z nastoletnim zapałem, serdeczność i namiętność tak szczelnie go wypełniły, że trudno było przełknąć ślinę.

Była prze-tworzoną, prze-tworzonym śmieciem, wiedział o tym, widział to, a przecież cały czas czuł to, co miał w środku, czuł, że wielki strup nawyku i uprzedzenia odpada od niego, rozstaje się z jego skórą w miejscu, gdzie jego ojczyzna głęboko go naznaczyła.

„Ulecz mnie” – pomyślał, nie rozumiejąc tego, co myśli, mając nadzieję na przetworzenie. Dotknął go kaustyczny ból, kiedy oderwał zakrzep dawnego życia i obnażył się na nią, na nowe powietrze, otwarty i niepewny. Znowu zaczął szybko oddychać. Jego uczucia wzbierały, zlewały się ze sobą – jątrzenie ustało - i zaczęły się rozpuszczać, goić w nową formę, zablźniać.

Moja prze-tworzona dziewczyna – powiedział, głośno myśląc. Wybaczyła mu to, natychmiast, bo wiedziała, że już więcej tak nie pomyśli. Nie było łatwo, z kikutami nóg uziemionymi w metalu, w kształcie ciasnego V, tylko nieznacznie rozchylonymi, z zaledwie pięcioma centymetrami wnętrza ud poniżej cielesnej piczki. Nie mogła otworzyć się na niego ani położyć na plecach, nie było łatwo. Ale nie dawali za wygraną i udało się.

Rozdział dziewiąty

Szekel przyszedł do Bellis i poprosił, żeby nauczyła go czytać.

Znał kształty ragamollskiego alfabetu i generalnie wyczuwał, którym dźwiękom odpowiadają poszczególne litery, ale pozostawały dla niego jak jakaś wiedza tajemna. Nigdy nie próbował zestawiać ich ze sobą w słowa.

Szekel sprawiał wrażenie przygaszonego, jakby jego myśli znajdowały się poza korytarzami bibliotecznych statków. Był mniej skory do uśmiechania się niż zwykle. Nie mówił o Tannerze Sacku ani o Angevine, której imię ostatnimi czasy co rusz wyskakiwało w jego wypowiedziach. Chciał tylko wiedzieć, czy Bellis pomoże mu w nauce czytania.

Po pracy przez ponad dwie godziny przerabiała z nim alfabet. Znał nazwy liter, ale były one dla niego abstrakcją. Bellis kazała mu napisać imię i nazwisko, i napisał, a raczej nabazgrał niewprawnie, drugą literę przerwał w połowie i przeskoczył od razu do czwartej, a potem cofnął się i wypełnił puste miejsca. Wiedział, jak się zapisuje jego imię i nazwisko, ale znał to tylko jako sekwencję pociągnięć pióra.

Bellis powiedziała mu, że litery to są instrukcje, rozkazy, z reguły polecające, aby wydać z siebie dźwięk, od którego zaczyna się ich nazwa. Napisała swoje imię, zostawiając po ponad dwa centymetry przerwy między kolejnymi literami. Potem powiedziała do Szekla, aby wykonał wydawane przez nie rozkazy.

Czekała, kiedy on potykał się na buh i eh i luh luh ih suh. Potem przybliżyła litery do siebie i ponownie kazała mu, żeby im się podporządkował, nadal powoli. Potem jeszcze raz.

Wreszcie ścieśniła litery w słowo i powiedziała mu, żeby powtórzył ćwiczenie szybko, wykonał ich rozkazy: „Spójrz na nie, tak blisko siebie” jednym szybkim ciągiem.

Buh eh luh luh ih suh.

Tak jak się spodziewała, podwójna spółgłoska przedniojęzy kowo-dziąsłowa sprawiła mu kłopot.

Spróbował jeszcze raz, przerwał w połowie i uśmiechnął się do literek. Spojrzał na nią wzrokiem tak pełnym zachwytu, że osłupiała. Wypowiedział jej imię.

Wpoiwszy mu podstawy interpunkcji, wpadła na pewien pomysł. Przeszła z nim przez trzewia statku, obok działu przyrodniczego i humanistycznego, gdzie naukowcy

siedzieli zgarbieni koło lamp naftowych i małych okienek, a potem wyszli na zewnątrz i w pokapującym deszczu przedostali się przez most na „Korodującej Pamięci”. Był to skrajny galeon Biblioteki Wielkiego Mechanizmu, z literaturą dziecięcą.

Na pokładzie dla dzieci było niewielu czytelników. Półki migały jaskrawymi kolorami. Bellis przebiegała palcem po grzbietach, a Szekel przyglądał się książkom głęboko zaintrygowany. Zatrzymali się na rufie statku, najeżonej bulajami i mocno przechylonej na bok, pokrytej zboczem książek.

– Spójrz – powiedziała Bellis. – Widzisz? – Pokazała na mosiężną tabliczkę. – Rag. A. Moll. Ragamoll. To są książki w naszym języku. Większość pochodzi z Nowego Crobuzon.

Zdjęła z półki dwie i otworzyła. Zastygła na moment, zbyt krótki, żeby Szekel zauważył. Z pierwszych stron łyptały na nią ręcznie wypisane imiona i nazwiska, ale nagryzmołone kredką, rączkami dzieci.

Bellis szybko przewracała kartki. Pierwsza książeczka była przeznaczona dla małych dzieci, duża i starannie, odręcznie pokolorowana, pełna obrazków w uproszczonym stylu *ars facilis*, który robił furorę przed sześćdziesięcioma laty. Była to historia o jajku, które stoczyło bój z mężczyzną zrobionym z łyżek, zwyciężyło i zostało burmistrzem świata.

Druga, dla starszych dzieci, opowiadała dzieje Nowego Crobuzon. Bellis znieruchomiała na widok rycin z Żebrami, Szpikulcem i Dworcem Perdido. Przebiegała tekst wzrokiem, krzywiąc się z ubawioną pogardą po napotkaniu groteskowych, historycznych przeinaczeń. Opisy Kręgu Pieniędzy, Tygodnia Pyłu oraz, w najbardziej bezwstydnym sposób, Wojen Pirackich, sugerowały dziecinny i pełnym obłudy językiem, że Nowe Crobuzon jest ostoją wolności, rozkwitającą wbrew przeciwnościom i niesprawiedliwościom, które zsyła na to państwo los.

Szekel obserwował ją zafascynowany.

– Spróbuj tę – powiedziała, podając mu *Bohaterskie jajo*. Wziął od niej książkę z nabożną czcią. – To jest dla małych dzieci. Nie przejmuj się samą historią, jest dla ciebie o wiele za głupia, ale chcę sprawdzić, czy zrozumiesz, o co chodzi, idąc słowo po słowie, tak jak ci pokazałam. Słuchaj rozkazów słów, wypowiadaj słowa. Na pewno trafią się takie, których nie zrozumiesz. Zapisz je i przyjdź do mnie z listą.

– Zapisz? – powtórzył Szekel zaskoczony.

Zajrzała do jego duszy. Nadal odnosił się do słów tak, jakby to były zewnętrzne byty: subtelni ironiści, których nareszcie zaczynał trochę rozumieć. Nie pojmował jednak, że może przy ich użyciu kodować własne tajemnice. Nie zdawał sobie sprawy, że nauczycielski się czytać, nauczył się też pisać.

Bellis znalazła w kieszeni ołówek i w połowie zapisaną kartkę papieru. Podała mu je.

– Przepisz słowa, których nie zrozumiesz, dokładnie w takiej samej kolejności, w jakiej pojawiają się w książce, a potem przynieś je do mnie. – Na jego twarzy wykwitł kolejny z tych anielskich uśmiechów. – Jutro przyjdiesz do mnie o piątej i odpytam cię z historyjki zawartej w książce. Poproszę cię, żebyś przeczytał mi niektóre fragmenty.

Szekel otworzył szerzej oczy i skinął krótko głową, jakby przyklepali jakąś transakcję handlową w crobuzońskim Dog Fenn.

Postawa Szekla uległa zmianie, kiedy zszedł z pokładu galeonu. Znowu maszerował dumnie jak paw i trochę się przechwalał, zaczął nawet mówić Bellis o swoim portowym gangu. Kurczowo przyciskał przy tym do piersi *Bohaterskie jajo*. Bellis bez zastanowienia wypożyczyła książkę na swoją kartę, okazując mu zaufanie, które głęboko go wzruszyło.

Tego wieczoru było zimno i Bellis siedziała blisko pieca.

Gotowanie i jedzenie zaczęły ją drażnić swoją bezlitosną niezbędną. Zrobiła to bez przyjemności i najszybciej, jak tylko mogła, potem zasiadła do książek Tearflya i robiła notatki z lektury. O dziewiątej przerwała czytanie i wyjęła list. Zaczęła pisać.

Błękitnik, 27 dusta 1779 – chociaż tutaj to nic nie znaczy.

Tu mamy 4 sepredi jastrzębiego dzioba kwarty 6/317;
komin „Chromolitu”

Nie przestanę szukać wskazówek, które pozwolą mi rozwiązać zagadkę. Najpierw otwierałam książki Johannesesa na czybił trafił i przelatywałam wzrokiem, aby potem zestawić razem uzyskane dane, czekając na ośnienie. Zrozumiałam jednak, że w ten sposób nie posunę się do przodu.

Johannes powiedział mi, że jego badania stanowią jeden z motorów napędowych tego miasta. Charakter projektu, w którym bierze udział, którego nie chciał mi opisać, ale który jest na tyle ważny dla Armady, aby porwała się na bezczelny akt piractwa przeciwko największemu mocarstwu Bas-Lag, musi być ukryty na stronach jego książek. W końcu to jedna z tych książek sprawiła, że był dla Kochanków nieodpartym kąskiem. Na razie jednak nie doszłam nawet do tego, która z jego prac stanowi, jak to określił, „tekst podstawowy” dla uczestników tego tajnego przedsięwzięcia.

Czytam je więc uważnie jedną po drugiej, od przedmowy aż po indeks. Dogrzebuję się do informacji, usiłuję wyczuć, jakie zamysły mogą się kryć w tych książkach.

Rzecz jasna, nie jestem przyrodnikiem. Nigdy wcześniej nie czytałam takich książek. Są one dla mnie w dużym stopniu niezrozumiałe.

„*Acetabulum* to wgłębienie po zewnętrznej stronie *os coxae*, w miejscu, gdzie *os ilium* i *os ischii* łączą się ze sobą”.

Takie zwroty brzmią dla mnie jak poezja: *os ilium*, *ischii*, *coxae*, *cuneiforme laterale* i kłykiec boczny kości piszczelowej, płytki krwi i trombina, keloid czy *cicatrix*.

Na razie najmniej podoba mi się *Anatomia sarduli*. Swego czasu młoda sardula zraniła Johannesesa do krwi, zapewne kiedy prowadził badania do tej książki. Umiem sobie wyobrazić, że stworzenie to przechadza się tam i z powrotem po celi badań, poddawane działaniu nasennych oparów, i miota się agresywnie, czując, że jego koniec jest bliski. A potem trafia martwe do zimnej książki odartej z pasji Johannesesa jak sardula ze skóry. Do monotonnej listy kości, żył i ścięgien.

Moja faworytka może budzić pewne zaskoczenie. Nie są to ani *Teorie megafauny*, ani *Życie międzyplaszczynowe*, prace tyleż zoologiczne, co filozoficzne, w związku z czym spodziewałam się, że będą mi bliższe od pozostałych. Te hermetyczne rozważania były dla mnie intrygujące, lecz niejasne.

Nie, najuważniej przeczytałam, w swoim odczuciu najlepiej zrozumiałam i najbardziej się wciągnęłam w *Drapieżnictwo w kałużach poodpływowych Zatoki Żelaznej*.

Cóż za misterne splątanie fabu! Łańcuchy barbarzyństwa i metamorfozy. Mam to wszystko przed oczyma. Olbrzymie kraby i wieloszczety. Mięczak borujący zabójczego judasza w muszli ostrygi. Prowadzone jakby w zwolnionym tempie włamanie do muszli przegrzebka przez wygłodzoną rozgwiadę. Ukwiął koński pożera na zasadzie implozji świeżo wyrosłą babkę.

Johannes wyczarował dla mnie żywy podmorski krajobraz muszlowych piasków, morskich jeżowców i bezlitosnych pływów.

Nic mi to jednak nie mówi na temat planów Armady. Będę musiała zajrzeć głębiej, aby dotrzeć do zamysłów władz miasta. Będę dalej czytała te książki. To jedyne źródło wskazówek, jakie mam. Nie zamierzam zrozumieć w ten sposób Armady, aby nauczyć się żyć szczęśliwie w moim rdzewiejącym kominie. Chcę zrozumieć, dokąd i po co płyniemy, abym mogła uciec.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi. Podniosła głowę wystraszona. Była prawie jedenasta.

Wstała powoli i zeszła po ciasno kręconych schodach wykonanych pośrodku okrągłego pokoju. Jediną osobą na Armadzie, która знаła jej adres, był Johannes, a nie rozmawiała z nim od czasu sprzeczki w restauracji.

Bellis podreptała do drzwi, zaczekała i znowu usłyszała ostre stukanie. Przyszedł przeprosić? Jeszcze raz wyłodzić się na nią? Czy w ogóle chce się z nim zobaczyć, ponownie otworzyć tej przyjaźni drzwi?

Zdała sobie sprawę, że wciąż jest na niego zła i wciąż trochę się wstydzi.

Po trzecim odcinku pukania Bellis podeszła do przodu, odpowiednio ułożywszy rysy twarzy, gotowa go wysłuchać i odprawić. Otworzywszy drzwi, znieruchomiła i aż otworzyła usta ze zdumienia. Przygotowana krótka reprimenda uszła z niej wraz z oddechem.

Za progiem, skulony z zimna i patrzący na nią ostrożnie, stał Silas Fennec.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, pijąc przyniesione przez Fenneca wino.

– Poszczęściło się pani, panno Coldwine – powiedział w końcu, z uznaniem rozglądając się po zdezelowanym metalowym cylindrze jej pokoju. – Wielu nowych przybyszów trafia do mniej atrakcyjnych lokali. – Uniosła powątpiewająco brew, a on skinął głową. – Daję pani słowo, że to prawda. Nie miała pani okazji naocznie się o tym przekonać?

Oczywiście, że nie miała.

– Gdzie pan mieszka?

– Blisko okręgu Tobietwój, w strefie przydennej klipra. Bez okien. – Wzruszył ramionami. – Czy to pani?

Pokazał na książki, które leżały na łóżku.

– Nie – odparła i szybko je uprzątnęła. – Zostawili mi tylko notes. Odebrali mi nawet książki, które sama napisałam.

– Tak samo było ze mną: został mi się tylko pamiętnik. Coś w rodzaju dziennika pokładowego z wielu lat podróży. Serce by mi pękło, gdybym go stracił. – Uśmiechnął się.

– Co kazali panu robić? – spytała Bellis i Fennec ponownie wzruszył ramionami.

– Udało mi się tego uniknąć. Robię to, co chcę. Pani pracuje w bibliotece, prawda?

– Jak? – spytała ostro. – Jak pan to zrobił, że się od pana odczepili? Z czego pan żyje?

Przez chwilę mierzył ją wzrokiem, zanim odpowiedział:

– Miałem trzy albo cztery propozycje, zapewne tak jak pani. Pierwszej osobie powiedziałem, że przyjąłem ofertę drugiej, drugiej, że przyjąłem ofertę trzeciej, i tak dalej. Ich to nie obchodzi. A z czego żyję... Wykreować się na człowieka niezbędnego jest łatwiej, niż pani sądzi, panno Coldwine. Dostarczam wszelkich usług, za które ludzie gotowi są zapłacić. Przede wszystkim informacji... – Umilkł.

Zdumiała ją szczerłość Fenneca, z której wylaniał się obraz otaczających ją spisków i półświatków. – Wie pani... Jestem pani wdzięczny, panno Coldwine – powiedział ni stąd, ni zowąd. – Szczerze wdzięczny. – Bellis czekała. – W Salkrikaltorze była pani świadkiem rozmowy między nieboszczykiem kapitanem Myzovicem i mną. Na pewno się pani zastanawiała, co było w tym liście, który tak zasmucił kapitana, który zmusił was do zawrócenia, ale milczała pani. Po porwaniu nas przez Armadę z pewnością zdawała sobie pani sprawę, że moje położenie byłoby bardzo trudne, ale nic pani nie powiedziała. I jestem pani za to wdzięczny. Bo nic pani nie powiedziała, prawda? – dodał ze strachem, którego nie udało mu się bez reszty ukryć. – Jak powiadam, jestem pani bardzo wdzięczny.

– Kiedy ostatni raz ze sobą rozmawialiśmy – odezwała się w końcu Bellis – na „Terpsychorii”, powiedział pan, że jest absolutnie konieczne, aby wrócił pan do Nowego Crobuzon. A teraz?

Pokręcił głową zdeprymowany.

– Hiperbola i... sranie w banię. – Podniósł wzrok, ale nie okazała po sobie dezaprobaty dla tej nagłej zmiany stylu przemowy. – Mam skłonność do przesady.

Machnął ręką na znak, że chciałby zakończyć ten temat. Zapadła pełna skrępowania cisza.

– Umie się pan porozumiewać w salt? – spytała Bellis. – Przy pańskiej pracy zapewne pan musi, panie Fennec.

– Miałem wiele lat na opanowanie salt – powiedział w tym języku, szybko i płynnie, ze szczerym uśmiechem, aby podjąć w ragamoll: – Nawiasem mówiąc, nie występuję tutaj pod tym nazwiskiem. Bardzo panią proszę o dyskrecję. Znają mnie tu jako Simona Fench.

– A więc gdzie się pan nauczył salt, panie Fench? Wspomniał pan o swoich podróżach...

– Psiakrew. – Minę miał ubawioną i zakłopotaną. – W pani ustach brzmi to jak wyzwisko. Za zamkniętymi drzwiami może pani się do mnie zwracać, jak pani chce, panno Coldwine, ale na zewnątrz błagam panią o dyskrecję. Rin Lor. Nauczyłem się salt w Rin Lor, na kresach Wysp Pirackich.

– Co pan tam robił?

– To samo, co wszędzie. Kupuję i sprzedaję. Handluję.

– Mam trzydzieści osiem lat – powiedział, kiedy wypili trochę więcej wina, a Bellis dołożyła do pieca. – Od dwudziestego roku życia jestem handlowcem. Niech mnie pani źle nie zrozumie: jestem Crobuzończykiem, urodziłem się i wychowałem w cieniu Żeber, ale wątpię, czy w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat spędziłem w tym mieście więcej niż pięćset dni.

– Czym pan handluje?

– Wszystkim. – Wzruszył ramionami. – Futrami, winem, maszynami, bydłem, książkami, siłą roboczą. Wszystkim. Alkohol za skóry w tundrze na północy Jangsach, skóry za tajemnice w Hinter, tajemnice i dzieła sztuki za siłą roboczą i przyprawy w Cromlech...

Umilkł na widok spojrzenia Bellis.

– Nikt nie wie, gdzie leży Cromlech – powiedziała, ale on pokręcił głową.

– Niektórzy wiedzą. To prawda, że podróż jest sakramencko ciężka. Z Nowego Crobuzon nie można pojechać na północ przez ruiny Suroch, drogą na południe trzeba nadłożyć setki kilometrów przez Vadaunk i Cacotopic Stain. Trzeba się wybrać przez Przełęcz Pokutnika do sawann Wormseye, wokół Bulgoczających Wód, ominąć królestwo Kar Torrer, potem przez Cieśninę Zimnego Pazura... – Zawiesił głos, ale

natarczywe spojrzenie Bellis sugerowało, że chce wiedzieć, jak jedzie się dalej. – Potem są Shatterjacks i Cromlech. – Pociągnął długi łyk wina. – Ludzie z zewnątrz budzą w nich nerwowość. To znaczy żywi. Ale nasza kompania prezentowała się bardzo mizernie. Od wielu miesięcy w drodze, straciliśmy czternastu ludzi. Ze środków lokomocji posługiwaliśmy się sterowcami, barkami, lamami i ptera- ptakami, setki kilometrów przebyliśmy pieszo. Mieszkałem tam wiele miesięcy. Przywiozłem do Nowego Crobuzon masę niezwykłości. Ale powiem pani, że widziałem rzeczy dziwniejsze niż w tym mieście. – Bellis nie umiała powiedzieć nic. Zmagała się z tym, co usłyszała. Niektóre z wymienionych przez niego nazw geograficznych były w gruncie rzeczy mitologiczne. Myśl, że mógł odwiedzić te krainy i mieszkać tam, na Jabbera!, była niezwykła, ale nie sądziła, żeby kłamał. – Dla większości ludzi, którzy próbują tam dotrzeć, kończy się to śmiercią – powiedział rzeczowym tonem. – Ale jeśli uda się dostać nad Zimne Pazury, zwłaszcza na drugą stronę, to po kłopotcie. Jest dostęp do kopalń Shatterjack, sawann na północ od Hinter, i do wyspy Yanni Seckilli na Morzu Zimnego Pazura – a ich mieszkańcy są chętni do robienia interesów. Spędziłem tam czterdzieści dni. Mają możliwość handlować tylko z dzikusami z Północy, którzy raz do roku przyplływają wiklinowymi łodziami obciążniętymi skórą, z takimi towarami jak suszone mięso w paskach. A tego można zjeść ograniczoną ilość. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale ich główny problem jest taki, że Gengris blokuje dostęp do ich kraju od południa, dlatego każdego, kto dotrze do nich z tego kierunku, traktują jak zaginionego brata... Jak się uda, człowiek dysponuje informacjami, towarami i usługami, które dla wszystkich innych są niedostępne. Dlatego mam pewien... układ z parlamentem. Stąd owa przepustka, która w określonych okolicznościach daje mi prawo dowodzenia statkami, daje mi pewne przywileje. Mogę dostarczyć miastu informacji, których nigdzie indziej nie zdobędą.

– A zatem szpieg.

– Kiedy Seemly sześć wieków temu przebył Wezbrany Ocean i odkrył Bered Kai Nev, to jak pani myśli, co wiózł w swoich ładowniach? „Gorliwa Mantyszka” to był duży statek, pani Bellis... – Urwał, bo nie udzieliła mu pozwolenia na zwracanie się do niej w ten sposób, ale nie zobaczył u niej żadnych oznak dezaprobaty i kontynuował swoją opowieść. – Wiózł gorzałkę, jedwab, miecze i złoto. Seemly chciał nawiązać kontakty handlowe. To otworzyło dostęp do kontynentu wschodniego. Wszyscy odkrywcy, o których pani słyszała: Seemly, Donleon, Brubenn, przypuszczalnie Libintos i sam cholerny Jabber byli handlarzami – mówił z dziecinnym entuzjazmem. – Właśnie tacy ludzie jak ja wracają z mapami i wiadomościami. Nikt nie ma lepszych informacji niż my. Możemy prehandlować je władzom, takie mam zlecenie. Nie ma odkrywców czy naukowców, są tylko kupcy. To kupcy podróżujący do Suroch przywieźli z powrotem mapy Dagman Beyn, które zostały użyte podczas Wojen Pirackich. – Poznał po minie Bellis, że jej zdaniem ta historia nie stawia jego profesji w najlepszym świetle. – Zły przykład – mruknął, a ona nie umiała powstrzymać śmiechu na widok jego skruchy.

– Nie będę tutaj żyła – powiedziała Bellis koło drugiej w nocy. Patrzyła przez okno na gwiazdy. Potwornie ślamazarnie przesuwają się po szybie, gdy holowniki

obracali Armadą. – Nie podoba mi się tutaj. Mam do nich żal, że mnie uprowadzili. Potrafię zrozumieć, dlaczego niektórym innym ofiarom z „Terpsychorii” to nie przeszkadza... – słowa te miały być leczniczą maścią na poczucie winy, które zaszczepił w nią Johannes, ale zdawała sobie sprawę, że jej wypowiedź jest skandalicznie niewystarczająca, że umniejsza wagę wolności przyznanej ludzkiemu frachtowi „Terpsychorii”. – Ale nie zamierzam spędzić tutaj życia. Wracam do Nowego Crobuzon.

Mówiła to z żelaznym przekonaniem, które nie całkiem odczuwała.

– A ja nie – odparł. – Lubię tam wrócić i zaszaleć po jakiejś podróży... Kolacje w Chnum, tego typu sprawy... Ale nie mógłbym mieszkać tam na stałe. Rozumiem jednak, dlaczego tobie się ono podoba. Widziałem mnóstwo miast i żadne nie może się równać z Nowym Crobuzon. Ale kiedy pobędę tam dłużej niż dwa tygodnie, dostaję klaustrofobii. Czuję się osaczony przez brud, żebractwo, ludzi i obłudę, która wylewa się z parlamentu. Nawet jak jestem daleko od centrum: BilSantum, Flag Hill, Chnum, dalej czuję się tak, jakbym tkwił w Dog Fenn albo Badside. Nie umiem zapomnieć o ich istnieniu. Muszę się stamtąd wyrwać. A co się tyczy tych drani, którzy rządzą miastem... – Jego radykalny brak patriotycznych uczuć zainteresował Bellis. W końcu Silas był na żołdzie władz Nowego Crobuzon i mimo że wino trochę mąciło jej myśli, ani na chwilę nie zapomniała, że to jego szefowie zmusili ją do ucieczki z miasta. Tymczasem Fennec najwyraźniej nie poczuwał się do żadnej lojalności wobec nich. Szkalował władze crobuzońskie z artystowską ironią. – To są węże – ciągnął. – Rudgutter i cała reszta. Nie mam do nich ani krzty zaufania. Psiakrew, biorę od nich pieniądze. Skoro mają ochotę płacić mi za rzeczy, które z radością bym im powiedział i bez tego, to czy mam odmówić? Ale to nie są moi przyjaciele. Nie czuję się w ich mieście bezpiecznie.

A więc konieczność życia tutaj nie jest dla ciebie katastrofą? – Pytała ostrożnie Bellis, próbując go wysondować. – Skoro nie darzysz Nowego Crobuzon wielką miłością...

– Nie, tego nie powiedziałem – przerwał jej ostrym tonem, stojący m w jaskrawym kontraście z przyjazną arogancją, którą przejawiał do tej pory. – Jestem Crobuzończykiem, Bellis. Chcę mieć jakieś miejsce, do którego mogę wracać. Nawet jeśli tylko po to, by znowu je opuścić. Nie jestem wykorzeniony. Nie jestem tułaczem. Jestem biznesmenem, kupcem, z bazą i domem w East Gidd, z przyjaciółmi i kontaktami w Nowym Crobuzon, gdzie zawsze wracam. Tutaj... jestem więźniem. Nie kręci mnie taka przygoda i niech mnie szlag trafi, jeśli tu zostanę.

Usłyszawszy te słowa, Bellis otworzyła kolejną butelkę wina i napełniła mu kieliszek.

– Co robiłeś na Salkrikaltorze? – spytała. – Jak zwykle interesy?

Fennec pokręcił głową.

– Wyłowili mnie. Patrole z Salkrikaltoru czasem pełnią służbę setki mil morskich od miasta, sprawdzając kraale. Jedna z ich jednostek wyловиła mnie na krańcach Kanału Bazyliszka. Płynąłem na południe zdezelowanym, amonitowym batyskafem, ciekącym i bardzo powolnym. Raki z płycizn Sols poinformowały patrole o tym podejrzanym cebrzyku, telepiącym się skrajem ich miasteczka. – Wzruszył ramionami. – Dostałem furii, kiedy mnie wyłowili, ale myślę, że należało im podziękować. Wątpię, czy dotarłbym do domu. Zanim spotkałem raka, który potrafił mnie zrozumieć, byliśmy już w Salkrikaltorze.

– Skąd płynąłeś? Z Wysp Jheshsul?

Fennec pokręcił głową i przez dłuższą chwilę przyglądał się jej bez słowa.

– Nic z tych rzeczy – odparł w końcu. – Przybyłem zza gór. Byłem na Morzu Zimnego Pazura. W Gengris. – Bellis podniosła raptownie głowę, gotowa roześmiać się albo prychnąć lekceważąco, ale odstąpiła od tego zamiaru na widok miny Fenneca, który pokiwał powoli głową. – W Gengris – powtórzył i zaskoczona Bellis odwróciła wzrok.

Ponad półtora tysiąca kilometrów na zachód od Nowego Crobuzon znajdowało się ogromne jezioro, szerokie na ponad sześćset kilometrów – Jezioro Zimnego Pazura. Z jego północnego końca sterczał Przesmyk Zimnego Pazura, słodkowodny korytarz szeroki na sto sześćdziesiąt, a długi na ponad tysiąc dwieście kilometrów. U swego północnego krańca przesmyk nagle się rozszerzał, odbijał na wschód prawie na całą szerokość kontynentu i zwężał się jak szpon... Jednym słowem, przechodził w Morze Zimnego Pazura.

Zimne Pazury tworzyły zespół połączonych ze sobą akwenów, który ze względu na swój ogrom zasługiwał na miano oceanu. Wielkie słodkowodne, śródlądowe morze, otoczone górami, buszem, moczarami i kilkoma zahartowanymi w bojach z naturą, odległymi cywilizacjami, które Fennec rzekomo znał.

Od wschodu Morze Zimnego Pazura było oddzielone od słonej wody Wezbranego Oceanu mierzeją: wstęgą skalistych gór o szerokości niecałych pięćdziesięciu kilometrów. Ostry południowy koniuszek morza – szpic szponu – znajdował się prawie dokładnie na północ od Nowego Crobuzon, oddalony o ponad tysiąc kilometrów. Nieliczni podróżni, którzy wyprawiali się tam z miasta, zawsze kierowali się trochę na zachód, aby dotrzeć do wód Morza Zimnego Pazura około trzystu kilometrów od jego południowego wierzchołka. Powód? W zębatym wybrzeżu tkwiło jak wrzód na ciele pewne niezwykle i niebezpieczne miejsce, coś pomiędzy wyspą, półzatopionym miastem i mitem. Ziemnowodna paskuda, o której cywilizowany świat nie wiedział prawie nic, poza tym, że istnieje i jest groźna.

Miejsce to nazywało się Gengris.

Powiadano, że mieszkają tam grindyłow, wodne demony, potwory albo zwyrodniałe krzyżówki męsko-damskie, zależnie od tego, w którą wersję ktoś wierzył. Powiadano, że miejsce to jest nawiedzane przez upiory.

Grindyłow bądź Gengris – rozróżnienie między nazwą rasy a nazwą miejsca było niejasne – kontrolowali południową część Morza Zimnego Pazura z nieposkromioną siłą i okrutnym, kapryśnym izolacjonizmem. Ich wody były zabójcze i niezbadane.

A tutaj Fennec utrzymywał, że... co, mieszkał tam?

– To nieprawda, że nie ma tam przybyszów z zewnątrz – mówił. Bellis zdołała na tyle wyciszyć swoje myśli, aby go posłuchać. – Jest nawet trochę przedstawicieli rasy ludzkiej, urodzonych i wyhodowanych w Gengris... – Wykrzywił usta. – Słowa „wyhodowanych” używam z premedytacją, natomiast co do rasy „ludzkiej” miałbym już pewne wątpliwości. Im odpowiada, że powszechnie uważają ich tam za ludzi. To jest kawałek piekła w wodzie, poza granicami wszelkiej cywilizacji. Ale, kurczę, handlowców traktują tak samo, jak wszyscy inni. Jest trochę vodyanoi, paru ludzi i inni... Spędziłem tam ponad pół roku. Nie neguję, że jest to najbardziej niebezpieczne ze wszystkich znanych mi miejsc na świecie. Ktoś, kto handluje w Gengris, wie, że zasady są zupełnie inne. Że nigdy się tych zasad nie nauczy, że nigdy ich nie zrozumie. Po sześciu tygodniach mojego pobytu w Gengris mój najlepszy tamtejszy przyjaciel, vodyanoi z Jangsach, który mieszkał tam od siedmiu lat, handlując ze swoim ojczystym krajem, nagle przepadł. Nigdy się nie dowiedziałem, co się z nim stało i dlaczego. Być może obraził jednego z bogów grindyłow albo dostarczona przez niego dratwa nie była wystarczająco gruba.

– To dlaczego tam siedziałeś?

– Bo jeśli ktoś umiał przetrwać, bardzo się opłacało – rozochocił się raptem. – W tamtejszych transakcjach handlowych nie ma żadnej logiki, nie ma sensu się targować ani przekonywać, że lepiej się zrobi, kupując co innego. Proszą o beczkę soli zmieszanej w równych proporcjach ze szklanymi paciorkami. W porządku. Żadnych pytań, żadnych dociekań. Chcą to będą mieli. Mieszanka owocowa? Już się robi. Dorsz, trociny, żywica, grzyby, wszystko mi jedno. Bo, na Jabbera, gdy płacą kiedy są zadowoleni, naprawdę się opłaca.

– Ale wyjechałeś.

– Wyjechałem – westchnął Fennec. Wstał i zaczął czegoś szukać w jej szafce kuchennej. Nie zareagowała na to. – Siedziałem tam przez wiele miesięcy, kupowałem, sprzedawałem, badałem Gengris i okolicę, to znaczy nurkowałem, i prowadziłem dziennik – mówił odwrócony do niej plecami, manipulując przy czajniku. – Potem doszło do mnie, że... zgrzeszyłem. Że grindylow gniewają się na mnie i moje życie jest skończone, chyba że szybko ucieknę.

– W czym im zawiniłeś?

– Nie mam pojęcia. Nie mam zielonego pojęcia. Może dostarczone przeze mnie łożyska kulkowe były nie z tego metalu co trzeba albo księżyc zaświecił w okna niewłaściwego domu, albo zmarł któryś z magów i grindylow uznali, że to moja wina. Nie wiem. Wiedziałem tylko, że muszę wyjechać. Zostawiłem parę rzeczy, aby skierować ich na fałszywy trop. Zdążyłem dosyć dobrze poznać południową część Morza Zimnego Pazura. Grindylow starają się utrzymać to w tajemnicy przed przybyszami z zewnątrz, ale w moim wypadku im się to nie udało. Są tunele, pęknięcia w paśmie górskim, które oddziela Morze Zimnego Pazura od Wezbranego Oceanu. Tymi krecimi tunelami przedostałem się na wybrzeże... – Urwał na chwilę i spojrzał przez okno na niebo. Była prawie piąta rano. – Po wypłynięciu na ocean kierowałem się na południe, ale zniosło mnie na koniec kanału. I tam znalazły mnie raki.

– I czekałeś na statek z Nowego Crobuzon, żeby zabrał cię do domu – powiedziała Bellis. Fennec przytaknął ruchem głowy. – Nasz płynął w złym kierunku, dlatego postanowiłeś przejąć stery... dzięki uprawnieniom nadanym ci w tym liście.

Albo kłamał, albo pominął jakąś istotną część prawdy. Było to trywialnie oczywiste, lecz Bellis powstrzymała się od komentarzy. Po co go nękać? Jeśli zechce, to wypełni luki w swojej opowieści.

Poprawiła się na krześle, odstawiwszy wypitą do połowy herbatę na nierówną podłogę, i nagle zalało ją takie zmęczenie, że ledwo mogła mówić. Zobaczyła pierwsze chorowite światło jutrzeńki i wiedziała, że już za późno, aby kłaść się spać.

Fennec przyglądał się jej uważnie. Widział, że pada z wyczerpania. Był bardziej rozbudzony od niej. Zrobił sobie jeszcze jedną herbatę, kiedy ataki senności opadały ją zewsząd jak fale wody. Flirtowała ze snami.

Fennec zaczął snuć opowieści o swoim pobycie w Cromlech. Opowiadał o zapachach miasta, o krzemiennym pyłe, gniciu, ozonie, mirrze i przyprawach do balsamowania zwłok. Opowiedział jej o wszech – przenikającej ciszy, pojedynkach i wysokokastowych mężczyznach z zaszytymi ustami. Opisał pochyłą Bonestrasse, z wielkimi domami po obu stronach ozdobnych katafalków, z Shatterjacks widocznymi u końca tej przelotowej ulicy, a ciągnącymi się całymi kilometrami. Mówił prawie godzinę.

Bellis siedziała z otwartymi oczami, otrząsając się od czasu do czasu, kiedy sobie przypominała, że nie śpi. Kiedy historie Fenneca przeskoczyły o ponad dwa tysiące kilometrów na wschód i zaczął jej odmalowywać malachitowe kaplice

Gengris, dotarło do jej świadomości, że na dworze narasta wrzawa i stukot, że Armada budzi się do życia. Wstała, wygładziła włosy i ubranie i kazała Fennecowi wyjść.

– Dziękuję ci, Bellis – powiedział od schodów. Formalnie nie przeszli na ty, ale sztuczna zażyłość nocy jakoś usprawiedliwiała taką formę. Teraz, kiedy słońce wstało i dokoła roilo się od obudzonych ludzi, już tego w ten sposób nie odczuwała. Nie zaprotestowała jednak udzielając mu pozwolenia, aby kontynuował swoją wypowiedź. – Jeszcze raz ci dziękuję. Za to, że mnie nie wydałaś. Że nie powiedziałaś nic o liście. – Patrzyła na niego bez słowa ze ściągniętą twarzą. – Do zobaczenia wkrótce. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Wciąż milczała, świadoma dystansu, jaki wprowadziło między nich światło dzienne, oraz licznych luk w jego opowieściach. Ale owszem, nie miałyby nic przeciwko temu, żeby znowu ją odwiedził. Już dawno nie rozmawiała z nikim tak jak tej nocy.

Rozdział dziesiąty

Tego ranka niebo było twarde i niemal puste, urozmaicało je tylko kilka chmur.

Tanner Sack nie szedł do portu, tylko wyżej, przez okręty przemysłowe, które otaczały jego dom. Obrął trasę ku niewielkiej gromadzie portowych łodzi, upstrzoną pubami i poprzecinaną bocznymi uliczkami. Szedł marynarskim krokiem, biodra podświadomie kompensowały każdy przechył chodnika.

Otaczały go cegły i smołowane belki. Odgłosy statków fabrycznych i platformy „Sorgo” pulsowały mu za plecami, nie mogąc za nim nadążyć w meandrach miasta. Jego macki kołysały się bardzo delikatnie. Były owinięte bandażami nasączonymi kojącą słoną wodą.

Zeszłego wieczoru, trzeci raz z rzędu, Szekel nie wrócił do domu.

Znowu był z Angevine.

Tanner myślał o nich wciąż trochę zawstydzony swoją zazdrością. Zazdrosny o Szekla czy o Angevine – jego uczucia były za bardzo splątane, aby umiał to rozwikłać. Próbował nie czuć się porzucony, bo wiedział, że nie ma do tego prawa. Postanowił, że niezależnie od wszystkiego będzie się opiekował chłopakiem, że będzie dmuchał dla niego w ognisko domowe, że puści go w świat w miarę możliwości bez pretensji i uraz.

Było mu po prostu smutno, że stało się to tak szybko.

Tanner widział maszty „Wielkiego Wschodniego” dominujące nad sylwetką miasta od strony sterburty. Aerostaty żeglowały jak batyskafy między takielunkiem miasta. Zszedł na Targ Zimowej Słomy i brnął między łodziami zaczepiany przez sprzedawców, objając się o porannych zakupowiczów.

Woda była tutaj bardzo blisko, tuż pod stopami. Chlupotała w szparach między łodziami składającymi się na bazar, gęsta od śmieci. Jej zapach i dźwięk były mocne.

Na chwilę zamknął oczy i wyobraził sobie, że unosi się w chłodnej morskiej wodzie. Że schodzi w dół, czuje coraz większe ciśnienie otulającego go morza. Jego macki sięgają ku przepływającym obok rybom. Próbują się rozeznać w tajemnicach spodniej strony miasta: w niewyraźnych, ciemnych kształtach w oddali, ogrodach morszczynów i alg.

Tanner poczuł, że determinacja w nim opada i przyspieszył kroku.

W Pamięcioimpulsowni omal się nie zgubił, bo nie znał tej okolicy. Zajrzał do ręcznie naszkicowanego planu miasta. Szedł krętymi kładkami wiszącymi nad niskimi

łodziami i za ozdobnie przemodelowanymi karawelami dotarł do „Walca Wydmowego”, krępej starej kanonierki. Na rufie statku chybotąła się niestabilna z wyglądu wieża, przywiązana liną odciągową do takielunku.

Była to spokojna dzielnica. Nawet woda, snująca się między tymi łodziami, sprawiała wrażenie powolniejszej. Dzielnica ostatnich taumaturgów i aptekarzy, naukowców z Książkowic.

W biurze na szczycie wieży Tanner wyjrzał przez nierówno wycięte okno. Horyzont za wiercącym się krajobrazem statków chodził delikatnie w górę i w dół, bo „Walec Wydmowy” reagował na falowanie morza.

W języku salt nie było słowa oznaczającego prze-tworzenie. Poważne usprawnienia czy zmiany należały do rzadkości. Do większych zadań – łagodzących skutki działań crobuzońskich fabryk kary i tylko rzadko służących jakimś bardziej konstruktywnym celom – zatrudniano garstkę prze-twarzaczy, taumaturgów-samouków, wyspecjalizowanych lekarzy i chirurgów oraz, jak głosiła plotka, kilku ekspatriantów z Nowego Crobuzon, którzy przed laty szlifowali swoje umiejętności fachowe w karnej służbie temu państwu-miastu.

Na określenie tych poważnych zmian posługiwano się słowem zaczerpniętym z języka ragamoll. To ono wypełniało usta Tannera.

Ponownie skierował wzrok na mężczyznę cierpliwie czekającego za biurkiem.

– Potrzebuję waszej pomocy – powiedział Tanner niepewnym głosem. – Chcę zostać prze-tworzony.

Tanner długo się nad tym zastanawiał.

Jego oswajanie się z morzem było dla niego jak długie, rozciągnięte w czasie narodziny. Każdego dnia spędzał coraz więcej czasu pod wodą z którą coraz lepiej mu się obcowało. Jego nowe kończyny całkowicie się przystosowały, były równie silne i prawie tak samo chwytny jak jego własne ramiona i ręce.

Dawniej z zazdrością patrzył, jak delfin Bastard John pełni służbę wartowniczą, sunąc przez słoną wodę tym jedynym w swoim rodzaju ruchem – na przykład, aby ukarać jakiegoś leniuchującego robotnika brutalnym pchnięciem, obserwował, jak spuszczają się do wody raki z półzatopionych statków, zastygłych w chwili swego unicestwienia, zamarynowanych w czasie, albo ci nie dziwaczni ludzie-ryby z Cieplarni, nie ograniczani uprzężą ani łańcuchami.

Po wynurzeniu Tanner czuł, że jego macki zwisają ciężko i niewygodnie, ale pod wodą, w skórzano-mosiężnej uprzęży, czuł się spętany i ubezwłasnowolniony. Chciał pływać swobodnie, w poziomie, do góry, ku światłu, a nawet... tak, nawet w dół, do zimnych, milczących ciemności.

Było tylko jedno rozwiązanie. Zastanawiał się nad wnioskiem do władz portowych o dotację, której z pewnością by mu udzielono, bo zyskaliby nieskończenie wydajniejszego pracownika. Ale w miarę jak mijały dni i wzrastała jego determinacja, zrezygnował z tego planu i zaczął chomikować oczka i flagi.

Tego ranka, kiedy Szekel był u Angevine, a bezchmurne niebo dmuchało Tannerowi w oczy słonym powietrzem, nagle zdał sobie sprawę, że absolutnie i bez żadnych zastrzeżeń chce to zrobić. I z wielką radością uświadomił sobie, że nie

zamierza prosić o pieniądze; nie dlatego, że się wstydzi, że jest zbyt dumny, ale dlatego, żeby decyzja ta była w stu procentach i jednoznacznie jego własna.

Szekel, gdy nie był z Angevine – a czas ten wydawał mu się jak sen – przebywał w bibliotece i przerabiał sterty książeczek dla dzieci.

Przebrnął przez *Bohaterskie jajo*. Za pierwszym razem zajęło mu wiele godzin. Potem przeczytał tę książkę jeszcze wiele razy, próbując to robić coraz szybciej. Zapisywał słowa, których nie udało mu się odczytać i powoli wypowiadał dźwięki, jeden po drugim, póki z usłyszanych kształtów nie wyłonił się sens.

Z początku szło mu ciężko i nienaturalnie, ale stopniowo wdrożył się w ten proces. W kółko czytał *Bohaterskie jajo*, coraz szybciej i szybciej niezainteresowany fabułą, ale głodny bezprecedensowego doznania, że z kartki papieru przychodzi do niego sens, wyskakuje z liter jak uciekinier. Było to tak intensywne i rozstrajające przeżycie, że dostawał od tego mdłości. Skierował swoją technikę czytania na inne słowa.

Był nimi otoczony: szyldy widoczne na ulicy handlowej za oknami, napisy w całej Armadzie, mosiężne tabliczki w jego rodzinnym mieście, w Nowym Crobuzon, milcząca wrzawa liter – wiedział, że już nigdy nie będzie głuchy na te słowa.

Szekel skończył *Bohaterskie jajo* i zakipiła w nim wściekłość.

„Czemu nikt mi nie powiedział?” – pomyślał rozjuszony. „Co za skurwiel ukrywał to przede mną?”

Kiedy Szekel przyszedł do małego biura Bellis koło czytelni głównej, jego postawa zaskoczyła ją.

Po nocnej wizycie Fenneca była bardzo zmęczona, ale wysiliła się i skoncentrowała uwagę na Szeklu. Spytała, jak mu idzie czytanie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że zapał, z jakim jej odpowiedział, wzruszył ją.

– Jak się ma Angevine? – spytała.

Szekel próbował się odezwać, ale nie potrafił. Bellis zbadła go wzrokiem.

Spodziewała się nastoletnich przechwałek i górnołotnych wyznań, ale Szekel był wyraźnie sparaliżowany uczuciami, których nie nauczył się przeżywać. Spłynęła na nią nieoczekiwana fala tkliwości.

– Trochę się martwię o Tannera – powiedział powoli. – To mój najlepszy kumpel i myślę, że czuje się trochę... porzucony. Nie zamierzam go olać. To mój najlepszy kumpel.

Zaczął mówić o swoim przyjacielu Tannerze Sacku i między wierszami nieśmiało jej przekazał, jak stoją sprawy między nim a Angevine.

Uśmiechnęła się w duchu. Dojrzała metoda, którą Szekel zastosował bardzo sprawnie.

Powiedział jej o ich domu na statku fabrycznym. Powiedział jej o wielkich kształtach, które Tanner widział-nie widział pod wodą. Zaczął odczytywać słowa z pudeł i książek w pokoju. Wymawiał je głośno i zapisywał na kartkach papieru, rozbijając je na sylaby, każde słowo traktował z jednakowym analitycznym brakiem zainteresowania. Zaimek, czasownik, rzeczownik, nazwa własna – jeden pies.

Kiedy z wysiłkiem przesuwali pudło ze skryptami botanicznymi drzwi biura otworzyły się i wszedł starszy pan z prze-tworzoną kobietą – Szekel wytrzeszczył oczy i ruszył w ich stronę.

– Ange... – zaczął, ale kobieta – która toczyła się na klekoczącej blaszanej maszynerii zastępującej nogi – pokręciła szybko głową i splotła ramiona na piersiach. Siwowłosa mężczyzna odczekał, aż skończy się niewerbalna interakcja Angevine i

Szekla. Patrząc na niego nieufnie, Bellis uświadomiła sobie, że jest to człowiek, który przywitał się z Johannesem na pokładzie. Tintinnabulum.

Był muskularny i jak na swój wiek, dobrze się trzymał. Sędziwa, brodata twarz, ujęta w sięgające poniżej ramion kudły siwych włosów, wyglądała jak przeszczepiona do młodszego ciała. Skierował spojrzenie na Bellis.

– Czy mógłbyś nas na chwilę zostawić, Szekel? – powiedziała spokojnie Bellis, ale Tintinnabulum zaprotestował:

– Nie ma takiej konieczności. – Jego głos był jakiś odległy, dostojny i melancholijny. Starzec przeszedł na ragamollszczyznę, którą posługiwał się biegle i z dobrym akcentem. – Pochodzi pani z Nowego Crobuzon, prawda? – Milczała, ale on pokiwał głową w taki sposób, jakby mu odpowiedziała. – Rozmawiam ze wszystkimi bibliotekarzami, zwłaszcza takimi jak pani, katalogującymi nowe nabytki.

„Co ty o mnie wiesz?” – pomyślała Bellis. „Co Johannes ci powiedział? A może mnie chroni, mimo że się pokłóciliśmy?”

– Mam tutaj... – Tintinnabulum wyjął kartkę papieru. – Mam tutaj listę autorów książek, na których odszukaniu najbardziej nam zależy. Są to pisarze bardzo nam przydatni w naszej pracy. Poprosimy Panią o pomoc. Mamy część prac niektórych z tych autorów i byłibyśmy bardzo szczęśliwi, gdyby udało się znaleźć inne. O niektórych wiemy, że napisali konkretne pozycje. Na temat pozostałych dysponujemy tylko pogłoskami. Jak pani zobaczy, w katalogu są prace trzech spośród nich... o tych książkach wiemy, ale jesteśmy zainteresowani znalezieniem innych... Może się zdarzyć, że któreś z tych nazwisk wyskoczą w następnej partii książek. Inna możliwość to, że ich prace od wieków znajdują się w zasobach biblioteki, zagubione na półkach. Sta rannie przeszukaliśmy odpowiednie działy: biologiczny, filozoficzny, taumatologiczny, oceanologiczny. Nic nie znaleźli. Mogliśmy jednak coś przeoczyć. Chcielibyśmy, żeby pani zwracała uwagę na wszystkie książki, które pani kataloguje, zarówno nowe, jak i znalezione za półkami. Dwie z tych pozycji, nie pochodzące z Nowego Crobuzon, są stare. – Bellis wzięła do ręki listę, spodziewając się, że będzie bardzo długa. Tymczasem na samym środku kartki widniały napisane na maszynie zaledwie cztery nazwiska. Żadne z nich jej nie mówiło. – To jest trzon naszej listy – wyjaśnił Tintinnabulum. – Znacznie dłuższa wersja zostanie wywieszona koło biurka, ale chcemy, żeby zapamiętała pani te cztery nazwiska i miała baczenie na prace tych autorów.

„Marcus Halprin”. Nazwisko crobuzońskie. Przesuwając się wraz z Tintinnabulumem w stronę drzwi, Angevine dawała Szeklowi ukradkowe znaki. „Uhl-Hagd-Shajjer, w transliteracji” – przeczytała i skomentowała w myślach, a obok pisownia oryginalna: zestaw pochyłych piktogramów, w których rozpoznała lunarną kaligrafię z Khadoh. Poniżej trzecie nazwisko: „A.M. Fetchpaw”, znowu crobuzońskie.

– Halprin i Fetchpaw to pisarze względnie współcześni – powiedział Tintinnabulum od drzwi. – Dwaj pozostali w naszej ocenie są wcześniejsi, przypuszczalnie o jedno stulecie. Zostawimy panią z pani obowiązkami, panno Coldwine. Gdyby pani coś znalazła, proszę zgłosić się do mnie na mój statek. „Kastor”, w dziobowej części Niszczukowód. Mogę panią zapewnić, że każdy, kto nam pomoże, zostanie wynagrodzony.

„Co ty tam o mnie wiesz?” – pomyślała Bellis z niepokojem, kiedy drzwi się zamknęły.

Westchnęła i ponownie obejrzała kartkę. Szekel zaglądnął jej przez ramię i zaczął niepewnie odczytywać nazwiska.

„Krüach Aum” – przeczytała wreszcie Bellis, nie zważając na Szekla, który sylabizował powoli. „Jakie egzotyczne” – pomyślała z przekąsem, patrząc na pismo, archaiczny wariant ragamoll. „Johannes wspomniał o tobie. To nazwisko w kettai”.

W katalogach były po dwa woluminy Halprina i Fetchpawa: *Polemiki z Benchamburgiem: radykalna teoria wody* tego pierwszego – w dwóch tomach – oraz *Ekologie morskie* i *Biofizyka wody morskiej* tego drugiego.

Uhl-Hagd-Shajjer mógł się poszczycić sporą liczbą prac w katalogu książek z Khadoh o objętości średnio około czterdziestu stron. Bellis była dostatecznie obznajomiona z alfabetem księżycowym, aby odcyfrować brzmienie tytułów, ale nie miała pojęcia, co one znaczą. Książek autorstwa Krüacha Auma nie było w ogóle.

Bellis patrzyła, jak Szekel uczy się czytać, grzebie w kartkach, na których wypisał trudne słowa, uzupełnia je podczas ich wymawiania, kopiuje słowa z leżących dokoła gazet, z szufladek katalogowych, z listy nazwisk zostawionej przez Tintinnabuluma. Wyglądało to tak, jakby chłopiec umiał kiedyś czytać i teraz odświeżał tę umiejętność.

O piątej usiadł z nią nad *Bohaterskim jajem*. Na jej pytania o przygody jaja odpowiadał z niemal komiczną precyzją. Wypowiadała nieznanne mu słowa, sylaba po sylabie, pomagała mu zorientować się w zamęcie niemych lub różnie wymawianych liter. Powiedział jej, że przygotował się już z innej książki, którą przeczytał tego dnia w bibliotece.

Tego wieczoru Bellis po raz pierwszy napisała w liście o Silasie Fennecu. Kpiła z jego pseudonimu, ale przyznała, że po wielu dniach spędzonych samotnie towarzystwo tego aroganta sprawiło jej ulgę. Kontynuowała lekturę *Esejów o zwierzętach* Johannesesa. Zastanawiała się, czy Fennec przyjdzie znowu, a kiedy nie przyszedł, położyła się do łóżka rozdrażniona i znudzona.

Nie po raz pierwszy śniła o rzecznej wyprawie do Zatoki Żelaznej.

Tannerowi śniło się, że jest prze-twarzany.

Znowu trafił do fabryki kar w Nowym Crobuzon, gdzie przez wiele rozdzierających, zamoczonych minut bólu i upokorzenia przyszywano mu dodatkowe kończyny. Powietrze znowu rozbrzmiało industrialnymi hałasami i krzykami, a Tanner leżał przypięty do pozaciekanego drewna, ale tym razem nachylony nad nim mężczyzna nie był biotaumatykiem w masce, tylko armadyjskim cho rurgiem.

Tak samo jak na jawie chirurg pokazał mu rysunki anatomiczne jego ciała, z zaznaczonymi na czerwono miejscami przeznaczonymi do zmiany, podobnymi do poprawek w szkolnym zeszycie dziecka. Będzie bolało? – spytał Tanner i fabryka kar zbladła, sen też.

Pytanie pozostało. „Będzie bolało?” – pomyślał, leżąc w swoim pokoju, w którym od niedawna mieszkał sam.

Ale kiedy zszedł pod wodę, ponownie ogarnęła go tęsknota i zdał sobie sprawę, że mniej się boi bólu niż wiecznie go trawiącego pragnienia.

Angevine surowym tonem powiedziała Szeklowi, jak ma się zachowywać, gdy ona pracuje.

– Nie możesz tak do mnie zagadywać, chłopcze. Pracuję u Tintinnabuluma od lat. Niszczukowody płacą mi za opiekę nad nim, odkąd go sprowadzili. Dobrze mnie wyszkolił i jestem mu winna lojalność. Trzymaj się ode mnie z daleka, kiedy pracuję,

rozumiesz? – Ostatnio z reguły mówiła do niego w salt, zmuszając go do nauki tego języka – była wobec niego bezwzględna, bo chciała jak najszybciej przyswoić go miastu. Odwróciła się do wyjścia, ale Szekel ją zatrzymał i powiedział zająkliwie, że chyba nie przyjdzie tego wieczoru do jej kajuty, że chyba powinien nocować u Tannera, który ma lekką chandrę.

– Dobrze o tobie świadczy, że o nim myślisz – powiedziała. Pod wieloma względami bardzo szybko dojrzewał. Lojalność, pożądanie i miłość nie wystarczały jej. Prawdziwą namiętność budziło w niej to częste wyzieranie mężczyzny spod dziecka, którego skorupę z siebie zrzucił. Macierzyńska czułość przeradzała się w niej wtedy w coś twardszego, bardziej prymitywnego i zawrotnego. – Poświęć mu jeden wieczór, a do mnie przyjdź jutro, mój kochanku.

To ostatnie słowo powiedziała z rozmysłem. Szekel uczył się z wdziękiem przyjmować takie prezenty.

Szekel spędzał w bibliotece samotne godziny, w otoczeniu drewna, papieru welinowego, delikatnie butwiejącej skóry i książkowego kurzu. Trzymał się działu w ragamoll, mając wokół siebie książki, które ostrożnie zdejmował z półek i otwierał. Teksty i obrazy leżały na podłodze jak kwiaty. Powoli przyswajał sobie opowieści o kaczkach, ubogich chłopcach, którzy zostali królami, bitwach z trałowcami i historii Nowego Crobuzon.

Zapisywał każde kłopotliwe słowo, którego dźwięki próbowały mu się wymknąć: pszczoła, szabla, charkot, Jheshul, Krüach. Ćwiczył je bez ustanku.

Wszystkie książki trzymał przy sobie i odkładał na półkę dopiero na koniec dnia, nie według niezrozumiałych dla niego sygnatur, tylko zgodnie z własnym systemem mnemotechnicznym: ta idzie między duży czerwony i mały niebieski grzbiet, ta idzie na koniec obok książki z obrazkiem statku powietrznego.

Zdarzył się jeden straszny moment paniki. Szekel zdjął z półki książkę i kształty w środku, wszystkie litery, były jego przyjaciółmi, ale kiedy usiadł nad nimi i zaczął je wypowiadać, czekając, aż zabrzmią mu w głowie słowa, wyszedł z tego bełkot. Szekel wpadł w roztrzęsienie, sądząc, że utracił to, co zdobył.

Potem jednak zdał sobie sprawę, że wziął książkę z półki na lewo od działu w ragamoll, że alfabet jest wspólny z niedawno opanowanym przez niego, ale układa się w inny język. Szekel zbaraniał, uzmysłowivszy sobie, że ryty, które po konał, spełniają to samo zadanie dla ludzi, którzy w ogóle nie umieliby się ze sobą porozumieć. Uśmiechnął się szeroko na tę myśl. Ta literkowa wspólnota ucieszyła go.

Otwierał kolejne obcojęzyczne tomy i produkował albo próbował produkować dźwięki odpowiadające literom, po czym śmiał się z tego, jak dziwnie brzmią. Usiłował powiązać obrazki ze słowami i stawiał ostrożną hipotezę, że w owym języku to konkretne skupisko liter oznacza „łódź”, a tamto „księżyc”.

Szekel powoli oddalał się od działu ragamollskiego, na chybił trafił brał książki i wpatrywał się w zawarte w nich nieprzeniknione historie, zmierzał długimi korytarzami książek dla dzieci, po czym dotarł do nowych regałów. Tam otworzył książkę z pismem zupełnie niepodobnym do tego, które znał. Roześmiał się, zachwycony tymi dziwnymi zawijaszami.

Poszedł dalej i znalazł kolejny alfabet, a później jeszcze jeden. Przez wiele godzin z fascynacją i zdziwieniem penetrował nieragamollskie półki. Te pozbawione sensu słowa i nieczytelne alfabety budziły w nim nie tylko nabożną cześć wobec świata, ale również resztki fe tyszizmu, któremu ulegał w czasach, kiedy wszystkie

książki istniały dla niego w takiej formie jak te – były niemymi przedmiotami kreślonej masie, rozmiarach i barwie, ale pozbawionymi treści.

A jednak coś się zmieniło. To już nie to samo, kiedy patrzy się na te stronicę ze świadomością, że miałyby sens dla jakiegoś cudzoziemskiego dziecka, tak jak *Bohaterskie jajo*, *Historia Nowego Crobuzon* czy *Osa w peruce* otworzyły przed nim skarbiec swojego znaczenia.

Książkom napisanym w niskim i wysokim kettai, sunglari, lubbock i khadohi przyglądał się z rodzajem fascynacji, tęsknoty za utraconą niepiśmiennością, chociaż ani przez moment nie miał chęci do niej wracać.

Rozdział jedenasty

O zachodzie słońca Silas czekał na Bellis, która wyłoniła się spod pokładu „Pinchermama”. Wypatrywał jej oparty o reling. Uśmiechnął się na jej widok.

Jedli razem i rozmawiali, sondując się nawzajem delikatnie. Bellis nie umiała powiedzieć, czy cieszy się ze spotkania z nim konkretnie, czy też po prostu ma dosyć samotności. Tak czy owak, dobrze się czuła w jego towarzystwie.

Silas wystąpił z pewną propozycją. Był czwarty bookdi jastrzębiego dzioba, czyli dzień krwi strupodziejów, i w okręgu Tobietwój odbywało się duże święto walki. Miało się zjawić kilku spośród najlepszych wojowników z okręgu Ałozowice, aby popisać się swoimi umiejętnościami. Czy widziała kiedyś *mortu crutt*, czyli walkę tupaną?

Bellis wymagała przekonywania. W Nowym Crobuzon nigdy nie zaszczyciła swoją obecnością cyrku gladiatorów w Cadnebar ani żadnej z jego pomniejszych imitacji. Tego rodzaju potyczki uważała za odrażające, a przede wszystkim nudne. Silas nie poddawał się. Bellis przyjrzała mu się bacznie i doszła do wniosku, że jego pragnienie obejrzenia tych walk nie jest motywowane ani sadyzmem, ani podglądaczem: nie wiedziała, co się za nim kryje, ale była pewna, że coś mniej prymitywnego. A może prymitywnego w inny sposób.

Wiedziała również, że ma wielką ochotę z nim pójść.

Aby dotrzeć do dzielnicy Tobietwój, przeszli nad Ałozowicami, gdzie mieszkali strupodzieje. Taksówka powietrzna statecznie sunęła obok patykowatej wieży dźwigarów na rufie wielkiego żelaznego „Człekoźwierza” i dalej, ku sterburcie.

Bellis nigdy wcześniej tu nie była. „Najwyższy czas” – pomyślała ze wstydem. Podjęła postanowienie, że spróbuje zrozumieć miasto, ale groziło jej, że ta determinacja przygaśnie i przerodzi się w mglistą chmurę depresji.

Arena walk znajdowała się opodal okrętu flagowego okręgu Tobietwój, dużego klipra z żaglami pociętymi w dekoracyjne wzory, w gąszczu bocznych uliczek tej kupieckiej dzielnicy. Był to krąg małych łodzi z wznoszącymi się rzędami ławek i kołem morskiej wody pośrodku. W roli prywatnych łoża dla bogaczy występowały wystawne gondole podwieszane do sterowców.

Funkcję sceny pełniła drewniana platforma okolona mosiężnymi lampami gazowymi i baryłkami, które utrzymywały ją na powierzchni. Tak wyglądał stadion: krąg przerobionych łodzi i balonów wokół kawałka deski z odzysku.

Błyskając pieniędzmi i lapidarnym słowem, Silas przekonał dwóch kibiców, aby zrobili im miejsce w pierwszym rzędzie. Ścisłym głosem przedstawiał Bellis siedzące wokół nich osobistości i stosunki polityczne.

„To jest wezyr okręgu Tobietwój, który przyszedł odzyskać pieniądze stracone na początku kwarty”. „Ta kobieta w welonie nigdy nie pokazuje twarzy. Podobno jest członkiem rady w Bud”. Bellis bez przerwy myszkowała wzrokiem po widowni.

Sprzedawcy handlowali jedzeniem i winem z przyprawami, a bukmacherzy krzykiem podawali stawki. Święto było bezpretensjonalne i plebejskie, jak większość tego, co się działo w okręgu Tobietwój.

Widownia bynajmniej nie składała się wyłącznie z ludzi.

– Gdzie są strupodzieje? – spytała Bellis.

Silas zaczął jej pokazywać różne, z pozoru przypadkowe miejsca na widowni. Bellis miała wrażenie, że Fennec mierzy palcem w ludzi, ale byli zbyt krępi i wyglądali na naprawdę silnych, a skórę mieli przebarwioną na szaro i poznaczoną bliznami.

Zabrzmiały krwiorogi i na skutek chemicznych sztuczek światła sceny buchnęły czerwienią. Widownia zaryczała entuzjastycznie. Dwa miejsca dalej Bellis zobaczyła kobietę, której fizjonomia zdradzała strupodzieja. Osoba ta nie skandowała i nie krzyczała, tylko przeczekała prostacki entuzjazm. Bellis zauważyła, że inni strupodzieje reagują podobnie: ze stoickim spokojem czekają na rytualne pojedynki.

„Ogólna żądza walki jest przynajmniej szczerą” – pomyślała Bellis z pogardą. Liczba bukmacherów wskazywała, że jest to cały przemysł na przekór twierdzeniom tym z Ałozowic. Bellis z radosnym zdziwieniem zdała sobie sprawę, że w napięciu czeka na rozwój wydarzeń. Że jest cała przejęta.

Kiedy pierwsi trzej zawodnicy zostali przetransportowani na scenę, widownia ucichła. Strupodzieje, odziani tylko w przepaski biodrowe, wstąpili na platformę i ustawili się w trójkąt twarzami ku widowni.

Wszyscy byli muskularni, a ich szara skóra wyglądała bezbarwnie w gejzerach gazowego światła.

Jeden z mężczyzn stał z twarzą skierowaną dokładnie w jej stronę. Światła z pewnością go oślepiały, ale Bellis hołubiła fantazję, że jest to prywatny występ przeznaczony wyłącznie dla jej oczu.

Zawodnicy ulękli i obmyli się, każdy z miski dymiącego naparu w kolorze zielonej herbaty. Bellis zobaczyła liście i pąki.

Nagle wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Każdy zawodnik wyjął z miski nóż i trzymał nieruchomo. Ociekające naparem klingi były zakrzywione jak hak albo szpon. Noże do obdzierania ze skóry. Narzędzia do karbowania, odkrawania ciała.

„Tymi nożami walczą?” – chciała spytać Silasa, ale nagłe sapnięcie widowni ściągnęło jej uwagę z powrotem na scenę. Sama krzyknęła ułamek sekundy później.

Strupodzieje wyrzynali bruzdy we własnych ciałach.

Wojownik znajdujący się na wprost Bellis agresywnymi cięciami zaznaczał kontury swoich mięśni. Wsunął nóż pod skórę ramienia, po czym z chirurgiczną precyzją narysował czerwoną kreskę łączącą mięsień naramienny z bicipsem.

Krew jakby zawahała się przez chwilę, a potem zakwitła rzygnięciem, trysnęła ze szczeliny jak wrząca woda, wylewała się wielkimi chlustami, jakby ciśnienie w żyłach mężczyzny było niepomierne większe niż w żyłach Bellis. Czerwona ciecz pędziła po skórze makabryczną plamą, a on fachowo obracał ramieniem, nadając krwi bieg wedle jakiegoś schematu, którego Bellis nie dostrzegała. Czekala, aż kaskada posoki zachłapie scenę, co nie nastąpiło. Oddech stanął jej gardle, kiedy zobaczyła, że krew krzepnie.

Łała się z ran wielkimi bryznięciami, substancja krwi wypiętrzała się i Bellis ujrzała, że na brzegach rany powstały tamy zakrzepłej krwi, potężne jej narośle, czerwień błyskawicznie przebarwiała się na brązowo, niebiesko i czarno i zastygała w krystaliczne turnie sterczące parę centymetrów od skóry.

Krew spływająca po ramieniu również krzepła, rozprzestrzeniając się z nieprawdopodobną prędkością i zmieniając kolor jak żywotna pleśń. Odłamki tkanki strupowej przymarzały jak sól albo lód.

Mężczyzna ponownie zanurzył klingę w zielonej cieczy i ciął dalej podobnie jak jego koledzy z tyłu. Skrzywił się, aby odepchnąć ból. W nacinanych miejscach krew eksplodowała, płynęła wyżłobieniami jego anatomii i twardniała w abstrakcyjną zbroję.

– Ta zielona ciecz to napar, który spowalnia koagulację. Pozwala im kształtować zbroję – szepnął Silas do Bellis. – Każdy wojownik wykonuje cięcia według własnego wzoru. To należy do ich wyszkolenia. Mężczyźni o szybkich ruchach nacinają się i tak kierują krew, żeby stawy pozostały swobodne, i przykrawają nadmiar zbroi. Wolniejsi i silniejsi rzeźbią w strupach, aż są tak niezdarni i ciężkozbrojni jak konstrukty.

Bellis nie miała ochoty się odzywać.

Makabryczne, staranne przygotowania mężczyzn musiały trochę potrwać. Każdy z nich po kolei nacinał twarz, klatkę piersiową, brzuch i uda, hodując jedyną w swoim rodzaju powłokę zaschniętej krwi: stwardniałe pancerze, nagolenniki, napierśniki i hełmy o nieregularnych brzegach i zabarwieniu; przypadkowe stalagmity podobne do wycieków lawy, zarazem organiczne i mineralne.

Pracowity akt nacinania przyprawił Bellis o rewolucję w żołądku. Widok zbroi tak pieczołowicie hodowanej w bólu zaskoczył ją.

Po tych okrutnych i pięknych przygotowaniach sama walka była nudna i nieprzyjemna, zgodnie z oczekiwaniami Bellis.

Trzej strupodzieje krążyli wokół siebie, każdy z dwoma potężnymi bułatami w garści. W swoich dziwacznych zbrojach wyglądali jak zwierzęta o egzotycznym upierzeniu. Zbroje były jednak twardsze od nawoskowanej skóry, parowały ciosy ciężkich mieczy. Po długich, męczących zmaganiach skrzep krwi odpadł od przedramienia jednego z wojowników i najszybszy z mężczyzn wykonał cięcie w to miejsce.

Strupodziejska krew dawała jednak także innego rodzaju ochronę. – Trysnęła z otwartego ciała i zalała brzeszczot wroga. Zgęstniała od antykoagulanta, zakrzepła prawie natychmiast po kontakcie z powietrzem i pozbawiona walorów estetycznych bryła przywarła do metalu niby cyna lutownicza. Ranny mężczyzna ryknął i wykonał piruet wyrывая przeciwnikowi miecz, który zawibrował absurdalnie w ranie.

Trzeci mężczyzna wkroczył do akcji i ciął go przez gardło.

Poruszał się prędko i uderzył pod takim kątem, że chociaż szybko krzepnąca posoka zachlapała brzeszczot, miecz nie utkwiał w lodowcu krwi, który buchnął z postrzępionej dziury i momentalnie zamarznął.

Wstrząśnięta Bellis wstrzymała oddech, ale pokonany mężczyzna nie skołał. Padł na kolana widocznie cierpiący, ale szadź strupa natychmiast zasklepiła ranę, ratując mu życie.

– Widzisz, jak trudno jest im umrzeć na tej arenie? – mruknął Silas. – Jeśli zechcesz zabić strupodzieja, użyj pałki albo maczugi, nie ostrza. – Rozejrzył się szybko i podjął ścisłym, lecz zaangażowanym tonem: – Musisz się wysilić, Bellis, musisz się nauczyć różnych rzeczy. Chcesz pokonać Armadę, prawda? Chcesz się stąd wydostać? A zatem musisz wiedzieć, gdzie jesteś. Gromadzisz wiedzę? Bo ja tak. Dalijabber, zaufaj mi, Bellis. Teraz już wiesz, w jaki sposób nie należy próbować zabijać strupodzieja, tak? – Wytrzeszczyła na niego oczy ze zdumienia, ale jego brutalna logika miała sens. Z niczym się nie wiązał i wszystko analizował. Wyobraziła

sobie, że robi to samo w Cromlech, Gengris i Yoraketche, zbiera pieniądze, informacje, pomysły i kontakty, jako surowce, potencjalną broń lub towar na wymianę. Ze wstydem uzmysłowiła sobie, że Silas traktuje sprawę znacznie poważniej niż ona. Cały czas przygotowywał się i planował. – Musisz wiedzieć takie rzeczy – stwierdził. – A jest tego więcej. Są też ludzie, których musisz poznać.

Odbyły się kolejne walki strupodziejów, wszystkie nacechowane tym głównie skarłałym barbarzyństwem. Można było podziwiać różne wzory strupowych zbroi, różne style walki, aczkolwiek wszystkie mieszczące się w teatralnej estetyce ruchu i ostentacji *mortu crutt*. A potem ludzie, kaktusy i wszystkie lądowe rasy reprezentowane Armadzie dawały pokazy walki tupanej.

Zawodnicy posługiwali się nasadą pięści, jakby walili w stół – ten nosił nazwę młotkowego. Kopali nie z podbicia, tylko podeszwą, jakby tupali, stąd nazwa walki. Wirowali, ciągnęli, podkładali nogę i popychali, poruszając się szybkimi, zarazem szarpanymi i płynnymi ruchami.

Bellis patrzyła na kolejne złamane nosy, sińce i utraty przytomności. Wszystkie potyczki zwały się w jedną. Próbowwała dostrzec w tym wszystkim użyteczną wiedzę, próbowała przyswajać sobie to, co widzi, wyczuwając, że tak właśnie postępuje Silas.

O krawędź sceny uderzały drobne fale. „Kiedy to się skończy?” – pomyślała.

Gdzieś na widowni rozległ się rytmiczny, dudniący dźwięk.

Z początku był to szept, powtarzający się pomruk, który tętnił w tle szmeru widowni. Z czasem nabrał jednak mocy, stał się głośniejszy i bardziej natarczywy, ludzie zaczęli patrzeć wokół siebie, uśmiechać się i z rosnącym podnieceniem dodawać swoje głosy do tego hałasu.

– Tak – powiedział Silas, przeciągając to słowo z pozbawionym skrupułów zachwytem. – Nareszcie. To chciałem zobaczyć.

Z początku Bellis miała wrażenie, jakby źródłem tego dźwięku były mówiące bębny. A potem usłyszała je jako okrzyk: „Och, och, och!”. Idealnie rytmiczny, z towarzyszeniem klaskania i tupania.

Dopiero kiedy gorączka rozlała się na jej łódź, Bellis zdała sobie sprawę, że to jest słowo.

– Doul – dobiegało ją zewsząd. – Doul. Doul. Doul. Imię.

– Co oni mówią? – syknęła do Silasa.

– Wywołują kogoś – powiedział, wodząc wzrokiem po okolicy. – Chcą popisowej walki. Domagają się występu Uthera Doula. – Obdarzył ją szybkim, zimnym uśmiechem. – Poznasz go, kiedy go zobaczysz. – Po chwili perkusyjne skandowanie imienia przeszło w wiwaty i aplauz, ekstatyczną falę, która jeszcze bardziej się wypiętrzyła, kiedy jeden z małych sterowców przywiązanych do olinowania rzucił cumy i powoli przybliżył się do sceny. Namalowany był na nim herb Niszczukowód, parowiec na tle czerwonego księżyca. Gondola była z polerowanego drewna. – To pojazd Kochanków – wyjaśnił Silas. – Na chwilę oddają ludowi swego człowieka od specjalnych poruczeń, w kolejnym „spontanicznym” odruchu. Wiedziałem, że się nie oprze.

Z unoszącego się prawie dwadzieścia metrów nad areną statku powietrznego opadła lina. Wrzaski widzów przerosły wszystko. Niezwykle szybko i sprawnie na zachłapanie krwią boisko do walki spuścił się po linie mężczyzna.

Stanął na scenie bez butów, z nagą piersią, mając na sobie tylko skórzane bryczesy. Z ramionami przy bokach powoli obrócił się wokół własnej osi, żeby przyrzeć się widzom, a ich emocje sięgnęły zenitu. Kiedy jego wzrok ślizgał się po

Bellis, chwyciła mocno za barierkę i zaparło jej dech. Rozpoznała krótko przystrzyżonego mężczyznę, szarego rycerza, mordercę, który zdobył „Terpsychorię”.

Nie wiadomo, czym namówiono do walki z nim gromadkę mężczyzn.

Doul – smętnolicy zabójca kapitana Myzovica – nie ruszał się, nie rozciągał, nie podskakiwał, nie napinał mięśni, tylko stał i czekał.

Czterej przeciwnicy przyczaili się nerwowo na skraju areny. Mobilizowani entuzjazmem, okrzykami i rykiem widowni, przystąpili do omawiania taktyki.

Na twarzy Doula nie było widać absolutnie żadnych emocji. Kiedy jego rywale rozstawili się naprzeciwko niego, powoli przyjął postawę do walki tupanej – ramiona nieznacznie uniesione, kolana ugięte. Wyglądał na zupełnie spokojnego.

Przez pierwsze brutalne, zaskakujące sekundy Bellis nawet nie oddychała. Zaciśnęła mocno usta i nakryła je dłonią. Potem wraz z resztą widowni raz po raz prychała ze zdumienia.

Uther Doul zdawał się funkcjonować w innym czasie. Tak jakby przybył do świata bardziej topornego i ślamazarnego niż jego własny. Mimo potężnej postury poruszał się z taką prędkością, że wyglądało to, jakby grawitacja nie tylko nie przeszkadzała mu, a nawet przyspieszała jego ruchy. Nic w nich się nie marnowało. Kiedy przechodził od tupnięcia przez młotkowy do gardy, jego kończyny płynnie przybierały nową pozycję, a zmiana stanu odbywała się najkrótszą możliwą trasą jak w perfekcyjnie zaprojektowanej maszynie.

Doul plasnął otwartą dłonią jednego z mężczyzn, który padł jak długi. Potem odstąpił na bok, dwa razy kopnął drugiego z przeciwników w splot słoneczny i nie opuszczając nogi, sparował nią atak trzeciego. Obracał się i wypuszczał ciosy bez ozdobników, z brutalną precyzją bez trudu unieszkodliwiając rywali.

Ostatniego przyciągnął do siebie za ramię, pofrunął razem z nim w powietrze, wylądował okraciem na jego plecach i unieruchomił go wykręcając mu ramię.

Po długiej chwili ciszy aplauz buchnął z widowni jak krew ze strupodzieja.

Bellis poczuła, że robi jej się zimno, i znowu wstrzymała oddech.

Powaleni mężczyźni podnieśli się albo zostali zwleczeni jak kłody ze sceny. Uther Doul stał i oddychał ciężko, ale rytmicznie, ramiona miał odrobinę odchylone od boków, grzbiety mięśni spływały mu potem i cudzą krwią.

– Strażnik Kochanków – powiedział Silas pośród entuzjastycznej wrzawy tłumu.
– Uther Doul. Uczony, uchodźca, żołnierz. Ekspert od teorii potencjalności, historii Widmowców i walki. Strażnik Kochanków, ich zastępca, ich obrońca, zabójca i siłacz na ich usługach. Musiałaś to zobaczyć, Bellis. To jest przeszkoda na drodze naszej ucieczki.

Opuścili stadion i szli krętymi nocnymi uliczkami okręgu Tobietwój ku Ałozowicom, Niszczukowodom i „Chromolitowi”.

Żadne z nich się nie odzywało.

Po zakończeniu walki Doula Bellis zobaczyła coś, co ją zbulwersowało i wystraszyło. Kiedy się odwrócił, z rozczapierzonymi szponami i naprężoną, unoszącą się i opadającą pierśią, ujrzała jego twarz. Każdy jej mięsień był napięty, nadając jej wyraz drapieżnej dzikości, jakiej Bellis nigdy wcześniej nie widziała u człowieka.

Po chwili zwycięzca skinieniem głowy podziękował widowni i znowu wyglądał jak uprawiający kontemplację kaptan.

Bellis umiała sobie wyobrazić jakiś debilny, mistyczny kodeks wojownika, który destylowałby z walki przemoc i pozwalał bić się, czyniąc wojownika świętym. Umiała

też wyobrazić sobie, że ktoś podłącza się do rezerwuaru barbarzyństwa, pozwalając, aby atawistyczna dzika agresja zawładnęła nim niby ucieczka w obłąd. Ale połączenie jednego i drugiego u Doula wprawiło ją w osłupienie.

Zastanawiała się nad tym później, leżąc w łóżku i słuchając popukiwania lekkiego deszczu w dach. Doul przygotował się do walki i ochłonął po niej jak mnich, bił się jak maszyna i zdawał się przeżywać walkę niby drapieżna bestia. To napięcie przeraziło ją o wiele bardziej niż umiejętności bojowe, którymi zabłysnął. Tych można było się nauczyć.

Bellis pomagała Szeklowi w czytaniu książek, które z godziny na godzinę robiły się coraz trudniejsze. Potem zostawiła go w dziale dziecięcym i wróciła do swojego mieszkania, gdzie czekał na nią Silas.

Pili herbatę i rozmawiali o Nowym Crobuzon. Fennec był smutniejszy i bardziej milczący niż zwykle. Spytała go o przyczynę, lecz on pokręcił tylko głową. Miał w sobie jakąś niepewność. Po raz pierwszy, odkąd go poznała, Bellis doświadczyła czegoś zbliżonego do współczucia lub zatroskania. Najwyraźniej chciał jej coś powiedzieć albo o coś spytać. Czekala.

Powtórzyła mu to, co usłyszała od Johannesesa. Pokazała mu książki przyrodnika i wyjaśniła, że próbuje wysnuć z tych woluminów sekret Armady, ale nie wie nawet, które z nich są ważne i jakiego rodzaju wskazówek należy szukać.

O wpół do dwunastej, po długiej chwili milczenia, Silas spytał:

– Dlaczego wyjechałaś z Nowego Crobuzon, Bellis? – Otworzyła usta i podeszły jej do gardła wszystkie wymijające odpowiedzi, ale nie odezwała się. – Kochasz Nowe Crobuzon. A może należy inaczej to nazwać? Potrzebujesz tego miasta. Nie umiesz bez niego żyć. Nie rozumiem, dlaczego wyjechałaś.

Bellis westchnęła, ale pytanie nie zniknęło.

– Kiedy ostatni raz byłeś w Nowym Crobuzon? – spytała.

– Ponad dwa lata temu – obliczył. – A co?

– Kiedy byłeś w Gengris, czy dotarło do ciebie... Słyszałeś o koszmarach nocy letniej? O sennej kłątwie? O chorobie somnambulicznej? O syndromie nokturnalnym?

Zginał i prostował palce, przywołując do siebie jakieś wspomnienie.

– Coś słyszałem od jednego kupca, przed paroma miesiącami...

– To się zdarzyło pół roku temu. Tathis, Sinn. W lecie. Coś się porobiło z... nocami. – Pokręciła ogólnikowo głową. Milczenie Silasa same zawierało w sobie powątpiewania. – Do tej pory nie mam pojęcia o co chodziło, jest dla mnie ważne, abyś o tym wiedział. Stały się dziwne rzeczy. Po pierwsze koszmary. Ludzie mieli koszmary. Wszyscy, co do jednego. Jakbyśmy wszyscy oddychali skażonym powietrzem albo coś w tym guście. – Jej słowa nie oddawały grozy tamtych dni. Pamiętała potworne zmęczenie i przygnębienie, całe tygodnie strachu przed zasypianiem. Budziła się ze snu z krzykiem i histerycznym płaczem. – Druga rzecz to jakaś dziwna choroba. Mieszkańcy zapadali na nią setkami. Wszystkie rasy. Ona jakby... zabijała umysł, zostawało tylko ciało. Znajdowano ludzi rano, w łóżku, na ulicy czy gdzie tam, żywych, ale bez rozumu.

– I te dwie rzeczy były ze sobą powiązane? Najpierw skinęła, a potem pokręciła głową.

– Nie wiem. Nikt nie wie, ale na to wygląda. Pewnego dnia ni stąd, ni zowąd, wszystko się skończyło. Mówiło się, że wprowadzą stan wyjątkowy, że milicja wylegnie na ulice. Gigantyczny kryzys, horrendalna historia. I nie wiadomo, skąd się to wzięło. Zrujnowało nam sen, setkom ludzi odebrało rozum, bezpowrotnie, i nagle

poszło sobie. Też bez widocznego powodu. Kiedy się uspokoiło – podjęła po chwili przerwy – krążyły tysiące plotek i hipotez. Demony, Moment, eksperymenty biologiczne, które wymknęły się spod kontroli, nowa odmiana wampiryzmu... Nikt nie wiedział. Ciągłe jednak przewijały się pewne nazwiska. I nagle, na początku oktuara, zaczęli znikać moi znajomi... Najpierw usłyszałam historię o znajomym znajomego, którego nikt nie mógł znaleźć. Potem przepadła kolejna osoba, potem jeszcze jedna. Ale wciąż mnie to jakoś specjalnie nie martwiło. Nikt się nie martwił. Ale po pierwsze nie odnaleźli się, a po drugie znikwały osoby coraz bliżej mnie. Pierwszą ledwo znałam, drugą spotkałam na imprezie parę miesięcy wcześniej, z trzecią pracowałam na uniwersytecie i od czasu do czasu chodziłam na drinka. Potem nazwiska pojawiające się w kontekście koszmaru nocy letniej wymawiano coraz głośniejszym szeptem, aż w końcu jedno nazwisko usłyszałam całkiem głośno. Zarzut skupił się na jednej osobie. Osobie, która wiązała wszystkich zaginionych ze mną... Nazywa się Grimnebulin. Jest naukowcem i... chyba można go nazwać renegatem. Była nagroda za jego głowę. Wiesz, jak milicja rozpuszcza wici, zawoalowane sugestie i przekaz dalej, dlatego nikt nie wie, ile pieniędzy i za co. Ale dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że zniknął i że rządowi bardzo zależy na jego znalezieniu... I przychodzili po ludzi, którzy go znali: kolegów z pracy, znajomych, przyjaciół, kochanki. – Patrzyła na Silasa tępym wzrokiem. – Byliśmy kochankami. Dalijabber, cztery, pięć lat wcześniej, od dwóch lat nawet ze sobą nie rozmawialiśmy. Słyszałam, że związał się z jedną khepri. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem, co zrobił, ale chłopcy burmistrza próbowali go znaleźć. I czułam, wkrótce przyjdzie kolej na mnie... Wpadłam w paranoję, ale miałam prawo. Unikałam chodzenia do pracy, unikałam znajomych. Zdałam sobie sprawę, że czekam, kiedy mnie zatrzymają. Milicja – ożywiła się nagle Bellis – rozbestwiła się w tamtych miesiącach jak jasna cholera. Isaac i ja byliśmy ze sobą blisko. Mieszkaliśmy razem. Wiedziałam, że milicja mi nie przepuści. A nawet jeśli niektórych przesłuchiwanym zwolnili, to po wszystkich ślad zaginął. Na żadne pytania, które mogliby mi zadać, nie miałam odpowiedzi. Bogowie raczą wiedzieć, co oni by ze mną zrobili. – To był samotny, ponury czas. Bellis nigdy nie miała zbyt wielu bliskich przyjaciół, zresztą, i tak bała się z nimi kontaktować, żeby nie narażać ich na nieprzyjemności albo z obawy, że zostali przekupieni. Pamiętała gorączkowe przygotowania, pospieszne układy i wątpliwe kryjówki. Pamiętała, że Nowe Crobuzon było wtedy budzącym grozę miastem, rządonym twardą ręką i lodowato tyrańskim. – Zrozumiałam, że muszę wyjechać, i zaczęłam się do tego przygotowywać. Nie miałam pieniędzy ani kontaktów w Myrshock czy Shankell. Nie miałam czasu na zorganizowanie czegoś. Ale państwo płaci za wyjazd do Nova Esperium. – Silas przytaknął powoli, a Bellis szarpnęła głową szyderczym ruchem. – Czyli jeden organ państwowy ścigał mnie, a drugi rozpatrywał moje podanie o zgodę na wyjazd i negocjował ze mną płacę. Takie są korzyści z biurokracji. Ale nie miałam czasu na takie bawienie się z nimi, dlatego zamustrowałam się na pierwszy statek, który płynął do Nova Esperium. Musiałam w tym celu nauczyć się ręcznego salkrikaltorskiego... Dwa lata? Trzy? – Wzruszyła ramionami. – Nie wiedziałam, po jakim czasie będę mogła bezpiecznie wrócić. Statki do Nova Esperium pływają co najmniej raz w roku. Miałam pięcioletnią umowę, ale zdarzało mi się już zrywać umowy. Pomyślałam, że zostanę tam, póki nie zapomną, póki jakiś inny wróg publiczny, kryzys albo inny diabeł nie odwróci ich uwagi. Póki nie dostanę informacji, że nie mam się czego obawiać. Bo są ludzie, którzy wiedzą, gdzie... miałam być. – Chciała Powiedzieć „gdzie jestem”. Przez dłuższy czas przyglądali się sobie. – Teraz już wiesz, dlaczego uciekłam.

Bellis pomyślała o ludziach, których zostawiła, o tej garstce, do której miała zaufanie, i na moment ogarnęła ją ogromna tęsknota.

Okoliczności były bardzo dziwne: zbieg rozpaczliwie pragnie wrócić do kraju, z którego uciekł. „Cóż – pomyślała – rzeczywistość wywraca wszystkie plany”. Uśmiechnęła się cierpko. „Próbowałam wyjechać z miasta na parę lat, rzeczywistość wkroczyła do akcji, coś się wydarzyło i teraz do końca życia jestem uwięziona jako bibliotekarka w wędrownym mieście pirackim”.

Silas był milczący. Sprawiał wrażenie poruszonego jej opowieścią, Bellis przyglądała mu się uważnie i wiedziała, że rozmyśla o swojej historii. Żadne z nich nie użalało się nad sobą, ale znaleźli się tutaj bez swojej winy i zamiaru i nie mieli ochoty zostawać.

Kolejne minuty milczenia wypełniły pokój. Na zewnątrz nadal rozbrzmiewał ściszony pyrkot tysięcy silników, które holowały ich na południe. Nie ustawał też szum fal brzmący niczym szept i inne dźwięki: hałasy typowe dla miasta i dla nocy.

Kiedy Silas wstał do wyjścia, Bellis podeszła wraz z nim do drzwi. Trzymała się całkiem blisko, chociaż go nie dotykała ani nie patrzyła na niego. Melancholijnie spojrział jej w oczy. Po długiej chwili nachylili się ku sobie, zastygli w niezobowiązujących pozach, on oparty ramionami o drzwi, ona z rękami przy bokach.

Całowali się, poruszając tylko ustami i językami. Uważali, żeby nie oddychać, zanadto nie ingerować w przestrzeń drugiego, dotykowo lub dźwiękowo, ale doprowadzili do połączenia, nieufnie i z ulgą.

Po zakończeniu długiego i głębokiego pocałunku Silas zaryzykował, zbliżył znowu i zamknął przestrzeń między nimi serią kolejnych zetknięć ust. Pozwoliła mu na to, mimo że ta pierwsza chwila minęła i ta mała koda rozgrywała się w czasie rzeczywistym.

Bellis oddychała powoli i patrzyła na niego ze spokojem, a on na nią, tak długo, jak patrzyliby również bez pocałunku. Otworzył drzwi i wyszedł na chłodne powietrze, powiedziawszy cicho: „Dobranoc” Nie usłyszał jej odpowiedzi.

Rozdział dwunasty

Następnego dnia wypadał sylwester, dzień poprzedzający Nowy Rok. Oczywiście nie dla Armadyjczyków, dla których dzień ten wyróżniał się tylko nagłym wzrostem temperatury, dzięki czemu był jedynie bardziej jesienny. Nie mogli zamknąć oczu na fakt, że był to najkrótszy dzień w roku, ale nie przywiązywali do tego zbytnej wagi. Poza kilkoma radosnymi uwagami, że od tej pory noce będą krótsze, dzień przeszedł niezauważony.

Bellis była pewna, że nie jest jedynym spośród wprowadzonych Crobuzończyków, którzy przewracają wyimaginowane kartki ojczystego kalendarza. Podejrzewała, że w różnych okręgach Armady odbędą się tej nocy powściągliwe imprezy. Ciche, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi, żeby nie uświadomić gwardzistom, rektorom czy jak tam się zwały władze poszczególnych okręgów, że w zatłoczonych szeregówkach i galerach Armady niektórzy dochowują wierności innym, rodzimym kalendarzom.

Musiąca przyznać, że jest w tym trochę obłudy: wcześniej przeddzień Nowego Roku nigdy dla niej wiele nie znaczył.

Dla Armadyjczyków był to horndi, początek dziewięciodniowego tygodnia, a dla Bellis dzień wolny. Spotkała się z Silasem na pokładzie „Wielkiego Wschodniego”.

Zabrał ją do Parku Crooma, na wschodnim skraju Niszczukowód. Dziwił się, że nigdy tam nie była. Kiedy zagłębili się w parkowe aleje zrozumiała jego zaskoczenie.

Większą część parku zajmował duży pas, szeroki na ponad trzydzieści metrów i długi na prawie dwieście, na ogromnym kadłubie starożytnego parowca, którego tablicę z nazwą już dawno wymazała na tura. Zieleń rozprzestrzeniła się dwoma szerokimi, rozkołysanymi mostami na dwa stare szkunery ustawione rufa w rufę, niemal równie do wielkiego statku. Z kolei przed jego dziobem park przeskakiwał na mały, zgarbiony słup z martwymi od dawna działami. Ponieważ ten ostatni stał na terenie Bud, park był współwłasnością dwóch okręgów.

Bellis i Silas spacerowali płataniną alejek. Minęli pomnik Crooma pirackiego bohatera z przeszłości Armady. Bellis była pod wielkie wrażeniem.

Nie wiedzieć ile stuleci wcześniej architekci Parku Crooma przystąpili do pokrywania pokładów potrzaskanego przez wojnę parowca iłem i ściółką ogrodniczą. Miotani morskimi prądami Armadyjczycy nie mieli ziemi do orania i nawożenia, dlatego, podobnie jak książki i pieniądze, i ją musieli ukraść. Nawet gleba i błoto były przez wiele lat odbierane innym i zwożone wielkimi transzami z nadbrzeżnych farm i lasów, wydzierane z poletek zdumionych chłopów i transportowane po falach do miasta.

Pozwolili zniszczonemu parowcowi zardzewieć i zbutwieć, po czym wypełnili jego martwe wnętrze ukradzioną glebą, zaczynając od forpiku, maszynowni i najniższych ładowni węglowych – gdzie niewykorzystany koks znowu znalazł się pod tonami ziemi – obsypali ziemią obrośniętą pleśnią śrubę. Niektóre piece wypełnili do końca, niektóre zostawili częściowo puste; bańki powietrza w geologicznych warstwach marglu i kredy.

Potem projektanci ogrodu przerzucili uwagę na kajuty i prywatne kabiny. Tam, gdzie ściany i sufity nie doznały szwanku, poprzebijali je byle jak, naruszając integralność małych pomieszczeń i otwierając przejścia dla korzeni, kretów i robaków. Potem wypełnili wycinki przestrzeni ziemią.

Statek był mocno zagłębiony w wodzie, ale zachował pływalność dzięki mądrze rozlokowanym bąblom powietrza i postronkom łączącym go z sąsiadami.

Nad wodą warstwy torfu i ziemi zawłaszczyły pokład główny. Mostek, tylny kasztel i pokłady obserwacyjne przerodziły się w strome pagórki obleczone ziemią, sterczące ostrymi krzywiznami z dookolnej równiny.

Nieznani projektanci w podobny sposób przeobrazili trzy mniejsze, drewniane łodzie w pobliżu. Z pewnością pracowało im się łatwiej niż w żelazie.

Potem przyszła pora zasiewu i sadzenia, a wkrótce park zakwitł. Tu i ówdzie wyrastały zagajniki drzew, starych i gęsto rozstawiono maleńkie zakonspirowane lasy. Młodniaki i zagajniki średniej wielkości drzew liczących sobie wiek lub dwa. Ale było też trochę ogromnych okazów, sędziwych i strzelistych, które z całą pewnością przeszczepiono jako dorosłe drzewa z nadbrzeżnych lasów, aby zestalały się na pokładzie statku. Pod stopami wszędzie rosła trawa, trybu la leśna i pokrzywy. Na kanonierce w Budach pielęgnowano rabaty kwiatowe, ale na nieboszczyku parowcu lasom i łąkom Parku Grooma pozwalano rosnąć dziko.

Nie wszystkie rośliny były Bellis znane. W trakcie swoich powolnych podróży po Bas-Lag Armada odwiedzała krainy obce crobuzońskim naukowcom i plądrowała te egzotyczne ekosystemy. Na mniejszych statkach rosły grzyby wielkości człowieka, które poruszały się i syczały, gdy mijali je spacerowicze. Była jaskrawoczerwona wieża i kolczaste pnącza, które śmierdziały jak zgniłe róże. Na długi, tylny kasztel

skrajnego statku po stronie sterburty nie było wstępu. Silas poinformował Bellis, że za misternie splecionym głogowym płótem flora jest niebezpieczna: dzbaneczniki o dziwnej, nieprzewidywalnej mocy, przebudniki podobne do drapieżnych wierzb płaczących.

Ale na samym parowcu widziało się bardziej swojski krajobraz i listowie. We wnętrzu jednego z pagórków urządzono ogród wyłożony mchem i torfem. Oświetlane i podtrzymywane przy życiu przez jasne latarnie gazowe i niewielką ilość światła, która przedostawała się przez oblepione ziemią iluminatory, rośliny wypełniające poszczególne kajuty pogrupowano tematycznie. Była zatem tundra kamieni i fioletowej roślinności karłowatej, pustynia sukulentów, kwiaty leśne, kwiaty łąkowe, a wszystko połączone ciemnym korytarzem porośniętym trawą sięgającą kolan. W świetle przypominającym sepię, pod farbami wojennymi śniedzi i roślin pnących, wciąż można było przeczytać tarczki wskazujące drogę do mesy, grodzi i kotłowni. Stonogi i biedronki wydeptały sobie wokół liczne ścieżki.

Drzwiami w zboczu pagórka Bellis i Silas wyszli na powietrze i pomaszzerowali w wilgotnym cieniu, zwiedzili wszystkie cztery parkowe statki. Pośród zieleni spotkali innych spacerowiczów. Na południowym statku Bellis zatrzymała się zszokowana i pokazała w stronę krawędzi miasta, nad ogrodami i klingami, ponad trzydzieści metrów nad oceanem. Zobaczyła tam zacumowaną „Terpsychorię”. Pętające ją łańcuchy i liny były czyste. Nowe trapy łączyły ją z resztą miasta. Z głównego pokładu sterczał architektoniczny szkielet z drewna: plac budowy, fundamenty.

W taki oto sposób Armada rozrastała się dla swojej ludności połykała zdobycz i przebudowywała ją zamieniała w materiał budowlany jak bezmózgi plankton.

Bellis nie żywiła do „Terpsychorii” żadnych uczuć, gardziła ludźmi, którzy mieli słabość do statków. A jednak kiedy zobaczyła, że ostatnie ogniwo łączące ją z Nowym Crobuzon zostało tak bezczelnie i bez wysiłku wchłonięte, ogarnęło ją przygnębienie.

Drzewa szpilkowe i liściaste były ze sobą pomieszane bez ładu i składu. Silas i Bellis spacerowali między sosnami i czarnymi pazurami bezlistnych dębów i jesionów. Stare maszty wystrzeliwały ponad ten baldachim jak najstarsze drzewa w lesie, okryte korą rdzy, ociekające listowiem wystrzępionego olinowania. Bellis i Silas chodzili w ich cieniu i w cieniu lasu, mijali trawiaste pagórki porozdzielane małymi oknami i drzwiami w miejscach, gdzie ziemia zlikwidowała kajuty. Za popękany szkłem poruszały się robaki i różne inne ryjące w ziemi zwierzęta.

Obrośnięte bluszczem kominy parowca zniknęły za ich plecami, kiedy weszli w leśną gęstwinę, tracąc z oczu sąsiednie statki. Przemierzali spiralne ścieżki, które wyszukany metodami nawijały się na siebie, zdając się zwielokrotniać przestrzeń parku. Pokancerowane nasady kominów sterczały z ziemi, dławione przez jeżyny; korzenie i pnącza wiązały kabestany i wiły się misternie między poręczami obrośniętych mchem drabin opartych o zbocza pagórków.

W cieniu żurawia załadunkowego, który przypominał szkielet jakiegoś mitologicznego stwora, Bellis i Silas siedzieli pośród zimowego krajobrazu i pili wino. Kiedy Silas szukał w torbie korkociągu, Bellis zauważyła jego grubego notes. Wzięła zeszyt do ręki i spojrzała na Fenneca pytająco. Skinął głową, że się zgadza. Bellis otworzyła go.

Zobaczyła listy słów: notatki osoby, która próbuje się nauczyć obcego języka.

– Większość jest z Gengris – wyjaśnił. Powoli kartkowała strony pełne rzeczowników i czasowników, aby po pewnym czasie dotrzeć do niewielkiej części notatnika zawierającej datowane wpisy poczynione stenograficznym szyfrem, którego nie umiała odczytać: słowa skrócone do dwóch, trzech liter, bez znaków

interpunkcyjnych. Zobaczyła ceny towarów i rysunki grindylow: nieapetyczne ołówkowe szkice postaci o wydatnych oczach i zębach, niewyraźnych kończynach, łaskich okoniowatych ogonach. Do kartek przypięte były heliotypy, wykonane pospiesznie, w słabym świetle; niewyraźne odbitki w tonacji sepii, przebarwione, z plamami wody; zadraśnięcia i skażenia papieru uwypuklały monstrualność widniejących na heliotypach postaci. Zobaczyła odręczne mapy Gengris, pokryte strzałkami i adnotacjami, mapy wód Morza Zimnego Pazura. Topografia zanurzonych w wodzie wzgórz i dolin czy fortec grindylow była przedstawiona różnymi kolorami dla różnych typów skały: granitu, kwarcu i wapienia. Były też sugestywne szkice urządzeń mechanicznych, przede wszystkim machin obronnych. Silas nachylił się i pokazywał na ciekawsze jego zdaniem szczegóły.

– To jest wąwóz zaraz na południe od miasta, prowadzący do nadmorskich skał. Ta wieża, o ta nieregularna smuga, to była biblioteka skór, a to kadzie sztokfiszcy.

Dalsza część notatnika zawierała schematy przecinek, tuneli, wyposażonych w pazury maszyn i takich mechanizmów jak zegary i śluzy.

– Co to jest? – spytała.

Silas spojrzął jej przez ramię i parsknął śmiechem.

– A, załączki genialnych pomysłów – odparł z uśmiechem.

Siedzieli oparci plecami o zarośnięty pień, a może przysypaną ziemią anatomię szafki kompasowej. Bellis odłożyła notatnik Silasa. Wciąż z pewnym zażenowaniem, nachyliła się i pocałowała go.

Zareagował delikatnie, a nią owładnęła agresja: natarła bardziej stanowczo, aby nagle oderwać się z zastygłą miną i obserwować, jak Silas patrzy na nią z przyjemnością i niepewnością. Próbowала go rozgryźć, zrozumieć gramatykę jego akcji i reakcji, ale nie potrafiła.

Ale chociaż ją to frustrowało, doskonale wyczuwała, że targają nim podobne konflikty wewnętrzne. Jej złość i jego złość – na Armadę – na to absurdalne życie – zlały się w jedność. Niezmiernie jej ulżyło i dało poczucie wyzwolenia, że może się podzielić nawet czymś tak zimnym jak to.

Jeszcze raz pocałowała go namiętnie, a on skwapliwie ten gest odwzajemnił. Kiedy opasał ją ramieniem i wplótł palce w jej włosy, odsunęła się i wzięła go za rękę. Pociągnęła go przez kręte alejki parku na zachód, ku swojemu domowi.

W jej pokoju Silas patrzył bez słowa, jak Bellis się rozbiera.

Przerzuciła spódnicę, koszulę, żakiet i majtki przez oparcie krzesła i stała naga w zmierzchającym świetle sączącym się przez okno, rozpuszczając upięte do góry włosy. Silas drgnął. Ubrania porozrzucał wokół siebie jak nasiona. Uśmiechnął się do niej znowu, a ona westchnęła i też się uśmiechnęła, nareszcie, bez zwyczajowego budowania dystansu, bodaj pierwszy raz od miesięcy. Towarzyszył temu niespodziewany atak nieśmiałości, który zgasił uśmiech.

Nie byli dziećmi. Nie robili tego po raz pierwszy. Nie było nieporadności ani paniki. Podeszła do niego i opasała go udami z wyćwiczonym wdziękiem i pożądaniem. Kiedy nadziała się na jego fiuta, a on wyzwolił przygwożdżone przez nią do ściany ręce, wiedział, jak ją poruszyć.

Było namiętnie; bez miłości, ale nie bez radości; z pełną świadomością, ale i zaangażowaniem. Przywróciło to uśmiech na jej twarzy. Jęczała i szczytowała wielką erupcją ulgi i rozkoszy. Kiedy położyła się na wąskim łóżku, nauczyłszy go, jak lubi się pieprzyć, i poznawszy jego upodobania, spojrzała na niego. Miał zamknięte oczy i był zlany potem. Dokonała autoinspekcji, która potwierdziła, że nadal jest samotna, a miasto budzi w niej taką samą jak dotychczas odrętwiałość. Byłaby zdumiona, gdyby jej wynik był inny.

Ale jednak, ale jednak. Mimo wszystko. Jeszcze raz się uśmiechnęła. Było jej lepiej.

Przez trzy dni Tanner leżał na sali operacyjnej, przypięty do drewnianego stołu, czując, że wieża i statek poruszają się pod nim powoli i nieznacznie.

Trzy dni. Od czasu do czasu napierał na pasy i przesuwiał się parę centymetrów w lewo lub w prawo.

Głównie jednak pływał w żarłocznych eterycznych snach. Chorurg miał dobre serce i utrzymywał najwyższy bezpieczny poziom zanarkotyzowania, toteż Tanner stale przekraczał granicę między nieświadomością a zamroczeniem. Mruczał do siebie i do chorurga, który karmił go i podcierał jak niemowlę. Spędzał przy Tannerze wolne minuty albo godziny i udawał, że jego absurdalne, przerażające reakcje mają sens. Tanner wypluwał z siebie słowa, milczał, płakał, chichotał: tumaniony narkotykami, gorączkujący, omdlały, zmarznięty, smacznie śpiący.

Przed zabiegiem Tanner pobladł, kiedy usłyszał, jak to będzie wyglądało. Znowu unieruchomiony, znowu przypięty na czas przebudowy ciała. Opadły go narkotyczne i poprzetykane nieznośnym cierpieniem wspomnienia z fabryki kar.

Chirurg wytłumaczył mu jednak łagodnie, że bez niektórych procedur obejść się nie można. Operacja obejmuje na przykład przemieszczenie jego wnętrzości na poziomie najmniejszych części składowych. Tanner nie może się ruszać, kiedy atomy i cząstki jego krwi, płuc i mózgu będą podążały nowymi drogami i spotkają się w odmiennych układach. Musi być nieruchomy i cierpliwy.

Tanner wyraził zgodę. Zresztą, z góry wiedział, że zgodzi się na wszystko.

W pierwszy dzień, kiedy Tanner był głęboko pogrążony w chemiczno-taumaturgicznym śnie, chirurg rozkroił go.

Porobił głębokie nacięcia z boku szyi Tannera, po czym podniósł skórę i tkankę zewnętrzną, delikatnie wycierając krew, która popłynęła z surowego mięsa. Powstałe w ten sposób okienka ociekały, a chirurg przeniósł uwagę na usta Tannera. Wetknął w nie rodzaj żelaznego dłuta i wsunął w tkankę gardła, pchał i kręcił, żłobiąc tunele.

Stale uważając, aby Tanner nie udławił się krwią płynącą z ust i gardła, chirurg tworzył w ciele nowe przejścia. Kanaliki połączyły tył jamy ustnej Tannera z otwarciami na szyi. Nowe otwory za i pod zębami chirurg otoczył tkanką mięśniową, przylepiając ją za pomocą odpowiednich zakłęb i pobudzając niewielkimi zaiskrzeniami elektryczności.

Dołożył do ognia napędzającego pokazną maszynę analityczną. Karmił ją kartami perforowanymi, gromadząc dane. W końcu obok stołu operacyjnego włożył zbiornik z poddanym działaniu silnych środków uspokajających dorszem i połączył znieruchomiałą rybę z ciałem Tannera za pomocą tajemniczej i koślawej konstrukcji zbudowanej z zaworów, rurek z gutaperki i drutów.

Rozcieńczone homeomorficzne chymikalia przepływały ze skrzeli za do poszarpanych ran Tannera. Ryba i człowiek byli połączeni kablami. Chirurg mruczał pod nosem zakłęcia, kiedy nastawiał wibrującą aparaturę – był obrośnięty rdzą taumaturgii, ale metodyczny i staranny – i ugniatał krwawiącą szyję Tannera. Przez otwory w ciele i miejsca rozkrojenia skóry zaczęła się sączyć woda.

Przez większość nocy w delikatnie rozkołysanej przychodni scena ta powtarzała się. Chirurg podrzemywał, co jakiś czas sprawdzając stan Tannera i konającego powoli dorsza zawieszzonego w matrycy taumaturgicznych włókien, które opóźniały jego zgon. Kiedy zaszła taka potrzeba, zwiększał ciśnienie, precyzyjnie

skalibrowanymi pokrętłami zmieniał ustawienia, dodawał chymikaliów do morskiej wody w zbiorniku.

W tych godzinach Tanner śnił, że się dławi; bezwiednie otwierał i zamykał oczy.

Po wschodzie słońca chorurg odpiął Tannera i dorsza od aparatury. Dorsz natychmiast zdechł, cały skurczony i pomarszczony. Chorurg zamknął klapki skóry na szyi Tannera, śliskie od żelującej posoki. Przyglądał je rozświetlonymi taumaturgiczną mocą palcami, kiedy cięcia zasklepiły się.

Zanim Tanner się ocknął – na razie nie groziło mu to, bo wciąż był w narkozie – chorurg zakrył mu twarz maską, ścisnął nos palcami i zaczął delikatnie pompować w niego słoną wodę. Przez kilka sekund nie było reakcji. Potem Tanner zakrztusił się gwałtownie, pryskając wodą. Chorurg czuwał, gotowy w każdej chwili udrożnić mu nos.

A potem Tanner uspokoił się. Wciąż nieprzytomny, miał naprężoną nagłośnię i ściśniętą tchawicę, dzięki czemu słona woda nie mogła wejść mu do płuc. Chorurg uśmiechnął się, kiedy skrzela Tannera spłynęły wodą.

Z początku ciekła ślamazarnie, niosąc ze sobą krew, brud i tkankę łączną. A potem woda zaczęła się oczyszczać, a skrzela kurczyć i rozkurczać, emitując miarowe chlusty.

Tanner Sack oddychał wodą.

Obudził się później, zbyt zamroczony, aby zrozumieć, co się wydarzyło, ale zarażony entuzjazmem chirurga. Gardło strasznie go bolało. Znowu zasnął.

Mieli za sobą zdecydowanie najtrudniejszą fazę. Chorurg odciągnął powieki Tannera i wszczepił przezroczyste, mrugające i odpowiednio zmodyfikowane błony pobrane od kajmana hodowanego na jednej z miejskich ferm. Wstrzyknął Tannerowi cząstki stałe: formy życiowe, które współżyły z nim w nieszkodliwej dla niego symbiozie, odrobinę zwiększały mu oleistość potu, co rozgrzewało go i nadawało większą opływowość kształtom. Poniżej nosa Tannera wszył niewielki grzbiet mięśniowy i małe bryłki chrząstki, aby Tanner mógł zamykać nozdrza.

Wreszcie chorurg dokonał nieporównanie najłatwiejszej, chociaż najbardziej widocznej zmiany. Między palcami Tannera rozciągnął błonę, membranę gumowatej skóry umocowaną do epidermy Tannera. Usunął palce u nóg, zastępując je palcami rąk pobranymi od trupa; po ich przyszyciu Tanner wyglądał jak małpiatka, a po rozpięciu dodatkowych błon – jak żaba.

Następnie wykąpał Tannera w morskiej wodzie i patrzył, jak macki czystego i chłodnego pacjenta wiją się przez sen.

Czwartego dnia Tanner obudził się, porządnie i bez reszty; rozwiązany, swobodny, z umysłem wolnym od chymikaliów. Usiadł powoli. Ciało bolało go wściekle. Ból przychodził falami zsynchronizowanymi z tętnem. Zobaczył swoje nowe palce u nóg i na moment odwrócił wzrok. Mignęło mu wspomnienie dawnego horroru z fabryki kar, ale stłamsił je i spojrzał jeszcze raz. „Znowu cały jestem zaropiał” – pomyślał z odrobiną humoru.

Zacisnął nowe dłonie. Mrugnął powoli i zobaczył, że przed opadnięciem powieki przesunęło mu się przez pole widzenia coś półprzezroczystego. Odetchnął głęboko zmaltretowanymi przez wodę płucami i zakasłał. Zaboląło, zgodnie z ostrzeżeniami chirurga.

Mimo bólu, osłabienia, głodu i niepewności Tanner zaczął się uśmiechać.

Kiedy wszedł chirurg, Tanner był uśmiechnięty od ucha do ucha, mruczał coś do siebie i delikatnie masował ciało.

– Panie Sack – powiedział chirurg. Tanner odwrócił się ku niemu i wyciągnął drżące ramiona, jakby usiłował go objąć albo uściskać mu dłoń. Macki Tannera też się wyciągnęły w naśladowczym odruchu. Chirurg uśmiechnął się. – Gratulacje, panie Sack. Procedury zakończyły się sukcesem. Teraz jest pan stworzeniem ziemnowodnym.

Po tych słowach – nie mogli się powstrzymać i nie próbowali – ryknęli śmiechem, chociaż sprawiło to Tannerowi ból w piersiach, a chirurg nie miał pewności, co w tym jest takiego zabawnego.

Po powrocie do domu, po ostrożnym przejściu dolinami Książkowic i Niszczukowód, zastał Szekla czekającego w pokojach, które nigdy wcześniej nie były takie wysprzątane.

– Doskonała robota, chłopie – powiedział onieśmielony.

Szekel chciał uściskać go na powitanie, ale Tanner był za bardzo obolały i powstrzymał go przyjaźnie. Rozmawiali cicho aż do wieczora. Tanner ostrożnie spytał o Angevine. Szekel powiedział Tannerowi, że czytanie idzie mu coraz lepiej oraz że nie wydarzyło się nic szczególnego, ale jest teraz cieplej, czujesz?

Czuł. Pełzali na południe z prędkością niemal geologiczną, ale holowanie trwało już dwa tygodnie. Przemieścili się może o pięćset mil morskich – pokonali tę niemałą przecież odległość ruchem tak powolnym, że niezauważalnym – i zima dogorywała, bo zbliżali się do pasa umiarkowanego morza i powietrza.

Tanner pokazał Szeklowi uzupełnienia, zmiany na swoim ciele. Szekel skrzywił się na widok ich dziwności i jątrzących się jeszcze ran, ale był zafascynowany. Tanner powtórzył mu wszystkie wyjaśnienia chirurga, który mówił: „Będzie pan miał czucie we wszystkich nowych członkach, panie Sack. I chcę pana przestrzec: nawet jak pan już wyzdrowieje, niektóre cięcia, niektóre rany mogą się ciężko goić. Mogą porobić się wyraźne blizny. Jeśli tak się stanie, nie wolno panu pozwalać sobie na przygnębienie ani rozczarowanie. To nie uszkodzenie, panie Sack. Blizna to uleczenie. Blizna przywraca pana do zdrowia”.

– Mówi, że za dwa tygodnie powinienem wrócić do pracy, chłopie – powiedział Tanner. – Jeśli będę ćwiczył i tak dalej.

Tanner miał jednak pewną przewagę, którą doktor pominął w rachubach: nigdy nie nauczył się pływać. Nie musiał przestawiać nieskładnego, niewydajnego trzepania kończynami na gibki ruch mieszkańca mórz.

Tanner siedział w porcie, kiedy koledzy z pracy go przywitani. Byli zaskoczeni, zatroskani, przyjaźni. Delfin Bastard John wynurzył się opodal na powierzchnię, zmierzył go spojrzeniem swoich wodnistych, świńskich oczu i zasypał debilnym waleniowatym ćwierkotaniem, prawdopodobnie miotając obelgi w swoim języku. Tanner nie był jednak tego ranka wystraszony. Potraktował kolegów jak król, dziękując im za troskę.

Wzdłuż granicy między okręgami Niszczukowody i Czasy przebiegała szczelina w tkance miejskiej: pas morza tworzył akwen pływakki, na którym zmieściłby się

średniej wielkości statek. Bardzo niewielu armadyjskich piratów umiało pływać, a przy takiej pogodzie mało kto miał na to ochotę. W morskim basenie kąpała się garstka ludzi, odważniaków lub masochistów.

Pod wodą, pomału, speszony swoją nową hydroruchliwością i wolnością, codziennie przez wiele godzin Tanner rozkładał ramiona i dłonie, rozpościarał skórne błony i chwycił wodę, odpychając się niefachowymi szarpnięciami. Styl z grubsza przypominał żabkę, wciąż obolałe palce u nóg dzielnie zginały się i prostowały. Małe wszczyepy, których nie widział ani nie czuł pod skórą, pompowały do mikroskopijnych gruczołów płyn, który zwiększał oleistość potu.

Nauczył się zamykać tylko wewnętrzne powieki – niesamowite doznanie. Nauczył się patrzeć w wodzie nieograniczany przez niewygodny hełm, bez żadnego żelaza, mosiądzu i szkła. Patrzył swobodnie, a nie przez iluminator, wykorzystując teraz całe pole widzenia oczu.

Najwolniej i z największym strachem, sam – kto miałby mu w tym pomóc? – Tanner nauczył się oddychać.

Po pierwszym wtargnięciu wody do ust tchawica zamknęła się odruchowo, język poszedł do tyłu, gardło zacisnęło się i zatarasowało drogę do żołądka i morska woda popłynęła nowymi kanałami, udrażniając sobie przepływ. Wkrótce przestał czuć smak soli. Strużki wody przechodziły przez niego, przez skrzela. „Dalijabber, psiakrew” – pomyślał zdumiony, że nie odczuwa potrzeby oddychania. Z przyzwyczajenia napełnił płuca przed zejściem pod wodę, ale za bardzo zwiększyło to siłę wyporu. Powoli, ze swego rodzaju perwersyjną paniką, wypuścił powietrze nosem i pożegnał się z nim bez żalu. Nic, zero zawrotów głowy, zero bólu, zero strachu. Tlen nadal docierał do krwi, którą bez ustanku pompowało jego serce.

W górze ziemiste ciała współobywateli Tannera miotały się po powierzchni wody, uwiązane do powietrza, którym oddychali. Tanner wirował pod nimi, trochę nieporadnie, bo nadal się uczył, opadał korkociągiem, patrzył w górę i w dół – wzwyż ku światłu, pływakom i potężnemu, rozłożystemu cielsku miasta, w dół ku bezkresnym granatowym ciemnościom.

Rozdział trzynasty

Silas i Bellis spędzili razem dwie noce.

W ciągu dnia Bellis wstawiała książki na półki, pomagała Szeklowi w czytaniu i opowiadała mu o parku Crooma, a czasem szła coś zjeść z Carrienne. Potem wracała do Silasa, trochę rozmawiali, ale on tylko w niewielkim stopniu rozpraszał mrok jej ignorancji w kwestii tego, na czym jej kochankowi schodzą dni. Miała wrażenie, że w jego głowie kłębi się od tajnych pomysłów. Seks uprawiali po kilka razy.

Po drugiej nocy Silas zniknął. Ucieszyło to Bellis. Zaniedbywała książki Johannaesa i teraz mogła wrócić do tych hermetycznych nauk.

Silasa nie było trzy dni.

Bellis kontynuowała penetrację Armady. Nareszcie wyprawiła się do najdalszych części miasta. Zobaczyła świątynie oparzeń w Ciepłarni i posągowe tryptyki ustawione na kilku łodziach. W dzielnicy Tobietwój – mniej brutalnej i przerażającej, niż dawano jej do zrozumienia: okazało się, że jest to w gruncie rzeczy trochę przerysowane, pełne kupieckiej agresji targowisko – zobaczyła armadyjski szpital wariatów, ogromny gmach wyrastający z parowca, zlokalizowany w opinii Bellis dosyć okrutnie, bo obok nawiedzanej dzielnicy.

Niewielki wysyp łodzi z Niszczukowód, na skutek jakiegoś historycznego kaprysu oddzielonych od trzonu swej dzielnicy, tworzył swoisty bufor między okręgami Budy i Ciepłarni. Tam Bellis znalazła liceum, którego laboratoria i sale lekcyjne schodziły stromo z burt statku, uwarstwione jak miasto na zboczu góry.

Armada posiadała wszystkie instytucje – edukacyjne, polityczne religijne – typowe dla miasta ze stałego ładu, tylko może bardziej estetyczne w formie. Jeżeli tutejsi naukowcy byli bardziej zahartowani od swoich łądowych kolegów i bardziej przypominali zbójców i piratów niż doktorów nauk, w niczym nie umniejszało to ich znajomości przedmiotu. Każdy okręg miał inny typ jednostki policyjnej, od umundurowanych dupków w Ciepłarni po przyboczną hałastrę z Niszczukowód, która wyróżniała się tylko szarfami – oznakami w tym samym stopniu urzędu, co lojalności. W Budach istniało coś na kształt sądu i systemu rozjemstwa, podczas gdy luźną, brutalną, piracką dyscypliną Niszczukowód narzucano za pomocą bata.

Armada była miastem z gruntu laickim, jej zaniedbane kościoły traktowano z równie małym nabożeństwem jak piekarnie. Istniały świątynie pod wezwaniem deifikowanego Crooma, pod wezwaniem księżycy i jego córek, w ramach dziękczynienia za pływy, czy pod wezwaniem morskich bogów.

Jeśli Bellis się zgubiła, wystarczyło wynurzyć się z gąszczu bocznych uliczek, spojrzeć do góry na zacumowane do masztów aerostaty i znaleźć „Arogancję”, wiszącą dostojnie nad rozjarzonym „Wielkim Wschodnim”. Była to jej latarnia morska, wedle której ustalała kurs powrotny.

Miasto roilo się od drewnianych tratw, długich i szerokich na dziesiątki metrów, idiotycznie zabudowanych domami. Cienkie jak igła okręty podwodne chwiałały się na wodzie między barkentynami, a były też statki-rydwany pełne nor mieszkalnych hotchich. W tanich dzielnicach rozpadające się budynki porastały pokłady albo chygotały niebezpiecznie między rufami niewielkich łodzi. Były domy gier, więzienia i porzucone kadłuby statków.

Podniósłszy oczy ku horyzontowi, Bellis widziała morskie zaburzenia: kipiącą wodę i nie wiadomo czym wywołane kilwatery. Z reguły były to skutki wiatru i pogody, ale czasem wpadało jej w oko stadko morświnów, plezjaur, szyja morskiego wyrmena albo plecy stworzenia tak dużego i szybkiego, że nie potrafiła go rozpoznać. Życie wokół miasta.

Wieczorami Bellis patrzyła na wracające do miasta kutry rybackie. Czasem pojawiały się statki pirackie i były witane w portach Basilio albo Jeżowca – te motory napędowe gospodarki armadyjskiej jakimś szóstym zmysłem odnajdywały drogę do domu.

Armada była miastem galionów. Wyskakiwały zniecka w mało prawdopodobnych miejscach, ozdobne i budzące nie więcej uwagi niż rzeźbione kołatki na drzwiach domów w Nowym Crobuzon. Idąc między dwoma szeregówkami z cegły, Bellis nagle stawała twarzą w twarz z dostojną, skorodowaną kobietą – napierśnik zaśniedziały, malowane spojrzenie złuszczone i zmętniałe. Wisiała w powietrzu jak upiór, pod bukszprytem swego statku, który sterczał nad pokładem sąsiada i celował w jakąś uliczkę.

Były wszędzie. Wydry, smokowce, ryby, wojownicy i kobiety. Przede wszystkim kobiety. Bellis nie znosiła tych oczu bez wyrazu, tych pokrzywionych figur, kiwających się debilnie na skutek falowania morza, nawiedzających miasto jak banalne duchy.

W swoim pokoju skończyła *Eseje o zwierzętach* i wciąż nie miała pojęcia, na czym polega tajny projekt Armady.

Gdzie jest Silas i co robi? Nie była smutna ani zła, że go nie ma, tylko zaciekawiona i trochę sfrustrowana. W końcu Silas był jedyną osobą, którą od biedy mogła nazwać swoim sojusznikiem.

Wrócił wieczorem piątego lunuara.

Bellis go wpuściła. Nie dotknęła go ani on jej.

Był zmęczony i zgaszony. Włosy miał zmierzwione, ubranie zakurzone. Usiadł na krześle i zasłonił oczy dłońmi, mrużąc jakieś pozdrowienie, którego nie dosłyszała. Zaparzyła mu herbaty. Czekala, aż się odezwie, ale w końcu wróciła do lektury książki i do cigarillo.

Zrobiła kilka stron notatek, zanim przemówił.

– Bellis. Bellis. – Potarł oczy dłońmi i spojrzał na nią. – Muszę ci coś powiedzieć. Muszę powiedzieć ci prawdę. Ukrywałem przed tobą różne rzeczy. – Skinęła głową i zwróciła na niego wzrok. Oczy miał zamknięte. – Podsumujmy, co wiemy. Miasto zmierza na południe. „Sorgo”... Wiesz, do czego jest „Sorgo”? Tak samo jak inne platformy, koło których, jak rozumiem, przepłynęliście na „Terpsychorii”, ciągnie spod morza paliwo. – Rozłożył szeroko ramiona na znak, że jest to przedsięwzięcie na ogromną skalę. – Pod ziemią są pola ropy, skalnego mleka i złóż rtęciowych, Bellis. Na pewno widziałaś wiertła, których używają do eksploatacji złóż na lądzie. Geoempaci i tym podobni znaleźli ogromne złoża pod dnem morskim... Pod południowym Salkrikaltorem jest ropa. Dlatego od ponad trzydziestu lat stacjonowały tam „Manekin”, „Gwiazda Odpadu” i „Sorgo”. Nogi platform „Manekin” i „Gwiazda Odpadu” sięgają dna, które znajduje się na głębokości stu dwudziestu metrów. Ale z „Sorgo” jest inaczej – mówił z chorobliwą lubością w głosie. – Ktoś na Armadzie znał się na rzeczy. „Sorgo” wspiera się na dwóch żelaznych komorach – okrętach podwodnych. „Sorgo” nie jest zacumowane. „Sorgo” to platforma głębokowodna, ale „Sorgo” może się przemieszczać. Jego szyb wiertniczy można przedłużać o kolejne segmenty, chyba bez żadnych ograniczeń. A w każdym razie wiele kilometrów w dół. Ropa i inne surowce nie występują wszędzie i dlatego staliśmy w jednym miejscu przez tak długi czas. Armada znajdowała się nad jakimiś złożami i czekaliśmy, aż „Sorgo” wydobędzie tego taki zapas, który wystarczy na zaplanowaną akcję.

„Skąd to wszystko wiesz?” – pomyślała Bellis. „Co to za prawda, którą musisz mi przekazać?”

– Ale nie sądzę, żeby chodziło tylko o ropę – podjął Silas. – Obserwowałem płomień nad platformą, Bellis. Myślę, że ciągnęli skalne mleko. – Skalne mleko. *Lactus saxi*. Lepkie i ciężkie jak magma, ale lodowato zimne. I gęste od taumaturgonów, naładowanych cząstek. Warte wielokrotność swego ciężaru w złocie, diamentach, ropie czy krwi. – Tylko, kurwa, do baków silników okrętowych nie leje się skalnego mleka – denerwował się. – Nie wiem, po co to gromadzą, ale na pewno nie tylko do polerowania statków na wysoki połysk. Pomyśl: płyniemy na południe, na głębsze, cieplejsze morza. Założę się z tobą o finiała, że płyniemy blisko podmorskich grzbietów ze złożami, żeby po drodze „Sorgo” mogło wiercić. A kiedy dopłyniemy na miejsce, twój przyjaciel Johannes i jego nowi pracodawcy użyją wielu ton skalnego mleka i Jabber raczy wiedzieć, jakiej ilości ropy, żeby... coś zrobić. A wtedy... – Urwał, mierzając ją wzrokiem. – A wtedy będzie już za późno.

„Powiedz mi” – pomyślała Bellis, a Silas skinął głową, jakby ją usłyszał.

– Pamiętam, że kiedy spotkaliśmy się na „Terpsychorii”, byłem cokolwiek rozgorączkowany. Powiedziałem ci, że muszę natychmiast wracać do Nowego Crobuzon. Sama mi o tym niedawno przypomniałaś. A ja powiedziałem ci, że skłamałem. Otóż, nie skłamałem. Na „Terpsychorii” mówiłem prawdę: musiałem

wrócić. Psiakrew, przypuszczalnie wszystko dobrze odgadłaś. – Bellis milczała. – Nie wiedziałem, czy mogę ci zaufać, nie wiedziałem, czy się tym przejmiesz. Przepraszam, że nie byłem z tobą szczery, ale nie miałem pojęcia, że mogę ci zdradzić. Ale teraz ufam ci, Bellis. I potrzebuję twojej pomocy.

Nie skłamałem, kiedy ci mówiłem, że grindyłow mogą zwrócić przeciwko jakiemuś nieborakowi bez żadnej widocznej przyczyny, ludzie znikają na skutek ich kaprysu. Kaprysu grindyłow, gębinowców. Ale nie mówiłem prawdy, jeśli chodzi o mnie samego. Doskonale wiedziałem, dlaczego grindyłow chcieli mnie zabić... Grindyłow potrafią popłynąć pod prąd do Bezheks, gdzie wszystkie rzeki łączą się ze sobą, przedostać się do Canker i dotrzeć w dół rzeki, po drugiej stronie gór aż do Nowego Crobuzon... Inni umieją przepłynąć za ocean tunelami, dotrzeć do miasta drogą morską. Grindyłow są euryhalinowi – równie dobrze czują się w słodkiej i morskiej wodzie. Mogą dotrzeć do Zatoki Żelaznej, do Wielkiej Smoły, do Nowego Crobuzon. Wymagałoby to jedynie determinacji, a wiem, że tego im nie brakuje. – Bellis nigdy nie widziała go w stanie takiego napięcia. – Podczas mojego pobytu u grindyłow huczało od plotek. Szykowali jakiś wielki plan. W tych pogłoskach przewijało się nazwisko jednego z moich klientów, maga, swego rodzaju kapłana-bojówkarza. Zacząłem się rozglądać i nasłuchiwać. Dlatego chcieli mnie zabić: bo wpadłem na pewien trop... U grindyłow nie ma tajemnic, nie ma służb specjalnych. Wszystkie potrzebne dane miałem przed oczyma przez wiele tygodni, ale zajęło mi mnóstwo czasu, zanim się zorientowałem. Mozaiki, schematy, libretta i tak dalej. Strasznie późno zrozumiałem.

- Powiedz mi, czego się dowiedziałeś.
- Planowali inwazję.

– To byłoby coś niewyobrażalnego. Wiadomo, że nasza historia jest historią zdrad i przelewu krwi, ale, Bellis... nie widziałaś Gengris. – w jego głosie była desperacja, jakiej Bellis nigdy wcześniej nie słyszała. – Nie widziałaś hodowli kończyn. Pieprzonych fabryczek żółci. Nie słyszałaś ich muzyki... Gdyby grindyłow zdobyli Nowe Crobuzon, nie wzięliby nas w niewolę, nie wymordowali ani nie pozjadali. Nie zrobiliby nic tak... ogarnialnego rozumem.

– Ale po co? – przerwała mu Bellis. – Czego oni chcą? Myślisz, że może im się udać?

– Nie mam zielonego pojęcia. To kompletnie nieznana rasa. Podejrzewam, że rząd Nowego Crobuzon jest bardziej przygotowany na najazd pieprzonych Tesh niż grindyłow. Nigdy nie mieliśmy żadnych powodów by bać się ich. Ale oni mają swoje metody, swoje nauki i taumaturgie. Tak... Sądzę, że może im się udać... Chcą zdobyć Nowe Crobuzon z tego samego powodu, co wszystkie inne państwa i dzikusy z Ragamoll. Nowe Crobuzon jest najbogatsze, największe, najpotężniejsze. Nasz przemysł, nasze surowce, nasza milicja. Mamy wszystko. Ale w przeciwieństwie do Shankell, Dreer Samher, Neovodan czy Yorakette, im może się udać. Mogą sprawić nam niespodziankę... Zatrucić wodę, przyjść kanałami. Każda szczelina, szpara i zbiornik wodny w mieście byłby twierdzą. Mogą atakować nas bronią, której działania nigdy nie zrozumiemy, mogą toczyć niekończącą się wojnę partyzancką. Bellis, wiedziałem, do czego grindyłow są zdolni – mówił głosem człowieka wyczerpanego. – Wiedziałem i potwornie się boję.

Z zewnątrz dobiegły ich odgłosy sennej kłótni małp.

– Dlatego wyjechałeś? – spytała Bellis w ciszy, która zapadła po ostatnich słowach Silasa.

– Dlatego wyjechałem. Nie mogłem uwierzyć w to, czego się dowiedziałem. Zwlekałem, zmarnowałem mnóstwo czasu. – Nagle wezbrał w nim gniew. – Kiedy zdałem sobie sprawę, że mi się nie popieprzyło, że oni naprawdę chcą spuścić na moje rodzinne miasto jakąś bezbożną, niewyobrażalną apokalipsę, wtedy wyjechałem. Ukradłem okręt podwodny i wyjechałem.

– Czy oni wiedzą, że ty wiesz? – spytała. Pokręcił głową.

– Nie sądzę. Zabrałem ze sobą pewne rzeczy, żeby to wyglądało na kradzież i ucieczkę.

Bellis widziała, że Silas jest napięty do granic. Przypomniała sobie heliotypy, które widziała w jego notatniku. Serce podskoczyło jej w piersiach, a po żyłach powoli rozlał się strach, jak choroba. Bellis usiłowała ogarnąć to, co usłyszała, ale zadanie ją przerosło. To wszystko nie trzymało się kupy. To niemożliwe, żeby Nowe Crobuzon było zagrożone.

– Wiesz kiedy? – spytała szeptem.

– Muszą poczekać do cheta, żeby zebrać z pół broń. Więc może za pół roku. Trzeba się dowiedzieć, co planuje Armada, bo musimy wiedzieć, dokąd płyniemy z całym tym pieprzonym skalnym mlekiem. Ponieważ musimy zawiadomić Nowe Crobuzon.

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś?

Silas roześmiał się głucho.

– Nie miałem pojęcia, komu mogę zaufać. Próbowałem się stąd wyrwać, znaleźć jakąś drogę ucieczki. Zajęło mi sporo czasu, zanim doszedłem do przekonania, że nie ma na to szans. Pomyślałem, że sam przekażę wiadomość do Nowego Crobuzon. Bo gdybyś mi nie uwierzyła? Albo okazała się szpiegiem? Gdybyś doniosła naszym pieprzonym nowym władcom...

– A może warto się właśnie nad tym zastanowić? – weszła mu w słowo. – Może by nam pomogli przekazać wiadomość...

– Zwariowałaś? – Silas patrzył na nią z przykrym niedowierzaniem. – Myślisz, że by nam pomogli? Guzik ich obchodzi, co się stanie z Nowym Crobuzon. A nawet by się ucieszyli z jego zniszczenia. Jeden rywał mniej na morzu. Myślisz, że pozwoliliby nam wyruszyć z odsieczą? Myślisz, że by się przejęli? Ci dranie przypuszczalnie wsadziliby nas do więzienia aż do czasu, kiedy grindylow wykonają swoją robotę. A poza tym widziałeś, jak oni traktują urzędników i przedstawicieli handlowych z Nowego Crobuzon. Przeszukaliby moje notatki, moje papiery, i wyszłoby na jaw, że jestem prokurentem rządu. Że pracuję dla Nowego Crobuzon. Wszechmocny Jaberze, Bellis, widziałeś, co zrobili z kapitanem. Jak myślisz, co zrobiliby ze mną? – Zapadła długa cisza. – Potrzebuję kogoś do współpracy. Nie mamy w tym mieście przyjaciół. Nie mamy sojuszników. Gdzieś tam, ponad półtora tysiąca kilometrów stąd nasza ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, a my nie możemy nikomu zaufać i poprosić go o pomoc. Jesteśmy zdani wyłącznie na siebie, przynajmniej jeśli chodzi o wysłanie ostrzeżenia do Nowego Crobuzon.

Przerwa w rozmowie przeszła w milczenie. Ciągnęła się coraz dłużej i dłużej, i była straszna, bo oboje wiedzieli, że trzeba ją wypełnić. Trzeba wymyślić jakiś plan.

Oboje próbowali. Bellis kilka razy otworzyła usta, ale słowa więzły jej w gardle z braku przekonania.

„Porwiemy jakąś łódź”, chciała powiedzieć, ale idiotyczność tego pomysłu zatkała ją. „Wymkniemy się we dwójkę w dingi. Przekradniemy się między łodziami strażniczymi i popłyniemy na wiosłach do domu”. Próbowała i to powiedzieć, próbowała nawet to myśleć z przekonaniem, i tylko prawie jęknęła z bezsilności.

„Ukradniemy statek powietrzny. Wszystko, czego nam potrzeba, to broń palna, gaz, węgiel i woda do silnika, jedzenie i picie na trzy tysiące kilometrów lotu, no i mapa, z której dowiemy się, w którym dokładnie miejscu Wezbranego Oceanu jesteście, na Jabbera...”

Nic, nie było nic, co dałoby się powiedzieć, co dałoby się pomyśleć.

Ale próbowała mówić, próbowała wymyślić sposoby na uratowanie Nowego Crobuzon, miasta, które kochała wściekłą, nieromantyczną miłością i nad którym zawisło potworne zagrożenie. Chwile mijały i mijały, chęć, lato i żniwa u grindylow przybliżały się, a ona nie umiała nic powiedzieć.

Bellis wyobraziła sobie ciała podobne do spuchniętych okoni, mknące w zimnej wodzie ku jej ojczyźnie.

– Bogowie kochani, Jabberze kochany – usłyszała swój głos. Spojrzała w zmartwione oczy Silasa. – Bogowie kochani, co my zrobimy?

Rozdział czternasty

Powoli, niby jakieś ogromne, nadęte stworzenie, Armada przepłynęła na cieplejsze wody.

Obywatele i gwardziści odłożyli na bok grubszą odzież. Urowadzeni z „Terpsychorii” byli zdezorientowani. Myśl, że porom roku można się wymknąć, że można przed nimi fizycznie uciec, była głęboko rozstrajająca.

Pory roku były tylko punktami widzenia – kwestią perspektywy. „Jak w Nowym Crobuzon jest zima, to w Bered Kai Nev jest lato”, mówili. I chociaż dni i noce te dwa kraje mają odwrotnie wydłużające się i skracające, to jest w tym coś wspólnego. Świt jest świtem na całym świecie. Na kontynencie wschodnim letnie dni są krótkie.

Zwiększyła się liczebność ptaków żyjących w mikroklimacie Armady. Do niewielkiej, zadomowionej tutaj od pokoleń społeczności zięb, trznadli, wróbel i gołębi, która przemieszczała się razem z miastem, dołączyły ptaki wędrowne, które po porze upałów przekraczały Wezbrany Ocean. Ich ogromne stada przysiadły na Armadzie, aby odpocząć i napić się wody, i niektóre z nich zostawały na stałe.

Ptaki krążyły zdezorientowane nad wieżami Bud, gdzie odbywały się kolejne nadzwyczajne sesje Rady Demokratycznej, zażarcie i jałowo debatującej na temat kierunku podążania Armady. Rajcy byli zgodni, że tajne plany Kochanków nie mogą być dobre dla miasta, że trzeba coś zrobić. Im bardziej widoczna była ich bezsilność, tym żałośniej się kłócili.

Największą władzę zawsze miał okręg Niszczukowody, który teraz dodatkowo dysponował platformą „Sorgo”, toteż Rada Demokratyczna Bud nie mogła absolutnie nic zrobić.

Niemniej jednak Budy zainicjowały rozmowy sondażowe z Brucolakiem...

Najtrudniejsze dla Tannera było nie oddychanie skrzelami, nie poruszanie kończynami jak żaba czy vodyanoi, lecz patrzenie w gigantyczną toń ciemnej wody w dół. Spojrzeć jej prosto w oczy bez strachu – to sprawiało mu największą trudność.

W kombinezonie nurka był intruzem. Wkładał zbroję i rzucał morzu wyzwanie. Trzymając się kurczowo szczelbi i odciągów, wiedział że bezkresna przestrzeń, która

ziała w dole niby paszcza, jest właśnie tym: ustami wielkości świata, chcącymi go połknąć.

Teraz pływał swobodnie, schodził ku ciemnościom, które nie sprawiały już wrażenia łasych na niego. Tanner pływał coraz niżej i niżej. Z początku zdawało mu się, że wystarczy sięgnąć ręką, aby dotknąć palców u nóg pływaków w górze. Z rozkoszą podglądacza patrzył, jak pedałużą i trzepią panicznie rękami. Ale kiedy odwracał twarz ku bezsłonecznej wodzie pod sobą, jej bezlitosny ogrom szarpał go za żołądek. Szybko płynął wtedy w stronę światła.

Ale każdego dnia schodził głębiej.

Nurkował poniżej poziomu kilów, sterów i płątaniny rur. Dłudzy wartownicy z zielska, którzy to wszystko otaczali, którzy wyznaczali najniższe punkty miasta, wyciągali ku niemu ręce, ale on przemykał obok jak złodziej. Wpatrywał się w głębię.

Pokonał strefę deszczu małych rybek, które pogryzały miejskie odpadki, i znalazł się w przezroczystej wodzie – nie było wokół niego ani śladu Armady. Znajdował się daleko, daleko pod miastem.

Zawisł nieruchomo w wodzie. Nie było w tym nic trudnego.

Ciśnienie otuliło go ciasno niby powijaki.

Statki Armady zajmowały półtora kilometra kwadratowego powierzchni morza, tarasując drogę światłu. Nad głową Tannera Bastard John kręcił się w okolicach portu niby szerszeń. W wodnym półmroku dokoła Tanner widział gęstą zawiesinę cząstek, mnogość maleńkich istnień. Za planktonem i kryłem niewyraźnie dostrzegał morskie wyrmeny Armady i jej okręty podwodne, garść ciemnych cieni u podstawy miasta.

Walczył ze strachem, ale starał się nie wyrzucić razem z nim uczuć, które mu towarzyszyły, takich jak zachwyt i pokora.

„Jestem sakramencko mały – pomyślał, wisząc jak drobina kurzu w nieruchomym powietrzu – w sakramencko wielkim morzu. Ale nic nie szkodzi. Dam radę”.

Przy Angevine był nieśmiały i trochę obrażony, ale pracował nad sobą ze względu na Szekla.

Przyszła do nich na kolację. Tanner próbował z nią rozmawiać, ale na trzymała dystans, wyczuwał chłód. Przez jakiś czas jedli chleb listownicowy, nie wydając z siebie żadnych dźwięków. Po pół godzinie Angevine skinęła na Szekla, ten zaś stanął za nią i wyćwiczonym ruchem przesypał trochę koksu z zasobnika do paleniska kotła.

Angevine bez zażenowania spotkała się spojrzeniem z Tannerem.

– Trzymasz silniki pod parą? – spytał w końcu.

– Nie są zbyt wydajne – odparła powoli w salt, chociaż on odezwał się do niej w ragamoll, a przecież był to jej ojczysty język.

Tanner pokiwał głową. Przypomniał sobie starca z ładowni „Terpsychorii”. Znowu język stanął mu kołkiem. Ta sroga prze-tworzona budziła w nim onieśmienie.

– Jakiego modelu jest twój silnik? – spytał wreszcie, w salt. Wytrzeszczyła oczy skonsternowana i Tanner ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że Angevine nie zna się na mechanice swego prze-tworzonego ciała. – Przypuszczalnie to jest stary model

sprzed wymiany – podjął powoli. – Z jednym zestawem tłoków i bez skrzyni rekombinacyjnej. Nigdy nie były za dobre... – Urwał na chwilę. „No, zaproponuj jej” – pomyślał. „Może się zgodzi i chłopak będzie zadowolony”. – Jakbyś chciała, to mógłbym rzucić okiem. Całe życie robiłem w silnikach. Mógłbym... Mógłbym cię nawet... – Zawahał się, bo w kontekście osoby czasownik, którego zamierzał użyć, brzmiał wysoce nieestosownie. – Mógłbym cię nawet wyremontować.

Odszedł od stołu, niby po dokładkę, aby nie musieć słuchać krępującego monologu Szekla: chłopak jednocześnie wyrażał wdzięczność Tannerowi i namawiał nieprzekonaną Angevine. Pośród refrenicznie powtarzanego: „Zgódź się, Ange” i „Jesteś moim najlepszym kumplem, Tanner” ten ostatni zauważył, że Angevine jest zdeprymowana. Nie przywykła do tego typu ofert, nie wiążących się z zaciągnięciem długu. „To nie dla ciebie, tylko dla chłopaka” – myślał gorączkowo Tanner – żałując, że nie może jej tego powiedzieć.

Odsunął się jeszcze dalej, kiedy Angevine i Szekel wdali się w szeptaną dyskusję. Uprzejmie odwrócił się do nich plecami, rozebrał z kałesonów i wszedł do blaszanej wanny z solanką. Podziałało to na niego kojąco. Namaczał się z taką samą rozkoszą, z jaką kiedyś brał gorącą kąpiel. Miał nadzieję, że Angevine zrozumie jego pobudki.

Nie była w ciemnej bita. Po krótkiej chwili z godnością powiedziała coś w rodzaju: „Dzięki, Tanner, byłoby fajnie”. Zgodziła się i Tanner stwierdził z pewnym zaskoczeniem, że go to ucieszyło.

Szekel wciąż był podniecony wrzawą niemych dźwięków, którą udostępniła mu umiejętność czytania, ale powoli się z nią oswajał. Teraz nie zatrzymywał się już bezwiednie na środku korytarza i nie sapał ze zdumienia, kiedy słowo „gródź” czy „reling” krzyknęło do niego z jakiejś tabliczki na statku.

Przez pierwszy tydzień upajał się graffiti. Stawał pod ścianami albo burtami statków i myszkował oczami po mozaice komunikatów wydrapanych, nabazgranych lub namalowanych na wertykalnych powierzchniach miasta. Cóż za różnorodność stylów: te same litery można napisać na dziesiątki sposobów, ale zawsze znaczą to samo. Fakt ten nie przestawał być dla niego źródłem radości.

Większość tekstów była wulgarna, polityczna albo skatologiczna. „Jebać Pragnieniowice!” – przeczytał. Dziesiątki imion. Ktoś kocha kogoś, powtórzone bogowie wiedzą ile razy. Oskarżenia natury seksualnej i innej. „Barsum” albo „Peter”, albo „Oliver to kutas”, albo „kurwa”, albo „pedał” czy co tam jeszcze. Liternictwo nadawało każdemu takiemu zapisowi odmienny wyraz.

W bibliotece buszowanie wśród półek stało się mniej furiackie, mniej chaotyczne w swoim pośpiechu i rozradowaniu, ale Szekel nadal ścigał tabuny książek, czytał je powoli i zapisywał niezrozumiałe dlań słowa.

Czasami po otwarciu książki trafiał na wyrazy, które przy pierwszej styczności pokonały go, ale je zapisał i uczył się ich. Był tym zachwycony. Czuł się jak na łowach – wytropił je. Tak było ze słowami „gruntowny”, „wspinaczka” i „khepri”.

Na półkach z książkami obcojęzycznymi Szekel znajdował ukojenie. Fascynowały go zaszyfrowane alfabety i ortografie, dziwne obrazki dla obcojęzycznych dzieci. Przychodził tam pogrzebać, kiedy tęsknił za ciszą w głowie. Mógł mieć pewność, że będą milczały.

Aż tu pewnego dnia zdjął z półki książkę, obrócił ją w rękach i przemówiła do niego.

O zmierzchu coś wynurzyło się powoli z morskich głębin i zmierzało w stronę Armady.

Zbliżało się do ostatniej dziennej szycoty podwodnych inżynierów. Powoli wychodzili na wierzch, wspinali się po drabinach lub perforowanych powierzchniach podmiasta, świszcząc w hełmy, nie patrząc w dół, nie widząc, co nadchodzi.

Tanner Sack siedział z Hedrigallem w porcie Basilio. Niby dzieci wywiesili nogi za burtę małej kogi i patrzyli, jak żurawie przeładowują towary.

Hedrigall coś sugerował. Mówił do Tannera ogródkami. Kluczył i owijał w bawełnę. Tanner zrozumiał, że sprawa tyczy tajnego projektu, o którym wiedziało tak wielu jego kolegów z pracy, chociaż głośno się o tym nie mówiło. Pozbawiony choćby wycinka tej wiedzy Tanner nic nie pojmował ze słów Hedrigalla. Wiedział tylko jedno: że jego przyjaciel jest zasmucony i czegoś się boi.

Kawałek dalej ekipa ociekających wodą inżynierów wynurzyła się z morza. Wchodzili po drabinach na tratwy i sfatygowane parowce, na których wibrujące silniki, koledzy i konstrukty pompowały dla nich powietrze.

Woda w tym rogu portu nagle zaroila się bąbelkami powietrza, jakby osiągnęła stan wrzenia. Tanner dotknął Hedrigalla w ramię, żeby go uciszyć, po czym wstał i wyciągnął szyję.

W wodzie przy nabrzeżu zrobiło się zamieszanie. Podbiegło kilku robotników portowych i zaczęło wyciągać nurków. Wyplływali kolejni „mężczyźni, chwytając panicznie za hełmy i drabiny, aby wydostać się na powierzchnię. Bruzda w wodzie pogłębiła się i rozerwała wodę. Kiedy wyskoczył Bastard John. Wymachiwał ogonem jak szalenic, aż końcu wyglądało to tak, jakby stał niepewnie na powierzchni wody i trajkotał jak małpa.

Z zielonej wody wyprysnął następny mężczyzna, zdarł z głowy hełm i wrzasnął o pomoc.

– To ryba pancerna! – krzyczał. – W dole są ludzie!

Wystraszeni Armadyjczycy z sąsiedztwa wyglądali przez okna, rzucali pracę, biegli nad wodę, wychylali się znad burt małych trałowców na środku portu, pokazywali palcami i krzyczeli do robotników portowych.

W Tannerze zamarło serce, kiedy kłęby czerwieni wzbiły się na powierzchnię.

– Nóż! – krzyknął do Hedrigalla. – Dawaj mi, kurwa, swój nóż.

Zrzucił koszulę i pobiegł bez chwili wahania.

Skoczył, rozpościerając maski. Hedrigall ryczał coś za jego plecami, ale Tanner nie słyszał. Potem długie, obciążone błoną palce u nóg rozorały powierzchnię i uderzony obuchem zimna znalazł się w wodzie, a potem pod wodą.

Zamrugnął gorączkowo, zsunął wewnętrzną powiekę i spojrzął w dół. Na średnim planie, przesłaniane przez wodę, cienie batyskafów grasowały topornie pod miastem.

Widział ostatnich inżynierów gramolących się desperacko ku światłu, przeraźliwie wolno i nieporadnie w swoich skafandrach. Widział spory obszar wody przebarwionej przez krew. W miejscu, gdzie jeden z rekinów-wartowników został rozszarpany, ryba pancerna opadała na dół przez mgławicę mięsa.

Tanner nurkował szybko, odpychając się mocnymi kopnięciami. Trochę dalej, u dolnego końca ogromnej rury, prawie dwadzieścia metrów pod wodą, zobaczył przywartego do metalu mężczyznę, sparaliżowanego strachem. Poniżej, chwiejąc się na wszystkie strony jak płomień świecy, majaczyło ciemne cielsko.

Tanner szarpnął się przerażony. Stworzenie było gigantyczne.

Z góry dobiegał go stłumiony odgłos uderzeń ciał o wodę. Uzbrojeni ludzie schodzili w dół, spuszczeni w uprzęży z żurawi, najeżeni harpunami i włóczniami, ale poruszali się powoli, centymetr po centymetrze, zdani na łaskę silników.

Bastard John przemknął obok Tannera, zaskakując go. Z ukrytych zakątków spodniej strony miasta wyływali ludzie-ryby z Ciepłarni i sunęli przez wodę ku drapieżcy.

Ośmielony Tanner odepchnął się nogami i nurkował dalej.

Jego mózg pracował na przyspieszonych obrotach. Wiedział, że o czasie do czasu zdarzają się ataki dużych drapieżców – czerwonych rekinów, zębaczy, kałamarnic i innych, rozbijających rybie klatki i rzucających się na robotników – ale nigdy nie był świadkiem czegoś takiego. Nigdy nie widział dinichtysa, ryby pancерnej.

Ścisnął w dłoni nóż Hedrigalla.

Z odrazą zdał sobie sprawę, że przepływa przez obłok zapaskudzonej krwią wody, poczuł jej smak w ustach i skrzelałach. Skręciło go w żołądku, kiedy zobaczył powoli opadające na dno resztki skafandra do nurkowania z bliżej nieokreślonymi strzępami w środku.

A potem dotarł do dolnego końca rury, o kilka długości ciała od krwawiącego, znieruchomiłego nurka. Wielkie stworzenie wyruszyło mu na spotkanie.

Usłyszał przetaczający się przez wodę łomot fali i poczuł wzrost ciśnienia. Spojrzał w dół i krzyknął bezgłośnie w słoną wodę.

Wielka ryba mknęła ku niemu. Łeb miała osłonięty pancierzową czaszką, gładką i okrągłą jak kula armatnia, przeciętą dwoma kreskami potężnych szczęk, w których Tanner zobaczył nie zęby, lecz dwa ostre jak brzytwa wały kości oblepione strzępami mięsa, między którymi przewalała się woda. Korpus był długi, zwężony ku tyłowi, bez konturów albo wachlującego ogona. Opływowa płetwa piersiowa ciągnęła się daleko, zlewając się z kością ogonową, jak u spasionego okonia.

Ryba miała prawie dziesięć metrów. Paszczę zaś tak wielką, że bez wysiłku przegryzłaby Tannera na pół. Z ukrytych za wałem ochronnym oczek patrzyło bezinteligentne bestialstwo.

Tanner wydał z siebie chojracki okrzyk, wymachując nożykiem.

Bastard John podpłynął do dinichtysa od tyłu i przyłożył jej z byka w oko. Ogromny drapieżca obrócił się z przerażającą prędkością i wdziękiem, aby kłapnąć paszczą. Płyty kostne zacisnęły się ze zgrzytem.

Potwór szarpnął się gwałtownie i pomknął za Johnem. Lance z kości słoniowej rozpychały wodę, kiedy ludzie-traszki zaczęli strzelać do ryby pancерnej ze swojej dziwnej broni. Ta po prostu zignorowała pociski i rzuciła się na delfina.

Tanner spazmatycznymi ruchami nóg uciekł w stronę przywartego do rury nurka. Spojrzał za siebie i ku swojej zgrozie zobaczył, że mimo odwracających uwagę manewrów Johna ryba zeszła trochę niżej, żeby nabrać rozpędu, i teraz płynęła prosto na niego.

Tanner dotknął szorstkiego metalu rury niedaleko nurka. Wpatrywał się w potwora, który sunął ku niemu groźnie. Przyssawki macek przykleiły się do rury. Machał trzymanym w prawej ręce nożem i modlił się, żeby John, ludzie-traszki albo uzbrojeni nurkowie przyszli mu z odsieczą. Lewą dłonią sięgnął ku znieruchomiłemu mężczyźnie.

Ręka trafiła na coś ciepłego i miękkiego, co ustąpiło pod palcami w przerażający sposób, dlatego Tanner cofnął ją natychmiast. Spojrzał do góry i zobaczył hełm wypełniony wodą i białą twarz; oczy wytrzeszczone, usta otwarte i nieruchome. Skóra

skafandra była rozdarta a żołądek mężczyzny wyrwany. Wnętrznosci snuły się w wodzie jak anemony.

Tanner jęknął i oderwał się od rury, czując za sobą dinichtysa. Odpychał się panicznie nogami i bezsensownie ciął nożem wodę, kiedy nagle uderzył w niego pęd wody i tuż obok prężyły się tony obłożonych kością mięśni. Rura zawibrowała, kiedy dinichtys oderwał od niej zwłoki. Myśliwy zygzakiem oddalił się przez odwrócony do góry nogami las kilów Armady, z martwym mężczyzną zwisającym u szczęk.

Bastard John i ludzie-ryby z Ciepłarni popłynęli za nim, ale nie zdołali w stanie rozwinąć takiej prędkości. Zszokowany Tanner niepotrzebnie skierował się w ich stronę. Pamięć o obecności monstrialnej ryby spowalniała go i przejmowała chłodem. Miał mglistą świadomość, że powinien się wynurzyć, że powinien się ogrzać i napić posłodzonej herbaty, że czuje się chory i mocno wystraszony.

Dinichtys płynął teraz w dół, do królestwa miażdżących ciśnień, których członkowie ekipy pościgowej by nie przeżyli. Tanner obserwował tę rejteradę, poruszając się powoli, usiłując nie wdychać rozpylonej w wodzie krwi. Był teraz sam.

Miał wrażenie, że woda jest gęsta jak smoła, kiedy mijał nieznajome rewiry dna miasta, zdezorientowany i zagubiony. Wciąż miał przed oczyma twarz i śliskie trzewia trupa. Kiedy odzyskał orientację, ujrawszy statki w porcie Basilio i rozsypane jak okruszki łodzie Targu Zimowej Słomy, podniósł wzrok i w zimnym, przeszywającym cieniu łodzi w górze zobaczył jeden z ogromnych, niewyraźnych kształtów, które zwiślały pod miastem, które były zasłaniane zakłęciami i pilnie strzeżone, których nie miał prawa widzieć. Zobaczył, że kształt jest połączony z innymi, i podpłynął bliżej, przez nikogo nie zaczepiany, bo pilnujący kształtu rekin nie żył. Kształt był coraz wyraźniejszy. Tannera dzieliło teraz od niego tylko kilka metrów. Przebiwszy się przez półmrok i dymne zakłęcia, zobaczył go wyraźnie i od razu wiedział, co to jest.

Następnego dnia kilka koleżanek uraczyło Bellis drastycznymi opisami ataku potwora.

– Bogowie w pieprzonych niebiesiach! – emocjonowała się przerażona Carrienne. – Wyobrażasz sobie? Zostać poszatwowanym przez tę bestię?

Jej opisy robiły się coraz bardziej groteskowe i nieapetyczne.

Bellis nie słuchała Carrienne. Myślała o tym, co powiedział jej Silas. Podchodziła do tego tak samo jak do większości tematów: chłodno, analitycznie. Szukała książek o Gengris i grindylów, ale oprócz mitologii dla dzieci i bzdurnych spekulacji niewiele znalazła. Skala niebezpieczeństwa, w jakim znalazło się Nowe Crobuzon, była dla niej trudna, a może nawet niemożliwa do ogarnięcia. Przez wszystkie lata jej życia miasto zewsząd ją otaczało, ogromne, zróżnicowane i trwałe. Zagrożenie dla jego istnienia było właściwie nie do pojęcia.

No, ale grindylów też byli nie do pojęcia.

Opisy Silasa i jego widoczny strach mocno zaniepokoiły Bellis. Ze swego rodzaju makabrycznym rozmachem Bellis usiłowała wyobrazić sobie Nowe Crobuzon po inwazji. Obrócone w gruzy i przetrącone. Z początku była to gra, intelektualne wyzwanie polegające na wypełnianiu głowy jak najbardziej przerażającymi obrazami.

Ale potem zaczęły jej migotać w głowie bez ustanku, jakby rzucane przez latarnię magiczną, i budziły trwogę.

Widziała rzeki gęste od ciał, pod którymi grindylow poruszali się jak duchy. Widziała popiół płatków kwiatów buchający ze spalonego Fuchsia House, drobny gruz w Gargoyle Park, Szklarnię pękniętą jak skorupa jajka i wypełnioną po brzegi zwłokami ludzi-kaktusów. Wyobraziła sobie nawet Dworzec Perdido w stanie zniszczenia: tory kolejowe poskręcane i wywichnięte, fasada oderwana, misterne architektoniczne zaułki agresywnie zalane światłem.

Bellis wyobraziła sobie, że starodawne, potężne Żebra rozpięte nad miastem pękły, ich krzywizny pozrywały się pośród kaskad kościanego pyłu.

Zmroziło ją. Ale nie mogła nic zrobić. Nikt, kto na Armadzie miał władzę, nie przejąłby się losem Nowego Crobuzon. Bellis i Silas byli sami.

Doszła do wniosku, że póki nie zrozumieją, co się dzieje na Armadzie i póki się nie dowiedzą, dokąd płyną, ucieczka będzie niemożliwa.

Bellis usłyszała, że drzwi się otwierają, i podniosła głowę znad stert książek. W progu stał Szekel, trzymając coś w ręku. Miała powiedzieć mu dzień dobry, ale widok jego miny zastopował ją.

Na twarzy Szekla malowała się wielka powaga i niepewność, jakby podejrzewał, że zrobił coś złego, ale nie był o tym do końca przekonany.

– Mam ci coś do pokazania – powiedział powoli. – Wiesz, że zapisuję wszystkie słowa, których nie rozumiem. Potem, kiedy na nie trafię w innych książkach, już je znam. No i... – Spojrzał na książkę, którą miał w ręku. – No i trafiłem na jedno wczoraj. Książka nie jest napisana w ragamoll, a słowo nie jest... ani czasownikiem, ani rzeczownikiem, ani niczym, co znam.

Techniczne terminy, których go nauczyła, wymawiał z naciskiem: nie z dumy, ale dla podkreślenia wagi swego odkrycia. Podał jej niewielki wolumin.

– To jest imię. – Metalową blaszką napisane było na okładce imię i nazwisko autora.

„Krüach Aum” – przeczytała w myślach. Praca, której szukał Tintinnabulum, bardzo istotna dla projektu Kochanków. Szekel ją znalazł. Na półkach z literaturą dziecięcą. „Nic dziwnego, że dali ją do nieodpowiedniego działu” – pomyślała Bellis, kartkując książkę. Roilo się w niej od rysunków w prymitywnym stylu: wykonanych grubymi, niewyszukanymi kreskami w dziecinnej perspektywie, tak że proporcje były zaburzone i człowiek prawie dorównywał wzrostem sąsiadującej z nim wieży. Na każdej stronie nieparzystej był tekst, a na każdej parzystej rysunek, toteż cała niewielka książeczka kojarzyła się z ilustrowaną bajką.

Odbyło się to z pewnością tak: ktoś przyjrzał się jej pobieżnie i włożył między inne książeczki z obrazkami. Nie była skatalogowana. Stała na półce nietknięta przez wiele lat.

Szekel mówił do Bellis, ale do niej docierały tylko urywki: „nie wiem, co robić”, „pomyślałem, że mi pomożesz”, „ta, co jej Tintinnabulum szukał”, „zrobiłem jak trzeba”. W Bellis kipiało od adrenaliny i rozdygotanych emocji. Na okładce nie było tytułu. Otworzyła książkę na stronie tytułowej i serce zabiło jej szybciej, kiedy zdała sobie sprawę, że nie pomyliła się co do nazwiska Aum. Książkę napisano w wysokim kettai.

Był to hermetyczny, klasyczny język Gnurr Kett, wyspiarskiego państwa położonego tysiące kilometrów na południe od Nowego Crobuzon, na krańcach Wezbranego Oceanu, gdzie ciepła woda przechodziła w Morze Czarnomieliżniane. Tę dziwną, bardzo trudną mowę zapisywano przy użyciu alfabetu ragamollskiego, ale miała zupełnie inne korzenie. Niskie kettai, mowa codzienna, było znacznie

łatwiejsze, ale też drogi tych dwóch języków rozeszły się w dawnych czasach. Biegłość w jednym z nich pozwalała tylko od biedy zrozumieć drugi. Wysokie kettai, nawet w samym Gnurr Kett, było wyłączną domeną kantorów i garstki intelektualistów.

Bellis studiowała ten język. Fascynowały ją złożone struktury czasownikowe, toteż uczyniła z wysokiego kettai temat swojej pierwszej książki. *Gramatologię wysokiego kettai* opublikowała przed piętnastu laty, a tym samym jej znajomość tego języka trochę zardzewiała, ale podczas lektury pierwszego rozdziału wszystko zaczęło jej się powoli przypominać.

„Skłamałbym, gdybym powiedział, że piszę te słowa bez dumy” – przeczytała Bellis po cichu. Podniosła głowę i próbowała się uspokoić. Prawie się bała czytać dalej.

Szybko przewracała strony i oglądała rysunki. Mężczyzna w wieży nad morzem. Mężczyzna na brzegu, szkielety wielkich silników zaśmiecają piasek. Mężczyzna wykonuje obliczenia koło słońca i koło cieni dziwnych drzew. Na widok czwartego rysunku zaparło jej dech i wyskoczyła jej gęsia skórka.

Ten sam mężczyzna znowu stał na brzegu morza – z elementów jego twarzy artysta zaznaczył tylko stylizowane oczy, potulne jak u krowy – a nad morzem chmura ciemnych postaci frunęła ku nadpływającej łodzi. Rysunek był niejasny, ale Bellis dostrzegła chude ramiona i nogi, jak również maźnięcia skrzydeł.

Poczuła dziwny niepokój.

Przebiegała oczami tekst, próbując przypomnieć sobie język. Książka miała w sobie coś bardzo dziwnego. Zasadniczo różniła się od wszystkich innych publikacji w wysokim kettai, które Bellis widziała. Jej ton zupełnie nie współgrał z poetycznością charakterystyczną dla starego kanonu z Gnurr Kett.

„Poszukałby pomocy u ludzi z zewnątrz – odczytała po chwili wahania – ale wszyscy omijają naszą wyspę, ze strachu przed naszymi głodnymi kobietami”.

Bellis podniosła wzrok. „Jabber jeden wie, w co ja się wpakowałam” – pomyślała.

Zastanawiała się szybko, co powinna zrobić. Jej ręce nadal przewracały kartki, jakby należały do konstruktora. Spuściła wzrok i zobaczyła, że mniej więcej w połowie książeczki mężczyzna płynie po morzu niewielką łodzią. Ilustrator narysował go malutkiego, łódkę też Mężczyzna spuszczał do morza łańcuch zakończony wielkim hakiem.

Głęboko pod powierzchnią pośród spiral, które oznaczały wodę widniały koncentryczne kręgi, znacznie większe od jachtu.

Rysunek przykuł jej uwagę.

Wpatrywała się w obrazek i coś w niej drgnęło. Wstrzymała oddech. Spłynęło na nią uświadomienie, że rysunek zmienia układ jak złudzenie optyczne dla dzieci. Wiedziała już, na co patrzy, i szarpnęło ją za żołądek tak mocno, jakby spadała.

Wiedziała, na czym polega tajny projekt Niszczukowód. Wiedziała, dokąd płyną. Wiedziała, czym się zajmuje Johannes.

Szekel dalej mówił, ale przeszedł do tematu ataku dinichtysa.

– Tanner był pod wodą – powiedział z dumą. – Popłynął im pomóc, ale nie zdążył na czas. Ale powiem ci coś dziwnego. Pamiętasz, jak ci kiedyś mówiłem, że pod miastem są jakieś kształty, których Tanner nie może rozpoznać? I których nie wolno mu widzieć? No więc jak ryba pancerna dała dyla, Tanner podpłynął prościutko pod jeden taki. Zobaczył go bardzo wyraźnie i teraz wie, co tam jest. Zgadnij, co zobaczył...

Urwał z teatralną miną pod tytułem „w życiu byś nie wymyśliła”. Bellis nadal wpatrywała się w rysunek.

– Uprząż – powiedziała prawie niedosłyszalnie. Na twarzy Szekla wykwitł zamęt. Nagle odezwała się głośno: – Gigantyczna uprząż, z uzdą i lejcami, większa niż budynek. Łańcuchy, Szekel, wielkości statku. – Pokiwał głową z wytrzeszczonymi oczami. – Tanner zobaczył łańcuchy.

Nadal nie odrywała wzroku od rysunku: mały człowieczek w małym stateczku na morzu zastygłych fal idealnie zachodzących na siebie jak rybie łuski, pod nimi głębiny oddane krzyżkami i ciasnymi spiralami atramentu, a na dnie, bez trudu przyćmiewające stateczek, koło w kole w kolejnym kole, ogromne bez względu na niejasną perspektywę, niewypowiedzianie duże, z ciemnością w punkcie środkowym. Patrzy z góry na rybaka polującego na swoje ofiary.

Twardówka, tęczęwka i źrenica.

Oko.

Interludium III. GDZIE INDZIEJ

Na Salkrikaltorze są intruzi. Siedzą spokojnie, lustrują wzrokiem miasto i raki, wyważone i niewzruszone jak korki do zlewu.

Zostawiają po sobie trop zaginionych rolników, poszukiwaczy podmorskich przygód, wędrowców i drobnych urzędników. Wyciągają z nich informacje za pomocą ujmującego tonu, taumaturgii i tortur. Oczy intruzów są jak nafta.

Mają bogaty program zwiedzania. Obejrzeni świątynie, jamy rekinów, galerie i podcienia, raczej slumsy, architekturę płycizn. Kiedy zapada zmierzch i rozjarzają się kule świetlne Salkrikaltoru, wzmagą się ruch. Młodzi raczej dandysi paradują po spiralnych przejściach w górze – ich działania są odbite w ukrytych oczach obserwatorów.

Mijają godziny. Ulice pustoszeją. Kule świetlne trochę przygasają w godzinach poprzedzających świt.

Jest cicho. Ciemno. Zimno.

Intruzi ruszają się.

Chodzą pustymi ulicami, spowici mrokiem.

Intruzi poruszają się jak wstęgi odpadków, jakby byli ulepiani z nicości, jakby szarpały nimi przypadkowe i zmienne prądy. Przemierzają oblepione anemonami boczne uliczki.

Na rowoulicach nie ma nic żywego prócz prowadzących nocny tryb życia ryb, ślimaków, krabów, które zastygają ze strachu, kiedy zbliżają się intruzi. Mijają żebraków w kościotrupach budynków. Przez rozdarcie w magazynie, który jest na krawędzi obrócenia się w pył. Po najniższym poziomie wypłukiwanej przez wodę koralowej linii dachów wślizgują się w cienie, które są dla nich jakby za małe. Szybcy jak węgorze.

Wraz z krętą strużką krwi z pewnych ust wyciekło szeptem imię – wskazówka, którą wytropili i osaczyli.

Wędrują do góry i patrzą na miasto przez morze.

On śpi tutaj, nogi ma zwinięte pod sobą, tors chwieje się nieznacznie od prądu morskigo, oczy zamknięte. Rak-samiec, którego upolowali.

Intruzi przykucają. Głaszczą go, dotykają, emitują z gardła dźwięki. Jego oczy otwierają się powoli i spazmuje gwałtownie w pętach, które założyli – cichutko i delikatnie jak niańki, żeby go nie obudzić – usta rozwiera tak szeroko, że sprawiają wrażenie, jakby za chwilę miały pęknąć i buchnąć krwią. Wrzeszczałby bez końca rączym *vibrato* gdyby nie nałożyli mu kościanej obroży, która wbiła się bezboleśnie w pewne nerwy na jego szyi i plecach, odcinając mu dźwięk.

Z gardła raka wypływają małe bryźnięcia krwi. Intruzi patrzą na niego ciekawie. Kiedy nareszcie traci siły i przestaje się miotać, jeden z tych, co go ujęli, porusza się z egzotycznym wdziękiem i mówi:

– Wiesz coś, co my też musimy wiedzieć.

Przystępują do pracy, zadają szeptem pytania, a jednocześnie niesłychanie fachowo dotykają rączego tłumacza, wtedy ten odrzuca głowę do tyłu i znowu wrzeszczy.

A potem jeszcze raz, bezgłośnie.

Intruzi pracują dalej.

Później.

Pełne szczątków organicznych dno oceanu pochłania wskazówkę, woda otwiera się bezkresnie, ciemne postacie – daleko od domu – tkwią bez ruchu zawieszona w mroku i rozmyślają.

Trop eksplodował.

Filigranowe druciki pogłosek uciekają od nich, wracają, drocą się z nimi. Południowy statek zniknął. Ze skalistych krańców kontynentu, gazie ład wznosi się do góry, aby oddzielić słodką wodę od słonej, zmierzali za tropem przez Kanał Bazyliszka do wycelowanych w niego palców Salkrikaltoru, do statku kursującego między morzem a siedzącym okrakiem na rzece Nowego Crobuzon. Ale ten statek zniknął, zostawiając po sobie kilwater kłamstw i bajek.

Usta w głębi. Piraci-upiory. Moment. Ukryte sztormy. Pływające miasto.

Raz po raz pływające miasto.

Myśliwi dokonują inspekcji platform wiertniczych, które wystają nad południowe wody Salkrikaltoru: wsporniki jak przerośnięte drzewa jak nogi gruboskórców, kruszące się betonowe słupy w dnie morza szlam oblepia je jak palce u nóg.

Wiertła gnębią miękką skałę, wysysając z niej soki. Platformy żerują w płytkiej wodzie jak stworzenia bagienne.

Mężczyźni w skorupach ze skóry i powietrza schodzą na łańcuchach, aby zaleczyć rany mamroczących olbrzymów. Intruzi unicestwiają ich z łatwością biegłych w tej sztuce drapieźników. Zabierają im maski, mężczyźni przebierają nadaremnie kończynami i wypluwają z siebie życie bąbelkującymi skowytami powietrza. Intruzi utrzymują ich przy życiu za pomocą zakłęb, dotleniania metodą usta-usta i masaży spowalniających akcję serca. W podwodnych jaskiniach mężczyźni błagają o litość i pod naciskiem intruzów opowiadają im najprzeróżniejsze historie.

Przede wszystkim o pływającym mieście, które porwało „Terpsychorię”.

Zapada noc, dławiąc cienie rzucane przez dzień.

Niewyraźne postacie mają do przeszukania wszystkie wody świata. Ocean Szronów, Popiołów, Wasyla, Taribora, Teuchora, Powściągliwy i Wezbrany. Morze Dżentelmena, Spiralne, Zegarowe, Ukryte i te pozostałe. I wszystkie cieśniny, przesmyki i kanały. I zatoki, i zalewy.

Jak mają to wszystko przeszukać? Od czego zacząć?

Pytają morze.

Dają nura w głębię.

– Gdzie jest pływające miasto? – pytają.

Król rekinów chochlikowych nie wie i nic go to nie obchodzi. Korokant nie chce powiedzieć. Myśliwi pytają gdzie indziej.

– Gdzie jest pływające miasto? Znajdują mnichowate inteligencje udające dorsze i kongery, które utrzymują, że nic nie wiedzą, i odpływają, aby dalej kontemplować. Myśliwi pytają saliny, morskowodne cząstki elementarne, ale nie potrafią odszyfrować ciekłych wrzasków informacji, którymi są raczone.

Myśliwi podnoszą się wraz ze słońcem, wyskakują na powierzchnię – kolebią się na falach i jeszcze raz podejmują namysł.

Pytają wieloryby.

– Gdzie jest pływające miasto? – pytają wielkie, debilne krylo-humbaki, pływacze szare i płetwale błękitne. Wspinają się na nie jak górolazi i majstrują przy ośrodkach rozkoszy ich ciężkich mózgów. Przekupują je, wlewając przez lejki tony spanikowanej zupy planktonu do ich wyszczerzonych w głupkowatym uśmiechu gąb.

Myśliwi konwertują pytanie na polecenie.

– Znajdź pływające miasto – mówią przy użyciu prostych pojęć, aby wieloryby ich zrozumiały.

I rozumieją. Ogromne zwierzęta wpadają w namysł, ich synapsy pracują tak powoli, że myśliwi niecierpliwiają się, ale wiedzą, że muszą czekać. Wreszcie, po wielu minutach ciszy zakłócanej tylko przez chłopot wody przepływającej przez szczęki wielorybów, zsynchronizowanym grzmotem ogonów wieloryby przerywają milczenie.

Ich jęki niosą się na tysiące kilometrów. Echolokacja, sondowanie, przesyłanie przyjaznych, głupkowatych depeesz. Robią to, co im kazano: szukają Armady.

CZĘŚĆ TRZECIA. FABRYKA KOMPASÓW

Rozdział piętnasty

– Podnoszą awanka. – Po twarzy Silasa przebiegło zaskoczenie, zaprzeczenie, cała gama różnych odcieni niedowierzania. – Nie może być – powiedział cicho, kręcąc głową.

– Bo awanki to legenda? – skrzywiła się ironicznie Bellis. – Wymarłe stworzenia? Bajka dla dzieci? – Zaciśnęła usta i potrząsnęła książką Krüacha Auma. – Ten, kto dwadzieścia lat temu odłożył to na półkę, myślał, że jest to książeczka dla dzieci, Silasie. Ale ja znam wysokie kettai. To nie jest książeczka dla dzieci. – Dzień dogasał, lecz pomruki miasta za oknami nie cichły. Bellis wyjrzała przez okno na światło konające płachtami spektakularnych barw. Podała Silasowi książkę. – Od dwóch dni nie zajmuję się prawie niczym innym. Nawiedzam bibliotekę niby jakiś cholerny *eidolon* i czytam książkę Auma. – Silas kartkował książkę i przebiegał

wzrokiem po tekście w taki sposób, jakby go rozumiał, chociaż Bellis wiedziała, że nie rozumie. – To jest napisane w wysokim kettai, ale nie powstało w Gnurr Kett i nie jest stare. Krüach Aum to anophelius. – Silas spojrział na nią ze zgrozą. – Uwierz mi – powiedziała Bellis po długim milczeniu. Czowała się potwornie zmęczona, co było nawet słychać. – Wiem, jak to brzmi. Przez ostatnie dwa dni próbowałam jak najwięcej się dowiedzieć... Ja też sądziłam, że wymarli, ale oni wymierają od ponad dwóch tysięcy lat, Silasie, i jeszcze nie zdążyli wyzdychać. Kiedy Padła Malaryczna Reginokracja, wytępiono ich w Shoteka, w Roha gi, w większości Shards. Ale zdołali przeżyć. Znaleźli sobie azyl na jakiejś zapadłej skale na południe od Gnurr Kett. I chociaż trudno w to uwierzyć, nawet po upadku Malarycznej Reginokracji są ludzie, którzy z nimi handlują. – Skinęła ponuro głową. – Mają jakiś układ Dreer Samher albo z Gnurr Kett, a może z jednym i drugim. Nie potrafię tego dociec. I... wydaje się, że piszą książki. – Pokazała na półkę. – Bogowie raczą wiedzieć, dlaczego w wysokim kettai.

Może mówią teraz tym językiem. Byliby jedynym ludem na świecie, który się nim posługuje. Nie wiem, Silasie, na zakochane bogi. Może to wszystko bzdura – zirytowała się nagle. – Falszerstwo, kłamstwo albo... bajka dla dzieci. Ale Tintinnabulum kazał mi szukać wszelkich prac Krüacha Auma, dlatego temat tej książki to raczej nie jest czysty zbieg okoliczności. Co nie?

– A co tam jest napisane?

Bellis wzięła od niego książkę i powoli przetłumaczyła pierwsze zdania.

– „Skłamałbym, gdybym powiedział, że piszę te słowa bez dumy. Jestem nią wypełniony jak jedzeniem, bo... znalazłem historie do opowiedzenia, o czymś, czego nie osiągnięto od czasów Imperium Widmowców, jeśli nie liczyć jeszcze jednego razu, tysiąc lat temu. Jeden z naszych przodków, po tym, jak upadło państwo naszych królowych i ukryliśmy się tutaj... Za pomocą... urzędzeń i taumaturgii... wyruszył po wodzie... do ciemnego miejsca... i pośłał zaklęcia w usta wody i po dwudziestu jeden dniach gorąca, pragnienia i upału... wyciągnął wielką i tajemniczą rzecz”. – Podniosła wzrok na Silasa i dokończyła: – „Pływającą górę, boga-wieloryba, największe zwierzę, jakie kiedykolwiek odwiedziło nasz świat, awanka”. – Delikatnie zamknęła książkę. – Przywołał awanka, Silasie.

– I co było dalej? Przeczytałaś, to powiedz mi, co było dalej! Bellis westchnęła.

– Nie wiadomo jak i gdzie, ale Aum znalazł stertę starych rękopisów, dawne opowieści. Poukładał je, nadał im spójny sens i opowiedział je na nowo. Jest to historia o anopheliusie, którego imię nie pada. Dzieje się wieki temu. Aum poświęca dziesięć stron przygotowaniom. Ten człowiek pości, prowadzi badania, godzinami gapi się w morze, gromadzi niezbędne rzeczy: baryłki, alkohol, stare maszyny, które obrastały rdzą na plaży. Wypływa w morze. Sam. Próbuje zapanować nad jachtem, który jest o wiele za duży dla jednego człowieka, ale nikt nie chciał z nim popłynąć. Szuka konkretnego miejsca, jakiejś bardzo głębokiej hydrosztolni, dziury w dnie oceanu. Na to poluje. Na to zarzuca sieci. Bo liczy na to, że z dziury wyjdzie awank... Potem mamy dwadzieścia potwornie nudnych stron o uciążliwościach morskiej podróży. Głodny, spragniony, zmęczony, zmoknięty, zgrzany... Tego typu historie. Wie, że znajduje się we właściwym miejscu. Jest pewien, bo hak przenika gdzie indziej. Przebija powłokę świata. Ale nie potrafi znęcić awanka. Nie ma takiego dużego robaka... Na trzeci dzień, kiedy mężczyzna jest już kompletnie wyczerpany, a jego łodzią miotają dziwne prądy, niebo ciemnieje. Nadchodzi burza elektryczna. Mężczyzna uznaje, że nie wystarczy być we właściwym miejscu, potrzebna jest jeszcze wabiąca moc. Grad i deszcz poniewierają nim, morze dostaje amoku. Ogromne fale ciskają łodzią, która tak się tłucze, jakby w każdej chwili miała się

rozpaść. – Silas słuchał jej z szeroko otwartymi oczami i nagle naszedł ją idiotyczny obraz: nauczycielka opowiadająca dzieciom mityczne historie. – Epicentrum burzy jest coraz bliżej i w końcu mężczyzna owija szczyt grotmasztu zwojem kabla, a potem podłącza go do jakiegoś generatora. Później... – Bellis westchnęła. – Nie było to dla mnie zbyt zrozumiałe. Żeglarz uprawia jakieś taumaturgiczne kuglarstwa. Myślę, że próbował wywołać fulmeny, elektryczne cząstki elementarne, a może złożyć je w ofierze, nie jest to jasne. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiadomo, czy mu się udaje, czy jest to odpowiedź cząstki elementarnej, czy też skutek umieszczenia miedzianego drutu na szczycie wysokiego masztu, w każdym razie piorun uderza w przewodnik. – Otworzyła książkę na stosownej ilustracji: biały kontur łodzi i krótkawy, zgeometryzowany piorun werźnięty jak piła w szczyt grotmasztu. – Przez maszyny przepływa potężna fala energii. Taumaturgiczne przyrządy kontrolne, które zainstalował, żeby zwabić awankę i sterować jego ruchami, dostają spazmów megamocy i natychmiast się przepalają. Łódź skacze, żurawie i windy od łańcucha z hakiem wyginają się i spod spodu dochodzi wielki szum... Złapał na hak awankę, jak pisze Aum. I wyłowił.

Bellis umilkła. Przewróciła kilka kartek i zaczęła w duchu czytać słowa Auma.

Osiem kilometrów pod powierzchnią oceanu zawibrował krzykiem, woda wstała i zadrżała, była niestabilna tam, gdzie coś ją wypięło, potężnie, a fale zdechły, kiedy wielki pęd od dołu zajął miejsce pływów i woda ciskała łodzią jak muszką, horyzont znikł, gdy awankę wypłynął na powierzchnię.

Nic więcej. Brak opisu tego stworzenia. Strona parzysta przeznaczona na ilustrację była pusta.

– Kiedy zobaczył – podjęła Bellis – jak duży jest awankę, zdał sobie sprawę, że z głębin wyrwał go zakłęciami. A sądził, że go wyłowi jak wędkarz. Nic podobnego. Awankę bez trudu zerwał łańcuchy i znikł. Mężczyzna został zupełnie sam, a do tego musiał jeszcze pokonać całą drogę powrotną.

Bellis umiała to sobie wyobrazić i była poruszona. Przedstawiła sobie sponiewieraną postać nasiąkniętą morską wodą, wokół której wciąż szaleje burza, która z trudem się podnosi i na chwiejnych nogach idzie po pokładzie swego zbyt słabego na takie warunki statku. Uruchamia dogorywające silniki i pełza po morzu głodny i wycieńczony, a przede wszystkim zupełnie sam.

– Myślisz, że to prawdziwa historia? – spytał Silas.

Bellis otworzyła książkę na ostatniej części i odwróciła w jego stronę. Zobaczył całą masę dziwnych wzorów matematycznych.

– Ostatnie dwadzieścia stron zajmują równania, uwagi taumaturgiczne, odesłania do prac innych naukowców. Aum nazywa to aneksem danych. Nie umiem tego przetłumaczyć. Mało z tego rozumiem, to jest teoria utrzymana na wysokim poziomie abstrakcji, kryptoalgebra i tak dalej. Ale widać wielką staranność. Gdyby to była fałszywka, to by tego tak bardzo nie komplikował. Aum sprawdził wszystkie szczegóły: daty, technologie, taumaturgie i podłoże naukowe. Wymyślił, jak to się dokonało. Te ostatnie strony to jest rozprawa naukowa, która wyjaśnia, jak należy się do tego zabrać. Jak podnieść awankę... Silasie, ta książka została napisana w ostatnim roku wyziębny według kalendarza kettai. Czyli dwadzieścia trzy lata temu. Co, nawiasem mówiąc, oznacza, że Tintinnabulum i jego kołesie są w błędzie... Tintinnabulum myśli, że Aum pisał w ubiegłym stuleciu. Wydrukowano ją w Kohnid, stolicy Gnurr Kett, nakładem wydawnictwa Rozedrgana Mądrość. Jak można się

spodziewać, w tej bibliotece nie ma zbyt wielu książek w tym języku, a ogromna większość tych, które są, została napisana w niskim kettai. Przejrzałam wszystkie pozycje w kettai wysokim, które udało mi się znaleźć. Rozedrgana Mądrość publikuje w tym języku książki filozoficzne, naukowe, klasyczne, z gnostycznej m ekonomii i inne... Z pewnością uważają, że wydali rzecz autentyczną Silasie. Jeśli to jest kawał, to nabrał się na niego naukowy dom wydawniczy i najlepsze umysły Armady... A co jeszcze czytają naukowcy Kochanków, Silasie? *Teorie megafauny* mojego przyjaciela Johannesesa. Inną jego książkę, o życiu międzyplaszczynowym. Radykalne teorie na temat natury wody, rozprawy z ekologii morskiej. I strasznie im zależy na znalezieniu tej książeczki, przypuszczalnie dlatego, że Tintinnabulum i jego myśliwi trafili na odesłania do niej. Na Jabbera, jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi? Przeczytałam tę książkę. – Wbiła w niego wzrok. – To nie jest wygłup. Ta książka mówi o tym, jak podnieść awanka. I jak nad nim zapanować. Anophelius Aum pisze że awank bez trudu wyrwał się na wolność. – Nachyliła się. – Ale miał do czynienia z jednym człowiekiem. Armada jest miastem. Tamten ożywił trupy silników parowych, Armada ma całe dzielnice przemysłowe. Pod miastem ciągną się gigantyczne łańcuchy, wiedziałeś o tym? Jak myślisz, do czego zamierzają ich użyć? I Armada ma „Sorgo” – pozwoliła swoim słowom wybrzmieć i zobaczyła, że wyraz oczu Silasa uległ nieznaczącej zmianie. – To miasto ma setki galonów skalnego mleka, Silasie, i możliwość wydobywania jeszcze większych jego ilości. Jabber jeden wie, jaką taumaturgię potrafią napędzać tym paliwem. Kochankowie uważają, że powiedzie im się to, co nie powiodło się bohaterowi Auma. Płyną w stronę dziury w dnie, żeby przywołać na powierzchnię awanka. Zaprzągną go do miasta. I będą nim sterować...

– Kto jeszcze wie o książce?

– Nikt oprócz Szekla, który nie ma pojęcia, co w niej jest napisane.

„Dobrze zrobiłeś, że mi ją przyniosłeś” – powiedziała wcześniej chłopcu Bellis. „Sprawdzę, o czym to jest, i jeśli okaże się do czegoś przydatne, natychmiast przekażę Tintinnabulumowi”.

Pamiętała zaniepokojenie, strach Szekla. Często odwiedzał „Kastora”, statek Tintinnabuluma, żeby pobyć z Angevine. Bellis uświadomiła sobie z odrobiną współczucia, że Szekel nie zaniósł książki prosto na „Kastora” z obawy, że się pomylił. Nie czytał jeszcze zbyt sprawnie i w obliczu tak ważnej sprawy pewnością siebie opuściła go.

Patrzył na kombinację liter składającą się na słowo „Krüach”, porównał je z listą nazwisk, którą przepisał z kartki przyniesionej przez Tintinnabuluma, przekonał się, że słowo to jest na tej liście, ale mimo wszystko, mimo wszystko...

Mimo wszystko nie był do końca pewien. Nie chciał się wygłupić ani marnować czyjegoś czasu. Zaniósł książkę Bellis, swojej przyjaciółce i nauczycielce, do sprawdzenia. A ona bezlitośnie mu ją zabrała wiedząc, że dzieło Krüacha Auma daje jej władzę.

Kochankowie wieźli ich na południe, ku rozpadlinie w dnie morza z której mógł wyłonić się awank. Zgromadzili wszystko, co było niezbędne – naukowców i platformę wiertniczą wydobywającą paliwo do wzmacniania zakłęb – i teraz sunęli ku swojemu łupowi. Ich eksperci w ścisłej i nieprzerwanej współpracy ze sobą kończyli obliczenia, już w drodze usiłowali spleść ze sobą wszystkie wątki enigmatycznego przywołania awanka.

Jak tylko Silas i Bellis uświadomili sobie, że osiągnęli swój cel, że poznali plan Kochanków, że mają dane potrzebne do wyliczenia kursu Armady, zaczęli się gorączkowo zastanawiać, w jaki sposób wykorzystają tę wiedzę do ucieczki.

„Co my robimy?” – pomyślała Bellis spowita oparami milczenia. „Kolejny wieczór siedzimy w mojej okrągłej, kominowej klitce i wołamy w duchu i na głos: »O bogowie, o bogowie«, bo zdarliśmy jedną warstwę tajemnicy, a pod spodem kolejne cholerstwo, kolejne łamigłówki nie do rozwiązania”. Miała ochotę jęknąć ze zmęczenia. „Nie chcę już więcej się zastanawiać, co mam zrobić. Chcę coś zrobić”.

Zabębniła palcami po tekście. Tekście, który umiała przeczytać tylko ona i parę innych osób.

Kiedy patrzyła na ten hermetyczny język, zaświerbiało w niej mgliste, nieprzyjemne podejrzenie. Tak samo poczuła się tego wieczoru w restauracji, kiedy Johannes jej powiedział, że Kochankowie korzystają z jego książek.

Nieustanne buczenie maszyn flotyli holowników i innych statków, które ciągnęły miasto, wtopiło się w ogólne tło dźwiękowe. Ale chociaż ich nie widziano i nie pamiętano o nich, wciąż parły do przodu. Nie było chwili dnia ani nocy, żeby Armada nie brnęła centymetr po centymetrze przed siebie. Wysilek był tytaniczny, a prędkość lodowcowa. Człowiek nie potrafiłby pęłzać tak powoli.

Ale dni jakoś mijały, a miasto poruszało się. Ludzie zrzucali płaszcze i wełniane spodnie. Dni nadal były krótkie, lecz bez fanfar i oficjalnych obwieszczeń Armada przemieściła się do umiarkowanej strefy morza. I bez wytchnienia zmierzała ku cieplejszym wodom.

Roślinność Armady – pszenica i jęczmień, pokładowe trawy, regimenty chwastów zawłaszczające stary kamień i metal – odczuła zmianę. Stale głodne ciepła, nabrały otuchy od tej niewczesnej zmiany pory roku i zaczęły błyskawicznie rosnać, pączkować. Zapachy parkowe stały się bardziej soczyste, a harde kwiatuszki przełamywały jednorodność zieleni.

Z każdym dniem nad głowami było więcej ptaków. Statki pirackie płynęły w ciepłych wodach nad nowymi, wielobarwnymi rybami. W mnogich świątynkach Armady odprawiano nabożeństwa, w których witano najnowszą z zawsze nieregularnych i uwarunkowanych decyzjami politycznymi wiosen w mieście.

Tanner zobaczył łańcuchy i nie zajęło mu długo, aby uświadomić sobie, jakie miasto ma plany.

Oczywiście nie mógł znać szczegółów, ale pamiętał, co widział, mimo szoku i zimna, które go osaczyły, kiedy się wynurzał. Wcześniej podpłynął pod jeden z zakazanych statków i znalazł się w strefie maskującej świetlistości. Skala tego, co zauważył, w pierwszej chwili go oszołomiła, ale kiedy jasność rozproszyła się, zdał sobie sprawę, że widzi ogniwo łańcucha, długości piętnastu metrów.

„Wielki Wschodni” ciągnął się w górze niby złowieszczą chmura. Metal ogniwa był zamocowany do jego dna staroświeckimi, większymi od człowieka nitami. Poprzez wielowiekową narośl zobaczył, że z pierwszym ogniwem łączy się drugie, podobnie przymocowane do kadłuba. Wodorosty i zaczarowana woda nie pozwalały sięgnąć wzrokiem jeszcze dalej.

Pod miastem były wielkie łańcuchy. Nie trzeba było wybitnego intelektu, żeby odgadnąć, co jest planowane. Z prawie melancholijnym zaskoczeniem Tanner Sack uzmysłowił sobie, że poznał tajemnicę, która zawsze kręciła się na obrzeżach rozmów toczonych w porcie. Poznał źródło zakłopotania, mrugnięć i znaczących

spojrzeń, poznał ten nie wymieniany na głos projekt, który nadawał kierunek wszystkim ich wysiłkom.

„Podniesiemy coś z morza” – pomyślał ze spokojem. „Jakiegoś zwierzaka? Złapiemy jakieś węże morskie, albo krakena, albo Jabber wie co i... co dalej? Będzie ciągnęło Armadę? Tak jak morski wyrmen ciągnie statek-rydwan? Całkiem sensowny pomysł” – dodał, będąc pod wrażeniem skali przedsięwzięcia, ale nie czując strachu ani dezaprobaty. „Dlaczego ukrywać to przed takimi jak ja? A bo to nie jestem lojalny?”

Otrząśnięcie się po ataku dinichtysa zajęło Tannerowi kilka dni. Kiepsko spał, oblewał się potem. Pamiętał dotyk wnętrzości rozszarpanego mężczyzny w dłoni i chociaż zdarzało mu się wcześniej widywać i trzymać na rękach zmarłych, w oczach tego trupa była zgroza, która prześladowała Tannera jeszcze długo. Nie mógł wyrzucić z pamięci wspomnienia o tym, jak ryba rzuciła się na niego. Utkwiło to w nim jak katastrofa geologiczna w zapisie dziejów świata.

Koledzy z pracy traktowali go z szacunkiem.

– Byłeś dzielny, Tanner – mówili.

Po dwóch dniach Tanner wrócił nad akwen między Niszczukowodami i Czasami, żeby popływać i dać ukojenie spękanej skórze. Obserwował z brzegu innych kąpiących się. Przy tych gościnnych temperaturach było ich trochę więcej. Inni obywatele pirackiego miasta patrzyli z boku, nie mogąc się nadziwić ezoterycznej umiejętności pływania.

Tanner widział krople wody rozpryskiwanej przez niezbyt wciąż wprawne ruchy rąk i nóg, widział poszarpaną powierzchnię wody, i stwierdził, że ogarnia go jakiś niepokój, kiedy pływacy dają nura i znikają z pola widzenia. Podszedł do przodu, ustawił się do skoku i poczuł skurcz żołądka.

Bał się.

„Za późno” – powiedział sobie z nutą hysterii. „Za późno, stary! Do tego cię przetworzyli! Mieszkasz w tej zasranej wodzie i nie ma odwrotu”.

Bał się podwójnie: morza i swego strachu, który mógł go uziemić, zmienić w cyrkowego dziwoląga, ze skrzelami i błonami, ale prowadzącego wyłącznie lądowy tryb życia, któremu skóra się łuszczy, skrzela wysuszają boleśnie, a macki gniją. Zmusił się więc do skoku. Słona woda przyniosła trochę ukojenia dla skóry i dla duszy.

Strasznie ciężko było mu otworzyć oczy i skierować wzrok w rozpylony, rozświetlony słońcem błękit w dole, przy świadomości, że przypuszczalnie już nigdy nie zobaczy pod wodą skały, tylko tę rozciągniętą głębię, gdzie drapieżcy machają ogonami i znikają z pola widzenia.

Było potwornie ciężko, ale pływał i zrobiło mu się lepiej.

Po namowach Szekła Angevine pozwoliła Tannerowi pogrzebać w jej metalowych wnętrzościach. Decyzja ta nie przyszła jej łatwo. Aby dać mu pole do działania, trzeba było odłączyć kocioł, a tym samym unieruchomić ją. Zgodziła się na coś takiego po raz pierwszy od lat. Żyła w strachu przed wygaśnięciem swego ognia.

Tanner poczynął sobie jak z każdym innym silnikiem, energicznie ostukiwał rurki i obracał kluczem francuskim, dopóki nie zobaczył, jak bezkrwiste są palce Angevine ściskającej Szekła za rękę.

Tanner zdał sobie sprawę, że poprzednio wkładano w nią w ten sposób łapy, kiedy była prze-twarzana. Od tej pory był delikatniejszy.

Tak jak się spodziewał, miała zainstalowany stary, niewydajny silnik. Nadawał się tylko do wymiany. Po krótkim słowie ostrzeżenia, do wtóru jej przerażonych wrzasków, zaczął go demontować.

W końcu się uspokoiła. Wyjaśnił jej, że jest za późno na wycofanie się, że już nigdy się nie poruszy, jeśli ją tak zostawi. Po kilku godzinach, kiedy wytoczył się spod niej spocony i upačkany smarem i zaczął zapalać paliwo w palenisku udoskonalonego kotła, Angevine natychmiast poczuła różnicę.

Oboje byli zmęczeni i zakłopotani. Kiedy ciśnienie pary było już wystarczające i Angevine zaczęła się ruszać, kiedy poczuła, jakie ma zasoby mocy, kiedy sprawdziła ogień i zrozumiała, że dużo rzadziej będzie musiała uzupełniać koks, zdała sobie sprawę, jak wiele Tanner dla niej zrobił. Ale jemu znacznie łatwiej było przyjąć podziękowania, niż jej podziękować, toteż sprawa ograniczyła się do zachodzących na siebie niezbyt artykułowanych pomruków z obu stron.

Później, siedząc w wannie z morską wodą, Tanner zastanawiał się wykonaną robotą. Angevine nie potrzebowała już tak bardzo przejmować się paliwem. Co za poczucie wyzwolenia: nie musieć cały czas myśleć o kotle, nie musieć wstawać przed świtem, aby dołożyć do ognia.

Uśmiechnął się szeroko. Po zakończeniu pracy Tanner zauważył nową rysę na obudowie Angevine, od jego klucza lub śrubokrętu. Wydrapał ranę w żelazie Angevine zawsze starała się utrzymywać metalowe części w czystości toteż nowa rysa biła po oczach. Przeszł poważnie z nogi na nogę zawstydzony.

Kiedy Angevine zobaczyła rysę, twarz zeszywniała jej z gniewu ale po paru minutach, kiedy poczuła w sobie siłę pary, jej mina uległa zmianie. Na odchodnym, kiedy Szekel czekał już na nią w drzwiach podtoczyła się do Tannera i powiedziała do niego cicho:

– Nie przejmuj się rysą, dobra? Wykonałeś świetną robotę, Tanner. A rysa... Niech to będzie pamiątka po remoncie. I znak nowego.

Uśmiechnęła się do niego szybko i wyszła.

– O, nie ma za co, na Jabbera – powiedział Tanner do siebie na to wspomnienie, zadowolony i zakłopotany. – Dla chłopaka. Zrobiłem to dla chłopaka.

W nawiedzanej dzielnicy Armady, wciśniętej w kąt awanportu, graniczącej z Pragnieniowcami i Tobietwoim króla Friedricha, było tylko dziesięć statków o godnym wzmianki tonażu.

Obywatele podlegający brutalnym, nastawionym na drapieżny zysk rządowi Friedricha nie zwracali większej uwagi na upiorne statki obok swojego okręgu, skupiając się na własnych bazarach, lunaparkach i lichwiarzach. Ale złośliwy wpływ nawiedzanej dzielnicy przedostawał się przez wąski pas morza do Pragnieniowców i zakazał okręg Brucolaca. Tam, gdzie sąsiadowały one z porzuconymi jednostkami, jego statki były smutne i nieprzyjemne.

Być może czynnikiem, który wyostrzał wrażliwość mieszkańców Pragnieniowców na zmarłych i nieumarłych, była obecność Brucolaca i oddziały jego wampirycznych siepaczy. Być może z tego powodu, inaczej niż w dzielnicy Tobietwoj, obywatele Pragnieniowców cały czas mieli w świadomości budzącą grozę, nawiedzaną dzielnicę, z którą sąsiadowali.

Dochodziły stamtąd dziwne odgłosy: pomruki niesione z wiatrem, ciche buczenie motorów, zgrzyt jednych rzeczy o drugie. Niektórzy twierdzili, że hałasy te są omamem dźwiękowym, tworem wiatru i manierystycznej architektury starożytnych statków. Bardzo niewielu w to wierzyło. Od czasu do czasu grupa chojraków – nieodmiennie z grona niedawno uprowadzonych – wchodziła na hulki, a po paru

godzinach cali z zaciśniętymi ustami, bladzi i nieskorzy do mówienia. Bywało też oczywiście, że nie wracali.

Wieść gminna głosiła, że próby wyrżnięcia dziesięciu statków z tkanki miasta, zatopienia ich i wymazania nawiedzanej dzielnicy mapy Armady, były podejmowane, ale w drastycznych okolicznościach zakończyły się niepowodzeniem. Większość obywateli miała zabobonny stosunek do tego cichego miejsca: choć czuli strach, głośno by protestowali przeciwko próbom jego zlikwidowania.

Na pokładach nawiedzanych statków nie siadały ptaki. Krajobraz starych masztów i ich kikutów, butwiejących smołowanych kadłubów i podartych żagli był srogi i opuszczony.

Jeśli ktoś chciał, żeby nikt mu nie przeszkadzał, szedł na granicę pomiędzy Pragnieniowicami i nawiedzaną dzielnicą.

W chłodnym nocnym deszczu stali dwaj mężczyźni. Byli sami na pokładzie klipra.

Dziesięć metrów dalej stała na wodzie długa, smukła łódź, jakaś starożytna galera, która skrzypiała na nieustannym – także pozornym – wietrze Armady, pusta i nieoświetlona. Pomosty łączące ją z kliprem butwiały i były zablokowane łańcuchami. Galera stanowiła najbardziej wysunięty punkt nawiedzanej dzielnicy.

Zza pleców dobiegały ich odgłosy centrum miasta z nieregularnych galerii handlowych rozlokowanych na kilku statkach, teatrów i tancred. Na kliprze panowała cisza. Rząd namiotowych domów na pokładzie był w większości niezamieszkały. Ci nieliczni, którzy tu żyli, wiedzieli, kto jest na pokładzie klipra, i siedzieli jak myszy pod miotłą.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział spokojnie Brucolac, nie patrząc na swego towarzysza. Jego chrapliwy głos był ledwo dosłyszalny. Wiatr i deszcz odgarnęły mu strzępiaste włosy z twarzy, kiedy patrzył nad galerą na czarne morze. – Mógłbym cię prosić o wyjaśnienie? – Odwrócił się, uniósł brwi i z lekko skonsternowaną miną spojrzał na Uthera Doula. Pod nieobecność ochroniarzy, gwardzistów czy przygodnych gapiów nie dało się zauważyć rozżarzonego do czerwoności napięcia, które charakteryzowało publiczne konfrontacje tych dwóch mężczyzn. Ich język ciała był tylko trochę ostrożny, jak u osób, które dopiero co się poznały. – Uther, przecież znamy się nie od dzisiaj kontynuował. – Przecież wiele razem przeszliśmy. Mam do ciebie zaufanie, mówię szczerze. Mam zaufanie do twojego instynktu.

Znam twój sposób myślenia. I obaj wiemy, że jest wyłącznie kwestią przypadku, że jesteś ich człowiekiem, a nie moim. – Powiedział to z nieznaczną nutką żalu. Brucolac patrzył na Uthera Doula jasnymi oczami. Długi, rozwidlony język skosztował powietrza. – Powiedz mi, co jest grane, człowieku. Na sutki Luny, nie możesz poprzeć tego idiotycznego pomysłu. Masz wyrzuty sumienia, tak? Że to ty podsunąłeś im ten pomysł? Że gdyby nie to, co im powiedziałeś, nigdy by na to nie wpadli? – Nachylił się trochę. – Wiesz, że nie chodzi mi o władzę. Mam w najgłębszym luku okrętowym, kto rządzi Armadą. Mnie zależy tylko na Pragnieniowicach. Niszczukowody zawsze były najsilniejsze i ja nie mam nic do tego. I nie chodzi też o zasranego awanka. Psiakrew, gdybym wierzył, że to się uda, to byłbym po twojej stronie. Nie jestem taki, jak ci starzy pierdziele z Bud, co w kółko pieprzą o „majstrowaniu przy śmiercionośnych siłach” i gadają że „to wbrew naturze” lub inne tego typu brednie. Psiakrew, Uther, gdybym uważał, że robienie interesów z demonami wzmocni miasto, to chyba mi wierzysz, że byłbym za, nie?

Uther Doul zerknął na niego i jego twarz po raz pierwszy się poruszyła, drgając tłumionym ubawieniem.

– Jesteś nieumarły, Brucolac – powiedział swoim głosem piosenkarza. – Wiesz o tym, że mnóstwo ludzi uważa, że robisz interesy z Piekłorodnym.

Brucolac puścił jego słowa mimo uszu.

– Jestem przeciw, bo obaj wiemy, że to się nie skończy na awanku – powiedział chłodnym tonem. Doul odwrócił wzrok. Na nocnym horyzoncie nie było gwiazd: niebo i morze zlewały się ze sobą atramentowo. – I niedługo inni też to skojarzą. Ałozowice będą robiły, co się im każe, póki się morze nie zagotuje, ale myślisz, że Czasy i Książkowice będą dalej pomagały Kochankom, kiedy wyczają, na czym polega plan? Uther, to jest prosta droga do buntu.

– Martwcu... – zaczął Doul i urwał. Doul był jedynym człowiekiem w mieście, który posługiwał się tym zagranicznym tytułem honorowym, pochodzącym z jego ojczyzny. – Martwcu Brucolacu. Jestem człowiekiem Kochanków. Wiesz o tym i znasz przyczyny. Życie mogło się potoczyć inaczej, ale się nie potoczyło. Jestem żołnierzem, Brucolacu. Dobrym żołnierzem. Gdybym nie uważał, że im się uda, to bym ich w tym nie poparł.

– Gówno prawda – zdenerwował się chrapliwie Brucolac. – Na dupczenie bogów, Uther, to jest kłamstwo. Czy ty w ogóle pamiętasz w jaki sposób się dowiedziałem, co chcą zrobić z awankiem?

– Szpiedzy – odparł Doul pozbawionym emocji tonem, ponownie spozierając Brucolacowi w oczy.

– Eee tam. Szpiedzy znosili tylko insynuacje i aluzje. Nie okłamuj sam siebie. Wiem, ponieważ ty mi powiedziałeś.

Spojrzenie Doula zrobiło się lodowate i ostre.

– To jest oszczerstwo i zabraniam ci je powtarzać...

Brucolac przerwał mu wybuchem śmiechu.

– Zastanów się, do kogo mówisz – zaproponował z niedowierzaniem. – Przestań być taki cholernie pompatyczny. Wiesz, o co mi chodzi. Jasne, że nie przyszedłeś do mnie z tą informacją i nie chciałeś wprost przyznać mi racji, ale kiedy przedstawiłem ci wynik moich rozmyślań... Jesteś zbyt dużym profesjonalistą, żeby ujawnić coś, co potem mogłoby ci zaszkodzić, ale gdybyś chciał wprowadzić mnie w błąd albo wprawić w przekonanie, że się mylę, to mógłbyś to zrobić, a nie zrobiłeś... I jestem ci za to wdzięczny. I proszę bardzo, jeśli chcesz ciągnąć tę głupią grę pod tytułem „udaję, że nie wiem tego, co obaj wiemy, i nie potwierdzę twoich podejrzeń, ale im nie zaprzeczę”, to w porządku, milcz dalej. Ale fakty pozostaną faktami. – Brucolac z roztargnieniem odrywał od relingu drzazgi i spuszczał w ciemność. – A fakty są takie, że wiem to od ciebie. I zdajesz sobie sprawę, że przywódcy innych dzielnic nie uwierzą, jeśli im tak to przekażę. Obarczyłeś mnie wiedzą, którą muszę dźwigać sam. Moim zdaniem dlatego, że zdajesz sobie sprawę, że to jest głupi, niebezpieczny plan, i nie wiesz, co począć z tą świadomością, i chciałeś mieć sojusznika.

Naprawdę jesteś aż taki arogancki? – spytał Doul z uśmiechem. – Naprawdę jesteś taki pewny siebie, że potrafisz wykręcić kota ogonem w każdej rozmowie? Pamiętasz brzytwogolemy? – powiedział nagle Brucolac. – Uther Doul umilkł. – Parowiatr? Pamiętasz, co tam widzieliśmy? To miasto ma wobec nas dług wdzięczności. Uratowaliśmy je, nawet jeśli oni tego nie przyznają, nawet jeżeli oni tego nie wiedzą. Gdzie wtedy byli zasnani Kochankowie? My dwaj uratowaliśmy miasto.

Nawoływanie mew. Szum wiatru między łodziami, skrzypienie nawiedzanej dzielnicy. – Wiele się wtedy nauczyłem – powiedział cicho. – Nauczyłem się czytać w tobie jak w książce. Znam cię.

– Na bogów! – Uther Doul obrócił się twarzą ku niemu. – Jak śmiesz bawić się ze mną w starych wiarusów? Nie jestem po twojej stronie! Nie zgadzam się z tobą! Rozumiesz? Owszem, łączą nas wspólne dzieje, i Khyriad wie, że z własnej woli nie zwrócę się przeciwko tobie, Martwcu, ale na nic więcej nie licz. Jestem porucznikiem a ty nigdy nie byłeś moim kapitanem. Zgodziłem się z tobą spotkać tylko z szacunku do ciebie, nic więcej.

Brucolac zasłonił usta dłonią i zmierzył Doula wzrokiem. Wodził swoim długim językiem po palcach. Kiedy opuścił dłoń, minę miał smutną.

– Blizna nie istnieje – powiedział. Zapadła cisza. – Blizna nie istnieje – powtórzył – a jeśli przypadkiem astrologowie się mylą i istnieje, to jej nie znajdziemy. A jeśli jakimś cudem znajdziemy, to ty wiesz lepiej od wszystkich innych ludzi, że będzie to dla nas oznaczało pewną śmierć. – Pokazał na miecz, który wisiał u boku Doula. Skinął palcem ku prawemu rękawowi swego towarzysza, pożytkowanemu rozgałęziającymi się kablami. – Wiesz o tym – powiedział. – Znasz siły, które by się wylały z czegoś takiego. Wiesz lepiej od innych, że bylibyśmy bez szans, nawet jeżeli tym głupcom się wydaje, że dzięki tobie wiedzą wszystko. A to by tylko oznaczało koniec dla nas wszystkich.

Uther Doul spuścił wzrok na swój miecz.

– Ale nie śmierć – powiedział, po czym uśmiechnął się pięknie i nieoczekiwanie – tylko coś znacznie bardziej skomplikowanego.

Brucolac pokręcił głową.

– Jesteś najodważniejszym ze znanych mi ludzi, Doul, pod niezliczonymi względami – rzekł ze smutkiem, z żalem. – Dlatego ze zdumieniem patrzę na tę stronę twojej osobowości. Małoduszną, strachliwą, tchórzliwą, odtwórczą, służalczą. – Doul w żaden sposób nie zareagował, a słowa Brucolaca nie brzmiały jak prowokacja. – Czy powiedziałaś sobie, że najodważniejszą rzeczą jest spełnić swój obowiązek, nie zważając na konsekwencje? – Znowu pokręcił z niedowierzaniem głową. – Jesteś masochistą, panie Uther? Czy twardnieje ci kiedy tak się poniżasz? Dostajesz wzrodu, kiedy te pochlastane chuje wydają ci rozkazy, o których wiesz, że są idiotyczne? Brandzlujesz się przez kieszeń i spuszczasz się, kiedy wbrew zdrowemu rozsądkowi wykonujesz ich polecenia? Dalijabber, musisz mieć nieźle sponiewieraną fujarę, bo to są najbardziej obłąkane rozkazy, jakie w życiu dostałeś i dobrze o tym wiesz. A ja nie pozwolę, żebyś je wykonał.

Doul patrzył bez ruchu, jak Brucolac odwraca się i odchodzi.

Wampir otulił się cieniem i szybko przepadł w mgielnej poświacie, odgłos jego kroków ucichł. Dał się słyszeć jakiś szelest i wysoko nad pokładem stare olinowanie brzdęknęło, kiedy coś się o nie otarło i poleciało dalej.

Doul podążał wzrokiem za miejscami, gdzie słyszał te dźwięki. Dopiero kiedy dookoła wszystko umilkło, odwrócił się ku morzu i nawiedzanej dzielnicy, uchwyciwszy za rękojeść miecza.

Rozdział szesnasty

Za pomocą atlasów i monografii podróżników Bellis i Silas sporządzili mapy Gnurr Kett, Cymek i Zatoki Żelaznej. Usiłowali wytyczyć trasę do Nowego Crobuzon.

Wyspa anopheliusów nie była zaznaczona, ale kierując się opowieściami kupców-kaktusów, wydedukowali, że znajduje się ona kilka dziesiątek kilometrów od południowego koniuszka Gnurr Kett, mniej więcej półtora tysiąca kilometrów od

cywilizowanych, północnych brzegów wyspy. A stamtąd do Nowego Crobuzon było jeszcze prawie trzy tysiące kilometrów.

Bellis wiedziała, że statki z Gnurr Kett w porcie Kelltree stanowią bardzo rzadki widok. Przeglądnęła szereg prac z ekonomii politycznej i prześledziła szlaki towarów z Dreer Samher do Gnurr Kett, do Shankell, na Wyspy Mandragory, do Perrick Nigh i Myrshock, a także, w dużym stopniu hipotetycznie, do Nowego Crobuzon.

– Z wyspy moskitów mielibyśmy prawie taki sam kawał drogi do kraju jak z kolonii – powiedziała z goryczą Bellis. – Tysiące mil morskich nieznanymi wód i białych plam porozdzielanych legendami i bredniami. Na samym końcu bardzo długiego łańcucha handlowego.

Tak spędzali wszystkie wolne chwile. Zgarbieni nad stołem w cylindrycznym pokoju Bellis, nie zważali na odgłosy i światło – słoneczne lub latarniowe – z zewnątrz, ona kopciła jak komin, przeklinając przykry w smaku tytoń uprawiany na statkach Armady, oboje robili notatki, szperając w starych księgach. Próbowali coś wycisnąć ze skradzionej przez siebie wiedzy. Próbowali wymyślić jakiś sposób ucieczki.

Nauganiali się za tajemnicą Armady, a teraz, kiedy powoli sobie uzmysławiali, że wiedza ta niekoniecznie umożliwi im powrót domu, wpadli w przerażenie.

„Gdyby tylko udało nam się ustalić, gdzie będziemy...” – myślała, lecz narastało w niej bolesne uświadomienie, że miasto jest dosyć duże, w związku z czym raczej nie zawinie do portu w Kohnid czy gdzie indziej ani nie minie go w odległości pięciu wiorst. A jeśli nawet, to musiałyby w jakiś sposób przedostać się na brzeg, a potem wsiąść na jakiś statek i dopłynąć do ojczyzny. A to wydawało się nieosiągalne.

„Obym tylko dotarła na brzeg. Może uda mi się kogoś przekonać, żeby mi pomógł, albo ukradnę łódź, albo ukryję się na jakimś statku, albo... coś”.

Nie miała jednak szans dotrzeć na brzeg. A gdyby miała, z wszystkich tych pomysłów najprawdopodobniej wyszłyby nici, z czego doskonale zdawała sobie sprawę.

– Przyszedł dziś do mnie Szekel – powiedziała. – Minał już prawie tydzień, odkąd dał mi tę książkę. Spytał, co to jest i czy nie tego szukał Tintinnabulum. Powiedziałam mu, że wkrótce będę to wiedziała na pewno. Już niedługo przemoże w sobie nieśmiałość i komuś powie – przewidywała ponuro. – Kumpluje się z lojalnym nurkiem, który pracuje dla Kochanków. Pieprzy się z asystentką Tintinnabuluma. Na Jabbera! Nie możemy dłużej dreptać w miejscu. Musimy podjąć decyzję. Musimy zdecydować, co robimy. Kiedy Szekel powie swoim znajomym, że znaleźliśmy książkę Krüacha Auma, po paru minutach będziemy mieli na głowie całą gwardię. I nie tylko odbiorą nam książkę, ale także domyśla się, dlaczego jej nie oddaliśmy. A nie muszę ci chyba mówić, że niezbyt mi pilno do armadyjskiego więzienia.

Nie sposób było oszacować, ile Kochankowie wiedzą na temat podnoszenia awanka. Coś wiedzieć musieli – gdzie znajdują się dziury, jak mocne maszyny i taumaturgia jest potrzebna, może znają niektóre elementy niezbędnej teorii naukowej. Jedno nie ulegało wątpliwości: najbardziej zależało im na znalezieniu książki Krüacha Auma. „Jedyny opis skutecznej próby wywołania z nory i łapania awanka.” – pomyślała Bellis. „W przybliżeniu znają miejsce, ale założę się, że mnóstwa rzeczy nie wiedzą. Pewnie im się wydaje, że potrafią wszystko wymyślić i przypuszczalnie kiedyś by im się to dało, ale dają sobie rękę uciąć, że ta książka znacznie by im ułatwiła zadanie.”

Odsuwała od siebie głupie pomysły, na przykład zażądać zwrócenia wolności w zamian za książkę, ponieważ miała bolesną świadomość, że to nie wypali. Nadzieja z niej uchodziła, przejmował ją chłód bezsilności.

Ze swoistą desperacką nonszalancją porozmawiała z Carrienne o ucieczce. Wciskając swoje pytania i koncepcje w idiotycznie nieprzekonujący schemat „co by było, gdyby”, spytała Carrienne, czy kiedykolwiek chciała opuścić miasto.

Carrienne uśmiechnęła się z życzliwym okrucieństwem.

– Nigdy nie przeszło mi to przez głowę. – Siedziały w pubie w Pragnieniowicach. Carrienne rozglądnęła się ostentacyjnie wokół siebie, po czym podjęła ciszej: – Ale zrozum, do czego miałabym wracać, Bellis? W imię czego miałabym tak ryzykować? Co parę lat jacyś uprowadzeni próbują, najczęściej kradzioną łódką. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ich nie zatrzymano.

„Zatrzymano tylko tych, o których słyszałaś” – pomyślała Bellis.

– Co z nimi robią? – spytała.

Carrienne na moment zajrzała do swojej szklanki, po czym znowu uśmiechnęła się brutalnie do Bellis.

– Jest to bodaj jedyna kwestia, co do której między wszystkimi władcami na Armadzie nie ma sporu. Kochankowie, Brucolac, król Friedrich, Braginod, Rada i tak dalej, wszyscy się zgadzają, że Armada nie może pozwolić sobie na to, aby świat dowiedział się o jej istnieniu. Oczywiście są marynarze, którzy wiedzą, że pływamy gdzieś po świecie i są takie państwa jak Dreer Samher, z którymi handlujemy, ale gdyby dowiedziało się o nas jakieś mocarstwo, na przykład Nowe Crobuzon? Które z nich nie chciałoby pozbyć się nas z mórz? Uciekinierów się powstrzymuje, Bellis. Dobrze mnie zrozum: nie łapie, tylko powstrzymuje. – Carrienne poklepała Bellis po plecach. – Psiakrew, nie rób takiej przerażonej miny! Nie mów, że jesteś zaskoczona. Wiesz, co by się stało, gdyby dotarli do domu, puścili farbę i twoja banda ruszyłaby na Armadę? Spytaj pierwszego lepszego prze-tworzonego, którego porwano z crobuzońskiego statku niewolniczego, przekonaj się, jacy są lojalni wobec marynarki Nowego Crobuzon. Spytaj ludzi, którzy byli w Nova Esperium i widzieli, jaki los spotka tubylców. Albo marynarzy, którzy mieli do czynienia z crobuzońskimi kaprami wymachującymi im przed nosem swoimi patentami. Uważasz nas za piratów, Bellis? Napij się i zatkaj gębę!

Tego wieczoru Bellis po raz pierwszy zadała na głos pytanie, co by zrobili gdyby nie udało im się wrócić do kraju. Potraktowała tę hipotezę jako bodziec do dyskusji.

Lecz kiedy zdała sobie sprawę, że ucieczka nie jest jedyną kwestią, spłynęła na nią specyficzna spokojna zgroza. „Rzeczywiście, co będzie jeśli nie zdołamy uciec? Czy to jest koniec? Czy to jest ostatnie słowo?”

Silas przyglądał się jej ze smętną i zmęczoną miną. Patrząc na niego Bellis z nagłą i brutalną wyrazistością zobaczyła wieże, targowiska i ceglane tereny lęgowe swojego rodzinnego miasta. Przypominała sobie o znajomych. Nowe Crobuzon... Wiosną cuchnące żywicą, pod koniec roku zimne i zawikłane, w święto Poranka Jabbera rozświetlone, obwieszane gimgewami i lampionami, wśród przytupu rozśpiewanego tłumu, pociągów ozdobionych symbolami kultu. A o północy każdego dnia roku skąpane w świetle latarni.

Toczące wojnę, krwawą wojnę z Gengris.

– Musimy ich jakoś ostrzec – powiedziała cicho. – To jest najważniejsze. Niezależnie od tego, czy wrócimy czy nie, musimy ich ostrzec.

Po tych słowach rozstała się z mrzonkami. Z jednej strony bardzo ją to przygnębiło, z drugiej trochę uśmierzyło wewnętrzne rozgorączkowanie. Plany, które poddawała pod rozagę, były teraz bardziej przemyślane, bardziej systematyczne, dające większą szansę sukcesu.

Bellis zrozumiała, że kluczem do wszystkiego jest Hedrigall.

O zwałistym człowieku-kaktusie, bajarzu z Dreer Samher i aeronaucie, krążyło wiele opowieści. Spowijał go obłok plotek, prawdziwych i kłamliwych. Spośród rzeczy, które zdyszczanym tonem opowiedział jej Szekel, najmocniej utkwiała jej w pamięci jedna: Hedrigall był na wyspie ludzi-moskitów.

Dało się w to uwierzyć. Był kupcem-piratem z Dreer Samher, czyli członkiem jedynej na świecie grupy społecznej, która miała regularne kontakty z anopheliusami. W ich żyłach płynęła nie krew, lecz żywica: niezdatna do picia. Mogli bez strachu uprawiać handel wymienny, byli z ludźmi moskitami.

„Może Hedrigall coś pamięta?”

Dzień był pochmurny i ciepły, Bellis pociała się od chwili, kiedy wyszła z domu do pracy. Na przekór swojej chudości pod koniec dnia czuła się tak, jakby ciążył jej nadmiar ciała. Dym cigarillos zdawał się uciskać jej głowę jak śmierdzący kapelusz i nawet nieustające wiatry Armady nie omiotły jej do czysta.

Silas czekał na nią pod jej kwaterą.

– To prawda – powiedział z ponurym uniesieniem. – Hedrigall tam był. Pamięta. Wiem, jak działają kupcy z Dreer Samher.

Ich mapy mogły zyskać na dokładności, a ich wiedza o wyspie stracić na hipotetyczności.

– Hedrigall jest lojalny, dlatego muszę uważać – powiedział Silas. – Nawet jeżeli nie zawsze zgadza się z tym, co każą mu robić jest wierny Niszczukowodom. Ale mogę uzyskać od niego informacje. Zdać się w tym na mnie.

Nawet licząc to, czego dowiedzieli się od Hedrigalla, dysponowali zaledwie garścią niepowiązanych ze sobą faktów. Ciągłe tasowali je od nowa, upuszczali jak bierki i patrzyli, jak spadają. Bellis, wyzbyta tego nierealistycznego, desperackiego pragnienia wolności, zaczęła dostrzegać pewien porządek w układach faktów.

Aż powstał plan.

Plan tak luźny, tak mgławicowy, że ciężko było przyznać, iż nie mają nic więcej.

Siedzieli milczący i niepewni. Bellis słyszała powracające pomruki fal i patrzyła, jak dym z jej cigarillo rozsypuje się koło okna, przesłaniając nocne niebo. Zjawisko to nagle ją zniesmaczyło: poczuła się schwytna w pułapkę. Jej życie zostało zredukowane do nocnego szukania pomysłów. Ale teraz coś się zmieniło.

Być może to była ostatnia taka noc.

– To dla mnie nie do wytrzymania – powiedział w końcu Silas. – To dla mnie nie do wytrzymania, że nie mogę... Ale czy ty sobie poradzisz? Bierzesz na siebie bardzo ciężkie zadanie.

– Muszę – odparła. – Ty nie znasz wysokiego kettai. Jest jakiś inny sposób przekonania ich, żeby cię zabrali?

Silas zazgrzytał zębami i pokręcił głową.

– A z tobą nie będzie problemów? – spytał. – Twój przyjaciel Johannes wie, że raczej nie jesteś wzorową obywatelką Armady, prawda?

– Przekonam go. Na Armadzie nie będzie zbyt wielu czytelników książek w kettai. Ale masz rację, Johannes to jedyna realna przeszkoda.

– Umilkła, aby w końcu podjąć zamyślonym tonem: – Nie sądzę żeby wspomniał im o mnie. Gdyby chciał utrudnić mi życie, gdyby podejrzewał, że jestem niebezpieczna, wiedziałabym o tym.

Myślę, że honor czy coś w tym guście nie pozwala mu o mnie mówić.

„Nie o to chodzi” – pomyślała od razu. „Dobrze wiesz, dlatego nie doniósł, że jesteś dysydemką. Niezależnie od tego, jak rozegrałaś sprawę i co o nim myślisz, on uważa cię za swoją przyjaciółkę”.

– Kiedy to przeczytają – powiedział Silas – i zdadzą sobie sprawę, że Krüach Aum nie pochodzi z Kohnid i być może jeszcze żyje, przypuszczalnie będą wychodzili z siebie, żeby go znaleźć. Ale jeśli nie będą? Musimy ich nakłonić, aby popłynęli na tę wyspę, Bellis. W przeciwnym razie nie mamy nic. Żądamy od nich rzeczy niemałej. Masz świadomość, dokąd chcemy ich wyprawić. Wiesz, co tam jest. Resztę spraw możesz zostawić mnie, zgromadzę wszystko, co potrzebne. Mam pieczęć, napiszę ostrzeżenie. To wszystko mogę zrobić. Ale niestety, tylko to – dodał rozgoryczony. – A jeśli nie popłyną na wyspę, nie mamy nic. – Wziął do ręki książkę Krüacha Auma i powoli ją kartkował. Dotarłszy do aneksu z danymi, spytał: – Przetłumaczyłaś to, tak?

– Na tyle, na ile umiałam.

– Nie spodziewają się dostać w swoje ręce tej książki, ale sądzą, że może i bez niej uda im się podnieść awanka. Jeśli im ją damy, to może nic więcej nie będą potrzebowali. Może ją przegłdną i rozszyfrują, wykorzystując do tego ciebie i wszystkich innych tłumaczy i naukowców z liceum i „Wielkiego Wschodniego”. Może tutaj jest wszystko, czego potrzebują do podniesienia awanka. Może sprezentujemy im ostatni element układanki. – Miał słuszość. Jeśli Aum nie rozminął się z prawdą, to na tych stronach zawarte były wszystkie niezbędne dane, wszystkie informacje, wszystkie konfiguracje. – Natomiast bez książki nie mamy nic, co mogłoby ich nakłonić do wykorzystania twojej wiedzy i co mogłoby ich zwabić na wyspę – podjął. – Dalej będą płynęli tam, gdzie się wybierają i być może uda im się podnieść awanka, bazując na tym, co już wiedzą. Gdyby nie wiedzieli, że książka się znalazła, zadowoliliby się tym, co mają, ale jeśli dostaną jej część, będą chcieli mieć całość. Musimy zamienić tę książkę z prezentu w... przynętę.

Po chwili Bellis zrozumiała. Wydęła usta i skinęła głową.

– Tak – powiedziała. – Daj mi ją.

Przekartkowała aneks i zaczęła się zastanawiać, jak to rozegrać.

W końcu wzruszyła ramionami i po prostu wydarła kilka kartek.

Po tym wstępnym momencie dziwnej euforii poczyną sobie ostrożniej. Musiała to dobrze upozorować. Pomyślała o innych uszkodzonych woluminach, które widziała. Zaczęła wymyślać nieszczęścia, które mogą spotkać książki. Woda i ogień? Trudno dokładnie powielić ich żywiołowe działanie.

A zatem uszkodzenia fizyczne.

Otworzyła książkę na aneksie, położyła na sterczącym z podłogi gwoździu i nadepnęła, a potem kopnęła ją. Przy nadeknięciu gwoździe przebił równania i przypisy, a przy kopnięciu wyrwał je.

Wyszło idealnie. Po trzech stronach aneksu z definicjami i omówieniami terminów papier został wyrwany z korzeniami. Zostały tylko postrzępione brzegi, małe wypustki z okaleczonymi słowami. Wyglądało to na efekt głupiego wypadku.

Spalili aneks, szepcząc przy tym między sobą jak łobuzerskie dzieci.

Po chwili strony książki uleciały kominem, pozostał z nich dym rozwiany nad Armadą.

„Jutro ruszamy do akcji” – pomyślała Bellis. „Jutro zaczynamy.”

Wiał wiatr z południa. Palce dymu z armadyjskich kominów pokazywały w kierunku, z którego przybyli.

Stojąc plecami do miasta na pokładzie „Shadeskinera” i patrząc w morze, Bellis mogła udawać, że jest na normalnym statku.

Klipper należał do przedmieść Niszczukowód. Ludzie mieszkali na dole w zastanych kajutach. Na pokładach nie zbudowano żadnych domów. Materia „Shadeskinera” było drewno, okucia z brązu, lina i stary brezent. Nie miał do zaoferowania żadnych tawern, kawiarni czy burdeli, w związku z czym na jego pokładzie spotykało się bardzo ni wielu ludzi. Bellis patrzyła w dal zupełnie jak pasażer klipra na morzu.

Długo stała sama.

Morze migotało refleksami światła latarni gazowych.

W końcu, trochę po dziewiątej wieczorem, usłyszała spieszne kroki.

Stanął przed nią Johannes Tearfly, z nieodgadnioną miną. Powitała go ruchem głowy i wypowiedziała jego imię.

– Przepraszam za spóźnienie, Bellis. Dałaś mi znać w ostatniej chwili i nie zdążyłem odwołać wszystkich umówionych spotkań. Przyszedłem najwcześniej, jak tylko mogłem.

„Naprawdę?” – pomyślała lodowato Bellis. „Czy też spóźniłeś się prawie godzinę, żeby mnie ukarać?”

Uzmysłowiła sobie jednak, że z głosu Johanna przebija autentyczna skrucha, że jego uśmiech jest niepewny, ale nie zimny.

Spacerowali po pokładzie, najpierw ku zwężającemu się dziobowi, później z powrotem. Rozmawiało im się niezręcznie, bo ciążyło im wspomnienie kłótni.

– Jak idą badania, Johannesie? – spytała w końcu Bellis. – Czy jesteśmy już blisko... tego miejsca, do którego płyniemy?

– Bellis... – Wzruszył ramionami zirytowany. – Myślałem, że... Psiakrew, jeśli wezwałaś mnie tutaj tylko po to, żeby...

Przerwała mu ruchem dłoni. Zamknęła oczy, a kiedy je na powrót otworzyła, jej twarz i głos złagodniały.

– Przepraszam cię – wydusiła. – Problem w tym, że to, co od ciebie usłyszałam, Johannesie, zabolowało mnie. Bo wiem, że masz rację. – Słuchał jej z ostrożną miną. – Nie zrozum mnie źle. To miasto nigdy nie będzie moim domem. Porwali mnie tutaj piraci. Zostałam ukradziona... Ale miałaś rację, mówiąc, że się izoluję. Nie wiedziałam nic na temat miasta i zawstydziło mnie to. – Chciał jej przerwać, ale mu nie pozwoliła. – A przede wszystkim zrozumiałam, że fakt przyjścia na świat w tym, a nie innym miejscu jest zupełnie przypadkowy.

Przemawiała z pasją, jakby wygłaszała niewygodne dla siebie prawdy.

– Od tego czasu wiele zobaczyłam, wiele się dowiedziałam. Nowe Crobuzon wciąż pozostaje moją ojczyzną, ale masz rację: moje więzi z tym miastem są czysto przypadkowe. Zrezygnowałam z myśli o powrocie. – Ścisnęło ją w żołądku, bo słowa te były tak bliskie prawdy.

Uzmysłowiłam sobie, że jest tutaj parę rzeczy, które warto zrobić. – W Johannesie zachodziła jakaś metamorfoza, na jego twarzy wykwitła nowa mina. Bellis podejrzewała, że wyraża ona zachwyt, i szybko go zgasła. – Nie, nie. Nie oczekuj ode mnie, że się zakocham w tym cholernym mieście, dobrze? Ale dla większości ludzi z „Terpsychorii”, czyli dla prze-tworzonych, uprowadzenie było najlepszą rzeczą jaką mogła im się przytrafić. Co się tyczy reszty z nas... Cóż, nie mamy moralnego prawa narzekać na swój los. Pomogłeś mi to zrozumieć, Johannesie, i chciałam ci podziękować. – Bellis mówiła z kamienną miną, a słowa miały w jej ustach smak skwaśniałego mleka chociaż zdawała sobie sprawę, że nie są one w stu procentach kłamliwe.

W pewnym okresie Bellis brała pod uwagę powiedzenie Johannesowi prawdy o zagrożeniu dla Nowego Crobuzon, ale nadal była oszołomiona prędkością, z jaką przywdział barwy Armady i Niszczukowód. Nie ulegało wątpliwości, że nie darzy miasta swego urodzenia zbyt wielką miłością. Ale mimo wszystko chyba nie zająłby neutralnego stanowiska w kwestii ataku Gengris? Z pewnością ma w Nowym Crobuzon znajomych, rodzinę... Przecież nie pozostałby obojętny na taką groźbę. No już bez przesady.

Ale co by było, gdyby jej nie wierzył? Gdyby uznał to za element misternego planu ucieczki, gdyby poinformował Kochanków, którzy mają los Nowego Crobuzon w... głębokim poważaniu, to zmarnowałaby jedyną możliwość przekazania miastu ostrzeżenia.

Dlaczego władców Armady miałoby obchodzić, co jedno odległe państwo robi drugiemu? Może nawet ucieszyłoby się z planów grindylów, które oznaczałyby zniszczenie silnej marynarki wojennej Nowego Crobuzon. Bellis nie miała pojęcia, jak daleko sięga nowy patriotyzm Johannesesa. Powiedzenie mu prawdy wiązałoby się ze zbytnim ryzykiem.

Badala Johannesesa wzrokiem na pokładzie „Shadeskinera” i wyczuwała, że jest ucieszony, chociaż usiłuje nie okazywać tego po sobie.

– Myślisz, że potraficie to zrobić? – spytała w końcu. Zmarszczył brwi.

– Co zrobić?

– Myślisz, że potraficie podnieść awanka?

Ośłupiał. Obserwowała uczucia, które przebiegały po jego twarzy. Niedowierzenie, złość, strach. Zauważyła, że przez króciutką chwilę zastanawiał się, czy nie skłamać: „Nie wiem, o czym mówisz”, ale pokusa odpłynęła, porywając ze sobą wszystkie inne emocje.

Pozbierał się w ciągu kilku sekund.

– Chyba nie powinienem być zaskoczony – powiedział spokojnym tonem. – Absurdem jest sądzić, że coś takiego można utrzymać w tajemnicy. – Zabębnił palcami o reling. – Tak między bogami a prawdą, nie przestaje mnie zdumiewać, że tak niewielu ludzi zdaje się wiedzieć. Tak jakby ci, co nie wiedzą, zawiązali spisek z tymi, co wiedzą. Jak ty się dowiedziałeś? Podejrzewam, że żadna taumaturgia i żadne środki ostrożności nie pomogą utrzymać tak rozbudowanych planów w sekrecie. Prędkiej czy później muszą wyjść na jaw, bo za dużo ludzi wie.

– Po co to robicie?

– Ze względu na korzyści dla miasta. Dlatego Kochankowie się na to zdecydowali. – Kopnął z pogardą w reling i wystrzelił kciukiem w kierunku sterburtowych parowców i holowników, ciągnących miasto za łańcuchy na południe. – Ruszamy się jak mucha w smole. Co za prędkość, jeden węzeł? Dwa przy silnym

wietrze? Absurd. Na dodatek zużywamy tyle paliwa, że miasto najczęściej dryfuje z prądami morskimi. Pomyśl, co by było, gdyby udało się złapać tego stwora. Mogliby podróżować, gdzie tylko by chcieli. To by im dało ogromną przewagę. Byliby panami mórz... Podjęto już kiedyś taką próbę. – Odwrócił wzrok i pogłaskał się w brodę. – Tak sędzę. Pod miastem są tego ślady. Łańcuchy ukryte przez zakłęcia sprzed stuleci. Kochankowie są inni od wszystkich władców, których miało to miasto w całych swoich dziejach. Zwłaszcza ona. I coś się zmieniło, kiedy Uther Doul został ich strażnikiem, ponad dziesięć lat temu. Od tego czasu datuje się to przedsięwzięcie. Skaptowali Tinnabola i jego ekipę, najlepszych myśliwych w kraju. Nie tylko wprawnie władają harpunem: to naukowcy, hydrobiolodzy, koordynatorzy. Od lat zawiadamiałem na awanka. Wiedzą wszystko na temat metod jego łapania. O każdym użytym sposobie co najmniej słyszeli... Oczywiście sami by nie potrafili go schwytać, ale posiadają teraz większą wiedzę o tych istotach niż ktokolwiek inny na świecie. Wyobrażasz sobie, co dla myśliwego oznaczałby sukces w takim polowaniu? Teraz już wiesz, dlaczego Kochankowie to robią i dlaczego ekipa Tintinnabuluma bierze w tym udział. – Jego twarz rozjaśnił uśmiech. – A ja, Bellis? Ja robię to dlatego, że chodzi o awanka!

Jego entuzjazm był nagły, irytujący i zaraźliwy jak entuzjazm dziecka. Szczerłość jego pasji zawodowej nie budziła wątpliwości.

– Szczerze mówiąc – stwierdziła Bellis – nie uwierzyłabym, że powiem albo pomyślę coś takiego, ale... rozumiem cię. – Spojrzała na niego bez emocji. – Prawdę rzekłszy, między innymi to zmieniło mój stosunek do Armady. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam o planie z awankiem, byłam pod takim wrażeniem, że aż się wystraszyłam. – Pokręciła głową i udawała, że szuka odpowiednich słów. – Ale to się zmieniło. Projekt jest absolutnie niezwykły, Johannesie. I zdałam sobie sprawę, że życzę mu powodzenia. – Bellis miała świadomość, że idzie jej bardzo dobrze. – Nie jest mi to wszystko obojętne, Johannesie. Nigdy bym nie pomyślała, że będzie mi zależało na czymkolwiek związanym z tym miastem, ale skala przedsięwzięcia, zuchwałość planu... I pomyślałam, że mogłabym pomóc. – Johannes patrzył na nią z nieufną radością. – To się łączy z tym, w jaki sposób poznałam prawdę. Dlatego poprosiłam cię o to spotkanie, Johannesie. Mam coś dla ciebie.

Sięgnęła do torebki i podała mu książkę.

„Biedny Johannes przeżył tego wieczoru tyle wstrząsów” – pomyślała; skontaktowała się z nim, umówiła, zdeklarowała zmianę stosunku do Armady, wiedziała o awanku, a teraz jeszcze to.

W milczeniu obserwowała jego rozemocjonowane niedowierzanie, zdyszany zachwyty i dławiącą radość.

Wreszcie podniósł na nią wzrok.

– Skąd to wzięłaś? – wykrztusił z najwyższym trudem. Powiedziała mu o Szeklu i jego miłości do działu dziecięcego. Delikatnym gestem przewróciła strony książki.

– Spójrz na ilustracje – powiedziała. – Można zrozumieć, dlaczego odłożono ją na niewłaściwą półkę. Wątpię, czy na pokładzie jest wiele osób, które znają wysokie kettai. Patrz, to mnie najbardziej poruszyło. – Pokazała na ilustrację z olbrzymim okiem pod łodzią. Mimo że grała komedię, mimo że widziała rysunek dziesiątki razy, nada oglądała go ze szczyptą zaskoczenia. – Nie tylko rysunki mi powiedziały, o co chodzi, Johannesie. – Wyjęła z torebki plik kartek z notatkami wykonanymi jej zwartym charakterem pisma. – Ja umiem czytać w tym języku, Johannesie. Napisałam o tym języku książkę – Fakt ten jakiegoś powodu wciąż jej doskwierał.

Odegnęła od siebie to uczucie i pomachała manuskrytem przed nosem Johannesesa.
– Przetłumaczyłam Auma.

Kolejny szok dla Johannesesa, którego dźwiękowo-emocjonalna reakcja była identyczna jak poprzednio.

„To już ostatni” – pomyślała Bellis, zliczając je w głowie. Patrzyła, jak Johannes tańczy z zachwytu po pustym pokładzie. „To już koniec wstrząsów dla ciebie”. Kiedy zakończył swoje głupkowate kontredanse, pociągnęła go za ramię w stronę miasta, w stronę pubów. Usiądźmy i zastanówmy się nad tym” – myślała z chłodnym wyrachowaniem. „Upijmy się razem, co? Rany, ale się cieszysz, że znowu jestem po twojej stronie. Ale jesteś zachwycony, że odzyskałeś przyjaciółkę. Pokombinujmy, co powinniśmy zrobić, ty i ja. Pomóżmy ci wymyślić mój plan”.

Rozdział siedemnasty

Na tych ciepłych wodach nocne światła i dźwięk bicia fal o flanki miasta wydelikatniały, jakby morze było bardziej natlenione, a światło rozrzedzone: solanka i iluminacja utraciły nieco ze swego srogiego żywiołowego charakteru. Armada zagnieździła się w długich, balsamicznych ciemnościach niewątpliwego już teraz lata.

Nocą, w ogródkach pubów, które przylegały do terenów parkowych Armady, do łąk zieleniących się na przednich kasztelach i śródokręciach, śpiewały cykady, wybijając się nad szum fal i buczenie maszyn holowników. Pojawiły się pszczoły, szerszenie i muchy. Zderzały się czołowo z oknem Bellis, czasem ze skutkiem śmiertelnym.

Armadyjczycy nie byli ludźmi klimatu zimnego, gorącego czy umiarkowanego jak w Nowym Crobuzon. Wszędzie indziej Bellis mogła zastosować klimatyczne stereotypy: spokojny mieszkaniec zimnych krain, emocjonalny południowiec, ale nie na Armadzie. W tym wędrownym mieście takie czynniki były zmienne, wymykały się uogólnieniom. Wszystko, co mogła powiedzieć, to to, że tego lata, w tym zbiegu daty i miejsca, miasto złagodniało.

Ulice dłużej roily się od ludzi i wszędzie dawała się słyszeć mozaika fonemów z rozmów prowadzonych w języku salt. Szykowało się zgiełkliwe lato.

Na „Kastorze”, statku Tintinnabuluma, odbywało się zebranie.

Sala nie była duża. Z trudem pomieściła wszystkich obecnych. Z oficjalnymi minami, z którymi siedzieli na sztywnych krzesłach wokół zdezelowanego stołu. Tintinnabulum i jego towarzysze, Johannes i jego współpracownicy, biomatematycy, taumaturgowie i inni, w większości rasy ludzkiej, ale nie wszyscy.

I Kochankowie. Uther Doul stał przy drzwiach z ramionami splecionymi na piersiach.

Johannes od jakiegoś czasu przemawiał zająkłym i przejętym głosem.

W kulminacyjnym momencie swojej opowieści przerwał ostentacyjnie i plasnął o stół książką Krüacha Auma. Gdy fala sapanień osiągnęła szczyt, tłumaczenie Bellis podzieliło los książki.

– Teraz rozumiecie, dlaczego zwołałem to nadzwyczajne zebranie – powiedział drżącym głosem.

Kochanka wzięła oba dokumenty i uważnie porównała je ze sobą. Ściągnęła w skupieniu usta, a blizny dopasowały się do jej wyrazu twarzy. Po prawej stronie podbródka Johannes zauważył zmarszczoną tkankę i strup świeżej rany. Zerknął na jej kochanka i zobaczył identyczną ranę, tyle że po lewej.

Chociaż Johannes często spotykał się z Kochankami, widok ten zawsze budził w nim nerwowość. Emanowała z nich niezwykła siła.

„Może chodzi o władzę” – pomyślał. „Może na tym polega władza”.

– Kto z tu obecnych zna kettai? – spytała Kochanka. Usadowione naprzeciwko niej Illogiss podniosło rękę. – Turgan.

– Trochę znam – powiedziało Illogiss swoim szemrzącym głosem – głównie niski, trochę wysokiego. Ale ta kobieta jest znacznie bieglejsza ode mnie. Trudny tekst i większość oryginału przekracza moje możliwości.

– Nie zapominajmy – wtrącił Johannes – że *Gramatologia wysokiego kettai* pani Coldwine to standardowy podręcznik. Zresztą, nie ma ich wiele. – Pokręcił głową. – Dziwny, trudny język. Pośród dostępnych podręczników ten należy do najlepszych. Gdybyśmy nie mieli jej na pokładzie i zadanie przetłumaczenia książki spadłoby na Turgana albo kogoś innego, przypuszczalnie cały czas by zaglądał do *Gramatologii*. - Wykonywał agresywne, zamaszyste ruchy rękami.

– Rzecz jasna, przełożyła tekst na ragamoll, ale nie będzie problemu przetłumaczeniem tego na salt. Ale nie przekład jest tutaj najbardziej ekscytujący. Nie wiem, czy wyrażałem się dostatecznie jasno... Aum jest z Gnurr Kett. Jak wszyscy wiemy, naukowiec stamtąd nie moglibyśmy odwiedzić. Kohnid nie leży na naszej trasie, no i Armada nie byłaby bezpieczna na tych wodach. Ale Krüach Aum nie mieszka w Kohnid. To anophelius. Ich wyspa znajduje się półtora tysiąca kilometrów stąd, na południe. I istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że Aum żyje. – To wprawiło ich w osłupienie. Johannes powoli poruszył głową. – Zawarte tutaj rzeczy są dla nas wprost bezcenne – podjął. – Mamy tutaj opis procesu, jego skutki, potwierdzenie, że dobrze określiliśmy akwen... Ale niestety, brakuje przypisów i obliczeń Auma – jak już mówiłem, tekst jest poważnie uszkodzony. Dysponujemy zatem jedynie opisem popularyzatorskim, brakuje zaś opracowania naukowego... Płyniemy w stronę hydrosztolni położonej niedaleko na południe od Gnurr Kett. Jak dowiedziałem się od dwóch ludzi-kaktusów z Dreer Samher, którzy handlowali z anopheliusami znajdziemy się zaledwie o paręset kilometrów od ich wyspy. – Urwał na chwilę, uświadomiwszy sobie, że z tych emocji mówi za szybko. – Oczywiście – kontynuował już nieco wolniej – moglibyśmy pozostać przy naszym wcześniejszym planie. To oznacza, że mniej więcej wiemy, dokąd zmierzamy, z grubsza wiemy, jaka moc jest potrzebna do wywabienia awanka, mamy ogólne pojęcie, jakiej taumaturgii musimy użyć. Moglibyśmy zaryzykować... Ale jest też inne rozwiązanie: możemy popłynąć na tę wyspę. Wysadzić desant. Tintinnabulum, niektórzy z naszych naukowców, któreś z was albo oboje – ostatnie słowa skierował do Kochanków. – Potrzebowaliśmy Bellis jako tłumaczki. Ludzie-kaktusy, o których mówiłem, nie mogą nam pomóc, bo podczas negocjacji handlowych porozumiewali się na migi. Wiemy jednak, że niektórzy z anopheliusów znają wysokie kettai. Potrzebowalibyśmy ochrony, no i inżynierów, bo trzeba będzie zacząć myśleć o jakiejś klatce dla awanka. I... znajdziemy Auma. – Odchylił się w krzesło, świadomy, że sprawa bynajmniej nie jest tak prosta, jak ją przedstawił, ale nie gasiło to jego podniecenia. – W najgorszym razie Aum nie żyje. Nic wtedy nie stracimy, a może znajdą się ludzie, którzy go pamiętają i będą mogli nam pomóc.

– To nie jest najgorsza ewentualność – powiedział Uther Doul. Atmosfera uległa natychmiastowej zmianie: ucichły szepty i wszyscy skierowali twarze w jego stronę, poza Kochankami, którzy słuchali uważnie bez odwracania się. – Tak mówisz o tym kraju, jakby niczym nie różnił się od innych – podjął swoim miękkim głosem pieśniarza. – To nieprawda. Bzdury wygadujesz. Czy ty rozumiesz, co odkryłeś? Czy ty wiesz, do jakiej rasy należy Aum? To jest wyspa ludzi-m oskitów. Najgorsza ewentualność jest taka, że kobiety anopheliusów zaatakują nas na plaży i wyssą do

ostatniej kropli krwi. Najgorsza ewentualność jest taka, że wszyscy zostaniemy w jednej chwili uśmierceni.

Zapadła cisza.

Ja nie – powiedział ktoś po chwili. Johannes uśmiechnął się półgębkiem. Autorem tych słów był Bre yat, kaktus-matematyk. Johannes usiłował nawiązać z nim kontakt wzrokowy. „Punkt dla ciebie” – pomyślał. Kochankowie kiwali głowami.

– Twoja uwaga jest trafna – powiedział Kochanek, głaskając się krótkich wąsach – ale nie przesadzajmy. Problem da się obejść, jak przypomniał nam ten dżentelmen...

– Ten dżentelmen jest kaktusem – przerwał mu Doul – ale dla wszystkich krwistych problem pozostaje.

– Niemniej jednak – przemówił autorytatywnie Kochanek – sądzę, że głupotą byłoby poprzestać na stwierdzeniu, iż zadanie jest niewykonalne. Nie taka jest procedura. Zaczynamy od zastanowienia się, co jest dla nas najkorzystniejsze, jaki plan jest najlepszy. Potem przystępujemy do rozwiązywania problemów. Jeżeli uznamy, że największą szansę powodzenia daje nam wyspa, to popłyniemy tam.

Doul stał bez ruchu z kamienną miną. Z jego postawy nie sposób było wyczytać, że jego zastrzeżenia zostały odrzucone.

– Na wszystkich bogów! – jęknął Johannes i wszystkie oczy zwróciły się na niego. Wybuch ten zaszokował nawet jego samego, ale mówił dalej, nie chcąc wytracić impetu: – Oczywiście, że są problemy i trudności, oczywiście, że trzeba się do tego doskonale przygotować od strony organizacyjnej, konieczna jest ciężka praca i wysiłek, będzie nam potrzebna ochrona, zabierzemy ze sobą wojowników-kaktusow albo konstrukty, albo nie wiem co, ale do stu tysięcy kliprów, co w jest grane? Czy wszyscy jesteście na tej samej sali co ja? – Wziął do ręki książkę i trzymał ją z nabożeństwem niby świętą sutrę. – Mamy książkę. Mamy tłumaczkę. To jest świadectwo osoby, która wie jak podnieść awanka! To wszystko zmienia! Jakie to ma znaczenie gdzie on mieszka? Dobra, jego kraj nie jest zbyt gościnnie. – Spojrzał na Kochanków. – Czy jest na świecie miejsce, do którego byśmy nie popłynęli, jeśliby to oznaczało rezygnację z podniesienia awanka? Wyobrażam sobie, żebyśmy w ogóle brali to pod uwagę.

Na zakończenie zebrania Kochankowie wypowiadali się niezobowiązująco, ale wszystko się zmieniło i Johannes zdawał sobie sprawę, że nie jest w tej świadomości odosobniony.

– Być może przyszła pora, byśmy publicznie ogłosili nasze zamiary – powiedziała Kochanka, kiedy wszyscy zbierali notatki. Sala była pełna ludzi wyszkolonych w kulturze tajności, których sugestia ta zaszokowała, ale Johannes zrozumiał, że ma ona sens. – Wiedzieliśmy, że kiedyś musi to nastąpić – kontynuowała, a jej Kochanek skinął głową. W projekcie brali udział naukowcy z Czasów, Ałozowic i Pamięcioimpulsowni, o czym z grzeczności poinformowano ich władców, ale wewnętrzny krąg ograniczał się do obywateli Niszczukowód. Tych, którzy wcześniej nie mieszkali w tym okręgu, Kochankowie z naruszeniem tradycji nakłonili do zmiany barw. Przepływ informacji o projekcie był ściśle kontrolowany. Ale tej skali planu nie dało się ukrywać w nieskończoność. – Mamy „Sorgo” i możemy swobodnie decydować, dokąd popłyniemy – powiedziała. – Ale co pomyśli sobie reszta miasta, kiedy będą tkwili na jakimś skrawku morza i czekali na powrót naszego desantu? Co pomyślą, kiedy dotrzemy do dziury w dniu i podniesiemy awanka? Ich władcy będą milczeli. Nasi sojusznicy idą za naszym przykładem, nasi wrogowie nie chcą, aby sprawa przedostała się do wiadomości publicznej, bo nie

mają pewności, po czyjej stronie opowiedzieliby się ich poddani. Może – zakończyła powoli – czas przeciągnąć obywateli na naszą stronę. Wzbudzić w nich entuzjazm...

Spojrzała na swojego partnera. Jak zawsze można było odnieść wrażenie, że porozumiewają się ze sobą bez słów.

– Należy sporządzić wykaz wszystkich osób potrzebnych na wyspie – powiedział Kochanek. – Trzeba się przyjrzeć nowym przybyszom, może dysponują wiedzą fachową i kwalifikacjami, które przeoczyliśmy. Wszystkich kandydatów należy sprawdzić od strony bezpieczeństwa. I wszystkie okręgi muszą być reprezentowane. – Uśmiechnął się, zmieniając układ blizn, i wziął do ręki tłumaczenie Bellis. Kiedy Johannes dotarł do drzwi, Kochankowie wywołali go po imieniu. – Chodź do nas – powiedział Kochanek i Johannes ścisnęło w żołądku.

„Na Jabbera, co znowu?” – pomyślał. „Mam dosyć waszego towarzystwa”.

– Chodź i porozmawiaj z nami – podjął Kochanek i urwał, aby jego partnerka mogła dokończyć za niego.

– Chcemy pogadać o tej kobiecie... o Coldwine – powiedział.

Było już po północy, kiedy powtarzające się walenie do drzwi obudło Bellis. W pierwszej chwili pomyślała, że to Silas, ale zobaczyła, że leży obok niej nieruchomy i też obudzony.

W progu stał Johannes. Bellis odgarnęła włosy z twarzy i zamrugła powiekami.

– Sądzę, że się zdecydują – powiedział. Bellis sapnęła z przejęcia. – Posłuchaj, Bellis. Jak by ci to powiedzieć? Zaintrygowałaś ich. Z pozyskanych przez nich informacji wynikało, że nie jesteś dla nich odpowiednim materiałem. Nie ma w tym nic złego – próbował ją uspokajać. – Nie ma w tym nic groźnego, ale też nie można tej sytuacji nazwać sympatyczną. Tak jest z wieloma uprowadzonymi: najlepiej za wszelką cenę zatrzymać ich na pokładzie. Zazwyczaj mijają lata, zanim nowi przybysze dostają przepustki.

„To wszystko, na co mogę liczyć?” – myślała Bellis. Przygnębienie, samotność, tęsknota za Nowym Crobuzon, od której czuła się tak, jakby coś z niej wyrwano... Czy to typowy objaw, którego doznają tysiące takich jak ona? Czy to rzecz banalna?

– Ale powtórzyłem im wszystko, co od ciebie usłyszałem – ciągnął z uśmiechem Johannes – i wprawdzie nie mogę niczego zagwarantować, ale uważam, że jesteś najlepszą kandydatką. I tak im powiedziałem.

Kiedy wróciła do łóżka, Silas sprawiał wrażenie pogrążonego we śnie, ale płytkość jego oddechu zasugerowała Bellis, że jej kochanek nie śpi. Nachyliła się nad nim, jakby zamierzała pocałować go namiętnie, znalazła ustami jego ucho i szepnęła:

– Chyba się uda.

Przyszli po nią na drugi dzień rano.

Silas już wcześniej udał się w podejrzone rejony Armady, aby prowadzić swoją niezbyt dla niej jasną, nielegalną działalność. Działalność, która trzymała go pod skórą miasta, która czyniła go zbyt niebezpiecznym, aby podejmował próby przyłączenia się do wyprawy na wyspę anopheliusów.

Dwaj gwardziści z Niszczukowód, z pistoletami za pasem, pokierowali Bellis ku aerostatowej taksówce. Z „Chromolitu” na „Wielki Wschodni” nie było daleko. Cielsko

ogromnego parowca rozciągało się nad miastem: sześć gigantycznych masztów, kominy, nagie pokłady bez domów czy wież.

W powietrzu było gęsto od takich pojazdów, które fruwały jak pszczoły przy ulu. Były wśród nich do niczego niepodobne transportowce przewożące towary przemysłowe z okręgu do okręgu, dziwaczne jednoosobowe balony z podwieszonymi pilotami czy działoloty eliptyczne latające armaty. Nad wszystkim górowała potężna, okaleczona „Arogancja”.

Krażyły tak nisko, że Bellis do tej pory nie zdążyła się do tego przyzwyczaić, wznosiły się i opadały wraz z topografią dachów i omasztowania. W dole uciekały do tyłu ceglane zaułki podobne do slumsów Nowego Crobuzon. Zbudowane na ciasnej przestrzeni pokładów, wyglądały mało bezpiecznie; zewnętrzne mury za blisko wody, przecinające je uliczki nieprawdopodobnie cienkie.

Za wyziewami nad „Gigue”, którego przednia część była dzielnicą przemysłową z odlewniami i zakładami chemicznymi, zbliżał się „Wielki Wschodni”.

Bellis czuła się niepewnie. Nigdy wcześniej nie była pod pokładem tego okrętu.

Architektura „Wielkiego Wschodniego” była ascetyczna: boazerie z ciemnodrzewu, litografie i heliotypy, witraże. Statek trochę nadgryziony zębem czasu, ale dobrze utrzymany. Jego wnętrzości były płataniną korytarzy i prywatnych kajut. Bellis kazano czekać w małym pomieszczeniu, którego drzwi zamknięto na klucz.

Podeszła do okna z żelazną framugą i spojrzała z góry na przypadkową zbieraninę statków Armady. W oddali widziała zieloność Parku Crooma, który rozpełzł się jak choroba po ciałach kilku statków. Pokój, w którym ją zostawiono, znajdował się znacznie wyżej od wszystkich okolicznych jednostek. Na poziomie oczu miała sterowce i gęszcz cienkich masztów.

– To jest statek z Nowego Crobuzon.

Bellis rozpoznała głos, jeszcze zanim się odwróciła. Mężczyzna pokryty bliznami, Kochanek, stał w drzwiach, sam. Przeżyła wstrząs. Wiedziała, że odbędzie się przesłuchanie, weryfikacja, ale nie spodziewała się, że to on będzie zadawał jej pytania.

„Przetłumaczyłam książkę i zasłużyłam sobie na specjalne traktowanie” – pomyślała.

Kochanek zamknął za sobą drzwi.

– Zbudowano go ponad dwa i pół wieku temu, pod koniec Lat Pełnych – podjął. Mówił do niej w ragamoll, z delikatnym akcentem. Usiadł i pokazał jej, aby uczyniła to samo. – Twierdzi się nawet, że budowa „Wielkiego Wschodniego” położyła kres Latom Pełnym. To oczywiście bzdura, ale ten zbieg okoliczności ma silną wymowę symboliczną. Pod koniec piętnastego wieku mnożyły się oznaki rozkładu, czy można sobie wyobrazić bardziej dobitny symbol upadku nauki niż ten statek? Spiesząc się, aby dowieść, że Nowe Crobuzon wciąż przeżywa swoją złotą epokę, sprokurowano coś takiego... Konstrukcja jest marna. Próba połączenia napędu bocznokołowego ze śrubowym. – Pokręcił głową, nie odejmując oczu od Bellis. – Takiego giganta nie można napędzać kołami łopatkowymi, dlatego posłużyły jedynie za hamulce, psując przy okazji linię okrętu. Czego dodatkowy skutek był taki, że śruba również nie działała zbyt sprawnie i statkiem nie dało się pływać. Czy to nie zabawne?

Ale jedna rzecz im się udała. Zamierzili sobie, że zbudują największą jednostkę pływającą, jaką widziały ludzkie oczy. Musieli wodować statek bokiem, w ujściu rzeki do Zatoki Żelaznej. Przez kilka lat pływał tu i tam, groźny z wyglądu, ale mało sterowny. Próbowali go użyć podczas wojen Pirackich, ale poruszał się jak ciężkozbrojny nosorożec, podczas gdy statki z Suroch i Jheshull tańczyły wokół niego. A potem, jak można przeczytać w ichnich podręcznikach do historii, zatonał.

To oczywiście nieprawda. Myśmy go przejęli... Wojny Pirackie to był wspaniały okres dla Armady. Cała ta rzeź, znikające codziennie statki, ginące załadunki, marynarze i żołnierze mający dosyć walk i umierania, rwący się do ucieczki. Kradliśmy statki, technologie ludzi. Rozrastaliśmy się w oszałamiającym tempie... Porwaliśmy też „Wielkiego Wschodniego”, ponieważ było nas na to stać. To wtedy Niszczukowody przejęły władzę, której już nigdy nie oddały. Ten statek to nasze serce, nasza fabryka, nasz pałac. Jako statek sprawował się źle, ale jako forteca nie ma sobie równych. To był ostatni wielki okres w dziejach Armady. – Zawiesił głos, aby dokończyć z uśmiechem – Aż do teraz.

Zaczęło się przesłuchanie.

Kiedy było już po wszystkim i z odwykłymi od światła oczami wynurzyła się na popołudniowe słońce, stwierdziła, że nie potrafi przypomnieć sobie dokładnie pytań Kochanka.

Długo odpytywał ją na temat tłumaczenia. Czy była to trudna praca? Czy zdarzały się fragmenty, które nie miały dla niej sensu? Czy umie mówić w wysokim kettai czy tylko czytać? I tak dalej.

Niektóre pytania miały za zadanie sprawdzić jej stan emocjonalny a konkretnie jej stosunek do Armady. Starannie dobierała słowa zdążając drogą pomiędzy prawdą i kłamstwem. Nie próbowała ukrywać całej swojej nieufności i urazy, ale obcięła tym uczuciom pazury zamknęła je w klatce. Starła się stworzyć wrażenie, że jej nie zależy.

Na zewnątrz nikt na nią nie czekał. Bo kto miałby czekać? To z jakichś nie do końca dla niej jasnych powodów nawet ją ucieszyło. Stromymi pomostami zeszła z „Wielkiego Wschodniego” na niższe jednostki.

Zmierzała do domu istnym labiryntem uliczek i zaułków. Przechodziła pod ceglany łukami, które ociekały wszędobylską na Armadzie słoną wilgocią mijala grupki dzieci grające w różne odmiany popychanki i wolnoamerykanki, które pamiętała ze swych ojczystych ulic, jakby istniała wspólna dla całego świata głęboka gramatyka ulicznych zabaw. Mijała też kawiarenki w cieniu przednich kaszteli, w których grali rodzice, tyle że w tryktraka i w pstrykane stivery.

Mewy szybowały i paskudziły. Boczne uliczki kolebały się wraz z powierzchnią morza.

Bellis napawała się tym, że jest sama. Wiedziała, że gdyby był z nią Silas, świadomość współdziałania w spisku by ją przytłaczała.

Od dawna się nie kochali. Robili to tylko dwa razy.

Później spali razem w jej łóżku i bez skrępowania rozbierali się w swojej obecności, ale wydawało się, że żadne nie ma ochoty na współzycie. Można było odnieść wrażenie, że użyli seksu do tego, aby się zbliżyć i otworzyć na siebie, a skoro więź już zaistniała, akt cielesny stał się zbędny.

To nie znaczy, że zgasł w niej popęd. Przez ostatnie kilka spędzonych razem nocy czekała, aż Silas zaśnie, a następnie masturbowała się po cichu. Często tała przed nim swoje myśli, ujawniając tylko to, co było potrzebne do realizacji wspólnych planów.

Bellis z niejakim zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że nie darzy Silasa wielką sympatią.

Była mu wdzięczna. Uważała go za człowieka interesującego i mogącego zaimponować, ale nie tak uroczego, za jakiego sam się miał. Mieli coś wspólnego: niezwykle tajemnice, plany, które pod żadnym ozorem nie mogły spaść na ziemię. Byli współnikami. Nie przeszkadzało jej też, że Silas sypia w jej łóżku. „Może nawet znowu się z nim pobzykam” – pomyślała z mimowolnym uśmiechem. Ale nie byli ze sobą blisko.

W świetle tego, co ich ze sobą połączyło, było to nieco dziwne, ale Bellis przyjęła ten fakt do wiadomości.

Nazajutrz rano, przed szóstą, kiedy niebo wciąż było ciemne, na pokładzie „Wielkiego Wschodniego” zebrała się flota sterowców. Ich piloci przynosili do swoich pojazdów ryzy ulotek i pochyleni nad mapami omawiali trasy. Podzielili Armadę na kwadraty.

Kiedy niespiesznie odrywali się od pokładu, światło dzienne wypełniało ulice miasta.

Straganiarze, robotnicy fabryczni, gwardziści i tysiące innych mieszkańców przyglądały się temu z ceglanych i drewnianych zaułków wokół „Wielkiego Wschodniego”, z misternie zestawionych ze sobą statków i łodzi Targu Zimowej Słomy czy z wież Książkowic, Czasów i okręgu Tobietwój. Zobaczyli, jak pierwsza fala sterowców startuje i rozfruwa się nad miejskie okręgi. W strategicznie dobranych punktach przelotu, ustawione pod wiatr, aerostaty zaczęły sypać papierem.

Jak konfetti, jak kwiecie, które zaczynało już porastać zahartowane drzewa Armady, ulotki zlatywały wielkimi chmarami. Powietrze wypełnił szelest papieru o papier, któremu towarzyszyły paniczne odgłosy zdezorientowanych mew i wróbli, zmykających przed białymi kartkami. Armadyjczycy podnosili wzrok, osłoniwszy oczy przed schodzącym słońcem, aby zobaczyć sunące po firmamencie obłoki, ciepły błękit nieba i trzepoczące poniżej papierowe prostokąty.

Niektóre wpadały do kominów. Setki lądowały na wodzie. Trafiały do rowów pomiędzy statkami i osiadały na morzu. Podskakując na falach, nasiąkały wodą, atrament rozlewał się i robił nieczytelny. Skubały je ryby, aż w końcu włókna pęczniały od słonej wody i ulotki tonęły. Pod powierzchnią sypał śnieg rozpadającego się papieru. Wiele tysięcy ulotek wylądowało jednak na pokładach statków Armady.

Sterowce bez ustanku krążyły w przestrzeni powietrznej Armady przelatując nad każdym z okręgów, znajdując drogę między najwyższymi wieżami i masztami, rozrzucając ulotki. Zaciekawieni i zachwyceni ludzie łapali je w locie. W tym mieście, w którym papier był drogi ta rozrzutność – nomen omen – budziła zdumienie.

Wiadomość rozchodziła się błyskawicznie. Kiedy Bellis zeszła na pokład „Chromolitu” i stąpała po warstwie ulotek, które szeleściły jak martwa skóra, dokoła toczono spory. Ludzie stali w drzwiach swoich sklepów i domów, wołali, mruzcili albo śmiali się jeden do drugiego, wymachując ulotkami, które trzymali w poplamionych atramentem rękach.

Bellis podniosła wzrok i zobaczyła jeden z ostatnich aerostatów, który oddalał się w stronę Czasów, spuściwszy kolejną roztrzepotaną chmurę. Podniosła jedną z ulotek szeleszczących jej pod nogami.

„Obywatele Armady! Po długich i starannych badaniach jesteśmy w stanie porwać się na osiągnięcie, które wprawiliby naszych dziadków w osłupienie. Wkrótce nadejdzie jutrzeńka nowego dnia. Sposób poruszania się naszego miasta na zawsze ulegnie zmianie”.

Szybko przebiegała wzrokiem tekst, pędząc przez propagandowe wyjaśnienie, aby zatrzymać się na kluczowym słowie, które wyróżniono tłustym drukiem.

„Awank...”

Zawładnęły nią rozmaite sprzeczne uczucia. „To dzięki mnie” pomyślała z perwersyjną dumą. „Ja to uruchomiłam”.

– Wyborna robota – powiedział zamyślony Tintinnabulum. Przykucnął przed Angevine i gmerał łapami w mechanice jej metalowego podwozia. Obojętna i cierpliwa Angevine odchyliła swoje organiczne ciało na bok. Od kilku dni Tintinnabulum miał świadomość, że w jego służącej zaszła jakaś zmiana, że jej mechanizmy inaczej klekoczą. Poruszała się szybciej i dokładniej, miała mniejszy promień skrętu i stawiała bez świszczącego zwalniania. Łatwiej jej się pokonywało chybottliwe pomosty Armady. Jej sposób bycia nie był już podszyty ustawicznym niepokojem. Przestała bez przerwy się rozglądać za rozrzuconym węglem i drewnem. – Co się stało z twoim silnikiem, Angevine? – spytał ją. Uśmiechając się z ogromną, speszoną radością, pokazała mu. Grzebał w jej rurach, po stoicku przyjął fakt, że sparzył się o kocioł, badał jej udoskonalone, metalowe trzewia.

Tintinnabulum wiedział, że armadyjska nauka jest kundlem, dziedziną równie piracką, eklektyczną i niespójną jak gospodarka i polityka miasta, wytworem kradzieży i przypadku. Inżynierowie i taumaturgowie uczyli się swego fachu na zniszczonym i przestarzałym sprzęcie i na kradzionych urządzeniach tak wyrafinowanej konstrukcji, że nie do końca nawet rozumieli ich funkcjonowanie. Rozmaite technologie tworzyły bezładną mozaikę.

– Może i ten człowiek jest inżynierem, który pracuje na fuchy – powiedział zanurzony po łokcie w silniku Angevine, macając trójpozycyjny przełącznik z tyłu jej obudowy – ale wykonał wyborną robotę. Niewielu na Armadzie umiałoby przeprowadzić taki remont. Dlaczego to zrobił? – Mogła udzielić tylko ogólnikowej odpowiedzi na to pytanie. – Jest godzien zaufania? – spytał.

Tintinnabulum i jego ekipa nie urodzili się na Armadzie, ale ich przywiązanie do Niszczukowód nie budziło wątpliwości. Krążyły różne historie o tym, w jaki sposób znaleźli się w mieście. Mówiono, że Kochankowie znaleźli ich za pomocą ezoterycznych metod i namówili do tego, aby pracowali na Armadzie za nieznaną pieniądze. Liny i łańcuchy spajające ze sobą tkaninę Niszczukowody rozstąpiły się przed nimi. Okrąg otworzył się, pozwolił Tintinnabulumowi wejść i wrosnąć w tkanę miasta, a następnie znowu szczelnie się zamknął. Tego ranka Angevine również podniosła jedną z ulotek, które nagle zatkały uliczki Armady, i dowiedziała się, jaki jest cel niszczukowodzkiego projektu. Ucieszyło ją to, ale niespecjalnie zaskoczyło. Od dawna była obecna na marginesie oficjalnych dyskusji, widywała literaturę fachową, którą Tintinnabulum zostawiał na biurku, czy ręcznie wrywane schematy i niedokończone obliczenia. Po przeczytaniu ulotki ogarnęło ją uczucie, że zawsze wiedziała. Przecież pracowała dla Tintinnabuluma, który był myśliwym do szpiku kości. W jego pokoju roiło się od poszlak. Książki – jedyne, które widywano poza biblioteką – szkice, rzeźbione kły, połamane harpuny, rogi i skóry. W ciągu tych lat, które dla niego przepracowała, Tintinnabulum i jego siedmioosobowa ekipa oddawali swoje doświadczenie na służbę Niszczukowodom. Rekiny rogatki, wieloryby, zębowce, ryby pancerne, rekiny – wabił je, chwycił, przebijał harpunami, dla mięsa, dla obrony miasta, dla sportu.

Czasami, kiedy spotykała się cała ósemka, Angevine przyciskała ucho do ściany, ale docierały do niej tylko pojedyncze słowa i zwroty. To jednak wystarczyło, żeby dowiadywała się fascynujących rzeczy.

Argentarius, okrętowy wariat, którego nikt nigdy nie widywał złorzeczył i wrzeszczał, że się boi. Angevine stopniowo wydedukowała, że za stan jego psychiki odpowiada jakiś zwierz, którego próbowali złowić. Zmobilizowało to jego towarzyszy. Odciskali pieczęć swojej władzy w morskiej toni, grali na nosie tej straszliwej krainie.

Kiedy usłyszała, że rozmawiają o myślistwie, interesował ich najgrubszy zwierz: lewiatan i olbrzymi potwór-bóg Lahamu, potwór piekielny. „Czemu by nie awank?” – pomyślała. „W gruncie rzeczy nic z tego mnie nie zaskoczyło”.

– Jest godzien zaufania? – Tinnabulum powtórzył pytanie.

– Tak – odparła Angevine. – To dobry człowiek. Jest wdzięczny za uratowanie go przed zesłaniem do kolonii. Jest zły na Nowe Crobuzon. Poddał się przetworzeniu, żeby lepiej nurkować, żeby lepiej pracować w porcie i jest teraz stworzeniem morskim. W mojej ocenie pod względem lojalności nie ustępuje rdzennym mieszkańcom Niszczukowód.

Wyprostował się i zamknął kocioł Angevine. Wydał usta w zamyśleniu. Na biurku znalazł długi, ręcznie napisany wykaz nazwisk.

– Jak się nazywa?

Usłyszawszy odpowiedź, skinął głową, pochylił się i starannie dopisał: „Tanner Sack”.

Rozdział osiemnasty

Na Armadzie potęga plotki i pogłoski była jeszcze większa niż w Nowym Crobuzon, ale miasto dysponowało także bardziej zorganizowanymi środkami masowego przekazu. Byli krzykacze, którzy podawali półoficjalne stanowisko władz swojego okręgu. Publikowano trochę biuletynów informacyjnych i periodyków, na fatalnej jakości wielokrotnie makulaturyzowanym papierze, który wręcz nasiąkał tuszem.

Większość ukazywała się nieregularnie, kiedy autorom i drukarzom zechciało się trochę popracować i kiedy udało się zgromadzić niezbędne środki. W niektórych dominowały sensacje i skandale, ale dla Bellis wszystkie były przygnębiająco zaściankowe. Do najbardziej prowokacyjnych i kontrowersyjnych tematów zaliczała się kwestia, komu przyznać dany kontyngent skonfiskowanych dóbr albo która dzielnica jest odpowiedzialna za dany przewóz. Z drugiej strony, z tych biuletynów przynajmniej potrafiła coś zrozumieć.

W hybrydowej kulturze Armady kwitły wszelkie tradycje dziennikarskie, jakie istniały w świecie Bas-Lag, obok gatunków występujących tylko na terenie pirackiego miasta. „Raczej Reguła Niż Wyjątek” to był tygodnik, który informował jedynie o zgonach, w formie wierszowanej. „Co Zafrapowało Juhangirra”, publikowane w okręgu Tobietwój, obywało się bez słów, opowiadając o zdarzeniach uznawanych przez jego redaktorów za ważne, według dość nieprzejrzystych dla Bellis kryteriów, za pomocą serii szkicowych rysunków.

Od czasu do czasu Bellis czytywała „Flagę” albo „Wezwanie Rady”, publikacje z Bud. „Flaga” była chyba najlepszą agencją informacyjną w mieście, natomiast „Wezwanie Rady” miało charakter polityczny i zamieszczało polemiki między zwolennikami różnych rozdań ustrojowych na poziomie okręgu: demokracji z Bud, słonecznej demokracji z Czasów, „opiekuńczości absolutnej” z Niszczukowód, Protektoratu Brucolaca i tak dalej.

Przy całej swojej tolerancji dla odmiennych poglądów, z którą publikacje się obnosiły, były one w większym czy mniejszym stopniu, lojalne wobec Rady Demokratycznej Bud, toteż Bellis, która coraz lepiej rozumiała zawilgości armadyjskiej

polityki, nie była zbyt zaskoczona, kiedy „Flaga” i „Wezwanie Rady” zaczęły wysuwać wątpliwości co do projektu zwabienia awanka.

Z początku robiły to oględnie.

„Przywołanie byłoby triumfem nauki, ale rodzą się pytania” – można było przeczytać na stronie redakcyjnej „Flagi”. „Zwiększenie mocy napędowej z pewnością wyszłoby miastu na dobre, ale jakim kosztem?”.

W miarę szybko obiekcje nabrały większego rozmachu.

Armada wciąż jednak kipiała podnieceniem po niezwyklej deklaracji Niszczukowód, toteż głosy rozważli czy wręcz sprzeciwu stanowiły mało znaczącą mniejszość. W pubach – nawet w Budach i Pragnieniowicach – nie mówiono o niczym innym. Skala przedsięwzięcia – kurczę smażone, obiecują złapać awanka! – przyprawiała o zawrót głowy.

Za pośrednictwem nielicznych czasopism, za pośrednictwem broszur i plakatów sceptycy głosili jednak swój ignorowany protest.

Rozpoczęła się rekrutacja.

W porcie Basilio zwołano nadzwyczajne zebranie. Tanner Sack czekał, pocierając macki. W końcu przed zgromadzonymi stanął gwardzista-bosman.

– Mam tutaj listę inżynierów i innych, którzy zostali powołani przez Kochanków do specjalnego zadania!

Szepty i pomruki na moment przybrały na sile, a potem ucichły. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, na czym polega zadanie specjalne.

Po wyczytaniu każdego nazwiska jego właściciel i stojące wokół niego osoby głośno dawały wyraz swojej radości. Tanner nie był zaskoczony dokonaną przez władze selekcją. Wiedział, że wybrały najlepszych spośród jego kolegów: najszybciej pracujących, najbieglejszych inżynierów, którzy w niezbyt odległej przeszłości mieli bezpośredni kontakt z najnowszymi osiągnięciami techniki.

Niektórych uprowadzono stosunkowo niedawno – nieproporcjonalnie wielu pochodziło z Nowego Crobuzon, w tym całkiem liczni spośród grona prze-tworzonych z „Terpsychorii”.

Dopiero kiedy rozentuzjzmowany kumpel huknął go w plecy, Tanner zdał sobie sprawę, że wyczytano jego nazwisko. Napięcie, które narosło poza jego świadomością, pękło. Zrozumiał, że czekał na to. Zasłużył sobie na ten honor.

Na „Wielkim Wschodnim” już wcześniej zgromadzili się inni, pracownicy z dzielnic przemysłowych, z odlewni i laboratoriów. Prowadzono z nimi rozmowy kwalifikacyjne. Metalurgów oddzielano od inżynierów i chymików. Poddawano ich testom, sprawdzano ich wiedzę fachową. Stosowano perswazję, nie przymus. Po pierwszej, zawołanej, wzmiance o anopheliuszach, po pierwszej sugestii, o jaką wyspę chodzi, kilka osób odmówiło udziału w projekcie. Tanner zmartwił się, ale pomyślał: „Nie ma mowy, żebyś powiedział im»nie«, choćby nie wiem co”.

Po zachodzie słońca, kiedy testy i odpytywania dobiegły końca, Tannera i innych zabrano do jednej z sal na „Wielkim Wschodnim”. Ogromne pomieszczenie było urządzone z wielkim przepychem, w mosiądzu i czarnodrzewie. Ostało się około trzydziestu osób. „Oddzielono ziarno od plew” – pomyślał Tanner.

Wszelkie hałasy natychmiast ucichły po wejściu Kochanków. Podobnie jak pierwszego dnia, po bokach towarzyszyli im Tintinnabulum i Uther Doul.

„Co mi tym razem powiecie?” – zastanawiał się Tanner. „Kolejne cuda? Kolejne zmiany?”

Kochankowie podzielili się ze zwerbowanymi wszystkimi posiadanymi informacjami na temat wyspy i wyłuszczyli swoje plany. Wszyscy obecni pałali entuzjazmem.

Tanner słuchał oparty o ścianę. Próbował rozniecić w sobie sceptycyzm – coś w stylu: co za absurdalny plan, na tyle sposobów może się nie powieść! – ale stwierdził, że nie potrafi. Z łomoczącym sercem słuchał, jak Kochankowie i Tintinnabulum informują wszystkich zgromadzonych, że udadzą się do krainy ludzi-moskitów na poszukiwania naukowca, który być może już nie żyje, a po konsultacji z nim lub ze Spadkobiercami jego wiedzy zbudują maszyny służące do schwywania najbardziej niezwykłego stworzenia, jakie kiedykolwiek pływało po morzach Bas-Lag.

W innym miejscu odbywało się zebranie podziemnego nurtu kampanii przeciwko przywołaniu.

W centrum Pragnieniowic stał „Uroc”, wielka, sędziwa jednostka długa na sto pięćdziesiąt metrów i szeroka na ponad trzydzieści w połowę śródkręcia. Wymiary, sylwetka i charakterystyka były jedyne w swoim rodzaju. Nikt z mieszkańców Armady nie wiedział na pewno ile lat liczy sobie statek ani skąd pochodzi.

Niektórzy mówili nawet, że „Uroc” jest ordynarnym falsyfikatem. Ani kliper, ani szkuta, ani statek-rydwan, ani żaden inny znany typ. Twierdzono, że żadna jednostka o tak osobliwym kształcie nigdy nie pływała po morzach. „Uroca” zbudowano na Armadzie, *in situ*, utrzymywali sceptycy. To nie jest znaleziony i zawłaszczony statek, tylko drewno i żelazo udające unieruchomiony okręt.

Nie wszyscy byli takimi ignorantami. Na Armadzie uchowała się garstka ludzi, którzy pamiętali przybycie „Uroca”.

Zaliczał się do nich Brucolac, który przypląnął na nim w pojedynkę.

Brucolac co dzień wstawał po zapadnięciu zmroku. Niezagrożony przez promienie słońca, wspinał się na bogato rzeźbione masztowieże. Wkładał dłoń w luki strzeleckie, głaskał zęby i łuski, które wisiały na nieregularnie rozmieszczonych rejach. Pod palcami o nadludzkiej wrażliwości wyczuwał pulsowanie mocy pod tymi płytkami cienkiego metalu, ceramiki i drewna, niby krew w naczyniach włoskowatych. Wiedział, że jeśli zajdzie taka potrzeba, „Uroc” może jeszcze pływać.

Zbudowano go jeszcze przed tym, zanim stał się nieumarłym, czyli przed jego pierwszymi narodzinami, tysiące kilometrów dalej, w krainie, której nikt z obecnie żyjących na Armadzie nie widział na oczy. Minęło wiele pokoleń, odkąd nawodne miasto odwiedziło tę krainę i Brucolac miał szczerą nadzieję, że Armada już nigdy tam nie wróci.

„Uroc” był statkiem księżycowym. Żeglował pchany podmuchami lunarnego światła.

Pokłady i nadbudówki statku wyglądały jak teren o dziwnej rzeźbie. Wyróżniały go skomplikowane segmenty wielopoziomowego mostka, przepaść w połowie kadłuba, powykręcana architektura iluminatorów i kajut. Szeroki kadłub jeżył się od wież, niektórych pełniących dodatkowo funkcję masztów, niektórych zwężających się do szpica. Podobnie jak „Wielki Wschodni”, „Uroc” był całkowicie niezabudowany, mimo że na obu sąsiednich jednostkach ludzie gnieździli się w domach z cegły. O ile jednak zabudowa „Wielkiego Wschodu” już nie wchodziła w grę z przyczyn ideowych,

w wypadku statku księżycowego nikt tego nawet nie zaproponował. Nie pozwoliłaby na to jego topografia.

Za dnia wyglądał blado i cherlawie. Nie był to przyjemny widok. Po zmierzchu jego powierzchnia jarzyła się subtelnym odcieniem macicy perłowej, jakby nawiedzały go kolorystyczne upiory. Zgroza była na niego patrzeć. To wtedy Brucolac chodził po pokładach „Uroca”. Czasem w deprymujących komnatach statku organizował zebrania. Zwoływał swoich nieumarłych podwładnych, aby omówić sprawy okręgu, takie jak podatek posoczny, pobierana w Pragnieniowicach dziesięcina. „To nas wyróżnia” – mówił im. „To daje nam siłę i zapewnia lojalność naszych obywateli.”

Tej nocy, kiedy Tanner Sack i inne osoby zwerbowane do projektu spały albo rozmyślały o czekającej ich przygodzie, Brucolac powitał na pokładzie „Uroca” gości: delegatów Rady Bud, dostatecznie naiwnych, aby sądzić, że spotkanie odbywa się w sekrecie. Brucolac nie miał takich złudzeń. Z palimpsestu dźwięków dochodzących z okolicznych jednostek wyłowił odgłos kroków, które bez najmniejszego trudu przypisał szpiegowi z Niszczukowód.

Rajcy z Bud czuli się niepewnie na statku księżycowym. Szli całą gromadą za Brucolakiem, starając się nie okazywać po sobie zdenerwowania. Świadomy faktu, że jego goście potrzebują światła, Brucolac pozapalał na korytarzach pochodnie. Ze złośliwą radością postanowił nie użyć lamp gazowych, bo wiedział, że w wąskich korytarzach statku cienie rzucane przez pochodnie będą trzepotały równie nieprzewidywalnie i drapieźnie jak nietoperze.

Okrągła sala narad mieściła się w najszerzej masztowieży, piętnaście metrów nad pokładem. Była urządzona z odstręczającym przepychem, w dżecie, stopie miedzi z cyną i misternie kutym ołowiu. Nie było tutaj świec ani innych źródeł światła, ale lodowata poświata wydobywała topografię wnętrza z naukową dokładnością: blask księżyca gwiazd był przechwytywany na masztach, a następnie wzmacniany i przesyłany do sali systemem wyposażonych w lustra sztolni. Ta dziwna iluminacja odzierała pomieszczenie z wszelkich innych barw.

– Panowie, panie – powiedział Brucolac swoim gardłowym głosem. Uśmiechnął się i odgarnął do tyłu gęste włosy. Długim, węzowym językiem skosztował powietrze i pokazał gościom, żeby zajęli miejsca wokół stołu z ciemnodrzewu. Patrzył, jak siadają: ludzie, hotchi, llogiss i inni. Wszyscy przyglądali mu się nieufnie. – Zostaliśmy oszukani – podjął. – Proponuję, żebyśmy się zastanowili nad naszą reakcją.

Pragnieniowice bardzo przypominały Niszczukowody. Pokłady setki skifów, barek i hulków były oświetlone na tle ciemności i rozbrzmiewały odgłosami pubów i teatrów.

Nad wszystkim górowała jednak milcząca, koślawa sylwetka „Uroca”. Przyglądała się hulaszczemu trybowi życia Pragnieniowic bez komentarza, krytyki czy entuzjazmu, a ludzie od czasu do czasu zerkali na ten statek z rodzajem nieufnej, podszytej niepokojem dumy. Mieli więcej wolności i prawa do decydowania o swoim losie niż mieszkańcy Niszczukowód, o czym chętnie sobie przypominali; mieli lepszą ochronę niż mieszkańcy Tobietwój i większą autonomię niż Ałozowice.

Ludzie z Pragnieniowic wiedzieli, że wielu obywateli innych okręgów uważa podatek posoczny za zbyt wysoką cenę do zapłacenia za te przywileje, ale pogląd ten wynikał z przewrażliwienia i głupoty. Jak zwracali uwagę zasiedzieli mieszkańcy dzielnic, najdonośniej wyrażali go niedawno uprowadzeni, zabobonni przybysze, którzy nie oswoili się jeszcze z armadyjskimi obyczajami.

„W Pragnieniowicach nie ma kary chłosty” – przypominali im. Artykuły pierwszej potrzeby i rozrywki są tutaj subsydiowane. W ważnych sprawach Brucolac organizuje zebrania, na których każdy może się wypowiedzieć. Chroni mieszkańców. Nie ma niczego, co by przypominało anarchiczne, brutalne rządy znane z innych części miasta. Pragnieniowice to okręg bezpieczny, cywilizowany, ulice ma dobrze utrzymane. Podatek posocznny to rozsądny koszt tego wszystkiego.

Mieszkańcy Pragnieniowic neurotycznie identyfikowali się ze swoją dzielnicą. „Uroc” był ich talizmanem i nawet podczas najbardziej burzliwej zabawy od czasu do czasu zerkali w jego stronę, jakby chcieli się upewnić, czy wciąż jest na swoim miejscu.

Tej nocy, jak każdej innej, masztowieże „Uroca” zakwitły niezmierną luminescencją zwaną ogniem świętego. Zjawisko to występowało na wszystkich statkach – podczas burzy elektrycznej albo kiedy powietrze było wysuszone – ale na statku księżycowym pojawiała się Regularnością przyptywów.

Nocne ptaki, nietoperze i ćmy zlatywały ku niemu i tańczyły w jego blasku. Tłukły się i rzucały na siebie, a niektóre uderzały o szyby, zwabione mniejszymi światłami, które sączyły się z okien. W sali zebrań Brucolaca rajcy Bud podnosili głowy, wytrąceni z równowagi nieustannym bębnieniem skrzydełek o szybę.

Zebranie szło źle.

Brucolac miał problemy. Szczerze pragnął nawiązać z nimi równorzędną współpracę, zaproponować różne strategie i możliwości, ale trudno mu było powściągnąć swoją umiejętność zastraszania. Na niej opierała się jego władza i jego strategia. Brucolac nie urodził się na Armadzie: widział dziesiątki miast i państw, za życia i jako nieumarły, i uzmysłowił sobie pewną prawdę: może strach nie jest środowiskiem żywych, ale na pewno jest środowiskiem wampirów.

Choć kreuja się na bezlitosnych myśliwych, skrywając w miastach swoją tożsamość i wychodząc w nocy na żer, to śpią i jedzą w strachu. Żywi nie tolerowaliby ich obecności, wykrycie oznaczałoby prawdziwą śmierć. To stało się dla niego nie do przyjęcia. Dwa stulecia temu, przywożąc do Armady hemofagię, przybył do miasta wolnego od filozoficznej, zabójczej dla jego gatunku zgrozy. Przybył do miasta, w którym nie musiał się ukrywać ze swoimi skłonnościami.

Ale Brucolac wiedział, że bilans musi być zachowany: skoro on nie boi się żywych, to żywi muszą bać się jego. Z czego zapewnieniem nigdy nie miał kłopotów.

Teraz, kiedy miał dosyć intrygowania, kiedy był spragniony współpracy, kiedy potrzebował pomocy, a miał do dyspozycji tylko tę pstrokatą urzędniczą zbieraninę, dynamika terroru okazała się zbyt trudna do przewyciężenia. Rajcy z Bud za bardzo się go bali, żeby z nim współpracować. Każde jego spojrzenie, każde polizanie zębów, każdy wydech i powolne zaciśnięcie pięści przypominało im, kim jest Brucolac.

„Może nie ma się czym przejmować” – pomyślał ponuro. W jaki sposób mieliby mu pomóc? Nie mógł im powiedzieć o Bliźnie. Spytałiby go, skąd o tym wie, a on musiałby zbyć ich milczeniem, i by mu nie uwierzyli. A gdyby wyjaśnił, że wie wszystko od Doula, uznaliby za zdrajcę, który wymienia się tajemnicami z prawą ręką władz Niszczukowód. A i tak na pewno by mu nie uwierzyli.

„Jesteś sprytnym manipulantem i bydlakiem, Uther” – pomyślał.

Siedząc za stołem ze swymi rzekomymi sojusznikami, Brucolac nie mógł opędzić się od refleksji, że Doul jest mu znacznie bliższy, że mają ze sobą znacznie więcej wspólnego. Miał nieodparte, choć pozbawione sensu wrażenie, że on i Doul pracują razem.

Brucolac słuchał moralizowania i logicznie wadliwych wywodów rajców, którzy śmiertelnie bali się zmian, mogących zaburzyć równowagę sił. Cierpliwie znosił nedorzeczne i bezsensowne dywagacje zupełnie oderwane od rzeczywistej natury problemu. Rajcy spierali się o to, na czym dokładnie polegał występki Kochanków. Padały sugestie, że można by nawiązać kontakt z urzędnikami Niszczukowód za plecami ich władców, pomysły abstrakcyjne, nie trzymające się kupy i niewykonalne.

W pewnym momencie ktoś z obecnych wymienił nazwisko Simona Fencha. Nikt nie wiedział, kto to jest, ale jego nazwisko coraz częściej pojawiało się w wypowiedziach przeciwników Przywołania. Brucolac czekał na jakieś konkretne sugestie, ale dyskusja szybko się wyrodziła w bezproduktywne bicie piany. Czekał i czekał, ale nie usłyszał niczego istotnego.

Wyczuwał przesuwanie się słońca pod światem. Trochę ponad godzinę przed jutrzeńką przestał trzymać emocje na wodzy.

– Kurwa wasza niebiańska mać – warknął swoim cmentarnym szeptem. Przerażeni rajcy natychmiast umilkli. Wstał i rozłożył ręce. – Godzinami słucham, jak pieprzycie bzdury – syknął. – Rozpaczliwe banały. Jesteście do niczego. – To ostatnie słowo wymówił tak, jakby to była druzgocząca klątwa. – Jesteście zbędni. Jesteście bez sensu. Wynoście się z mojego statku.

Po chwili ciszy rajcy zaczęli wstawiać, bezskutecznie usiłując zachować resztki godności. Jeden, a raczej jedna z nich – Vorkadine, należąca do bardziej rozgarniętych rajców, kobieta, do której Brucolac miał jeszcze odrobinę szacunku – otworzyła usta, żeby zaprotestować. Była blada jak trup, ale wciąż z mocnym postanowieniem.

Brucolac rozpostarł ramiona nad głową niby skrzydła, rozwinął język i kłapał jadowitymi kłami, rozczapierzywszy drapieźnie palce.

Usta Vorkadine szybko się zamknęły i wraz z innymi rajcami przemknęła się ku drzwiom, ze złością i strachem na twarzy.

Kiedy wszyscy wyszli, Brucolac z powrotem usiadł. „Biegnijcie do domu zasrane worki z krwią” – pomyślał. Na myśl o absurdalnej pantomimie, którą odstawił na końcu, uśmiechnął się szeroko. „Na Sutki Luny – pomyślał ubawiony – pewnie myślą, że potrafię się zamienić w nietoperza”.

Ich strach przypominał mu o jeszcze jednym miejscu, gdzie nie ukrywał się z tym, że jest nieumarły, i przeszedł go dreszcz. Wyjątek od reguły, że musi istnieć jednostronny układ strachu między żywymi i wampirami.

„Dzięki niech będą władcom krwi, wyssanym, bogom soli i morza, że już nigdy nie będę musiał tam wracać”. Do kraju, w którym był wolny – zmuszony do bycia wolnym od wszelkiego udawania, od wszelkiej iluzji. Gdzie prawdziwa natura żywych, martwych i nieumarłych była obnażona.

Ojczyzna Uthera Doula. W górach. Zimne góry, bezlitosne krzemienne piarżyska były znacznie bardziej wybaczące niż zasrane miasto Doula.

Rozdział dziewiętnasty

Wielkie warsztaty w okręgu Czasy otrzymały nietypowe zlecenie.

Jednym z filarów gospodarki Czasów była budowa statków powietrznych. Tamtejsze fabryki gwarantowały wysoką jakość sztywnych, półsztywnych i elastycznych sterowców, aerostatów i silników.

Największą jednostką powietrzną na niebie Armady była „Arogancja”. Statek uszkodzony podczas jakiejś zapomnianej bitwy, zdobyty przed wieloma dziesięcioleciami, ustawiono w roli wieży strażniczej i obiektu krajobrazowego.

Mobilne aerostaty były od niego co najmniej o połowę krótsze, największy z nich miał nieco ponad sześćdziesiąt metrów długości. Buczały leniwie nad miastem, nosząc takie nieodpowiednie nazwy jak „Barracuda”. Inżynierów aerostatycznych pętały ograniczenia kubaturowe – nigdzie na Armadzie nie było miejsca na ogromne hangary, w których można by zbudować ogromne jednostki w rodzaju największych statków powietrznych Nowego Crobuzon czy aerostaty badawcze i wahadłowce z Myrshock, na ponad dwieście metrów metalu i skóry. A poza tym takie aerostaty nie były Armadzie wcale potrzebne.

Aż do teraz, jak się okazało.

Tego samego przedpołudnia, kiedy na miasto spadł deszcz ulotek, pełen niedowierzania szef zmiany zwołał całą załogę aerokombinatu Opieka w okręgu Czasu – zszywaczy, inżynierów, projektantów, metalurgów i przedstawicieli mnóstwa innych fachów. W całym zakładzie, który mieścił się na terenie przebudowanego parowca, szkielety sterowców stały porzucone, kiedy zmianowy tłumaczył zająkliwe, na czym polega zlecenie.

Na jego wykonanie dostali dwa tygodnie.

„Silas miał rację” – pomyślała Bellis. Nie było szans, żeby wkręcił się sekretnie na wyprawę do kraju ludzi-moskitów. Nawet ona, odcięta od armadyjskich intryg i skandali, z całą rosnącą regularnością słyszała nazwisko Simona Fencha. Rzecz jasna, na razie były to tylko nieprecyzyjne szeptane pogłoski. Carianne wspomniała coś o osobie, która miała wątpliwości co do Przywołania po przeczytaniu broszury autorstwa jakiegoś Finka, Fitcha albo Fencha. Szekel powiedział Bellis, że jego zdaniem Przywołanie to doskonały pomysł, ale słyszał o opinii jakiegoś faceta nazwiskiem Fench, że Kochankowie napytają miastu biedy.

Bellis wciąż nie mogła wyjść z podziwu, że Silas z taką łatwością przeniknął pod skórę miasta. Czy nic mu nie grozi? Czy Kochankowie go nie szukają?

Uśmiechnęła się na myśl o Szeklu. Od jakiegoś czasu nie mogła udzielać mu lekcji, ale podczas niedawnej wizyty w bibliotece zademonstrował jej z dumą, że jej pomoc nie jest już potrzebna.

Przyszedł po to, aby spytać, co jest w książce Krüacha Auma. Szekel nie był w ciemni bity. Nie miał wątpliwości, że książka, którą jej sprezentował, w jakiś sposób wiąże się z burzliwymi wydarzeniami tego tygodnia – kaskadą ulotek, niezwykłym projektem, dziwnym nowym zleceniem Tannera.

– Miałaś rację – powiedziała mu. – Przetłumaczenie książki zajęło mi sporo czasu, ale kiedy zdałam sobie sprawę, co to jest... To opis eksperymentu...

– Podnieśli awanka – przerwał jej Szekel. Skinęła głową i podjęła:

– Kiedy zdałam sobie sprawę, o czym jest ta książka, przekazałam ją Tintinnabulumowi i Kochankom. Była im potrzebna do realizacji ich planu...

– Książka znaleziona przeze mnie – powiedział Szekel i uśmiechnął się pełen niedowierzania.

W aerokombinacie Opieka potężna rama z drutu i wygiętych dźwigarów nabierała kształtów.

W rogu ogromnej hali znajdowała się ciężka chmura jasnobrązowej skóry. Dookoła siedziała setka mężczyzn i kobiet z kilkucentymetrowymi grubymi igłami w każdej dłoni, zszywając oburącz. Do uszczelnienia ogromnych komór gazowych miały posłużyć całe kadzie chemiczaliów, żywicy i gutaperki. Drewniane ramy i czerwony jeszcze metal niedawno wylany z pieców hutniczych układały się w formy gondoli sterowniczych i obserwacyjnych.

Zakład Opieka, chociaż niemały, nie mógł pomieścić zlecenia w jego finalnym kształcie. Wszystkie wykończone komponenty miały być przeniesione na pusty pokład „Wielkiego Wschodniego”, gdzie zamierzano zamocować komory, zespawać ze sobą elementy szkieletu i zeszyć skórzane pokrycie.

„Wielki Wschodni” był jedynym statkiem armadyjskim, który nadawał się do wykonania tego zadania.

Był dwudziesty łańcola bądź siódmy skydi jastrzębiego dzioba – Bellis było już wszystko jedno. Od czterech dni nie widziała się z Silasem.

Ciepłe powietrze rozbrzmiewało śpiewem ptaków. Bellis czuła się klaustrofobicznie w swoim mieszkaniu, ale nawet kiedy poszła na spacer, uczucie to nie ustąpiło. Domy i burty statków zdawały się pocić w morskim upale. Nie zmieniła zdania na temat morza: jego rozmiary i monotonia porażały ją. Tego ranka ogarnęła ją jednak nagła potrzeba wyrwania się spod miejskich podcieni.

Strofowała się za godziny czekania na Silasa. Nie miała pojęcia, co się z nim stało, ale poczucie, że jest sama, że Silas może nie wrócić, szybko ją zahartowało. Zdała sobie sprawę, jaka zrobiła się psychicznie krucha, i ponownie obudowała się murem. „Żeby tak siedzieć i czekać jak dziecko” – złościła się na siebie.

Gwardziści przychodzili po nią każdego dnia, zabierali ją do Kochanka, Tintinnabuluma i myśliwych z „Kastora”, jak również na zebrania komisji, których roli w Przywołaniu nie rozumiała. Jej przekład skrupulatnie analizowano i rozbiegano na czynniki pierwsze: została skonfrontowana z człowiekiem, który umiał czytać teksty w wysokim kettai, chociaż nie tak dobrze jak ona. Wypytywał ją o specjalistyczne szczegóły gramatyczne: dlaczego wybrała ten, a nie inny czas, tę, a nie inną część mowy? Dlaczego tak, a nie inaczej oddała słowo? Przyjął agresywną postawę i Bellis nie bez przyjemności podważała jego kompetencje. Oto typowa wymiana zdań:

– A na tej stronie słowo „morghol” przełożyła pani jako „chętny”, a przecież to znaczy coś wręcz przeciwnego!

– Ze względu na tryb i czas gramatyczny – odparła pozbawionym emocji tonem.

– Całe zdanie napisane jest w czasie ironiczno-ciągłym.

Chciała dodać: „często mylonym z zaprzeszłym”, ale powstrzymała się.

Bellis nie miała pojęcia, do czego ma prowadzić ten egzamin. Czuła się zlekceważona. Do tej pory jej translatorski wyczyn napawał ją ostrożną dumą. Do projektu z wyspą podchodziła entuzjastycznie, ale szybko zgasła w sobie zapał, jakby toczyła się w niej walka między rozkwitającym marzeniem a nadąsanym, posępnym kompleksem uprowadzonej.

Na razie nikt jej nie potwierdził, że popłynie na wyspę. A to było przecież istotą całego przygotowanego przez nią planu. Może coś poszło nie tak? Poza tym Silas zniknął. „Może czas wymyślić nowy plan” – powiedziała sobie na chłodno. Postanowiła, że jeśli ten nie wypali, jeśli zabiorą ze sobą innego tłumacza, to powie im prawdę. Będzie ich błagała, żeby zlitowali się nad Nowym Crobuzon. Powie im o zamierzonym ataku grindylów, żeby mogli ostrzec miasto w jej imieniu.

Z przykrym strachem przypomniała sobie jednak słowa, które wypowiedział Uther Doul tuż przed zastrzeleniem kapitana Myzovica: „Siła, którą reprezentuję, ma gdzieś Nowe Crobuzon.”

Pomostem Whi skey przeszła ze „Złego Znaku”, barki na skraju Niszczukowód, na szeroki kliper „Sprawa Dariocha”.

Ulice Ałozowic wydawały się jej potwornie szare, bardziej ascetyczne niż ulice Niszczukowód. Fasady były prostsze, jeśli w ogóle istniały. Niepomalowane drewno tworzyło oszczędne, powtarzające się wzory. Droga Pompowa była ulicą targową dochodzącą do Niszczukowód i Pamięcioimpulsowni. Chodniki osypywały się od nacisku furmanek, zwierząt i zakupowiczów z innych okręgów – khepri, ludzi innych – objających się o strupodziejów, którzy stanowili połowę ludności Ałozowic.

Bellis umiała rozpoznać strupodzieja nawet bez zbroi, po charakterystycznej ciężkiej fizjonomii i popielistej cerze. Minęła świątynię, której krwiorogi milczały, a strażnicy byli przystrojeni płytkami za krzepowymi. Za domem bogów znajdowało się herbarium, snopki suszonych środków ściągających mocno pachniały w rozgrzanym powietrzu.

Na chodnikach stały też worki z charakterystycznym żółtym rozkrwawnikiem, z którego parzyło się herbatę antykoagulacyjną. Grupa kobiet i mężczyzn piła ją z kociołka. Przeciwdziałała napadom wszechzakrzepliwości: u strupodziejów występowało zjawisko nagłego i całkowitego zastygnięcia krwi w żyłach, które oznaczało szybką i bolesną śmierć, a ofiary zmieniało w powykręcane posągi.

Bellis stała przed jakimś magazynem. Uskoczyła z drogi zwierzęciu, karłowatemu koniowi-mieszkańcowi, ciągnącemu w jej stronę wóz, i uciekła na rozkołysany pomost prowadzący do spokojniejszej części miasta. Stojąc między dwoma statkami, Bellis patrzyła przed siebie na przysadzisty statek-rydwan, krzywizny kogi, krępy kołowiec i inne okręty. Każda jednostka tkwiła w sieci pomostów i delikatnie ugiętych kładek.

Po pokładach bez ustanku kursowali ludzie. Czują się samotna.

Ogród Rzeźb zajmował przednią część długiej na sześćdziesiąt metrów korwety. Działa dawno zniknęły, a kominy i maszty spożytkowano do celów budowlanych.

Mały placzyk z kawiarniami i pubami płynnie przechodził w Ogród Rzeźb, niby plaża w ocean. Bellis poczuła pod stopą inne podłoże: drewniane chodniki i żwirowe alejki ustąpiły miękkiej ziemi ogrodu.

Był wielokrotnie mniejszy niż Park Crooma. Na wypielęgnowanej trawie, wśród młodych drzewek, stały rzeźby wykonane w różnych stylach i z różnych materiałów, powstałe na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Pod drzewami i dziełami sztuki można było spocząć na ławkach z misternie powyginanego, kutego żelaza. Za niskim ogrodzeniem parku rozciągało się morze.

Na ten widok Bellis odruchowo wstrzymała oddech.

Ludzie siedzieli przy stołach zastawionych alkoholami i herbatą albo spacerowali po parku. W słońcu prezentowali się optymistycznie i pstrokato. Patrząc, jak spokojnie popadają w zadumę i popijają herbatkę, Bellis pokręciła głową, przypominawszy sobie, że to piraci: ogorzali, pokancerowani, uzbrojeni, żyjący z łupiestwa. Jeden w drugiego piraci.

Podnosiła wzrok na swoje ulubione rzeźby: „Groźny Rossign nol”, „Lalka i zęby”.

Bellis usiadła opodal „Oświadczyn”, jodeitowej płyty kojarzącej się z nagrobkiem, i nad drewnianym parkanem spojrzała w morze.

Parowce i holowniki z oślim uporem ciągnące za sobą miasto. Zobaczyła dwie kanonierki i uzbrojony aerostat, który pełnił powietrzną wartę na wodach otaczających Armadę.

W jej polu widzenia pojawił się piracki bryg, który żeglował na północ. Bellis patrzyła, jak wyrusza na dwu – lub kilkumiesięczną wyprawę myśliwską. „Z woli kapitana czy w ramach jakiegoś wielkiego projektu pod egidą władz okręgu?”

Wiele kilometrów dalej, blisko linii horyzontu, Bellis spostrzegła zmierzający ku miastu parowiec. Z pewnością statek armadyjski lub jakiś zaprzyjaźniony z miastem kupiec, bo w przeciwnym razie nie dotarłby tak blisko miasta. Jego macierzysty port być może znajdował się tysiące mil morskich dalej. Kiedy statek wyruszał w drogę, Armada przypuszczalnie przemierzała inne morze. A one przecież po wykonaniu zadania – kradzieży, rabunku – zawsze bezbłędnie wracały do domu. Była to jedna z dotąd nie rozwikłanych przez Bellis zagadek Armady.

Za jej plecami buchnął śpiew ptaków. Nie miała pojęcia, co to za gatunek, i nie obchodziło jej to, słuchała z ignorancką przyjemnością. A potem, jakby zaanonsowany tą ptasią fanfaramą, w jej polu widzenia pojawił się Silas.

Szarpnęła się zaskoczona i chciała wstać, ale Silas nie zwolnił, mijając ją w niewielkiej odległości.

– Siedź – powiedział i stanął przy relingu kilka kroków dalej, wychylony za burtę statku. Zastygła bez ruchu i czekała. Silas nie parzył na nią. Trwali tak przez dłuższy czas. – Twoje mieszkanie jest pod obserwacją – rzucił w końcu. – Dlatego do ciebie nie przychodziłem.

– Śledzą mnie? – spytała Bellis.

– To moja branża, Bellis. Znam się na tym. Rozmowy kwalifikacyjne to dla nich niedostateczne źródło potrzebnych im informacji na twój temat. Muszą cię sprawdzić. Nie powinnaś być zaskoczona.

– Teraz też mnie obserwują?

Silas wzruszył nieznacznie ramionami. – Nie sądzę. – Odwrócił się powoli. – Nie sądzę, ale nie mam pewności. – Jego usta ledwo się poruszały przy mówieniu. – Od czterech dni są pod twoim domem. Śledzili cię co najmniej do granic Ałozowic. Myślę, że tam stracili zainteresowanie, ale nie chcą ryzykować. Jeśli skojarzą nas ze sobą, jeśli uświadomią sobie, że ich tłumaczka zadaje się z Simonem Fenchem, to jesteśmy w dupie.

– Nie jestem ich tłumaczką, Silasie – odparła Bellis z zimną rezygnacją. – Nie poprosili mnie, żebym z nimi pojechała. Myślę, że mają kogoś innego...

– Jutro cię poproszą.

– Naprawdę? – spytała spokojnie Bellis, ale wnętrzości jej dygotały z przejęcia, z obawy, może z jeszcze innych powodów.

Zapanowała nad sobą i nie spytała: „Co ty gadasz?” albo „Skąd o tym wiesz?”

– Jutro – powtórzył. – Uwierz mi. – Uwierzyła. I nagle dostała mdłości na myśl, że Silas bez widocznego wysiłku przenika przez liczne warstwy intrygi. Macki jego wpływów, służące także do pozyskiwania informacji, były zapuszczone głęboko. Przypominał pasożyta żywiącego się informacją, wysysającego ją spod skóry miasta. – Jutro przyjdą po ciebie – podjął. – Będziesz w grupie desantowej. Nasz plan jest nadal aktualny. Dają sobie dwa tygodnie na wyspie i musisz przez ten czas przekazać informację na statek z Dreer Samher. Dostarczę ci wszystko, co będzie ci potrzebne do przekonania ich, żeby popłynęli do Nowego Crobuzon.

– Naprawdę uważasz, że zdołam ich namówić? Rzadko wypuszczają się na północ od Shankell, a Nowe Crobuzon leży około półtora tysiąca mil morskich w bok od ich trasy.

– Na Jabbera, Bellis... – zdenerwował się Silas, nie podnosząc głosu. – Ja ich nie przekonam, bo mnie tam nie będzie. – Poirytowana, ale i zażenowana Bellis nie odparła nic. – Wszystko ci przyniosę. – powtórzył Silas. – List w salt i ragamoll. Pieczęcie, instrukcje, dokumenty i dowody. Wystarczy, żeby przekonać kupców-kaktusów do popłynięcia na północ. I wystarczy, żeby rząd Nowego Crobuzon zorientował się w sytuacji i mógł się skutecznie zabezpieczyć.

Park kołysał się na falach. Rzeźby skrzypiały przy przechyłach. Bellis i Silas milczeli. Przez jakiś czas słychać było tylko szum wody i śpiew ptaków.

„Będą wiedzieli, że przeżyliśmy” – pomyślała Bellis. „A w każdym razie że on przeżył”.

Szybko stłumiła w sobie tę myśl.

– Uda nam się ich ostrzec – powiedziała zdecydowanym tonem.

– Będziesz musiała znaleźć sposób – powiedział Silas. – Zdajesz sobie sprawę, jaka jest stawka?

„Nie traktuj mnie jak imbecyla, do ciemnej cholery!” – pomyślała furia, ale kiedy spotkał się z nią na moment wzrokiem, nie sprawiał wrażenia skruszonego.

– Zdajesz sobie sprawę – powtórzył – co będziesz musiała zrobić? Będziesz musiała przekraść się przez armadyjskie straże, a potem przez zastępy anopheliusów. Dasz radę?

– Tak, dam radę – odparła zimno Bellis.

Powoli skinął głową. Znowu zaczął mówić i przez ułamek sekundy sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie będę... miał okazji zobaczyć się z tobą. Rozsądek nakazuje zatem, żebym trzymał się od ciebie z daleka.

– Oczywiście. Nie możemy teraz ryzykować.

Jego mina zdradzała smutek, poczucie jakiegoś niespełnienia. Bellis wyduła usta.

– Bardzo mi z tego powodu przykro i... – Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. – Kiedy wrócisz i będzie już po wszystkim, to może...

Głos odmówił mu posłuszeństwa.

Smutek Silasa odrobinę ją zaskoczył. Ona nie czuła zupełnie nic. Nie była nawet rozczarowana. Szukali czegoś u siebie nawzajem i znaleźli to, a oprócz tego mieli coś razem do zrobienia... może trochę eufemistyczne ujęcie sprawy... ale to wszystko. Nie żywiła do niego urazy. – Został w niej nawet cień sympatii i wdzięczności, coś jakby ciepła mgiełka, ale nic więcej. Zdziwił ją łamiący się głos Silasa, jego żal, przeprosiny i sugestia głębszych uczuć.

Bellis z zainteresowaniem odkryła, że nie do końca ją przekonał.

Nie wierzyła w wyrażane przez niego półsłówkami uczucia. Nie wiedziała, czy on sam wierzy, lecz nagle uświadomiła sobie, że ona podchodzi do nich ze sporym dystansem i że jato uspokaja. Po jego odejściu siedziała bez ruchu, ze splecionymi na kolanach dłońmi. Wiatr muskał jej bladą twarz.

Przyszli i powiedzieli, że kraj potrzebuje jej umiejętności językowych że ma wziąć udział w ekspedycji naukowej.

Na „Wielkim Wschodnim”, w jednym z niskich pomieszczeń znajdujących się dwa poziomy nad pokładem, Bellis patrzyła na otaczające ją statki Niszczukowód i górujący nad nimi bukszpryt okrętu flagowego. Kominy statku były czyste. Maszty strzelały sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt metrów ku niebu, nagie jak uschnięte drzewa, z tronami osadzonymi w warstwach sal jadalnych i antresol.

Na pokładzie rozłożono wnętrzości olbrzymiego statku powietrznego, przypominającego potrzaskaną skamielinę. Zakrzywione pasy metalu, podobne do obręczy beczek albo żeber, silniki i śmigła, ogromne sflaczałe komory gazowe. To wszystko ciągnęło się na dziesiątki metrów wzdłuż burty „Wielkiego Wschodniego”, omijając nasady masztów. Zespoły inżynierów spawały to do kupy, konstruując z segmentów powietrznego giganta. Hałas i świecenie gorącego metalu docierały do Bellis przez okna.

Przybyli Kochankowie i zaczęły się odprawy.

W nocy Bellis stwierdziła, że dopadła ją bezsenność. Zrezygnowała z prób zaśnięcia i nieśmiało powróciła do pisania listu.

Miała wrażenie, jakby wszystko rozgrywało się za szklaną przegrodą. Każdego dnia prowadzono ją pod eskortą na „Wielki Wschodni”. Na sali zbierało się około trzydziestu pięciu osób. Należały do różnych ras. Byli wśród nich prze-tworzeni. Kilka osób przybyło do Armady na „Terpsychorii”. Bellis rozpoznała Tannera Sacka, kolegę Szekla, i widziała, że on też ją rozpoznał.

Nagle zrobiło się gorąco. Miasto swoim ślamazarnym tempem przeniosło się na inny obszar oceanu światowego. Powietrze było suche, a temperatury dorównywały najwyższym z notowanych w Nowym Crobuzon w porze letniej. Bellis nie była z tego zadowolona. Patrzyła na odmienione, twarde niebo i czuła, że wędnie pod jego wpływem. Pociła się, mniej paliła i wkładała cieńsze ubrania.

Ludzie chodzili rozebrani do pasa, a po niebie śmigły letnie ptaki. W przejrzystej wodzie wokół miasta widać było duże ławice kolorowych ryb. W zaułkach Niszczukowód zaczęło śmierdzieć.

Odprawy prowadził Hedrigall i jemu podobni – ludzie-kaktusy, uprowadzeni niegdyś kupcy-piraci z Dreer Samher. Hedrigall był doskonałym mówcą, jako profesjonalny bajarz umiał sprawić, że jego wyjaśnienia brzmiały jak arcyciekawe historie. To była niebezpieczna cecha.

Opowiedział Bellis i jej nowym towarzyszom o wyspie anopheliusów. Ona natomiast zaczęła się zastanawiać, czy nie wzięła na siebie niewykonalnego zadania.

Na zebrania przychodził czasem Tintinnabulum. Zawsze było obecne co najmniej jedno z Kochanków. Niekiedy, co nie budziło w Bellis entuzjazmu, oparty o ścianę stał Uther Doul, z dłonią na rękojeści miecza.

Nie mogła się powstrzymać od patrzenia na niego.

Aerostat na zewnątrz zaczynał przypominać z kształtu olbrzymiego wieloryba. W środku stawiano drabiny i budowano kabiny, które nie robiły zbyt solidnego wrażenia. Całość okładano skórą nasączoną smołą i żywicą.

Najpierw był chaos części składowych, potem pocięte cielsko, potem inwestycja w budowę, a teraz wyłaniał się gigantyczny statek powietrzny, bezczelnie rozwalony na pokładzie. Wyglądał jak dopiero co wypoczwarzony owad: wciąż za słaby, żeby latać, ale już osiągnął formę zbliżoną do ostatecznej.

W upalne noce Bellis siedziała na łóżku, pociła się i paliła, drżąc ze strachu, ale i z przejęcia. Od czasu do czasu wstawiała i chodziła w kółko, aby usłyszeć dudnienie swoich stóp o metalową podłogę, rozkoszować się faktem, że jest jedynym stworzeniem w pokoju, które robi hałas.

Rozdział dwudziesty

Krótkie, niezdolnie upalne dni i niekończące się, spocone noce z upływem tygodni dni się wydłużały, ale każdego wieczoru światło słońca wciąż wczesnie gasło i rozciągnięta, lepka noc wysysała miasto z energii.

Na styku dzielnic odbywały się toczone bez większego przekonania bójki. Na przykład, gdy zbiry z Niszczukowód trafiały do tego samego baru co ekipa z Pragnieniowic. Z początku rzecz ograniczała się do rzucanych półgłosem obelg: chłopcy z Niszczuka przebąkiwali coś o kochankach wampira albo przydupasach demona. Ekipa z Pragnieniowic rzucała parę głośnych żartów na temat zboczeńców u steru i zanadto natarczywie śmiała się z kiepskich kalamburów. Potem kilka szklanek, kresek albo zaciągnięć, w ruch szły pięści, lecz bez poważnego zaangażowania, tylko tyle, aby nie ucierpiała reputacja.

A koło północy ludzie zaczęli wracać do domu, a o drugiej czy trzeciej ulice były prawie puste.

Monotonny hałas dochodzący z sąsiednich statków nie przygasał ani na chwilę. Fabryki i warsztaty w różnych dzielnicach przemysłowych, smrodzące i dymiące na tyłach starych statków, nigdy nie stawały. Nocni wartownicy krążyli w miejskich cieniach, umundurowani stosownie do okręgu.

Armada dalece różniła się od Nowego Crobuzon. Nie było tutaj wielkiej alternatywnej gospodarki śmieci, nędzy i przetrwania, piwnice pustych budynków nie dawały schronienia chmarom żebraków i bezdomnych. Nie było wysypisk do przegrzebania: ze śmieci wybierano wszystko, co nadawało się do utylizacji, a resztę wrzucano do morza razem ze zwłokami. Zostawiony w ten sposób trop szedł na dno i stopniowo rozpuszczał się w wodzie.

Na słupach i fregatach kolebały się slumsy, domostwa butwiały w słonym powietrzu i upale, wypacając materię organiczną na swoich mieszkańców. Robotnicy-kaktusy spali na stojąco, ciasno upchani tanich noclegowniach. Ale uprowadzeni z Nowego Crobuzon dostrzegali wiele różnic. Tutaj bieda znacznie rzadziej zabijała. Bójki znacznie częściej rozniecał alkohol niż desperacja. Znacznie łatwiej było znaleźć dach nad głową, nawet jeśli z sufitu odpadał tynk. Nie było włóczęgów skulonych w architektonicznych niszach i obserwujących nocnych przechodniów.

Skutek był taki, że kiedy pewien mężczyzna zmierzał nad ranem w stronę „Wielkiego Wschodniego”, nikt go nie widział.

Szedł bez pośpiechu mniej porządnymi, bocznymi uliczkami Niszczukowód. Ulicą Igielną, Łakami Krwi i przez Labirynt Wiklinoglinowy na „Sprawcy Fali”. Potem „Zwój Liny”, barkentyna obrastająca w grzybiczy kamuflaż, i batyskaf „Plengant”. Mężczyzna minął włazy i zatrzymał się w cieniu blisko wieżyczki peryskopu.

Za plecami miał nieoświetloną wieżę wiertniczą „Sorgo”, pośród gąszczu iglic i masztów.

Płaska burta „Wielkiego Wschodniego” wznosiła się obok „Plenganta” niby ściana kanionu. Z wnętrzości olbrzyma, zza jego metalowej skóry, dochodziły nieustające, przemysłowe wibracje. Na powierzchni batyskafu rosły drzewa, wpijając

się w żelazo korzeniami podobnymi do węzlastych palców. Mężczyzna szedł w ich cieniu, słysząc trzepot skrzydeł nietoperzy w górze.

Dziesięć, może kilkanaście metrów wody dzieliło okręt podwodny od klifowej ściany parowca. Mężczyzna widział na niebie światła i cienie nocnych sterowców. Latarki gwardzistów patrolujących pokład „Wielkiego Wschodniego” wylewały z siebie nikłe, ruchome promienie.

Na trawersie okrętu podwodnego znajdowała się ogromna osłona prawego koła łopatkowego „Wielkiego Wschodniego”. Deski wielkiego koła wystawały spod niej niby kostki spod spódnicy.

Mężczyzna wyszedł z cienia wątlých drzew. Zdjął buty i przypiął do paska. Upewniwszy się, że nikt nie nadchodzi i dokoła panuje cisza, podszedł do zaokrąglonego brzegu „Plenganta” i zsunął się do chłodnej wody z ledwo słyszalnym pluskiem. Nie musiał płynąć daleko aby schować się w cieniu osłony koła. Mokry, lecz wytrwały mężczyzna dźwignął się na łopatki osiemnastometrowego koła. Dzwon osłony był bardzo akustyczny, mężczyzna musiał więc poczynać sobie jak najciszej. Po wielkiej osi koła dotarł do włazu serwisowego, o którego istnieniu od dawna mało kto nawet pamiętał.

Otwieranie obrosłego strupem lat włazu ciągnęło się przez wiele minut, ale w końcu się udało i mężczyzna wpełzł do ogromnej, milczącej maszynowni dawno wydanej na pastwę kurzu.

Mijał trzydziestotonowe cylindry i gigantyczne maszyny, których nikt już nie potrzebował. Pomieszczenie było labiryntem pomostów i monolitycznych tłoków, gąszczem przekładni i kół zamachowych.

Kurz i światło były zupełnie nieruchome. Jak gdyby czas wykrwawił się do cna i skapitulował. Mężczyzna otworzył wytrychem zamek drzwi, po czym znieruchomiał z dłonią na klamce. Pamiętał rozkład statku. Wiedział, którądy ma iść, żeby wyminąć wartowników.

Dzięki naturze swej profesji znał różne zaklęcia: kody usypiające psy, hasła czyniące go przylepnym do cieni i różne inne magiczne sztuczki. Wątpił jednak, czy tutaj go ochronią.

Z westchnieniem sięgnął po zawinięty w płótno pakunek przywiązany do paska. Poczul falę strachu.

I drzenie podniecenia.

Odwinął ciężki przedmiot i pomyślał z niepokojem, że gdyby naprawdę umiał się nim posługiwać, to ten piekielny właz i niemiłe nocne pływanie przypuszczalnie rozproszyłyby się jak oddech. Wciąż był poruszającym się jak dziecko we mgle ignorantem.

Odwinąwszy do końca sztywne płótno, podniósł rzeźbę do góry.

Była większa od jego pięści, z gładkiego kamienia, czarna, szara, zielona. Była brzydka, zwinięta jak zarodek, z naciętymi liniami i spiralami, które sugerowały płetwy, macki lub fałdy skóry. Dzieło było wykonane po mistrzowsku, ale nieprzyjemne, najwyraźniej specjalnie tak pomyślane. Posążek patrzył na mężczyznę swoim jednym otwartym okiem, czarną półkulą nad okrągłymi ustami otoczonymi wianuszkami małych zębów jak u minoga. Przenikał go wzrokiem z ciemności w gardle.

Na plecach figurka miała zwinięty w ciasne fałdy ciemny płat cienkiej skóry. Kawalek tkanki. Płetwę. Wrosniętą w materię kamienia. Mężczyzna przebiegł po niej palcem. Twarz zmarszczyła mu się z obrzydzenia, ale wiedział, co musi zrobić.

Przybliżył usta do głowy posążka i zaczął coś szeptać w sykliwym języku. Spółgłoski syczące odbijały się w wielkim pomieszczeniu echem, wędrując pośród unieruchomionej maszynerii.

Mężczyzna recytował posążkowi głupekowate rymowanki i głaskał według przepisanej schematu. Palce zaczęły mu cierpnąć, jakby coś z niego wyssano.

Wreszcie przełknął ślinę i ustawił posążek twarzą do siebie. Przybliżył go, zawahał się i przekręciwszy nieco głowę w upiornej parodii namiętności, zaczął całować go w usta.

Wepchnął język w wole rzeźby. Poczuł zimne ciernie zębów i wszedł głębiej. Usta figurki były przepastne, język mężczyzny zdawał się sięgać do samego środka rzeźby. W dotyku wydawała się zimna. Wymagało od niego sporego samozaparcia, aby nie zakrzusić się stęchłym, słonym, rybim smakiem.

Kiedy mężczyzna wywijał językiem w kamiennej gardzieli, pocałunek został odwzajemniony.

Oczekiwał tego, liczył na to, ale i tak przeżył szok i dostał mdłości. Coś niewielkiego trzepocze o jego język. Zimne, mokre i nieprzyjemnie organiczne, jakby wewnątrz posążka gnieździła się gruba glista.

Przykry smak nabrał intensywności. Mężczyzna poczuł, że wszystko podchodzi mu do gardła, a żołądek kurczy się spazmatycznie, ale zatrzymał żółć w przełyku. Posążek lizał go z idiotyczną lubieżnością i mężczyzna z rezygnacją akceptował te amory. Poprosił o przysługę i został uraczony pocałunkiem.

Czuł, że ślina wypływa z niego do posążka, po czym – o zgrozo – wraca. Język mu zdrętwiał od tego śliskiego dotyku, a chłód powędrował w stronę zębów. Mijały sekundy. Mężczyzna prawie nie czuł swoich ust. Przez jego ciało przeszło narkotyczne świerzbienie, od tyłu gardła w dół.

Posążek przestał go całować, języczek został wciągnięty z powrotem.

Mężczyzna cofał język zbyt szybko i porozcinał go o obsydianowe zęby. – Nic nie poczuł i uświadomił to sobie, dopiero gdy zobaczył kapiącą na rękę krew.

Ostrożnie zawinął posążek w płótno, a potem stał i czekał, aż trunek zacznie krążyć w jego organizmie. Jego zmysły dygotały, wyostrzyły się. Uśmiechnął się niepewnie i otworzył drzwi.

Zobaczył pokryte patyną portrety olejne uciekające ku punktowi zbiegu perspektywy po obu stronach. Wyczuwał, że zbliża się ku niemu patrol gwardzistów z psami.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu. Z uniesionymi ramionami ruszył powoli przed siebie i runął, jakby miał przestrelone kolana. Czuł smak własnej krwi i słonorybnej zgnilizny posążka. Język wypełniał mu całe usta.

Mężczyzna nie upadł, tylko poruszał się teraz inaczej.

Patrzył wzrokiem posążka, przekazanym mu podczas pocałunku ślizgał się i ciekł przez przestrzenie tak, jak pragnął się poruszać posążek. Odrzucał istniejący układ korytarzy, układał je na nowo.

Mężczyzna nie szedł ani nie płynął. Podstępem wnikał w szczeliny w możliwych do zaistnienia przestrzeniach i czasem z wysiłkiem, czasem bez poruszał się kanałami, które teraz były dla niego widoczne. Kiedy zobaczył zbliżających się dwóch gwardzistów z mastyfami, miał przed sobą pustą drogę.

Nie był niewidzialny ani nie przeniósł się na inny poziom rzeczywistości. Przesunął się pod ścianę i obserwował jej fakturę, przyjrzał się jej skali, zobaczył drobiny kurzu w takim zbliżeniu, że wypełniły mu całe pole widzenia, a potem ukrył się za nimi i patrol poszedł dalej, nie zauważywszy go.

Na końcu korytarz skręcał w prawo. Po zniknięciu patrolu mężczyzna spojrzął zezem na róg ściany i niewielkim wysiłkiem zdołał użyć korytarza do pójścia w lewo.

Tym oto sposobem przemierzał „Wielki Wschodni”, mając w pamięci mapy, które oglądał. Kiedy nadchodziły patrole, różnymi metodami wykorzystywał przeciwko nim architekturę i przemykał obok nich. Kiedy trafił w pułapkę na niewłaściwym końcu długiego korytarza, mijał ich w ten sposób, że patrzył z ukosa, wyciągał ramię, chwycił za przeciwną ścianę i przeciągał się szybko za róg. Tak manewrował przestrzenią, żeby mieć drzwi pod sobą, a grawitację wykorzystywał do błyskawicznego pokonywania korytarzy.

Nowy sposób poruszania wprowadził go w rodzaj choroby lokomocyjnej, ale mężczyzna przełamał się i wytrwale zmierzał ku rufie statku.

Ku fabryce kompasów.

Fabryka była doskonale strzeżona. Otaczali ją wartownicy ze skałkowcami. Aby dotrzeć do bramy, mężczyzna musiał ostrożnie przeciskać przez warstwy ukosu i perspektywy. Schował się tuż przed wartownikami za duży, za bardzo do nich zbliżony, żeby go zobaczyli, roztyły i rozprzestrzeniony. Nachylił się nad nimi i zajrzał przez dziurkę od klucza, aby zobaczyć całe mnóstwo kółek zębatach. Pokonał drzwi i znalazł się w środku.

Pokój był opuszczony. Stoły i ławy ustawiono w rzędy. Pasy napędowe i silniki maszyn nie były w ruchu.

Tu i ówdzie leżały miedziane i mosiężne koperty przypominające wielkie zegarki z dewizką. Gdzie indziej zobaczył kawałki szkła i narzędzia do jego szlifowania. Widział także misternie rzeźbione wskazówki, łańcuchy, igły grawerskie i ciasno zwinięte sprężyny. I setki tysięcy kółek zębatach. Wielkości od małych do mikroskopijnych, jakby miniaturowych krewnych kół w maszynowni. Walały się wszędzie, niby rowkowane monety, rybie łuski albo kurz.

To był typowy zakład rzemieślniczy. Każde stanowisko obsługiwał fachowiec, niezwykle sprawny rzemieślnik, który po wykonaniu swojej części roboty przekazywał wytwarzany przedmiot dalej. Intruz wiedział, jak bardzo wyspecjalizowana jest każda faza produkcji, jak rzadkie są używane do niej materiały, jak precyzyjna musi być potrzebna do niej taumaturgia. Każdy ukończony wytwór ich pracy wart był wielokrotność swego ciężaru w złocie.

A w zamkniętej gablocie typu jubilerskiego, za biurkiem z tyłu długiego pomieszczenia, znajdowały się same kompasy.

Otworzenie gabloty zajęło mężczyźnie kilka minut pieczołowitego wysiłku. Talenty przekazane przez posążek nie straciły swojej mocy i dobrze się przystosowywał do nowego systemu percepcji, lecz i tak zadanie to pochłonęło sporo czasu.

Każdy kompas był inny. Drżącą ręką mężczyzna wyjął jeden z najmniejszych: prosty, ascetyczny model wprawiony w polerowane drewno.

Otworzył go. Do kościanej tarczy przymocowano kilka koncentrycznych kółek, niektórych opatrzonych cyframi, niektórych dziwnymi znaczkami. Na środku luźno obracała się pojedyncza czarna wskazówka.

Na odwrocie kompasu widniał numer seryjny. Mężczyzna zanotował go w pamięci i przystąpił do najważniejszego etapu swojej misji.

Szukał wszelkich pisemnych śladów istnienia tego kompasu: w kodze produkcji za gablotą, na liście sporządzanej przez metalurga wykańczającego kopertę, na liście usterek i wymienionych części.

Pracował systematycznie i po półgodzinie znalazł wszystkie wzmianki o kompasie. Położył je przed sobą i sprawdził, czy daty się zgadzają.

Busola została wykonana półtora roku temu, ale jeszcze nie zaokrętowano jej na żaden statek. Mężczyzna uśmiechnął się ostrożnie.

Znalazł pióra i atrament, po czym uważniej przyjrzał się księdze produkcji. Pilnując się, aby nie popełnić błędu, uzupełnił dane na temat kompasu. W rubryce „Zainstalowany na” wpisał datę sprzed roku – starannie przeliczywszy to na armadyjskie kwarty – i nazwę „Groźba Magdy”.

Gdyby ktoś z jakiegoś powodu szukał informacji na temat kompasu CTM4E, to teraz by je znalazł. Dowiedziałby się, że busola została przed rokiem zainstalowana na biednym „Groźbie Magdy”, statku, który kilka miesięcy temu poszedł na dno na oddalonych o tysiąc mil morskich wodach, zabierając ze sobą całą załogę i ładunek.

Po odłożeniu wszystkiego na miejsce mężczyzna miał przed sobą już tylko jedno zadanie.

Otworzył kompas, podziwiając misterność jego zegarmistrzowskich wnętrzości, wykonanych według zmodyfikowanego projektu kheprich sprzed stuleci. Rozmyślał o maleńkim odłamku kamienia, o którym wiedział, że tkwi gdzieś w głębinach statku, zamocowany przy użyciu taumaturgii homeotropicznej.

Dziesięcioma szybkimi obrotami mężczyzna nakręcił busolę.

Przyłożył ją do ucha i usłyszał niktę, prawie niesłyszalne tykanie. Spojrzał na tarczę. Współosiowe koła z szarpnięciem przyjęły nowe pozycje. Wskazówka zawirowała jak szalona, a potem zastygła wycelowana ku dziobowi „Wielkiego Wschodniego”.

Nie był to oczywiście konwencjonalny kompas. Wskazówka nie wskazywała kierunku północnego.

Wskazówka była zwrócona ku kawałkowi kamienia, który był zamocowany taumaturgicznie, zamknięty w szkłe albo zaspawany żelazem, zależnie od tego, w którą pogłoskę się wierzyło. Spadł z nieba i pochodził z jądra słonecznego, pochodził z piekła.

Przez lata, aż do rozkręcenia się sprężyny, kompas miał precyzyjnie pokazywać na magnetyczny kamień miasta, kamiennego boga tkwiącego we wnętrzościach „Wielkiego Wschodniego”.

Mężczyzna ciasno zawiązał kompas w nasączoną oliwą szmatę, a potem w skórę, po czym włożył go do kieszeni.

Wiedział, że zbliża się świt. Był wyczerpany. Z coraz większym trudem patrzyło mu się na kąty i płaszczyzny pomieszczenia, na ściany materiały i przestrzenność fabryki, tym innym niż zazwyczaj wzrokiem. Westchnął ze smutkiem w sercu. Tracił moce przekazane mu przez posążek, a przecież musiał jakoś się stamtąd wydostać.

Zwilżywszy wargi i poruszywszy językiem, otoczony przez funkcjonariuszy, którzy zabiliby go już za samą wiedzę o istnieniu fabryki, zaczął ponownie odwijać posążek.

Interludium IV. GDZIE INDZIEJ

Naprzód, dalej, naprzód.

Woda jest jak pot i naszym wielorybom to się nie podoba.

Ale to nic.

Na południe.

Szlak został wytyczony.

Na umiarkowane, a potem na ciepłe morza.

Kamienny krajobraz podmorski był tutaj niezwykle dramatyczny: poszarpane szczeliny w skorupie świata. Atole i rafy koralowe wykwiwały z głębokiej wody kalejdoskopem żywych barw. Woda była używana przez gnijące liście palm, lotosy i zwłoki unikatowych stworzeń: ziemnowodnych istot pływających w błocie, ryb oddychających powietrzem, wodnych nietoperzy.

Na każdej z wysp roilo się od nisz ekologicznych i każdą z nich zasiedlało jakieś dziwne zwierzę. A czasami dwa lub więcej gatunków, walczących między sobą o hegemonię.

Myśliwi wyprawiali się na płycizny, do słonych lagun i jaskiń. To, co tam znaleźli, zjadali.

Wieloryby jęczały, zawodziły i błagały o powrót do zimnych wód. Ich panowie ignorowali je lub karali, przypominając im, czego tutaj szukają.

Myśliwi zwrócili uwagę na temperaturę wody, nową charakterystykę światła i krystaliczne barwy otaczających ich ryb, ale nie narzekali. Byłoby nie do pomyślenia, żeby się tym przejmowali w sytuacji, gdy zwierzyna wciąż hasa swobodnie.

„Na południe”, rozkazali. Nawet kiedy wieloryby zaczęły jeden po drugim zdychać, bo ich organizmy padały ofiarą nieznanym im ciepłowodnych wirusów, zszarzała skóra gnęła i odpadała, a gigantyczne cielska wzdymały się od gazu, wyskakiwały cuchnące i zaropiałe na powierzchnię, gdzie były rozszarpywane przez padlinożerne ptaki, po czym kości i resztki mięsa spadały w ciemną toń, nawet wówczas ich panowie nie wahali się.

„Na południe”, mówili i podążali szlakiem wiodącym na morza tropikalne.

CZĘŚĆ CZWARTA. KREW

Rozdział dwudziesty pierwszy

Migalec, 29 lunuara 1780 – albo ósmy bookdi
jastrzębiego dzioba kwarta 6/317, jak wolisz. Na „Trójzębie”.

Kolejne uzupełnienie tego listu. Minęło już trochę czasu, odkąd ostatni raz zasiadłam do pisania. Przeprosiłabym, gdyby to miało jakikolwiek sens. Z jakiegoś powodu mam absurdalne poczucie, że powinnam. Jakbyś na bieżąco czytał to, co piszę, i denerwował się opóźnieniami. Rzecz jasna, kiedy nareszcie dostaniesz ten list, nie będzie różnicy między milczeniem jednodniowym, tygodniowym i rocznym – pusta linijka, kilka gwiazdek. Moje miesiące zostaną sprasowane. Ale zagubiłam się w czasie.

Wdaję się w dygresje, i to niezbyt dorzeczne. Wybacz mi.
Jestem podekscytowana i jakby wystraszona.

Piszę to, siedząc w kiblu. Jestem przy oknie i oblewa mnie poranne słońce. Znajduję się setki metrów nad powierzchnią morza.

Przyznaję, że z początku robiło to na mnie ogromne wrażenie. Było przejmująco pięknie. Z czasem monotonia zmarszczonej wody i płaskiego nieba, okazjonalnie urozmaicana przez jakąś chmurę, sprawia wrażenie kiepskiego obrazu.

Tutejsze morze jest zupełnie puste. Od horyzontu dzieli mnie z sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, dziewięćdziesiąt mil morskich i nie widzę ani jednego żagla, ani jednego skifu czy łodzi rybackiej. Kolor wody oscyluje między zielonym, niebieskim i szarym, zależnie od nie wiem czego pod powierzchnią.

Prawie w ogóle się nie czuje, że lecimy. Odczuwamy oczywiście wibracje silników parowych i wielkich śmigieł, ale nie ma pojęcia przyspieszenia, ruchu ani kierunku.

„Trójzab” to niesamowity pojazd. Nie ulega wątpliwości, że Niszczukowody wkładały w tę wyprawę ogromny wysiłek organizacyjny i finansowy.

To musiał być niezwykle widok, kiedy „Trójzab” dźwignął się z pokładu „Wielkiego Wschodniego”. Już dostatecznie długo wisi nad oceanem, podniesiony na rusztowaniu, żeby kabestany i luki na pokładzie nie przeszkadzały w budowie. Jestem przekonana, że ludzie się zakładali, czy nie spadnie do morza albo na miasto. Ale wystartowaliśmy bez problemu. Było późne popołudnie zza horyzontu wypęły już ciemności. Ależ to musiał być widok – „Trójzab” wisi jak bogowie wiedzą co, większy niż dziewięćdziesiąt procent statków w mieście, nowy i wypucowany.

Zabraliśmy ze sobą coś przedziwnego. Między silnikami wisi zagroda pełna owiec i świń.

Dla zwierząt przygotowano zapas wody i karmy na dwudniową podróż. Między klepkami podłogi widzą otchłań powietrza. Miałam obawy, że wpadną w panikę, ale one potrafią tylko gapić się na chmury pod kopytami i racicami, z tępą obojętnością. Są zbyt głupie, żeby odczuwać strach. Lęk wysokości to dla nich zbyt skomplikowany stan psychiczny.

Siedzę w małej ubikacji, między trzodą a kabiną kontrolną, z której kapitan i jego załoga sterują nami. Przy korytarzu od głównej sali.

Od czasu odlotu przysłałam tutaj kilka razy, żeby pisać.

Inni spędzają czas na beczynnym siedzeniu, szeptaniu lub grze w karty. Niektórzy zapewne siedzą w swoich kajutach na górze, pod komorami gazowymi. A może jeszcze raz słuchają wykładu na temat czekających ich zadań. Albo trenują.

Moja rola jest prosta i została mi precyzyjnie nakreślona. Po tylu tygodniach i tysiącach kilometrów znowu słyszę, że mam być jak przewodnik prądu, że będę tylko przepuszczała przez siebie informacje, że nie będę słyszała tego, co jest mówione.

Potrafię tak. A na razie nie mam nic do roboty oprócz pisanie.

Jeśli tylko się nadawali, do tej misji wybierano ludzi-kaktusów. Co najmniej pięćdziesiąt z obecnych na pokładzie było przed laty na wyspie anopheliusów. Oczywiście Hedrigall, a także inni, których nie znam.

To rodzi kwestię dezercji. Rzadkością jest, żeby armadyjscy uprowadzeni wchodzili w styczność ze swoimi dawnymi ziomkami ale na wyspie z pewnością są jacyś Samheryjczycy. Bez tego moje zadanie byłoby niewykonalne. Jak rozumiem, ludzie-kaktusy którzy z nami lecą, mają powody, aby nie chcieć wracać do swojej pierwszej ojczyzny. Są jak Johannes albo Hedrigall, albo Tanner, przyjaciel Szekla – lojalni wobec swego przybranego kraju.

Chociaż co do Hedrigalla mam pewne wątpliwości. Zna Silasa – a w każdym razie Simona Fencha.

Nikt nie wie lepiej ode mnie, że władzom Niszczukowód zdarzają się pomyłki w ocenie, komu można zaufać.

Dreer Samher to pragmatyczny kraj. Na morzu spotkanie okrętów samheryjskich ze statkami z Perrick Nigh albo Wysp Mandragory z reguły oznacza bitwę, ale z Armadą Samheryjczycy utrzymują poprawne stosunki, bo tak jest bezpieczniej. Poza tym będą w porcie. Tutaj funkcjonuje azyl portowy, tak jak na lądzie obowiązuje prawo handlowe, a jest to mocny kodeks, przestrzegany i administrowany przez tych, którzy mu podlegają.

Leci z nami Tanner Sack i widzę po nim, że wie, kim jestem. Patrzy na mnie może z niesmakiem, może z nieśmiałością, może z jeszcze jakimś innym uczuciem, nie mam pojęcia. Na pokładzie jest też Tintinnabulum i kilka osób z jego ekipy. Nie ma Johannaesa – z czego bardzo się cieszę.

Nasi naukowcy tworzą dziwną kolekcję. Uprowadzeni wyglądają mniej więcej tak, jak w moim mniemaniu powinni wyglądać uczeni. Armadyjczycy wyglądają jak piraci. Mówi mi się, że ten jest matematykiem, ten biologiem, ten oceanologiem, a na moje oko to jeden w drugiego piraci, pokryci bliznami, wojowniczy, w podartych strojach.

Strażnicy wywodzą się spośród ludzi-kaktusów i strupodziejów. Widziałam od środka ich arsenał, w którym mają kuszarpacze, skałkówki i bułaty. Zabrali ze sobą czarny proch i coś, co wygląda mi na maszyny wojenne. Gdyby ludzie-moskity nie chcieli z nami współpracować, mamy mnóstwo środków perswazji.

Szefem straży jest Uther Doul, a jemu wydaje rozkazy połowa pary rządzącej w Niszczukowodach, czyli Kochanka.

Doul chodzi od pomieszczenia do pomieszczenia. Odnoszę wrażenie, że najwięcej rozmawia z Hedrigallem. Wydaje się zaniepokojony. Staram się unikać jego wzroku.

Intryguje mnie jego prezencja, jego niezwykły głos. Nosi mundur z szarej skóry, mocno pokancerowany, ale nieskazatelnie czysty. W prawy rękaw tuniki wplecione są druty, które ciągną się do paska. Na lewym biodrze Doul nosi miecz i jest najeżony pistoletami.

Pocięta bliznami twarz Kochanki budzi za to we mnie lekką odrazę. Znałam ludzi – niektórych intymnie – znajdujących spełnienie w bólu, włączających go do swojego życia seksualnego i chociaż skłonność ta wydaje mi się nieco absurdalna, zasadniczo nic przeciwko niej nie mam. Nie to nie podoba mi się u Kochanków. Mam wrażenie, że ich samookaleczanie się jest sprawą uboczną. Mój niepokój budzi coś, co zachodzi między nimi na głębszym poziomie.

Staram się unikać spojrzenia Kochanki, ale znaki na jej twarzy chorobliwie mnie przyciągają. Jakby tworzyły jakiś mesmeryzujący wzór. Lecz kiedy spozieram na nie ukradkowo między palcami, nie dostrzegam niczego romantycznego, tajemnego ani mistycznego – po prostu ślady po starych ranach. Po prostu blizny.

Później, tego samego dnia.

Silas dostarczył potrzebne materiały na ostatnią chwilę. Jakby dla lepszego efektu dramaturgicznego.

Podziwiam jego metody.

Od czasu naszej lakonicznej rozmowy w parku Rzeźb zastanawiałam się, w jaki sposób przekaże mi te rzeczy. „Moje mieszkanie jest pilnowane, obserwują mnie, co mam zrobić?”

Po przebudzeniu rankiem 26 lunuara przesyłkę od Silasa zna łąłam na podłodze.

Ostentacyjny popis prestidigitatorski. Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu, kiedy na suficie zobaczyłam kawałek żelaza świeżo przyśrubowany, aby zakryć kilkunastocentymetrową dziurę.

Silas wdrapał się na wierzchołek komina „Chromolitu”, na dach z cienkiego metalu, który podczas deszczu dudni jak bęben orkiestrowy, i wyciął w nim dziurę. Wrzuciwszy przesyłkę do środka, zachował się jak uczciwy włamywacz i przykręcił brakujący element dachu. A wszystko zupełnie bezdźwięcznie: nie obudził mnie ani nie zaalarmował tych, którzy obserwowali moje mieszkanie.

Kiedy wykonuje takie sztuczki, i to pod presją łatwo sobie wyobrazić, że mógł pracować dla rządu. Chyba powinnam dziękować bogom, że mam go po mojej stronie, i Nowe Crobuzon też.

Ucieszyłam się, że się nie spotkaliśmy. Czuję się teraz bardzo daleka od niego. Nie życzę mu źle. Dostałam od niego coś, co było mi potrzebne, i mam nadzieję, że mu się zrewanżowałam, ale na tym koniec. Jesteśmy przypadkowymi współpracownikami, to wszystko.

Do skórzanego woreczka Silas włożył kilka rzeczy. Napisał do mnie list, w którym wszystko mi wytłumaczył. Przeczytałam go uważnie, zanim przejrzałam resztę zawartości woreczka.

Były tam inne listy. Napisał do kapitana piratów, którego mamy nadzieję znaleźć, dwa egzemplarze, w ragamoll i salt. „Do osoby, która zgodzi się przewieźć tę korespondencję do Nowego Crobuzon” – tak brzmią pierwsze słowa.

List jest oficjalny i rzeczowy. Obiecuje czytelnikowi, że za bezpieczne dostarczenie zapieczętowanego listu pod wskazany adres otrzyma wynagrodzenie. Że z mocy uprawnień nadanych bezterminowo prokurentowi Fennecowi, numer licencji taki a taki, przez burmistrza Benthama Rudguttera i urząd miejski nakazuje się traktować okazicieli tego listu jako honorowych gości Nowego Crobuzon, ich statek należy zaopatrzyć zgodnie z ich życzeniami i mają otrzymać honorarium w wysokości trzech tysięcy gwinei. Przede wszystkim zaś rząd Nowego Crobuzon ma wystawić specjalny darniowy patent kaperski, na mocy którego ich jednostka ma być przez jeden rok chroniona przed atakami marynarki Nowego Crobuzon, chyba że sama zaatakuje okręt tego kraju.

Suma jest bardzo kusząca, ale liczymy przede wszystkim na to, że do wyobraźni ludzi-kaktusów przemówi list żelazny. Silas proponuje im status legalnego pirata bez opłat. Mogą sobie łupić, ile dusza zapagnie, nie płacąc za to złamanego stivera, a marynarka crobuzońska nie będzie ich ścigać – będzie ich wręcz chroniła, przez cały okres obowiązywania umowy.

Bardzo silna zachęta.

U dołu listów Silas złożył swój podpis, a na ledwo widocznych hasłach uwierzytelniających odcisnął woskową pieczęć parlamentu Nowego Crobuzon.

„Nie wiedziałam, że ma taką pieczęć”. To dziwne zobaczyć ją tutaj, tak daleko od kraju. Wygląda bardzo gustownie: stylizowany mur, fotel i insygnia urzędu, a pod spodem, maleńkimi cyferkami, numer identyfikacyjny Silasa. Pieczęć jest powszechnie uznawanym symbolem.

Co więcej, Silas mi ją dał.

Ale do kwestii sygnetu wrócę później.

Drugi list jest znacznie dłuższy. Zajmuje cztery strony, napisane stylem eleganckim, ale lapidarnym. Przeczytałam go uważnie i zmroził mnie.

Skierowany do burmistrza Rudguttera zawiera skrót planu inwazji grindylów.

Znaczna część jest dla mnie niejasna. Silas posłużył się bowiem lakoniczną stenografią zbliżoną do szyfru – nieznane mi skróty i odniesienia do rzeczy, o których nigdy nie słyszałam – ale ogólny sens nie budzi wątpliwości.

„Status siedem”, czytam u góry pierwszej strony. „Kod: grot”. Chociaż nie rozumiem tych słów, dostaję gęsiej skórki na ich widok.

Uświadamiam sobie, że Silas oszczędzał mi szczegółów; najbardziej wątpliwa przysługa, jaką można komuś wyświadczyć. Dobrze znane sobie plany inwazji przedstawił precyzyjnym, pozbawionym emocji językiem. Ostrzega, że jednostki i szwadrony o takiej a takiej liczebności będą wyposażone w tajemnicze uzbrojenie określone jedną literą lub sylabą, co wcale nie umniejsza grozy.

„Półregiment Mędrcy z Kości Słoniowej/Groac'h na południe wzdłuż Raka wyposażony w E.Y.D. i zdolność P-T, Trzecia Kwadra Księżyca”, czytam, i skala tego, co nas czeka, przeraża mnie. Nasza wcześniejsza chęć ucieczki, wysiłek, jaki wkładaliśmy w skupianie się na tym, teraz mnie zawstydzają, wydaje mi się taka małoduszna.

Zawarte tutaj informacje wystarczą do obrony miasta. Silas wywiązał się ze swoich obowiązków.

U dołu listu znowu widnieje pieczęć miasta, uwiarygodniając go, na przekór bezdusznemu, banalnemu językowi czyniąc go straszliwie realnym.

Listom towarzyszy pudełko, a raczej szkatułka na biżuterię, prosta, solidna, z bardzo ciężkiego ciemnodrzewu. W środku, na miękkiej wyściółce, spoczywa wisiołek i sygnet.

Sygnet jest dla mnie. Na dużej, okrągłej tarczy ze srebra i jadeitu znajduje się odwrócony wzór pieczęci. Artyzm wykonania zapiera dech. Wewnątrz obrączki Silas umieścił bryłkę czerwonego wosku pieczęciowego.

Sygnet jest mój. Pokazawszy kapitanowi listy i medalik, zamknę je na kluczyk w szkatułce, szkatułkę włożę do skózanego woreczka, woreczek zalepię woskiem, który opieczętuję, a sygnet zachowam. W ten sposób kapitan będzie wiedział, co jest w środku, będzie wiedział, że go nie oszukujemy, ale chcąc, żeby adresaci mu uwierzyli i wynagrodzili go, nie będzie mógł nic podmienić.

Muszę wyznać, że kiedy rozważam ten łańcuch wydarzeń, niełatwo mi przychodzi odegnać pesymistyczne myśli. Wszystko wydaje się takie niepewne. Wzdycham, kiedy piszę te słowa. Nie będę o tym więcej myślała.

Wisiołek ma popłynąć za morze. W odróżnieniu od sygnetu jest bardzo prosty, zaprojektowany z pominięciem względów estetycznych. Zwykły, cienki łańcuszek z żelaza. Na końcu brzydka metalowa płytką ozdobiona jedynie numerem seryjnym, odcisniętym symbolem – dwie sowy pod sierpem księżyca – i trzy słowa: „Silas Fennec Prokurent”.

„To moje uwierzytelnienie” – pisze do mnie Silas w liście, „ostateczny dowód na to, że listy są autentyczne. Że jestem stracony dla Nowego Crobuzon i że to jest mój list pożegnalny”.

Jeszcze później. Niebo ciemnieje

Jestem wzburzona.

Uther Doul przemówił do mnie.

Byłam na pokładzie mieszkalnym nad gondolą, żeby się załatwić. Rozbawiła mnie myśl o naszych skomasowanych stolcach i moczu lejącym się kaskadą z nieba.

Z głębi korytarza dobiegło mnie jakieś szuranie i zobaczyłam światło w drzwiach. Zajrzałam do środka.

Kochanka się przebierała. Wstrzymałam oddech.

Plecy miała tak samo pocięte bliznami jak twarz. W większości wyglądały one na dawno powstałe, tkanka zrobiła się już bladoszara. Ale kilka było świeżych, krwistoczerwonych. Znaki rozciągały się aż na pośladki. Wyglądała jak napiętnowane zwierzę.

Nie mogłam powstrzymać sapnięcia.

Kochanka odwróciła się niespiesznie na ten dźwięk. Zobaczyłam piersi i mostek, tak samo pokaleczone jak plecy. Patrzyła na mnie, wkładając koszulę. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Wyjąkałam jakieś przeprosiny, szybko się odwróciłam i ruszyłam ku schodom. Ze zgrozą zobaczyłam jednak, że z tego samego pokoju wyłania się Uther Doul i mierzy mnie wzrokiem, z dłonią na rękojeści swojego zasranego miecza.

List, który teraz piszę, palił mnie w kieszeni. Miałam przy sobie materiał dowodowy, który pozwoliłby na skazanie mnie i Silasa na śmierć za zbrodnie przeciwko Niszczukowodom – co przy okazji oznaczałoby wyrok śmierci również dla Nowego Crobuzon. Strasznie się bałam.

Udawszy, że nie widziałam Doula, zesłam do głównej gondoli i zajęłam stanowisko przy oknie, w panice oglądając cirrusy. Miałam nadzieję, że Doul da mi spokój.

Przeliczyłam się. Przyszedł do mnie.

Poczułam, że staję koło mojego stolika i długo czekałam na to, że pójdzie sobie, nie odezwawszy się ani słowem, po zakończeniu operacji zastraszania. Ale nie poszedł. W końcu, jakby wbrew sobie, odwróciłam głowę i spojrzałam na niego.

Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu. Ogarniał mnie coraz większy lęk, chociaż nie dawałam tego po sobie poznać. Przemówił. Zapomniałam, jak piękny ma głos.

– Nazywają się freggio – zaczął. – Blizny. Nazywają się freggio – Pokazał na krzesło naprzeciwko mnie i spytał, skłoniwszy głowę: – Mogę usiąść?

Co miałam na to rzec? Czy mogłam powiedzieć: „Nie, chcę być sama” do prawej ręki Kochanków, ich ochroniarza i siepacza, najgroźniejszego człowieka na Armadzie? Zacisnęłam usta i wzruszyłam uprzejmie ramionami, jakbym mówiła: „Nic mi do tego, gdzie pan siada”.

Położył splecione dłonie na stole. Mówił pięknie, a ja nie przerywałam mu, nie wstałam, nie zniechęcałam go ostentacyjnym brakiem zainteresowania. Częściowo, rzecz jasna, bałam się o swoje życie i bezpieczeństwo, serce waliło mi jak młotem.

Ale trzymała mnie tam również jego oracja: Doul mówi tak, jakby czytał z książki, każde zdanie starannie utoczone, jakby napisane przez poetę. Nigdy czegoś takiego nie słyszałam. Patrzył mi w oczy i odniosłam wrażenie, że nie mruga.

To, co mi mówił, zafascynowało mnie.

– Oboje są uprowadzonymi – powiedział. – Kochankowie. – Jestem przekonana, że wybałuszyłam oczy. – To było przed dwudziestoma pięcioma, trzydziestoma laty. Najpierw przybył on. Był rybakiem. Chłopem wodnym z północnego krańca Shards. Spędził całe życie na tych skałach, zarzucając sieci i wędki, patrosząc, czyszcząc, filetując i odzierając ze skóry ryby. Nieuk i tępak. – Patrzył na mnie oczami o

ciemniejszym odcieniu szarości niż jego zbroja. – Pewnego dnia wypłynął łodzią wiosłową trochę za daleko i porwał go wiatr. Trafił na niego statek zwiadowczy z Niszczukowód, zabrali mu połów i zastanawiali się, czy pozbawić przerażonego, chudego chłopaczka życia. W końcu wzięli go do miasta. – Zaczął delikatnie masować sobie ręce palcami. – Ludzie są kształtowani, gruchotani i przetwarzani przez swoje okoliczności życiowe – podjął. – Po trzech latach chłopak rządził Niszczukowodami. – Uśmiechnął się. – Niecałe trzy kwarty później jeden z naszych pancerników zatrzymuje statek, dziwny i wygięty do tyłu słup, płynący z Perrick Nigh do Myrshock. Okazuje się, że płynie nim jedna ze szlacheckich rodzin z Figh Vadios – mąż, żona i córka przenoszą się z całą świtą na stały ląd. Ładunek przejęto, a pasażerowie nikogo nie interesowali i nie mam pojęcia co się z nimi stało. Może ich zabito, nie wiem. Wiadomo natomiast, że pośród służby, którą uprowadzono i powitano w mieście jako nowych obywateli, była pokojówka, która wpadła w oko nowemu władcy. – Spojrzał na niebo. – Ci, którzy byli wtedy na spotkaniu powitalnym na pokładzie „Wielkiego Wschodniego”, mówią że stała dumnie wyprężona i patrzyła na władcę z krzywym uśmieszkiem, nie błagalnym ani przerażonym, tylko z uśmiechem kobiety, której podoba się to, co ma przed oczyma. Kobiety nie mają lekkiego życia na północnych Shards – mówił. – Na każdej wyspie panują inne obyczaje i prawa, które bywają nieprzyjemne. Na niektórych wyspach zaszywa się kobietom usta – powiedział ze znaczącym spojrzeniem. Wytrzymałam jego wzrok: nie daję się łatwo zastraszyć. – Albo wycina przyrodzenie. Albo trzyma na łańcuchach w domach, żeby służyły mężczyznom. Na rodzinnej wysepce naszej szefowej nie było aż tak ciężko, ale w wyolbrzymionym stopniu występowały tam pewne elementy, które być może pani zna z innych kultur. Na przykład crobuzońskiej. Swoiście pojmwana sakralizacja kobiety. Pogarda skrywana pod maską adoracji. Na pewno mnie pani rozumie. Publikowała pani swoje książki jako B. Coldwine. Jestem przekonany, że mnie pani rozumie. – Przyznaję, że to mną wstrząsnęło. Że tak dużo o mnie wiedział, że rozumiał powody, dla których uciekałam się do tego niewinnego kamuflażu. – Na wyspie szefowej mężczyźni wypływają w morze, zostawiając swoje żony i kochanki, a żadne obyczaje czy tradycje nie potrafią skleić ze sobą ud kobiety. Mężczyzna, który kocha kobietę dostatecznie namiętnie, a w każdym razie tak mocno i tak mu się wydaje, czuje ból w sercu, kiedy ją opuszcza. Doskonale wie, jak nieodparte są jej powaby. W końcu sam im uległ. Musi je więc zredukować. Na wyspie szefowej mężczyzna, który kocha dostatecznie mocno, potnie twarz swojej kobiety... – Patrzyliśmy sobie bez ruchu. – Oznaczy swoją własność, pokarbuje jak drewno. Oszepeci ją akurat na tyle, żeby nikt inny jej nie zechciał. Blizny nazywają się freggio.

– Szefem zawładnęła miłość, chuć czy jakaś kombinacja uczuć i popędów. Zalecał się do niej i szybko ją zdobył, z męską asertywnością, w której był wychowany. Jak głosi wieść gminna, nie był jej wstrętny i została jego nałożnicą. W dniu, w którym uznał, że ona bez reszty należy do niego, po stosunku wyjął nóż i z nieporadną brawurą pociął jej twarz. – Doul urwał, po czym uśmiechnął się ze szczerą radością. – Nie broniła się. Pozwoliła mu to zrobić. A potem wzięła od niego nóż i pocięła jego.

– To było wspólne przedsięwzięcie – dodał spokojnie. – Na pewno pani dostrzeża, jakie to sztuczne. Szef pokazał charakter, tak szybko wznosząc się na szczyt kariery, ale pozostał chłopem uprawiającym chłopskie zabawy. Być może autentycznie w to wierzył, kiedy jej powiedział, że tnie ją z miłości, bo inaczej inni mężczyźni nie umieliby oprzeć się jej urokom, ale tak czy inaczej, było to kłamstwo.

Oznaczał swoje terytorium jak sikający pies. Informował innych, gdzie zaczynają się jego włości. A ona w rewaniu pocięła jego. – Doul znowu się do mnie uśmiechał. – To było niespodziewane. Własność nie oznacza swego właściciela. Nie walczyła z nim, tylko wzięła go za słowo. Krew, rozerwana skóra i tkanka, skrzep i blizna to świadectwa miłości, a przecież ona też go kocha... Udając, że freggio są tym, czym on je nazywa, uczyniła z nich coś znacznie ważniejszego. Zmieniając ich charakter, zmieniła też jego samego. Pokryła bliznami nie tylko jego twarz, ale i kulturę. Od tej pory znajdowali w sobie nawzajem siłę i pociechę. W tych ranach, które nagle się uświęciły, znaleźli żarliwość i więź. Nie wiem, jak w pierwszej chwili zareagował, ale od tej nocy nie była już jego kurtyzaną, tylko równoprawnym partnerem. Tej nocy stracili swoje nazwiska i stali się Kochankami. I mieliśmy w Niszczukowodach dwoje władców. Ale w swojej jednomyślności byli znacznie bardziej zdecydowani niż którykolwiek jednoosobowy władca w przeszłości. I wszystko się dla nich otworzyło. Tej nocy nauczyła go, jak zmieniać reguły, jak je przekraczać. Przeobraziła to na swoje podobieństwo. Była spragniona przemian. I do dzisiaj tak pozostało. Wiem o tym lepiej od większości mieszkańców dzielnicy: po moim przybyciu bardzo entuzjastycznie podchodziła do tego, co robiłem – mówił bardzo miękko, z namysłem. – Bierze wszelką wiedzę, jaką wnoszą ze sobą nowi przybysze, i przetwarza ją z energią i zapałem, któremu nie sposób się oprzeć. Choćby ktoś bardzo tego chciał. Ci dwoje co dzień na nowo wielbią cel który im przyświeca. Stale pojawiają się nowe freggio. Ich ciała i twarze stały się mapami ich miłości. Z upływem lat jej zmienna geografia staje się bardziej wyrazista. Zawsze jeden za jeden: znaki szacunku i równości.

Milczałam, od wielu minut nie odezwałam się ani słowem, ale monolog dobiegł końca i Doul czekał na moją reakcję.

– Czyli pana przy tym nie było? – spytałam w końcu.

– Zjawiłem się później – odparł.

– Urowadzony? – dociekałam zaskoczona, ale on znowu pokręcił głową.

– Przybyłem z własnej woli. Kilkanaście lat temu znalazłem Armadę.

– Dlaczego pan mi to wszystko mówi? Wzruszył nieznacznie ramionami.

– To ważne, żeby pani rozumiała. Widziałem, że wystraszyła się pani blizn. Powinna pani wiedzieć, co pani ma przed oczyma. Powinna pani wiedzieć, kto nami rządzi, znać ich pobudki i namiętności. Powinna pani wiedzieć, skąd bierze się ta energia i pasja. Niszczukowody zawdzięczają swoją siłę właśnie ich bliznom.

Bez słowa więcej skłonił głowę i zostawił mnie. Czekałam kilka minut, ale nie wrócił.

Jestem głęboko poruszona. Nie rozumiem, co się stało, dlaczego ze mną rozmawiał. Kochanka go wysłała? Poleciała mu, żeby mi opowiedział jej historię czy też Doul realizuje jakieś swoje cele. Wierzy we wszystko, co mi powiedział?

„Niszczukowody zawdzięczają swoją siłę właśnie ich bliznom”, mówi mi, a ja zostaję z pytaniem, czy przypadkiem nie przeoczył innej możliwości. Naprawdę nie zauważył? Czy to zbieg okoliczności, że trzy najważniejsze osoby w Niszczukowodach, a tym samym w całej Armadzie, a tym samym na morzach, są cudzoziemcami? Że nie urodzili się w granicach Armady? Ze umysłowość i charakter ukształtowały się poza czymś, co z konieczności jest i będzie tylko zbieraniną starych łodzi, małym miastem, nawet jeśli najniezwyklejszym w dziejach Bas-Lag, ich horyzont wykracza poza drobne rabunki i klaustrofobiczną dumę Armady?

Nie są więźniami dynamiki Armady. Jakie mają priorytety? Chcę poznać imiona Kochanków.

Kiedy Uther Doul nie walczy, do dzisiaj wspominam to że jego twarz jest prawie nieruchoma. Przykuwa uwagę i ma w sobie odrobinę tragizmu. Prawie nie sposób odgadnąć, co Doul myśli i jakie ma poglądy. Może sobie mówić, co chce, ja widziałam blizny Kochanki, które są brzydkie i nieprzyjemne. Nie zmieni tego fakt, że są świadectwem jakiegoś obrzydliwego rytuału, jakiejś gry dla zatrzymanych w rozwoju emocjonalnym.

Są brzydkie i nieprzyjemne.

Rozdział dwudziesty drugi

Trzydzieści sześć godzin po tym, jak aerostat wzbił się nad Armadę i skierował na południowy zachód, zza horyzontu zaczął się wyłaniać ląd.

Bellis niewiele spała, ale nie była zmęczona i na drugi dzień wstała o piątej, żeby z jadalni oglądać świt.

Kiedy weszła na salę, zastała tam już innych: kilku członków załogi, Tinnabuluma i jego towarzyszy, a także Uthera Doula. Zadrżała z lekka na jego widok. Jego sposób bycia, jeszcze bardziej powściągliwy i zdystansowany niż jej własny, wytrącał ją z równowagi i nie rozumiała jego zainteresowania jej osobą.

Zauważył ją i bez słowa pokazał na okna.

W bezsłonecznym świetle przedświt woda na dole rozbijała się o skały. Trudno było ocenić wielkość tych formacji geograficznych oraz ich odległość od aerostatu. Beładna grupa kamieni podobnych do wielorybich grzbietów, o średnicy nie większej niż półtora kilometra, tylko nieliczne przewyższały rozmiarami Armadę. Bellis nie zauważyła żadnych ptaków czy innych zwierząt – nic tylko ponura brązowa skała i zieleń buszu.

– Dotrzemy na wyspę w ciągu godziny – powiedział ktoś.

Na aerostacie rozbrzmiewały odgłosy krzątania, której charakteru Bellis nie rozumiała i nie miała ochoty zrozumieć. Wróciła do swojej kabiny i szybko się spakowała, a potem usiadła w jadalni w czarnym ubraniu, z torbą podróżną u stóp. Między zapasowymi spódnicami krył się skórzany woreczek od Silasa Fenneca, oprócz dostarczonych przez niego materiałów zawierający również pisany przez Bellis list.

Załoga łaziła tu i tam, wywarkując niezrozumiałe rozkazy. Ci, którzy nie mieli nic do roboty, zebrali się pod oknami.

Aerostat znacznie zmniejszył wysokość. Znajdowali się około trzy stu metrów nad wodą i powierzchnia morza utraciła swoją pozom jednolitość. Zmarszczki przerodziły się w kształty fal, pianę, prądy, kolory raf i lasy wodorostów w głębinach. A to... Czy to jest wrak?

Zmierzali prosto ku wyspie. Bellis zadrżała na jej widok: sroga skała w gorącym morzu, długa na jakieś czterdzieści pięć, a szeroka na ponad trzydzieści kilometrów. Rzeźbę terenu urozmaicały pagórki w pylistym kolorze i niezbyt wysokie góry.

– Na słoneczne gównie, nie sądziłem, że jeszcze kiedyś będę musiał oglądać to miejsce! – powiedział Hedrigall w salt z akcentem sunglaryjskim. – Od dalszego brzegu do Gnurr Kett dzieli ją ponad dwieście dwadzieścia kilometrów. Ludzie-moskity nie są zbyt wytrzymali w powietrzu. Nie ulecą więcej niż dziewięćdziesiąt kilometrów. To dlatego obywatele Gnurr Kett pozwalają im żyć i handlują z nimi za pośrednictwem takich jak ja i moi dawni towarzysze. Wiedzą, że oni nigdy nie dotrą na stały ląd. Ta wyspa jest ich gettem – powiedział, szarpnąwszy grubym, zielonym kciukiem.

Wokół wybrzeża krążyły sterowce. Bellis z uwagą obserwowała wyspę. Nie było czego oglądać, żadnych śladów życia poza roślinnością. Ciarki ją przeszły, kiedy sobie uświadomiła, że niebo jest puste: nie było ptaków. Nad wszystkimi innymi mijanymi wysepkami unosiły się chmary pierzastych stworzeń, a przybrzeżne skały były oblepione guanem. Każdy skrawek lądu wieńczyły wianuszki mew, które pikowały do ciepłej wody za rybami albo unosiły się na prądach termicznych.

Powietrze nad wulkanicznymi klifami wyspy ludzi-moskitów było ciche jak skała.

Aerostat leciał nad tymi milczącymi, ochrowymi wzgórzami. Środkowa część wyspy była ukryta za kamiennym grzbietem, biegnącym równolegle do brzegu. Przeciągłą ciszę zakłócały tylko silniki i wiatr. Kiedy ktoś nareszcie się odezwał, krzycząc: „Patrzcie!”, zabrzmiało to inwazyjnie i natrętnie.

Autorem okrzyku był Tanner Sack. Pokazał na niewielką łąkę płożącej się trawy, otoczoną skałami, które osłaniały ją przed natarczywością fal.

– Owce – powiedział po chwili Hedrigall. – Zbliżamy się do wioski. Musieli niedawno mieć dostawę. Kilka stad jeszcze jakiś czas pożyje.

Kształt i charakter wybrzeża zmieniały się. Kamienne grzbiety i turnie ustępowały miejsca niższej, mniej zróżnicowanej topografii. Bellis zobaczyła krótkie plaże czarnego łupku, porośnięte paprociami z boczka z twardej ziemi, niskie, wyblakłe drzewa. Raz czy dwa dostrzegła zwierzęta hodowlane, które wałęsały się samopas: świnie owce, kozy, krowy. Bardzo nieliczne i w różnych miejscach.

Parę kilometrów w głąb lądu ciągnęły się wstęgi szarej wody, niemrawe rzeki wypływające spośród wzgórz, pokrywające wyspę siatką wód. Te zwalniały na równinach, przerywały brzegi i rozpełzały się tworząc rozlewiska i mokradła, podlewając białe mangowce, winorośl, zielen równie gęstą i zatykającą jak wymiociny. W oddali, na drugim końcu wyspy, Bellis zobaczyła ascetyczne kształty, które wyglądały na ruiny.

W dole zarejestrowała jakiś ruch.

Usiłowała ustalić, co się porusza, ale było zbyt szybkie i ukradkowe. Zostało jej tylko wrażenie przelatujące w poprzek pola widzenia. Coś śmignęło przez powietrze, wyłaniając się z jednej ciemnej dziury w skałach i znikając w drugiej.

– Czym oni handlują? – spytał Tanner Sack, nie odwracając wzroku od krajobrazu. – Dostają owce, świnie i co tam jeszcze. Wasi je przywożą z Dreer Samher – zwrócił się do Hedrigalla. – Co z tego mają? Czym ludzie-moskity handlują?

Hedrigall parsknął krótkim śmiechem.

– Książkami i informacjami, Tanner – odparł. – Plus tym, co morze wyrzuci na plaże, głównie drewnem.

W powietrzu poniżej sterowca znowu coś się poruszyło, ale Bellis nie zdołała skupić na tym wzroku. Zagryzła wargę, sfrustrowana i rozstrojona. Wiedziała, że to nie omamy. Wiedziała, że kształty mogą być tylko jedną rzeczą. Zaniepokoiło ją, że nikt się do tego nie odnosi. „Nie widzą? Dlaczego nikt nic nie mówi? Dlaczego ja nic nie mówię?”

Sterowiec zwolnił, napotykając na lekki przeciwny wiatr.

Po przekroczeniu skalistego grzbietu wpadł w turbulencję. Nastąpiła eksplozja sapnięć i szeptów, zapanowało niedowierzające podniecenie. W dole, w cieniu wzgórz pokrytych przypadkowymi łatami bujności i jałowości, rozciągała się skalista zatoka z zakotwiczonymi trzema statkami.

– Jesteśmy na miejscu – szepnął Hedrigall. – To są statki z Dreer Samher. Stoją przy Plaży Maszyn.

Były to galeony, suto przyozdobione złotem, zamknięte wśród skał, dzioby sterczały w morze, tworząc naturalną przystań. Bellis uzmysłowiła sobie, że wstrzymała oddech.

Piasek i łupek plaży wokół zatoczki był ciemnoczerwony, brudny jak stara krew. Wznosiły się na niej głązy o dziwacznych kształtach, rozmiarów torsów i domów. Bellis wędrowała wzrokiem po pasie brzegu i dostrzegła wyżłobione w nim szlaki, ścieżki. Za strąkowatymi chaszczami na skraju plaży ścieżki nabierały bardziej określonego charakteru. Wchodziły na skaliste wzniesienia, które powoli dźwigały się nad poziom morza. Przez powietrze szły fale gorąca, słońce przypiekało kamień, drzewa podobne do oliwnych i karłowate gatunki roślin rodem z dżungli.

Bellis pobiegła wzrokiem za ścieżkami wijącymi się po spalonych słońcem zboczach, aż jej oczy – tu znowu wstrzymała oddech – spoczęły na garstce spłówiających od światła domów, wyglądających jak organiczne narośle na skałach. Miasto anopheliusów, ludzi-moskitów.

W zatoce nie było wiatru. Słońce otaczał wieniec maleńkich chmur podobnych do kropek farby, ale gorąco przebijało się przez obłoki i kotłowało się w tym kamiennym garncu.

Nie było żadnych odgłosów życia. Monotonny szum morza raczej uwydatniał ciszę, aniżeli ją zakłócał. Sterowiec zawisł w powietrzu na zmniejszonych obrotach silników. Samheryjskie statki skrzypiały i kolebały się na wodzie. Były puste. Nikt nie wyszedł statkowi powietrznemu na powitanie.

Wartownicy strupodzieje w swoich zakrzepowych zbrojach pełnili straż wraz z ludźmi-kaktusami, kiedy pasażerowie schodzili na ląd. Bellis przykucnęła koło drabinki sznurowej i przebiegła palcem po piasku. Oddech miała szybki i huczało jej w głowie.

Z początku jedynym jej odczuciem była świadomość, że po raz pierwszy od bardzo dawna stoi na gruncie, który się nie kołysze. Z zachwytem przypominała sobie, jak się chodzi po stałym lądzie. Potem wróciła jej świadomość otoczenia i Bellis dopiero teraz zarejestrowała, jak dziwna jest ta plaża.

Wypomniła sobie naiwne ryciny w książce Auma. Stylizowany chromatyczny profil mężczyzny na plaży, w otoczeniu popsutych mechanizmów.

„Plaża Maszyn” – pomyślała i powiodła spojrzeniem nad czerwonym piaskiem i piarżyskami.

Trochę dalej wznosiły się kształty, które z aerostatu wzięta za głązy, olbrzymi wielkości pokoiów. To silniki. Przysadziste, ogromne, pokryte rdzą i śniedzią, dawno zapomniane urządzenia o nieznanym przeznaczeniu, z tłokami zapranymi solą i upływem lat.

Były też mniejsze kamienie i Bellis ujrzała, że są to odpryski większych maszyn: śruby, złączki rur albo bardziej skomplikowane, kompletne elementy, takie jak zegary pomiarowe, wodowskazy i kompaktowe silniczki parowe. Całkiem małe kamyczki okazały się trybikami, kółkami zapadkowymi, śrubami i wkrętami.

Bellis spuściła wzrok na swoje ułożone w miseczkę dłonie. Pełno w nich było miniaturowych trybików, kółek zapadkowych i obrosłych kamieniem sprężynek, jakby trzymała w ręku wnętrzości niewyobrażalnie małych zegarów. Każda cząstka tego rumowiska była twardym, rozgrzanym ziarnkiem piasku, mniejszym od okruszka. Bellis przepuściła je przez palce, które zabarwiły się na kolor ciemnej krwi, a raczej, jak teraz już wiedziała, na kolor rdzy.

Plaża była imitacją rzeźbą *trouvée* małpującą naturę przy użyciu materiałów ze złomowiska. Każdy atom pochodził z jakiejś rozwalonej maszyny.

„Z jakich to jest czasów? Co tu się stało?” – pomyślała Bellis. Była zbyt odrętwiała, aby czuć cokolwiek poza przemęczonym podziwem. „Jaka katastrofa, jaka przemoc?”. Wyobraziła sobie dno morza wewnątrz zatoki, odebrana morzu rafa odpadów przemysłowych, produkcja miejskich fabryk oddana na pastwę żywiołów, łomotana przez fale i słońce, utleniająca się, krwawiąca rdzą rozpadająca się na poszczególne komponenty i jeszcze mniejsze okruchy, wyrzucana przez wodę na brzeg, przekształcająca się w tę upiorną plażę.

Bellis wzięła do ręki kolejną garść maszynowego piasku i przesiała przez palce. Poczowała zapach metalu.

„To są te rupiecie, które miał na myśli Hedrigall” – uzmysłowiła sobie. „Jesteśmy na cmentarzu martwych urzędzeń. Miliony tajemnic rozkładają się tutaj na rdzawy pył. Oni pewnie to przesiewają czyszczą co bardziej obiecujące elementy i próbują sprzedać, kilka rzeczy wybranych na chybił trafił z liczącej tysiąc elementów układanki. W tej postaci jest to zupełnie niezrozumiałe i nieprzeniknione, ale gdyby odtworzyć schemat i poskładać to do kupy, co by się otrzymało?”

Oddaliła się od drabinki linowej, słuchając chrzęstu wiekowych maszyn pod stopami.

Kiedy ostatni pasażerowie zeszli na ziemię, strażnicy zaczęli czujnie obserwować horyzont, mrużąc coś pod nosami. Kilka kroków od Bellis spuszczone na ziemię zagrodę z trzodą. Cuchnęła jak gospodarstwo rolne, a jej mieszkańcy napełnili okolicę głupekowatymi hałasami.

– Zbliżcie się wszyscy i słuchajcie mnie – powiedziała Kochanka surowym tonem i została otoczona. Inżynierowie i naukowcy rozproszyli się po zejściu na ląd, leniwie grzebiąc palcami w metalowym łupku. Kilka osób, na przykład Tanner Sack, weszło do morza. Tanner zanurzył się na chwilę z westchnieniem rozkoszy. Po zarządzeniu przez Kochankę zbiórki przez chwilę panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć pluskania spienionych falek o rdzawy brzeg. – Słuchajcie uważnie, jeśli chcecie przeżyć – podjęła. Ludzie przestępowali niespokojnie z nogi na nogę. – Do miasteczka jest stąd parę kilometrów, po tych skałach. – Podnieśli wzrok. Zbocze wyglądało na puste. – Trzymajcie się razem. Każdemu zostanie wydana broń, ale wolno wam jej użyć tylko w wypadku bezpośredniego zagrożenia życia. Jest nas zbyt wiele, w tym sporo niewyszkolonych i nie byłoby dobrze, gdybyśmy w panice zaczęli strzelać do swoich. Będziemy szli w eskorcie ludzi-kaktusów i strupodziejów, którzy umieją posługiwać się bronią, więc strzelajcie tylko w ostateczności. – Anophelie, kobiety-moskity są szybkie – ciągnęła. – Wygłodzone i niebezpieczne. Pamiętajcie, co wam mówiono na odprawach. Mężczyźni są gdzieś w tym miasteczku i musimy ich znaleźć. Trochę dalej ciągną się mokradła Wody, tam mieszkają kobiety. Jeśli nas usłyszą lub poczują, przylecą, więc ruszajcie się zwawo. – Wszyscy gotowi? – Wydała gestem polecenie i strażnicy-kaktusy otoczyli ich wieńcem. Otworzyli kojec dla zwierząt, wciąż przymocowany łańcuchami do „Trójzębu” niby kotwica. Bellis uniosła brwi, zobaczywszy, że świnie i owce mają nałożone obroże i muskularni ludzie-kaktusy trzymają je na smyczach. – W takim razie ruszamy.

Wyprawa z Plaży Maszyn do miasteczka ludzi-kaktusów była koszmarem. Z perspektywy dni i tygodni Bellis nie umiała ułożyć wydarzeń w żaden spójny łańcuch.

W jej wspomnieniach nie było porządkującego wymiaru czasu, tylko wycinki obrazów pozlepiane w coś na kształt majaku sennego.

Upał tworzy w powietrzu wokół niej zakrzepy, zatyka jej pory skórne, oczy i uszy. Wszędzie unosi się gęsta woń zgnilizny i żywicy Roi się od insektów, kęsających i liżących. Bellis wręczono skałkówkę, którą, o ile pamięta, trzymała na wyciągnięcie ramienia, jakby to było śmierdzące jajo.

Idzie jak krowa w stadzie, człapie noga za nogą razem z innymi pasażerami – kolce jedyne uczestniczącego w wyprawie hotchi naprężają się i rozluźniają z nerwową naprzemiennością, głowonogi kheprich podrygują – otoczonymi przez tych, których fizjonomia zapewnia im bezpieczeństwo: ludzi-kaktusów i strupodziejów, ciągnących za sobą na smyczach świnię i owce. Ci pierwsi bezkwiści, ci drudzy tak obficie wypełnieni krwią, że to ich chroni. Są też uzbrojeni w karabiny skałkowe i kuszarpacze. Jedyne człowiek wśród strażników to Uther Doul. W obu rękach niesie broń. Bellis gotowa jest przysiąc, że za każdym razem, gdy na niego patrzy, widzi w jego dłoniach coś innego: nóż i nóż, pistolet i nóż, pistolet i pistolet.

Spogląda na porośnięte pnączami skały i w szczeliny między nimi, w głąb łądu, nad zboczami zieleniącymi się gęstym listowiem i stawami wypełnionymi cieczą, która sprawia wrażenie gęstej jak smarki. Słyszy dźwięki. Jakieś ruchy pośród listowia, nic groźniejszego. Ale potem wybucha straszliwy skowyt, nie sposób określić, skąd dochodzący, jakby samo powietrze było bólem.

To ten dźwięk był wszechogarniający i szczelnie ich otulający.

Bellis i jej sąsiedzi wpadają na siebie, niezdarni z przerażenia, zmęczenia i gorąca, rozglądają się na wszystkie strony i widzą pierwsze oznaki ruchu, kształty mknące zygżakiem między drzewami niby niesione przez wiatr drobiny kurzu – coraz bliżej i bliżej, niestabilna mieszanina przypadkowego ruchu i złych zamiarów.

A potem pierwsza z anophelii biegiem wyskakuje zza osłony drzew.

Wygląda jak kobieta zgięta wpół, a potem jeszcze raz, jakby miała kości z gumy, poskręcana i pozwijana w postawie, z którą coś jest nie w porządku. Szyja za bardzo wykręcona, długie, kościste ramiona odrzucone do tyłu jak zwoje drutu, ciało robaczobiałe, wielkie oczy otwarte bardzo szeroko, totalnie wygłodzone, piersi podobne do puch bukłaków. Nogi poruszają się obłąkańczo szybko, kobieta biegnie i upada, ale nie uderza o ziemię, dalej sunie ku nim tuż nad ziemią, ramiona i nogi podrygują drapieźnie, i nagle – na wszystkich bogów jebniętego Jabbera – na plecach otwierają się skrzydła i unoszą jej ciężar, gigantyczne, opalizujące skrzydła moskita trzepoczą z tym wibrującym skowycem, tak szybko, że ich nie widać, przez co ta potworkowata kobieta zdaje się niesiona ku nim na poduszce mętnego powietrza.

To, co się za chwilę wydarzyło, raz po raz nawiedzało Bellis we wspomnieniach i snach.

Spozierając wygłodniałym wzrokiem, kobieta-moskit otwiera usta, odciągając wargi od bezzębnych dziąseł, i pluje śliną. Charczy, a z ust wyskakuje jej mokra od plwociny długa na trzydzieści centymetrów kłujka.

Wyskakuje organicznym ruchem, kojarzącym się z wymiotowaniem, ale jest nieodparcie i rozstrajająco seksualna. Nie sposób pojąć, jak zmieściła się w jej głowie i jakim sposobem przeszła przez gardło. Kobieta frunie ku nim na rozwrzeszczanych skrzydłach, po czym ze ściółki wynurzają się inne.

Wspomnienia rozmazują się. Bellis była pewna, że nie uroiła sobie tego, co widziała, ale kiedy o tym wspominała, nagłość obrazów nigdy nie przestawała jej szokować. Przejęta zgrozą ekspedycja o mało nie idzie w rozsypkę i padają strzały, niebezpiecznie na oślep; Doul warczy gniewnie: „Wstrzymać ogień!”.

Bellis widzi, jak pierwsze kobiety-moskity omijają ludzi-kaktusów, nie są nimi zainteresowane. Kierują się ku strupodziejom, lądują na nich, a ci umięśnieni mężczyźni tylko nieznacznie się uginają pod ciężarem pozbawionych tłuszczu skrzydlatych kobiet. Podobnymi do włócznie wypustkami ust dżgają strupopancerze, ale nie potrafią ich przebić. Bellis słyszy trzask zrywanych smyczy: przerażone świnię i owce rozbiegają się, ciągnąc za sobą trop gówna i pyłu.

Kobiet-moskitów jest już kilkanaście. „Tak wiele tak szybko”. Po ucieczce świń i owiec natychmiast kierują się ku tej łatwiejszej do upolowania zwierzynie. Wzlatują na cienkich skrzydłach, głowy mają pochylone, biodra i kończyny zwisają luźno, ręce dyndają w powietrzu niby pajacyki podwieszane do wydłużonych kości barkowych. Z ciemną kłujką wciąż mokrą i wystawioną spadają na przejęte zgrozą zwierzęta. Łatwo je doganiają, zastawiają drogę i rozczapierzonymi palcami chwytają za sierść czy runo i skórę. Bellis patrzy – pamięta i cały czas szła tyłem, niefachowo, potykając się o stopy sąsiadów, ale siłą przerażenia utrzymała się na nogach – struchlała i zahipnotyzowana, jak pierwsza z nich przystępuje do jedzenia.

Kobieta-moskit siada okrakiem na ogromnej maciorze, oplata ją kończynami, jakby to była jej ukochana pluszowa zabawka. Odchyła głowę do tyłu i długa kłujka wysuwa się jeszcze kilka centymetrów gładka jak bełt do kuszy. Nagłym ruchem wbija ją w ciało zwierzęcia.

Świnia bez końca kwiczy rozdierająco. Bellis wciąż patrzy; nogi oddalają ją od tego widoku, ale oczy pozostają desperacko w nim utkwione. Nogi świni ustępują pod nią kiedy skóra zostaje przebita, kiedy piętnaście, dwadzieścia pięć, trzydzieści centymetrów chityny z łatwością pokonuje opór skóry i mięśni, aby przeniknąć do najgłębszych części układu krwionośnego. Kobieta-moskit siedzi na powalonym zwierzęciu, wpycha w nie usta, boruje kłujką, napręża ciało – przez ciekłą skórę widać każdy mięsień, ścięgno i żyłę – i zaczyna ssać.

Świnia jeszcze przez kilka chwil wydaje z siebie przeraźliwe dźwięki, po czym głos odmawia jej posłuszeństwa.

Jest coraz chudsza.

Bellis widzi, jak świnia się zmniejsza. Skóra zaczyna się marszczyć. Usta kobiety nie wypełniają wybitej w skórze dziury z idealną szczelnością, toteż sączą się z niej strużki krwi. Bellis nie może uwierzyć własnym oczom, ale wyobraźnia nie płata jej figli – świnia się kurczy. Wierzga ze spazmatyczną zgrozą, a potem z dygotem obumierających nerwów, kiedy w skrajnych punktach ciała nie ma już krwi. Tłuste boki zapadają się, gdy wnętrzności nagle zmniejszają objętość. Skóra jest teraz mocno pofałdowana, całe ciało pokrywają grzbiety i wąwozy. Uchodzi z niej kolor.

Uciekając ze świni, krew i zdrowie przechodzą z niej na kobietę-moskita.

Tej z kolei brzuch pęcznieje. Wpiła się w świnie jako wychudzona niedożywiona skorupa. Im świnia jest mniejsza, tym ona jest wiek rośnie w niesamowitym tempie, rumianość rozlewa się od puchnącego żołądka po całym ciele. Kobieta siedzi na zdychającym zwierzęciu. Wraz z sytością przychodzi na nią ociężałość.

Bellis patrzy z chorobliwą fascynacją, jak całe kwarty świńskiej tkanki mkną przez kościstą kłujkę, przepływając z jednego ciała do drugiego. Świnia zdycha, pobrużdżona skóra tworzy nowe doliny między kośćmi a wydrenowanymi mięśniami. Anophelia jest gruba i różowieją jej ramiona i nogi niemal podwoiły swój obwód, a skóra naciągnęła się. Spęcznienie ogranicza się przede wszystkim do piersi, brzucha i tyłka, które są teraz otyłe, ale nie miękkie jak u tłustego człowieka. Wyglądają rakowato: naprężone, nabrzmięte krwią narośle.

W całej przełęczy ten sam los spotyka inne zwierzęta. Niektóre dosiada jedna kobieta, niektóre dwie. Wszystkie się kurczą, jakby słońce je wysuszyło, a wszystkie anophelie robią się wielkie i ciasno wypełnione krwią.

Wydrenowanie świni z całej krwi zajęło pierwszej kobiecie-moskitowi półtorej minuty. Bellis nie umiała się otrząsnąć ze wspomnienia tego widoku i wydawanych przez samicze stworzenie odgłosów zadowolenia.

Anophelia stacza się ze skurzonego trupa zwierzęcia, oczy ma senne, a z wciąganej z powrotem do ust kłujki skapuje trochę krwi. Kobieta odchodzi, zostawiając po sobie worek świńskich kości i pustych żył.

Gorące powietrze wokół Bellis jest teraz gęste od smrodu rzygowin, ponieważ jej towarzysze tracą panowanie nad sobą na widok tej uczty. Ona jednak nie wymiotuje, choć usta ma wykrzywione w gwałtownym odruchu. Bezwiednie unosi pistolet, powodowana nie gniewem czy strachem, lecz obrzydzeniem.

Ale nie strzela, co by się stało, gdyby ktoś tak słabo wyszkolony jak ona pociągnął za spust? Wielokrotnie zadawała sobie to pytanie.

Wydaje się, że niebezpieczeństwo minęło. Armadyjczycy maszerują dalej w górę, zostawiając za sobą niewielką otwartą przestrzeń razem wonią łajna i ciepłej krwi, mijają kolejne skały i zapowietrzoną wodę. Zdążają ku miastu, które widzieli z powietrza.

Teraz zdarzenia już mniej się rozmywają, mniej się rozpuszczają w zupie gorąca, strachu i niedowierzania. Ale w momencie, gdy Bellis oddaliła się od tego pobojowiska świńskiej i owczej krwi tudzież odsączonych z niej podrobów, zostawiła za sobą odrażający amok, uczty kobiet-moskitów i późniejsze, jeszcze gorsze, spęczniałe odrętwienie. Jedna z nich podniosła wzrok znad owcy, którą za późno dopadła, i zobaczyła ich rejteradę. Zgarbiła ramiona i pofrunęła ku nim z rozdziawionymi ustami i ociekającą krwią kłujką. Zdążyła tylko trochę się nasycić resztkami po swych siostrach, dlatego była zgłodniała żywego ciała. Ominęła ludzi-kaktusów i strupodziejów, aby ze skowyczącymi skrzydłami rzucić się na przerażonych ludzi.

Strach szarpnął Bellis z powrotem ku tej sieczce rozczłonkowanych obrazów i zobaczyła, jak Uther Doul spokojnie zastawia drogę kobiecie-moskitowi – miał teraz w rękach dwa pistolety – i czekał, aż się zbliży. Kiedy jej otwór gębowy wyskoczył ku jego twarzy, Doul wystrzelił.

Broń buchnęła gorącem, hałasem i czarnym ołowiem, rozrywając brzuch i twarz kobiety-moskita.

Chociaż napełniła się krwią owcy tylko do połowy, z jej żołądka chlusnęła posoka. Kobieta runęła w dół i jej zgruchotana twarz zaryła w ziemię. Kłujka nadal była wysunięta i lepka, czerwona struga szybko wsiąkała w grunt. Ciało znieruchomiało u stóp Doula.

Bellis powróciła do linearnego czasu. Czowała się oszołomiona, ale daleka od tego, co widziała. Opite krwią anophelie nie zauważyły swojej poległej opodal siostry. Kiedy ekspedycja ruszyła w dalszą drogę stromą ścieżką pośród wzgórz, ociężałe kobiety-moskity powoli opuściły bezkrwistą już teraz arenę urządzonej przez siebie jatki. Napęczniałe jak winogrona, zwisły między muzykującymi złowrogo skrzydłami i powoli odleciały do dżungli.

Rozdział dwudziesty trzeci

Czekali w milczeniu: Kochanka, Doul, Tintinnabulum, Hedrigall i Bellis. Przed gośćmi stało dwóch anopheliusów, z minami, które przypuszczalnie wyrażały uprzejmą dezorientację.

Dwaj mężczyźni-moskity zaskoczyli Bellis. Spodziewała się czegoś dramatycznego – skóra przebarwiona przez chitynę, sztywne, małe skrzydła jak u kobiet.

A tymczasem do złudzenia przypominali niewysokich, zgarbionych ludzi. Ochrowe szaty były pokryte kurzem i plamami najwyraźniej pochodzenia roślinnego. Starszy z mężczyzn łyślał, a sterzące z rękawów ramiona były niesłychanie chude. Nie mieli ust, szczęk, zębów. Rolę ust pełniły zwieracze, mięśniowe kółka, które wyglądały zupełnie jak odbyty. Skóra opadała ze wszystkich stron do tej dziury.

– Spróbuj jeszcze raz, Bellis – powiedziała Kochanka surowym tonem.

Weszli do miasta, ściągając na siebie zaskoczone spojrzenia mężczyzn-moskitów.

W nieładzie, spocony i oślepiiony kurzem armadyjski desant pokonał ostatnie kilka metrów zbocza, aby nagle znaleźć się w cieniu domów wbudowanych w ściany rozcinającego skałę wąwozu. Miasto sprawiało wrażenie pozbawionego urbanistycznego planu: małe, kanciaste domy bezładnie porzucane na głównych zboczach, jakby ktoś rozsypał je z krawędzi urwiska, połączone wykutymi w skale stopniami i przejściami. Kominy podziemnych pomieszczeń wyrastały wokół nich jak grzyby.

Wszędzie stały maszyny sprowadzone z Plaży Maszyn, w setkach nieczytelnych kształtów, dokładnie oczyszczone z rdzy. Niektóre się poruszały, niektóre nie. Te stojące w słońcu połyskiwały. Żadna nie napędzana hałaśliwymi, parowymi tłokami znanymi z Nowego Crobuzon i Armady. W powietrzu nie unosił się tłusty dym. Bellis podejrzewała, że są to silniki heliotropowe – popękane szklane obudowy chłoną światło słoneczne, które obraca łopatkami i śrubami, posyłając ezoteryczne energie po drutach, które w przypadkowy sposób łączyły ze sobą poszczególne domy. Długie druty były splecione z krótkich odcinków.

Na płaskich dachach, na zboczach wzgórz, w cieniu wąwozu i w koronach sękatych drzew, rozsianych po całym mieście, zjawili się mężczyźni-moskity, żeby popatrzeć. Nie było słyhać żadnych dźwięków żadnych pohukiwań, okrzyków czy sapnięć. Jediną reakcją było zaskoczone spojrzenie tych wszystkich oczu.

W pewnym momencie Bellis w strasliwym spazmie strachu odniosła wrażenie, że widzi anophelię szybującą nieregularnym lotem nad jednym z położonych wyżej budynków. Wrażenie okazało się słuszne, ale znajdujący się w pobliżu samce obrzucili ją kamieniami i odpędzili, zanim zdążyła zauważyć Armadyjczyków albo wejść do któregoś z domów.

Dotarli do czegoś w rodzaju placu, otoczonego takimi samymi domami w ziemistym kolorze i szkieleciami silników słonecznych. Szczelina między skałami była w tym miejscu szersza i wpuszczała światło z nieba w spieczonym błękitnym kolorze. Na drugim końcu miasta Bellis zobaczyła rozdarcie w ścianie klifu, który opadał stromo do morza. Na placu nareszcie ktoś do nich wyszedł: mała delegacja niespokojnych anopheliusów, którzy pokłonili im się i powiedli ich ku wielkiej sali wykutej w kamieniu wzgórz.

W bocznym pomieszczeniu, oświetlonym bardzo długimi pionowymi szybami, zaopatrzonymi w lustra, które odbijały światło dnia, jak również odświeżały to, które zleciało wcześniej na dół, stanęli przed nimi dwaj spośród anopheliusów i pokłonili się grzecznie. Bellis, wspominając ten dzień w Salkrikaltorze, kiedy jej zadaniem było

tłumaczenie ustne, chociaż z innego języka, wyszła przed szereg i powitała ich w wysokim kettai, jak najstaranniej artykułując słowa.

Stali bez ruchu z pytającymi minami, najwyraźniej nie rozumiawszy ani słowa.

Bellis jeszcze raz spróbowała się z nimi skomunikować w kwiecistym, mało elastycznym języku. Ale oni wymienili jedynie spojrzenia i wydali z siebie syczące dźwięki podobne do pierdnięć.

Na widok drgających i rozszerzających się gębozwieraczy Bellis zrozumiała, w czym problem, i zamiast mówić, zaczęła pisać. „Na imię mam Bellis. Przybyliśmy z bardzo, bardzo daleka, aby porozmawiać z waszym ludem. Czy mnie rozumiecie?”

Kiedy podała im kartkę, otworzyli szeroko oczy, spojrzeli po sobie i zaświergolili z zachwytem. Starszy z mężczyzn wziął od Bellis pióro.

„Jestem Mauril Crahn” – napisał. „Upłynęły dziesiątki lat, odkąd mieliśmy gości takich jak wy”. Podniósł na nią roziskrzony wzrok.

„Witajcie w naszej ojczyźnie”.

Pohukująca mowa anopheliusów nie miała formy pisanej. Wysokie kettai było dla nich językiem wyłącznie pisanym, nigdy nie słyszeli, żeby ktoś nim mówił. Umieli doskonale wyrażać w nim myśli eleganckim pismem, ale nie mieli pojęcia, jak brzmi. Sama idea, że miałyby jakoś „brzmieć”, była im obca.

Przez dziesiątki czy setki lat wytworzyła się symbioza między marynarzami z Dreer Samher i władzami Gnurr Kett w Kohnid. Samheryjscy ludzie-kaktusy przybywali na wyspę z trzodą i niewielką ilością towarów handlowych, pobierając prowizję za pośrednictwo. Kohnid kupowało od nich wszystko, co dawali ludzieskoskity.

Wspólnie kontrolowali przepływ informacji do anopheliusów. Zadbali o to, żeby na wyspę nie dotarł żaden język oprócz wysokiego kettai i żeby ani jeden anophelius jej nie opuścił.

Makabryczne wspomnienia Malarycznej Reginokracji wciąż były żywe. Kohnid uprawiało strategiczną grę, „hodując” anopheliusów jako udomowionych myślicieli. Zapewniali im takie warunki, aby mogli myśleć, ale nie mogli urosnąć w siłę ani uciec – nie chciano ryzykować ponownego wypuszczenia samic w świat. Przybysze z Gnurr Kett zamykali im dostęp do wszelkich informacji, które pozostawały pod ich kontrolą. Środkiem do tego celu było wprowadzenie i pielęgnowanie wysokiego kettai jako ich języka pisanego. Dzięki temu tutejsza nauka i filozofia znajdowała się w rękach tamtejszej elity, która miała prawie monopol na umiejętność czytania w tym języku.

„Układankowe elementy starożytnej techniki, którą posiadała rasa anopheliusów, jak również dzieła ich filozofów, muszą być zadziwiające, pomyślała Bellis – skoro ten niezwykły system wciąż trwa. Każda samheryjska wyprawa z Kohnid na wyspę przywoziła pewną ilość starannie wyselekcjonowanych książek i czasem zleceń”. „Jeśli przyjmujemy te założenia – pisał jakiś teoretyk z Kohnid – to przypomnimy sobie paradoks przedstawiony w poprzednim eseju, jak jest rozwiązanie następującego zagadnienia...” Ręcznie pisane prace anopheliusów, których autorzy przybierali pseudonimy pochodzące z języka kettai, płynęły w podróż powrotną z odpowiedziami na te pytania albo kwestiami stawianymi przez nich samych i były drukowane przez wydawców z Kohnid – za darmo. Czasami jakiś tamtejszy uczonec podawał je jako swoje, podnosząc prestiż kanonu wysokiego kettai.

Ludzie-moskity zostali sprowadzeni do roli uczonych niewolników.

Miejscowe ruiny mieściły stare teksty, oczywiście w wysokim kettai, w którym ludzie-moskity umieli czytać, lub w martwych od dawna kodach, które pieczołowicie rozszyfrowywali. Dysponując dodatkowo książkami, które powoli napływały z Kohnid,

oraz spuścizną pisarską ich przodków, prowadzili oni również własne badania. Niekiedy rezultat tej pracy wysyłali swoim panom w Kohnid. Zdarzało się nawet, że je publikowano.

Tak właśnie było z książką Krüacha Auma.

Dwa tysiące lat temu ludzie-moskity rządili obszarami południowymi. Był to koszmar krwi, zarazy i monstualnego pragnienia, na szczęście krótkotrwały. Bellis nie wiedziała, w jakim stopniu ich mężczyźni znają swoją historię, ale na pewno nie mieli złudzeń co do natury swoich kobiet.

„Ile kobiet zabiliście?” – napisał Crahn.

Kiedy Bellis po wahaniu napisała: „Jedną”, skinął głową i odpisał: „To nie tak wiele”.

W mieście nie obowiązywała żadna hierarchia. Crahn nie był władcą. Bardzo chciał jednak pomóc i udzielić gościom wszelkich potrzebnych im informacji. Przyjęli Armadyjczyków z grzeczną, wyważoną fascynacją. Była to reakcja flegmatyczna i refleksyjna, aby nie rzecz abstrakcyjna, zdradzająca zupełnie obcy dla Bellis sposób funkcjonowania psychiki.

Ona natomiast pisała pytania Kochanki i Tintinnabulum najszybciej, jak umiała. Nie dotarli jeszcze do najważniejszego tematu, czyli celu ich wizyty na wyspie, kiedy z drugiej sali, w której czekali ich towarzysze dobiegł ich jakiś harmider. Głośne wołania w sunglari i wykrzykiwane odpowiedzi w salt.

Stacjonujący na wyspie kupcy-piraci z Dreer Samher wrócili na swoje statki i odkryli obecność przybyszów. Do małego pomieszczenia wparadował krzykliwie odziany człowiek-kaktus, z którym szło dwóch jego niegdysiejszych ziomeków, obecnie kaktusów armadyjskich, złorzeczących mu gniewnie po sunglaryjsku.

– Na słoneczne gówno! – wrzasnął w języku salt, którym posługiwał się z silnym akcentem. – Kto wy, kurwa, jesteście? – Ze złością wymachiwał potężnym kordelasem. – Ta wyspa należy do Kohnid i nie wolno tutaj przyjeżdżać. Jesteśmy tu ich przedstawicielami, upoważnionymi do ochrony ich terytorium. Podajcie mi jeden powód, dla którego nie miałbym kazać was zabić na miejscu.

– Proszę pani, to jest Nurjhitt Sengka, kapitan „Sercopyłu Tetneghi” – powiedział jeden z armadyjskich ludzi-kaktusów, machając ze znużeniem dłonią tytułem prezentacji.

– Miło pana poznać, panie kapitanie – powiedziała Kochanka, podchodząc ku niemu. Uther Doul podążał za nią jak cień. – Musimy porozmawiać.

Sengka nie był zwykłym piratem, lecz posiadaczem listu kaperskiego Dreer Samher. Regularna służba na wyspie była monotonna, łatwa i nudna: nic się nie działo, nikt nie przypluwał, nikt nie odpływał. Co miesiąc, dwa czy sześć z Kohnid lub Dreer Samher zawijała nowa misja z ładowniami pełnymi trzody dla kobiet-moskitów, plus może jakimś przypadkowym wyborem towarów dla mężczyzn. Nowa załoga luzowała znudzonych rodaków, którzy odpływali, żeby pohandlować zdobytymi błyskotliwymi esejami i materiałem naukowym z odzysku.

Pełniącym tutaj służbę Samheryjczykom czas schodził na kłótniach, bójkach, hazardzie, ignorowaniu kobiet-moskitów i odwiedzaniu mężczyzn tylko celem zaopatrzenia się w żywność i niezbędne wyposażenie. Ich oficjalnym zadaniem było kontrolowanie dopływu informacji na wyspę, stanie na straży czystości języka, której Kohnid zawdzięczało swoją hegemonię – jak również uniemożliwianie ludziom-moskitom ucieczek.

Zupełnie niedorzeczna lista obowiązków. Na wyspę nikt nie przybywał. Niewielu marynarzy o niej wiedziało. Z rzadka trafiał tutaj jakiś zabłąkany statek, ale nie mającą o niczym pojęcia załogę czekała szybka śmierć z rąk wyspiarskich kobiet.

I żadni z anopheliusów nie opuszczali wyspy.

Oficjalnie zatem obecność przybyszów z Armady na wyspie była zakazana w ramach umowy pomiędzy Dreer Samher a Kohnid. Posługiwano się przecież wyłącznie wysokim kettai i Armadyjczycy nie przywieźli żadnych towarów na handel. Ale wizyta obcych ludzi którzy potrafili porozumiewać się z tubylcami, była bezprecedensowa.

Sengka rozglądał się dokoła furiackim wzrokiem. Kiedy zdał sobie sprawę, że ci pomyleni intruzi pochodzą z Armady, tajemniczego nautycznego miasta, wybałuszył oczy. Zachowywali się jednak uprzejmie i najwyraźniej bardzo pragnęli się wytłumaczyć. I chociaż rzucał swoim niegdysiejszym rodakom-kaktusom gniewne spojrzenia, syczał do nich obelgi, nazywał ich zdrajcami i pozorował lekceważący stosunek do Kochanki, słuchał, co miano mu do powiedzenia, i pozwolił się zaprowadzić z powrotem do sali, w której czekało szefostwo armadyjskiej wyprawy.

Kochanka, strażnicy-kaktusy i Uther Doul odstępili do tyłu, u boku Bellis stanął zaś Tintinnabulum. Swoje długie, siwe włosy zebrał w koński ogon, a jego potężne barki i ramiona zasłaniały Bellis i pozostałe osoby.

– Nie przerywaj teraz – mruknął. – Przejdź do sedna sprawy.

„Crahn” – napisała.

Absurdalność tego wszystkiego wprawiła ją w krótką histerię. Wiedziała, że gdyby wystawiła nos na zewnątrz, groziłaby jej natychmiastowa i nieprzyjemna śmierć. Żarłoczne kobiety-moskity w miarę szybko by namierzyły taki worek pełen krwi jak ona. Zwęszyłyby ją i wyssały do ostatniej kropli, wydrenowałyby ją z taką łatwością jakby odkręciły kurek.

A przecież w tych murach ochronnych, zaledwie godzinę po rzezi na szlaku nad morza – wciąż miała w oczach trupa kobiety-moskita rozbryzganego na skórze i kościach wydrenowanych zwierząt – zadawała uprzedzająco grzecznemu gospodarzowi pytania w martwym od stuleci języku. Pokręcił głową.

„Szukamy jednego z waszych ludzi” – napisała.

„Potrzebujemy z nim porozmawiać. To sprawa ogromnej wagi. Zna pan niejakiego Krüacha Auma?”

„Aum – odpisał, dokładnie w tym samym tempie i z identycznym zainteresowaniem czy brakiem zainteresowania – który myszkuje po starych ruinach za starymi księgami. Wszyscy znamy Auma. Mogę wam go przyprowadzić.”

Rozdział dwudziesty czwarty

Tanner Sack tęsknił za morzem.

Skóra pękała mu od gorąca, a macki bolały.

Większość dnia spędził na czekaniu, aż Kochanka, Tintinnabulum, Bellis Coldwine i pozostali skończą rozmawiać z milczącymi samcami anopheliusów. On i jego towarzysze gadali ze sobą półgłosem, jedli suszone mięso i bez powodzenia prosili swoich dziwnych, zdystansowanych gospodarzy o coś świeższego do jedzenia.

– Te kretyny, kutasy jedne, mordy mają do dupy podobne – bluźgali niektórzy wygłodniali mężczyźni.

Żarłoczna zawziętość kobiet-moskitów głęboko wstrząsnęła Armadyjczykami. Mieli świadomość, że partnerki ich gospodarzy czyhają w powietrzu tuż za murami, że panujący w mieście osowiały spokój jest zwodniczy – że tkwią w pułapce.

Niektórzy spośród towarzyszy Tannera rzucali nerwowymi żartami z samic anopheliusów. „Czego się spodziewać po kobietach?“, mówili, trzęsąc się ze śmiechu, komentowali, że samice wszystkich gatunków to krwio pijcy i tak dalej.

Nie chcąc psuć atmosfery, Tanner próbował się śmiać z tych idiotyzmów, ale nie potrafił.

Osoby zgromadzone w dużej, ascetycznej sali podzieliły się na dwa obozy: po jednej stronie Armadyjczycy, po drugiej ludzie-kaktusy z Dreer Samher. Obserwowali się nawzajem nieufnie. Kapitan Sengka toczył zażartą dyskusję z Hedrigallem i dwoma innymi kaktusami z Armady, czemu jego podwładni przysłuchiwali się niepewnie. Kiedy Sengka i jego ludzie w końcu wyszli, Armadyjczycy z ulgą odetchnęli. Hedrigall powoli podszedł do ściany i usiadł koło Tannera.

– Nie przepada za mną – powiedział ze zmęczonym uśmiechem. – W kółko powtarzał, że jestem zdrajcą. – Wywinął oczami. – Ale nie popełni żadnego głupstwa. Boi się Armady. Powiedziałem, że szybko się stąd zmywamy, że nic nie przywieźliśmy i nic nie bierzemy, ale dałem mu też do zrozumienia, że jak nam coś zrobią, to będzie się to równało wypowiedzeniu wojny. Nie przewiduję żadnych kłopotów.

Po jakimś czasie Hedrigall zauważył, że Tanner bez końca masuje sobie skórę, polizawszy najpierw palce. Wyszedł z sali i Tanner był bardzo wzruszony, kiedy po piętnastu minutach Hedrigall wrócił z trzema pękatymi bukłakami morskiej wody. Tanner spryskał się nią obficie i nalał wody do skrzeli.

Ludzie-moskity wchodzili do środka i przyglądali się Armadyjczykom. Kiwali głowami do kolegów, pohukiwali i pogwizdywali. Tanner patrzył, jak ci roślinożercy jedzą, wciskają do ciasnych otworów gębowych garście wielobarwnych kwiatów i przeżuwiają je z taką samą zapalczywością, z jaką ich kobiety wysysały krew z żywego ciała. Potem z cichym prychnięciem wypluwali zużyte płatki, zgniecione i cienkie jak bibułka, odsączone z nektaru i soków, odbarwione.

Armadyjska załoga godzinami pociła się i cierpiała pragnienie, podczas gdy Kochanka i Tinnabulum ustalali plany. W końcu Hedrigall i kilku innych ludzi-kaktusów wyszło z sali pod eskortą anopheliusów. Światło, wlatujące przez wykute w skale szyby, zaczęło przygasać. Zmierzch zapadł szybko. Przez niewielkie szczeliny i w lustrzanych odbiciach Tanner widział, że niebo jest fioletowe.

Warunki mieli iście koszarowe. Gospodarze wyłożyli podłogę sali trzcina. Noc była gorąca. Tanner zdjął śmierzdzącą koszulę, złożył w kostkę i wsunął pod głowę w roli poduszki. Znowu opryskał się morską wodą i zobaczył, że inni Armadyjczycy też usiłują dokonać z konieczności skromnych ablucji.

Nigdy w życiu nie był taki zmęczony. Czuł się tak, jakby wyssano z niego energię do ostatniej iskry i zastąpiono nocnym upałem. Złożył głowę na zaimprovizowanej poduszce, mokrej od jego potu, i mimo odległości podłogi – tylko w nieznacznym stopniu złagodzonej przez zimny podkład, zresztą zapach pyłku i roślinnego kurzu wiercił w nosie – błyskawicznie zasnął.

Po przebudzeniu miał wrażenie, że spał nie więcej jak dziesięć minut. Zobaczył światło dnia i jęknął smętnie. Głowa go bolała i łąpczywie napił się wody z dzbana.

Kiedy wszyscy Armadyjczycy już się obudzili, z małego, bocznego pomieszczenia wyszła Kochanka, Doul i Coldwine, w towarzystwie tych ludzi-kaktusów, którzy opuścili ich poprzedniego wieczoru. Był z nimi bardzo stary

anophelius, odziany tak samo jak jego rodacy i z tym samym wyrazem spokojnego zainteresowania na twarzy.

Kochanka przemówiła do zgromadzonych w jednym miejscu sali Armadyjczyków.

– To jest Krüach Aum.

Krüach Aum, stojący obok niej, uklonił się i przebiegł wzrokiem po Armadyjczykach.

– Wiem, że wielu z was zastanawiało się nad sensem tej wyprawy – powiedziała Kochanka. – Zostaliście poinformowani, że na tej wyspie jest coś koniecznie nam potrzebnego do podniesienia awanka. Oto, czego potrzebujemy. – Pokazała na Auma. – Krüach Aum wie, jak podnieść awanka. – Dała im czas na przetrwanie tej sensacyjnej nowiny. – Przybyliśmy tutaj do niego po naukę. W grę wchodzi wiele różnych zjawisk. Żeby awank nam nie uciekł i żebyśmy mogli zaprząć go do swoich celów, musimy posłużyć się inżynierią równie wyrafinowaną jak nasza taumurgia i oceanologia. Panna Coldwine będzie naszą tłumaczką. Jest to proces czasochłonny, toteż musicie być cierpliwi. Mamy nadzieję, że odpłyniemy stąd najpóźniej za dwa tygodnie, ale to wymaga ciężkiej i szybkiej pracy... – Na chwilę umilkła i uśmiechnęła się szeroko, co było wydarzeniem bez precedensu. – Gratulacje dla was wszystkich. Dla nas wszystkich. Dla Armady jest to wielki dzień. Naprawdę wielki dzień.

Chociaż większość adresatów tych słów w gruncie rzeczy nie miała pojęcia, o co chodzi, wywarły one zamierzony efekt. Nawet Tanner dołączył do ogólnego aplauzu.

Ekipa ludzi-kaktusów pozakładała obozy na terenie miasta. Dla pozostałych Armadyjczyków znaleźli bezpieczne od kobiet-moskitów puste pomieszczenia, w których można było zamieszkać w mniejszych grupach, a za to w większej wygodzie.

Ludzie-moskity nadal pałali ciekawością bardzo chcieli rozmawiać, bardzo chcieli wziąć udział w tym projekcie. Szybko wyszło jaw, że Aum jest osobą o szemranej reputacji, ponieważ mieszka i pracuje sam – Mimo to wszyscy najwybitniejsi myśliciele w mieście chcieli pomóc przybyszom. Broń ukryta na „Trójzębie” okazała się zupełnie potrzebna. Nie chcąc uchybić wymogom grzeczności, Kochanka pozwoliła anopheliusom uczestniczyć w konsultacjach, aczkolwiek, słuchała tylko Auma, a wszystkie inne wypowiedzi kazała Bellis jedynie streszczać.

Przez pierwsze pięć godzin dnia Aum toczył dyskusje z armadyjskimi naukowcami, pochylonymi nad jego książką. Kiedy pokazali mu uszkodzony aneks, ku ich zaskoczeniu powiedział, że nie ma ani jednego egzemplarza swojej pracy, ale na szczęście wszystko pamiętał. Za pomocą liczydła i rozmaitych kryptourządzeń zaczął uzupełniać luki w informacjach.

Po jedzeniu – ludzie-kaktusy zdobywali dla swoich towarzyszy jadalne rośliny i ryby, aby było czym uzupełnić suszony prowiant – nauki od Krüacha Auma pobierali inżynierowie i budowlańcy. Przed południem Tanner i jego koledzy zapoznawali się z danymi na temat wytrzymałości materiałów i mocy maszyn, sporządzali ogólne schematy i spisywali pytania, które nieśmiało zadawali Aumowi po południu.

We wszystkich sesjach brała udział Kochanka i Tintinnabulum, no i oczywiście Bellis Coldwine. „Musi być wykończona” – pomyślał ze współczuciem Tanner. Prawą rękę miała zdrętwiałą i poplamioną atramentem, ale nigdy się nie skarżyła ani nie prosiła o przerwę. Bez końca przepuszczała przez siebie pytania i odpowiedzi, zużywając kolejne ryzy papieru, przekładając pisemne odpowiedzi Auma na język salt.

Pod koniec każdego dnia przychodziła krótka, ale pełna strachu chwila kiedy ludzie, hotchi i khepri rozbiegali się do swoich kwater. Nikt nie musiał przebywać na zewnątrz dłużej niż trzydzieści sekund, ale i tak eskortowali ich strażnicy-kaktusy z kuszarpaczami, a samce anopheliusów chronili gości przed swoimi partnerkami uzbrojeni w kije, kamienie i klaksony.

W tym samym domu co Tanner mieszkała jeszcze pewna kobieta inżynier. Kiedy Tanner leżał już w łóżku, za oknami rozległ się głos strażnika-kaktusa:

– Dokwaterowali wam jeszcze jedną osobę. Nie zamykajcie drzwi na skobel.

Tanner zdmuchnął świecę i zasnął, ale znacznie później przyprowadzono Bellis Coldwine i ta zamknęła za sobą drzwi wejściowe, potykając się ze zmęczenia, gdy przeszła przez ciemny pokój Tannera do następnego, obudził się i zobaczył ją.

Mimo że przebywali w tej upalnej, dziwnej krainie daleko od domu, zagrożeni przez krwiożercze istoty, Armadyjczycy szybko narzucili sobie codzienną rutynę.

Zajęło im to ledwo jeden dzień. Ludzie-kaktusy zbierali rośliny jadalne, łowili ryby, eskortowali swoich oraz wywozili śmieci – tak samo jak tutejsi mieszkańcy zabierali odpadki wózkiem na skalną półkę, skąd wrzucali je do morza.

Każdego ranka Aum, któremu zawsze towarzyszyła tubylcza świta, debatował z armadyjskimi naukowcami i prowadził dla nich wykłady, a po południu robił to samo z inżynierami. Ta nieustanna praca w upale wyzuwała z sił. Bellis miała zamgloną świadomość. Przerodziła się w piszącą maszynę syntaktyczną, istniejącą tylko po to, aby skondensować, przełożyć i napisać pytania, a następnie odczytać odpowiedzi.

Sens tego, co tłumaczyła, w większości jej umykał. Od czasu do czasu musiała odwoływać się do glosariusza zawartego w jej monografii wysokiego kettai. Nie pokazywała go anopheliusom. Nie chciała ponosić odpowiedzialności za to, że nauczą się innego języka, wyrwą ze swojego więzienia.

Zbiory wyspiarskiej biblioteki nie cechowały się szczególną systematycznością ani jednolitością. Władze w Kohnid i Dreer Samher nie udostępniały swoim poddanym żadnych prac, które uznały za niebezpieczne. Nie było prawie nic, co by zawierało informacje na temat świata zewnętrznego. Aby znaleźć takie książki, ludzie-moskity musieli przeszukiwać ruiny domostw swoich przodków po drugiej stronie wyspy.

I czasem znajdowali bajki, na przykład historię o człowieku, który podniósł awanka.

Historie były samorodne. Krótkie wzmianki w ezoterycznych tekstach filozoficznych, przypisy, mgliste wspomnienia ludowe. Mieli swoje niedożywione legendy.

Bellis nie dostrzegła rozszalałej ciekawości świata, której się spodziewała.

Odnosiła wrażenie, że tubylców interesują wyłącznie zagadki o wysokim stopniu abstrakcji. Świadectwo zainteresowania bardziej przyziemnymi kwestiami dał jednak Krüach Aum.

„W wodzie są mierzalne prądy – napisał – które nie mogą porwać w naszych morzach”.

Aum zaczął na najwyższym poziomie pojęciowym i udowodnił sobie samemu realność awanka. Armadyjscy uczeni siedzieli jak zaczarowani kiedy Bellis niezbyt płynnie tłumaczyła jego historię. Trzy, cztery równania, cała strona tez logicznych, wywody oparte na tych pracach z biologii, oceanologii i filozofii wymiarowej, które udało mu się znaleźć. Jakaś hipoteza. Weryfikacja rezultatów, sprawdzanie szczegółów historii pierwszego przywabienia.

Naukowcy wpatrywali się w niego z wytrzeszczonymi oczami i kiwali z przejęciem głowami na widok równań i zdań, które przekładała na salt.

Po jedzeniu Bellis znowu mobilizowała siły i zasiadała do pracy z inżynierami.

Tanner Sack zabrał głos jako jeden z pierwszych. – Jakiego typu jest to zwierzę? – spytał. – Co będzie nam potrzebne do jego spętania?

Wielu inżynierów wywodziło się z szeregów uprowadzonych, a kilku z grona prze-tworzonych. Bellis zdawała sobie sprawę, że otaczają ją kryminaliści, w większości z Nowego Crobuzon. Mówili w salt z akcentem z Dog Fenn czy Badside, okraszając swoje wypowiedzi slangiem ze slumsów, którego od wielu miesięcy nie słyszała i zaskoczona trzepotała powiekami. Omawiane przez nich dziedziny tyły dla niej równie niedostępne jak kwestie, o których dyskutowali naukowcy. Pytali o wytrzymałość stali, żelaza, różnych stopów, o strukturę plastra miodu, na której oparta była konstrukcja łańcuchów pod Nowym Crobuzon, o siłę awanka. Wkrótce przeszli do takich zagadnień jak maszyny parowe, turbiny gazowe, skalne mleko, przekładnie uprzęży czy uzdy i wędzidła wielkości statku. Wiedziała, że byłoby dla niej korzystne, aby to wszystko zrozumieć, ale przekraczało to jej możliwości, dlatego skapitulowała.

Tego wieczoru, kiedy jeden z mężczyzn był eskortowany do swojego pokoju, anophelia podeszła blisko niego z wyciągniętymi do przodu ramionami, wyrzaskując jakieś brednie. Jeden ze strażników-kaktusów zastrzelił ją z kuszarpacza.

Bellis usłyszała plaśnięcie o ziemię i wyglądnęła przez szczeliny okienne. Mężczyźni-moskity uklękli przy zwłokach, cmokając gębozwieraczami, i obmacali ją. Kłujka sterczała z rozdziawionych ust niby ogromny, sztywny język. Kobieta niedawno żerowała. Wielka, wirująca chakri kuszarpacza prawie rozcięła na pół jej wciąż nabrzmiałe ciało. Gejzery krwi wsiąkały w ziemię albo tworzyły brudne od pyłu kałuże.

Pokręcili głowami. Jeden z nich wziął od Bellis notes i napisał:

„Niepotrzebnie. Nie chciała żerować”.

Kiedy jej to wyjaśnił, Bellis zakręciło się w głowie od makabryczności zjawiska.

Bellis bardzo chciała pobyć trochę sama. Każdą chwilę dnia spędzała z innymi, co ją wykańczało, toteż po pracy, kiedy naukowcy usiłowali uzgodnić kierunek badań na następnym dzień, przeszła do mniejszego, sąsiedniego pokoju, sądząc, że nikogo tam nie ma. Pomyliła się.

Mruknęła coś przepaszająco i chciała wyjść, lecz Uther Doul natychmiast ją zatrzymał.

– Proszę zostać – powiedział. Odwróciła się do niego, przyciskając do boku torbę, boleśnie świadoma ciężaru otrzymanego od Silasa woreczka, który spoczywał na dnie. Stała przy drzwiach i czekała z kamienną miną. Przed jej przyjściem Doul ćwiczył. Stał teraz na środku pokoju, rozluźniony, z krótkim i wąskim, obosiecznym mieczem w garści. Broń nie była zdobiona ani pokryta magicznymi znakami, nie robiła wielkiego wrażenia. Ostrze było białe. Poruszało się szybko, według morderczego schematu, sypało refleksami światła ja k woda, bezdźwięczne i

nieuchwytnie dla wzroku. A potem trafiło do pochwy, tak szybko, że Bellis nawet nie dostrzegła tego momentu.

– Już skończyłem, panno Coldwine – powiedział. – Pokój jest do pani dyspozycji. – Nie wyszedł jednak. Bellis skinęła głową w ramach podziękowania i czekała. – Miejmy nadzieję, że niefortunne zabicie samicy nie popsuje naszych stosunków z anopheliusami.

– Nie popsuje – odparła. – Nie mają pretensji, kiedy ich kobiety giną. – Pamiętają dostatecznie dużo, aby wiedzieć, że to jest konieczne. -... „On o tym wie” – pomyślała zdumiona. „Znowu usiłuje nawiązać ze mną rozmowę”.

Rozpoznane przez nią szczegóły były jednak tak upiorne i fascynujące, mimo swojej nieufności pragnęła się nimi podzielić. Chciała, aby ktoś inny je poznał.

– Ludzie-moskity słabo znają historię, ale wiedzą, że ludzie-kaktusy, żywicochody, nie są jedynym zamorskim ludem. Wiedzą o nas, krwiochodach, i zdają sobie sprawę, dlaczego tacy jak my prawie nigdy tutaj nie zawijają. Nie pamiętają szczegółów związanych z Malaryczną Reginokracją, ale mają poczucie, że ich kobiety przed wiekami... zrobiły coś złego... – Pozwoliła wybrzmieć temu eufemizmowi. – Traktują je bez czułości, ale i bez odrazy. – Melancholijny pragmatyzm. Nie odnosili się do swoich kobiet wrogo. Raz do roku w miarę skwapliwie spółkowali z nimi, ale generalnie starali się ich unikać i sami zabijali je, jeśli zachodziła taka konieczność. – Nie próbowała żerować – podjęła Bellis beznamiętnym tonem. – Była pełna. Mają swój rozum. Nie są bezmyślne. Potrzebny jest bardzo długi okres głodowania, żeby zdechły. Mogą wytrzymać nawet rok bez żerowania, ale myślą tylko o tym, że są głodne, i bez przerwy drapieźnie wrzeszczą. Ale jak się najedzą, kiedy są pełne, naprawdę nasycone, na parę dni, może na tydzień, głód ustępuje. Wtedy próbują mówić. Ten anophelius powiedział mi, że nadlatują z mokradeł, lądują na rynku i wrzeszczą do mężczyzn, próbując przełożyć myśli na słowa, ale nie miały kiedy nauczyć się języka, bo ciągle trawi je głód. Mają świadomość tego, kim są. – Bellis spotkała się spojrzeniem z Utherem Doulem i nagle sobie uzmysłowiła, że wojownik darzy ją szacunkiem. Siedzą. Od czasu do czasu, kiedy przez kilka dni albo godzin brzuchach mają pełno, a w głowach jasno, uświadamiają sobie, to czym zajmują, jak żyją. Dorównują nam inteligencją, ale poczucie głodu za bardzo je pochłania, żeby nauczyły się mówić. Co kilka miesięcy skupiają się na kilka dni i usiłują nauczyć języka. Ale jak widać gołym okiem, mają inne aparaty gębowe niż samce, a tym samym nie potrafią wytwarzać takich samych dźwięków. Tylko najmniej doświadczone najmłodsze, usiłują naśladować mężczyzn-moskitów. Przy schowanej klujce ich usta znacznie bardziej przypominają nasze.

Widziała, że Uther Doule rozumie, o co chodzi. – Ich głosy brzmią podobnie do naszych. Nigdy wcześniej nie słyszały języka, który mogłyby naśladować. Ponieważ kobieta była syta i miała świadomość, że nie umie posługiwać się mową, na pewno zakręciło się jej w głowie z przejęcia, kiedy usłyszała, że rozmawiamy przy użyciu dźwięków, które sama umiała wytwarzać. Dlatego zbliżyła się do naszego kolegi. Usiłowała z nim porozmawiać.

– Dziwny miecz – powiedziała jakiś czas później. Zawahał się niemal niezauważalnie, a Bellis zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy widziała go niepewnego, po czym dobył go prawą ręką i podsunął jej pod oczy. Zdawało się, że w nasadę jego prawej dłoni wtopione są trzy małe paki metalu, połączone z żyłkową płataniną drutów w rękawie biegnących do małej obudowy na pasku. Rękojeść miecza była obita skórą, poza niewielkim odcinkiem metalu, którego Doule

dotykał bryłkami wrośniętymi w ciało, kiedy trzymał miecz. Wbrew przypuszczeniom Bellis ostrze nie było zrobione z lazowanego metalu. – Mogę dotknąć?

Doul skinął głową.

Postukała w brzeszczot paznokciem. Odgłos był matowy, nie dźwięczał typowo.

– Ceramika – wyjaśnił. – Bliższe porcelanie niż żelazu. – Krawędzi miecza nie cechował matowy blask zaostrej klingi. Miały tę samą barwę co reszta, pozbawiona wyrazu, trochę pożółkła biel, jak zęby albo kość słoniowa. – Nie zatrzyma się na kości – powiedział cicho Doul swoim melodyjnym głosem. – To jest inny rodzaj ceramiki niż wszystkie, które pani w życiu widziała. Nie zgina się, ale też nie jest krucha. I jest mocna.

– Jak bardzo mocna?

Uther skierował na nią wzrok i w jego spojrzeniu znów dostrzegła szacunek. Coś w niej zareagowało.

– Jak diament – powiedział.

Włożył mieczyk do pochwy; znowu tym niezwykłym, momentalnym ruchem.

– Skąd pochodzi? – spytała, ale Doul milczał. – Z tego samego kraju, co pan?

Zaskoczył ją jej własny upór i... co? Odwaga?

Nie czuła się odważna. Miała natomiast wrażenie, że ona i Doul rozumieją się – Wychodząc, skinął jej głową na pożegnanie.

– Nie. Trudno o mniej trafny domysł. – Po raz pierwszy zobaczyła że Uther Doul uśmiechnął się, chociaż tylko przelotnie. – Dobranoc – powiedział.

Bellis z rozkoszą zanurzyła się w tych chwilach przebywania sam na sam ze sobą, których była tak bardzo spragniona. Oddychała głęboko po jakimś czasie pozwoliła sobie na rozmyślanie na temat Uthera Doula. Dlaczego z nią rozmawia? Dlaczego toleruje jej towarzystwo? Dlaczego zdaje się żywić do niej szacunek?

Nie umiała go rozgryźć, ale uzmysłowiła sobie, że ma poczucie jakiejś więzi z Utherem, zrodzone ze wspólnego dla nich obojga sceptycyzmu, zdystansowania, siły i zrozumienia, jak również... tak, ze wzajemnego pociągu. Nie wiedziała, kiedy i dlaczego przestała się go bać. Nie miała pojęcia, do czego Doul zmierza.

Rozdział dwudziesty piąty

Z dwóch dni zrobiły się trzy, potem cztery, wreszcie w nieprecyzyjnym świetle tego małego pokoju minął tydzień. Bellis czuła się tak jakby jej oczy ulegały atrofii, jakby widziały teraz tylko ziemiste fantomy barw we wnętrzu góry, obwiedzione niezdecydowanymi, pozbawionymi konturów cieniami.

Co wieczór odbywała się ta sama krótka przebieżka na otwartym powietrzu. Bellis łapczywie podnosiła wzrok, żeby zobaczyć nagie światło i barwy, choć były to tylko spieczone kolory nieba nad wyspą. Czasem dochodził ją przenikliwy odgłos kobiet-moskitów, budząc w niej trwożę, ale nawet jeśli nie dochodził, zawsze szła skulona pod pieczę eskortującego ją strażnika-kaktusa albo strupodzieja.

Niekiedy słyszała szmery i pomruki kobiet-moskitów na zewnątrz długich szybów okiennych. Były przerażające i silne, a ich głód dorównywał swą mocą żywiołom. Zabiłyby wszystkich przybyłych na wyspę krwiochodów, w jeden dzień rozprawiłyby się z załogą całego statku, a potem leżały spęczniałe na plaży. Mimo tego wszystkiego kobiety, które mieszkaly w tym wyspiarskim getcie, miały w sobie coś budzącego nieodpartą litość.

Bellis nie wiedziała, jaki łańcuch okoliczności doprowadził do powstania Malarycznej Reginokracji, i absolutnie nie umiała ich sobie wyobrazić. Nie do

pomyślenia, żeby te wrzeszczące istoty przedostały się na inne lądy, a ich egoistyczny terroryzm spustoszył pół kontynentu.

Żarcie było równie monotonne jak otoczenie. Język Bellis prawie się znieczulił na rybnotrawiasty smak i z rezygnacją przeżuwała wszelkie wykarmione rdzą stworzenia, które ludzie-kaktusy złowili w zatoce, wszelkie zerwane przez nich jadalne zielska.

Samheryjscy funkcjonariusze tolerowali ich, ale im nie ufali – Kapitan Sengka nadal wyklinał ludzi-kaktusów z Armady, w karabinowym sunglari wyzywając ich od sprzedawczyków i renegatów.

Po każdym przedpołudniowych obliczeniach naukowcy byli coraz bardziej rozemocjonowani. Każdemu urosła potężna sterta notatek i obliczeń. Zapal odróżniający Krüacha Auma od jego ziomków – w ocenie Bellis będący wyrazem autentycznej ciekawości – jeszcze wzrósł.

Bellis ledwo zapięła, ale nie poddawała się. Tłumaczyła teraz, nawet nie próbując zrozumieć tego, co mówi; przepuszczała wszystko przed siebie jak maszyna analityczna, która rozbija zdania na czynniki pierwsze, a potem je rekonstruuje. Miała świadomość, że dla mężczyzn i kobiet pochylonych nad stołem i pograżonych w dyskusji z Aumem jest w gruncie rzeczy niewidzialna.

Słuchała głosów tak, jakby były muzyką: wyważona dźwięczność Tintinnabuluma, rytmiczne przejście Fabera, falujące obojopodobne tony biofilozofa, którego nazwisko ciągle wypadało Bellis z głowy.

Aum miał niespożyte siły. Popołudniami, siedząc z Tannerem Sackiem i innymi inżynierami, Bellis ledwo żyła ze zmęczenia, a tymczasem ten pracował jak zawsze, przeniósłszy uwagę z zagadnień pojęciowych i filozofii awanków na kwestie praktyczne związane z przywabieniem, schwytaniem i zapanowaniem nad obiektem wielkości wyspy. A kiedy zaczynało się ściemniać i ogólne zmęczenie wymuszało zakończenie pracy, osobą, która to sugerowała, nigdy nie był Aum.

Bellis nie mogła nie zauważyć, że problemy badawcze są jeden po drugim przewyciężane. Uzupelnienie przez Auma aneksu z danymi nie potrwało długo, a potem Armadyjscy szybko wychycili potknięcia i błędy rachunkowe, dziury w jego opracowaniu. Podniecenie naukowców dało się łapać garściami. Byli pijani z przejścia. Pracowali nad projektem o niesłychanej skali, ale po kolei pokonywali problemy, ostrzeżenia i przeszkody.

Czuli, że są o krok od niezwykłego dokonania, co przyprawiało ich o zawrót głowy.

Bellis nie bratała się z Armadyjczykami, ale nie dało się spędzać dni bez odzywiania się do nich. – Proszę, niech pani coś przekąsi – mówił ktoś, wręczając jej miskę z mdłą potrawką, i dałaby zupełnie niepotrzebne świadectwo dobrych manier, gdyby nie podziękowała.

W niektóre wieczory – spędzane przez Armadyjczyków na grze w kości i melorecytacji, która wprawiała w zachwyty obdarzonych drewnianymi głosami anopheliusów – mimowolnie trafiała na obrzeża rozmów.

Jedyną osobą, którą znała z imienia i nazwiska, był Tanner Sack. Choć fakt, że podróżowała „Terpsychorią” na górze, wolna, on zaś na dole, w niewoli, raczej wykluczał wytworzenie się między nimi więzi opartej na zaufaniu, Bellis wyczuwała w nim człowieka otwartego. Należał do tych, którzy podejmowali pewne próby włączenia jej w rozmowę. Bellis jeszcze nigdy nie była tak blisko społeczeństwa armadyjskiego. Pozwalano jej słuchać opowieści.

Większość z nich dotyczyła spraw tajnych. Bellis usłyszała o łańcuchach, które wisały pod Armadą: stare, ukryte od dziesiątków lat, włożono w nie całe dekady pracy i metal z wielu statków. „Jak Kochankowie w końcu się zdecydowali, co z nimi zrobić – mówił opowiadacz jednej z historii – to się okazało, że było to już dawno wypróbowane”.

Ofiarą opowiadaczy padł też Uther Doul.

– Pochodzi z krainy umarłych – powiedział ktoś pewnego razu konspiracyjnie. – Stary Doul urodził się ponad trzy tysiące lat temu. To on zapoczątkował Rebelię. Urodził się niewolnikiem w Imperium Widmowców, ukradł ten miecz, Ostrze Możliwości, wywalczył sobie wolność i zniszczył imperium. Umarł, ale był największym wojownikiem w dziejach i jako jedyny zdołał się przedrzeć z bronią w rękę ze świata cieni z powrotem między żywych.

Słuchacze prychnęli szyderczo. Rzecz jasna, nie uwierzyli w tę opowieść, lecz z drugiej strony nie wiedzieli, w co wierzyć, jeśli chodzi o Uthera Doula.

Doul spędzał dni na uboczu. Jediną osobą, której towarzystwa szukał i którą od biedy można było nazwać jego przyjacielem, był Hedrigall. Kaktus-aeronauta i człowiek-wojownik często rozmawiali po cichu w kącie sali. Mruczeli pod nosami, jakby wstydzili się swojej przyjaźni.

Oprócz Hedrigalla była jeszcze tylko jedna osoba, z którą Uther Doul miał ochotę spędzać czas i z którą rozmawiał – Bellis.

Szybko zdała sobie sprawę, że z pozoru przypadkowe spotkania, krótkie wymiany uprzejmości, wcale przypadkowe nie są. Okrężną i nieśmiałą drogą próbował się z nią zaprzyjaźnić.

Uther Doul pozostawał dla niej zagadką, której nie próbowała rozwikłać. Ufała, że da sobie radę. Chociaż poczucia zagrożenia nie udało się całkowicie usunąć, na swój sposób lubiła te spotkania, tę oficjalność z lekką podszytą flirtem. Bellis nie pozwalała sobie na jakąkolwiek kokieterię. Nie zniżala się do głupawych aluzji. Coś ją jednak w nim pociągało i wkurzała się za to na siebie.

Bellis pomyślała o Silasie. Bez śladu poczucia winy – na samą myśl o tym, że jej zachowanie można by zinterpretować jako zdradę, wydeła wzgardliwie usta. Ale przypomniała sobie, jak Silas zabrał ją na walki strupodziejów, właśnie po to, żeby zobaczyła Doula. „To jest przeszkoda na drodze naszej ucieczki”, powiedział jej i nie mogła sobie pozwolić na wymazanie tego z pamięci. „Dlaczego się narażasz, spędzając czas z Doulem?” – pytała samą siebie.

Na dnie torby czuła ciężar woreczka otrzymanego od Silasa. Dotkliwie sobie uświadamiała, że ma zadanie do wykonania na tej wyspie... które trzeba szybko wykonać. A stawiało ją ono po drugiej stronie barykady w stosunku do Doula.

Bellis uzmysłowiła sobie, dlaczego nie próbuje uciąć tych kontaktów. Rzadko znajdowała się w towarzystwie osób, które w co najmniej takim jak ona stopniu panowały nad swoimi reakcjami wobec świata. Uther Doul należał do takich osób. Dlatego się szanowali. Mówić prosto, bez uśmiechu, do kogoś o podobnym usposobieniu; wiedzieć, że jej dystans onieśmieliłby większość ludzi, ale jemu nie przeszkadza, i vice versa: była to rzecz rzadka i przyjemna.

Bellis miała poczucie, że powinni nocą oglądać miasto z balkonu. Że powinni wałęsać się bocznymi uliczkami z rękami w kieszeniach.

A tymczasem znajdowali się w małym pokoju przy głównej sali. Stali przy jednej ze szczelin okiennych. Bellis dostawała już mdłości koloru skały. Wyglodniałym wzrokiem wpatrywała się w pas nocnej czerni.

– Czy pan to wszystko rozumie? – spytała Bellis. Doul poruszył głową w niejednoznaczny sposób.

– Na tyle, aby wiedzieć, że są bliscy końca – odparł. – Ja specjalizuję się w czymś zupełnie innym. Na moje badania dopiero przyjdzie czas. Pani rola wkrótce się zmieni. Zostanie pani poproszona o uczenie go języka salt. – Bellis zatrzepotała powiekami ze zdziwienia i Doul skinął głową. – Jest to naruszenie waszych przepisów, ale nie dostarczymy na wyspę nowej wiedzy. Aum pojedzie z nami. – „Oczywiście” – pomyślała Bellis. – A potem wrócimy z naszą zdobyczą. Podjęliśmy się rzeczy monumentalnej. Od naszego odlotu Armada stacjonuje nad złożami ropy i skalnego mleka. Prowadzą odwierty i magazynują paliwo potrzebne do przywołania. Popłyniemy nad hydrosztolnię, a potem użyjemy paliwa, przynęty, kajdan, które skonstruujemy i tak dalej, i... złowimy awanka. – Brzmiało to dosyć bombastycznie. Nastąpiła długa chwila ciszy. – A potem zaczyna się nasza praca – powiedział Doul miękkim głosem.

Bellis milczała.

„Wiedziała, że igrasz sobie ze mną” – pomyślała chłodno. „Jaka praca się zaczyna?”

Nie było to dla niej zaskoczeniem. Nie wstrząsnęła nią informacja, że awank to dopiero początek projektu Kochanków, że w grę wchodzi coś więcej, że kryje się za tym jakieś ogromne przedsięwzięcie, o którym prawie nikt nie wie, a już na pewno nie ona.

Chociaż teraz w jakimś sensie wiedziała.

Nie rozumiała, dlaczego Doul jej to mówi. Jego pobudki były dla niej nieprzeniknione. Bellis wiedziała tylko, że jest wykorzystywana. Uzmysłowała sobie, że nie ma o to pretensji. Czego by mogła oczekiwać?

Nazajutrz rano słońce weszło nad zwłokami jednego z ludzi-inżynierów. Skóra ciasno opinała szkielet, ramiona ściśle oplatały piersi, dłonie zrobiły się szponiaste, a kręgosłup był wygięty w łuk jak u osoby w podeszłym wieku.

W zagłębieniu pod mostkiem skóra przywierała do gumowatych rur odsączonych jelit. Oczy przypominały zeschnięte na słońcu owoce. Dziaśła w otwartych ustach prawie dorównywały białością zębom.

Otoczony przez podżwiękujących mężczyzn-moskitów Hedrigall odwrócił go na plecy. Ciało bujało się na zakrzywionym kręgosłupie jak drewniany konik. On zaś znalazł sporą dziurę między żebrami, w miejscu, gdzie anophelia wgrzyła się w tego człowieka.

Ta śmierć wytrąciła Armadyjczyków z fałszywego poczucia bezpieczeństwa, które ich ogarnęło.

– Idiota zasrany – mruknął Tanner Sack. – Co on, kurwa, robił?

Bellis patrzyła, jak Tanner odwraca się od okna. Nie chciał więc jak Hedrigall schyla się, z szorstką czułością podnosi godne politowania szczątki i niesie zredukowanego do skóry i kości człowieka za miasto, żeby go pochować.

Nawet ta tragedia nie mogła jednak zgasić atmosfery ogólnego entuzjazmu. Chociaż wszyscy byli wstrząśnięci i zasmuceni, Bellis wyczuwała panujące wśród naukowców podniecenie. Nawet ci, którzy znali inżyniera, filtrowali swój smutek przez zupełnie innego rodzaju emocje.

– Spójrzcie na to! – zachwycał się Theobal, pirat i oceanolog teoretyk. Pomachał grubym dokumentem, którego kartki były zszyte z jednego końca. – Jesteśmy w domu! Tu jest cała potrzebna nam matematyka, taumaturgia, biologia.

Bellis patrzyła na te papiery z pewnym zaskoczeniem. „Wszystko to przeszło przeze mnie” – pomyślała.

Po wejściu Auma kazali Bellis napisać: „Potrzebujemy pańskiej pomocy. Czy opuści pan wyspę, nauczy się naszego języka i pomoże nam przywołać awanka spod morza? Polecą pan z nami?”

I choć prawie nie sposób było odczytać wyraz wyposażonej w gębozwieracz twarzy, Bellis była pewna, że zobaczyła w oczach Auma strach i radość.

Oczywiście odpowiedział: „Tak”.

Wiadomość szybko rozeszła się po miasteczku i samce-moskity przyszli tłumnie, żeby pogawędzić z Aumem i wysyczyć swoje odczucia.

„Swoją radość?” – zastanawiała się Bellis. „Swoją zazdrość? Swój smutek?”

Odniosła wrażenie, że niektórzy patrzą na Armadyjczyków z czymś podobnym do tęsknoty. Ich oddalenie od świata trzymało się na cienkiej nici, którą można było zerwać, i wyglądało na to, że Aum zerwał swoją nić.

– Odlatujemy za dwa dni – powiedziała Kochanka.

Krew w żyłach Bellis tak gwałtownie przyspieszyła, że ją to zabolalo – zupełnie zaniedbała swoje zadanie. Od niej zależał los Nowego Crobuzon. Poczula, że przygniata ją rozpacz. „Nie dojdzie do tego” – pomyślała szybko. „Nie jest jeszcze za późno”.

Pozostałych Armadyjczyków bardzo ucieszyła wiadomość, że odjeżdżają, uciekają od tego zatykającego powietrza i od tych żarłocznych kobiet. Bellis rozpaczliwie potrzebowała jednak jeszcze kilku dni. Znowu stanęły jej przed oczyma wydrenowane z krwi zwłoki, ale szybko odpędziła od siebie ten obraz. Za wszelką cenę chciała uniknąć popadnięcia w rozpacz.

Tego wieczoru, kiedy strupodzieje i ludzie-kaktusy eskortowali swoich narażonych na ataki kobiet-moskitów towarzyszy do łóżek ona siedziała sama, masowała dłoń, oddychała głęboko i usiłowała wymyślić jakiś plan, jakąś metodę przedostania się na samheryjski statek. Zastanawiała się nad dezercją: poprosi kapitana Sengkę o litość i zostanie na pokładzie. Albo ukryje się na jakimś statku. Wszystko, byle znowu zobaczyć Nowe Crobuzon. Wiedziała jednak, że to nierealne. Natychmiast po zauważeniu jej nieobecności Kochanka zarządziłaby przeszukanie statków z Dreer Samher, ci by jej nie odmówili. Złapałoby Bellis, przesyłka nie zostałaby doręczona, a Nowe Crobuzon znalazłoby się w straszliwym niebezpieczeństwie.

Poza tym, napomniała się, w jaki sposób miałyby się przedostać na samheryjski statek?

Z jednego z sąsiednich pokoiw dobiegł ją jakiś dźwięk. Podeszła bliżej do zamkniętych drzwi.

Był to głos Kochanki. Nie rozróżniała poszczególnych słów, ale tego stanowczego, twardego głosu nie sposób było pomylić z innym. Kochanka jakby wzdychała łagodnie, niby matka do dziecka. W tych odgłosach było coś przyciszonego i bardzo intensywnego, co przejęło Bellis dreszczem i kazało jej zamknąć oczy. Zakręciło się jej w głowie od tej erupcji stężonych uczuć.

Oparta o ścianę wsłuchiwała się w cudze emocje. Nie umiała powiedzieć, czy afirmują miłość czy też najbardziej wyczerpujący psychicznie rodzaj obsesji. Nadal jednak czekała, ze wzrokiem utkwionym w drzwiach, pasożytnicza jak kobiety-moskity, unurzana w wykradzionych uczuciach.

Po kilku minutach, kiedy dźwięki ucichły i Bellis odsunęła się od drzwi, Kochanka wyszła z pokoju. Jej ciężkie rysy były spokojne. Zobaczyła, że Bellis na nią patrzy, i

spotkała się z nią wzrokiem bez zawstydzienia bądź agresji. Krew ciekła leniwie jak melasa z nowej rany na twarzy Kochanki, długiego rozcięcia skóry, które biegło od kącika ust przez podbródek ku zagłębieniu w szyi.

Kochanka osuszyła większość krwi i tylko kilka pękatych kropel wezbrało jak pot, oderwało się i popłynęło, zostawiając ślad na skórze. Obserwowały się nawzajem przez kilka chwil. Bellis miała poczucie jakby nie posługiwały się żadnym wspólnym językiem. Przepaść między nimi przyprawiała o zawrót głowy.

Rozdział dwudziesty szósty

Tej nocy Bellis obudziła się po kilku godzinach snu.

Zrzuciła z siebie mokrą od potu kołdrę i wstała. Mimo śródnocnej pory powietrze wciąż było ciepłe. Wyjęła spod poduszki woreczek od Silasa, odsunęła zasłonę i powoli, cichaczem przeszła przez pokój, w którym otulony cieniami Tanner leżał na swoim sienniku. Po dotarciu do drzwi oparła o nie głowę i poczuła na skórze fakturę drewna.

Bała się.

Wyglądnęła ostrożnie przez okno i zobaczyła wartownika-kaktusa, który powoli maszerował od drzwi do drzwi po wyludnionym placu. Znajdował się spory kawałek od niej. Oceniała, że mogłaby otworzyć drzwi i uciec, a on by jej nie zobaczył ani nie usłyszał.

A dalej?

Bellis nie widziała nieba. Nie było groźnego buczenia, żadna żarłoczna owadopodobna kobieta ze szponiastymi dłońmi i sterczącą z otworu gębowego klujką nie czyhała spragniona jej krwi. Bellis położyła dłoń na skoblu i czekała, czy usłyszy albo zobaczy jakąś anophelię, żeby mogła ją ominąć. „Łatwiej się ukryć, jeśli wiesz, gdzie cię czeka niebezpieczeństwo”. Pomyślała też o widzianym tego ranka skórzanym worku kości, który niegdyś był człowiekiem. Zastygła z dłonią na skoblu.

– Co robisz? – dobiegł ją zza pleców twardy szept. Okręciła się na pięcie, ściskając w dłoni nocną koszulę. Tanner usiadł i patrzył na nią z ciemnej wnęki.

Poruszyła się nieznacznie i Tanner wstał. Zobaczyła, że z jego partii brzusznych wylewają się te dziwne, utrudniające mu ruchy macki. Stał przed nią spięty i podejrzliwy. Sprawiał wrażenie, jakby zamierzał ją zaatakować. Odezwał się jednak szeptem, co ją trochę uspokoiło.

– Przepraszam – szepnęła.

Przybliżył się do niej i pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała tak nieufnej twarzy. – Nie chciałam cię obudzić. Musiałam... – Odeszła ją wena: nie miała pomysłu na to, co rzekomo musiała. – Przepraszam – powtórzyła i pokręciła głową. – Zachciało mi się...

Wstrzymała oddech i spojrzała mu w oczy.

– Tego zamka nie da się otworzyć – powiedział. Patrzył na trzymany przez nią woreczek. Wymagało od niej pewnego wysiłku, żeby nie próbować go schować ani nie poruszać nerwowo palcami. Trzymała woreczek na widoku, jakby nie było w nim niczego ważnego. – Co zew natury? Musisz skorzystać z nocnika, moja droga. Tutaj nie wolno się wstydzić takich rzeczy. Widziałas, co się stało z Williamem. – Wyprostowała się, skinęła głową, wciąż zachowując nieprzeniknioną minę, i wróciła tam, gdzie znajdowało się jej łóżko. – Śpij dobrze – zawołał za nią i powoli udał się na swoje posłanie.

Przy rozdzielającej ich pokoje zasłonie Bellis spojrziała przez ramię. Tanner siedział, z pewnością czekając i nasłuchując. Bellis zazgrzytała zębami i zaciągnęła zasłonę.

Po chwili ciszy Tanner usłyszał krótki prysk, odgłos kilku kropeł, i uśmiechnął się do swojej pościeli. Kilka kroków od niego, oddzielona zasłoną Bellis wstała z nocnika z twarzą zastygłą w wyrazie wściekłości.

Z jej gniewu i upokorzenia zaczął się wyłaniać jakiś kształt, jakaś nadzieja, jakiś pomysł.

Rano zaczęła się ostatnia pełna doba pobytu Armadyjczyków na wyspie.

Naukowcy zebrali wszystkie swoje notatki i szkice, rozmawiając i śmiejąc się jak dzieci. Nawet milkliwy Tinnabulum i jego podkomendni sprawiali wrażenie optymistycznie nastawionych do życia. Dookoła Bellis krystalizowały się harmonogramy i plany. Wydawało się, że złapanie awanka jest już niemal pewne. Kochanka włączała się w dyskusje, aby po chwili z ciężkim uśmiechem przenieść się gdzie indziej. Nowe nacięcie było czerwone błyszczące. Tylko Uther Doul nie dawał się ponieść emocjom. Ucher Doul i Bellis. Ich spojrzenia spotkały się przez całą salę. Jedyne nieruchome punkty wśród całego tego harmidru, przeżyli wspólną chwilę poczucia wyższości pokrewnego pogardzie.

Przez cały dzień ludzie-moskity wchodzili i wychodzili, wytrąceni z ospałego, mniszego trybu życia. Było im bardzo przykro, że przybysze odjeżdżają. Mieli świadomość, że niespodziewany napływ teorii i wrażeń wkrótce się skończy.

Bellis obserwowała Krüacha Auma i zauważyła, że stary anophelius jest zupełnie jak dziecko. Widząc, jak jego nowi towarzysze pakują do toreb ubrania i książki, próbował ich naśladować, chociaż nic nie miał. Opuścił salę, aby po chwili wrócić z naręczem szmat i papierów, które związał w coś na kształt podróznego tobołka. Na ten widok Bellis dostała gęsiej skórki.

Na dnie swojej torby czuła przesyłkę Silasa: listy, wisiorek, pudełko, wosk, sygnet. „Dziś w nocy” – pomyślała i ogarnęła ją panika. „Dziś w nocy, i niech się dzieje, co chce”.

Przez resztę krótkiego dnia śledziła tor słońca. Późnym popołudniem, kiedy światło stało się gęste i ociążałe, a każdy kształt broczył cieniem, przeniknęła ją trwoga. Bellis uświadomiła sobie bowiem, że nie ma szans przedostać się obok mokradel i terytoriów morderczych kobiet-moskitów.

Wystraszona podniosła wzrok, kiedy drzwi otworzyły się z impetem.

Do sali wszedł kapitan Sengka, w obstawie dwóch członków załogi.

Trzej ludzie-kaktusy stali w drzwiach z ramionami splecionymi na piersiach. Nawet jak na przedstawicieli swego gatunku, byli osobnikami o pokaźnych gabarytach. Ich roślinne mięśnie pęczniały wokół szarf i przepasek biodrowych. Światło migotało na ich biżuterii i broni.

Sengka wycelował ogromnym palcem w Krüacha Auma.

– Ten anophelius nigdzie nie jedzie – oznajmił.

Nikt się nie poruszył. Po kilku chwilach ciszy Kochanka podeszła do ludzi-kaktusów.

– Co sobie myślałaś, kapitanie? – uprzedził ją, zanim zdążyła się odezwać. – Kapitanie? – powtórzył z niesmakiem. – Tak mam cię, kurwa, nazywać, kobieto? Co sobie myślałaś? Zgodziłem się na to, że tutaj w ogóle jesteście, chociaż nie musiałem. Przemykałem oko na to, że komunikowaliście się z tubylcami, co jest naruszeniem zasad bezpieczeństwa i naraża nas na kolejną Epokę Malaryczną. –

Kochanka pokręciła głową, w znaczeniu: „Bez przesady”, ale Sengka dał się zbić z tropu. – Czekalem cierpliwie, aż zabierzecie dupy w troki i co? Myślicie, że możecie bez mojej wiedzy wykraść stąd tubylca?

– Myślicie, że was puszczę? Wasz statek powietrzny zostanie przeszukany. – oznajmił stanowczym tonem. – Wszelka kontrabanda z Plaży Maszyn, wszelkie książki i rozprawy anopheliusów, wszelkie heliotypy z wyspy zostaną skonfiskowane. – Znowu pokazał na Auma i pokręcił z niedowierzaniem głową. – Czy ty w ogóle nie znasz historii, kobieto? Chcesz zabrać anopheliusa poza wyspę?

Krüach Aum wybałuszonymi oczami patrzył, jak kapitan beszta dowódczynię Armadyjczyków.

– Kapitanie Sengka – powiedziała Kochanka. Bellis jeszcze nigdy nie widziała jej takiej dostojnej i przekonującej. – Nikt nie śmiałyby kwestionować twojego zaangażowania i twojej troski o bezpieczeństwo, ale bardzo dobrze wiesz, że anophelius, samiec-moskit, jest nieszkodliwy i żywi się tylko nektarem kwiatów. Nie mamy zamiaru wywozić nikogo innego.

– Zabraniam! – krzyknął Sengka. – Na słoneczne gówna, system nie dopuszcza absolutnie żadnych wyjątków, ponieważ potrafimy wyciągnąć naukę z historii. Żaden anophelius nie może opuścić tej wyspy. Tylko pod tym warunkiem pozwalamy im żyć. Od tej reguły nie ma odstępstw.

– Zaczyna mnie to nużyć, kapitanie. – Bellis mimo woli podziwiała spokój Kochanki, zimny i twardy jak żelazo. – Krüach Aum jedzie z nami. Nie chcemy robić sobie wroga z Dreer Samher, ale zabieramy tego anopheliusa.

Odwróciła się i zaczęła oddalać od kapitana.

– Moi ludzie na Plaży Maszyn... – powiedział Sengka, a ona zatrzymała się i okręciła na pięcie. Wyciągnął ogromny pistolet i trzymał go lufą w dół. Armadyjczycy zastygli. –...to wyszkoleni w boju ludzie-kaktusy. Jeśli złamiecie mój zakaz, nie opuścicie tej wyspy żywi. – Tak powoli, że ruch ten nie wydawał się groźny, Sengka uniósł pistolet i wymierzył w Kochankę. – Ten anophelius, Aum, jak go nazywasz, idzie ze mną.

Obecni w pomieszczeniu strażnicy przybrali zaczajone pozy. Ręce zawisły nad mieczami, łukami i pistoletami. Strupodzieje i potężni ludzie-kaktusy szybko przerzucali wzrok między Sengką i Kochanką, kochanka nie patrzyła na nich, tylko – jak zauważyła Bellis – poszukiwała wzrokiem Uthera Doula.

Doul podszedł do przodu i stanął między Kochanką a pistoletem. – Kapitanie Sengka – powiedział swoim pięknym głosem. Z lufą pistoletu wycelowaną w jego twarz patrzył na człowieka-kaktusa z lekko zadartą głową gdyż kapitan był od niego o stopę wyższy i znacznie masywniejszy. Utkwił wzrok w lufie, jakby to było oko Sengki. – Przypada mi w udziale zaszczyt pożegnania pana.

Kapitan przez moment sprawiał wrażenie zbitego z pantafelku. Cofnął wolne ramię i ogromne bicepsy zawęziły się pod skórą a mięsista, najeżona kolcami pięść była naprężona i gotowa do zadania ciosu. Jego ruchy były powolne – wyraźnie liczył na to, że zastraszy Doula i nie będzie musiał przechodzić do rękoczynów.

Doul wyciągnął przed siebie dłonie jakby w błagalnym geście. Zastygł na chwilę, po czym wykonał tak szybki ruch, że Bellis – która się tego spodziewała, która przecież wiedziała, że coś takiego nastąpi – nie potrafiła za nim nadążyć. Zaszokowany Sengka kuśtykał do tyłu, trzymając się za gardło w miejscu, gdzie Doul dziabnął go sztywnymi palcami; nie mocno, raczej ostrzegawczo, znalazł lukę między tymi paskudnymi kolcami i odebrał kapitanowi oddech. To Doul miał teraz w ręku pistolet, w dalszym ciągu wycelowany w jego czaszkę, schwyty w złożone dłonie

jak coś wymodlonego. Nie odejmował wzroku od Sengki i szeptał do niego tak cicho, że Bellis nie mogła nic zrozumieć.

Serce łomocze jej w piersiach. Jest zdruzgotana poczynaniami Doula. Niezależnie od tego, czy napaść jest brutalna czy częściowo pozorowana, nadprzyrodzona prędkość i perfekcja tego ruchu sprawia, że wydaje się on atakiem na porządek rzeczy, jakby nie tylko ciało, ale również czas i grawitacja nie stawały już oporu Utherowi Doulowi.

Dwaj strażnicy-kaktusy stojący za Sengką podeszli do przodu, ociężali i oburzeni. Dobyli broni i pistolet trzymany w zastygłym aplauzie Doula obrócił się ku nim błyskawicznie, aby jeszcze szybciej trafić do wyciągniętej prawej dłoni. Mierzył w jednego z marynarzy, a potem – po niemierzalnie krótkiej chwili – w drugiego.

Nie widać żadnego ruchu. Trzej ludzie-kaktusy są przerażeni tą prędkością i precyzją która ociera się o taumaturgię.

Doul znowu wykonał niedostrzegalny ruch, skutkiem którego pistolet pofrunął do tyłu, a w dłoni wojownika pojawił się biały miecz. Po dwóch odgłosach uderzeń członkowie załogi Sengki ryknęli z bólu, a z rozciętych nadgarstków wypadła broń.

Koniuszek miecza dotykał teraz gardła Sengki, który patrzył na Doula ze strachem i nienawiścią.

– Uderzyłem twoich ludzi na płask, kapitanie – powiedział. – Nie zmuszaj mnie do tego, abym ci pokazał, jak działa ostrze.

Sengka i jego ludzie wycofali się poza zasięg miecza i wyszli na dwór gdzie dogasał dzień. Doul stanął w wejściu i wystawił miecz na zewnątrz.

Na sali przybierał na sile rytmiczny pomruk, triumfalne, pełne podziwu i zgrozy poszczekiwanie. Bellis już je kiedyś słyszała.

– Doul! – skandowali Armadyjczycy. – Doul! Doul! Doul!

Podobnie jak wokół areny dla strupodziejów, wołali tak, jakby był istotą boską, jakby potrafił spełniać ich życzenia, jakby śpiewali w kościele. Ich adoracja nie była głośna, ale żarliwa, ponuro radosna, nieustająca i doskonale zgrana. Rozwścieczyła Sengkę, który dosłuchał się w niej szyderstwa.

Spiorunował wzrokiem Doula, wprawionego w ramę framugi.

– Ty gnoju, ty tchórze, ty świniarzu, ty zasrany oszuście! – krzyknął z furią. – Jakiemu demonowi pozwoliłeś się wydupczyć w zamian za te umiejętności, świniarzu? Kurwa, nie wypuścimy was stąd!

Nagle głos uwiązał mu w gardle, kiedy Uther Doul wyszedł na otwarte powietrze, czyli do strefy w ocenie ludzi-kaktusów dla nich bezpiecznej. Armadyjczycy sapnęli, ale większość skandowała dalej.

Bellis natychmiast znalazła się przy drzwiach, gotowa zatrzaskać je przed nosem ewentualnej anophelii. Zobaczyła, że Doul bez wahania zmierza ku Nurjhittowi Sengce z gotowym do ciosu mieczem.

– Wiem, że jesteś zły, kapitanie – usłyszała jego głos – ale zapanuj nad sobą. Dobrze wiesz, że wyjazd Auma nie stwarza żadnego zagrożenia. To będzie jego ostatni kontakt z tą wyspą. Wprowadziliście ten zakaz, bo czuliście, że władza wycieka wam przez palce. To były błędne rachuby, ale do tej pory tylko dwóch spośród waszych ludzi to rozumiało. – Trzej ludzie-kaktusy otaczali go półkolem i wymieniali spojrzenia, zastanawiając się, czy powinni zaatakować. Bellis została wciągnięta z powrotem do środka, po czym Hedrigall i kilku innych armadyjskich ludzi-kaktusów i paru strupodziejów wyszło na dwór, aby zatrzymać się niedaleko drzwi. – Nie powstrzymasz nas przed odlotem, kapitanie – ciągnął Doul. – Po co ryzykować wojnę z Armadą? Poza tym wiesz równie dobrze jak ja chcesz ukarać nie moją załogę ani nawet nie moją szefową, tylko mnie. A do tego nie dojdzie –

zakończył miękko. W tym momencie do Bellis dobiegł ten zatrważający dźwięk: buczenie nadlatujących kobiet – moskitów. Sapnęła i usłyszała, że inni zareagowali tak samo. Sengka i jego ludzie ukradkiem podnieśli wzrok, jakby nie chcieli, aby widziano, że patrzą. Uther Doul nie odejmował wzroku od twarzy kapitana Sengki. Szybujący kształt przeciął niebo i Bellis zacisnęła usta. Skandowanie przycichło, ale nie całkiem zgasło, jakby napędzane jakąś podświadomą siłą. Nikt nie krzyknął do Doula, że jest w niebezpieczeństwie. Wszyscy wiedzieli, że skoro oni usłyszeli przyłot kobiet-moskitów, to tym bardziej on je usłyszał. Buczenie było coraz wyraźniejsze. Nagle Doul podszedł do kapitana i z bardzo bliska spojrzął mu w oczy. – Rozumiemy się, kapitanie?

Sengka ryknął i usiłował objąć Doula ramionami, aby zmiążdżyć go w kolczastym uścisku. Dłonie Doula śmignęły Sengkę w twarz i odbiły jego ramię, a potem Doul stał kilka kroków dalej, natomiast zwinięty wpół człowiek-kaktus kłął w żywy kamień, a z jego rozkwaszonoego nosa płynęła żywica. Ludzie Sengki przyglądali się temu z trwożliwym brakiem zdecydowania.

Doul odwrócił się do nich plecami i uniósł miecz na powitanie pierwszej z nadlatujących kobiet-moskitów. Bellis wstrzymała oddech. W jej polu widzenia pojawiła się pikująca ze świstem anophelia. Z jej gęby wystrzeliła kłujka. Kobieta-moskit fruwała nieregularnym i bardzo szybkim lotem, z wyciągniętymi przed siebie ramionami, pryskająca śliną i wygłodniała.

Przez dłuższą chwilę tylko ona się poruszała.

Uther Doul czekał na nią z uniesionym pionowo mieczem. Kiedy anophelia była tak blisko, że Bellis miała wrażenie, iż czuje jej zapach, a jej kłujka zdawała się dotykać skóry Doula, jego miecz w niewidoczny dla oka sposób przeskoczył z prawej do lewej dłoni, odrabując po drodze głowę i lewe przedramię kobiety-moskita. Zakrwawione członki potoczyły się po suchym pyłe, a anophelia runęła na ziemię. Gęsta, ociążała posoka czerwieniła się na ostrzu miecza, zwłokach i kurzu.

Doul znowu się poruszył, obracał się, podskakiwał, tak wyciągał ręce, jakby zrywał owoce, nadział na koniec miecza drugą anophelię.

„Nawet jej nie zauważyłam” – pomyślała Bellis. Ale ten już ściągnął kobietę-moskita na ziemię, gdzie leżała, wrzeszczała, śliniła się i nie rezygnowała z prób dopadnięcia go.

Szybko posłał ją na tamten świat, ku trwożnej uldze Bellis.

A potem niebo ucichło i Doul ponownie zwrócił się ku Sengce, wycierając ostrze miecza.

– Już nigdy o nas nie usłyszysz, kapitanie – zapewnił kaktusa, który patrzył teraz na niego z większym strachem niż nienawiścią, zerkając na zakrwawione ciała dwóch kobiet-moskitów, silniejszych od mężczyzn. – Odejdźcie i zakończmy na tym sprawę.

Potem znowu obmierzłe buczenie anophelii i Bellis z trudem powstrzymała krzyk na myśl o dalszej rzezi. Dźwięk przybliżał się i Sengka otworzył szerzej oczy. Rozglądnął się za żarłocznymi anopheliami, po cichu licząc na to, że zabiją Doula, chociaż wiedział, że to nierealne.

Doul nie poruszał się, mimo że buczenie było coraz bliżej.

– Na słoneczne gówno! – zawołał Sengka, po czym odwrócił się pokonany i skinął na swoich ludzi.

Szybko się oddalili. Bellis wiedziała, czemu tak im spieszą: nie chcieli patrzeć na zabijanie kolejnych anophelii. Nie dlatego, że im zależało na tych strasznych istotach, lecz dlatego, że przerażała ich wirtuozeria Doula.

Ten zaś zaczekał, aż trzech ludzie-kaktusy znikną z pola widzenia. Dopiero wtedy spokojnie schował miecz do pochwy i wrócił do środka.

Odgłos skrzydeł dochodził już wtedy z bardzo bliska, ale na szczęście anophelie leciały zbyt wolno i po przybyciu na miejsce rozproszyły się.

Po powrocie Doula znowu rozległo się skandowanie jego imienia, dumne i natarczywe jak okrzyk bitewny. Tym razem podziękował, skłoniwszy głowę i podniósłszy ramiona do wysokości barków z dłońmi na boki. Stał bez ruchu ze spuszczonego wzrokiem, jakby unosił się na wołaniu Armadyjczyków.

A potem znowu była noc, ostatnia noc, Bellis siedziała w swoim pokoju na legowisku z zakurzonej słomy, trzymając w rękach woreczek od Silasa.

Tanner Sack nie mógł zasnąć. Ekscytujące wydarzenia dnia, walki bardzo go zmęczyły. Zdumiewało go to, czego się dowiedział od Krüacha Auma. Poznał tylko maleńkie fragmenty znacznie szerszej teorii, ale już sama skala zadania, którym go obarczono, przyprawiał go o zawrót głowy. I dlatego nie mógł spać.

Poza tym czekał na coś.

I doczekał się, między pierwszą a drugą w nocy. Zastłona od strony pokoju kobiet została bardzo delikatnie odciążnięta i Bellis Coldwine zaczęła się przekradać przez pokój.

Tanner wykrzywił usta w brutalnym uśmiechu. Nie miał pojęcia co robiła zeszłej nocy, ale nie ulegało dla niego wątpliwości, że nie myślała o sikaniu. Pół uśmiechnął się, a pół skrzywił, kiedy pomyślał o swoim małym okrucieństwie, zmuszeniu jej do wstydlivej czynności fizjologicznej. Potem czuł się trochę winny, ale myśl o tym, że wyniosła, nieprzystępna panna Coldwine ze względu na niego wycisnęła z siebie kilka kropel moczu, przez cały następny dzień budziła w nim niepohamowaną wesołość.

Wiedział, że sprawa jest niedokończona, że Bellis znów spróbuje. Obserwował ją.

Nie wiedziała, że on nie śpi. Stała niedaleko drzwi w białej halce i wyglądała przez okno. Trzymała coś w rękach, pewnie ten sam skórzany woreczek, na który starała się nie zwracać jego uwagi poprzedniej nocy.

Ogarnęła go ciekawość, ale poczuł też iskrę agresji: chęć zemsty za traktowanie, jakie spotkało go na „Terpsychorii”, przekierowała się na Bellis. Uczucia te sprawiły, że nie poinformował Doula czy Kochanki o jej poczynaniach.

Bellis stała i patrzyła, potem schyliła się i pogrzebała w woreczku, a następnie powtórzyła cały cykl. Jej dłoń błąkała się niepewnie koło skobla.

Tanner Sack wstał i podszedł do niej bezgłośnie. Bellis była zbyt głęboko pogrążona w swoim niezdecydowaniu, żeby go zauważyć. Stanął kilka stóp za nią i obserwował ją zirytowany i ubawiony jej wahaniem. W końcu uznał, że już się napatrzył.

– Znowu musisz wyjść, co? – zakpił. Okręciła się na pięcie. Wstrząśnięty i zawstydzony Tanner zobaczył, że Bellis płacze.

Uśmiezek natychmiast znikł z jego twarzy. Z oczu Bellis Coldwine lały się łzy, ale nie szlochała. Oddychała ciężko, każdy głęboki oddech trząsł się i groził

załamaniami, ale robiła to całkiem bezgłośnie. Jej wyraz twarzy był zażarty i opanowany, a oczy pałające i nabiegłe krwią, wyglądała jak osaczone zwierzę. Z furią wytarła oczy i nos. Tanner chciał się odezwać, ale jej miazdzące spojrzenie rozstroiło go. W końcu z wysiłkiem udało mu się szepnąć: – Już dobrze, już dobrze... Nie miałem na myśli nic złego...

– Czego chcesz? – szepnęła.

Spokorniały, ale nie zastraszone, Tanner spojrzął na woreczek spoczywający w jej dłoniach.

– O co chodzi? – spytał. – Co to jest? Próbujesz zdezerterować, co? Masz nadzieję, że Samheryjczycy zabiorą cię do domu? – Znowu wybuchł w nim gniew, nad którym z trudem zapanował. – Chcesz powiedzieć burmistrzowi Rudgutterowi, jakie straszne tortury przechodzisz na statku pirackim, co nie? Chcesz im powiedzieć o Armadzie, żeby mogli nas wytropić i wsadzić mnie razem z takimi samymi jak ja do tego gnoju pod pokładami? Zrobić z nas niewolników w koloniach?

Bellis patrzyła na niego z dostojną, zażawioną furią. Po długiej chwili milczenia Tanner zobaczył pod skórą jej zastygłej twarzy, że podjęła jakąś decyzję.

– Przeczytaj to – syknęła.

Wcisnęła mu list do rąk i osunęła się na podłogę, oparta plecami o drzwi.

– „Status siedem?” – mruknął. – Co to, kurwa, jest „kod Grot Strzały?”

Bellis milczała. Przestała płakać. Patrzyła na niego wzrokiem nadanego dziecka, ale teraz na dnie jej oczu było coś jeszcze, jakaś nasieją.

Tanner przedzierał się przez gąszcz tego szyfru i znajdował wydeptane ścieżki sensu, miejsca, w których znaczenie jawiło się z szokującą oczywistością.

„Przybycie całujących czarowników?” – szepnął z niedowierzaniem. – „Nowotwór zbrylany przez glistodesantowców?” „Bomgowe?” Co to, kurwa, jest? Tu jest mowa o jakiejś pierdolonej inwazji. – Co to ma, kurwa, być?

– Tu jest mowa o jakiejś pierdolonej inwazji – bezlitośnie powtórzyła jego słowa.

Odczekała kilka okrutnych chwil, po czym wszystko mu powiedziała.

Ścisnął papier i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w pieczęć wodząc palcami po łańcuszku wisiorka Silasa.

– Masz rację co do mnie – powiedziała Bellis. Rozmawiali szeptem, żeby kobieta w sąsiednim pokoju się nie obudziła. Głos Bellis brzmiał jak zza grobu. – Masz rację – powtórzyła. – Armada nie jest moim krajem. Wiem, co o mnie myślisz: „Nie mam zaufania do tej suki z centrum miasta”. – Tanner pokręcił głową i chciał z nią polemizować, ale nie dopuściła go do głosu. – Masz rację. Nie należy mi ufać. Chcę wrócić do domu, panie Sack. Gdybym mogła otworzyć drzwi, wyjść na zewnątrz i znaleźć się na Polach Salacusa, w Brock Marsh, Mafaton, Ludmead czy jakimkolwiek innym miejscu w Nowym Crobuzon, to, na Jabbera!, otworzyłabym te drzwi – mówiła z taką pasją że Tannera aż cofnęło. – Ale nie mogę. Owszem, był czas, kiedy wyobrażałam sobie, że przybędą nam na ratunek. Wyobrażałam sobie, że przyplynie marynarka wojenna i zabierze mnie do domu. Ale są dwie rzeczy, które stoją temu na przeszkodzie. Teraz też chcę wrócić do domu, Tanner, ale... – Zawahała się i nieco przygarbiła. – Na „Terpsychorii” byli ludzie, którzy nie podzielali tego pragnienia. Wiem, co by to oznaczało dla ciebie, dla innych, dla wszystkich crobuzońskich przetrwanych, gdyby zostali „uratowani”. – Spojrzała mu w oczy stanowczym wzrokiem. – Możesz mi wierzyć lub nie, twoja wola, lecz wcale sobie tego nie życzę. Nie mam złudzeń co do Nowego Crobuzon, nie jestem zwolenniczką wywózki do kolonii, Tanner. Nie masz zielonego pojęcia, dlaczego znalazłam się na tym pieprzonym

statku. A chociaż bardzo chciałabym wrócić do domu, wiem, że to, co jest najlepsze dla mnie, nie jest najlepsze dla ciebie i dobrowolnie nie wzięłabym udziału w zmuszaniu cię do powrotu. To prawda – powiedziała nagle, jakby zaskoczona, jak do siebie. – Przegrałam ten spór. Poddaję się. To prawda. – Zawahała się, po czym podniosła na niego wzrok. – Pewnie myślisz, że jestem na wskroś zakłamaną, Tanner, ale dochodzi drugi czynnik – nie mogę nic zrobić. Nie mogę uciec z Samheryjczykami. Nie mogę pokierować marynarką Nowego Crobuzon. Jestem uziemiona na Armadzie.

– Kto to jest Silas Fennec? – spytał Tanner. – I co to jest?

Machnął listem.

– Fennec to crobuzoński agent, tak samo uziemiony jak ja, tyle że ma informacje o jakiejś pierdolonej inwazji, jak się wyraziłeś.

– Chcesz, żeby Nowe Crobuzon upadło? – naciskała. – Dalijabber rozumiem, że nie kochasz tego kraju. Bo i dlatego miałbyś go kochać? Ale czy naprawdę chcesz, żeby Nowe Crobuzon przestało istnieć? – Jej głos nagle zhardział. – Nie masz tam przyjaciół? Nie masz tam rodziny? Cholera, czy w całym mieście nie ma nic, co chciałbyś zachować? Nie przeszkadzałoby ci, gdyby wpadło w łapy Gengris?

Kawałek na południe od Wynion Street, na Polach Pelorusa, znajdował się maleńki targ. Wykwitał w wąskiej uliczce za budynkiem jakiegoś magazynu w migalce i pylniki. Był za mały, żeby dorobić się nazwy.

Handlowano tam butami. Używanymi, nowymi, kradzionymi, niskiej i wysokiej jakości. Chodakami, pantoflami, kozakami i innymi.

Od lat było to ulubione miejsce Tannera w całym Nowym Crobuzon. Nie, żeby kupował więcej butów niż przeciętny człowiek, ale lubił spacerować krótkimi uliczkami z zabudową mieszkalną przerobioną ze stajen, koło stołów ze skóry i brezentu, słuchając okrzyków przekupniów.

Przy tej uliczce było kilka kafejek. Tanner znał ich właścicieli, a także stałych bywalców. Kiedy był bez pracy, a miał trochę pieniędzy, godzinami przesiadywał w porośniętej bluszczem Boland's Coffees, Parając się i plotkując z Bolandem, Yvanem Curloughem i Sluchusherem – wszyscy vodyanoi, litując się nad obłąkanym Spiralem Jacobsem i stawiając mu kolejkę.

Tanner spędził tam wiele dni, w oparach dymu papierosowego, herbaty i kawy, obserwując przez kiepskie okna Bolanda, jak buty i godziny odpływają w siną dal. Na Jabbera, potrafił żyć bez tych dni. Nie był od nich uzależniony jak od narkotyku. Nie leżał bezsennie po nocach tęskniąc za nimi.

Ale natychmiast przyszły mu do głowy, kiedy Bellis spytała, czy by się przejął, gdyby miasto upadło.

Oczywiście myśl o tym, że Nowe Crobuzon, wszyscy znajomi, o których od jakiegoś czasu nawet nie myślał, wszystkie znane mu miejsca zostałyby zniszczone i zatopione przez grindyłow – postaci istniejące dotychczas tylko w jego koszmarach sennych jako cieniste kształty w jego głowie, budziła w nim przerażenie. Oczywiście nie życzyłby sobie tego.

Mimo to natychmiastowość własnej reakcji zaskoczyła go. Nie było w niej nic intelektualnego, nic przemyślanego. Wyrzwał przez okno na gorącą i duszną wyspiarską noc i przypomniał sobie, jak patrzył przez te inne okna, przez grube, plamiste szkło, na targ z butami.

– Dlaczego nie powiedziałaś Kochankom? Dlaczego nie przyszło ci do głowy, że pomogliby ostrzec miasto?

Bellis zatrzęsa ramionami w pozorowanym bezgłośnym śmiechu.

– Naprawdę sądzisz, że przejęliby się? – spytała powoli. – Sądzisz, że podjęliby jakiś wysiłek? Wysłali statek? Ponieśli koszty? Myślisz, że narażaliby się na dekonspirację? Myślisz, że zadaliby sobie tyle trudu dla uratowania miasta, które by ich zniszczyło, gdyby tylko nadarzyła się okazja?

– Mylisz się – powiedział niepewnym tonem. – Wśród uprowadzonych jest mnóstwo Crobuzończyków, którym by zależało na ocaleniu miasta.

– Nikt nie wie – syknęła. – Tylko Fennec i ja wiemy, a jeśli puścimy tę informację w obieg, zdyskredytują nas, zrobią z nas wichrzycieli i wrzucą do morza, a list spalą. Do diabła ciężkiego, co będzie, jeśli to ty się mylisz? – Wwiercała się w niego spojrzeniem, aż w końcu odwrócił wzrok. – Myślisz, że się przejmą? Myślisz, że nie dopuszczą do zatopienia Nowego Crobuzon? Jeśli im powiemy i okaże się, że jesteś w błędzie, to koniec, stracimy jedyną szansę. Rozumiesz, jaka jest stawka? Naprawdę chcesz tak strasznie ryzykować? – Ze ssaniem w gardle Tanner zdał sobie sprawę, że Bellis mówi do rzeczy. – Dlatego siedzę tutaj i płaczę jak kretyńka – zapluwała się. – Bo jedyną szansą na uratowanie Nowego Crobuzon jest przekazanie tego listu, wraz z uwierzytelnieniem i łapówką, Samheryjczykom. Rozumiesz? Żeby ocalić miasto od zagłady! A ja stałam tutaj jak sparaliżowana, i nie umiałam wymyślić, jak dostać się na plażę. Bo potwornie się boję kobiet- moskitów. Nie chcę umrzeć, a zbliża się świt i nie mogę wyjść na zewnątrz, chociaż muszę. Do plaży są prawie dwa kilometry. – spojrzała niego badawczo. – Nie wiem, co robić.

Słyszeli, jak strażnik-kaktus chodzi od domu do domu po skąpanym w świetle księżycy mieście. Tanner i Bellis siedzieli naprzeciwko siebie oparci o ściany, z nieruchomym wzrokiem.

Tanner znowu spojrzał na trzymany w ręku list. Zobaczył pieczęć. Wyciągnął dłoń i Bellis dała mu resztę przesyłki. Panowała nad swoim wyrazem twarzy. Tanner przeczytał list do samheryjskich piratów. Nagroda za uratowanie Nowego Crobuzon od zagłady była hojna, lecz wcale nie wygórowana.

Przeczytał list ponownie, zdanie po zdaniu. Żadnej wzmianki o Armadzie.

Spojrzał na łańcuszek z medalikiem, na którym widniało nazwisko i symbol. Nie było nic, co pozwalałoby powiązać ostrzeżenie z Armadą. Nie było żadnych wskazówek dla rządu crobuzońskiego, gdzie mają szukać Tannera. Bellis patrzyła na niego w milczeniu. Zgadywała, co się w nim dzieje. On wyczuwał roznieconą w niej nadzieję. Wziął do ręki sygnet i obejrzał misterną pieczęć z odwróconym wzorem, właściwie odbitym później w wosku. Zahipnotyzowała go. Mieniła się dla niego znaczeniami, podobnie jak Nowe Crobuzon.

Cisza utrzymywała się, gdy Tanner wodził palcami po bryłce wosku pieczętującego, sygnecie i długim liście ze strasznym ostrzeżeniem.

Nowe Crobuzon kojarzyło mu się przede wszystkim z prze-tworzeniem, ale nie tylko. Także z różnymi miejscami i ludźmi. Nowe Crobuzon nie ograniczało się do tego jednego aspektu.

Tanner Sack był lojalny wobec Niszczukowód i czuł w sobie żar lojalności, obok melancholijnej, podszytej pretensją sympatii do Nowego Crobuzon. Do targu z butami i innych rzeczy. Te dwie sprzeczne emocje buzowały w nim i okręzały się nawzajem jak ryby.

W oczach stanął mu obraz jego dawnego miasta zgruchotanego, czczzonego.

– To prawda – szepnął powoli. – Do Plaży Maszyn jest półtora, może dwa kilometry, w dół koło mokradeł, na których mieszkają te kobiety. – Nagle szarpnął głową, pokazując w kierunku drugiego końca miasta, w kierunku szczeliny w skale nad oleistymi falami. – Ale stąd do morza jest tylko kilkadziesiąt metrów.

Interludium V. TANNER SACK

Nie biorę ze sobą prawie nic.

Patrzę przez okno. Bellis Coldwine kuca schowana za mną. Pewnie zdenerwowana, że wskoczyłem w jej rolę, ale i pełna nadziei. Czekam, aż strażnik zniknie za rogiem, aż zejdzie z placu.

– Nie ruszaj się – mówię do niej, a ona kręci głową jak najęta. – Nie ruszaj się stąd ani na krok. – Teraz odwlekam sprawę, bo się boję. – Nie drgnij nawet, zanim nie usłyszysz mojego pukania.

Ma otworzyć mi drzwi. Ma dopilnować, żeby jakaś anophelia nie wdarła się do środka, kiedy drzwi nie będą zamknięte na skobel. Ma czekać, aż wrócę.

Potem kiwam głową, skórzany woreczek natarłem woskiem, żeby woda nie przesiąkła, i przytroczyłem do paska, przyciskam go do brzucha, jakby zasłaniał ranę, ona pociągnęła za klamkę i jestem na zewnątrz, pod gwiazdami, na powietrzu, w nocnym upale, mając wokół siebie kobiety-moskity.

Tanner Sack nie waha się. Mknie ku rozpadlinie ziejącej w tylnej części miasteczka niby odbył, a służącej do wyrzucania śmieci do morza. Biegnie ze spuszczoną głową, na oślep i mocno przerażony, pędzi ku pęknięciu w skale. Jego nerwy wrzeszczą, a ciało wygina się w łuk, bo każda jego cząstka rwie się do wody.

Wydaje mu się, że słyszy odgłos skrzydeł olbrzymich moskitów. Przebywa pod gołym niebem zaledwie od pięciu sekund, słuchając wiatru i nocnych owadów, kiedy jego stopy dotykają półki skalnej wysuniętej nad powierzchnię morza niby balkon. Powietrze nieruchomieje, a ciemności otulają go szczelniej, kiedy daje nura w wypełnioną po brzegi cieniem lukę w nadmorskiej górze. Przez chwilę jego stopy stoją w miejscu, kiedy Tanner waha się i zastanawia, czy nie wybrać trudniejszego i wymagającego większego skupienia zejścia wąską ścieżką, która zygzakiem opada w dół, ale jest już za późno.

Nogi same go poniosły, jakby usłyszał buczenie anophelii, oderwały się od skały i teraz spada.

Pod sobą ma tylko powietrze, ponad piętnaście metrów powietrza, niżej poruszającą się oleście wodę, która połyskuje jak żelazo. Już przed skokiem widział ruch morza. Jest teraz stworzeniem morskim i umie odczytywać kształty prądów. Wie, że woda pod nim jest głęboka. Tanner ustawia się pionowo, morze wyciska mu powietrze z płuc. Od tego wstrząsu otwiera usta i wciąga wodę przez biedne, wyschnięte skrzela. Morze znowu się nad nim zamyka, przyjmuje go do siebie. Tanner czuje się mile widzianym morskim mikroorganizmem.

Jest mu błogo, kiedy wisi nieruchomo w ciemnej wodzie. Upaja się poczuciem bezpieczeństwa, jakie daje mu otaczająca go przestrzeń. Żadne kobiety-moskity tutaj nie przylecą. W tym momencie nachodzi go myśl o innych drapieżnikach i przez chwilę czuje się trochę mniej bezpieczny.

Czuje ciężar nawoskowanego woreczka. Przyciska go do brzucha i odpycha się spiętymi błoną palcami stóp. Od tak dawna nie pływał. Ma wrażenie, że skóra zakwita mu w wodzie, a jej pory rozchylają się jak kwiaty.

Czerń nie jest absolutna. Rozszerzonymi źrenicami Tanner rozróżnia rozmaite odcienie ciemności: zatopione turnie, miejskie odpadki, szczelina w skale i nieubłagana toń głębiny. Przepląwa przez dziurę w klifie i czuje, że przepływ wody ulega zmianie. Fale w górze marnują, brzeg niby jakieś bezzębne, zniedołężniałe ze starości stworzenie. Tanner nie ma kłopotów z orientacją. Obok niego suną małe istoty, nocne rybki. Rozpościera wokół siebie macki, płynie tak nisko, że dodają

skały, zaczyna opływać wybrzeże. Macki są odważniejsze od niego. Niby ośmiornica wtyka je badawczo do otworów w kamieniu, z których jego dłonie by natychmiast uciekły. Macki są najbardziej elastycznymi częściami jego ciała i Tanner godzi się na objęcie przez nie przewodnictwa.

Opływa wyspę anopheliusów. Wyczuwa anemony i jeżowce. Ze smutkiem zdaje sobie sprawę, iż po raz pierwszy i prawie na pewno nie płynie na tyle blisko morskiego łoża, aby wczuć się w jego życie, ale jest zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Może sobie tylko wyobrazić sękaty twory z piasku i kamienia, nad którymi przepływa, skalne występy i martwe drewno, które z pewnością obrosło futrem wodorostów, nasycone kolory, które ujawniłoby światło.

Mijają minuty wyęźzonego pływania. Przybrzeżne morze smakuje inaczej niż otwarty ocean wokół Armady. Wodna zupa jest gęstsza. Zalewa go smak maleńkiego życia i śmierci.

A potem nagle dochodzi smak rdzy.

„Plaża Maszyn” – myśli Tanner. Opłynął kręte wybrzeże wyspy i znalazł się w zatoce. Przysawki jego macek pieszczą teraz inną materię: rozkładające się żelazo, zastrupiałe maszyny. Woda nad tym żelaznym łożem jest gęsta od soli metali i smakuje jak krew.

Na roziskrzanej od księżycowej poświaty powierzchni mającej trzy duże kształty, samheryjskie statki, blokujące dostęp skąpemu i bez tego światłu. Grube łańcuchy prężą się w wodzie, kotwice spoczywają pośród szkieletów znacznie starszych wytworów cywilizacji.

Tanner płynie do góry, wyczuwając ekspansję wody. Unosi ramiona, trzymając w dłoniach woreczek. Cień największego ze statków znajduje się na jego drodze.

Ludzie-kaktusy z Dreer Samher burzą się na jego widok, mimicznie dają wyraz złości, grożą mu, wymachując pięściami i kolczastymi przedramionami, ale to jest wszystko udawane. Nie mogą zrozumieć, co tu robi obszarpany prze-tworzony, który wspiał się po łańcuchach i stoi na pokładzie, ociekając wodą, patrząc na nich nerwowo, czekając, aż marynarze zabiorą go na dół.

– Dajcie mi porozmawiać z kapitanem, chłopcy – powtarza raz po raz w salt, wystraszony, lecz gotowy na wszystko.

Widząc, że ich groźby nie robią na nim wrażenia, marynarze zabierają go w rozświetlone świecami ciemności statku. Prowadzą Tannera obok skarbca, w którym trzymają swoje handlowo-bitewne zdobycze i obok kuchni, z której dobiega mocny zapach gnijącej roślinności i gęstej zupy. Prowadzą go korytarzami pośród klitek, w których rozzłoszczone szympansy wrzeszczą i potraszają prętami. Ludzie-kaktusy są zbyt ciężcy, a ich grube palce za mało precyzyjne, żeby mogli śmigać po olinowaniu. Szympansy od maleńkości uczone wykonywać gwizdane i głosowe rozkazy, umieją po mistrzowsku rozpinąć, podnieść czy zrefować żagle, mimo że nie mają pojęcia, co robią.

Znudzone naczelną są tutaj ukrywane przed głodem kobiet-moskitów.

Sengka siedzi w swojej kajucie, a Tannerowi, który nerwowo wyciera twarz i dłonie szmatą, każe stać. Wsparty na łokciach o biurko, ze splecionymi dłońmi, nieodparcie kojarzy się z urzędnikiem gatunku ludzkiego. Ta sama nieufna cierpliwość.

Jest politykiem. Niespodziewany widok Tannera natychmiast mu mówi, że dzieje się coś zakazanego, coś niezgodnego z życzeniami władz Armady. Na wypadek, gdyby się okazało, że tylko on może na tym skorzystać, Sengka odsyła wachtowych. Wychodzą z nadąsanymi minami, nie zaspokoiksi ciekawości.

– No to gadaj – mówi po paru chwilach milczenia. Pomija grzecznościowe wstępy, co budzi szacunek Tannera Sacka, który nadal ocieka morską wodą, ściska w dłoniach woreczek, czuje strach i wyrzuty sumienia, przytłoczony zdradą stanu, której nie chce popełnić. Nawoskowany woreczek i pudełko skutecznie ochroniły zawartość przed zamknięciem. Tanner bez słowa podaje Sengce krótszy list, z obietnicą dla okaziciela. Sengka czyta powoli, bardzo uważnie, kilka razy. Tanner czeka. Kiedy Sengka nareszcie podnosi wzrok, jego mina niczego nie zdradza. Ale list bardzo ostrożnie odkłada na bok. Znow bez słowa Tanner wyjmuje ciężkie pudełko. Schowawszy sygnet i wosk, podsuwa pudełko Sengce, pokazując mu list i łańcuszek z medalikiem. – Nie mam zamiaru przewozić czegoś, czego nie wolno mi przeczytać – mówi. – Mogłoby tam być napisane: „Drugi list możecie wyrzucić do kosza”. Na pewno to rozumiesz. Pozwolę ci zapieczętować, dopiero jak zobaczę, co tam jest. – Tanner kiwa głową. Przejrzenie pisanego stenograficznymi skrótami i szyfrem listu Silasa do władz Nowego Crobuzon zajmuje kapitanowi Sengce bardzo dużo czasu. Nie czyta go, bo nie umie, za słabo zna ragamoll. Szuka słów, które odnoszą się do niego: kaktus, Dreer Samher, pirat. Nie znajduje. „Chyba nie ma tutaj żadnego kanciarstwa” – uznaje. Patrzy na Tannera pytającym wzrokiem. – O co tu chodzi?

Tanner wzrusza ramionami.

Nie wiem, kapitanie, naprawdę. Rozumiem z tego nie więcej niż pan. Wiem tylko, że są tam informacje ważne dla Nowego Crobuzon.

Sengka kiwa ze zrozumieniem głową i rozważa dostępne opcje. Odesłać gościa i nie robić nic. Zabić go na miejscu – nic prostszego – i zabrać pieczęć. Przekazać woreczek. Nie przekazywać woreczka. Oddać gościa Armadzie, tym, których z pewnością zdradził, chociaż jak i po co, tego kapitan nie umie rozwikłać. Nurjhitt Sengka jest jednak zaintrygowany całą sytuacją i tym odważnym intruzem. Nie żywi do niego wrogości. I nie umie powiedzieć, dla kogo ten człowiek pracuje, kto jest jego protektorem.

Kapitan Sengka nie chce ryzykować wojny z Armadą, a tym bardziej z Nowym Crobuzon. „W liście nie ma nic, co stwarzałoby dla nas zagrożenie” – myśli i nie może się doszukać powodów, aby nie wziąć na siebie roli kuriera.

W najgorszym razie kapitan wypuści się na obce wody, z dala od szlaków handlowych Dreer Samher, a list nie zostanie uhonorowany. Czy to będzie katastrofa? Sengka zawinie do najbogatszego miasta świata, a jest nie tylko piratem, ale również kupcem. Podróż nie jest ani łatwa, ani krótka, ale może warto ją podjąć ze względu na samą możliwość, że list, opatrzony pieczęcią miasta, urzędowo potwierdzony przez autora, zostanie uhonorowany.

Na stojąco finalizują transakcję. Tanner sygnetem pieczętuje ten dłuższy list. Następnie wkłada łańcuszek Silasa Fenneca – „Kto to jest?”, znowu pojawia się pytanie – do miękko wyściełanego pudełka i zakrywa oboma listami, złożonymi na czworo. Zamyka pudełko na kluczyk i zalewa woskiem kawałek szczeliny między wieczkiem a resztą. Odciska w wosku sygnet i oczom obu panów ukazuje się miniaturowy, reliefowy herb miasta.

Tanner wsuwa pudełko z powrotem do skórzanego woreczka, który Sengka bierze od niego i zamyka w morskim sejfie.

Przez chwilę mierzą się wzrokiem.

– Nie będę rozwodził się nad tym, co ci zrobię, jeśli się okaże, że mnie oszukałeś – mówi Sengka.

Groźba jest bezsensowna: obaj wiedzą, że już nigdy się nie spotkają.

Tanner spuszcza głowę.

– Ona nie może się o tym dowiedzieć, kapitanie.

Boli go, że musi to powiedzieć, i gorączkowo przypomina sobie jaka jest treść listu, i dlatego sprawę trzeba było zachować w tajemnicy. Kieruje na kapitana Sengkę spojrzenie, które niczego nie zdradza. Kapitan nie dręczy go konspiracyjnymi mrugnięciami czy uśmiechami, a jedynie kiwa głową.

– Jesteś pewien? – pyta Sengka.

Tanner Sack przytakuje. Rozgląda się nerwowo dokoła, na dziobie statku, z lękiem nasłuchując wymownych odgłosów. Kapitan nie może wyjść ze zdumienia, że Tanner nie chciał przyjąć żadnego jedzenia wina ani pieniędzy. Nieprzenikniona misja tego człowieka intryguje go.

– Dziękuję, kapitanie – mówi Tanner i ściska kolczastą dłoń kaktusa.

Obserwując Tannera, który skacze z relingu, kapitan Sengka pochyła się do przodu z krzywym uśmiechem, czując dziwną sympatię do tego zawziętego człowieka, który go odwiedził. Sengka stoi na pokładzie jeszcze przez chwilę, patrząc na zmarszczki, które zostawił po sobie Tanner. Kiedy pochłaniają je fale, podnosi wzrok, nie przejmując się buczeniem kobiet-moskitów, które tylko pokrażą wokół niego i odlecą, nie wywęszywszy krwi.

Myśli o tym, co powie swoim oficerom, o nowych rozkazach, które wyda rano, po odlocie gości z Armady. „Ciekawe, jak zareagują” – zastanawia się. „Będą przerażeni? Zaintrygowani?”

Tanner Sack wytrwale płynie z powrotem ku rozdarciu klifu. Myśli o czekającej go ciężkiej wspinaczce po tej wijącej się zygzakiem ścieżce, ćwiczy odbicie się od skały i wskoczenie do morza w sytuacji, gdyby nadleciały kobiety-moskity.

Jest nieszczęśliwy. Nie pomaga mu świadomość, że musiał to zrobić.

Nagle ogarnia go pragnienie, żeby morze wywiązało się z obietnicy danej w jego imieniu przez poetów i malarzy: żeby wszystko zmyło, pozwalając Tannerowi zacząć od nowa, żeby wszystko odnowiło. Woda przepływa przez niego, jakby był pustą w środku. Zamyka oczy i wyobraża sobie, że woda oczyszcza go od wewnątrz.

Pięść Tannera jest zaciśnięta wokół brzydkiego sygnetu. Tanner pragnie, żeby jego wspomnienia zostały zeń wypłukane, ale siedzą w jego wnętrzu równie trwale jak flaki.

Nagle zatrzymuje się pośród morskiej toni, piętnaście metrów pod powierzchnią, zawisa jak skazaniec w czarnej wodzie. „To jest mój dom” – mówi sobie, ale nie przynosi mu to pociechy. Wzbiera w nim wściekłość, nad którą panuje, zaprawiona smutkiem i samotnością. Myśli o Szeklu i Angevine, jak zwykle zresztą.

Wyciąga dłoń przed siebie, otwiera ją i ciężki crobuzoński sygnet natychmiast znika.

Wokół jest czarno, jasność jego skóry to bardziej wspomnienie niż widok. Może sobie tylko wyobrazić, że sygnet wypada mu z ręki. I leci na dno. Długo. Nareszcie nieruchomieje pośród kamiennej topografii lub zgubionych części maszyn. Być może przypadkowo ląduje na jakiejś zielonej płachcie wodorostu albo koralowym palcu – bezrozumne, niepotrzebne uromantycznienie.

A potem, a potem... Ścierany nieustannym ruchem wody. Nie pochłonięty, jak próbuje wyobrazić sobie Tanner, nie stracony na zawsze. Rekonstruowany. By pewnego dnia, wiele lat lub stuleci od dzisiaj, wypłynąć na powierzchnię, wyrzucony do góry przez prądy powstałe podczas przepływania okrętów podwodnych. Być może pomniejszony na skutek działania bezlitosnej wody. A nawet gdyby podgryzanie

przez słoną wodę doprowadziło do rozpuszczenia się syngnetu, jego atomy wypłyną na światło dzienne i uzupełnią Plażę Maszyn.

„Niech sobie gadają co chcą ale morze niczego nie zapomina, niczego nie wybacza” – myśli Tanner.

Powinien płynąć dalej i niedługo popłynie. Wróci i wespie się ociekający wodą do miasta ludzi-moskitów. Trzepocząc mackami jak miotełką do odganiania much, przekradnie się pod drzwi, które otworzy mu Bellis. Wie, że będzie czekała. Zadanie wykonane, a miasto – jego dawne miasto, jego pierwsze miasto – może będzie bezpieczne. Na razie jednak Tanner nie jest w stanie się poruszyć.

Myśli o wszystkim, czego jeszcze nie widział. O wszystkim, co podobno jest w morzu. Statki-upiory, statki stopione, bazaltowe wyspy. Równiny skamieniałych fal, gdzie woda jest szara i zestalona, gdzie morze umarło. Miejsca, gdzie woda wrze. Burze parowe. Blizna. Myśli o syngnecie ukrytym na dnie pośród wodorostów.

„Wszystko wciąż tam jest” – myśli.

W morzu próżno szukać zbawienia.

Interludium VI. GDZIE INDZIEJ

Wielorybów już nie ma. Bez tych ogromnych, debilnych przewodników zrobiło się trudniej.

Czy zgubiliśmy trop, bracie?

Jest wiele możliwości.

Znowu są tylko koterie ciemnych ciał nad dnem morskim. Suną przez ciepłą jak krew wodę.

Saliny wokół nich niepokoją się. Wiele kilometrów dalej, tysiące metrów poniżej fal, coś wstrząsa skorupą świata.

Możesz skosztować?

Spośród milionów cząstek mineralnych, które unoszą się w wodzie, niektóre występują niespotykanie licznie: porożłupywany i zmielony krzemień, kropelki ropy naftowej, a także intensywny, nieziemski osad skalnego mleka.

Co oni robią?

Co oni robią?

Smak tutejszego morza coś przypomina. To jest ślina, której smak znają myśliwi. To jest plwocina świata. Spływa – *pamiętają* - z poszarpanych ust wyrzniętych przez platformy wiertnicze, które zasysają to co znajdują; obok betonowych cokołów mężczyźni w nieskutecznych sandrach ze skóry i szkła rozglądają się wkoło i łatwo jest ich porwać. Przesłuchać i zabić.

Pływające miasto wierci.

Tutejsze prądy tworzą istny labirynt, plątaninę konkurencyjnych przepływów, które zbrylają nieczystości w kręte łańcuchy, ślady smakowe które nie mają większego sensu, małe enklawy rozmaitych brudów.

Trudno się idzie ich tropem.

Wieloryby nie żyją.

A co z innymi? Z delfinami – *nieposłuszne* - albo manatami – *ociężałe i za głupie* - albo...

Żadne się nie nadają, jesteśmy sami.

Istnieją oczywiście inne stworzenia, które można wywołać z morskiej głębin, ale nie są tropicielami. Ich praca polega na czymś zupełnie innym.

Myśliwi zostali sami, ale wciąż mogą polować. Z niezłomną – i nieprzystającą do tego gorącego, szybkiego miejsca – cierpliwością kontynuują poszukiwania, przeciskają się między żyłkami smaku, zanieczyszczenia i plotek, znajdują drogę i podążają nią.

Są znacznie bliżej celu niż wcześniej.

Ale ta ciepła woda jest twarda, lepka, kłująca i dezorientująca. Myśliwi krążą, ścigając upiory śladów, kłamstw i złudzeń. Już prawie, prawie. Ale nie mogą znaleźć tropu.

CZĘŚĆ PIĄTA. SZTORMY

Rozdział dwudziesty siódmy

Portownik, 9 soluara 1780,
dziewiąty markindi jastrzębiego dzioba
kwarta 6/317; „Trójzab”

Znowu ze mną rozmawia.

Uther Doul postanowił, że będziemy... Kim? Przyjaciółmi? Towarzyszami podróży? Klubem dyskusyjnym?

Odkąd opuściliśmy wyspę, załoga się krząta, a reszta z nas siedzi w milczeniu, patrzy i czeka. Czuję się lekko otępiąta. Odkąd Tanner Sack wrócił zeszłej nocy – mokry, z plamami soli i przerażony chwilami spędzonymi na otwartej przestrzeni – nie mogę się uspokoić. Wiercę się na krześle i myślę o tym drogocennym liście, o tym brzydkim cynowym łańcuszku, bezcennym dowodzie, i czekającej je długiej podróży. Tanner Sack powiedział mi, że Sengka zgodził się je przewieźć. Droga jest długa, wyprawa ciężka. Mam nadzieję, że Sengka się nie rozmyśli. Modłę się, żeby przynęty Silasa okazały się wystarczające.

Tanner Sack i ja unikamy się wzrokiem. Mijamy się w luksusowej gondoli „Trójzębu” zeszytniali z poczucia winy. Uzgodniliśmy, że ja nie znam jego, a on mnie.

Godzinami obserwuję Krüacha Auma.

Poruszające zajęcie.

On wręcz trzęsie się z fascynacji i przejęcia. Oczy ma rozciągnięte wszerek, a pomarszczony gębozwieracz powiększa się i kurczy z każdym oddechem. Przemieszcza się – nie całkiem biega, ale jeśli to jest chód, to gorączkowy i mało dystygowany – od okna do okna, obserwuje silniki aerostatu, chodzi do kabiny kontrolnej pilota na przedzie, do kłopotów, do kajut mieszkalnych i do wielkiej katedry samego balonu, wypełnionej komorami gazowymi.

Aum nie potrafi porozumieć się z nikim oprócz mnie, dlatego sądziłam, że będzie pragnął korzystać z moich usług tłumaczki, a i nie, nie mam nic do roboty. Wyłącznie siedzę i patrzę, jak chodzi w tę i we w tę niby dziecko.

Spędził na tej skale całe swoje dotychczasowe życie. Upaja się tym, co go teraz otacza.

Przyszedł do mnie Doul. Tak jak za pierwszym razem usiadł naprzeciwko ze splecionymi ramionami i pozbawionymi emocji oczami. I odezwał się tym przepięknym głosem.

Sparaliżował mnie strach – tak jakby widział, co zrobiłam do spółki z Tannerem Sackiem – ale potrafiłam patrzeć na niego z miną wyrażającą spokój, którego się po mnie spodziewał.

Nadal jestem przekonana, że Doul i ja rozumiemy się. Przekonanie to leży u podłoża więzi, którą odczuwam, i wykorzystuję je. Doul widzi – jestem tego pewna – że staram się zapanować nad strachem, jaki budzi we mnie jego osoba, i szanuje mnie za to, że nie ulegam nerwowości, jaką powinna we mnie wzbudzać styczność z legendarnym dowódcą...

Nerwowość budzi we mnie co innego: że Doul odkryje, iż jestem zdrajcą. To jednak w ogóle nie przychodzi mu do głowy.

Przez długi czas bez słowa obserwowaliśmy Auma. W końcu Doul się odezwał. To zawsze on przerywa milczenie.

– Teraz, kiedy go mamy – powiedział – nie widzę, co mogłoby nam uniemożliwić przywołanie. Dzieje Armady wkrótce wkroczą w nową epokę.

– Co z okręgami, które nie są zadowolone z tego pomysłu? – spytałam.

– To prawda, że niektórzy mają obawy, ale proszę pomyśleć co przyniesie ze sobą przywołanie. Obecnie miasto porusza się żółwim tempem. Kiedy zaprzęgniemy do naszych celów awanka, będziemy w stanie osiągnąć wszystko. Przemierzmy cały świat w niewielkim ułamku czasu, który teraz jest nam do tego potrzebny. Moglibyśmy udać się w miejsca w tej chwili dla nas niedostępne – dokończył zniżonym głosem.

Znowu to samo: sugestia jakiegoś nieujawnionego motywu. Silas i ja poznaliśmy tylko połowę tej historii. Projekt ten nie ogranicza się tylko do wywabienia awanka. Nabrawszy przekonania, że poznałam tajemnice Armady, źle się czuję z tą niespodziewaną niewiedzą. Bardzo źle.

– Może do krainy umarłych? – spytałam powoli. – Do świata cieni i z powrotem?

Powiedziałam to niby od niechcienia, jakbym przytaczała krążące na jego temat pogłoski. Chciałam go sprowokować, żeby mi zaprzeczył. Chciałam poznać prawdę o projekcie, chciałam poznać prawdę o Doulu.

I wtedy Doul mnie zaskoczył. Chyba spodziewałam się jakiejś omownej sugestii, jakiejś mglistej wskazówki co do jego pochodzenia. Otrzymałam znacznie więcej.

Przypuszczam, że jest to element jego własnego projektu, polegającego na wytworzeniu między nami jakiejś więzi – jakiej, tego na razie nie wiem – ale niezależnie od pobudek, które nim kierowały, dał mi znacznie więcej.

– To jest łańcuch szeptów – odparł. Pochylił się i mówił cicho, dla zagwarantowania poufnego charakteru naszej rozmowy. – Kiedy pani słyszy, że pochodzę z krainy umarłych, znajduje się pani na końcu łańcucha szeptów. Każde ogniwo jest wadliwie połączone z poprzednim i umykają kolejne porcje sensu. – Jeśli niedokładnie tak brzmiały jego słowa, to bardzo podobnie. W ten sposób mówi, monologami, które sprawiają wrażenie wcześniej przygotowanych. Moje milczenie nie było niechętnie. To było milczenie publiczności. – Na moim końcu łańcucha jest prawda – ciągnął. Nagle stała się rzecz szokująca: chwycił mnie za rękę i położył dwa moje palce na powolnym tętnie w nadgarstku. – Urodziłem się za pani życia. Ponad trzy milenia po Rebelii... Nadal przypisują mi ten kataklizm? Ze świata umarłych nie ma powrotu.

„Pum, pum, pum”. Puls tętnił ociężale jak u jakiejś zimnokrwistej jaszczurki.

„Wiem, że to są bajeczki dla dzieci” – pomyślałam. „Wiem, że nie jesteś powróconym. A ty wiesz, że ja wiem. Czy chodzi ci o to, żebym cię dotykała?”

– Nie jestem z krainy umarłych, tylko z kraju, w którym umarli się rodzą – podjął.
– Urodziłem się i wychowałem w Cromlech. – Z trudem stłumiłam w sobie okrzyk. Jestem przekonana, że oczy wyszły mi z orbit. Gdyby spytać mnie o to przed sześcioma miesiącami, nie byłabym pewna, czy Cromlech w ogóle istnieje. Znałam je tylko jako na poły wyimaginowany kraj fabryk zombi i zmarłych arystokratów. Kraj, w którym upiory są głodne. Aż tu nagle Silas mi mówi, że tam był, że tam mieszkał... i ja mu wierzę. Jego opisy nie przewyższają jednak precyzją marzeń sennych. Są to tylko mgławicowe, ascetyczne wizje. A teraz znam drugą osobę, której kraj ten nie jest obcy? I tym razem nie podróżnika, lecz tubylca? Zdałam sobie sprawę, że mocno naciskam arterię Doula. Delikatnie wyswobodził rękę z moich palców. – Pogląd, że Cromlech zamieszkują sami thanati, to nieporozumienie – powiedział. – Są tam też żywi. – Słucham go teraz z wytężeniem, usiłując wyczuć akcent. – Stanowimy mniejszość, to fakt. Wielu z tych, którzy rodzą się każdego roku, hoduje się na farmach, trzyma w klatkach, aż okrzepną na tyle, żeby można ich było zgasić i przerobić na zombi. Innych wychowuje arystokracja, a kiedy osiągną odpowiedni wiek, zabija się ich i wita w społeczeństwie umarłych. Ale... – Urwał, popadając na chwilę w zamyślenie. – Ale jest też Żywkowo. Getto. Tam mieszkają autentyczni żywi. Moja matka była zamożna. Mieszkaliśmy w lepszej części dzielnicy. Niektóre zawody mogą wykonywać tylko żywi. Niektóre prace fizyczne są zbyt niebezpieczne, aby powierzyć je zombi. Ożywianie trupów jest kosztowne, ale zawsze można wyhodować więcej żywych. – Doul mówił rzeczowym tonem. – Dla nielicznych szczęściarzy, dla śmietanki: żywomościów, szlachty żywych, są objęte tabu prace, których thanati nie tykają, a żywym zapewniają przyzwoite utrzymanie.

Moja matka na tyle się wzbogaciła, że stać ją było na oddanie się do zabalsamowania i ożywienia przez nekrochirurga. Mimo, że nie była wysokokastowa, została thanati. Wszyscy wiedzieli, w którym momencie żywomość Doula zamieniła się w martwomość Doula. Ale mnie przy tym nie było. Wyjechałem.

Nie wiem, dlaczego mi to wszystko powiedział.

– Dorastałem pośród zmarłych. To nieprawda, że nic nie mówią, ale wielu rzeczywiście milczy, a żaden nie jest zbyt głośny. W czasach mojego dzieciństwa biegaliśmy, chłopcy i dziewczynki z Żywicowa, ulicami obok bezrozumnych zombi, nielicznych zdesperowanych wampirów i właściwych thanati, nieboszczyków z zaszytymi ustami, w pięknych strojach i ze skórą, która wyglądała na spreparowaną. Najbardziej zapadła mi w pamięć cisza. Nie traktowano mnie źle. Moja matka cieszyła się szacunkiem, a ja byłem grzecznym chłopcem. Największą przykrością, jaka mogła nas spotkać, było swoiście współczujące szyderstwo. Stykałem się ze środowiskami przestępców i heretyków, ale powierzchownie i niezbyt długo. Istnieją dwie dziedziny, w których żywi są sprawniejsi od thanati: pierwsza z nich to hałas, a druga to szybkość. Na hałasie mi nie zależało, ale na szybkości tak.

– Gdzie nauczył się pan walczyć? – spytałam, kiedy było już oczywiste, że nie przerwał, tylko umilkł.

– Opuściłem Cromlech jako dziecko – odrzekł. – Nawet sobie nie uświadamiając, że to robię. Zakradłem się do kolejki zębatej.

Więcej nie chciał mi powiedzieć. Od ucieczki do przybycia na Armadę musiało upłynąć co najmniej dziesięć lat. Nie chciał mówić o tym okresie, ale z całą pewnością to wtedy nabył swoje niezgłębione umiejętności.

Chwile milczenia były coraz dłuższe i widziałam, że Doul traci chęć do rozmowy. Nie chciałam tego. Po tygodniach życia w odosobnieniu potrzebowałam, żeby mówić. Próbowałam rozruszać go jakimś żartem. Musiało to zabrzmieć filuternie i frywolnie.

– Ale po opuszczeniu Cromlech walczyłeś z Imperium Widmowców i zdobyłeś... jak oni to nazywają?... Ostrze Możliwości?

Pokazałam na jego ceramiczny miecz.

Przez moment jego twarz nie wyrażała żadnej reakcji, a potem rozjaśnił ją piękny uśmiech. Doul wygląda jak chłopiec, kiedy się uśmiecha.

– To jest kolejny łańcuch znaczenia – powiedział – które w połowie się zatraciło. Imperium Widmowców już nie istnieje, ale jego relikty są rozsiane po całym Bas-Lag. To prawda, że mój miecz jest artefaktem Imperium Widmowców.

„Co on sugeruje?” – pomyślałam. „Mówi, że miecz powstał przy użyciu technik z Imperium Widmowców, czy że jest oparty wzorach z Imperium Widmowców”. Poznałam jednak po jego minie, że sens jego wypowiedzi jest dosłowny.

Chyba wyglądałam na zaszokowaną. Doul skinął zdawkowo głową.

– Mój miecz ma ponad trzy tysiące lat – oznajmił.

To niemożliwe. Widziałam go: prosty, trochę zużyty i zszarzały wyrób ceramiczny. Zdziwiłabym się, gdyby miał więcej niż pięćdziesiąt lat. – A nazwa... – Znowu uraczył mnie tym swoim uśmiechem. – Kolejne nieporozumienie. Znalazłem ten miecz po bardzo długich poszukiwaniach i opanowaniu martwej nauki. Ludzie nazywają go Ostrzem Możliwości. To jest przeróbka jego prawdziwej nazwy. Swego czasu istniało wiele takich mieczy. Sądzę, że teraz został już tylko ten. Nazywa się Miecz Możliwości.

Już podczas podróży powrotnej naukowcy snuli plany. Doceniali ogrom tego, co pozostało im do zrobienia. Czekala ich jeszcze cięższa praca.

„Trójzab” nie wracał tą samą trasą: Armada przemieściła się i dzięki tym tajemnym metodom, których Bellis nie rozumiała, lecieli wprost ku niej.

Sterowiec nabierał tempa, poniewierany przez szare chmury i pociski deszczu. Przez okna kajuty patrzyła na wzburzone morze i ciemne powietrze na skraju nieba.

Zbliżał się sztorm.

Zdołali uciec przez niepogodę. Sztorm był gwałtowny, ale nie poruszał się szybko. Rozrywał się na kawałki od środka. „Trójzab” leciał na jego obrzeżach, bombardowany przez peryferia deszczu, ścigając się z cieniem burzy.

Zobaczywszy bryłę Armady, która przełamała horyzont i rozprzestrzeniała się na falach, Bellis wpadła w zadumę nad wielkością miasta. Wyglądała jak coś rozlanego, jak plama zepsutych i wyremontowanych łodzi, chaotyczna i bezkształtna, o przypadkowych i niezmiennych konturach. Holowniki i parowce, które ciągnęły ją po morzu, wyprzęgnięto i teraz trudniły się przewozem towarów. Bellis pomyślała o zużywanych przez nie ogromnych ilościach paliwa. Nic dziwnego, że statki pirackie Armady były żarłoczne. Na widok miasta poczuła wielką falę uczucia, którego zupełnie nie umiała zidentyfikować.

Na skraju Armady zobaczyła „Terpsychorię”. Dostrzegła też za wikłane kontury platformy „Sorgo”, której wieża buchała płomieniami, a wyziewy zakrzywiały powietrze. Wokół jej nóg krzżeli się ludzie. Znowu wierciła, wysysając ropę naftową i skalne mleko z żył, których od stuleci płynęły pod ciśnieniem. Armada dotarła do uskoku. „Sorgo” magazynowało paliwo na planowaną gigantyczną taumaturgię.

Przelecieli nad północno-wschodnią częścią Niszczukowód, ostrożnie lawirując między masztami. W dole frunęło ich tropem stadko ciekawskich: aerotaksówki oraz indywidualni baloniarze, dziwaczne i koślawe statki powietrzne.

„Trójzęb” zaparkował nad „Wielkim Wschodnim”, na tej samej wysokości co kaleka „Arogancja”. Bellis widziała, że ludzie patrzą z okolicznych statków i małych pojazdów powietrznych, ale „Wielki Wschodni” otaśmowano. Na jego pokładzie nie było prawie nikogo. Czekał na nich niewielki oddział gwardzistów, z uradowanym Kochankiem na czele.

Bellis zobaczyła na jego twarzy nowe nacięcie, gojący się strup. Wychodziło od lewego kąca ust i opadało krętym szlakiem przez podbródek. Było to lustrzane odbicie rany, którą – jak słyszała Bellis – zadała sobie Kochanka.

Kiedy Kochankowie się zobaczyli, nastąpiła długa chwila ciszy, a potem pokonali dzielący ich dystans i wzięli się w objęcia. Chwyтали się i szarpali. Namiętne dotyki trwały co najmniej minutę. Nie przypominały pieszczot: Kochankowie sprawiali wrażenie, jakby walczyli ze sobą w zwolnionym tempie. Widok ten niepomierne poruszył Bellis.

Wreszcie wyplątali się z uścisku. Bellis stała dostatecznie blisko, aby usłyszeć, jak syczą do siebie. Kochanka uderzała i drapała swego mężczyznę w szyję i twarz, coraz mocniej i mocniej. Kiedy dotknęła jego nowego nacięcia, jej dłonie nagle stały się tak delikatne, jakby miała do czynienia z niemowlęciem.

– Tak jak się umówiliśmy – szepnęła Kochanka, dotykając swojej rany – i w uzgodnionym momencie. Czuleś mnie? Czuleś? Przysięgam, że ja cię czułam, każdy centymetr, każdą kroplę krwi.

Na ścianach sali w boazerii wisiały stare portrety olejne inżynierów i polityków, których Bellis nie rozpoznawała. Crobuzończyków anonimowo obrastających pleśnią w trzewiach skradzionego statku. Wokół stołu w kształcie podkowy zasiadał senat Armady. Przed oblicze dostojnej izby wezwano Tintinnabuluma, szefów ekip inżynieryjnych i naukowych z „Trójzębu” oraz Krüacha Auma. Obok oszołomionego anopheliusa siedziała Bellis.

Senat Armady nie zebrał się od ośmiu lat, ale władcy okręgów czekali na powrót „Trójzębu”, aby poddać ten przełomowy w dziejach Armady plan pod głosowanie. Chcieli stworzyć pozory, że wszystko odbywa się zgodnie z procedurami.

Każdy okręg miał jeden głos w senacie. Niektóre okręgi reprezentowała jedna osoba, niektóre grupka osób. Bellis powoli powiodła wzrokiem wokół stołu. Władców okręgów nietrudno było rozpoznać.

Braginod, królowa Czasów z rasy ludzi-kaktusów, w towarzystwie swoich doradców.

Książkowice reprezentował triumwirat kheprich, którzy nachylali się ku sobie i konwersowali za pomocą ruchów ciała i emisji chemicznych, co ich służący, człowiek, przekładał na język ludzi. Ich nazwiska mało kto znał, byli bowiem tylko figurantami, za którymi stała trzęsąca okręgiem klika o zmiennym składzie.

Blisko końca stołu siedział człowiek odziany w mnisze szaty: wysłannik Ciepłarni. Obok siebie miał niechlujnego człowieka w wieku około sześćdziesięciu lat.

Bellis rozpoznawała go z plakatów: był to król kupiec Friedrich z okręgu Tobietwój. Sąsiedował z nim mężczyzna o szarej i pokrytej bliznami twarzy: generał Ałozowic.

Zdecydowanie najliczniejsza była delegacja Bud. W obradach senatu brała udział znaczna część Rady Demokratycznej – mężczyźni i kobiety różnych ras, siedzący w ciasnym kręgu przylegającym do głównego stołu niby kółko zębate w przekładni. Ciągłe szeptali coś między sobą i patrzyli na przedstawicieli Niszczukowód z widoczną wrogością.

A po prawej stronie stołu: Kochankowie. Nie zabierali głosu, tylko obserwowali. Siedzieli obok siebie w milczeniu, z bliźniaczymi śladami przemocy na twarzach.

Naprzeciwko nich siadł blady mężczyzna, w prostym, ciemnym stroju który spoglądał na Kochanków znacznie mniej czytelnym znacznie inteligentniejszym wzrokiem niż rajcy z Bud. Bellis nigdy wcześniej go nie widziała. Nos miał szeroki, a usta pełne. Jedynym elementem odbiegającym od jego wygładzonego wizerunku były kręcone włosy. Ciemne, lecz przejrzyste oczy były niezwykle, hipnotyzujące.

Bellis z drżeniem zdała sobie sprawę, że jest to przywódca Pragnieniowic, największy rywal Kochanków. To z jego powodu posiedzenie odbywało się po zachodzie słońca. Naprzeciwko Kochanków siedział wampir – Brucolac.

Wszyscy wiedzieli, że posiedzenie jest formalnością i że jego uczestnicy nie dadzą się przekonać do zmiany dawno przyjętego stanowiska. Spory i dyskusje były sztuczne, a ciche sojusze i antagonizmy widoczne gołym okiem. Bellis wyrażała swoją opinię w kwestiach językowych, kiedy została o to poproszona.

Za projektem Kochanków opowiadało się pięć okręgów. Książkowice sprawiały wrażenie autentycznie zachwyconych planem Niszczukowód. Czasy i Ałozowice były opłacane przez Niszczukowody i stosowały się do poleceń jego włodarzy. Friedrich z okręgu Tobietwój bezwstydnie sprzedał swój głos Kochankom, wiedząc, że potrafią przebić finansowo ofertę każdej innej dzielnicy.

Kochankom sprzeciwiały się tylko współpracujące ze sobą dzielnice Ciepłarnia i Budy oraz działający w pojedynkę Brucolac z Pragnieniowic. A zatem pięć do trzech. Można było przystąpić do natychmiastowej realizacji planu.

– Nie zostaliśmy poinformowani – powiedziała Vordakine z Rady Bud, kobieta srogiego oblicza, która strofowała Kochanków za ich nieuczciwość. Rozpaczliwie próbowała przeciągnąć na swoją stronę Friedricha albo kheprich z Książkowic. – Nie powiadomiono nas o zamiarach Niszczukowód, kiedy jego piraci powrócili, holując crobuzońską platformę wiertniczą „Sorgo”. Mowa była wtedy o wzroście produkcji energii elektrycznej i mocy, o taniej ropie naftowej.

O skalnym mleku nie usłyszeliśmy ani słowa. A teraz się okazuje, że tania energia została z góry przeznaczona na projekt z awankiem. Czy można przewidzieć, co zamierzają zrobić, kiedy awank będzie już schwytany?

Brucolac ożywił się po raz pierwszy. Patrzył w stronę przedstawicieli Niszczukowód, a konkretnie – jak uzmysłowiła sobie Bellis – na Doula.

– Tu tkwi sedno sprawy – powiedział nieoczekiwanie. Głos miał chrapliwy, jakby na siłę wydarty z gardła. – To jest zasadnicza kwestia. – Jego długi, rozwidlony język zatrzepotał. Bellis wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. – Jakie są zamiary? Co można zrobić, mając awanka? Dokąd można popłynąć?

Kupiecki król Friedrich zmienił pozycję na krześle i splunął. Vordakine przypomniała mu o zobowiązaniach i starych długach wdzięczności, o których Bellis nic nie wiedziała. Odwrócił wzrok. Vordakine nie zdołała nakłonić go do zmiany stanowiska. Friedrich spojrział na Kochanków, a oni uśmiechnęli się do niego i jednocześnie skinęli głowami.

„Kupimy twój głos – mówił ten gest – a jeśli Budy i Ciepłarnia czy ktokolwiek inny przystąpi do licytacji, przeplacimy ich. Podaj swoją cenę”.

Przeciwnicy przywołania awanka wyglądali na starych i zmęczonych.

Platforma, książka, Krüach Aum – Bellis uzmysłowiła sobie, że od planów Kochanków od początku nie było odwrotu.

Wiele kilometrów za oknami, pośród ciemności nocy, nadal widać było burzę, raz po raz rozkwitającą na krótko błyskawicami. Otoczona przedstawicielami stronnictw, które dopiero teraz zaczynała rozumieć, tłumacząc dla członka rasy, którą miała za dawno wymarłą, Bellis czuła się ponuro i samotnie.

Wyszła z sali jako jedna z ostatnich. Przy drzwiach podniosła wzrok na Uthera Doula, który zastawiał jej drogę, ale zorientowała się, że jej współtowarzysz z wyprawy na wyspę ludzi-moskitów nie patrzy na nią. Z oczami i ustami nieruchomymi jak szkło był szcepiony wzrokiem z Brucolakiem.

Kochankowie już poszli. Wszyscy inni przedstawiciele okręgów też. Został tylko Uther Doul i wampir, a pomiędzy nimi stała Bellis.

Marzyła o tym, żeby już wreszcie wyjść, ale Doul stał w takiej pozycji – jakby szykował się do walki. Nie było miejsca na przeciśnięcie się bok niego, a bała się odezwać. Brucolac stał z rozwichrzoną czupryną i rozchylonymi ustami, upiorny wężowy język trzepotał w powietrzu.

Bellis tkwiła w pułapce. Dwaj mężczyźni nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

– Nadal zadowolony, Uther? – spytał Brucolac. Jego głos nigdy nie przekraczał natężenia nieprzyjemnego szeptu. Uther Doul nic nie odpowiedział. Brucolac parsknął udawanym śmiechem. – Nie sądz, że to już koniec. Obaj wiedzieliśmy, czym skończy się ta maskarada. Decyzje zapadają gdzie indziej.

– Martwomościu Brucolacu – odrzekł Doul. – Twoje zastrzeżenia do tego projektu zostały odnotowane. Odnotowane i odrzucone. A teraz przepraszam cię, ale muszę odprowadzić Krüacha Auma i jego tłumaczkę do ich kwatery.

Wciąż nie zdejmował jednak wzroku z bladej twarzy wampira.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, Uther – powiedział Brucolac uprzejmym tonem – ale ci ubijacze piany nareszcie zorientowali się, że coś jest nie w porządku. – Powoli podszedł do swojego oponenta. Bellis zamarła. Bardzo chciała wyjść z sali. Przez lata owijała się warstwami skupienia i chłodnej samokontroli. Niewiele miała w sobie uczuć, nad którymi nie potrafiła zapanować. Przeraziła się, kiedy sobie uzmysłowiła, że Brucolac budzi w niej trwogę. Jakby jego głos był idealnie zsynchronizowany w fazie z jej strachem. W sali senackiej panował półmrok, lampy gazowe pogaszono, paliło się teraz tylko kilka dogorywających świec. Bellis widziała jedynie wysoką postać Brucolaca, poruszającą się ze swobodą tancerza. Ze swobodą Uthera Doula, który wciąż milczał. I ani drgnął. – Słyszałeś, jak Vordakine spytała, co będzie dalej. Mówiłem ci, że jest z nich najlepsza. Nareszcie zaczynają się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi – szepnął Brucolac. – Kiedy im powiecie, Uther? Kiedy usłyszą, jaki jest plan? Naprawdę sądzisz – ciągnął z nagłą agresją w głosie – że mógłbyś stawić mi czoło? Sądzisz, że mógłbyś mnie pokonać? Myślisz, że wasz projekt można realizować bez mojej zgody? Czy ty wiesz, kim ja jestem?

Potem zaczął mówić kasznięciami wypowiedzanymi na wdechu, jakby język, którym się posługiwał, nie chciał wypuszczać na zewnątrz żadnych dźwięków.

Mowa Cromlech.

Treść tej tyrady sprawiła, że Uther Doul szerzej otworzył oczy. A potem i on podszedł kilka kroków do przodu.

– O tak, Brucolacu. – Głos Doula był twardy i kanciasty jak krzemień. Uther patrzył na wampira nad głową Bellis, tak jakby w ogóle jej tam nie było. – Doskonale

wiem, kim jesteś. Lepiej niż ktokolwiek. – Stali bez ruchu kilka kroków od siebie, a Bellis między nimi, jak przerywający walkę sędzieja. – Tytułuję cię szlacheckim tytułem martwomości – syknął Doul – ale taki sam z ciebie szlachcic jak ze mnie. Jesteś nieumarły, nie thanati. Zapominasz się, Brucolacu. Zapominasz, że jest inny kraj, w którym tacy jak ty mogą żyć bez kamuflowania się. W którym chronią się wasi uchodźcy. Zapominasz, że tam, gdzie martwi rządzą i opiekują się żywymi, nie ma powodów bać się ciebie. Zapominasz, że w Cromlech są wampiry. – Wycelował w niego palcem. – Mieszkają za gettem żywych. W chlewikach. W slumsach. – Uśmiechnął się. – Co wieczór po zachodzie słońca mogą bezpiecznie wypełznąć ze swoich nor i pójść do miasta. Odziane w szmaty patyki, podpierające się o ściany. Wyczerpani i zdychający z głodu, żebracy – szydził miękkim głosem. – Żebrzą u żywych o litość. I od czasu do czasu jeden z nas się zgodzi, wiedziony litością i pogardą, a także pod wpływem moralnego szantażu naszej sentymentalnej filantropii, stając w podcieniach budynku i podsuwając nadgarstki. Tacy jak ty wgryzają się w nie, oszaleli z głodu i mizdrzący się z wdzięczności, łąpczywie wypijają kilka łyków, aż wreszcie uznamy, że już starczy i zabieramy dłonie, a wy płaczecie i błagacie o jeszcze, czasem rzygacie, bo od tak dawna jesteście na głodzie, że wasz żołądek nie daje sobie rady z narkotykiem, i zostawiamy was leżących w błocie, wprawionych w narkotyczny błogostan. W Cromlech doskonale wiemy, kim są tacy jak ty, Brucolacu. – Znowu się uśmiechnął – Narkomanami, których jedni z nas tolerują, drudzy nienawidzą, a wszyscy, żywi i umarli, litują się nad wami. Dlatego nie próbuj mnie zastraszyć. Bo jak powiadam, Brucolacu, doskonale wiem, kim jesteś.

Nie padły już żadne inne słowa. Dwaj mężczyźni stali bez ruchu naprzeciwko siebie. Poruszał się tylko język Brucolaca, kosztując powietrze.

A potem Brucolac znikł.

Bellis mrugnęła i spojrzała na przemieszczone powietrze wokół siebie, gdzie wirowanie i leniwy przepływ drobin kurzu znaczyły szlak nagłego przemknięcia Brucolaca. Chwyciła się za głowę. „Co on ze zrobił?” – pomyślała. „Na czym to polega? Hipnoza? Bogowie kochani, jest szybszy od Doula...”

Kiedy jej tętno spowolniło, a oddech prawie wrócił do normy, ociężała zdała sobie sprawę, że Uther Doul patrzy na nią.

– Niech pani idzie ze mną – powiedział bezbarwnym tonem, jakby nic się nie stało, jakby nie była świadkiem żadnych niecodziennych zdarzeń. – Musi pani pomóc Krüachowi Aumowi.

Wychodząc z sali i usiłując się nie potknąć, co przy jej rozdygotaniu nie było łatwe, Bellis myślała o słowach Brucolaca.

„Dokąd płyniemy?” – zastanawiała się, podążając za Utherem Doulem. „Jaki jest plan?”

Rozdział dwudziesty ósmy

Po długich wahaniach sztorm przystąpił do natarcia.

Skrecone w ciasną spiralę masy powietrza rozwinęły się. Noc była gorąca. Wiatr uderzył w Armadę. Olinowanie i omasztowanie napinało się i tłukło w boki statków i budynków. Na świecie grzmiało i błyskało.

Była to pierwsza poważna burza, z którą miasto musiało się zmierzyć od dłuższego czasu, ale mieszkańcy zareagowali z wyćwiczoną fachowością. Statki powietrzne szybko ściągnięto na dół, aby przeczekały niepogodę w hangarach i pod brezentami. „Trójzab” – zacumowany do „Wielkiego Wschodniego” i za duży, żeby go

przykryć – chwiał się i kołysał w podmuchach powietrza, a jego ogromny cień przetaczał się po statkach i domach.

Na terenie całego miasta pomosty i liny odpinano z jednego końca, aby morze ich nie rozerwało nagłym szarpnięciem. Podczas sztormu poruszanie się po Armadzie było niemożliwe.

Wtłoczone w kanały między statkami wody Armady burzyły się i miały gwałtownie, choć nie były w stanie utworzyć fal. Tego rodzaju ograniczeniom nie podlegało morze, które łomotało o zewnętrzne statki. Łodzie, które składały się na wejścia do portów Basilio i Jeżowca, ściągnięto razem, aby zamknęły i osłoniły stojące w nich statki pirackie i kupieckie, armadyjskie i obce. Flota statków bojowych, holowniczych i pirackich, która w chwili erupcji sztormu była na morzu odsunęła się dalej, żeby burza nie rzuciła nimi o ściany macierzystego portu.

Tylko ci, którzy patrolowali miasto od dołu – batyskafy, ludzie-ryby, morskie wyrmeny i delfin Bastard John – zbyt się nie przejmowali. Przeczekiwali sztorm pod powierzchnią.

Wyjrawszy przez okno na korytarzu „Wielkiego Wschodniego” Uther Doul spojrzął na Bellis.

– Czeka nas gorszy niż ten – powiedział.

W pierwszej chwili Bellis nie miała pojęcia, o czym on mówi. Potem przypomniała sobie historię z książki Krüacha Auma: przywabienie awanka, wykorzystujące energię cząstek elementarnych błyskawicy.

„Wywołamy piekielną burzę, co?” – pomyślała.

Zgodnie z poleceniem Bellis uczyła Auma podstaw salt. Zadanie to wzbudziło w niej niepokój. Miała świadomość, że jest to pogwałcenie podstawowych zasad izolowania anopheliusów, narzuconych przez Kohnid i Dreer Samher. Chociaż izolacji tej przyświecały również merkantylne i hegemonistyczne cele, była to obrona konieczna przed tym jednym z najbardziej niebezpiecznych krajów w dziejach Bas-Lag. Bellis stale powtarzała sobie, że Aum jest samcem, i do tego starym, nie stanowiącym dla nikogo najmniejszego zagrożenia.

Aum przystąpił do nauki z rygiorem i logiką matematyka. Bellis przekonała się z zaskakaniem, że podczas krótkiej wizyty Armadyjczyków przyswoił sobie zaskakująco pokaźny zasób słownictwa. Aż zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie skazili wyspy językiem. Dla Crobuzończyków czy też dla mieszkańców Jheshul, Wysp Mandragory, Shankell bądź Perrickish salt był językiem łatwym do nauczenia się, ale dla Krüacha Auma – obcym w każdym swoim elemencie. Jego słownictwo i gramatyka nie znajdowały żadnych odpowiedników w wysokim kettai. Aum podszedł do sprawy analitycznie, sporządzając długie listy deklinacji, koniugacji i regułek gramatycznych. Jego metoda zasadniczo odbiegała od metody Bellis, opartej na intuicji i transie językowym, podnoszącym chłonność umysłu. Mimo to Aum robił szybkie postępy.

Bellis nie mogła się doczekać końca zlecenia. Nie miała najmniejszej ochoty godzinami siedzieć i pisać notatek w naukowym żargonie, którego nie rozumiała. Zwolniono ją z obowiązków bibliotecznych.

Przedpołudnia spędzała na udzielaniu lekcji Aumowi, a popołudnia na zajęciu tłumaczkii podczas spotkań Auma z tutejszą komisją naukową.

W ciągu dnia jadła z Aumem posiłek, a wieczorami od czasu do czasu spacerowała z nim po mieście, w obstawie gwardzisty z Niszczukowód. „Cóż innego mogę robić?” – myślała. Prowadziła go do Crooma czy na kolorowe arterie i ulice

handlowe Niszczukowód, Czasów i Bud. Któregoś razu zabrała go do Biblioteki Wielkiego Mechanizmu.

Podczas gdy ona rozmawiała ściszym głosem z Carianne, która wyglądała na szczerze ucieszoną z jej widoku, Krüach Aum wędrował między półkami. Kiedy podeszła do niego, aby mu oznajmić, że czas już iść, odwrócił się do niej gwałtownie. Była poważnie zaniepokojona jego wyrazem twarzy – nabożność, radość i cierpienie jak u osoby pogrążonej w religijnej ekstazie. Pokazała mu książki w wysokim kettai, a on zatoczył się jak pijany na widok takiego ogromu dostępnej dla niego wiedzy.

W tle jej psychiki nieustannie tlił się niepokój związany z faktem, że spędzała dni w obecności władz Niszczukowód: Kochanków, Tintinnabuluma i jego podwładnych, Uthera Doula.

„Jak do tego doszło?” – myślała. Bellis już na samym początku odgradziła się od miasta murem i dbała o to, żeby rana krwawiła i nie zasklepiła się. Czerpała z niej swoje samookreślenie. „To nie jest moja ojczyzna” – powtarzała sobie w kółko. A kiedy nadarzyła się okazja do nawiązania kontaktu z jej rodzinnym krajem, Bellis podjęła to ryzyko. Nie zgasła w sobie poczucia więzi z Nowym Crobuzon. Dowiedziała się o strasliwym zagrożeniu dla swego miasta i wymyśliła, szalenie ryzykowny oraz wymagający starannego planowania sposób na jego uratowanie. Paradoksalnie jednak, wyciągając przez morze rękę do Nowego Crobuzon, mocniej związała się z Armadą i jej władzami. „Jak do tego doszło?” Zaśmiała się, ale bez cienia radości. Zrobiła to, co mogła zrobić najlepszego dla swojej prawdziwej ojczyzny i w rezultacie całymi dniami pracowała dla naczelników swojego więzienia, pomagając im w zdobyciu źródła mocy, która pozwoliłaby im bez ograniczeń buszować po całym świecie. „Jak do tego doszło? I gdzie jest Silas?”

Nie było dnia, żeby Tanner nie myślał o tym, co zrobił na wyspie anopheliusów.

Sprawa ta uwierała go. Nie był pewien swoich odczuć w tej kwestii. Obmacywał to wspomnienie jak ranę i dotarł do pokładów dumy. „Uratowałem Nowe Crobuzon” – myślał, chociaż nie do końca w wierzył.

Rozmyślał o garstce ludzi, których tam zostawił. Koledzy od kieliszka, znajomi i przyjaciółki: „Zara, Pietr, Fezhenechowie i Ann.” Myślał o nich z rodzajem abstrakcyjnej czułości, jakby byli postaciami z książki, do których się przywiązał. Czy oni o mnie myślą? Tęsknią za mną?”

Relegował ich do przeszłości. Miesiącami tkwił w tym cuchnącym więzieniu na wodach Zatoki Żelaznej i w obskurnych ładowniach „Terpsychorii”, a potem w jego życiu nastąpiła tak niespodziewana i niezwykła odnowa, że Nowe Crobuzon przygasło w nim jako wspomnienie.

Mimo to nadal biło w nim źródło uczucia do tego miasta. Miał świadomość, że Nowe Crobuzon ukształtowało go. Nie chciał, żeby uległo zniszczeniu. Nie mógł znieść myśli o tym, że jego crobuzońscy znajomi mogliby zostać wymordowani. Ofiarował im zatem pożegnalny prezent, o którym nie mieli się nigdy dowiedzieć. Myśl ta przyprawiała go o zawrót głowy. Nowe Crobuzon zostało uratowane. On je uratował.

Świadomość ta nie dawała mu spokoju. Martwiła go, a zarazem budziła w nim radość i dumę. Dokonał rzeczy wiekopomnej, jego czyn zmienił bieg historii. Tanner wyobrażał sobie, że miasto przygotowuje się do wojny, nie wiedząc, kto je ocalił. Wydarzenie rangi dziejowej, a tymczasem on wspominał o tym ze zmarszczeniem brwi, nie mając pewności, czy należy do tego przywiązywać większą wagę. Tak jakby to był błahy szczegół.

Nie było mowy o zdradzeniu Armady. Nikomu nie stała się krzywda. Cóż to znaczyło dla Armady, że jeden z jej obywateli potajemnie spędził noc poza swoją kwaterą? Uratowanie Nowego Crobuzon zajęło mu kilka godzin. I cieszył się z tego. Z radością myślał o tym, co zrobił. Mimo że nie zapomniał o sędziach i fabrykach karnych.

Uratował miasto. Teraz należało powiedzieć mu „żegnaj”.

Awank był rzadkim gościem na morzach Bas-Lag. Wiedza na temat zawiloci życia międzyplaszczynowego była chaotyczna i szczątkowa.

Ani Tanner Sack, ani żaden z jego kolegów nie wiedział, czy stworzenie, które przebiło się do rzeczywistości Bas-Lag, jest manifestacją częściową czy całościową, efektem zawirowań skali – jakimś stworzeniem pierwotnym, planktonem z jakiegoś nautycznego nadwymiaru czy pseudoorganizmem powstającym samoistnie w kanałach między światami, czy jeszcze czymś innym. Nikt tego nie wiedział.

Wiedzieli tylko to, co przekazała im Bellis Coldwine, odczytując zawiłe rozprawy Krüacha Auma.

Anophelius czuł się wyraźnie oszołomiony w nowym środowisku ale nie ucierpiał na tym jego koncentracja i zdolność do odpowiadania na pytania. Każdego dnia Aum udzielał swoim nowym współpracownikom potrzebnych im informacji.

Rysował schematy upręży – większej od okrętu wojennego – wędzidła i wodze. Chociaż inżynierowie nie do końca rozumieli, jakie części awanka mają być przez tę uprzęż ujęte, uwierzyli Aumowi na słowo, że zaprojektowane przez niego mechanizmy spełnią swoje zadanie.

Prace teoretyczne i projektowe posuwały się do przodu w oszałamiającym tempie. Inżynierowie i naukowcy musieli sobie przypominać, jak ogromne postępy poczynili. Kiedyś sądzili inaczej, ale teraz nie ulegało dla nich wątpliwości, że bez Auma by sobie nie poradzili. Dopiero teraz przekonali się, jak bardzo go potrzebują.

Zastosowali zamknięte w szczelnych pojemnikach silniki w miejscach łączy jarzma, trójbiegowe kotły i skomplikowany system przekładni do regulacji ruchu, wszystko to zawieszono w lodowatych ciemnościach morskiej głębinie, na końcu wielokilometrycznych łańcuchów ciągnących się pod miastem.

A gdyby coś poszło nie tak? Trzeba byłoby wyremontować antyczne statki głębinowe Niszczukowód.

Czekało ich gigantyczne zadanie.

Tanner zacierał ręce ze szczęścia.

Doprowadzenie miasta do porządku po burzy zajęło zaledwie jedno przedpołudnie. Uprzątnięto z pokładów połamane dachówki i elementy omasztowania; na powrót przymocowano pomosty; policzono garstkę zaginionych i topielców, których burza zastała poza miastem.

Mając to już za sobą, Niszczukowody w niewiarygodnym tempie zabrały się do produkcji wszystkiego, co było potrzebne do tego historycznego projektu.

Pod Armadą ciągnęło się pięć ukrytych przedpotopowych łańcuchów. Tanner Sack i jego koledzy prześledzili ich przebieg i pozaznaczali ich punkty końcowe. Wszystkie moce produkcyjne przemysłu w Niszczukowodach, jak również nielicznych zakładów w Książkowicach i Ałozowicach i okręgu Tobietwój, przeszły pod bezpośredni nadzór Tintinnabuluma i komitetu nadzorującego projekt. Przystąpiono do budowy.

Kilka niedawno uprowadzonych, metalowych statków przeznaczono złomowania. Rozbierano je na kawałki. Krzątały się przy tym tysiące mężczyzn i

kobiet. Rutynowe prace portowe wykonywały załogi kadłubowe, a tymczasowo zatrudnionym robotnikom płacono astronomiczne dniówki. Okręty wojenne odarto z żelaznych szkieletów zewnętrznych, z parowców wypruto wnętrzości, powyrywano dźwigary i ogromne maszty z hartowanej stali. Statki obdarto ze skóry i wypatroszono, konwoje sterowców i flotylle barek woziły do fabryk tony metalu.

Uprząż awanka miała być zrobiona z dźwigarów i śrub wciąż poznaczonych bliznami po poprzedniej służbie. Żelazo za bardzo zniszczone, aby nadać mu nowy kształt, przetapiano w odlewniach.

Armada nie była miastem o wielkich tradycjach taumatycznych, ale miała wielu fachowych metalotaumatów, którzy całymi ekipami pomaszrowali do fabryk. W ścisłej współpracy z inżynierami mieszały w wielkich kadziach tajemne składniki, aby wzmocnić metal, uczynić go lżejszym i połączyć poszczególne elementy. Nareszcie wykorzystano część magazynowanego przez Niszczukowody skalnego mleka. Płyn ten przywożono w diabelnie ciężkich ampułach. Po odkorkowaniu wydzieliał dezorientujące zapachy, na przykład przypraw korzennych i nafty. Burzył się za szkłem – zimna macica perłowa.

Metalotaumatowie odmierzały mleko kroplami, mrużąc zaklęcia i przeciągając dłonie nad metalem, co wzbudzało w nim silne prądy, ładowało go energią i uszczelniało.

Elementy upręży awanka, walcowane, kute bądź uzyskane bardziej skomplikowanymi metodami, holowano na wyznaczone miejsce pod miastem przy użyciu batyskafów. Armia nurków pracowała przy nim z chemicznymi spawaczami, tryskając kolorowymi podwodnymi erupcjami, wywijając młotkami i kluczami w spowolnionym przez wodę tempie.

Była to niesamowita, zbudowana w ekspresowym czasie podwodna fabryka.

Łańcuchy zamocowano od spodu do pięciu statków: „Psire” z Książkowic, „Saskital” z Czasów, wielkiego parowca „Lament Krawca” stołecznego okrętu Ciepłarni, do „Zapasu Słów” z nawiedzanego okręgu i „Wielkiego Wschodniego” z Niszczukowód. Z kilów i podwodnych części burt każdego z tych starych, gigantycznych statków sterczał żelazny łuk rozmiarów portalu dużego kościoła, taumatycznie przyśrubowany i zamaskowany. Od każdego łuku ciągnęły się ogniwa wielkości sporych łodzi.

Strażnicze reki zwolniono ze służby. Wydawało się niemożliwe, że łańcuchy kiedykolwiek były ukryte. Huczało od pogłosek: o tym, co zrobiono do tej pory, i o tym, co może stać się teraz. Mówiono, że okręg Ciepłarnia próbował odciąć łańcuch pod swoim statkiem, chcąc pokrzyżować plany Niszczukowód, ale żelazny łuk okazał się zbyt mocny, zbyt duży, zbyt dobrze chroniony zaklęciami.

W dużej, pozbawionej okien hali na dnie „Wielkiego Wschodniego” budowano nowy silnik. Niepotrzebne kotły i sięgające na wysokość dorosłego człowieka rury usuwano, co przypominało wyrąb zardzewiałego lasu. Kiedy upiory maszyn zniknęły, na podłodze można było zobaczyć dwie wielkie, grube tarcze metalu. Sięgały do pasa, a ich obwód wynosił wiele metrów. Były obrosnięte skorupą starości i smaru. Powstały przed wieloma stuleciami w ten sposób, że końcowe ogniwo łańcucha

przepchnięto przez podłużny otwór w kadłubie statku, a następnie rozkuto na płask, żeby się mocno trzymały.

„Ktoś to wcześniej zaplanował” – stwierdził Tanner Sack. Nie mógł wyjść z osłupienia, kiedy pomyślał, że wiele pokoleń temu wykonano taki ogrom pracy, wymagającej wielkiej fachowości, sprawności organizacyjnej i umiejętności taumatycznych, a potem celowo zapomniano o jej efektach.

Między dwiema tarczami Tanner Sack i jego koledzy zaczęli budować niezwykłą maszynę. Pracowali według specyfikacji żmudnie wyliczonych przez Krüacha Auma.

Tanner uważnie przejrzał schematy. Konstruowany przez nich silnik funkcjonował według nieznanych mu praw. Olbrzymia maszyna miała wypełnić pomieszczenie łomotem młotków i kół zapadkowych, napędzana energią ze źródła, które pozostawało dla Tannera zagadką.

Zaczął od dołu, od kotłów, które miały dostarczać parę do tłoków. Wywiercił dziury w nitach łańcuchów, wlał tam wrzące stopy metali i wsunął do otworów grube jak nadgarstek kable w osłonie smoły. Kable przechodziły przez transformatory rozmiarów nogi, żebrowane słupki z białej gliny, po czym niknęły w gąszczu drutów, izolatorów i dyferencjałów.

Był to silnik pacyficzny, który po łańcuchu „Wielkiego Wschodniego” miał przesyłać skomplikowane energie do zanurzonego wiele kilometrów pod wodą wielkiego wężdzidła z całym jego oprzyrządowaniem. Do wabika. Do przynęty i bata.

Morze było przezroczyste. Na olbrzymim podwodnym placu budowy roiło się od nurków. Żurawiami statków fabrycznych spuszczano poszczególne komponenty. Na końcu ogromnych łańcuchów nabierała kształtów potężna uprząż, nadal przycumowana zaledwie kilkanaście metrów pod powierzchnią. Jej rozmiary były niepokojące dla oka, jej kontury egzotyczne i niezgłębione. Pływały wokół niej pstro ubarwione ryby, batyskafy, rzemieślnicy-raki, robotnicy w skafandrach i Tanner Sack. Ich ruchy cechowała powolna gibkość istot zanurzonych w wodzie.

Od czasu do czasu przez wodę szła wibracja. Podpory platformy wiertniczej „Sorgo” zniknęły w cylindrycznych, żelaznych wypornikach, które podtrzymywały ją pod powierzchnią niby zawieszono w wodzie statki. Szyb wiertniczy opadał pionowo przez tony wody, znikał w głębinach, przebijał morskie dno i żerował niby moskit.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Silas odwiedził Bellis trzy dni po jej powrocie.

Spodziewała się jego wizyty – co wieczór raz po raz zerknęła ku drzwiom – ale i tak zdołał ją zaskoczyć. Tego wieczoru zjadła kolację z Carrienne. Szczerze lubiła swoją byłą koleżankę z pracy, którą uważała za osobę wrażliwą i dowcipną, ale poczucie samotności nie chciało zniknąć, kiedy zmuszała się do uśmiechu. „Czy to cię zaskakuje?” – spytała bezlitośnie samą siebie. „Flirtujesz z samotnością eksploatujesz ją, kreujesz ją”.

Wspomniała czasy crobuzońskie i uczciwość kazała jej przyznać, że wiele się pod tym względem nie różniły od obecnych. Tutaj za wyobcowaniem przynajmniej krył się jakiś powód. Było ono pokarmem dla jej psychiki.

Carrienne domagała się szczegółowych opisów wyspy anopheliusów, panującej tam pogody i zachowań ludzi-moskitów. Zasnuwała ją mgła melancholii. Carrienne była wprawdzie pogodzona z życiem na pokładzie, ale już od lat nie postawiła stopy na lądzie i takie opowieści musiały wzbudzić w niej nostalgię.

Bellis stwierdziła, że trudno jej się mówi o wyprawie na wyspę ludzi-moskitów. Pamiętała ją jakby z oddali, jako monotonne pasmo strachu i nudy, przetykane szlachetniejszymi uczuciami. Pewne rzeczy musiała oczywiście pominąć. Z premedytacją mgliście wyrażała się o anopheliusach, o samherskich piratach, a przede wszystkim o Krüachu Aumie.

Od starcia Uthera Doula z Brucolakiem, które obserwowała z boku, Bellis była zafascynowana przywódcą Pragnieniowic. Carianne opowiedziała jej wszystko, co chciała wiedzieć na ten temat: o strukturze politycznej okręgu, o plutonie wampirów wykonujących rozkazy Brucolaca i o podatku posocznym.

– Jest to jedna z nielicznych okazji, przy których się go spotyka – powiedziała Carianne. Usiłowała mówić rzeczowym tonem, ale Bellis dosłuchała się w jej głosie trwogi. – Czasem w roli poborcy występuje któryś z jego podwładnych. Nacinają cię tutaj, tutaj albo tu – pokazała na udo, pierś i nadgarstek. – Smarują krew antykoagulantem i zamykają próżniowo w słoju.

– Ile pobierają? – spytała wstrząśnięta Bellis.

– Litr. Tylko Brucolac wypija krew w formie nierozcieńczonej, jego podwładni muszą dolewać wody. Podobno im więcej wypiją, tym są silniejsi, a chociaż Brucolac starannie ich dobiera, nie można wykluczyć, że któryś zachoruje na władzę. Gdyby pili krew tradycyjnie, prosto z żyły, mogliby stracić panowanie nad sobą, a nie chcą zabijać. Poza tym istnieje ryzyko zarażenia się wampiryzmem przez ślinę, dlatego gdyby wypili czyjaś krew prosto z żyły i zostawili tę osobę przy życiu, mogliby wyhodować sobie rywala.

Bellis rozstała się z Carianne na granicy Pragnieniowic. „Nie ma bezpieczniejszego miejsca”, powiedziała z uśmiechem Carianne – i poszła do domu.

Mogła wziąć taksówkę. Wiatr był umiarkowany, a z góry dolatywały ją wołania aeronautów, którzy szukali klientów. Przed dwoma dniami, kiedy jej codzienna praca z Aumem dobiegła końca, bez słowa wręczono jej plik flag i finiali na kwotę znacznie przewyższającą jej tygodniowe pobory w bibliotece.

„Pracuję teraz dla Niszczukowód i dostałam podwyżkę” – pomyślała cierpko.

Świadomość, że bez rozgłosu stoi w centrum wydarzeń, świadomość, że bez niej Armada nie urzeczywistniłaby swego projektu, ciążyła jej, mimo że na każdym etapie miała jasno sformułowane i słuszne powody, aby brać udział w tej pracy.

Wracała do domu na nogach nie z oszczędności, lecz po to, aby znowu posmakować Armady. Ponieważ całymi dniami tkwiła zamknięta w pomieszczeniu huczącym od często niezrozumiałych dla niej °zmów, czuła, że traci kontakt z miastem. „A lepsze obce miasto niż żadne” – mówiła sobie.

Z chłodnych, cichych ulic Alosowic przeszła do Niszczukowód, przez „Tolpandy”. Po drodze mijała jazgoczące małpy, które gnieździły się na dachach domów, na placach budowy, w opuszczonych kajutach i w baldachimie olinowania; mijała miejskie koty rzucające jej drapieżne spojrzenia, nieliczne psy plus tłumy szczurów i wieczornych spacerowiczów; mijała kurniki; mijała szalupy ratunkowe i przyrdzewiałe parowe krypy, przerobione na gazony kwiatowe; mijała dom wbudowane w baterie dział, z gołębiami gruchającymi w lufie armaty o kalibrze trzystu milimetrów; mijała drewniane budki na bocianich gniazdach; szła w świetle gazu, komórek flogistonowych i lamp naftowych; szła przez ciemności zabarwione na różne kolory, przeciskała się korytarzami z mokrej cegły, która pokrywała statki Armady niby futro z pleśni. W kominach „Chromolitu” czekał na nią Silas Fennec.

Na widok siedzącej w ciemnościach, niewyraźnej postaci przeżyła wstrząs. Syknęła na niego i stała odwrócona tyłem, dopóki tętno jej się nie uspokoiło.

Badał ją spojrzeniem dużych, spokojnych oczu.

– Jak dostałeś się do środka? – spytała. Odpędził to pytanie od siebie jak owada.

– Wiesz, że mieszkanie nadal jest pod obserwacją – odrzekł. – Nie mogę po prostu przyjść i zapukać do drzwi.

Bellis podeszła do niego. Nie poruszał się, nie licząc twarzy i oczu, które śledziły jej ruchy. Podeszła bardzo blisko – naruszając jego przestrzeń – i nachyliła się ku niemu powoli, żeby go obejrzeć niby jakiś obiekt muzealny. Robiła to ostentacyjnie, oglądała go chłodnym okiem i nachalnie. Być może chciała go onieśmielić, pozbawić tej pewności siebie.

Kiedy stała tak nad nim, pochylona, jakby dokonywała przeglądu, spotkał się z nią wzrokiem i po raz pierwszy od wielu tygodni uśmiechnął się do niej delikatnie i szczerze. Pamiętała powody, dla których całowała się z nim i kopulowała. Przede wszystkim izolacja i samotność, ale nie tylko. Były też czynniki bardziej związane z nim.

I chociaż stojąc nad nim, nie miała najmniejszej ochoty go dotknąć, chociaż po sympatii, która kiedyś nią powodowała, został już tylko nikły ślad, nie żałowała tego, co się stało.

„Oboje tego potrzebowaliśmy” – pomyślała. „I pomogło. Na prawdę pomogło”.

Odwracając się, poklepała go w tył głowy, co on przyjął pozytywnie.

– No i?

– Zrobione – odparła.

– Tak po prostu? – spytał, unosząc brwi.

– Oczywiście, że nie tak po prostu. Co ty sobie, kurczę, wyobrażasz? Me zrobione.

Skinął głową.

– Jak ci się to udało? – spytał neutralnym tonem, jakby dyskutowali na jakiś akademicki temat.

– Sama nie dałabym rady – zaczęła, a potem podskoczyła na krześle, zszokowana wyrazem gniewu na twarzy porażonego Silasa.

– Co ty, kurwa, gadasz? – Zerwał się na nogi. – Co żeś zrobiła, ty cipo pierdolona...

– Siadaj! – Bellis, która też wstała, mierzyła w niego trzęsącym się z wściekłości palcem. – Jak śmiesz!

– Co zrobiłaś, Bellis?

Spiorunowała go wzrokiem.

– Nie wiem, jak ty byś się przedostał przez mokradła, rojące się od długich na metr osiemdziesiąt moskitów, Silasie. Nie mam pewności, czybyś temu podołał. Do samherskich statków mieliśmy z półtora kilometra. Może ty jesteś kaktusem, strupodziejem albo innym dziwolągiem, ale ja mam krew w żyłach i by mnie zabiły. – Silas milczał. – Znalazłam więc człowieka, który mógł się przedostać na statki bez zagrożenia, że zostanie uśmiercony albo zatrzymany przez strażę. Crobuzończyk, gotowy zrobić to cichaczem, żeby jego pierwsza ojczyzna nie została zniszczona.

– Pokazałaś mu rzeczy?

– Oczywiście, że mu pokazałam. Myślisz, że poszedłby sobie beztrąsko popływać o północy, gdyby musiał uwierzyć mi na słowo?

– Popływać? To był Tanner Sack, prawda? Jak myślisz, ile lat zajęłoby ci znalezienie osoby bardziej lojalnej wobec Niszczukowód? – spytał napiętym tonem.

– Ale popłynął, a na moje piękne oczy nie podjąłby się tego. Podałam mu listy, chociaż wiem, że jest lojalny wobec Kochanków. Ale nie ma zamiaru wracać. Ale nie

sądzisz, że mógł zostawić w kraju jakichś znajomych? Myślisz, że jest zachwycony perspektywą zdobycia Nowego Crobuzon przez grindylow? Dalijabber! Zrobił to ze względu ludzi, których zostawił. Zrobił to ze względu na wspomnienia. Albo na coś innego. W każdym razie wziął pudełko, pieczęć, listy, i powiedziałam mu, co ma z tym wszystkim zrobić. To było pewnie ostatnie pożegnanie z tym zasranym miastem. Jego, moje i twoje.

Silas skinął głową, niechętnie przyznając, że być może Bellis nie miała wyboru.

– Dałaś mu wszystko? – spytał.

– Tak. Udało się, bez problemu. Silasie, mamy dług wdzięczności wobec Tannera Sacka.

– Czy on wie, kim ja jestem?

– Ależ skąd. – Silas wyraźnie się uspokoił, słysząc tę odpowiedź. – Masz mnie za idiotkę? Pamiętam, co się stało z kapitanem. Nie zamierzam skazywać cię na pewną śmierć – powiedziała miękko, lecz pozbawionym ciepła tonem.

Było to stwierdzenie faktu, a nie podkreślenie łączącej ich bliskości.

– To chyba był jedyny wybór – rzekł Silas po dłuższej chwili, jakby podsumowywał swoje rozmyślenia.

Bellis skinęła zdawkowo głową.

„Ty niewdzięczny bucu” – pomyślała z furją. „Nie było cię tam...”

– I mówisz, że Samheryjczycy mają woreczek? List jest zapieczętowany? – Uśmiechał się jak wariat. – Udało się. Udało się!

– Raczej takiej reakcji się spodziewałam – powiedziała Bellis nieprzyjemnym tonem. – Tak, udało się. – Długo patrzyli sobie w oczy. – Jak myślisz, kiedy dotrą do Nowego Crobuzon?

– Nie wiem – odparł Silas. – Może nic z tego nie wyniknie, a może wyniknie, ale my się tego nie dowiemy. Uratujemy miasto i do końca życia o tym nie usłyszymy. Może dożyję swoich dni w tym zasranym cebrzyku, rozpaczliwie kombinując, jak by tu uciec. Ale bogowie kochani, czy świadomość, że tego dokonaliśmy, to nie jest wielka rzecz? – mówił pełnym pasji tonem. – Nawet bez odpowiedzi, nawet bez podziękowania?

„Tak, to jest wielka rzecz” – przyznała w myślach Bellis. Zalała ją fala samotności. Czy tak jest gorzej? Nigdy się nie dowiedzieć? Posłać ostrzeżenie na drugi koniec świata, przez tyle pułapek i niebezpieczeństw, aby zniknęło bez śladu? Nigdy się nie dowiedzieć? „O bogowie” – pomyślała, zrozpaczona i oszołomiona. „Czy to już jest koniec sprawy?”

– Co będzie teraz? – spytał. – Z tobą i ze mną?

Bellis wzruszyła ramionami.

– Czego oczekujesz? – odparła głosem bardziej zmęczonym niż napastliwym.

– Wiem, że nie jest lekko. Wiem, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż myśleliśmy. Niczego od ciebie nie oczekuję. Ale, Bellis – łączą nas pewne rzeczy, które razem zrobiliśmy. Choć z drugiej strony nie uważam, że spędzaliśmy ze sobą czas tylko z tego powodu, chciałbym, żebyśmy byli przyjaciółmi. Czy naprawdę mogłabyś pozwolić sobie na to, żeby nie zadawać się ze mną? Nie mieć nikogo, kto wie? Co naprawdę czujesz? Jak sobie wyobrażasz nasze relacje?

Nie była do końca pewna, co czuje, ale Silas miał rację: łączyły ich rzeczy, które razem zrobili. Czy mogła pozwolić sobie na to, aby to stracić? Być może ma przed sobą lata życia w tym mieście. Na samą myśl dreszcz ją przechodził. Czy stać ją na to, żeby nie mieć ani jednej osoby, której mogłaby mówić prawdę?

Kiedy wstał do wyjścia, wyciągnął rękę, wnętrzem dłoni do góry, wyczekująco.

– Gdzie jest pieczęć Nowego Crobuzon? – spytał. Bellis bała się tego.

– Nie mam jej.

Tym razem nie rozgniewał się, tylko zamknął dłoń i uniósł pytająco brwi.

– Tanner upuścił ją do morza – wyjaśniła, przygotowana na to, że Silas urządzi awanturę.

– To jest sygnet, Bellis – stwierdził spokojnie Silas. – Nosi się go na palcu. Nie gubi się go. Tanner go nie zgubił. Zatrzymał go dla siebie, bogowie raczą wiedzieć po co. Jako pamiątkę z ojczyzny? Żeby cię szantażować? Bogowie raczą wiedzieć. – Pokręcił głową i westchnął. Była wściekła na jego zachowanie, które mówiło: „Zawiodłem się na tobie”. – Lepiej sobie pójdę, Bellis. Bądź ostrożna. Pamiętaj, że jesteś pod obserwacją. Nie dziw się zatem, że przychodzę i wychodzę niekonwencjonalnymi metodami. Czy mogę cię na chwilę przeprosić?

Zszedł po spiralnych schodach. Bellis usłyszała dzwonięcie jego butów o metal, głucho jak odgłos stukania cienką blachą o blachę. Odwróciła się, ale Silas zniknął. Nadal słyszała dudnienie jego stóp o coraz niższe stopnie, ale nic nie zobaczyła. Przypuszczalnie zrobił się niewidzialny.

Otworzyła oczy trochę szerzej, ale nawet pod nieobecność Silasa nie chciała dać po sobie poznać, że budzi w niej podziw.

„Przychodzi teraz i odchodzi jak szczur albo nietoperz” – pomyślała. „Nie chce być widziany. Czyżby uczył się taumaturgii? Nabył jakąś umiejętność, trochę mocy?”

Czuła się zdezorientowana i odrobinę ją to wystraszyło. Sposób jego odejścia sugerował czary o wyjątkowej subtelności i sile. „Nie sądziłam, że masz ten dar, Silasie” – pomyślała. Po raz kolejny zdała sobie sprawę, jak mało o nim wie. Ich rozmowa przypominała skomplikowaną grę. Na przekór jego słowom, na przekór świadomości, że łączą ich wspólne tajemnice, czuła się samotna.

Nie wierzyła, żeby Tanner Sack zatrzymał pieczęć Nowego Crobuzon, chociaż nie umiałaby powiedzieć, skąd to przekonanie.

Bellis miała takie poczucie, jakby na coś czekała.

Mężczyzna stoi i czeka owiewany przez wiatr na spiralnych schodach w jej absurdalnym kominowym mieszkaniu i wie, że oczy, które prawdopodobnie obserwują jej drzwi, nie mogą go widzieć.

W ręku trzyma posążek, z filigranową płetwą pofałdowaną jak warstwy surowego ciasta, okrągłe, zębate usta jak u minoga są wydęte do góry i mężczyzna nadal ma zimny język w miejscu, w którym je pocałował. Jest teraz znacznie szybszy; dużo łatwiej akceptuje trzepoczące jęczyczkowanie zimnego kamienia i zdecydowanie sprawniej steruje energią wyzwalaną przez ich beznamiętne zespolenie.

Stoi pod kątem w stosunku do nocy w miejscu pokazanym mu przez posążek, tam gdzie pozwala mu stać pocałunek, w miejscu - o ile wolno to tak nazwać – gdzie przecinają się promienie światła, jest niewidoczny, drzwi, ściany i okna nie zauważają go, dopóki jest kochankiem cuchnącego morską wodą posążka.

Całowanie nie sprawia mu przyjemności, ale moc, która przechodzi na niego ze śliną kamiennego stworu, jest niezwykła.

Mężczyzna wstępuje w noc, niewidziany i rozzuchwalony, pełen tajemnych energii, aby poszukać swego sygnetu.

Rozdział trzydziesty

Armada dyszała w słońcu. Robiło się ciepłej.

Gorączkowe prace trwały, kształt uprząży awanka pod wodą powoli tężał. Jej upiorny obrys tworzyły dźwigary i drewniane wsporniki, przypominała projekt

konceptyjny jakiegoś niemożliwego do realizacji budynku. Z upływem dni nabierała kształtu, jej skomplikowane bolce i kółka zębate wyglądały bardziej realnie. Powiększała się dzięki niezwykłym wysiłkom ekip montażowych. Miasto jakby przestawilo się na gospodarkę wojenną, cały przemysł i wszystkie zasoby siły roboczej podlegały kierownictwu projektu związanego z awankiem. Ludzie mieli świadomość, że na złamanie karku pędzą ku nowej epoce.

Rozmiary upręży nie przestawały zdumiewać też Tannera Sacka. Majaczyła pod ekologią padlinożernych ryb, które nigdy nie oddalały się od dna miasta, nieporównanie większa od największego statku na świecie. „Wielki Wschodni” wyglądał przy niej jak zabawka do kąpielii.

Ukończenie wędzidła było kwestią tygodni. Praca nie ustawała ani na moment. W ciemnych godzinach plująca iluminacja chemicznych flar i lamp spawalniczych przyciągała nocne ryby, które otaczały łańcuchy i ekipy nurków. Całe ich ławice wgapiały się wielkimi oczami w rozmaite światelka.

Były części ruchome, złączki, gumowane komory gazowe wyszabrowane ze starych sterowców. Były silniki w wodoszczelnych obudowach. Zasadniczo jednak konstruowano olbrzymią uprząż, której segmenty i połączenia ciągnęły się na prawie pół kilometra.

Patroszono statek po statku, obdzierano ze wszystkich metalowych części i przetapiano je. Flotę okrętów wojennych i kupieckich, która tworzyła miasto i jego porty, przerzedzono dla dobra tego projektu.

Składane w ofierze statki ogradał wał pióropuszy dymu, kiedy krojono je na kawałki za pomocą palników.

Pewnego wieczoru, zmierzając do domu Bellis przez rufową część Niszczukowód, Szekel spojrzął w stronę horyzontu i zobaczył na skraju miasta w połowie zlikwidowany statek. Była to „Terpsychoria”: jej kontury skruszone i potrzaskane; mostek, większość omasztowania i pokład skasowane; metalowe wnętrzości zabrane do fabryk. Szekel nie czuł sympatii do „Terpsychorii”, dlatego nie zmartwił się, tylko zdziwił – z powodów, których nie umiał wyrazić.

Spuścił wzrok na wodę. Trudno było uwierzyć, że to się dzieje, że tak ogromnym wysiłkiem wciska się kolejne ogniwa w powstającą pod miastem gigantyczną konstrukcję.

W życiu Bellis funkcjonowało kilka języków. Z radością odświeżyła sobie stare techniki ich nauki: segmentacja umysłu, celem rozdzielenia wewnętrznych słowników, czy trans językowy, który po raz ostatni zastosowała w Smołoujściu.

Aum robił szybkie postępy w nauce salt. Jej uczeń był uzdolniony językowo.

Podczas popołudniowych dyskusji z Tinnabulumem i innymi naukowcami Aum – ku zadowoleniu Bellis – od czasu do czasu zaczynał odpowiadać na pytanie, jeszcze zanim ona je przetłumaczyła i zapisała. Zdarzało się nawet, że sam pisał odpowiedzi w elementarnym salt.

„To musi być dla niego niezwykle przeżycie” – pomyślała Bellis. Do tej pory nie uświadamiał sobie, że język może mieć jednocześnie wymiar pisany i mówiony. Usłyszeć wysokie kettai – to była dla niego rzecz nie do pomyślenia. Słuchanie pytań w salt i zapisywanie ich w tym samym języku wymagało od Auma psychicznego przedstawienia się, ale poradził z tym sobie znakomicie.

Bellis nie żywiła do Krüacha Auma ciepłych uczuć. Jego nieustanna, nienasycona ciekawość, pod którą nie wyczuwała silnej osobowości, nużyła ją. Był szalenie inteligentnym, nudnym człowiekiem o mentalności nad wiek rozwiniętego

dziecka. Cieszyło ją, że Aum ta szybko uczy się języka Armady, bo podejrzewała, że wkrótce nie będzie miała zbyt wiele do roboty w roli tłumaczki.

Wysokie kettai i salt otaczały ją każdego dnia.

Ale jej głowa była królestwem ragamoll. Bellis nie należała do kategorii lingwistów myślących w języku, którym w danej chwili się posługują. Jediną osobą, z którą rozmawiała w swoim pierwszym języku był Silas, w tych rzadkich sytuacjach, kiedy się z nim spotykała. Pewnego dnia w jej życiu na krótko pojawił się czwarty język.

Quiesy – potocznie zwany trupiackim. Język Cromlech.

Do tej pory nie bardzo rozumiała, dlaczego Uther Doul powiedział to w swojej ojczyściej mowie. Po jednej z sesji z Aumem Doul spytał ją, czy lubi uczyć się nowych języków, co skwapliwie potwierdziła. – Chciałabyś usłyszeć coś w quiesy? Nieczęsto mam okazję mówić w swoim rodzimym języku.

Oślupiała Bellis zgodziła się. Tego wieczoru poszła z nim do jego mieszkania pod pokładem „Wielkiego Wschodniego”.

Fonemy quiesy powstawały w tylnej części gardła, miękko szczekane na wdechu i rozdzielane milczeniami o ściśle określonej długości, równie ważnymi jak dźwięki. Doul ostrzegł ją, że jest to język pełen dziwnych subtelnosci. Przypomniał jej, że wielu szlachciców-thanati ma zaszyte usta, a nagłośnienie innych nie działają, bo za bardzo przegniły. Poinformował ją, że quiesy ma formę pisaną, a także migano-mruganą.

Bellis była zafascynowana tym delikatnym językiem, jak też samym występem Uthera Doula. Z typowym dla siebie spokojnym, kontrolowanym entuzjazmem recytował fragmenty czegoś, co brzmiało jak poezja. Bellis zdała sobie sprawę, iż przyszła na „Wielki Wschodni” nie po to, aby nauczyć się języka, lecz po to, żeby go podziwiać z pozycji słuchacza.

Przebywanie w towarzystwie Doula nadal budziło w niej strach. Ale budziło też inne emocje, w tym podniecenie.

Bez słowa podał jej kieliszek wina. Odczytała to jako zaproszenie, by została dłużej. Siedziała, piła wino i czekała, rozglądając się po pokoju. Spodziewała się jakiejś ukrytej fortecy, a tymczasem Doul mieszkał w zwykłej kajucie, podobnie jak tysiące innych Armadyjczyków. Pomieszczenie było skąpo urządzone: biurko, dwa krzesła, koda, mała, czarno-biała rycina na ścianie. Koło okna stojak z bronią, w rogu skomplikowany instrument muzyczny, ze strunami i klawiszami: coś na kształt hybrydy harfy i akordeonu. Mniej więcej po minucie, gdy Uther Doul wciąż się nie odzywał, Bellis powiedziała:

Bardzo zainteresowała mnie historia pańskiej młodości. Muszę przyznać, że zanim pana poznałam, nie byłam pewna, czy Cromlech w ogóle istnieje. Poza tym, oprócz szeptów na temat krainy umarłych i pokonania Imperium Widmowców, zgubiłam się w gąszczu pogłosek. – Nie miała wprawy w tego rodzaju ostrym humorze, ale Doul uniósł brwi w udawanym rozbawieniu. – Bardzo bym się ucieszyła gdyby powiedział mi pan coś więcej o tym, co się wydarzyło, kiedy opuścił pan Cromlech. Wątpię, czy poznałam w życiu człowieka, który tak wiele podróżował. Czy pan...

Urwała, jakby wystraszyła się własnej śmiałości, lecz on domyślił się dalszego ciągu jej pytania.

– Nie, nigdy nie byłem w Nowym Crobuzon – odparł tonem, w którym dosłuchała się rozdrażnienia. – Nie jest pani pewna, czy wierzy pani w to, co pani powiedziałem o swoim mieczu, prawda? – zaskoczył ją. – Nie mam do pani pretensji. Myśli sobie

pani, że zupełnie nie wygląda na taki stary. Co pani wie o Imperium Widmowców, panno Coldwine?

– Bardzo niewiele – przyznała.

– Ale wie pani, że w żadnym sensie nie byli ludźmi – ani też khepri, vodyanoi, striderami i tak dalej. Nie byli też rasą obcą w zwykłym znaczeniu tego słowa. Wszystkie ryciny i opisy, z którymi się pani spotkała, wprowadzają w błąd. Na pytanie: „Jak wyglądali?” nie ma prostej odpowiedzi. Ta broń – pokazał na swój pas – jest w widoczny sposób ukształtowana dla rąk ludzkich, dlatego zapewne uznała pani moje słowa o jej pochodzeniu za kłamstwo. – Bellis w ogóle się nie zastanawiała nad kształtem Miecza Możliwości, o czym Uther Doul z pewnością wiedział. – Nie widzi pani miecza – ciągnął – tylko jeden jego aspekt. Wszystko zależy tutaj od kontekstu, podobnie jak wiele innych rzeczy w Imperium Widmowców. Czytała pani zapewne jakieś pozycje z Imperialnego Kanonu? Mimo że są to przekłady z przekładów przekładów, co oznacza mnóstwo uzupełnień, pominięć i komentarzy, można tam znaleźć różne niezwykle rzeczy. – Zwłaszcza Covertiana. – Wypił łyk wina. – Niektóre fragmenty są podawane jako pochodzące z czasów tuż po przybyciu Widmowców do Bas-Lag, jeszcze przed powstaniem ich imperium. Tak, po przybyciu – powiedział takim tonem, jakby z nim polemizowała. – Widmowcy nie urodzili się na tym świecie. – Bellis знаła ten mit. – Jest jeden fragment... – Doul zamyślił się, a Bellis z konsternacją zdała sobie sprawę, że jego cudowny głos działa na nią kojąco. – *Wersety dnia* – może pani zna? „Grozę budzący, z trzepotem ogonów, płyną nad równiną światów, mijają sfery niebieskie, są jak światła pośród ślepoty nocy.” Jest to opis podróży Widmowców z... ich krainy do Bas-Lag. W brzuchu metalowej ryby, płynącej przez morze gwiazd. Najciekawszy jest jednak opis ich ojczyzny, czasem mylonej z piekłem. Uther Doul siedział na swojej pryczy i nie odzywał się przez dłuższy czas.

„Czy po to tutaj jestem?” – pomyślała nagle. „Czy właśnie to chciał mi powiedzieć?” Zachowywał się jak chłopiec, który chce podzielić się z kimś tajemnicą, ale brakuje mu śmiałości.

– Nadejściu poranka towarzyszyły „żelazne katarakty i ściana ognia” – podjął w końcu. – „Całe niebo na wschodzie było tak mocno rozżarzone światłem i gorącem, że oślepiłoby każdego, nawet gdyby patrzył z dna morza, rozpaliloby powietrze, strawiło góry, roztopiło metal. Temperatura nieporównanie wyższa niż w piecu odlewniczym. Wstał poranek i świat zapłonął... Po paru chwilach ściana gorąca podniosła się i zakrzywiła nad ich głowami, zasłaniając niebo i spalając każdy atom gazu w powietrzu. A potem ogień się skurczył, jego brzegi stały się widoczne i przybrał postać okrągłej tarczy. Gorąco trochę zelżało, chociaż oceany wciąż wypełniało roztopione żelazo... Z upływem dnia ogień na niebie przesunął się na zachód. Późnym rankiem tarcza ognia skurczyła się jeszcze bardziej i było to słońce. W południe było znacznie mniejsze i zrobiło się bardzo zimno... Coraz mniejsze słońce wędrowało na zachód, to był jakby długi zmierzch, i ojczyzna Widmowców stała się bardziej lodowata niż Ocean Szronów. Wieczorem niebo było już ciemne, a słońce jawiło się jako ruchoma gwiazda... I było zimno, zimniej, niż potrafimy sobie wyobrazić. Świat spowiły warstwy lodu i szronu; nawet gazy, nawet eter stwardniał na kamień, tworząc ogromne wały i wypiętrzenia”. – Uśmiechnął się do Bellis półgębkiem. – Taka była ojczyzna Widmowców. Proszę sobie wyobrazić istoty zdolne przeżyć w takich warunkach. Proszę sobie wyobrazić, jakie musiały być spragnione odpoczynku. Dlatego opuściły swój kraj. – Bellis milczała. – Czy znana jest pani legenda Pękniętej Ziemi?

Bellis zmarszczyła brwi, po czym skinęła głową.

– W Nowym Crobuzon nazywaliśmy to... – zastanowiła się nad adekwatnym tłumaczeniem – hipotezą Spękanej Ziemi. Znałam naukowca, który pasjonował się takimi sprawami.

– Pęknięta Ziemia, za niemożliwym morzem – powiedział Doul. – W młodości sporo czasu poświęciłem studiom mitologicznym i kosmogonicznym. Spękana Ziemia, Pęknięta Ziemia, *Wersety Dnia*. Widmowcy przybyli tutaj ze wschodniej krawędzi wszechświata. Mijali kamienne kule, które krążą po niebie; inny, bardziej efemeryczny od naszego rodzaj świata na nieskończonym płaskowyzu. Przybyli tutaj, do krainy tak łagodnej, że musiała im się wydawać iście balsamiczna: dla nich był to niekończący się późny ranek. Reguły tego świata nie były ich regułami. Jego natura była dyskusyjna. Niektórzy mówią, że kiedy Widmowcy wylądowali, siła wstrząsu wystarczyła, aby wypuścić z wylotu chaos Momentu. Ale to jest bajka. Ich przybycie było jednak dostatecznie gwałtowne, żeby rozbić i otworzyć świat, żeby rozbić i otworzyć rzeczywistość. Pęknięta Ziemia istnieje naprawdę i jest ich dziełem. Rozbijasz coś i zawartość wylewa się na zewnątrz... Po wyjeździe z mojej pierwszej ojczyzny przez wiele lat studiowałem to rozbitcie. Szukałem technik i narzędzi, które pozwoliłyby je zrozumieć, kontrolować je. A kiedy przybyłem tutaj, Kochankowie dostrzegli w tym, czego się dowiedziałem, możliwości, których nie umiałem sobie wcześniej wyobrazić. Niech pani pomyśli o potędze Widmowców, o ich nauce, taumaturgii. Niech sobie pani wyobrazi, co mogli zrobić, co zrobili z naszym światem, a zrozumie pani, jakim kataklizmem było ich przybycie. Nie tylko fizycznym, ale również ontologicznym. Lądując tutaj, rozbili nie tylko powierzchnię świata, ale także jego reguły. Cóż zatem dziwnego, że nazwę Imperium Widmowców wymawiamy trwożnym szeptem?

„A przecież to my rozprawiliśmy się z Imperium Widmowców” – pomyślała Bellis, której zakręciło się w głowie od tej heretyckiej filozofii. „Podczas Rebelii, a potem Wyluszczenia. Chociaż jesteśmy takimi słabeuszami”.

– Powiadają, że przewodził pan Rebelii – powiedziała.

– Niczemu nie przewodziłem – odrzekł ostro Doul, zaskakując ją. – Jestem żołnierzem, a nie przywódcą. Cromlech to świat kastowy. Pani wychowywała się w otwartym, handlowym mieście, dlatego dla pani praca najemna jest czymś oczywistym. Nie ma pani pojęcia. – Poczucie wyzwolenia daje sprzedawanie swoich usług, wykonywanie poleceń pracodawcy. Nie jestem przywódcą.

Uther Doul prowadził ją korytarzami „Wielkiego Wschodniego”.

Kiedy zatrzymał się na jednym z licznych skrzyżowań, przez moment sądziła, że ją pocałuje. Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, ale nie taki był jego zamiar.

Przytknął palec do ust.

– Chcę, żeby dowiedziała się pani czegoś na temat Kochanków – szepnął.

– Jak oni się nazywają? – spytała Bellis ze znużeniem i złością w głosie. – Mam już dosyć tej... tajemnicy, a nie wierzę, że pan nie pamięta.

– Oczywiście, że pamiętam – odparł Uther Doul – ale to, jak się kiedyś nazywali, nie ma nic do rzeczy. Teraz są Kochankami. Lepiej niech pani wbije to sobie do głowy.

Doul sprowadził ją na niższe pokłady. Odciągnął ją od nocnych odgłosów, od patroli. „O co chodzi?” – pomyślała Bellis, przejęta i zdeprymowana. Dotarli do pogrążonej w ciemnościach i głuchej ciszy części statku. Nie było okien. Znajdowali się poniżej linii wodnej, w dawno porzuconym pomieszczeniu.

W końcu Doul pochylał się i pod gąszczem rur wszedł do maleńkiej klitki, a za nim Bellis. Właściwie nie był to pokój, lecz odrobina wygoszparowanego miejsca. Wszędzie było pełno kurzu i łuszczącej się farby.

Doul delikatnie przytknął jej palec do ust.

Bellis miała świadomość, że potulne chodzenie za Doulem, bratanie się z nim, nie jest rozsądnym zachowaniem ze strony osoby głęboko zaangażowanej w antyniszczukowodzką działalność. „Co ja tu robię?” – pomyślała.

Uther Doul pokazywał na sufit, znajdujący się ledwo kilka centymetrów nad jego głową. Ekspresyjnie nadstawił ucha. Dopiero po kilku chwilach Bellis cokolwiek usłyszała. Początkowo nie była pewna, co to za dźwięki.

Głosy. Tłumione przez warstwy powietrza i metalu. Jakby znajome. Bellis zadarła głowę. Teraz prawie rozróżniała poszczególne słowa.

Przyszli do przypadkowego lokalu podsłuchowego. Kaprysy architektury i materiałoznawstwa sprawiły, że dźwięki z pokoju na górze przechodziły – może rurami, a może między powałą i podłogą nie było żadnej izolacji – przez sufit.

Głosy z pokoju na górze. Z pokoju Kochanków.

Zastygła ze zdumienia. Słyszała głosy Kochanków.

Ostrożnie i powoli, jakby mogli ją jakimś cudem zobaczyć, Bellis wyciągnęła szyję i słuchała.

Słowa wypowiedane w zmiennych tonach, szybkimi sapnięciami Miauczące, błagalne, zachwycone. Dyszenia seksualnej bliskości, bólu i innych intensywnych uczuć. Słowa przebijające się przez metal:

– ...kochanie... zaraz... kurwa... tak, i... tniej... teraz... kochanie... tniej... tak, tak...

Tak. Słowa były gęste. Bellis aż cofnęło, fizycznie, dosłownie, odsunęła się spod akustycznie przepuszczalnego miejsca na suficie. Słowa, dźwięki padały szybko, tak bardzo nasączone namiętnością i pragnieniem, że trzeba je było odgryzać, bo inaczej wyszedłby z tego nieartykułowany wrzask.

– ...tnij... tak... kochanie... tniej...

Dwa strumienie słów, męski i żeński, nierozzerwalnie ze sobą splecione, rytmicznie zsynchronizowane.

„Jabberze kochany!” – pomyślała Bellis. Uther Doul przyglądał się jej z pozbawioną wyrazu miną. „Tnij i tniej, i kochanie, i tniej!” Przerażona ruszyła do drzwi. Myślała o tym, co robili Kochankowie w swoim pokoju, kilkadziesiąt centymetrów nad jej głową.

Doul wyprowadził ją z tej makabrycznej klitki. Przebiwszy się przez kolejne pokłady metalu, wyszli na nocne powietrze. Doul wciąż nic nie mówił.

„Do czego ty zmierzasz? – pomyślała wpatrzona w jego plecy. – „Po co ta prezentacja?”

W jego zachowaniu nie było ani śladu lubieżności. Bellis nie mogła pojąć, o co chodzi. Sztwywny, wymowny i oficjalny w swoim pokoju ujawniający niezwykle historie i teorie, żeby tylko nie przestać mówiona tych korytarzach przeistoczył się w łobuzerskie dziecko z tajną kryjówką. Z niemą, nie wyartykułowaną dumą, której należy się spodziewać u takiego dziecka, zaprowadził ją tam i zapoznał ze swoim sekretem. Nie umiała zgłębić pobudek, które nim kierowały.

Zadrzała na wspomnienie tych zasapanych krzyknięć, pokręconych deklaracji namiętności. A może miłości. Pomyślała o bliznach, ciecieniu. Krew i rozorana skóra, żarliwość. Trochę zbierało się jej na wymioty. Tym, co ją przeraziło, nie była jednak

przemoc, fakt użycia noży i tak dalej. Nie o to chodziło. Erotyczne grzeszki jej nie przeszkadzały, bez trudu potrafiła je zrozumieć.

Podśluchane poczynania miały jednak zupełnie inny charakter. Strach wzbudziło w niej samo uczucie, intensywne, śliska, przyprawiająca o wymioty i zawroty głowy żarliwość, którą usłyszała w ich głosach. Usiłowali przeciąć oddzielającą ich membranę i złąć się w jedno. Zrezygnować ze swej odrębności dla czegoś dalece wykraczającego poza seks.

To agresywne, jęczące zespolenie, które oni uważali za miłość, jej kojarzyło się raczej z masturbacją i budziło w niej obrzydzenie.

Bellis czuła się nie tylko zniesmaczona, ale i zagrożona, wystraszona.

Rozdział trzydziesty pierwszy

W ciągu dnia Szekel był wolny.

Podobnie jak większość młodych zbirów, którzy kręcili się po porcie Basilio, zarabiał na życie tak samo jak w Nowym Crobuzon – jako goniec przekazujący wiadomości i towary. Zawsze miał oczy i uszy otwarte, wypatrując garści monet, które mógł dostać od swego chwilowego pracodawcy. Językiem salt posługiwał się sprytnie i komunikatywnie, chociaż nie biegle.

Trochę więcej niż połowę wieczorów spędzał z Angevine, która kwaterowała na „Kastorze”, pod dzwonnica statku Tintinnabuluma. Często wracała bardzo późno, ponieważ ten odbywał wielogodzinne spotkania ze swymi pretorianami, Krüachem Aumem, Bellis i Kochankami. Angevine przynosiła mu książki i materiały z biblioteki i z tajnego laboratorium w tylnej części statku. Wracała zmęczona, a Szekel poprawiał jej humor kolacją i niewprawnym masażem.

Angevine niewiele mówiła na temat projektu podniesienia awanka, ale Szekel z łatwością wyczuwał w niej napięcie i rozemocjonowanie.

Pozostałe wieczory spędzał w dzielonym z Tannerem Sackiem mieszkaniu, które nadal uważał za własne.

Tanner nie zawsze tam był – podobnie jak w wypadku Angevine, projekt zatrzymywał go do późna w pracy. Ale jeśli już był, więcej mówił o tym, co robił. Opisał Szekłowi ciągnące się w wodzie niezwykle wędzidło, ławice tropikalnych ryb przepływające przez ogromne ogniwa, już obrastające roślinami i upartymi skorupiakami, w nocy podświetlane zimnymi światłami. Po tych długich godzinach pracy, spędzonych na spawaniu, testowaniu i podpowiadaniu rozwiązań, na odgrywaniu roli projektanta, szefa zmiany i budowlanego, Tanner był wykończony i bardzo szczęśliwy.

Szekel dbał o to, żeby w mieszkaniu było czysto i ciepło. Jeśli nie gotował dla Angevine, gotował dla Tannera. W jego duszy zalał się jednak niepokój.

Dwie noce wcześniej, w luddi, Szekel obudził się nagle trochę po północy w swoim starym mieszkaniu na statku fabrycznym. Usiadł i trwał bez ruchu.

Rozejrzył się po pokoju, w bladym półcieniu rzucanym przez światła i gwiazdy na zewnątrz. Zobaczył stół, krzesła, wiadro, talerze, garnki, puste łóżko Tannera. „Znowu pracuje do późna” – pomyślał. Mimo panującego w pokoju półmroku nie było gdzie się schować i Szekel wiedział, że jest sam.

A mimo to miał poczucie, że nie jest sam.

Zapalił świecę. Nie było żadnych nietypowych dźwięków, światła czy cieni, lecz stale miał wrażenie, że przed chwilą coś usłyszał albo zobaczył – jakby jego

wspomnienia wyprzedziły go, przypominając mu o czymś, co jeszcze się nie wydarzyło.

W końcu zasnął ponownie i kiedy zbudził się rano, został w nim tylko mglisty ślad po strachu, który odczuwał w nocy. Ale tego wieczoru, na długo zanim położył się do łóżka, naszło go identyczne doznanie, że w mieszkaniu jest jakiś intruz. Wstał i z niedorzecznym skupieniem rozejrzał się dokoła. „Czy te ubrania są gdzie indziej, niż były? A ta książka? A te talerze?”

Przedmiot jego uwagi szybko się zmieniał. Szekel przenosił spojrzenie z jednej szuflady czy sterty rzeczy na następną, podążał wzrokiem w taki sposób, jakby obserwował kogoś chodzącego po pokoju, dotykającego tych rzeczy albo grzebiącego w nich. Ogarnęła go złość i strach.

Chciał uciec, ale z lojalności wobec Tannera nie zrobił tego, tylko pozapalał lampy i przyśpiewując sobie głośno, gotował kolację aż do powrotu Tannera, który na szczęście nastąpił tego dnia wcześniej, zanim odgłosy życia na zewnątrz przycichły.

Kiedy Szekel poruszył temat swoich dziwnych intuicji, ku jego wielkiej uldze i zaskoczeniu Tanner zareagował z zainteresowaniem i powagą.

Rozejrzał się po małym pokoju i mruknął:

– Dziwne mamy czasy, chłopie. – Mimo potwornego zmęczenia wstał i przemierzył opisaną przez Szekla trasę po pokoju. Brał do ręki wskazane przez niego przedmioty i dokładnie je oglądał. Nucił coś i drapał się w brodę. – Nic tu nie widzę, Szekel – oznajmił, ale oczy nadal miał czujne. – Dziwne mamy czasy. Przeróżne typy przeróżnie kombinują, krążą kłamstwa, plotki i Jabber wie, co jeszcze. Ci, którym nie bardzo się podoba projekt niszczukowodzki, nie mówią o tym za głośno. Ale to przyjdzie później, idę o zakład. Może są też ludzie, którzy próbują inaczej nabruździć. Nie, żeby była ze mnie jakaś wielka szycha, Szekel, ale ludzie wiedzą, że poleciałem na wyspę i że pracuję przy budowie wędzidła. Może ktoś się tutaj zakrada, żeby, nie wiem namotać. Znaleźć coś, co by wzmocniło opozycję. Ale ja nie jestem taki głupi, żeby trzymać tu jakieś plany. Na mieście jest napięcie. Wszystko się dzieje za szybko. Ludzie nie mają pewności, czy ktoś nad tym panuje. – Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju, po czym spojrzał na Szekla. – Kusi mnie, żeby powiedzieć: „Niech przyjdą!” Jeśli masz rację, to byle nic nie zabrali i nie tykali nas, pieprzyć ich. Nie boję się. – Uśmiechnął się po chojracku i Szekel odwzajemnił uśmiech.

– Jasne, że nie, ale mimo wszystko – powiedział cicho.

Na drugi dzień, kiedy opowiadał Angevine o swoich przeżyciach, zareagowała prawie identycznie jak Tanner Sack.

– Może coś w tym być – powiedziała z namysłem. – Szczególne mamy czasy. Ludzie są przejęci i niektórzy się boją. Wątpię, czy ci niewidzialni intruzi to będzie najdziwniejsza rzecz, która nas czeka w najbliższych tygodniach, kochasiu. W fabrykach trzeba pracować na nadgodziny przy budowie wędzidła, to i ludzie narzekają. Nie ma czasu i inżynierów do naprawiania innych maszyn, nie produkuje się części zapasowych do silników ani artykułów żelaznych. „Mamy tyle energii z tej platformy, mówią ludzie, kiedy wreszcie zostanie użyta dla ludzi? Zresztą, ile ten przeklęty awank jej potrzebuje?” Powiem ci Szekel, że potrzebuje jej cholernie dużo. – Spojrzała mu w oczy i wzięła go za rękę. – A pomruki niezadowolenia, które się tera słyszy, zwłaszcza w dzielnicach Ciepłarnia, Budy i Pragnieniowice, ale gdzie indziej też, będą coraz donośniejsze. Kiedy ludzie zrozumieją, że ropę naftową i skalne mleko można przeznaczyć na ważniejsze cele. – mówiła z nieobecną miną, przypominając sobie zasłyszane rozmowy Tintinnabuluma z innymi. Szekel kiwał

tylko głową. – Już teraz wichrzyciele wychylają głowy – ciągnęła. – Vordakine w Bud, Sallow w Cieplarni. Tajemniczy Simon Fench. Bibuła, napisy na murach, szept. Nawet porządni obywatele mają pewne wiadomości, słyszałam, że Hedrigall, który jest lojalny do szpiku swoich drewnianych kości, zna tego całego Fench'a i czasem z nim pije. Ludzie będą pełni entuzjazmu, kiedy awank zostanie przywołany, takie cudowne wydarzenie nie może ich pozostawić obojętnymi. Ale na tym się nie skończy, Szekel, uwierz mi.

W przygniatającym upale przypadkowego równikowego lata park Crooma rozkwitał.

Podczas poprzedniej wizyty Bellis był cały zielony: wilgotny, bujny i śmierdzący żywicą. Teraz na zieleń nałożyły się kolory wiosny i lata: ściółka błyskawicznego kwiecia pod stopami i gdzieniegdzie pąki, które przyprószyły korony drzew. Pierwsze wielobarwne kwiaty lata walczyły o przestrzeń życiową z chwastami, dereniami i żonkilami. Las szeleścił drobnym życiem.

Bellis przyszła do parku nie z Silasem, lecz z Johannesem Tearflyem. Ubawiła ją myśl, że jest w jakimś sensie niewierna.

Szła swoją ulubioną trasą, dawnym korytarzem między okrętowymi kajutami, który przerodził się w porośnięty bluszczem kanion. Kwiaty passiflory zdobiły ściany. Zza plątaniny korzeni prześwitywały rozbite okna. Tam, gdzie dawne kajutowe pagórki wtapiały się w trawiastą powierzchnię i ścieżka wychodziła na słońce, wokół kępy wonnego wiciokrzewu bzyczały pszczoły.

„To jest przyjemna chwila” – pomyślała Bellis, za którą szedł nieśmiały i zamyślony Johannes. „Ale wkrótce będziesz musiał ją zepsuć, Johannesie... będziesz musiał zacząć mówić”.

Po kilku kolejnych minutach wśród kwiatów i trawy, kiedy jedynym dźwiękiem było vibrato rozgrzanych owadów, rzeczywiście zaczął.

Długo rozmawiali o toczących się pod miastem pracach.

– Kilka razy schodziłem na dół w batyskafie – powiedział jej Johannes. – Coś niezwykłego, Bellis. Tempo budowy zapiera dech.

– Widziałam, jak szybko kroili na kawałki „Terpsychorię”, to potrafię to sobie wyobrazić.

Johannes nadal odnosił się do niej nieufnie, ale bardzo mu zależało na odnowieniu więzi, która kiedyś ich ze sobą łączyła. Bellis czuła, że Tearfly próbuje wyciągnąć do niej rękę, jakoś sobie tłumacząc okazywaną przez nią opryskliwość.

– Nie powiedziałaś mi zbyt wiele na temat wyspy – stwierdził.

– Było ciężko – westchnęła. – Nie lubię o tym mówić. – A jednak opowiedziała: o potwornym upale, o ciągłym strachu, o nienasyconej ciekawości anopheliusów i zabójczym głodzie ich partnerek. Przyglądał się jej badawczo. „Ciekawe, czy uważa mnie za perfidną cwaniarę” – pomyślała. – Wczoraj odsunęli mnie od Auma. – podjęła i Johannes odwrócił ku niej głowę zaskoczony. – Od paru tygodni uczyłam go salt. Uczy się w tempie, które mnie przeraża. Robi notatki ze wszystkiego, co mówię. Już teraz starczyłoby tego na podręcznik. Mimo to uważałam, że nie był jeszcze w stanie rozmawiać bez mojej pomocy. Ale wczoraj po południu, kiedy zakończyliśmy dyskusję z Tintinnabulumem i komitetem inżynierów, zabrali go i poinformowali mnie, że przez jakiś czas nie będę potrzebna. Może oceniają jego poziom zaawansowania językowego wyżej niż ja. A może któryś z innych ekspertów od wysokiego kettai na tyle wyćwiczył się w tym języku, że może mnie zastąpić – powiedziała te słowa tonem kpiącej wyższości i Johannes prychnął śmiechem. – Od jakiegoś czasu mówili mi, że mam jak najszybciej doprowadzić go do biegłości w salt, bo będzie potrzebny

do przedsięwzięć, w których ja nie mogę uczestniczyć. Próbują się mnie pozbyć. – Spotkali się wzrokiem. Byli sami na polanie, otoczonej drzewami, głogami i karłowatymi wiosennymi różami. Moja przydatność się kończy, z czego niezmiernie się cieszę, bo jestem cholernie zmęczona. Ale wygląda na to, że Aum dopiero zaczyna pracę. Przyszli po niego zupełnie inni ludzie niż zwykle: Uther Doul i osoby, których nigdy wcześniej nie widziałam. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Wydaje mi się, że przywołanie awanka to nie koniec sprawy.

Johannes odwrócił się od niej i gładził płatki kwiatów.

– Dopiero teraz to sobie uzmysłowiłaś, Bellis? Oczywiście masz rację. Będzie ciąg dalszy. Zważywszy na skalę przedsięwzięcia z awankiem, niełatwo to sobie wyobrazić, ale mam wrażenie, że to tylko preludium do właściwego projektu. Na czym on polega, nie wiem. Postanowiono, że będę z niego wyłączony. Ale wiesz co? – dodał. – Miałem wielkie szczęście, że mnie zatrudnili. „Szczęście?” – zdziwiła się Bellis.

– Pewne osoby z kręgu wtajemniczonych, które widziały stare łańcuchy, od dziesiątek lat przekonywały, że Armada powinna podjąć robę przywołania awanka. Ale Kochankowie nie słuchali ich, bo do pewnego momentu nie mieli w tym interesu, tak słyszałem. Sytuacja uległa zmianie, kiedy do miasta przybył Uther Doul. Nie wiem, co takiego zrobił albo powiedział, ale ni stąd, ni zowąd projekt przywołania awanka wrócił do łask. Coś skłoniło ich do odkurzenia tych starych planów, po raz pierwszy odkąd zbudowano łańcuchy. A nikt już nie wie, jak dawno to było ani co sprawiło, że projekt nie został zrealizowany. Tyle że po tym etapie, który właśnie dobiegł końca, nie jestem im już potrzebny.

„Zazdrosny” – pomyślała Bellis. „Odrącony, porzucony, wkurzony”. Bez Johanna nie daliby sobie rady z przywołaniem awanka, ale po tej fazie przedsięwzięcia był już zbędny.

Delikatnie, subtelnie Bellis drażniła ranę. Przeplatając swoje dociekania nieistotnymi szczegółami.

Gniew sprawił, że Johannes był gotów poważnie porozmawiać o wątpliwościach co do projektu Kochanków, jakie do tej pory podniesiono.

Spacerowali po zalesionym statku, mijając zagarnięte na potrzeby parku kominy i grodzie, a Bellis podsyciała urazę Johanna, jednocześnie sprytnie prowadząc śledztwo i stopniowo wszystkiego się dowiadując.

Odkąd nastawiła ucha, Bellis wszędzie słyszała te same nazwiska, te same pogłoski. Cieniutki werniks lojalności, którym pociągnięto Armadę, przeświecał. Lęki i kontrowersje były teraz przez niego równie dobrze widoczne jak słoje drewna przez lakier.

Z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że z takimi dysydenckimi losami łączy się nie tylko prominentów z Cieplarni i Bud. Powiązania z renegatami mieli także niektórzy spośród najbardziej lojalnych i najbardziej zasłużonych obywateli Niszczukowód.

Zrozumiała, że poparcie dla Kochanków nie jest stabilne. Jak się spodziewała, najczęściej wymienianą osobą, wokół której skupiało się społeczne niezadowolenie, był Simon Fench.

Bellis zaczęła go szukać.

Rozpytywała o niego wśród znajomych. Carrienne wzruszyła ramionami, ale obiecała, że będzie miała uszy i oczy szeroko otwarte. Johannes spojrzał na nią z uniesionymi brwiami i nic nie powiedział.

Szekel, podczas jednego z ich nieczęstych spotkań, skinął głową.

– Ange o nim wspomina.

Udając tylko trochę zainteresowaną, Bellis poprosiła go, aby dowiedział się czegoś więcej.

Więść o jej poszukiwaniach dotarła też na rogi ulic, do młodzieży, która zwieszała się z relingów statków, strzelała z proc do miejskich małą albo przesiadywała w pubach, grając w kości i siłując się na ręce. Każdy miał swoich znajomych, swoje kontakty, ludzi, którzy dawali mu pieniądze i jedzenie lub udzielali informacji w zamian za drobne przysługi, które mogli im wyświadczyć ci chłopcy i dziewczęta. Pytanie Bellis krążyło wśród nich, w knajpach Niszczukowód, Ałozowic, Książkowic i okręgu Tobietwój.

W Nowym Crobuzon wszystko, czego nie regulowało prawo, było zakazane. Tu rzecz miała się zupełnie inaczej. Było to w końcu miasto pirackie. Władze nie interesowały się sprawami, które bezpośrednio nie zagrażały bezpieczeństwu miasta. Dlatego poszukiwania Bellis, podobnie jak inne sekrety, nie musiały być skrywane i nie budziły zainteresowania funkcjonariuszy milicji. Pędziła przez to wewnętrznie skonfliktowane miasto szybko i bezproblemowo, zostawiając niewielki trop dla tych, którzy umieli patrzeć.

– Szukałaś mnie.

Silas stał przy łóżku Bellis. Jeszcze się nie rozebrała. Siedziała z podciągniętymi pod brodę kolanami i czytała książkę w świetle lampy gazowej. Chwilę wcześniej była sama.

„Znowu taumurgia, Silasie?” – pomyślała.

Był wieczór, 10 scabdi jastrzębiego dzioba, ostatni dzień kwarty – święto. Na ulicach panował zgiełk: pijani ludzie krzyczeli i śmiali się. Statki i ulice przystrojono kolorowymi proporczykami. W powietrzu latały sztuczne ognie i konfetti, choć pod wodą nadal pracowano u wytchnienia.

– Szukałam.

– Musisz być ostrożna. Nie obnoś się ze swoimi konszachtami z opozycją.

– Na kopulującego Jabbera, Silasie – parsknęła śmiechem Bellis. Trzeba ci było zobaczyć listę twoich, czy też pana Fench, rzekomych przyjaciół. Znajdują się na niej znacznie grubsze ryby niż ja. Czy to prawda, że pijesz z Hedrigallem? – Nie odpowiedział. – Zatem nie sadzę, aby ktokolwiek zainteresował się mną. – Przyglądali się sobie bez słowa. „Ile już razy to robiliśmy?” – pomyślała z rozpaczą Bellis. Zeszliśmy się potajemnie, w moim pokoju, nocą, przy herbacie, żeby pomówić o tym, co wiemy, a czego nie wiemy...” – Coś planują – powiedziała konspiracyjnym tonem, który o mało nie wzbudził w niej gorzkiego śmiechu. – Awank to nie koniec sprawy. Aum w ekspresowym tempie uczy się salt i przesunęli go do jakiegoś nowego, tajnego projektu. Nawet niektórzy z naukowców biorących w tym udział czują się odsunięci. Oprócz trzonu złożonego z Tintinnabuluma, Kochanków i Auma tym razem w projekcie uczestniczy Uther Doul. Coś planują – powtórzyła. – Silas skinął głową z miną, która wskazywała, że już wcześniej o tym wiedział. – Co planują? – spytała Bellis.

– Nie wiem – odrzekł.

Bellis nie umiałaby powiedzieć, czy mu wierzy.

– Jeśli dowiemy się, co planują, to może uda nam się stąd uciec.

– Przysięgam, że w tym momencie nie jestem w stanie tego odgadnąć. Jeśli się dowiem, to oczywiście natychmiast ci przekażę. – Badali się wzrokiem. – Doszły mnie słuchy, że Uther Doul zaleca się do ciebie.

Nie próbował być nieprzyjemny, ale jego uśmieszek zirytował ją.

– Nie wiem, czy to są zaloty – odparła opryskliwie. – Czasami odnoszę takie wrażenie, ale jeśli rzeczywiście tak jest, to, na bogów, wyszedł z wprawy. Czasem mi się wydaje, że kierują nim inne pobudki, ale nie umiem ich zgłębić. – Znowu milczenie. Na zewnątrz zaczął jęczeć wiatr.

– Powiedz mi, bo jesteś w tym znacznie lepiej zorientowany niż ja: czy można mówić o poważnej opozycji wobec projektu? Podkreślam: poważnej. A jeśli tak, to czy możemy ją wykorzystać do ucieczki? – „O co też może mi chodzić?” – dopytywała samą siebie. „Wysyłamy do kraju ostrzeżenie. Uratowaliśmy go od zagłady, na Jabbera, nie ma nic więcej do zrobienia. Nie istnieją frakcje, które moglibyśmy przeciągnąć na swoją stronę. Nie ma nikogo, kto dałby się namówić do zabrania nas do kraju”. Silas wiele rozprawił o ucieczce, ale wtopienie się w półświatek Armady, zniknięcie z pola widzenia, zmiana nazwiska, zawiśnięcie w sieci układów, plotek, wzajemnych przysyp i grózb, to wszystko były techniki przetrwania. Silas przystosowywał się. Bellis nie miała nic do zrobienia. Nie mogła się zaangażować w żadne kombinacje, w żadne tajne plany. Nadal śniła jej się czasami rzeka płynąca z Nowego Crobuzon do Zatoki Żelaznej. – „Nie” – pomyślała z pasją, bezkompromisowo. „Niezależnie od tego, jaka jest prawda, niezależnie od tego, jak beznadziejna jest sytuacja, nie zrezygnuję z myśli o ucieczce”.

Wymagało od niej sporego wysiłku, aby osiągnąć tak wysokie natężenie palącego się zimnym płomieniem gniewu, pragnienia ucieczki, toteż rozstanie się z nim teraz byłoby dla niej nie do zniesienia.

Trzymała więc to głośnie „nie” z tyłu głowy, nie rozcieńczona wątpliwościami.

Na drugi dzień, po przebudzeniu, wychyliła się z okna na ciepły wiatr i patrzyła, jak wykończone, skacowane ekipy porządkowe sprzątają z ulic i pokładów odpadki po wczorajszej imprezie. Namiatali wielkie hałdy kurzu, kolorowego papieru, strojów i przebrań z balów maskowych, akcesoriów narkotykowych i tak dalej.

Z wieży wiertniczej „Sorgo” przestały wypełzać obrzydliwe płomienie. Platforma ostygła, zapas ropy naftowej i skalnego mleka został zmagazynowany. Bellis powiodła wzrokiem nad nautyczno-miejskim krajobrazem i zobaczyła, że parowce, holowniki i krępe statki przemysłowe ciągną ku miastu, niby opiłki żelaza ku magnesowi. Patrzyła, jak załogi przywiązują swoje jednostki do Armady.

Kiedy wszystkie statki służebne były już zaprzęgnięte, wzięły kurs na południowy wschód, plując czarnym dymem. Ich maszyny pożerały ogromne ilości kradzionego węgla i różnych innych materiałów palnych. Z przerażającą powolnością Armada zaczęła się poruszać.

Pod spodem, w przezroczystej wodzie, nurkowie kontynuowali pracę. Trwało złomowanie kolejnych statków i dostarczanie żelaza do zakładów przemysłowych. Między zwłokami okrętów a odlewniami nieustannie kursowały chmary sterowców.

Morze nikłymi prądami opływało gigantyczne wędzidło schowane pod statkami. Prędkość Armady była prawie niedostrzegalna: wynosiła najwyżej dwa węzły.

Ale nie spadała ani na moment. Ruch był nieprzerwany. Bellis wiedziała że kiedy miasto dotrze do celu podróży, kiedy łańcuchy zostaną spuszczone i taumaturgia uruchomiona, wszystko się zmieni. I znowu usłyszała swoje „nie”, odmowę kapitulacji, odmowę zadomowienia się w tym mieście.

Z upływem dni była coraz mniej potrzebna. Sesje tłumaczeniowe inżynierami odbywały się rzadziej, tylko w wypadku natrafienia na jakiś konkretny problem, który na bieżąco rozwiązywano. Bellis miała poczucie, że oddala się od centrum wydarzeń.

Jeśli nie liczyć Doula. Nadal z nią rozmawiał, nadal raczył ją winem w swojej kajucie. Ich spotkania nadal były podszyte czymś tajemniczym, ale Bellis nie umiała

tego rozszyfrować. Doul wyrażał się tak samo zagadkowo jak zawsze i rozmowy te nie przynosiły Bellis pociechy. Jeszcze parę razy zabrał ją do tego małego pomieszczenia, skrzyni akustycznej pod pokojem Kochanków. Zawsze odbywało się to w nocy, zawsze potajemnie. Słyszała ich zdyszane deklaracje, ich jęki bólu i požądania. To stężenie uczuć nadal przerażało ją i mdliło, jak coś gnijącego w żołądku.

Za drugim razem usłyszała, jak syczą z rozkoszy – w ich rozumieniu tego doznania – i nazajutrz rano, kiedy weszła wraz z Aumem na salę obrad, Kochankowie mieli na sobie świeże rany, głęboko wcięte i identyczne, a na czołach krwawe strupy.

I Bellis doznała zapaści. Nie mogła znieść myśli o tym, że jest zdana na łaskę ludzi uzależnionych od uczuć znajdujących uzewnętrznienie w takich odgłosach.

„Nie”.

Mimo że minęły dwa tygodnie, dzień po dniu robiło się coraz goręcej wędzidło było na ukończeniu, Silas jej nie odwiedził, a w zachowaniu Doula wciąż nie mogła dopatrzeć się żadnego sensu; mimo że oddalała się od centrum władzy i czuła ulgę, że nie musi już codziennie widywać Kochanków, wybił się strach związany z poczuciem narastającej zbędności; mimo że straciła ostatnie resztki władzy, jaką posiadała; mimo że stało się oczywiste, iż tkwi w pułapce bez wyjścia, wewnętrzny głos Bellis zhardział i nabrał stanowczości.

„Nie”.

Rozdział trzydziesty drugi

Armada znalazła miejsce, którego szukała.

Miasto znajdowało się w pobliżu granicy między Wezbranym Oceanem a Morzem Czarnomieliżnianym. Bellis zbaraniała, usłyszawszy o tym. „Naprawdę zapłynęliśmy tak cholernie daleko?” – pomyślała.

Stali na wodzie absolutnie nieruchomo. Za pomocą ezoterycznych technik, takich jak łapanie echa i projekcja sensoryczna, Armada znalazła drogę do środka martwego oka. Nazwą tą określano przypadkowo zlokalizowane akweny o średnicy kilku kilometrów, gdzie nie było prądów ani wiatrów. Obiekty pozbawione własnego napędu, unoszące się na powierzchni martwego oka, podskakiwałyby na falach, lecz nie poruszyłyby się ani o centymetr w żadnym kierunku kompasowym.

Martwe oczy stanowiły rodzaj tablicy informującej, że w dole znajduje się hydrosztolnia.

W tym regionie głębokość oceanu wynosiła od około pięciu do sześciu i pół kilometra, ale pod martwym okiem łożo oceanu opadało stożkowato ku okrągłej dziurze, która ciągnęła się w dół poza zasięg jakiegokolwiek geoempaty.

Hydrosztolnia była szeroka na dwa kilometry i bezdenna.

Sięgała tak głęboko, że przestrzeń Bas-Lag w żaden sposób nie mogła w sobie pomieścić ciężaru grawitacyjnego i gęstości wody, toteż w dolnych partiach dziury rzeczywistość była niestabilna. Hydrosztolnia była łącznikiem między światami. Przez ten wyłom przedostawały się awanki.

Nie było momentu, w którym Krüach Aum i jego nowi podwładni obwieściliby koniec badań. Nie było oficjalnego powiadomienia, ostatnie problemy zostały rozwiązane. Bellis nie umiała dokładnie określić, od kiedy wiedziała, że Armada jest gotowa.

Doul jej tego nie powiedział. Świadomość ta wsączyła się w nią tak samo jak we wszystkich innych obywateli. Pogłoski przerodziły się w dedukcje, dedukcje w radosne spekulacje, radosne spekulacje w triumfalną pewność. „Udało im się. Wiedzą, jak to zrobić. Czekają”.

Bellis chciała w to nie wierzyć. Świadomość, że naukowcy opanowali potrzebne im techniki, zawładnęła nią tak delikatnie, że nie było nagłego wstrząsu, tylko powoli narastający lęk. „Jak?” – myślała raz po raz. Zważyła skalę przedsięwzięcia i pytanie to przytłoczyło ją. „Jak oni to zrobią?”- Ogarnęła myślą wszystkie zadania do wykonania, wiedzę do zgromadzenia, maszyny do zbudowania, energię do ukierunkowania. Rzecz wydawała się niemożliwa. „Czy to dzięki mnie? – zdumiewała się. „Czy bez Auma i jego książki dałoby się tego dokonać?”

Bellis czuła, że napięcie, lęk i podniecenie narastają wokół niej z każdą godziną.

Wiele dni po przybyciu Armady na martwe oko nareszcie wydano obwieszczenie, którego wszyscy się spodziewali. Plakaty i krzykacze informowali ludzi, że mają być gotowi, że prace badawcze skończone, że próba zostanie podjęta.

Chwila przełomowa, niezwykła, nikogo jednak nie zaskoczyła. Po takim długim milczeniu oficjalnych czynników to ostateczne potwierdzenie nawet Bellis sprawiło ulgę.

Tanner Sack z przyjemnością patrzył na wędzidło i widoczne teraz łańcuchy. Urodził się i wychował w Nowym Crobuzon, gdzie zachodnie niebo przesłaniały góry, architektura zaś była skomplikowana i wszędzie się wciskała. Bywało, że bezkresne niebo nad Armadą i nieprzerwana połać wody na dole ciążyły mu.

Zanurzona uprząż działała na niego kojąco. Nareszcie mógł popatrzeć na coś dużego i realnego, przełamującego monotonię głębin.

Tanner unosił się w nieruchomych wodach martwego oka. Poza nim tylko Bastard John i ludzie-ryby obserwowali uprząż od dołu.

Przygotowania dobiegły końca.

Zbliżało się południe, lecz w mieście było cicho jak przed świtem.

Na sąsiednich statkach Bellis widziała ludzi obserwujących z daleka, zza rogów, z miejskich parków. Nie dało się słyszeć prawie żadnych dźwięków. Po niebie nie latały sterowce.

– Pół miasta jest w domach – syknęła do Uthera Doula.

Znalazł ją na pokładzie „Wielkiego Wschodniego”, gdzie przyszła wraz z tymi nielicznymi Armadyjczykami, którzy uważali, że ten historyczny moment należy oglądać z samego okrętu flagowego.

„Boją się” – pomyślała, patrząc nad pustymi ulicami na statki w dole. „Zdają sobie sprawę, jaka jest stawka. Jak marynarze w szalupie ratunkowej, którzy cumują do wieloryba”. Zdusiła w sobie śmiech „I boją się burzy”.

Silne burze budziły grozę w obywatelach Armady. Miasto nie mogło ominąć narowów niepogody ani zaprząć ich do swoich celów. Porywiste wiatry potrafiły oderwać statek od statku albo rzucić jednym o drugi nawet przy najmocniejszych buforach. Dzieje Armady roily się od opowieści o strasznych, śmiertelnych szkwałach.

Nigdy wcześniej celowo nie ściągnęli na siebie huraganu.

Do przebicia membrany między rzeczywistościami, nawet w tym słabym punkcie, i zwabienia awanka na tę płaszczyznę konieczna była gigantyczna erupcja energii. Burza elektryczna by nie wystarczyła, potrzebowali burzy żywej, orgii, szaleństwa fulmenów, cząstek elementarnych błyskawicy.

A że, na szczęście, żywe burze były niemal tak samo rzadkie jak wypływy Momentu, Niszczukowody musiały sztucznie wywołać to zjawisko.

Sześć masztów „Wielkiego Wschodniego”, a przede wszystkim potężny maszt główny, owinięto miedzianym drutem w gumowej izolacji, który zniknął we wnętrzu statku, ciągnął się korytarzami i schodami, pod strażą gwardzistów, w końcowym punkcie podpięty do ezoterycznej nowej maszyny napędzanej skalnym mlekiem. Silnik ten miał przesłać kolosalne ładunki przez nity łańcucha do wędzidła i dalej, w morską głębinę.

W jakimś miejscu zebrali się uczeni i piraci-taumaturgowie z Książkowic, Ałozowic i Niszczukowód: meteoromanci i elementaliści z dziwacznymi urządzeniami, piecami, mazidłami i darami. Może ofiarnymi. Bellis wyobrażała sobie ich gorączkową pracę: mierzą prądy eteryczne, dorzucają paliwa, wypowiadają zaklęcia.

Przez jakiś czas słychać było tylko szepty, odległe okrzyki mew i szum fal. Każdy, kto stał w bezlitosnym upale, chciał usłyszeć coś czego nigdy wcześniej nie słyszał, ale ludzie nie mieli żadnego wyobrażenia o tym, na co czekali. Nareszcie doczekali się: dźwięk tak monolityczny, że wprawił w drżenie wszystkie statki.

Bellis usłyszała, jak Uther Doul wypuścił powietrze i szepnął: „Teraz”. Jego głos był nasycony uczuciem, którego nie rozpoznała.

Pokład „Wielkiego Wschodniego” nagle poruszył się pod ich stopami z perkusyjnym trzaskiem.

Armada zawibrowała gwałtownie.

– Opuszczają wędzidło, łańcuchy do dziury – powiedział cicho Doul.

Bellis ścisnęła poręcz relingu.

Pod wodą Tanner sapnął, a woda pędziła przez jego skrzela, kiedy ogromne windy zaczęły się kręcić, a bolce mocujące uprząż wysadzono w powietrze za pomocą ładunków wybuchowych. W dokładnie zaaranżowanej sekwencji, przemieszczając wielkie wały morskiej wody, metalowy pierścień o średnicy prawie pół kilometra, najeżony okrutnymi hakami i obrożami, zaczął opadać na dno.

Zsuwał się przez wodę etapami, osiągając granicę swojej wolności, kiedy kończyły się kolejne długie na kilkadziesiąt metrów ogniwa. A potem detonowano kolejny ładunek, obracały się ogromne windy i pierścień opadał o kolejny odcinek.

Kiedy metalowa obręcz docierała do końca kolejnego ogniwa, miasto w górze poruszało się, ulegało przemieszczeniu, jego wymiary zmieniały się pod obciążeniem. Łańcuchy były olbrzymie, na skalę geologiczną, każde potężne szarpnięcie miało siłę wstrząsu sejsmicznego. Armada mogła się jednak poszczycić bardzo dobrą pływalnością, którą zawdzięczała starannej konstrukcji, gazowi i taumaturgii, dlatego chociaż nagle pociągnięcia telepały nią jak huragan i zrywały te nieliczne wiklinowo-linowe pomosty, których nie odpięto, nie zdołały przewrócić miasta.

– Na kopulującego Jabbera! – krzyknęła Bellis. – Musimy zejść pod pokład!

Doul przytrzymał ją mocno i unieruchomił.

– Nie chcę tego przegapić i pani też nie powinna.

W tym momencie miasto wierzgnęło przerażająco.

Opadanie wędzidła nabrało tempa. Tanner Sack zdał sobie sprawę, że krzyczy bezgłośnie, bezpowietrznie, że jego szczeka wyrzuca nieme bluźnierstwa na ten widok. Zahipnotyzowała go skala tego, co widział, nagłe zniknięcie gigantycznej uprzęży w absolutnie czarnym morzu. Mijały sekundy i minuty. Miasto przestało tak bardzo się trząść i trwało odwijanie się wielkich łańcuchów – pięć ciągów ogniwo zstępowało w ukryte głębiny.

Łańcuchy od pokoleń obrastały koloniami pąkli i ślimaków morskich, tak że kiedy ogniwa odrywały się od dna statków, posyłały w otchłań całe masy tych stworzeń.

Po wielu minutach Armada znowu prawie znieruchomiła, kołysała się bardzo nieznacznie na skutek ostatnich drgań łańcucha. Ptaki kursowały bezmyślnie po niebie. Ogromny ciężar metalu osiadł. Wszyscy trwali w wyczekującym napięciu.

Wszyscy wstrzymali oddech, lecz nic się nie stało.

Wędzidło zwiślało teraz pod kilometrami łańcucha. Miasto w górze poruszało się spokojnie na wezbranej wodzie.

Armadyjczycy czekali w skupieniu, ale woda martwego oka była spokojna, a niebo czyste. Na pokładach pojawiało się coraz więcej ludzi. Z początku byli wystraszeni i niepewni, nadal czekali na wystąpienie czegoś, czego nie umieli sobie wyobrazić. Nic się jednak nie stało.

Bellis nie wiedziała dokładnie, jakiego rodzaju kryzys dał się we znaki naukowcom i taumatyrgom. Obiecana burza nie zmaterializowała się. Maszyny napędzane skalnym mlekiem ani drgnęły.

„Nie powinniśmy być zaskoczeni” – pomyślała. „Zastosowane techniki były nietypowe, niesprawdzone, eksperymentalne. Nic dziwnego, że nie zadziałały za pierwszym razem”.

Mimo to obywatele Armady przeżyli potężny zawód. Po dwóch godzinach miasto powróciło do wcześniejszego stanu. Nienaturalna cisza ustąpiła.

Rozczarowani piraci dyskutowali i dowcipkowali na temat tej porażki. Żaden naukowiec ani urzędnik z Niszczukowód nie wystąpił z oświadczeniem. Armada unosiła się na spokojnej wodzie otulona płaszczem gorąca. Mijały kolejne godziny oficjalnego milczenia.

Bellis nie mogła znaleźć Doula, który poszedł sprawdzić, co się stało. Spędziła wieczór sama. Powinna być zachwycona klęską Armady, ale nawet ona zaraziła się powszechnym smutkiem. I zaciekawieniem.

Minęły dwa dni.

W nieruchomej wodzie martwego oka część miejskich ścieków zakrzepła i Armada zaczęła cuchnąć. Bellis i Carrienne poszły do parku Crooma, ale smród i jazgotliwe krzyki przegrzanych zwierząt na statkach-farmach nie stwarzały spacerowej atmosfery. Przebywanie na zewnątrz nie pozwalało się odświeżyć. Bellis zamknęła się w pokoju razem ze swoimi cigarillos.

Poza tym krótkim spotkaniem z Carrienne spędzała czas samotnie. Doul nie pojawił się więcej. Bellis pociła się, paliła i czekała, patrzyła, jak miasto w skandalicznym tempie powraca do swojej zgiełkowej rutyny. Rozwścieczyło ją to. „Jak możecie udawać, że nic się nie dzieje?” – myślała, obserwując handlarzy na Targu Zimowej Słomy. „Jakbyśmy żyli w normalnych czasach, w normalnym mieście”.

Wciąż nic nie przedostawało się do wiadomości publicznej. Krüach Aum, jego asystenci oraz ekipy naukowców i myśliwych weryfikowali w ukryciu obliczenia, robili pomiary, majstrowali przy silnikach – tak przynajmniej sądziła Bellis.

Minęły dwa dni.

Tanner unosił się na wodzie pod miastem, twarzą w dół. Czuł się tak, jakby stał w wejściu do ciemnego, pięciokątnego tunelu z łańcuchami. W jednej linii z jego głową, ramionami i nogami pięć wielkich piór pomknęło w dół do punktu zbiegu perspektywy i zniknęło w ciemnościach.

Był wykończony. Gorączkowe naprawy, które toczyły się od momentu nieudanej próby, pozbawiły go snu. Sfrustrowani nadzorcy darli się na niego.

Olbrzymi korytarz łańcuchowy, który ciągnął się pod nim, miał ponad sześć kilometrów długości. Na jego końcu, w ciemnościach, wisiało nieruchomo wędzidło, większe od największego statku świata.

Dyndało w dziurze, zapewne obwąchiwane przez wstęgory i wielkogębne węgorze, które zapuszczały się na takie głębokości.

Bellis, która siedziała i czytała przy oknie, powoli uświadomiła sobie, że wokół panuje dziwna, milcząca drętwota: światło zmieniło swój charakter. Neurotyczna pauza, jakby powietrze i rozprażone słońce na coś czekały. Ze strachem i zdumieniem zrozumiała, co się dzieje.

„Nareszcie” – pomyślała. „Bogowie, miejcie mnie w swojej opiece, udało im się”.

Z progu swojego mieszkania, wysoko w kominie „Chromolitu” nad delikatnie rozkołysanymi statkami Armady spojrzała na maszty „Wielkiego Wschodniego”. W mieście było pełno ludzi. Władze nie ostrzegły, że ma nastąpić kolejna próba. Mieszkańcy stanęli w miejscu na targach i ulicach, spoglądali do góry i usiłowali zidentyfikować to co poczuli.

Niebo zaczęło się zmieniać.

– Jabberze kochany – szepnęła Bellis. – O bogowie.

Na środku rozciągniętego nad Armadą spłowiałego od słońca błękitu rozlały się ciemności. Tysiące stóp nad miastem bezobłoczne niebo dostało spazmów i wysrało z nicości maleńkie maźnięcie chmury, atom skażenia, który rozchylił się jak kwiat, jak pudełko z figurką na sprężynie – rekwizyt magika, który otwierał się raz po raz, pomnażając swoją substancję.

Ciemności rozprzestrzeniały się szybko jak atrament kałamarnicy, plamiąc niebo, tworząc coraz większe koło cienia. Emitowały złowieszcze dźwięki.

Nagle zerwał się wiatr, który uderzył o burty i wieże Armady, pobrzękując na olinowaniu. Coś spływało na dół wokół Bellis, maleńkie cząstki podobne do mgły, z kominów „Wielkiego Wschodniego” dobywał się nietypowy smród, wyziewy sił, które wyciągały z nicości chmury. Bellis rozpoznała tę woń: skalne mleko. Dopalano jakiś silnik aeromorficzny.

Słońce było całkowicie przesłonięte. Bellis dygotała w nowo narodzonych ciemnościach i zimnie. Poza granicami miasta morze wypiętrzyło się i spieniło. Dźwięk dochodzący z nieba narastał: basowe wibracje przeszły w kocie mruczenie, potem w przeciągły okrzyk i wreszcie w warknięcie grzmotu. To perkusyjne łupnięcie było sygnałem dla burzy, która wypadła z kłębow chmur.

Wiatr oszalał. Morze zafalowało. Znowu grzmot, oleiste ciemności nad miastem rozprysły się na tysiące kawałków i przez każdą szczelinę jarzyła się błyskawica.

Deszcz pędził wrzeszczącymi bryzgami, które w jednej chwili przemoczyły Bellis do nitki.

We wszystkich okręgach miasta Armadyjczycy co prędzej schodzili pod pokłady, które szybko opustoszały. Odpinano pomosty, kiedy połączone nimi statki zaczęły brykać. Niektórzy, między innymi Bellis stali jak wryci, ze strachu lub fascynacji, i wpatrywali się w burzę.

– Na Diabli Ogon! – krzyknęła Bellis. – Niech słodki Jabber ma nas w swojej opiece!

Nie słyszała własnego głosu.

Do Tannera, otulonego wodami martwego oka, odgłosy burzy docierały przytłumione. Deszcz naruszył integralność powierzchni morza. Miasto wznosiło się i opadało, jakby morze usiłowało zrzucić je z siebie. Pod spodem poruszały się gigantyczne łańcuchy.

Mimo że od powietrza oddzielały go tony wody, Tanner zdał sobie sprawę, że grzmot jest coraz głośniejszy, a fale coraz wyższe. Czekał podniecony, aż burza osiągnie maksymalne napięcie. Był coraz bardziej zdenerwowany, ponieważ gwałt nie ustępował, lecz stale narastał.

„Dalijabber!” – krzyknął w myślach przejęty nabożnym strachem. „Tym razem im się udało. Kurwa, co za burza! Co oni, kurwa, zrobili?”

Bellis kurczowo trzymała się relingu, z obawy, że porwie ją wiatr i zostanie zmiądzona między statkami.

Powietrze było poplamione cieniami, ciemnością rozrywaną przez błyskawice niby przez mignięcia flesza.

Mimo że ulewa płuwała powietrze, dziwny smród oparów skalnego Weka potęgował się. Bellis widziała zmarszczki zakrzywiające podrze. Pioruny raz po raz trafiały w maszty, kręcąc się zwłaszcza oto ogromnej, spowitej miedzią kolumny na „Wielkim Wschodnim”. Armada tańczyła, a niebo kipiało. Maszyna aeromorficzna buchała coraz większą ilością energii i układ błyskawic zaczął się zmieniać. Bellis obserwowała chmury jak zaczarowana.

Z początku smugi i szczerby tworzyły przypadkowe wzory, napięte się i dygocząc niby świetliste węże w ciemnościach. Potem zaczęły się synchronizować. Interwały czasowe skróciły się, tak, że światło jednej błyskawicy nadal wypalało Bellis oko, kiedy strzelała już następna, a do tego wydawały się zmierzać do jednego celu. Erupcje błyskawicy pędziły ku środkowi chmury, znikając w jej jądrze.

Grzmot stężał. Woń skalnego mleka mdliła. Bellis była zahipnotyzowana tym, co widziała poprzez ścianę deszczu. Potrafiła myśleć tylko „no już, no już”, nie wiedząc, na co czeka.

I wreszcie, po ogłuszającym pojedynczym grzmocie, błyskawice osiągnęły pełną synchronizację.

Jednocześnie wyskoczyły z nicości na skraju burzy, wspólnie rozcięły ciemne powietrze, zdążając ku sercu burzy podobne do szprych koła. Spotkały się w osi burzy, tworząc jeden boleśnie intensywny punkt światła, które trzaskało i nie rozpraszało się.

Wytrysnęła niewidzialna energia, wzmacniana przez zawory i transformatory okultystycznych maszyn, chlustała z kominów „Wielkiego Wschodniego” i mknęła do góry w stronę burzy.

W sercu chmury wybuchło przywołanie.

Trzeszcząca gwiazda błyskawicy świeciła zimno, intensywnie i sinobiało, rozdygotana, coraz jaśniejsza, napięta, jakby była brzemienna, jakby była pełna, jakby była gotowa wybuchnąć, a potem

PEKŁA

i chmara wrzeszczących istot wykrystalizowała się z jej strzępów i obsiadła okręt – trzaskające zjawy obwiedzione energią, zostawiające ślady spalonego powietrza, kiedy pędziły po niebie obdarzone wiedzą, kapryśne i świadome swoich celów.

Fulmeny. Elementale błyskawicy.

Zygzakując, wrzeszczały i śmiały się, ich okrzyki były zlokalizowane gdzieś pomiędzy dźwiękiem a prądem. Fulmeny z niesamowitą prędkością mknęły po niebie, przeistaczając się w łuki prądu, brocząc upiornymi kształtami wyładowań, kształtami powielającymi zarysy budynków, ryb, ptaków i twarzy.

Stadko fulmenów zładowało na pokładzie „Chromolitu”, przeleciawszy obok Bellis, której serce stanęło w piersiach. Krążyły wokół wylotu komina.

Gdzieś z wnętrza „Wielkiego Wschodniego” wyszedł impuls mocy. Nad całym miastem elementale oderwały się od swoich zabaw i myszkowały podniecone. Ukryte maszyny znowu wysłały potężną porcję energii, która powędrowała drutami na szczyt masztu. Fulmeny skowyczały i tańczyły na łańcuchach i metalowych poręczach. Potem padł sygnał do zbiórki. Bellis przekręciła głowę i patrzyła, jak odlatują z „Chromolitu” i nad kanałami wody między statkami zmierzają ku głównemu maszтови ogromnego parowca.

Bellis przestała zauważać, że pada i grzmi. Widziała tylko żywe błyskawice, które obrysowały Armadę swoim rozjarzonym chłodem, drażniąc się same ze sobą, spazmatycznie oscylowały między istnieniem i nieistnieniem koło najwyższych dachów miasta. Bellis oglądała ten wystawiany w burzowej scenografii spektakl nad statkami, które oddzielały ją od sceny. Strumień energii wisiał jak przynęta na szczycie górującego nad Armadą masztu „Wielkiego Wschodniego”.

„Łowimy burzę, żeby złowić elementale, żeby złowić awanka”. Czuła się jak pijana.

Fulmeny okrążały maszt, otulały go wirującym stożkiem najeżonych istot. Spluwały w ciemności burzy, oświetlając miasto negatywowo, czymś jakby czarnym światłem słonecznym, aż do chwili, gdy z drutów buchnął ostatni wielki bryzg spajającej energii.

Fulmeny wrzeszczały, gadały od rzeczy i zaczęły wlewać się w metal.

Za pomocą zakłęb i maszyn elementaliści wciągali je w drut.

Elementale z krzykiem mknęły grubymi kablami, światełka szybko gasły jedno po drugim. Po pół sekundzie niebo znowu zaciągnęły ciemności.

Elyktryczne elementale krążyły jako supernaladowane cząstki po miedzianej sieci, zlewając się ze sobą i tworząc strumień żywej mocy, wchodziły w trzewia „Wielkiego Wschodniego”, do maszyny napędzanej skalnym mlekiem, w bolce łańcucha, który ciągnął się aż po rozpadlinę w dnie morza.

Pod milionami ton morskiej wody ta skondensowana substancja plemienia elementali błyskawicy zbiegła po ogniwach łańcucha długości masztu i wtargnęła do wody erupcją potężnej energii, która rozbłysła białym światłem i natychmiast zniknęła w głębinach hydrosztolni, spalając i niszcząc wszelkie życie, jakie się tam zapuszczało, aby w końcu przebić membranę między wymiarami, wiele kilometrów poniżej łoża oceanu.

Koło stępki „Wielkiego Wschodniego” maszyna napędzana skalnym mlekiem buczała i wysyłała po łańcuchu potężne impulsy.

W morzu powstało rozdarcie i dopiero teraz emitowane przez nią sygnały, nieodbieralne dla żadnych istot urodzonych w morzach Bas-Lag, mogły być słyszane.

Tanner Sack płynie na dół w szarą wodę. Burza rozproszyła się niemal w jednej chwili i morze nad jego głową jest jasne. Tanner sprawdza swoje możliwości, pcha się coraz głębiej i głębiej w strefę dysfotyczną.

Nie jest sam: otaczają go ludzie-raki i ludzie-ryby, jest też chyba Bastard John, wszyscy nurkują jak najgłębiej, chcąc zaspokoić ciekawość, ale on ich nie widzi. Woda jest zimna, niema i gęsta.

Tanner czuje, że z ogromnych ogniw łańcucha przeskakują na niego wyładowania energii. Wie, że na dole rozgrywają się niezwykle wydarzenia i jak dziecko folguje swojej ciekawości, opadając ku ciemnościom. Jeszcze nigdy nie nurkował tak głęboko. Płynie wzdłuż łańcuchów, przystosowując się do ciśnienia, które ciasno go otula. Rozpościera macki, jakby próbował chwycić substancję wody i pociągnąć się w dół.

Boli go głowa. Krążenie krwi jest utrudnione. Nie mogąc już zejść niżej, nieruchomieje. Nie wie, jak głęboko znurkował. Nie widzi koło siebie wielkiego łańcucha. Nie widzi nic. Jest zawieszony w zimnie i szarości, zupełnie sam.

Czas mija, sygnały maszyny napędzanej skalnym mlekiem wciąż drgają kusząco w głębokiej wodzie. Dokoła nic się nie porusza.

Aż do momentu, gdy oczy Tannera otwierają się. Nie wiedział, że były zamknięte.

Ocucił go jakiś dźwięk, coś jakby śliski zgrzyt, trzask bolców, odgłos wskakiwania zapadek w otwory. Przeciągłe, dudniące echo wędruje przez wodę niby śpiew wielorybów. Bardziej czuje to w żołądku, niż słyszy uszami.

Nie rusza się. Słucha.

Wie, co usłyszał.

Zabezpieczenia na półkilometrowym wędzidle – zapadki, kołki, nity, śruby długości statków – wskoczyły na swoje miejsce.

Coś przedarło się do góry przez warstwy wody i rzeczywistości, żeby zbadać te rozkoszne impulsy skalnego mleka, i wsunęło szyję albo inną część ciała w obrożę, teraz ze wszystkich stron ma uprząż, kolce i ćwieki wielkie jak pnie drzew wbiły się w ciało, pasy zacisnęły się i stworzenie zostało schwyte.

Znowu cisza i bezruch. Tanner wie, że w górze taumaturgowie i naukowcy wysyłają dokładnie odmierzone sygnały do kory mózgowej tej istoty, kojące, sugestywne, pochlebne.

Tanner czuje maleńkie ruchy wody i zmiany temperatury – prądy taumaturgiczne.

Czuje vibracje na skórze, a potem mocniejsze wewnątrz.

Schwyte stworzenie porusza się, zdecydowanie poniżej dogorywających krawędzi światła słonecznego, w śródnocnej wodzie wiele kilometrów w dół, obok świetlików i krabów długonogich, przyćmiewając ich nikłą fosforescencją. Czuje, że istota podpełza bliżej niego, przemieszczając wielkie wały zimnej wody, wtaczając je i wytaczając z otchłani.

Jest zafascynowany.

Rozlega się ociężały huk, od którego drży woda. Tanner wyobraża sobie jakąś monstrualnej wielkości kończynę od niechcienia trzępiącą o kontynentalny szelf – bezrefleksyjna apokalipsa unicestwienia setki prymitywnych, przydennych stworzeń.

Woda wokół niego wiruje. Z dziury dobywają się dysonansowe prądy taumatyczne. Ciśnienie wody nagle zaczyna gwałtownie oscylować, po czym uszu Tannera dobiega cichuteńki odgłos dudnienia. Wyteża słuch.

To nikły, regularny rytm, który Tanner czuje w trzewiach. Dudniące, miazdzące bicie. Skręca go w żołądku.

Słyszy ten dźwięk tylko przez chwilę, dzięki taumatycznemu zakrzywieniu czasoprzestrzeni, ale wie, co to jest i wpada w osłupienie.

Serce wielkości katedry, bijące o wiele niżej w ciemnościach.

Na mokrych od deszczu stopniach, pod prażącym słońcem i bezchmurnym niebem, Bellis czekała.

Armada wyglądała jak wymarłe miasto. Wszyscy oprócz najbardziej zafascynowanych mieszkańców schowali się wciąż przerażeni.

Coś się wydarzyło. Bellis poczuła dygot „Chromolitu” i stukanie łańcuchów. Od wielu minut jest cicho.

Nagle znowu usłyszała dźwięk metalu uderzającego wolna, groźna perkusja, łańcuchy pod miastem napięły się i wynurzyły z hydrosztolni pod światem, powróciły do swojego macierzystego wymiaru i znowu opływały je wyłącznie wody Wezbranego Oceanu.

Powoli odchyliły się od pionu i biegly ukośnie od miasta do wędzidla tuż nad dnem oceanu, wiele kilometrów poniżej.

Wtedy rozległ się wibrujący dźwięk, Armadą szarpnęło gwałtownie, ciągnięte od dołu w nowych kierunkach statki zręcznie się przestawiały, przez co miasto zmieniło swój kontur.

Armada zaczęła płynąć.

Spazm ten o mało nie przewrócił Bellis.

Zbaraniała.

Miasto poruszało się.

Płynęło na południe ze spacerową prędkością, która była jednak na głowę wyniki osiągnęte przez eskadry holowników.

Bellis widziała fale na burtach zewnętrznych statków. Widziała kipiela za rufą miasta. Podróżowali dostatecznie szybko, aby zostawiać za sobą kilwater.

Między Armadą a horyzontem krzątała się teraz gorączkowo flota nietrzymany na uwięzi statków: kupiecko-pirackich, fabrycznych, kurierskich, wojennych i holowniczych. Odwracały się włączały silniki i rozwijały żagle, aby dogonić macierzysty port.

„Bogowie kochani” – pomyślała Bellis z osłupieniem-. „Pewnie nie wierzą własnym oczom”. Z najbliższej jednostki do ją chóralny okrzyk zachwyty. Marynarze stali na pokładzie i wiwatowali.

Wołanie to stopniowo podejmowali inni, w miarę jak na terenie całej Armady zaczęli pojawiać się ludzie: otwierali okna i drzwi, wychodzili z bunkrów, stawali przy

relingach, choć wcześniej chowali się za nadburciami. Gdzie tylko skierowała spojrzenie, obywatele wznosili okrzyki. Wiwatowali Kochankom. Wrzeszczeli z zachwytu.

Bellis spojrzała na morze, obserwowała fale uciekające do tyłu za miastem, które się poruszało. Ciągnięte na łańcuchach.

Na końcu sześciokilometrowych wodzy, dopieszczany przez maszynę napędzaną skalnym mlekiem, mocno trzymany przez haki podobne do zakrzywionych iglic, awank miarowo i z ciekawością przemierzał obce dla siebie morze.

Interludium VII. KANAŁ BAZYLISZKA

„Sercopył Tetneghi” od czterech tygodni przebywał na morzu.

Galeon musiał stawić czoło gwałtownym, letnim sztormom. Między Gnurr Kett a Perrick Nigh było spokojnie. Na niebezpiecznych kanałach koło Wysp Mandragory przepłynął zbyt blisko jakiejś anonimowej skały i opadły go łupieżcze istoty latające, które potargały żagle i ściągnęły kilka małą z olinowania, co zresztą skończyło się ich śmiercią. W zimnych wodach przy wschodnim wybrzeżu Rohagi statek został przypadkowo zaatakowany przez okręt crobuzońskiej marynarki wojennej. Dzięki pomyślnym wiatrom „Sercopył Tetneghi” uciekł pancernikowi, doznawszy co prawda uszkodzeń, które spowolniły go, ale nie zatopiły.

Oficerowie-kaktusy gwiżdżą rozkazy wykończonym małym i statek zbliża się do portowego azylu, płynie krętym kanałem ku Zatoce Żelaznej.

Dzień po swoim spotkaniu z Tannerem Sackiem, kiedy to kapitan Sengka wydał załodze nowe rozkazy, zareagowali spodziewanym przez niego zdziwieniem i niechęcią. Dostyc luźna dyscyplina obowiązująca na statkach samheryjskich pozwalała im na w miarę swobodne wyrażanie swoich uczuć, toteż powiedzieli Sengce, że są przeciw, że są wkurzeni, że nie rozumieją, że to jest przecież dezercja, że kadłubowa załoga, która zostanie na wyspie, nie wystarczy do pilnowania anopheliusów.

Był nieugięty.

Z każdym spotykającym ich po drodze nieszczęściem, z każdy napadem, z każdą wlokącą się jak ślimak minutą miesiąca narzekań załogi robiły się głośniejsze, ale Sengka, który postanowił zaryzykować swoją karierę i uwierzyć w pisemne obietnice otrzymane od Tannera, nie zrezygnował ze swego planu. A że cieszył się wśród załogi sporym autorytetem, na razie udawało mu się powściągnąć ich gniew – ograniczali się tylko do rzucania dziwnych aluzji i znaczących spojrzeń.

I teraz „Sercopył Tetneghi” żółwim tempem płynie w stronę Wielkiej Smoły. Kiczowatość kapiących od złota krzywizn galeonu łagodzi brutalna wiosenna pogoda, która szokuje ludzi-kaktusy. Krzykliwa południowa estetyka statku przedstawia się absurdalnie na tle kolorów mijanych wysp: różnych odcieni ciemnego brązu, czerni i błotnistej zieleni.

Są to barwy zniszczone przez żywioły, odrapane. Załoga niecierpliwi się. Sengka przebiera palcami po zapieczętowanym woreczku.

Już niedługo. Zbliżają się do zatoki i rzeki, cegieł i mostów. W otaczających ich wodach jest coraz więcej kamieni. Kanał robi się płytszy. Do wybrzeża coraz bliżej.

Kapitan Sengka uważnie przygląda się pieczęci Nowego Crobuzon na doręczanym przez siebie niewielkim frachcie. W swoich dużych dłoniach trzyma skórzany woreczek; zapieczętowane woskiem pudełko, propozycję nagrody, którą

Nowe Crobuzon uhonoruje; alarmujący list, melodramatycznie ostrzegający o wojnie, mętnym, absurdalnym, bezsensownym szyfrem; bezwartościowy wisiołek, który tłumaczy, dlaczego pudełko jest szkatułką na biżuterię; pod aksamitną wyściółką pudełka, pod drugim dnem, zabezpieczony trocinami przed uszkodzeniem, ciężki krążek wielkości dużego zegarka wraz z wykaligrafowaną maleńkimi literkami instrukcją.

Potajemny prezent prokurenta Fenneca dla Nowego Crobuzon i właściwa przesyłka od niego.

Interludium VIII. GDZIE INDZIEJ

Nastąpiło jakieś zdumiewające wtargnięcie do świata. Morze smakuje czymś nowym.

„Co to jest?”

Nikt z myśliwych tego nie wie.

„Co to było za roztrzaskanie nagle przesunięcie otwarcie się wtargnięcie najścieprzybycie? Cóż to do nas przyszło?”

Nikt z myśliwych tego nie wie. Potrafią tylko stwierdzić, że morze się zmieniło.

Wszędzie widać oznaki tej zmiany. Prądy są chwiejne, co chwila bardzo nieznacznie zmieniają kierunek, jakby na ich drodze stała jakaś nowa przeszkoda. Saliny wrzeszczą i bełkoczą, rozpaczliwie pragnąc przekazać to, co wiedzą.

W skali całego świata nawet taki olbrzymi nowy byt oznacza mikroskopijną zmianę, niemal nieskończenie małą, ale hydrowrażliwość myśliwych sięga poziomu subatomowego, toteż wiedzą, że coś się wydarzyło.

Nowa istota zostawia jedyne w swoim rodzaju trop, ale ślad złożony jest z łajna, smaku i cząstek, które nie funkcjonują zgodnie z fizyką Bas-Lag. Grawitacja, przypadkowy ruch, fizyczne istnienie wokół intruza mają trochę inną charakterystykę, niż powinny. Myśliwi znają smak intruza, ale nie potrafią go wytropić.

Nie zaprzestają jednak prób. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jest to sprawka pływającego miasta, dlatego jeśli znajdą tego ociężałego giganta, znajdą też swoją zwierzynę.

Czas pędzi.

Są bąbelki wody, słodkiej i słonej. Wiele kilometrów dalej wydycha je rodzeństwo, idą do góry i nie pękają, nawet kiedy są otoczone materią swojej własnej substancji, przeciskają się przez małe taumatyczne wyloty i bez przeszkód wędrują dalej w górę, ogromnie daleko od punktu wyjścia. Rozpryskują się koło uszu myśliwych, przekazując wiadomości z domu. Plotki i historie przełożone na wodny język. Od groac'h i czarodziejów w Gengris, od szpiegów w Zatoce Żelaznej. Słyszymy dziwne rzeczy – mówi jeden z głosów. Myśliwi gromadzą się i wylewają z siebie energię, drżący i wytężeni używając swoich foci, relikwii po zmarłych. Ich przywódcy szepczą w odpowiedzi, która leci w formie bąbelków do kraju. „Coś nowego wstąpiło w morze” – mówią.

Kiedy rozmowa dobiega końca, czarodzieje, cisi w ciemnościach bardzo głęboko pod powierzchnią Wezbranego Oceanu, mrugają i trzęsą głowami, a dźwięk, który dotarł do nich z odległych obszarów świata, rozprasza się wraz z wodą, która go przyniosła.

„Płyną łodzie” – mówią swoim myśliwym. „Dużo. Szybko. Z Zatoki Żelaznej. Też polują. Szukają, tak jak my. Płyną na drugą stronę morza. Nasze siostry i bracia są z nimi, przyczepieni jak podnawki, śpiewają do nas. Możemy ich łatwo odnaleźć”.

„Łodzie szukają tego samego, co my. Wiedzą, dokąd płyną. Mają urządzenia, które pomogą im to znaleźć”.

„My tropimy ich, a oni będą tropili nas”.

Myśliwi wyszczerzają swoje bardzo długie zęby i emitują szczekające chluśnięcia wody, które są ich śmiechem, układają kończyny w opływowe kształty i ruszają na północ, w kierunku, który został im podany, tam gdzie będzie flota Nowego Crobuzon. Kiedy kursy się przetną, myśliwi dołączą do innych oddziałów ze swego kraju i nareszcie znajdą swoją zwierzynę.

CZĘŚĆ SZÓSTA. „PORANNY WĘDROWIEC”

Rozdział trzydziesty trzeci

Awank i ciągnięta przez niego Armada płynęli na północ ze stałą prędkością. Nie tak dużą jak statek, ale wielokrotnie szybciej, niż miasto mogło podróżować do tej pory.

Armadyjskie jednostki codziennie wracały do macierzystego portu. Z odczytów swoich tajnych mechanizmów wiedziały, że porusza się on z bezprecedensową prędkością i w panice lub z radością pędziły do domu obładowane złupioną biżuterią, żywnością książkami i ziemią.

Powróceni marynarze przecierali oczy ze zdumienia. Otoczona flotą holowników i parowców – które zawsze ją ciągnęły, a teraz podążały za nią bezładną chmurą jak drugie, rozpadające się miasto, lojalne i bezużyteczne – Armada sunęła przez morze jakby była obdarzona własnym napędem.

Niektóre ze zbędnych już teraz statków włączono w tkankę miejską przyczepiono hakami i wspawano, wyłączono z eksploatacji i przebudowano. Inne przerobiono na statki pirackie, opancerzone i wyposażone w sto różnych rodzajów dział. Te hybrydy jeżyły się od wyszabrowanego uzbrojenia.

Kurs ustalono na północ północny wschód, ale zdarzały się dewiacje, choćby po to, aby ominąć jakąś burzę, skalistą wyspę czy nieregularność łoża oceanu, której obywatele Armady nawet nie widzieli.

Piloci na „Wielkim Wschodnim” mieli do dyspozycji stojak z pirotechnicznymi flarami w rozmaitych kolorach. Kiedy kurs awanka wymagał korekty, wystrzeliwali ich zestawy, tworzące uzgodnione sygnały. Inżynierowie w innych okręgach uruchamiali wtedy ogromne windy, które ciągnęły za któryś z zanurzonych w wodzie łańcuchów.

Awank reagował bez narzekań, potulnie jak krowa. W odpowiedzi na te nieznaczne szarpnięcia zmieniał kurs – machnięciem płetw, włókien, łap czy bogowie raczą wiedzieć czego. Zgadzał się na to, aby nim sterować.

W maszynowni na dnie „Wielkiego Wschodniego” szybko wytworzyła się rutyna pracy. Dygoczące kotły parowe przez cały dzień karmiono skalnym mlekiem, wysanym przez „Sorgo” spod dna, a ma szyna wysyłała stały pochlebny impuls przez łańcuch i kolce do awankowego odpowiednika kory mózgowej.

Gigantyczna istota była zanarkotyzowana, pogrążona w sennej błogości, odmóżdżona jak kijanka.

Kiedy stało się oczywiste, że taumaturgiczne łowy przyniosły sukces i baśniowa istota naprawdę wstąpiła do Bas-Lag, obywateli Armady ogarnął historyczny entuzjazm.

Pierwszej nocy odbyło się spontaniczne świętowanie. Ponownie wyjęto dekoracje, którymi zwyczajowo przystrajano miasto na koniec kwarty, a bulwary i skwery wypełniły się tańczącymi ludźmi, mężczyznami i kobietami, khepri, kaktusami, strupodziejami i innymi. Podnoszono do góry modele awanka z masy papierowej, bardzo różne i bardzo niepodobne do pierwowzoru.

Bellis spędziła ten wieczór w pubie z Carrienne, na przekór sobie dając się ponieść radosnej atmosferze. Na drugi dzień była zmęczona i zasmucona. Był to trzeci markindi kwarty cielesnej. Bellis zestawiała to z kalendarzem crobuzońskim, który kiedyś sporządziła, i stwierdziła, że w jej rodzinnym mieście wypada piętnasty swivena – wigilia Święta Złego Początku. Odkrycie to wprawiło ją w przygnębienie. Nie sądziła oczywiście, żeby ponury wpływ tego święta sięgnął aż tak daleko, ale fakt, że przybycie awanka nieomal zbiegło się w czasie z tym dorocznym wydarzeniem, był deprymujący.

Mijały dni i chociaż entuzjazm jeszcze się nie skwasił, a po przebudzeniu ludzie wciąż ze zdziwieniem stwierdzali, że miasto wyraźnie się porusza, Bellis wyczuwała, że wśród mieszkańców Armady narasta zaniepokojenie. Brało się ono przede wszystkim z tego, że niszczukowodzczy Kochankowie, którzy sterowali awankiem, obrali kurs na północ i nie chcieli podać tego przyczyny.

Dotychczasowe dyskusje o tym, dokąd awank zaciągnie Armadę, były bardzo ogólnikowe. Przedstawiciele Niszczukowód kładli nacisk na szybkość i moc awanka oraz na możliwość ucieczki przed sztormami i jałowymi morzami, możliwość podążania za sprzyjającą wysoki plonom pogodą. Stąd też wielu obywateli uznało, że miasto popłynie w jakieś ciepłe rejony, gdzie wśród nadbrzeżnych krajów nie będzie morskich potęg, co oznaczałoby łatwość ich plądrowania. Południowe Kudrik bądź Morze Kodeksowe, coś w tym guście.

Tymczasem miasto od wielu dni parło na północ, nie zwalniając ani nie zbaczając z kursu. Armada z woli Kochanków zmierzała w jakieś kreślone miejsce, lecz nic się na ten temat nie mówiło.

– Niedługo się dowiemy – mówili lojaliści w portowych pubach. – Nie mają przed nami nic do ukrycia.

Ale kiedy dzienniki, czasopisma, uliczni mówcy i polemicy pozbierali wreszcie myśli i publicznie zadali nurtujące wszystkich pytanie odpowiedź wciąż nie padała. Po tygodniu na pierwszej stronie „Flagi” widniały tylko dwa ogromne słowa: DOKĄD PŁYNIEMY?

Nadal nie było odpowiedzi.

Dla niektórych milczenie to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że Armada była supermocarstwem mającym pod swoją kontrolą absolutnie niezwykłą istotę. Cel podróży interesował tych ludzi nie bardziej niż przedtem. Mówili: „Zawsze zostawialiśmy to ludziom, którzy podejmują decyzje”.

Ale wcześniej właściwie trudno było mówić o decyzjach, bez żadnych określonych procedur uzgadniano, że parowce będą holowały miasto z grubsza w takim a takim kierunku, aby po paru latach – jeśli pozwolą na to prądy, pływy i Moment – dotrzeć na sprzyjające wody. Obecnie awank przyniósł ze sobą nowy

rodzaj władzy i niektórzy uświadomili sobie, że wszystko się zmieniło. Teraz trzeba było podejmować prawdziwe decyzje i wzięli to na siebie Kochankowie.

W klimacie niedoinformowania bujnie kwitły plotki: Armada płynie na Martwe Morze Gironelli, gdzie woda stężała w kształcie fal i zamyka w sobie wszelkie życie jak w grobowcu; Armada płynie do Malmstrom, na skraj świata; Armada płynie ku Cacotopic Stain; Armada płynie do krainy duchów, albo do krainy gadających wilków, albo do krainy ludzi z klejnotami zamiast oczu, albo do krainy ludzi z zębami podobnymi do polerowanego węgla, albo do krainy czującego koralu, albo do imperium grzybiczego, a może jeszcze gdzie indziej.

W trzeciej bookdii bieżącej kwarty; Tintinnabulum i jego ekipa opuścili miasto.

Przez większą część dekady „Kastor” tkwił blisko skrajnie dziobowego punktu Niszczukowód, przy granicy z Ałozowicami. Stał pomiędzy „Tolpandy” a pancernikiem przerobionym na kompleks handlowy. Szary korpus statku upstrzyły komercyjne kolory, a wokół jego zdezelowanych dział wykwitły uliczki zabudowane blaszanymi budkami sklepów.

Ludzie zapomnieli, że „Kastor” nie jest elementem stałej zabudowy. Był spięty z otoczeniem pomostami, przykuty łańcuchami, zacumowany linami, przymocowany buforami. Więzy te jeden po drugim odcięto.

W palącym słońcu myśliwi wywijali maczetami i wyrąbywali się z tkanki Armady, aż wreszcie byli swobodnie pływającym obcym ciałem. Aż do otwartego morza uprzątnięto dla „Kastora” przejście między innymi statkami. Pomosty odpięto, cumy pozdejmowano. Trasa prowadziła obok barki „Zły Znak” do Ałozowic, obok „Sprawy Dariocha” z jego tanimi domami i hałaśliwym przemysłem, obok „Z Całego Serca”, okrętu podwodnego od dawna stacjonującego na powierzchni, w którego wnętrzu urządzono teatr, wciśniętego pomiędzy lewoburtową kogę kupiecką a duży statek-rydwan z tak przerobionymi lejcami, żeby można było na nich powiesić kolorowe światełka. Dalej, za otwartym odcinkiem wody i Ogrodem Rzeźb na „Thaladinie” w Ałozowicach, Armada się kończyła.

I zaczynało się morze.

Na szpalerze statków po obu stronach przejścia zaroilo się od ludzi, którzy żegnali „Kastora” wiatami. Gwardziści i strażnicy miejscy z Ałozowic pilnowali, żeby nikt nie tarasował drogi. Morze było spokojne, awank zaś holował miasto jednostajnym tempem.

Kiedy pierwsze zegary zaczęły wybijać południe, włączono silniki „Kastora”, co wywołało burzę entuzjazmu. Ludzie wiatowali i wznosili okrzyki, kiedy liczący trochę ponad trzydzieści metrów statek, zwieńczony absurdalnie wysoką dzwonnica, z pyrkołem ruszył w morze.

Odpięte pomosty, liny, łańcuchy i rozporki wróciły na swoje miejsca. „Kastor” wysliznął się jak drzazga z ciała miasta, które natychmiast się zasklepiło.

W wielu miejscach przejście było niewiele szersze od „Kastora”, który skutkiem tego obijał się o statki, ale linowo-gumowe powijaki amortyzowały zderzenia. Ociążale sunął ku otwartemu morzu. Tłumy krzyczały i machały triumfalnie, jakby myśliwi zostali po wielu latach – puszczeni z więzienia.

Statek w końcu minął „Thaladina” i znalazł się na wodach oceanu. Ponieważ przejście było skierowane na północ, musiał płynąć szybciej od awanka, żeby wynurzyć się z miasta. Potem utrzymał prędkość, ale opłynął Armadę i skręcił na południe. Minął Pamięcioimpulsownię, minął rojne od łodzi wejście do potu Basilio, minął Czasy, aby znaleźć się pośród jednostek, które zdążyły za miastem i krążyły

wokół niego. Statek Tintinnabuluma zrzucił do wody bufory: gumę i nasączone smołą płótno, aby po chwili zniknąć za południowym horyzontem.

Wiele osób obserwowało „Kastora” z Ogrodu Rzeźb. Byli wśród nich Angevine i Szekel, którzy trzymali się za ręce.

– Wykonali swoje zadanie – powiedziała Angevine. Jeszcze nie otrząsnęła się z szoku, jakim była dla niej utrata pracy, ale w jej głosie dało się słyszeć tylko nikłą nutkę żalu. – Zrobili to, do czego ich tutaj sprowadzono. Po co mieliby zostawać? Wiesz, co mi powiedział? – ciągnęła zniecierpliwionym tonem, po którym Szekel poznał, że od dawna chciała to z siebie wyrzucić. – Powiedział, że może i by zostali, ale nie chcą płynąć tam, gdzie zmierzają Kochankowie.

Tanner obserwował odpłynięcie „Kastora” od dołu.

Nie martwiło go, że miasto kieruje się na północ ani że cel podróży jest mu nieznany. Bardzo ucieszyło go, że podniesienie awanka to jeszcze nie koniec projektu niszczukowodzkiego. Nie mógł zrozumieć ludzi, którzy widzieli w tym oszustwo, w których własna niewiedza budziła złość i obawy.

„Przecież to cudowne!” – chciał im powiedzieć. „To jeszcze nie koniec! Mamy coś więcej do zrobienia! Kochankowie jeszcze coś szykują. Możemy osiągnąć jeszcze większe rzeczy! Nie musimy wracać do codziennej szarzyzny!”

Przebywał pod powierzchnią coraz więcej godzin, a nad wodą spędzał czas sam lub z Szeklem, który z upływem dni robił się coraz bardziej zamknięty w sobie.

Tanner zbliżył się do Hedrigalla. Paradoksalnie, Hedrigall był rzecznikiem sprzeciwu wobec północnego kursu miasta i wobec milczenia Kochanków. Tanner wiedział jednak, że jest równie lojalny jak jego bunt wynika z obywatelskiej troski. Hedrigall, inteligentny i rozważny krytyk, nie wyśmiewał lojalności Tannera jako ślepej czy bezrefleksyjnej, rozumiał zaufanie prze-tworzonego do Kochanków i poważnie traktował fakt, że ten ich broni.

– Wiesz, że oni są moimi szefami – powiedział mu kiedyś – i wiesz, że nie mam żadnych ciepłych uczuć do mojej tak zwanej ojczyzny. Pieprzone Dreer Samher głównie dla mnie znaczy. Ale z tym milczeniem przeginają, chłopie. Udało się, wszystko poszło dobrze i powinni nam powiedzieć, jakie mają dalsze plany. Inaczej utracą nasze zaufanie. Utracą mandat społeczny. A do licha zgniłego, stary, to jest wszystko, co mają. Ich jest tylko dwójka, a nas Croom wie ile tysięcy. To nie jest dobre dla Niszczukowód.

Pogląd ten zdeprymował Tannera.

Najlepiej czuł się pod wodą. Podmorskie życie okręgu toczyło się jak dawniej: chmary ryb, Bastard John, odziani w skórę i metal nurkowie zabezpieczeni linami, żwawi ludzie-ryby z Ciepłarni, ludzie-raki, cienie batyskafów podobnych do krępych wielorybów. Filary „Sorgo” ze sterczącymi nogami dźwigarów. Wreszcie Tanner Sack, wykonujący kolejne zlecenia, udzielający kolegom instrukcji i porad, przyjmujący i wydający rozkazy.

A mimo to wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż przedtem. Przez to, że na obrzeżach całej tej banalnej krzątaniny, ujmując w ramy masę kilów i kadłubów niby punkty pentagramu, pięć wielkich łańcuchów schodziło stromo w głąbinę, do znajdującego się wiele kilometrów niżej awanka.

Praca Tannera była teraz trudniejsza. Musiał cały czas pływać, żeby dotrzymać Armadzie tempa. Dla wytchnienia często chwycił się sterczących słupów, obrośniętych skorupą pąkli drzewc, dając się holować. Pod koniec dnia, kiedy wychodził z wody i wracał do swojej kwatery, był wykończony.

Myśli o Nowym Crobuzon coraz częściej mąciły mu spokój. Zadawał sobie pytanie, czy przekazana przez niego wiadomość dotarła do adresata. Miał wielką nadzieję, że tak. Nie wyobrażał sobie, że jego niegdysiejsza ojczyzna miałaby spłonąć w wojennej pożodze.

Upał nie chciał zelżeć. Dzień w dzień ludzie pocili się i osłaniali oczy przed oślepiającym światłem. Jeśli już pojawiły się chmury, były nabrzmiate, burzowe i elektryczne.

Kochankowie, anophelius Aum, Uther Doul i reszta kliki schroniła pod pokład „Wielkiego Wschodniego”, aby pracować nad nowym, tajnym projektem. Naukowcy, którzy zostali od niego odsunięci, błakali się niepocieszeni i pełni pretensji.

Bellis również podziękowano za jej usługi. W godzinach pracy, braku innych znajomych, zaczęła znowu spotykać się z Johannesem. On również trafił poza nawias. Awank został schwytany i jego rola się skończyła.

Tearfly nadal traktował Bellis nieufnie. Spacerowali rozkołysanymi ulicami Armady, przysiadając przy kawiarnianych stolikach na chodniku lub zachodząc do małych parków, gdzie bawiły się wokół nich pirackie dzieci. Oboje nadal otrzymywali wynagrodzenie, które starczało na wygodne życie, ale dni były puste i dłużyły się niemilosiernie. Ciężko też nad nimi pasmo kolejnych identycznych dni. Johannes był zły. Czuł się porzucony.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zaczął regularnie wspominać o Nowym Crobuzon.

– Jaki jest miesiąc w kraju? – pytał.

– Swiven – odparła machinalnie Bellis, po czym skarciła się za to, że nie upozorowała namysłu.

– W Nowym Crobuzon zima się skończyła. – Skinął głową ku zachodowi. – Nadeszła wiosna.

Wiosna. „A mnie ukradziono zimę” – pomyślała Bellis. Przypomniała sobie rzeczną wyprawę do Zatoki Żelaznej.

– Jak myślisz, wiedzą już, że nie dotarliśmy na miejsce? – spytał.

Nova Esperium na pewno wie. A przynajmniej uznali, że mamy poważne opóźnienie. Zaczekają na następny statek z Nowego Crobuzon, który przyplynie za jakieś pół roku, dopiero wtedy prześlą wiadomość, że nas nie ma. Czyli w Nowym Crobuzon jeszcze długo się nie dowiedzą.

Siedzieli i pili ciekawą kawę uprawianą na Armadzie.

– Ciekawe, co się tam dzieje – powiedział w końcu Johannes.

Nie odzywali się wiele do siebie, lecz powietrze było nabrzmiate tym milczeniem.

„Sprawy nabierają tempa” – powiedziała sobie Bellis, nie do końca rozumiejąc tę myśl. Odnosiła wrażenie, że wspomina Nowe Crobuzon inaczej niż Johannes: kiedy je sobie wyobrażała, było jakby zakonserwowane w szkłe, zupełnie nieruchome. W tym momencie nie myślała o swoim rodzinnym mieście, może ze strachu.

Była prawie sama z wiedzą o wydarzeniach, do których nie doszło o wojnach nad brzegami Smoty i Canker, którym zapobiegli. Nie przestawała budzić w niej zdumienia myśl, że to między innymi dzięki niej miasto zostało uratowane. A może nie zostało?

„Niepewność – pomyślała – cisza, możliwość, że to się stało albo nawet dzieje się teraz... Powinnam być zdruzgotana”. Ale nie była. Miała raczej poczucie, że znajduje się w stanie oczekiwania.

Ten wieczór spędziła z Utherem Doulem.

Mniej więcej co trzy dni szli napić się czegoś albo spacerowali razem po mieście, albo spotykali się u niego, a rzadziej u niej.

Nigdy jej nie dotknął. Jego małomówność męczyła Bellis. Czasami nie odzywał się przez wiele minut, aby przystąpić do opowiadania jakiejś mitologicznie brzmiącej historii w odpowiedzi na jakąś uwagę lub pytanie. Jego cudowny głos władał wtedy jej duszą i zapominała o frustracji – aż do końca opowieści.

Uther Doul najwyraźniej czerpał jakiś pożytek z tych spotkań, ale nie miała pewności jaki. Już się go nie bała, mimo noszonych w sobie tajemnic. Na przekór jego śmiertcionośnym umiejętnościom, biegłości w hermetycznych dziedzinach teologii i nauki, widziała w nim człowieka jeszcze bardziej zagubionego i dezorientowanego niż ona, wyobcowanego społecznie, niepewnego reguł i obyczajów współzycia, schowanego za parawanem zimnej samokontroli. Dzięki temu czuła się przy nim bezpiecznie.

Coś ją w nim przyciągało jak magnes. Pragnęła go: dla jego siły i ponurej samokontroli, jego pięknego głosu. Dla jego chłodnej inteligencji. Dla oczywistego faktu, że ją lubił. Dla poczucia, że gdyby doszło między nimi do zbliżenia, to ona byłaby panem sytuacji, nie tylko ze względu na przewagę wieku. Nie kokietowała go, lecz produkowała dostatecznie dużo erotycznej energii, którą musiał przecież odbierać.

Ale nigdy jej nie dotknął. Bardzo ją to deprymowało.

Nie mogła się w tym wszystkim połapać. Jego zachowanie czytelnie sugerowało tłumione, niewprawne pożądanie, ale jednocześnie coś innego. Jego zachowanie było jak związek chemiczny, którego składniki bez trudu rozpoznawała, poza jednym tajemniczym pierwiastkiem, który zasadniczo zmieniał jednak charakterystykę całości. Kiedy spływała na nią żądza lub samotność za bardzo jej doskwierała, kiedy w innych okolicznościach zabrałaby się do rzeczy, cofała się, powstrzymywana jego sekretem. Nie miała pewności, czy jej awanse zostałyby odwzajemnione, a nie chciała narażać się na odrzucenie.

Jej erotyczne apetyty stały się dla niej dokuczliwe – a do pociągu fizycznego doszło pragnienie wyjaśnienia sprawy. „O co jemu chodzi?” – pytała się w duchu raz po raz.

Od wielu dni nie miała żadnych wiadomości od Silasa Fenneca.

Palce jego nóg dotykają zimnej baryłki o średnicy trzydziestu centymetrów, sterczącej z leciwej kanonierki, jego oczy patrzą z wysokości większej niż główny maszt „Wielkiego Wschodniego”, mężczyzna stoi bez ruchu i umykanie fal obok statków wywołuje w nim wrażenie, że spada.

Z każdym mijającym dniem jest coraz silniejszy. Mocarniejszy, z większą kontrolą i samokontrolą, dokładniejszy w swoich machinacjach.

Jego pocałunki stają się bardziej lubieżne.

Mężczyzna trzyma w ręku posążek i koniuszkami palców pięści płał tkanki płurowej. W ustach wciąż czuje smak krwi i soli po ostatnim pocałunku z języczkiem.

Porusza się po mieście niemożliwymi drogami, które sprezentował mu posążek. Przestrzeń i siły fizyczne rozprzegają się, kiedy usta i język świerzbią go od zimnego, słonego nacisku kamienia. Mężczyzna stawia krok naprzód i pokonuje rów między statkami, niewidoczny, po czyn znowu stawia krok naprzód i chowa się w cieniu buta gwardzisty, tutaj, tam, znowu tutaj. Wędruje po mieście śladami pogłosek i informacji, które puścił w obieg. Obserwuje, jak skutki jego działań rozchodzą się niby antybiotyki

po organizmie chorego. Wszystko, co mężczyzna mówi, jest prawdą. Poczucie sprzeciwu, rozsiewa wraz z szeptami i bibułą, jest właściwą reakcją.

Mężczyzna wślizguje się pod wodę. Morze otwiera się przed nim i mężczyzna zmierza w dół obok potężnych ogniw łańcucha, w stronę niewyobrażalnego zwierzęcia pociągowego, które rozprostowuje kończyny w morskiej toni. Kiedy mężczyzna potrzebuje wziąć oddech przyciska do ust posążek, tę zgarbioną groteskę jarzącą się w nocnym morzu nikłym biotycznym światłem, z szeroko otwartym, kpiącym, czarnym jak smoła okiem, przyciska posążek do ust, całuje go głęboko i dotyk trzepoczącego językotworu budzi w nim obrzydzenie, które do tej pory nie udało mu się zwalczyć.

I posążek wdmuchuje w niego powietrze.

Albo znowu zakrzywia przestrzeń i mimo sporej głębokości pozwala mężczyźnie wystawić usta nad powierzchnię wody i napełnić płuca.

Mężczyzna przemieszcza się w wodzie bez ruchu kończynami, porusza się tylko filigran niegdyś żywej płetwy posążka, jakby to ona byk źródłem napędu. Mężczyzna schodzi w dół pośród ogniw pięciu łańcuchów, aż w końcu ciemności, chłód i cisza budzą w nich strach, mimo że jest silny i włada potężnymi mocami, dlatego wraca na powierzchnię, aby krążyć po tajnych przegródkach miasta.

Wszystkie okręgi są dla niego dostępne. Z łatwością i bez wahania wchodzi na wszystkie okręty flagowe, poza jednym. Odwiedza okręty „Wielki Wschodni”, „Człekoźwierz” w Ałozowicach, „Złocień Solny” w okręgu Tobietwój i wszystkie inne - z wyjątkiem „Uroca”.

Boi się Brucolaca. Mimo że naładowany pocałunkiem posążka, nie zaryzykuje spotkania z wampirem. Statek księżycowy to dla niego strefa zakazana – przyrzekł to sobie i na razie dotrzymuje słowa.

Mężczyzna ćwiczy także inne umiejętności, których nauczył go posążek. Umiejętności wykraczające poza podróżowanie i infiltrację.

To prawda, co mówią o nawiedzanej dzielnicy: jest zamieszкана. Ale te istoty na starych statkach wiedzą, z kim mają do czynienia, i mężczyzna nie przejmuje się nimi.

Posążek go chroni. Zapewnia mu bezpieczeństwo. Mężczyzna czuje się jak jego kochanek.

Rozdział trzydziesty czwarty

Skradziona platforma „Sorgo” wierci od wielu tygodni, dzięki czemu Niszczukowody dysponują teraz ogromnymi zapasami ropy naftowej i skalnego mleka. Ale Armada jest głodna, konsumuje paliwo niemal tak żarłocznie jak Nowe Crobuzon. Przed nastaniem „Sorgo” statki Armady musiały oszczędnie gospodarować skradzionymi zasobami. Teraz, przy zwiększonej podaży, zwiększył się również popyt. Nawet jednostki podlegające Pragnieniowicom i Ciepłarni otrzymują ropę naftową dostarczaną przez Niszczukowody.

Skalne mleko było zdecydowanie cenniejszym i rzadszym surowcem. W strzeżonych kajutach „Wielkiego Wschodniego” ten ciężki płyn chlupotał w rzędach ampuł. Pomieszczenia zabezpieczono i uziemiono za pomocą precyzyjnych operacji taumatycznych, aby rozproszyć jakiegokolwiek niebezpieczne emanacje. Na skalnym mleku chodziła maszyna, która wysyłała kojące impulsy do mózgu awanka, toteż obsługujący ją taumaturgowie i technicy starannie kontrolowali zapasy paliwa. Dokładnie wiedzieli, ile go potrzebują.

Tanner, Szekel i Angevine zobaczyli, że w powietrzu nad zimną wieżą wiertniczą „Sorgo” nie ma wyziewów.

Siedzieli razem w namiocie piwnym na „Doberze”, pod rozpiętym na tykach brezentem. „Dober” nie utrzymałby ciężaru solidniejszych budynków. Było to ciało płetwala błękitnego, wypatroszone, z usuniętą górną połową, zakonserwowane przy użyciu jakiejś dawno zapomnianej techniki. Podłoga była całkiem twarda i wytrzymała, mimo swojej nieprzyjemnej organiczności: resztki naczyń krwionośnych i trzewi lśniły pod stopami twardo jak szkło.

Tanner i Szekel należeli do częstych bywalców „Dobera”. Lubili napić się piwa w pubie pod namiotem. Siedzieli twarzami do usztywnionego ogona wieloryba, który sterczał z wody, jakby zwierzę zamierzało trzepnąć nim o powierzchnię i odpłynąć na wolność. Platforma znajdowała się dokładnie na ich linii wzroku, ujęta w ramy zaostzonych krawędzi wielorybiego ogona. Ogromny, brzydki twór, który kołysał się cicho.

Angevine milczała. Szekel był troskliwy, dolewał jej piwa i mówił do niej z cicha. Wciąż była w lekkim szoku. Wyjazd Tintinnabulum oznaczał w jej życiu rewolucję i nie zdążyła się jeszcze przystosować.

Tanner nie miał wątpliwości, że Angevine wygrzebie się z tego. Nie miał do niej pretensji o kilka dni oszołomienia. Liczył tylko na to, że z Szeklem jest wszystko w porządku. Cieszył się, że chłopak spędza z nim trochę czasu.

„Co ja pocznę?” – dumiała Angevine. Co rusz łapała się na myśli że pójdzie sprawdzić, czy Tinnabol nie chce czegoś od niej, po czym przypominała sobie, że go nie ma. Nie żeby za nim tęskniła. Traktował ją uprzejmie i miło, ale nie łączyła ich zażyłość. Tintinnabulum był jej szefem i wydawał jej polecenia, które ona posłusznie wykonywała.

Ale nawet takie ujęcie sprawy trochę rozmijało się z prawdą. Jej szefem nie był Tintinnabulum, lecz Niszczukowody – Kochankowie. To one płaciły jej pensję, to one zatrudniły ją – kilka dni po jej przybyciu – do pracy u tego dziwnego, muskularnego, siwowłosego myśliwego. A że zsiadła ze statku, który wiozł ją do niewoli, z miasta, które prze-tworzyło ją i tym samym pozbawiło uprawnień przysługujących innym obywatelom, z miasta, w którym pracowała przymusowo – kiedy dowiedziała się, że jak każdy inny obywatel będzie otrzymywała wynagrodzenie, osłupiała. Armada zaskarbiła sobie tym jej lojalność.

A teraz Tintinnabulum odpłynął i Angevine nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Czerpała dumę ze swej pracy i trudno jej było przestawić się na podejście typu „wszystko jedno, co będę robiła, byle mi płacili”. Osiem lat jej życia pożeglowało w siną dal wraz z Tintinnabulumem i jego myśliwymi.

„To była robota jak każda inna” – mówiła sobie. „Ludzie zmieniają pracę. Czas ruszyć dalej ze swoim życiem”.

– Dokąd płyniemy? – spytała Bellis Uthera Doula. W końcu skapitulowała i zadała mu to pytanie.

Tak jak się spodziewała, nie odpowiedział jej. Podniósł głowę, a po chwili opuścił ją bez słowa.

Byli w parku Crooma, pośród wieczornych ciemności poplamionych kolorami i przesyconych silnym zapachem kwiatów. Gdzieś w pobliżu rodzimego chowu słowik rozpoczął swoją słabnącą co chwilę pieśń.

„Chcę wiedzieć, Doul” – miała ochotę powiedzieć Bellis. „Obskoczyły mnie upiory i chcę wiedzieć, czy tam, gdzie płyniemy, przepędzą je wiatry. Chcę wiedzieć, w którą stronę potoczy się moje życie. Dokąd płyniemy?”

Nic z tego nie powiedziała, tylko szli dalej w milczeniu.

Widoczna w świetle księżyca ścieżka była nierówna, ukształtowana bardziej przez kroki niż zamysł. Wiła się do góry po stromym, porośniętym krzewami i drzewami zboczu, upstrzonym relikami małej architektury – poręczami i schodniami, których kształty majaczyły pod powierzchnią ogrodu niby złudzenia optyczne.

Weszli po stoku na ocieniony drzewami płaskowyż, który kiedyś był pokładem rufówki. Rozciągał się stamtąd widok na statki Bud, oświetlone tradycyjnymi zielono-białymi latarniami. Bellis i Uther Doul stali w ciemnościach pod drzewami.

– Dokąd płyniemy? – powtórzyła Bellis i znowu przez długi czas słychać było jedynie nautyczne odgłosy miasta. – Opowiadał mi pan kiedyś – podjęła z wahaniem – o swoim życiu w Cromlech. Do momentu wyjazdu. Co było dalej? Dokąd pan pojechał? Co pan robił? – Doul pokręcił głową, jakby bezradnie. Bellis pokazała na broń u jego pasa. – Skąd pan wziął ten miecz? Co oznacza jego nazwa?

Wyjął biały jak kość miecz. Trzymał go na płask i przyglądał się mu, a potem skierował wzrok na Bellis i skinął głową z zadowoloną miną.

– Miecz Możliwości: w dużej mierze dzięki niemu tak bardzo mi ufają i tak bardzo się mnie boją. – Wykonał w powietrzu precyzyjne zaokrąglone cięcie. – Jak go zdobyłem? Po długich poszukiwaniach i nader żmudnych badaniach. W Imperialnym Kanonie można znaleźć wszystkie potrzebne informacje, trzeba tylko umieć go czytać. Sporo się napracowałem. I nauczyłem się przy okazji wielu technik... Widmowcy rozłupali świat, kiedy tutaj przybyli. Siłą swojego łądowania stworzyli Pękniętą Ziemię i było to coś więcej niż tylko fizyczne szkody. Wykorzystali to pęknięcie. Słyszała pani refren, w którym Widmowcy „wykopywali okazje spod ziemi”? Zazwyczaj interpretuje się to wyrażenie w ten sposób, że mieli niesamowite szczęście, że chwyтали każdą pomyślną okoliczność, jaka się nadarzyła. – Uśmiechną się powoli. – Sądzi pani, że to by wystarczyło do zapanowania nad kontynentem? Nad światem? Do przejęcia na pięćset lat władzy absolutnej? Sądzi pani, że osiągnęliby to samym czyhaniem na okazje? Chodziło o coś znacznie istotniejszego. „Kopanie za okazjami” to niezbyt zgrabne ujęcie tego, co naprawdę robili Widmowcy. Była to bez porównania ściślejsza nauka. Zwana kopalnictwem możliwości. – Uther zacytował coś śpiewnie: – „Podziurawiliśmy ten delikatny świat szybami wydobywczymi, potwornie go okaleczyliśmy, rozbiliśmy go, odcisnęliśmy nasze piętno na tej odległej krainie, ciągnącej się tysiące kilometrów, aż po morze. To, co rozbiliśmy, możemy przekształcić, a to, co się nie powiodło, wciąż może się udać. Znaleźliśmy bogate złoża okazji i wykopiemy je...” To nie były metafory. To nie była liryczna pieśń triumfalna. Naprawdę podziurawili, naprawdę rozbili świat. Wyzwalając tym samym siły, które potrafili eksploatować. Siły, które pozwalały im przekształcać rzeczywistość, które pozwalały im jednocześnie przegrywać i wygrywać – bo wykopywali spod ziemi możliwości. Tego rodzaju kataklizm daje dostęp do bogatych pokładów możliwości. Widmowcy umieli docierać do różnych „co by było, gdyby” i wydobywać najlepsze z nich, a potem używać do kształtowania świata. Każde działanie może przynieść nieskończenie wiele rezultatów. Niezliczone tryliony zdarzeń są teoretycznie możliwe, wiele miliardów mieści się w granicach prawdopodobieństwa, miliony należy uznać za wysoce prawdopodobne, kilka wydaje się możliwych nam jako obserwatorom – a jedna możliwość zostaje zrealizowana. Tymczasem oni umieli wykorzystywać niektóre z niezrealizowanych możliwości. Tchnąć w nie pewien rodzaj życia. Użyć ich, wepchnąć w rzeczywistość, która przybrała taki, a nie inny kształt właśnie dlatego, że możliwości te nie doszły do skutku. Rezultaty działań, które zatrzymały się tuż przed granicą tego, co rzeczywiste, wrzucano do maszyn możliwości, wzmacniano i realizowano... Gdybym

rzucił monetą, upadłaby jedną albo drugą ze stron do góry, a z bardzo niewielkim prawdopodobieństwem stanęłaby na sztorc. Gdybym jednak włączył ją w obieg możliwości, zamieniłbym ją w coś, co Widmowcy nazwaliby monetą możliwych upadnięć – Monetą Możliwości. A wtedy po jej rzuceniu sprawy mają się inaczej. Moneta faktyczna upadnie do góry reszką lub orłem, z rzadka stanie pionowo. Otacza ją wianuszek „prawie-monet”, realnych możliwości, które zostały urzeczywistnione. Cechuje je różny stopień solidności i trwałości, zależnie od ich dawnego stopnia prawdopodobieństwa. Przypominają upiory. Mieszczą się w przedziale od równie silnych jak faktyczne zdarzenia do ledwo istniejących. Leżą tam, gdzie by upadły, orły, reszki, całkiem sporo sztorców. Możliwości, do których się dokopano i wydobyto je na wierzch. Słabnące na skutek wygasania pola możliwości. A to jest miecz potencjalnych uderzeń. – Znowu pokazał na swoją broń; widział, że Bellis zaczyna rozumieć. Miecz Możliwości. Jest przewodnikiem bardzo rzadkiego rodzaju energii. Jest węzłem w obwodzie, maszyną możliwości. – To... – poklepał niewielką paczuszkę przypiętą do pasa -...jest moc, nakręcany silnik. Tędy... – pokazał na wszyte w zbroję druty -...moc idzie do góry. Miecz zamyka obwód. Kiedy wezmę go do ręki, maszyna jest skompletowana. Kiedy silnik jest nakręcony, moje ramię i miecz wydobywają możliwości. Na każdy faktyczny atak przypada tysiąc możliwości, upiorów miecza bądź prawie-mieczu, które uderzają w jednym momencie. – Doul schował miecz do pochwy i spojrzał na czarny jak smoła baldachim drzew. – Cięcia najbardziej prawdopodobnych mieczy niemal dorównują siłą rzeczywistym. Niektóre miecze są zwieźniejsze od mirażu i mają nikłą siłę rażenia. Niezliczone prawie-miecze, o różnym stopniu prawdopodobieństwa, jednocześnie spadają na wroga. Nie ma takiej sztuki walki, której bym nie studiował. Biegłe posługuję się większością rodzajów broni, które napotkałem, umiem też walczyć wręcz. Ale większość ludzi nie wie jednej rzeczy: opanowałem dwie techniki posługiwania się tym mieczem. Ten silnik już w dużym stopniu się wytykał. I nie można go zwyczajnie nakręcić, to nie takie proste. Muszę więc oszczędnie gospodarować czasem pracy silnika, który mi pozostał. Podczas walki rzadko uruchamiam Miecz Możliwości. Posługuję się nim przede wszystkim jako bronią czysto faktyczną: twardym jak diament brzeszczotem z ostrzami cieńszymi niż szlifowany metal. I władam nim precyzyjnie. Każdy mój cios łąduje dokładnie tam gdzie chcę. Ćwiczyłem tę umiejętność przez wiele lat. – Bellis nie dosłuchała się w jego głosie nawet nutki samochwalstwa. – Ale kiedy sytuacja jest trudna, kiedy przeciwnik ma dużą przewagę liczebną, kiedy potrzebny jest popisowy występ albo kiedy znajduję się w niebezpieczeństwie, wtedy na kilka sekund włączam silnik. Oczywiście nie ma wtedy mowy o precyzji. – Umilkł. Podmuch ciepłego wiatru potrząsnął drzewami, co zabrzmiało tak, jakby jego słowa przejęły je dreszczem. – Fehmistrz wie, gdzie musi trafić ostrze. Wykorzystując swoje umiejętności do ostatnich granic, mierzy w szyję. Zawęża pole możliwości. Gdyby użył Miecza Możliwości, gros prawie-mieczu zaistniałoby w promieniu centymetra, dwóch centymetrów od faktycznego uderzenia. I tu rodzi się paradoks: im lepszy fehmistrz im precyzyjniejsze uderzenie, im bardziej zawężona możliwość, tym bardziej marnuje się Miecz Możliwości. Z drugiej strony gdyby włożyć taką broń w ręce amatora, byłaby dla niego równie wielkim zagrożeniem jak dla przeciwnika; objawiłyby się również takie możliwości jak cios samobójczy, utrata równowagi, upuszczenie miecza i tak dalej. Należy wybrać drogę pośrednią... Kiedy atakuję bronią faktyczną, jestem jak kat. Szpic trafia dokładnie tam, gdzie mu każę, co do milimetra. Tak nauczyłem się walczyć. Byłoby idiotycznym marnotrawstwem mocy używać w ten sposób Miecza Możliwości. Kiedy go wreszcie znalazłem po bardzo długich

poszukiwaniach, musiałem zatem od nowa nauczyć się fechtunku. Zupełnie inny gatunek sztuki walki: biegłość bez precyzji. Walcząc Mieczem Możliwości, nie wolno zawęzać potencjalnego pola ataku. Trzeba reagować na bieżąco, a nie planować z góry, walczyć sercem, nie rozumem. Wykonywać nagłe ruchy, zaskakując nie tylko przeciwnika, ale i siebie samego. Nagłe, niepewne i zmienne. Chodzi o to, żeby każdy cios mógł być tysiącem innych ciosów, a każdy z prawie-mieczów był silny. Tak należy walczyć Mieczem Możliwości. Słowem, mieszka we mnie dwóch mieczowych.

– Kiedy jego cudowny głos ucichł, w świadomości Bellis ponownie pojawiło się parkowe otoczenie, ciepłe ciemności i odgłosy gniazdujących ptaków. – Wiem wszystko, co można wiedzieć na temat kopalnictwa możliwości – stwierdził Uther Doul. – Dlatego wiedziałem o mieczu.

Uther Doul uruchomił w umyśle Bellis pewne wspomnienia. W Nowym Crobuzon, kiedy jej kochankiem był naukowiec Isaac, Bellis obserwowała jego obsesje i dowiedziała się pewnych rzeczy.

Isaac miał rozwichrzone i heretyckie usposobienie. Z wielu jego projektów nic nie wyszło. Patrzyła, jak jej kochanek goni za pomysłami. Przez te miesiące, które spędzili razem, z największą uporczywością prowadził badania nad – jak to nazywał – energią kryzysową. Za koncepcją tą krył się niezwykle skomplikowany aparat pojęciowy z dziedziny fizyki teoretycznej, wspomagany taumatycznie. Z gorączkowych wywodów Isaaca Bellis zapamiętała przede wszystkim jedno: faktyczność świata podszyta jest niestabilnością, kryzys popycha trawione wewnętrznymi napięciami rzeczy do zmiany.

Idea ta współgrała z jej własnymi intuicjami. Poczucie, że rzeczy, nawet kiedy trwają niezmiennie, zawsze znajdują się w kryzysie, zawsze są popychane ku przeobrażeniu się we własne przeciwieństwo, napawało Bellis jakąś niewytłumaczalną otuchą.

W zjawisku kopalnictwa możliwości, które właśnie opisał jej Uther Doul, Bellis dostrzegła radykalne zakwestionowanie teorii kryzysu. Skoro to, co jest, i to, co nie jest, może ze sobą współistnieć, to napięcie – kryzys leżący u sedna rzeczywistości – nie występuje. Skoro to, co jest, siedzi sobie spokojnie obok tego, co nie jest, to nie można mówić o energii przemiany jednego w drugie.

Doul przedstawił jej wizję jakiejś mglistej, pluralistycznej rzeczywistości. Koncepcja ta wzbudziła w Bellis zdecydowaną niechęć. Odezwał się w niej nawet jakiś dziwny osad lojalności wobec Isaaca, każąc jej stanowczo odrzucić nową teorię.

– Kiedy tutaj przyjechałem – ciągnął Doul – byłem bardzo zmęczony. Zmęczony koniecznością podejmowania decyzji. Chciałem być lojalny. Chciałem dostawać pensję. Dowiedziałem się wszystkiego czego chciałem się dowiedzieć, znalazłem wszystko, czego szukałem. Miałem miecz, miałem wiedzę, widziałem kawał świata. Chciałem odpocząć. Być płatnym siepaczem, być najemnikiem. Ale kiedy kochankowie zobaczyli miecz i książki, które ze sobą przywiozłem, byli zafascynowani... Zwłaszcza Kochanka... Byli zafascynowani tym co mogłem im powiedzieć. Czego się nauczyłem. W kilku miejscach Bas-Lag wciąż funkcjonują maszyny możliwości. Różnych typów do różnych zadań. Poznałem działanie ich wszystkich. Zresztą, jedną z nich pani widziała: byćmożnik, instrument muzyczny w moim pokoju. Przy jego użyciu wygrywało się możliwości. W eterze bogatym potencjalność wirtuoz potrafiłby wgrać pewne fakty i prawie-fakty do istnienia – wybrać pewne rezultaty. Oczywiście teraz byćmożnik jest zupełnie bezużyteczny: po pierwsze jest stary i zepsuty, po drugie nie znajdujemy się w rozpadlinie

możliwości... A ten miecz... widać tylko jeden jego aspekt. Wojownik, który go używał przed mileniami i zabici nim ludzie rozpoznaliby go. Kiedy rządili Widmowcy wykorzystywali potencjalność w architekturze, medycynie, polityce, sztukach scenicznych i wielu innych dziedzinach życia. Pisali potencjalne sonaty, gdzie nuty-upiory krążyły rozedrgane na pograniczu rzeczywistości i nierzeczywistości, wokół faktycznej partytury. Przy każdym wykonaniu utwór realizował się inaczej. Zwiedzałem ruiny Możliwej Wieży... – Pokręcił powoli głową. – Takiego widoku się nie zapomina. Wykorzystywali potencjalność w sztukach walki, w sporcie i na wojnie. W Covertiana można znaleźć opis potyczki między możliwymi zapaśnikami. Mnogość kończyn na ułamek chwili wyłania się z nieistnienia, raz po raz prawie-łapiąc przeciwnika. Ale kopalnictwo okazji było możliwe tylko dzięki detonacji wywołanej przez przybycie Widmowców. Pokłady możliwości eksploatowano przez rozpadlinę, którą oni zostawili. Rana... – tu zerknął w stronę Bellis – blizna zostawiona przez Widmowców, tam kryją się złoża tej potencjalności. Jeśli wierzyć krążącym na ten temat historiom, znajduje się ona po drugiej stronie świata, na końcu Pustego Oceanu. Morza, którego nie przebył żaden statek w dziejach. Tamtejsze wody... wojują z okrętami. Zresztą, kto chciałby tam płynąć? Jeśli Pusty Ocean istnieje, leży tysiące kilometrów stąd. A legendy na temat Pękniętej Ziemi nie nastrajają optymistycznie: straszne istoty, makabryczna ekologia. Światłogryzb. Zgrozopsy. Motyle o niezdrowych apetytach. Nawet gdyby to było wykonalne – powiedział ze szczerym przekonaniem – nie chciałbym próbować dotrzeć do Pękniętej Ziemi.

Utkwił wzrok w Bellis i za przepięknymi modulacjami jego głosu wyczuła jakieś rozdygotane uczucie.

„To jest bardzo ważne” – upomniała samą siebie. „Słuchaj go i próbuj zrozumieć. Nie wiem dlaczego, ale on chce mi coś powiedzieć, on mi...” A potem... „O bogowie w niebiesiech, czy to możliwe, żebym ja, chyba, czy to możliwe, że on, no nie, ja chyba, ja chyba musiałam źle go zrozumieć! Czy to chce mi przekazać?” Jej rysy zastygły i uzmysłowiła sobie, że wpatruje się w Doula, a Doula w nią, oboje milczący. „No nie – pomyślała oszołomiona – jaki statek zdołałby przebyć Pusty Ocean i dotrzeć do Pękniętej Ziemi? Kto chciałby tam płynąć? Gra niewarta świeczki. Pęknięta Ziemia leży zbyt daleko i jest zbyt niebezpieczna nawet dla Armady. Nawet dla Armady. Ale jak on to mówił, jak to szło...?»Podziurawiliśmy ten świat, okaleczyliśmy go, odcisnęliśmy nasze piętno na tej odległej krainie... ciągnącej się tysiące kilometrów, aż po morze»”.

W morzu coś jest. Tam nic nie robi nam krzywdy, inaczej niż na lądzie. Nie ma tam potworów, światłogryzba ani motyli, które zagrażałyby górnikowi potencjalności. I miejsce to znajduje się znacznie bliżej - Pęknięta Ziemia leży na samym końcu świata, ale legendy Widmowców mówią, że morska blizna ciągnie się na tysiące kilometrów. W stronę centrum świata. W naszą stronę. Bliżej.

Żaden statek nigdy nie przekroczył Pustego Oceanu... Wierzę w to. Znam historie o prądach i wiatrach odpychających intruzów. Żaden statek nie przebyłby tego oceanu.

Ale co mogłoby powstrzymać awanka?

Dlaczego on mi o tym mówi?

Uther, czy właśnie tam płyniemy? Przez Pusty Ocean, ku pozostałościom tej rany, tego pęknięcia? Nie tylko ląd został rozpruty - morze również. Czy tam

*płyniemy? Eksploatować możliwości w resztkach wielkiego kosmicznego rozdarcia?
O tym mówił Brucolac, prawda?*

*Dlaczego mi o tym mówisz? Czym sobie na to zasłużyłam? Co ty zamierzasz?
Dlaczego chcesz, żebym wiedziała?*

Awank zabierze nas na Pusty Ocean, żebyśmy mogli sprawdzić, co się stało z raną. Po to go przywołano. Po to zatrudniono Tinnabuluma. Po to skradziono paliwodajne „Sorgo”. Po to poleciliśmy na wyspę i sprowadziliśmy Auma. A ty, Uther, uczestniczysz w tym tajnym projekcie ze względu na swój miecz, ze względu na swoją wiedzę fachową z dziedziny górnictwa możliwości. Wszystkie tropy prowadzą w tym kierunku. Po to przywołano awanka. Może przebyć akwen, z którym Armada bez niego by się nie uporała.

Może pokonać ten ocean.

Może zawieźć nas do Blizny.

Rozdział trzydziesty piąty

– Jakżeś mnie, kurwa, znalazła?

Silas Fennec był wyraźnie wzburzony.

– Czy to wymaga jakichś nadprzyrodzonych zdolności? – szepnęła Bellis. – Co ty jesteś, niewidzialny? Masz mnie za kompletną sierotę?

Blefowała. Wytropienie Fenneca należało złożyć głównie na karb szczęścia. Przez wiele dni nastawiała ucha, czekając na wiadomość o Simonie Fenchu. Od czasu rozmowy z Doulem zdwoiła wysiłki.

Oczekiwaną informację dosyć niespodziewanie uzyskała od Carrienne. W odpowiedzi na ponawianą przez Bellis prośbę o pomoc przyjaciółka powiedziała jej, z typową dla siebie kpiarską życzliwością, że słyszała, iż tajemniczego pana Fenchu widziano w „Pashakanie”. Był to pub zlokalizowany pod pokładem „Jewgienija”, trzydziestometrowego słupa w okręgu Tobietwój.

Od czasu wizyty w cyrku gladiatorów Bellis rzadko wyprawiała się do okręgu króla Friedricha. Ku jego zgiełkliwym uliczkom szła teraz ze skrywanym drżeniem serca.

Po drodze przemierzyła ulice „Nagłego Olśnienia”, wielomasztowego klipra w Porcie Jeżowca, oddzielającym od siebie Pragnieniowice i Tobietwój. Ten olbrzym należał do nielicznych statków na Armadzie, nad którymi nie miał formalnej kontroli żaden konkretny władca. Większość kadłuba leżała na terenie Pragnieniowic, ale w stronę przedniego kasztelu odpowiedzialność i władza stopniowo przechodziły na okrąg Tobietwój. Uliczki robiły się coraz bardziej hałaśliwe i zaśmiecone.

Bellis brnęła przez śmieci i zgiełk zdziczałych małych kłócących się kotami i psami, aby znaleźć się na ulicach bezdyskusyjnie należących do okręgu Tobietwój. Był to najbardziej zaniedbany okrąg Armady. Drewniane w przeważającej części budynki butwiały albo straszyły solnymi zaciekami po morskiej wodzie. Dzielnica wcale nie zaliczała się do najbiedniejszych było tam mnóstwo bogactwa: złota, srebra i dżetu widocznego w oknach niektórych domów, wzorzystych jedwabów i satyny strojów niektórych mieszkańców, w jakości dostępnych towarów. Ale tam, gdzie wszystko było na sprzedaż, niektóre towary – takie jak prawo do dbania o architekturę i ulice – nie były w cenie.

Slumsy, fabryki i kiczowaty zbytek kołysały się statecznie obok siebie. W końcu Bellis minęła „Salt Godling”, okręt flagowy Friedricha, żeby zstąpić w skrzypiące, woniejące, słabo oświetlone trzewia „Jewgienija”.

Przy trzeciej wizycie w „Pashkanie” zastała tam Silasa. Opryskliwe zaskoczenie, które okazał na jej widok, rozgniewało ją.

– Może zechcesz posłuchać, co mam ci do powiedzenia? – syknęła. – Wiem, dokąd płniemy. – Spojrzał na nią ostro. Bellis zaśmiała się niesympatycznie. – Masz poczucie déjà vu, Silasie? Bo ja tak. Zrozum, że nie jestem zachwycona takim układem. Z niepokojącą regularnością robię to samo: mówię ci, że znam jakąś tajemnicę, proszę cię, żebyś przekazał ją dalej, coś z nią zrobił, zaplanował jakieś działania. Nie sprawia mi to satysfakcji. To jest ostatni raz, do jasnej cholery, rozumiesz? – Mówiła to absolutnie szczerze. Choćby nie wiadomo co, nie zamierzała zadawać się z Silasem Fennekiem na takiej stopie. Teraz już nic ich ze sobą nie łączyło, a nawet mniej niż nic.

– Ale teraz nie mam innego wyboru – ciągnęła. – Potrzebuję twojej pomocy. Jedyne sposoby, żeby coś z tym zrobić, to rozpuścić wici, żeby więcej ludzi się dowiedziało. A chociaż nikt nie słucha, co ma do powiedzenia Bellis Coldwine, wydaje się, że coraz liczniejsza część społeczności jest gotowa wysłuchać wicherzyciela Simona Fencha.

– Dokąd płniemy, Bellis? – spytał Fennec.
Powiedziała mu.

– Zadawałem sobie pytanie, czemu się kumplujesz z tym zasranym psycholem Doulem. Czy on wie, że ty wiesz?

Fennec miał osłupiałą minę.

– Chyba tak. Trudno ocenić. Zachowywał się tak, jakby... Z całą pewnością nie miał prawa mi tego powiedzieć, ale może było mu to ciężko z tą wiedzą, że musiał się nią z kimś podzielić. Ale dla zachowania czystego sumienia nie oznajmił mi tego wprost. Cały czas myślałam, że bierze udział w tych tajnych zebraniach z udziałem Auma i naukowców, ponieważ jest ochroniarzem Kochanków. A tymczasem Doule przychodził jako ekspert od eksploatacji możliwości. Wie wszystko na ten temat, bo studiował to przy poszukiwaniach miecza. Nad tym pracują, Silasie. Kochankowie chcą dotrzeć do Blizny i wydobywać możliwości. – Mówiła spokojnym głosem, choć w środku była roztrzęsiona. – Tak jak Imperium Widmowców, rozumiesz?

– I po to potrzebny im był awank – sapnął Silas.

Bellis skinęła głową.

– Po to potrzebny im był awank. To tylko środek do celu. Kochankowie musieli być pod ogromnym wrażeniem, kiedy zobaczyli miecz Doula po jego przybyciu na Armadę. Wysłuchali jego opowieści o Pękniętej Ziemi i Bliźnie, ale początkowo pomysł ten znajdował się dla nich wyłącznie w sferze marzeń. Potem jednak przyszedł im do głowy Tintinnabulum i jego podkomendni. Ci dali się skusić, bo przecież nie ma grubszego zwierza. – Wyrzała przez okienko na morze, które pieniało się powoli przy skraju Armady na skutek ruchu wywołanego przez awanka. – Kochankowie już wcześniej wiedzieli o łańcuchach. Armada próbowała kiedyś złapać awanka. To było dawno, a oni mają gdzieś tradycję, ale po przyjeździe Doula wszystko się zmieniło. Wcześniej przywołanie awanka byłoby głupim, megalomańskim, bezsensownym gestem. Ale teraz? Każdy wie, że żaden statek nie przepłynie przez Pusty Ocean, ale czy w całym Bas-Lag istnieje siła, która potrafiłaby zatrzymać awanka? Nagle pojawiła się możliwość dotarcia do Blizny, do tego reliktu po Widmowcach, o którym Powiedział im Doule.

Skala przedsięwzięcia zapierała dech. Zdobycie awanka pochłonęło tyle cierpienia, pieniędzy i potwornego wysiłku, a przecież był to dopiero wstęp do planu Kochanków!

A więc wszystko było po to – szepnął Silas i Bellis ponownie przytaknęła.

– Tak. Platforma, „Terpsychoria”, Johannes, wyspa anopheliusów, łańcuchy, fulmeny, zasrany awank... Wszystko po to.

– Naga władza. – Silas wypowiedział te słowa takim tonem, jakby były wulgarne. – Sądziłem, że awank ma im posłużyć do piractwa. Tak sugerowali: że dzięki niemu będą skuteczniejszymi złodziejami!

To by przynajmniej miało jakiś sens, ale ten plan... Widać, że Kochankowie to uprowadzeni. Żaden poważny pirat nie porwałby się na takie szaleństwo.

– To niebezpieczni fanatycy – stwierdziła Bellis. – Nie mam pojęcia, czy naprawdę są w stanie przekroczyć Pusty Ocean, ale, dalijabber, wolę się tego nie dowiadywać! Silasie, ja ich słyszałam, kiedy byli tylko we dwoje... – Spojrzał na nią badawczo, ale nie spytał, jak do tego doszło. – Wiem, co to za ludzie. Nie pozwolę, żeby tego pokroju wizjonerzy ciągnęli mnie na drugi koniec świata do krainy, która być może nie istnieje, a jeśli istnieje, to jest najbardziej niebezpiecznym miejscem w całym Bas-Lag. Poza tym coraz bardziej byśmy odplywali od Nowego Crobuzon, a ja jeszcze nie zrezygnowałam z myśli o powrocie.

Bellis zdała sobie sprawę, że drży na myśl o takim oddaleniu się od swojej ojczyzny.

A co by było, gdyby się okazało, że Uther i inni mieli rację, i udałoby się przeżyć przeprawę?

Mnogość możliwości. Myśl ta zmroziła ją – Wizja ta wydała się jej śmiertelnie groźna, podrywająca ontologiczne podstawy istnienia. Bellis poczuła się kompletnie przypadkowa, co ją uraziło i przestraszyło.

„Jak wodopój na sawannie – pomyślała – gdzie słabi, silni i drapieżni pokojowo piją razem wodę: gazela, gnu, mafadet i lew. Wszystkie możliwości harmonijnie ze sobą współistniejące, zwycięzca, najsilniejszy, faktyczny, realny pozwala żyć wszystkim niezrealizowanym. Pacyfistyczne i żenujące”.

– Dlatego nic nie mówią – oceniła. – Wiedzą, że ludzie by tego nie poparli.

– Boją się – mruknął Silas.

– Kochankowie są silni – zaproponowała Bellis – ale nie chcą mieć przeciwko sobie wszystkich pozostałych okręgów. A co istotniejsze, nie chcą mieć przeciwko sobie mieszkańców Niszczukowód.

– Bunt – szepnął Silas.

Bellis uśmiechnęła się bez specjalnego entuzjazmu.

– Bunt – przytaknęła. – Boją się buntu. I dlatego potrzebny nam jest Simon Fench.

Silas skinął powoli głową, po czym zapadła długa cisza.

– Musi rozpuścić po mieście tę informację – powiedział w końcu. – Bibuła, pogłoski i tak dalej. To jego żywioł. Mogę załatwić, żeby wziął to na siebie.

– Przepraszam cię, Bellis – rzucił, kiedy wstała już do wyjścia. – Nie jestem dobrym przyjacielem. Od jakiegoś czasu... Mam pracowity i trudny okres. Ostatnim razem zachowałem się po chamsku i przepraszam cię za to.

Przyglądając się mu, Bellis poczuła niechęć... ale też, paradoksalnie ostatnie podrygi sympatii, którą niegdyś go darzyła. Coś jakby strzęp wspomnienia.

– Nie jesteśmy sobie nawzajem nic winni, Silasie – powiedziała z chłodnym uśmiechem. – Nie jesteśmy przyjaciółmi. Ale oboje jesteśmy zainteresowani

niepowodzeniem planu Kochanków. Ja go nie udaremnię, ale niewykluczone, że tobie się uda. Oczekuję, że podejmiesz taką próbę i będziesz mnie informował o efektach. Żadnych innych kontaktów nie oczekuję. Nie chcę, żebyśmy się widywali jako przyjaciele.

Silas Fennec siedział w „Pashakanie” jeszcze długo po wyjściu Bellis. Przeglądał jakieś plamiące tuszem ulotki i gazety, obserwując, jak niebo ciemnieje. Dni były teraz zauważalnie dłuższe i przywiodły mu na myśl lato w Nowym Crobuzon.

Czekał długo, bo właśnie do tego pubu kierowano ludzi, którzy go dostatecznie wytrwale szukali. Pił jednak i czytał sam. Kiedy wychodził, jakaś obszarpana klientka rzuciła zaciekawione spojrzenie na jego... plecy. Więcej uwagi mu nie poświęcono.

Pokrętną trasą, która wiodła zaułkami dzielnicy Tobietwój, Fennec zmierzał na żelazny statek „Harówka”, zacumowany w spokojnej części miasta. Obok majaczył wielki, stary okręt fabryczny, w którym obecnie mieścił się armadyjski szpital dla obłąkanych.

Fennec czekał w domu, w jednym z pozbawionych wyrazu betonowych bloków, zbudowanych obok komina „Harówki” w cieniu szpitala. O jedenastej rozległo się pukanie do drzwi: przybył jego kontakt. Po raz pierwszy od wielu dni mieli poważną sprawę do omówienia. Fennec powoli podszedł do drzwi i po drodze jego sposób poruszania się, mimika i gestykulacja uległy nieznacznym zmianom.

Zanim otworzył drzwi, przeistoczył się w Simona Fencha.

Za progiem stał roślak, leciwy już człowiek-kaktus, który rozglądał się nerwowo wokół siebie.

– Hedrigall – powiedział cicho Fennec, nie całkiem swoim głosem. – Czekałem na ciebie. Musimy porozmawiać.

W poszarpanej i nieczytelnej architekturze statku księżycowego „Uroc” gromadziły się wampiry.

Brucolac zwołał konklawe swoich nieumarłych podkomendnych swoich pretorian. Kiedy ponury zmierzch przeszedł w noc, usadowili się na pokładzie statku księżycowego lekko i bezgłośnie jak liście.

Wszyscy obywatele Pragnieniowic wiedzieli, że wampiry cały czas ich obserwują. Nie nosili mundurów: ich tożsamość nie była znana.

Bakcył wywołujący fotofobiczną hemofagię – odmiana wampiryczna – był kapryśny i słaby, przenosił się wyłącznie przez ślinę, szybko się degenerował i zdychał. Aby doszło do zarażenia, po pierwsze ofiara musiała nie umrzeć, po drugie jakaś ilość śliny nieumarłego musiała przedostać się do krwiobiegu, do czego mogło dojść tylko przy kontakcie bezpośrednim. Jeśli zatem ofiara przeżyła deliryczną gorączkę, budziła się pewnej nocy, mając za sobą proces śmierci i odnowy, czyli jako nieumarły, trawiona silnym głodem, z odmienionym organizmem, wielokrotnie silniejsza i szybsza, nie podlegająca procesom starzenia się, odporna na większość ran. I niezdolna do przetrwania przy promieniowaniu słonecznym.

Cała kadra z Pragnieniowic została starannie wyselekcjonowana przez Brucolaca. Podatek posoczny ściągano najpierw do pojemników, dla uniknięcia przypadkowego zakażenia. Metodą bezpośrednią Brucolac pił tylko krew swoich najbardziej zaufanych sług, swoich najwierniejszych zwolenników, których obdarzał zaszczytem szansy zostania nieumarłymi.

W przeszłości zdarzały się wypadki zdrady. Upojeni władzą wybrańcy Brucolaca zwracali się przeciwko niemu. Dokonywano zakażeń bez jego upoważnienia i były

próby zamachów na niego. Brucolac zdławił je wszystkie, ze smutkiem, ale bez wysiłku.

Dziesiątki jego podkomendnych – mężczyzn, kobiet i obojnaczej młodzieży – zebrało się wokół niego w wielkiej sali „Uroca”. Nie musząc się ukrywać ze swoimi skłonnościami, rozwijali węzowe języki na całą długość i z zachwytem kosztowali powietrze.

Z przodu, niedaleko Brucolaca, stała obszarpana kobieta, która obserwowała Fenneca w „Pashakanie”. Wszyscy patrzyli na swego pana szeroko otwartymi, emanującymi światłem oczami.

Po bardzo długim milczeniu Brucolac przemówił. Bardzo cicho. Gdyby miał wokół siebie ludzi, nie usłyszeliby go.

– Bracia i siostry. Wiecie, po co tutaj jesteśmy. Powiedziałem wam dokąd zmierzamy, dokąd chcą nas zaciągnąć Kochankowie. Powszechnie wiadomo, że sprzeciwiamy się ich planom. Ale jesteśmy w mniejszości. Nie cieszymy się zaufaniem. Nie zmobilizujemy opinii publicznej, bo nikt nie posłucha naszych przestróg. Mamy związane ręce. Niewykluczone jednak, że sytuacja ulega zmianie. Kochankowie chcą, aby sprawa nabrała takiego impetu, że kiedy ich plan przedostanie się do wiadomości publicznej, będzie już za późno na przeciwstawienie się mu. Mają nadzieję, że ludzie z ochotą przyjmą na siebie status uprowadzonych. – Brucolac prychnął szyderczo i polizał powietrze swoim wielkim językiem. – Ale wygląda na to, że zostaną zdemaskowani szybciej, niż się spodziewają. Dzisiaj wieczorem podsłuchano fascynującą rozmowę. Simon Fench wie, dokąd płyniemy. – Skinął głową na kobietę w łachmanach. – Trudno w to uwierzyć, ale crobuzońska lalunia Doula wydedukowała, co się dzieje, i przekazała tę informację panu Fenchowi... albo Fennecowi czy jak on tam każe na siebie mówić. Wiemy, gdzie on mieszka, prawda? – Kobieta skinęła głową. – Fench planuje puścić w obieg kolejną ze swoich podburzających broszur. Moglibyśmy spróbować mu pomóc, włączyć się w to, ale on działa w pojedynkę i gdyby się zorientował, że go zidentyfikowaliśmy, to by odtrącił podaną mu dłoń i zniknął. Lepiej nie ryzykować i nie mieszać się do jego działań. Należy mieć nadzieję – podkreślił Brucolac – że upora się z tym szybko i że wywoła to kryzys w Niszczukowodach. Na razie nie dotarliśmy do Pustego Oceanu, ale... – Słowo to zabrzmiało w jego ustach tak zimno i twardo, że jego podkomendni wpadli w uniesienie. – Ale musimy być gotowi na ewentualność, że Fenchowi się nie uda. Bracia i siostry... – Dźgnął językiem powietrze, mówiąc gardłowym szeptem. – Bracia i siostry, nie przegramy tej bitwy. Miejmy nadzieję, że Fenchowi się powiedzie, ale musimy przygotować plan awaryjny. Jeśli będzie trzeba, siłą przejmę władzę w tym zasranym mieście.

Jego nieumarli pretorianie syknięciami i mruknięciami wyrazili swoją aprobatę.

Rozdział trzydziesty szósty

Na północ, powoli, niestrudzenie. Ciągnięci całymi dniami, całymi tygodniami. Miasto czekało, nikt nie wiedział, co się wydarzy, ale ludzie nie wierzyli, aby ta jednostajna żegluga mogła być długo kontynuowana bez przygód. Na Armadzie wzrastało napięcie.

Bellis czekała na wieści o broszurze Fenchu. Była cierpliwa. Wyobrażała go sobie w brzuchu miasta, głęboko w trzewiach jakiegoś statku, zbierającego informacje, zawiadującego jakąś agenturą.

W niektóre noce, popychana niezdrową fascynacją, która ją samą szokowała, Bellis schodziła na niższe pokłady „Wielkiego Wschodniego”, żeby ukryć się w

pomieszczeniu pod pokojem Kochanków. W ich plującym i zdyszonym miłosnym gruchaniu dosłuchała się nowego napięcia.

„Niedługo” – syknęło jedno z Kochanków. „Kurwa, tak, niedługo” – brzmiała wyjęczana odpowiedź.

Pojawiły się różnice między ich okrzykami. Kochanka sprawiała wrażenie żarliwszej, bardziej zaangażowanej. Wydawała się zniecierpliwiona, spragniona szybkiego rozstrzygnięcia, to ona częściej szeptała „niedługo”, to jej bardziej zależało na tym projekcie. Jej kochankowi zależało raczej na niej. Mizdrzył się i mruczał w reakcji na jej słowa.

Czas włókł się niemiłosiernie. Bellis była coraz bardziej sfrustrowana Utherem Doulem.

Miasto względnie szybko wydostało się z obszaru burz i gorąca do bardziej umiarkowanej strefy, gdzie było ciepło i wietrznie jak latem w Nowym Crobuzon.

Pięć dni po spotkaniu Bellis i Silasa w „Pashakanie” na arkadyjskim niebie, a konkretnie na sterowcu „Arogancja”, odbywała się jakaś krzątanina.

Bellis stała z Utherem Doulem na pokładzie „Wielkiego Wschodniego” i patrzyła w stronę parku Crooma, a Hedrigall, który pełnił rolę oficera wachtowego, pracował razem z innymi w pobliżu grubych lin cumujących „Arogancję” do rufy okrętu.

– Zrzutka depeszy! – krzyknął i załoga szybko uprzątnęła obszar wokół lin. Obciążony worek z hukiem zładował na podłożonych szmatach.

Hedrigall otwierał worek rutynowymi ruchami i Bellis zaczęła odwracać wzrok. Ale kiedy człowiek-kaktus wydobyl depeszę, jego zachowanie uległo tak gwałtownemu przeistoczeniu, że Bellis szybko spojrzała w jego stronę. Ten podbiegł do niej i Doula z tak zdumiewającą prędkością, że w pierwszej chwili sądziła, iż zamierza ich zaatakować. Zesztywniała, kiedy ten muskularny mężczyzna dudnił stopami o deski pokładu.

Hedrigall wyciągnął przed siebie depeszę od czujki z „Arogancji”.

– Okręty wojenne – powiedział do Doula. – Pancerniki. Flota z Nowego Crobuzon. Pięćdziesiąt pięć kilometrów od nas, zbliżają się. Będą tutaj za dwie godziny. – Urwał i jego zielone usta poruszały się bezgłośnie. Wreszcie dokończył tonem kompletnego zdumienia: – Atakują nas.

Z początku ludzie byli zdezorientowani, nie wierzyli, że naprawdę są takie rozkazy. W każdej dzielnicy, na każdym okręcie flagowym zebrały się tłumy mężczyzn i kobiet, z bronią w rękę, dopinający elementy zbroi, obruszeni i z zamętem w głowach.

– Kiedy to nie ma żadnego sensu, proszę pana – powiedziała do Doula jakaś kobieta. – Jesteśmy prawie sześć tysięcy kilometrów od Nowego Crobuzon. Po co by płynęli tak daleko? I jak to możliwe, że nasi nauskopiści niczego nie zauważyli? Już wczoraj by zobaczyli. I niby jak Crobuzończycy mieliby nas znaleźć?

– Nie pytamy jak! – ryknął Doula tak głośno, że wszyscy zgromadzeni na pokładzie „Wielkiego Wschodniego” umilkli zaszokowani. – Nie pytamy dlaczego! Będzie na to mnóstwo czasu, jak ich pozabijamy! Bo teraz mamy czas tylko na to, żeby walczyć jak psy, jak oszalałe rekiny. Musimy walczyć, bo inaczej miasto zginie!

Ludziom odechciało się polemik. Z zastygłymi twarzami szykowali się w duchu do wojny. Pytanie: „Jak oni to zrobili?” zostało odłożone na później.

Pięć największych armadyjskich okrętów wojennych wypłynęło parę mil morskich na zachód, tworząc zakrzywiony mur między miastem a zbliżającą się flotą.

Wokół nich i pomiędzy nimi kręciły się mniejsze pancerniki, krępe okręty okute w szary kuloodporny metal, pozbawione okien, najeżone krótkimi działami. Dołączyły do nich te statki pirackie, które były wtedy w porcie. Ich załogi zagryzły zęby i próbowały się nie zastanawiać nad swoim samobójczym chojractwem – były uzbrojone i opancerzone do walki z jednostkami handlowymi, a nie wojennymi. Marynarze mieli świadomość, że niewielu z nich wróci do domu.

Nie było podziału na okręgi. Załogi podlegające różnym władcom ramię w ramię takłowały, sypały węgiel pod kotły, ładowały armaty.

Czujki z „Arogancji”, które teraz wyraźniej widziały crobuzońskie okręty, zrzucały kolejne depesze. Uther Doul odczytywał je na głos Kochankom.

– Pewnie przy płynęli po swoją zasraną platformę – powiedział cicho, żeby tylko tych dwoje usłyszało. – Mają nad nami przewagę siły ognia. My mamy więcej statków, ale połowa z nich to drewniane krypy pirackie. Oni mają siedem dużych okrętów wojennych i o wiele więcej statków zwiadowczych niż my. Wysłali chyba z połową swojej floty.

Tanner Sack i ludzie-ryby z Cieplarni, Bastard John, ludzie-raki, batyskafy. Podwodne wojska Armady czekały, wisząc w płynnym żywiole. Wielkie łańcuchy pomału się od nich oddalały. Awank zwolnił do prędkości żółwia, żeby załogi mogły bez problemu dotrzeć do miasta po bitwie.

Niewielki oddział ludzi-raków siedział na jednej z podwodnych tratw. Byli to czarownicy-zwabiacze, przywoływali swoje zwierzęta.

Kiedy pod miastem szalał dinichtys, Tanner bez zastanowienia wskoczył do wody. Nie miał czasu na zmierzenie się ze swoim strachem. Teraz jednak prawie godzina dzieliła go od chwili, kiedy okręty wojenne z jego starej ojczyzny miały przybyć pod nową, aby ją zniszczyć. Inteligencja i poczucie celu, które zawiadywały ich płetwami sterowymi, były znacznie bardziej przerażające niż debilna wredność w oczach ryby pancernej.

Minuty wlokły się ślamazarnie. Tanner pomyślał o Szeklu, któremu kazał zostać w domu. Czekali z Angevine, na pewno uzbrojeni przez gwardzistów, którzy pilnowali miasta. „On nie ma jeszcze szesnastu lat” – pomyślał z rozpaczą Tanner. Bardzo chciał być tam z nimi, z Szeklem i damą jego serca. Dzierżąc w garści harpun, Tanner pomyślał o nadchodzącej bitwie i nagle zsikał się ze strachu. Mocz ogrzał go na chwilę, lecz potem porwał go prąd.

Wszędzie, na całej Armadzie i na wszystkich pływających po morzu statkach, które szykowały się do obrony miasta, była broń.

Otwarto bramy zbrojowni i arsenałów, żeby wyjąć i wyczyścić wytwory techniki wojskowej z setek kultur i z okresu tysięcy lat: działa, harpuny i skałkówki; miecze, kusze, łuki i kuszarpacze; wreszcie bardziej ezoteryczne narzędzia walki: żądłowce, baany, yarrikiły.

Wszelkich rozmiarów sterowce powoli wznosiły się ponad dachy i omasztowanie, niby elementy architektury oderwane od tkanki miejskiej. Nad zachodnim horyzontem widać było dym produkowany przez crobuzońskie maszyny.

Na pokładzie „Wielkiego Wschodniego” zrobił się wielki młyn, bo wszyscy podoficerowie, oficerowie i władcy wszystkich dzielnic usiłovali dopchać się do

przedzierzgniętego w żołnierza Uthera Doula, żeby usłyszeć wydawane przez niego rozkazy. Bellis stała w pobliżu bez ruchu i słuchała. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

– Mają więcej kanonierek niż my, ale rozejrzyjcie się. – Pokazał na gąszcz parowców i holowników, które do niedawna ciągnęły Armadę po oceanie, a teraz hasały swobodnie bez celu. – Rozkażcie załogom tych jednostek, żeby przekwalifikowali je na kanonierki. Przekazano wiadomość do Pragnieniowic: Brucolac i jego podkomendni zostaną poinformowani, jak tylko się obudzą. Poślijcie tam szybkie łodzie albo statki powietrzne, żeby na nich czekały. Nie wiemy, jaka jest podwodna siła Crobuzończyków. Dowódcy okrętów podwodnych będą musieli samodzielnie ocenić, kiedy należy zaatakować. Ale statków powietrznych na pewno nie mają. To jest nasza jedyna realna przewaga. – Pokazał na „Trójzab”, który wisiał nad rufą „Wielkiego Wschodniego” obładowany ciężkimi bombami i prochem strzelniczym. – Puśćcie je przodem. Nie zwlekajcie. I uwaga... Skoncentrujcie się na crobuzońskich okrętach wojennych. Pancerniki i statki zwiadowcze mogą nas uszkodzić, ale wytrzymamy ich siłę ognia. Okręty wojenne... mogą zatopić miasto. – Fala zgrozy przetoczyła się przez pokład. – Wiozą zapasy paliwa: bez tych okrętów crobuzońska flota nie miałaby jak wrócić do kraju.

Z nagłym szarpnięciem Bellis doznała olśnienia. W jej głowie coś przeskoczyło, jakby zerwał się jakiś trybik. Puszczając mimo uszu dalsze rozkazy Doula, jej mózg ze zgrzytem obracał się wokół jednej i tej samej myśli: „statek z kraju, statek z kraju...”

Z desperackim zapalem spojrzała ku nikłej zasłonie dymu na zachodzie. „Jak mam do nich dotrzeć?” – pomyślała, zdumiona, zachwycona i oszołomiona.

Crobuzońskie statki wreszcie znalazły się w zasięgu wzroku: długa linia buchającego dymem czarnego metalu.

– Wciągają flagi – powiedział Hedrigall z nadbudówki na rufie „Wielkiego Wschodniego”. Patrzył przez wielką, zamocowaną na stałe lunetę. – Coś nam komunikują... Nazwa okrętu flagowego i... – zawahał się. – Chcą pertraktować?

Doul odział się na wojnę. Do szarej zbroi poprzypinał skałkówki w kaburach – na obu biodrach, na obu ramionach, na obu udach, na torsie. Wszędzie sterczały rękojeści sztyletów i noży do miotania. Bellis uzmysłowiła sobie z drżeniem serca, że Uther Doul wygląda tak samo jak w chwili, kiedy zstąpił na pokład „Terpsychorii”.

Szybko się jednak otrząsnęła. Już jej to nie obchodziło. Znowu skierowała wzrok ku crobuzońskim statkom, do bólu podniecona.

Doul zastąpił Hedrigalla za okularem lunety.

– „Kapitan Princip Cecasan z N.C.S. „Poranny Wędrowiec” – czytał powoli, przebiegając wzrokiem proporczyki i kręcąc głową. – „Pertraktacje dotyczące crobuzońskiego jeńca”.

Przez jedną osłupiałą chwilę Bellis sądziła, że chodzi o nią, ale jeszcze zanim jej twarz skurczyła się w wyrazie radosnego zdumienia, zdała sobie sprawę, jakie to nedorzeczne. I coś znajdującego się głęboko w jej głowie czekało, żeby ją poinformować o innym wyjaśnieniu. Odwróciła się, aby zlustrować twarze Uthera Doula, Hedrigalla, Kochanków i wszystkich przybyłych kapitanów.

I dostała gęsiej skórki. Uzmysłowiła sobie, że na propozycję rokowań wszyscy zareagowali z zimną pogardą.

Na widok tej zbiorowej emocji, tej absolutnej agresji, tej pewności, że Nowe Crobuzon jest państwem, któremu nie wolno ufać, z którym należy walczyć, które należy zniszczyć, radość natychmiast w niej zgasła. Bellis przypomniała sobie, co przeczytała na temat Wojen Pirackich, a zwłaszcza ataku Nowego Crobuzon na

Suroch. Przypomniała sobie swoje rozmowy z Johannesem i Tannerem Sackiem. Przypomniała sobie, jaką wściekłość wzbudziła w Tannerze sugestia, że miałyby ich znaleźć crobuzońskie statki.

Bellis przypomniała sobie, w jakim strachu sama uciekała z Nowego Crobuzon. „Wypłynęłam w morze, bo bałam się o swoje życie. Gdzie tylko spojrzałam, wszędzie widziałam milicję. Bałam się agentów rządu. Takich jak marynarze na tych statkach”.

„Nie tylko piraci – morscy rywale Nowego Crobuzon – i nie tylko prze-tworzeni mieli powód bać się nadpływających statków” – uprzytomniła sobie. Uszedł z niej cały entuzjizm. Ona również powinna się bać.

– Są tak silnie uzbrojeni, że mogliby obrócić miasto w perzynę – powiedział Doul do zgromadzonych kapitanów. – I oni nam mówią, że chcą się targować? – Nikogo z obecnych nie trzeba było przekonywać. Słuchali w milczeniu. – Zniszczą nas, jeśli tylko będą mieli taką możliwość. A okazuje się, że potrafią nas wytropić z drugiego końca świata, bogowie raczą wiedzieć jak. Jeśli teraz nie podejmiemy walki, będą do nas wracali. Przystępujemy do natarcia – dokończył powoli, do wtóru wiwatów, w których pobrzmiwało raczej napięcie niż wola walki.

Dowódcy odlecieli taksówkami powietrznymi na swoje jednostki. Ci władcy okręgów, którzy mieli walczyć, kazali się przewieźć na statki lub sterowce, ci zbyt schorowani lub tchórzliwi wrócili na okręty flagowe. Na podeście zostali tylko Doul, Bellis i Kochankowie. Na Bellis pozostała trójka w ogóle nie zwracała uwagi.

Kochankowie mieli wojować osobno: on na okręcie wojennym „Przystań Cho”, ona na statku powietrznym „Nanter”. Żegnali się ze sobą. Ze splecionymi językami mruclili ekstatyczne dźwięki, które Bellis знаła z podsłuchiwanek. Mówili sobie cicho, że niedługo znowu będą razem. Bellis uzmysłowiła sobie, że w ich rozstaniu nie ma nic wzruszającego, nic tragicznego. Nie całowali się tak, jakby to miał być ostatni raz, lecz zgłodniałe i lubieżnie, z nadzieją na rychły ciąg dalszy. Nie czuli strachu i chyba nie czuli też żalu: można było odnieść wrażenie, że pragną się rozstać, aby móc zejść się znowu.

Jak zawsze patrzyła na nich z pełną obrzydzenia fascynacją. Blizny wiły się jak małe węże, kiedy dotykali się twarzami.

Crobuzońskie statki były oddalone o mniej niż piętnaście kilometrów.

– Niektóre z nich się przebiją – powiedziała Kochanka do Uthera. – Możemy sobie pozwolić na utratę statków, aerostatów, batyskafów, obywateli. Nie możemy sobie pozwolić na utratę miasta i musisz być tutaj, aby go strzec. Jako nasza... ostatnia linia obrony. Aha – dodała – i nie możemy sobie pozwolić na utratę ciebie. Jesteś nam potrzebny, Doul. Wiesz, do czego. Kiedy dotrzemy do Blizny.

Bellis nie wiedziała, czy Kochanka zapomniała o jej obecności, czy też nie zależało jej już na utrzymaniu sprawy w tajemnicy.

Ostatni sterowiec odleciał, zabierając Kochanków na ich stanowiska bojowe. Awankowi ściągnięto wodze i miasto zwolniło. Doul i Bellis byli sami. Na szerokim pokładzie „Wielkiego Wschodniego” ludzie się zbroili.

Doul nie patrzył na Bellis i nie odzywał się do niej. Spoglądał w dal obok „Sorgo”. Mniej niż osiem kilometrów dzieliło marynarkę armadyjską od klina crobuzońskich okrętów wojennych z zadartymi nosami. Odległość malała.

W końcu Doul odwrócił się ku Bellis. Szczękę miał zaciśniętą, oczy otwarte trochę za szeroko. Podał Bellis skałkówkę. Czekala, aż jej powie, żeby zeszła pod

pokład albo żeby nie pętała mu się pod nogami, ale nic takiego nie usłyszała. Stali razem i obserwowali zbliżani się crobuzońskich okrętów.

Mężczyzna całuje posążek i maszeruje niewidziany za plecami Bellis i Uthera Doula.

Serce szybko mu bije. Jest spakowany i gotowy. W kieszeniach i rękach ma cały swój dobytek. Jest rozczarowany, ale nie zaskoczony: Armada nie zgodziła się pertraktować. Tak będzie wolniej – ale może, przyznaje, per saldo wcale nie krwawiej.

Tak blisko, tak blisko. Już prawie może wejść na pokład „Porannego Wędrowca”, ale nie całkiem. Jeszcze kilka kilometrów. „Wyślą po mnie łódź” - myśli i szykuje się na ich powitanie. „Poinformowałem ich, gdzie będę”.

Uther Doul mówi coś teraz do Bellis, pokazując na rozgorączkowaną cizbę na dole. Żegna się z nią. Zostawia ją na dachu nadbudowie schodzi do swoich wojsk, a ona śledzi go wzrokiem ze skałkówką w garści.

Mężczyzna wie, że ci, co nadpływają, jego rodacy, nie będą mieli problemów ze znalezieniem go. Wysłany przez niego opis był precyzyjny. Zresztą „Wielkiego Wschodniego” nie sposób pomylić z innym statkiem.

Oddzielone niecałymi pięcioma kilometrami morza dwie marynarki wojenne stały naprzeciwko siebie. Armadyjczycy: eklektyczna zbieranina statków wszystkich możliwych typów i we wszystkich możliwych kolorach, nad niezliczonymi pokładami wybrzuszają się żagle i snuje się dym. Po drugiej stronie „Poranny Wędrowiec” i siostrzane jednostki ustawione w szyku bojowym, szary metal i ciemnodrzew porzebijane wielkokalibrowymi działami.

Do okrętów crobuzońskich zbliżała się chmara sterowców: wojskowych, zwiadowczych, taksówek obciążonych strzelbami i baryłkami czarnego prochu. Nie było wiatru, dzięki czemu szybko posuwały się naprzód. Na czele tych pstrokatych sił powietrznych leciał „Trójzab”, otoczony mniejszymi statkami powietrznymi i pojedynczymi baloniarzami.

Armadyjscy kapitanowie wiedzieli, że mają słabsze działa. Ich okręty znajdowały się ponad trzy kilometry od nieprzyjaciela, kiedy crobuzońskie statki dały ognia.

Erupcja dźwięku i gorąca nad morzem. Wał eksplozji i kipiących fal parł do przodu przed „Porannym Wędrowcem” bufor ochronny. Armadyjskie działa były nabite i podsypane prochem, ale milczały.

Załogi popędzały w duchu swoje okręty, żeby wróg wreszcie znalazł zasięgu ich armat. Zanim uderzą, muszą jednak przebrnąć przez ponadkilometrową linię ognia. Wkroczyli w tę jednostronną bitwę z ponurą zuchwałością i czas uległ preistoczeniu.

Metal spotyka się z metalem, czarny proch zapala się, ropa naftowa wybucha, ciało pęka i płonie.

Pod wodą Tanner chwieje się gwałtownie, miotany zmarszczkami ciśnienia. Krwawi, krew tryska mu ze skrzelii.

Armadyjskie statki nad jego głową są cieniami na rozświetlonej wodzie. Szyki rozpadają się, panuje chaos. Niektóre statki dryfują zdezorientowane, niektóre formacje – „Na Jabbera!” – rozpraszają się, niektóre – „Jabberze, miej nas w swojej opiece!” – rozbijają na grupki złożone z kilku jednostek, zbliżają się do niego, są coraz większe, spadając ku niemu pomału jak słońce z nieba, tak powoli, że to chyba wyobraźnia płata mu figle, ale potem ludzie-ryby dokoła rozpierzchają się na wszystkie strony i – „NaDiabliOgoncholeranie!” – płachty porozrywanego metalu pikują jak komety, ciągnąc za sobą ogon smaru, ropy, brudu i krwi.

Deszcz rozbitych statków przelatuje obok niego ze skowytami, bryzgając bąbelkami powietrza i ciałami, po czym znika w ciemnościach.

Z perspektywy statków powietrznych rzeź jest odległa i stonowana: tu i ówdzie coś puknie i huknie z cicha, naftowy ogień obrasta czarną skorupą, jakiś statek jest, a potem go nie ma. Armadyjska flota jak sfora głupich i ślepych psów przebiega przed przodem wskroś tej bezlitosnej nawały, coraz mniejsza i mniejsza, aż wreszcie jej działa mogą dotrzeć do robuźskich statków.

Widziana przez dziesiątki metrów powietrza wojna przypomina dioramę. Jest jak obraz batalistyczny. Nie sprawia wrażenia czegoś, co dzieje się naprawdę.

Eksplodują zagłuszają wrzaski.

Krew chlusta za burty armadyjskich statków. Metal drze się i pęka, statki nagle przeistaczają się w zębate istoty, śmiertelnie groźne dla swoich marynarzy. Armadyjscy kanonierzy strzelają, pociski szybują ognistymi parabolami w stronę nieprzyjaciół. Ale ten kilometr był morderczy i flota jest już o połowę mniejsza.

Z morza zrobiła się kostnica. Woda jest gęsta od ciał, które poruszają się z falami i prądami, w makabrycznym tańcu. Bluzgają chmurami krwi jak kałamarnice atramentem. Morze przeobraża je: wnętrzości rozpościerają się koralowymi wachlarzami, oddarte płyty skóry tworzą płetwy. Połamane kości wybijają w zwłokach dziury.

Tanner jest bardzo ociężały i zmarznięty. Po drodze do góry mija kobietę, która wciąż się porusza, za słaba, żeby wypłynąć na powierzchnię, ale jeszcze nie całkiem martwa. Tanner odwraca się do niej z bezgłośną zgrozą i holuje ją ku niebu, ale zanim docierają na powietrze, jej ruchy stają się pośmiertnym dygotem nerwów. Kiedy Tanner ją puszcza, widzi wokół siebie ruch – jak okiem sięgnąć, ludzie toną, a on nie może im pomóc, są za słabi, żeby przeżyć. Wszędzie widzi ich upiorną, desperacką samotność i nagle doznaje takiego uczucia, jakby go to nie dotyczyło, jakby nie patrzył na ludzi, kheprich, ludzi-kaktusów, strupodziejów i hotchich, tylko na kłębowisko bezmyślnych, powtarzających się, powoli dogorywających ruchów, jakby zaglądał do kadzi z deszczówką pełnej zdychających powoli owadów.

Dociera na powierzchnię w chwili ciszy, przypadkowej przerwy w rzezi, pośrodku niegdysiejszej floty armadyjskiej. Dokoła niego statki rozpadają się z okropnymi odgłosami. Miotają się, rzygają dymem i ogniem, syczą przy wsuwaniu się do chłodnej wody, ciągną ze sobą konające załogi.

Tanner nie panuje nad swoim umysłem. Nie potrafi myśleć słowami. O wodę wokół niego znowu uderzają pociski, gotując krwisty rosół z metalu i trupów.

Powietrze iskrzy. Elyktrotaumatyczne klótnie buchają z crobuzońskich statków; kusze miotają kadziami silnego kwasu. Ale choć armadyjska flota ma przetrzącony kręgosłup, przechodzi do kontrofensywy.

Armadyjczycy strzelają pociskami wielkości ludzi, które walą w crobuzońskie okręty wojenne, tworząc poszarpane metalowe kwiaty. Drewniane okręty wpływają między szyki wroga i palą z dział, wgniatając pancerze, przebijając kominy, zrywając cumy dział.

„Trójzab” i jego powietrzna flotylla są już nad crobuzońską flotą. Rozpoczyna się szarpana kanonada pocisków: bomb prochowych, bukłaków z ogniem, które pękają w powietrzu, dociążonych strzałek i noży. Wywołane przez eksplozje podmuchy gorąca trzęsą sterowcami i spychają je z kursu.

Armadyjskie statki wciąż się zbliżają. Strzelają, wybuchają przewracają się, stają w płomieniach, a mimo to flota prze do przodu załogi z oślim uporem kierują statki ku okrętom wojennym Nowego Crobuzon.

Wznoszą się kłęby ciemnych ciał.

Crobuzońscy taumaturgowie, czerpiąc moc z akumulatorów i własnych ciał, ożywili stada golemów: koślawych konstrukcji z drutu, skóry i gliny, nieestetycznych i byle jak wykonanych, z pazurami podobnymi do wnętrzości parasola i przezroczystymi, szklanymi oczami. Gorączkowo bijąc brzydkimi skrzydłami, wzlatają ku niebu. Są silni jak małpy, tępi i wytrwali.

Chwyatają armadyjskich aeronautów za kostki, wspinają się po nich, rozszarpują im ciała i rozdzierają balony. Krwawiący aeronauci spadają na pokłady statków.

Golemy unoszą się jak dym nad crobuzońską flotą, aby wbić się w kabiny pilotów i okna armadyjskich statków powietrznych. Oślepiają załogi, tłuką szyby w drobny mak, rozpruwają płótno komór gazowych. Wielu spada, okaleczonych przez pociski, miecze lub grawitację, po drodze rozlatują się na swoje nieżywotne części składowe. Dziesiątki golemów pozostają jednak w górze i nękają armadyjską flotę powietrzną.

Powietrze nad bitwą wydaje się dorównywać gęstością morzu. Jest lepkie i ciągnące się od wyziewów dział, miotaczy ognia i katapult, od gazu strąconych sterowców, od polujących golemów, krwawego pyłu i gejzerów sadzy.

Za każdym ruchem kryje się straszna powolność, solenna staranność. Każdy sztych, każdy miażdżący cios, każda kula wwiercająca się w oko i kość, każde beknięcie ognia rozbijające statek wydaje się precyzyjnie zaplanowane.

Ale to tylko nikczemne pozory.

Tanner widzi w mętnej wodzie kadłuby nieprzyjacielskich statków i setki kształtów dokoła: mknące spiralne jednostki, jednoosobowe batyskafy z muszli gigantycznych nautilusów. Armadyjskie okręty podwodne rozpraszają tę drobnicę,

taranują żelazne flanki okrętów wojennych i wypływają na powierzchnię jak wieloryby.

Tanner nagle znajduje się pośród śmigających ludzi-ryb z Ciepłarni, które wpuściły go do swoich szeregów. Długimi mackami uchwycił chitynowatą muszlę jednego z małych nautilusowych batyskafów. Przez mały iluminator widzi, że załogant patrzy przerażony, myśli, że zwariował, że to jego obłąkany umysł podsuwa mu obraz tej wyjącej dziko twarzy, crobuzońskiej twarzy obrzucającej go w wodzie przekleństwami w jego ojczystym języku, podnoszącej na wysokość jego głowy jakiś rodzaj pistoletu i oddającej strzał.

Strzałka przebija szybę i wwierca się w twarz crobuzońskiego marynarza, wzmocniony grot rozłupuje kość policzkową i podstawę czaszki, aby przyspilić mu głowę do tylnej ściany batyskafu. Tanner Sack wpatruje się w mężczyznę, którego zabił, nie, jeszcze żyje, jego usta wykrzywiają się w skurczu agonii i zgrozy, kiedy morze wdziera się do rozerwanego batyskafu i zatapia go.

Tanner odpywa do tyłu, trzęsąc się gwałtownie, patrząc, jak mężczyzna umiera, patrząc, jak nautilus wypełnia się wodą, zaczyna wirować i idzie na dno.

Martwych i rozszarpanych porzrzucało po pokładach statków i po morzu, jakby byli kawałkami spalonego papieru w przypadkowy sposób rozlokowanymi przez ogień.

Tanner Sack poluje na ludzi.

Dookoła niego statki pikują na dno. Otaczają go konający mieszkańcy jego dawnego kraju. Krwawią i wyrzaskują bąbelki powietrza. Są zbyt głęboko, aby dotrzeć na powierzchnię. Żaden z nich już nigdy nie zaczerpnie powietrza.

Tanner dostaje nagłych torsji, rzygowiny przemocą rozwierają mu gardło i wychlustują na zewnątrz. Do młodości dochodzi poczucie odklejenia od czasu, jakby był pijany lub spał, jakby to było wspomnienie, już teraz, kiedy dopiero się wydarza.

Pod nim przepływają dziwne ciemne stworzenia, które w pierwszej chwili bierze za ludzi-ryby, czyli swoich sojuszników, ale szybko orientuje, że był w błędzie.

Znikają i Tanner nie ma czasu, żeby pozwolić sobie na luksus zastanawiania się, co to było.

Walka toczy się dalej, spazmatycznymi porywami. Z rozdartej burty książkowickiego, nakręcanego statku sypią się koła zębate, ogromni sprężyny i sponiewierane ciała kheprich. Woda wokół statków z Czasów jest lepka od żywicy porozrywanych ludzi-kaktusów. A tam gdzie bomby rozrywają strupodziejów, chmury ich krwi twardnieją w strupowe szrapnele. Hotchi są miażdżeni między kadłubami.

Bestie przywołane przez armadyjskie wiedźmy-raki wbijają pióra w crobuzońskie statki i wrzucają załogi do wody, chwyciwszy marynarzy kłapiącymi szczękami. Jest ich jednak zbyt wiele, żeby nad nimi zapanować i stają się też groźne dla swoich przywoływaczy.

W oparach smogu armadyjskie pociski trafiają w armadyjskie pokłady, a crobuzońskie oszczepy i kule przebijają ciała crobuzońskich żołnierzy.

W różnych momentach bitwy kobiety i mężczyźni podnoszą wzrok i widzą niebo, słońce, przez czerwone chmury, przez wodę, przez błony własnej i cudzej krwi. Niektórzy leżą tam, gdzie padli i konają ze świadomością, że światło nisko zwieszono nad horyzontem słońca jest ostatnim, jakie w życiu zobaczą.

Bo słońce zachodzi. Do zmierzchu została może godzina.

Dwa spośród wielkich armadyjskich parowców wojennych są zniszczone, a jeden ciężko uszkodzony, tylne działa przypominają kończyny powykręcane porażeniem mózgowym. Dziesiątki statków pirackich i mniejszych jednostek poszły na dno.

Z crobuzońskich okrętów wojennych tylko „Pocałunek Darmocha” został unieszkodliwiony. Reszta doznała uszkodzeń, ale walczy dalej.

Crobuzońska flota wygrywa. Klin statków zwiadowczych, pancerników i batyskafów przedarło się przez szyki armadyjskie i prze ku oddalonemu o kilka kilometrów miastu. Bellis obserwuje ich zbliżanie się przez ogromną lunetę na „Wielkim Wschodnim”.

„Wielki Wschodni” jest redutą, sercem miasta.

Trwamy ma stanowiskach! – krzyczy Uther Doul do otaczających go ludzi, do snajperów zagnieżdżonych w olinowaniu.

Nikt nie śmiał zaprotestować. Nikt nie zaproponował, żeby zadać awankowi ostrogę i uciec.

Crobuzońskie okręty wytrzymują kanonadę dział rozmieszczonych na „Sorgo”, choć same nie odpowiadają ogniem. „Nie chcą ryzykować uszkodzenia samej platformy” – zauważa w myślach Bellis. Są teraz dostatecznie blisko, aby widać było poszczególne elementy ich konstrukcji: mostki, wieżyczki, relingi i działa, a także załogi, które przygotowują się, sprawdzają broń, gestykują i ustawiają się w szyku bojowym. Nad pokładem „Wielkiego Wschodniego” unoszą się kłęby kordytu, od którego Bellis łzawią oczy. Rozpoczął się ostrzał z broni małokalibrowej.

To jest zorganizowany desant. Najeźdźcy nie przybijają jak popadnie do rufowego brzegu miasta: utrzymują szyk, w kształcie grota strzały, i płyną prosto do zatoki łodzi wokół „Sorgo”. Crobuzończycy z rozmysłem kierują się ku „Wielkiemu Wschodniemu”.

Bellis odsuwa się od relingu. Na pokładzie w dole kotłuje się od Armadyjczyków gotowych do walki. Bellis uświadamia sobie, że nawała uzbrojonych ludzi odcięła jej drogę ucieczki z nadbudówki.

Jakaś część jej duszy chce pozdrowić Crobuzończyków powitalnym okrzykiem, ale zdaje sobie sprawę, że jej krajanie nie są zainteresowani zabranie jej do domu, że jest im wszystko jedno, czy ona żyje. Jest w rozpaczliwej rozterce, uświadamia sobie, że nie wie, czyjego zwycięstwa sobie życzy.

Odstępując do tyłu, nagle odnosi wrażenie, jakby na kogoś weszła, jakby poczuła w powietrzu jakieś zawirowanie, jakby ktoś szybko stoczył jej z drogi. Bellis wykonuje szybki piruet, uderzona obuchem paniki, ale nie widzi nikogo. Jest sama nad ciżbą uzbrojonych ludzi.

Patrzy w dół i jej wzrok pada na stojącego nieruchomo Uthera Doula.

Z hukiem skałówek crobuzońska marynarka wojenna przystępuje do abordażu. Na styku obu wojsk dochodzi do najkrwawszej jatki. Armadyjczyki puszczają przodem ludzi-kaktusów; żołnierze crobuzońscy mają przed sobą mur ich potężnych, kolczastych ciał. Potężnymi zamachami wojennych toporów ludzie-kaktusy rozłupują przeciwników na pół.

Ale po stronie crobuzońskiej też walczą ludzie-kaktusy i ludzie strzelający z kuszarpaczy dociążonymi, wirującymi chakri, które niby ostrza toporów wbijają się w roślinne mięśnie i kości, odrąbują kończyny i rozcinają włókniste czaszki. Na okrętach najeźdźców są te taumaturgowie, którzy chwytają się za ręce i posyłają w armadyjską ciżbę błyskawice ciemno rozjarzonej energii negatywnej, antyświatła.

Crobuzończycy odpierają Armadyjczyków.

Wokół krępej nadbudówki, na której stoi Bellis, roi się od crobuzońskich marynarzy. Bellis jest sparaliżowana. Chce podbiec do nich, ale czeka. Nie wie, jak się to potoczy. Nie wie, co zrobi.

Na nadbudówce znowu ktoś jest. Wrażenie to pojawia się i znika.

Z ponurą i krwawą nieuchronnością wojska crobuzońskie przesuwają się przed pokład „Wielkiego Wschodniego”.

Umundurowani mężczyźni zbliżają się do Uthera Doula od strony rufy i obu burt. On czeka. Armadyjczycy padają wokół niego jak muchy, spychani, rażeni kulami ze skałkówek, ścinani kaskadą brzeszczotów.

Bellis obserwuje Doula, kiedy ten – otoczony przez zdobywających szybko teren nieprzyjaciół, pistolety, strzelby i szable – w końcu się porusza.

Wydaje z siebie przeciągłe szczeknięcie, dzikie, lecz melodyjne, które nabiera konkretnych kształtów i staje się jego imieniem.

– Doul! – woła, powtarza, wydłuża jak okrzyk myśliwego. – Dooooouuuuuul!

I spotyka się z odzewem. Nie zaprzestając walki, Armadyjczycy podchwytyją okrzyk i imię Doula rozbrzmiewa nad okrętem. Kiedy Crobuzończycy próbują go okrążyć, zbudować wokół niego zagrodę z broni, Uther Doul nareszcie atakuje.

Nagle w każdej dłoni trzyma pistolet skałkowy, wyjęty z kabury na biodrze, unosi je i strzela w różnych kierunkach, każda z dwóch kul rozszarpuje twarz mężczyzny. Zużywszy pociski, rzuca pistoletami, wykonując jednocześnie obrót – ludzie wokół niego jakby znieruchomieli – pistolety mkną przez powietrze, jeden trafia w pierś któregoś z wrogów, drugi innego w gardło, ale Doul ma już w rękach dwie inne skałkówki i znowu strzela jednocześnie – dopiero teraz dwie pierwsze ofiar zakończyły upadek – dwaj kolejni mężczyźni fikają nieestetyczne koziółki, jeden nie żyje, drugi kona. Doul wykonuje piruet skałkówki znowu są pociskami, odbierają dwóm mężczyznom przytomność.

Każdy ruch Doula jest doskonały: bezbłędny i prostoliniowy. Żadnego nadmiaru, żadnych zakrzywień.

Otoczający go ludzie zaczynają wrzeszczeć, ale napiera na nich od tyłu taran kolegów. Ociężale zbliżają się do Doula, który jest w powietrzu z ugiętymi nogami, wiruje pośród gradu pocisków. Strzela z nowych skałkówek, rzuca nimi w twarze kolejnych wrogów i dopiero wtedy ląduje. Trzyma w dłoni ostatni pistolet, strzela z niego do jakiejś struchlałej twarzy, ciska nim i wykonuje zaczerpnięte z repertuaru walki tupanej kopnięcie w powietrzu, które miażdży nos człowieka-kaktusa i spycha go na ciała jego crobuzońskich kamratów.

Bellis patrzy, oddycha ciężko, nie rusza się. Wszędzie indziej walka jest brzydka: przypadkowa, chaotyczna i głupia. Fakt, że Doul potrafi uczynić ją piękną, budzi w niej grozę.

Doul na chwilę nieruchomieje, kiedy oddziały crobuzońskie przegrupowują się i biorą go w okrążenie. Został otoczony. A potem jego ceramiczny brzeszczot świeci niby polerowana kość.

Pierwszy sztych jest precyzyjny, za szybki dla oka, wbija się w gardło i cofa w gejzerze żywicy, topiąc człowieka-kaktusa w jego własnym życiu. Potem okrążenie się zacieśnia, Uther Doul znowu woła swoje imię, bez śladu strachu, zmienia postawę i sięga do przywieszzonego u pasa silnika, uruchamiając Miecz Możliwości.

Rozlega się trzask podobny do wyładowania elektrycznego. Bellis nie widzi wyraźnie prawego ramienia Doula, które wydaje się migotać, opalizować. Wyskoczyło z kolein czasu.

Doul porusza się – tanecznie – i ustawia twarzą ku ciżbie napastników. Lewe ramię odgina się do tyłu ze swobodnym, małym wdziękiem, a prawe szokująco szybko unosi do góry. Miecz rozkwita.

Jest płodny, jest przepelniony, sypie echami. Doul ma tysiąc prawych ramion, tnących w tysiąc stron. Niby jakieś osłupiająco skomplikowane drzewo, uzbrojone w miecz ramiona rozrastają się we wszystkich kierunkach, solidne i upiorne.

Niektórych właściwie nie widać, niektóre są całkiem nieprzezroczyste. Wszystkie poruszają się z prędkością nadaną im przez Doula, wszystkie dzierżą jego miecz. Zachodzą na siebie i przenikają się nawzajem – i zadają kąśliwe ciosy. Doul macha mieczem od lewej do prawej i od prawej do lewej, w dół i do góry, dźga, paruje i rąbie wszystko naraz. Sto ostrz odbija każde natarcie wrogów, a wielokrotnie więcej brutalnie kontratakuje.

Jego nieprzyjaciele są porznięci palimpsestem monstualnych ran Doul uderza, po czym krew i wrzaski buchają wokół niego niewiarygodnymi erupcjami. Crobuzońscy marynarze zastygli. Przez moment patrzą, jak ich towarzysze broni padają w objęcia krwawej śmierci. A Uther Doul znowu się porusza.

Woła swoje imię, obraca się, skacze i zwija w kulę, kopie i wiruje, zawsze w ruchu, i wszędzie zadaje ciosy Mieczem Możliwości. Jest otoczony, spowity, niemal zasłonięty przez prawie-miecze. Jego szarą zbroję ledwo widać przez półprzezroczystą ścianę jego ataków. Uther Doul jest jak duch, jak bóg zemsty, jak najeżony brzeszczotami zabójczy wiatr. Przemieszcza się przez szeregi mężczyzn, którzy dokonali desantu na jego statek, i wzbija tumany ich krwi, konających, kończyny i głowy turlające się po pokładzie. Jego zbroja jest czerwona.

Bellis przez moment widzi jego twarz. Szpeci ją warkot dzikiego zwierza.

Crobuzończycy padają jak muchy i strzelają ze swojej broni jak dzieci.

Jednym ciosem, który zadaje niezliczone rany, Doul rozcina kobietę-taumaturga, która próbuje go spowolnić, jej ulatniająca się moc doprowadza jego krew do wrzenia. Obala zwałistego człowieka-kaktusa dzierżącego tarczę, która odpiera wiele setek ataków Doula, lecz nie może ochronić Crobuzończyka przed nimi wszystkimi. Morduje miotacza ogniem, którego zbiornik z pirotycznym gazem pęka i wybucha, jeszcze zanim twarz marynarza zostaje rozplątana. Każdy cios miecza oznacza niezliczone rany.

– Na wszystkich bogów... – szepcze Bellis do siebie, nie słysząc tego. – Niech Jabber ma nas w swojej opiece...

Jest porażona.

Uther Doul włączył Miecz Możliwości na niecałe pół minuty.

Po zgaszeniu silnika odwraca się do pozostałych przy życiu crobuzońskich marynarzy i nieruchomieje ze spokojem na twarzy. Zimna, nieruchoma kamienność jego prawego ramienia jest szokująca. Doul wygląda jak jakiś potwór, jak jakiś posoczny upiór. Oddycha głęboko mokry, lepki, ociekający cudzą krwią. Uther Doul woła swoje imię, zdyszany, dziko triumfujący.

[Niewidoczny](#) w cieniu Bellis mężczyzna odsuwa posążek od ust.

Jest przerażony. Jest przejęty zgrozą. „Nie wiedziałem” - myśli gorączkowo. „Nie wiedziałem, że może tak być...”

Mężczyzna najpierw widział, jak jego wyzwoliciele wtargnęli na pokład, widział, jak powoli przełamywali opór przeciwnika, zdobywając „Wielki Wschodni”, przejmując

kontrolę nad tym okrętem, sercem Armady... A później widział, jak w parę sekund padają zakrwawieni i unicestwieni przez Uthera Doula.

Zerka w panice ku fregatom wciśniętym między „Sorgo” a miasto, po czym znowu całuje się z posążkiem i czuje, jak rzeźba pluje w niego swoją moc. Mężczyzna rozważa podbiegnięcie do krawędzi nadbudówki i przedostanie się nad ciałami w dole na któryś z crobuzońskich statków.

– To ja! – mógłby zawołać. – Jestem! To dzięki mnie przybyliście tutaj! Płynmy, uciekajmy, wynośmy się stąd!

„Nie pokona ich wszystkich” - myśli. Patrzy na skąpaną w czernieni postać Uthera Doula i wraca mu odwaga. „Nawet z tym przeklętym mieczem jest ich za dużo, a statki armadyjskie jeden po drugim idą na dno. W końcu dotrze tutaj więcej oddziałów crobuzońskich i będziemy mogli odpłynąć”. Odwraca się i patrzy w morze, gdzie okręty wojenne dobijają resztki armadyjskiej floty.

Znowu szykuje się do przeskoku, ale zauważa coś niepokojącego.

Legiony holowników i parowców, które otaczały Armadę niby aureola, które przez dziesięciolecia ciągnęły miasto, aby ostatnio stracić pracę na rzecz awanka, zaczynają się odrywać od orbity miasta i płynąć w stronę crobuzońskiej floty.

W ciągu minionych kilku godzin uwijające się jak w ukropie załogi przekwalifikowały je: ustawiły na nich działa, załadowały je po brzegi czarnym prochem i środkami wybuchowymi, harpunami, komórkami flogistonowymi, armatami i bolcami, które zostały prowizorycznie przyspawane, przynitowane, przylutowane i przyśrubowane. Żaden z nich nie jest okrętem wojennym, żaden z nich nie ma szans w starciu z pancernikiem, ale jest ich tak wiele.

Pogardliwa salwa z „Porannego Wędrowca” zmiata jeden z nich ale za nim płynie całe ich mnóstwo.

Twarz niewidocznego mężczyzny zastyga w wyrazie przerażenia „Nie pomyślałem...” - zająkliwie mówi do siebie w duchu. „Nie pomyślałem o nich”.

Powiedział swemu rządowi wszystko - ostrzegł przed nauskopistami, żeby crobuzońscy meteoromanci ukryli zbliżanie się swojej floty; przed statkami powietrznymi, żeby przygotowano golemy; poinformował, z iloma statkami przyjdzie się zmierzyć. Siłę ekspedycji tak skalkulowano, żeby pokonała armadyjską marynarkę wojenną, na której temat mężczyzna zebrał i przekazał szczegółowe dane. Nie przyszło mu jednak do głowy, aby uwzględnić w rachubach te bezużyteczne, pokancerowane wiekiem holowniki, parowce, trawlerzy i frachtowce. Nie wyobraził ich sobie zuchwale wyładowanych środkami wybuchowymi. Nie pomyślał, że mogą pomknąć po wodzie ku pancernikowi czy okrętowi wojennemu i ostrzeliwać go ze swoich, pożał się Boże, dział jak agresywne dzieci. Nie wyobraził sobie, że ich załogi w ostatniej chwili zeskoczą z ruf do wody, wsiądą na tratwy i szalupy ratunkowe i będą patrzyły, jak ich porzucone jednostki walą w burty crobuzońskich okrętów, jak eksplodując, rozrywają grube na kilkanaście centymetrów żelazo.

Na zachodzie ciągną się smugi brudnych kolorów i słońce stoi bardzo nisko na niebie. Załogi dwóch sterowców czekających koło „Uroca” z Pragnieniowic niecierpliwą się.

Brucolac i jego kadra wampirów wkrótce się zbudzi i będzie gotowa do walki.

Ale w rufowej części miasta coś się zmienia. Crobuzończycy, którzy dokonali desantu, wytrzeszczają oczy ze zdumienia i zgrozy,

Armadyjczycy zaś patrzą z żarliwą nadzieją.

Holowniki i parowce nadal prują fale w stronę nadpływającej crobuzońskiej – mkną ku okrętom wojennym na przegrzanych maszynach, ster prosto, cała naprzód – po czym, pojedynczo albo dwójkami taranują jednostki wroga. Kilka tryska do góry fontannami metalu i ludzkiego ciała jeszcze przed dotarciem do potencjalnej ofiary, ale jest ich tak wiele.

Po uderzeniu o strzelistą burtę okrętu dzioby opustoszałych holowników i trawlerów ulegają zmiżdżeniu i odskakują. W tym momencie ich rozgrzane do czerwoności maszyny eksplodują, co powoduje zapalenie się umieszczonej w maszynowniach ropy, prochu strzelniczego lub dynamitu. Buchając paskudnymi, oleistymi płomieniami, bluzgając wielkimi kłębamii dymu i przeciągłymi wybuchami, które trwonią część energii na bezużyteczny huk, statki wylatują w powietrze seriami mniejszych eksplozji zamiast jedną solidną.

Ale nawet tak niedoskonałe torpedy zaczynają wybijać dziury w crobuzońskich okrętach wojennych.

Daleko za nimi rozbita flota armadyjska zaczyna się przegrupowywać. Okręty Nowego Crobuzon są spowalniane i stopniowo niszczone przez nawałę złożonych w ofierze statków. Armadyjskie zaś gromadzą wokół siebie flotę i zaczynają strzelać do sparaliżowanego wroga.

Morze roi się od szalup ratunkowych: uciekinierzy z porzuconych statków płyną ku okrętom. Załogi wiosłują gorączkowo, omijając statki Armady, które płyną do boju. Niektórym się to nie udaje: niektóre są miażdżone i idą na dno; niektóre są zatapiane przez ogromne, zabarwione krwią fale; niektórymi szarpią wybuchy ładunków głębinowych; w niektóre trafiają kule armatnie. Wiele szalup ucieka jednak na spokojniejsze wody w pobliżu Armady, załogi patrzą, jak ich brzydkie małe holowniki rąbią w najeźdźców i eksplodują.

Ci niespodziewani napastnicy – absurdalna, marnotrawna metoda obrony – zatrzymali Crobuzończyków, kolejne statki stawały w ogniu i roztapiały żelazne burty trzonu floty.

Okręty wojenne zostały zatrzymane.
„Poranny Wędrowiec” tonie.

Rozlegają się wiwaty, narasta wrzask zaskoczonych triumfu, z rufowej części Armady, skąd obywatele widzą, co się dzieje na morzu, zaledwie kilka kilometrów dalej.

Triumfalny ryk podchwyting kolejni mieszkańcy, a od nich następni, i jeszcze następni. Rozlewa się po całym mieście. Po upływie niecałej minuty w najgłębszych zakamarkach Pragnieniowic, Ałozowic i Pamięcioimpulsowni po drugiej stronie Armady ludzie wrzeszczą w ekstatycznej radości, chociaż nie są pewni, co ma ich cieszyć.

Crobuzońscy marynarze przyglądają się temu wszystkiemu z bezmierną zgrozą. W boku „Porannego Wędrowca” wykwiła wielka dziura. Kolejne stateczki wałą w niego i wybuchają, już kiedy zaczyna nabierać przechyłu, już kiedy jego majestatyczny kształt zaczyna się osuwać, pokład odchyła się od poziomu i spanikowane figurki wskakują do wody. Eksplozje trwają do chwili, kiedy rufa nagle idzie do góry i z potwornym hukiem odłamuje się, rzygając do morza ludźmi metalem i całymi tonami węgla.

Crobuzońskie załogi widzą, że szanse na powrót do domu znikają. Armadyjczyacy znowu podnoszą krzyk radości, kiedy wielki kształt przewraca się na bok ze smutkiem i żalem przepajającym każde drgnienie, pluje ogniem i zostaje wessany pod wodę.

Crobuzoński okręt flagowy zatonął.

Spanikowane pozostałe okręty za wcześniej zaczynają ostrzeliwać Aradę, kotłując morze, skutkiem czego miasto kołysze się jak podczas burzy. Ale niektóre mniejsze pancerniki dopłynęły już dostatecznie blisko – ich ciężkie pociski gruchoczą maszty i rozdzierają tkanę miasta.

Jedna z bomb spada na Targ Zimowej Słomy, rozrywając wianuszek straganiarskich łodzi. Dwa pociski śmigają złowieszczo nad głową i wybijają dziurę w boku „Pinchennarna”, skutkiem czego setki płonących ksiąg bibliotecznych sfruwają do wody. Statki toną spinające je pomosty pękają.

Angevine i Szekel nawzajem dodają sobie otuchy, ukrywając się przed niedobitkami crobuzońskiego desantu. Twarz Szekla krwawi obficie.

Ale choć te ataki są straszne, tylko okręty wojenne mogłyby zniszczyć miasto, które znajduje się jednak poza zasięgiem ich dział. Są nękane, powstrzymywane, rozbijane przez nawałę wypełnionych prochem strzelniczym holowników. Ciągłe napływają kolejne armadyjskie statki. Po tym, jak piąta eksplozja wstrząsa dziobem „Zguby Suroch”, okręt zaczyna wierzgać, pękać, przechylać się, tonąć.

Pancerniki i statki zwiadowcze kłębią się wokół niego troskliwie i bezpożytecznie, jak trutnie wokół konającej królowej. Na skutek wznowionego ostrzału ze strony niedobitków armadyjskiej floty, ale przede wszystkim pod wpływem nieoczekiwanych samobójczych ataków tych przekwalifikowanych parowców, crobuzońskie okręty wojenne jeden po drugim idą na dno.

Na nadbudówce „Wielkiego Wschodniego” mężczyzna wydaje z siebie nieme wrzaski zgrozy.

Napina się i całuje posążek z gorączkową pasją, po czym szykuje się do skoku wprzód i w dół, po uprzednim nieznacznym skondensowaniu przestrzeni, żeby wylądować na fregacie, która z dygotem odbija od brzegu, ale mężczyzna nieruchomieje, uświadomiwszy sobie coś straszego.

Patrzy, jak ostatnie dwa okręty wojenne, roztrzęsione od ataków, palą do swoich dręczycieli ze swych diabelskich dział. Ale chociaż zatapiają kilka armadyjskich jednostek, niemiłe eksplozje wstrząsające ich burtami trwają aż do chwili, gdy crobuzońskie okręty idą na dno.

Węgiel najeżdźców zatonął. Mężczyzna patrzy na to odrętwiały. Nie ma już sensu zeskakiwać na fregatę czy płynąć wplaw na inny ojczysty statek. Nawet jeśli Armadyjczycy nie zniszczą ich wszystkich co do jednego, nawet jeśli parę chyżych pancerników ucieknie, to znajdują się na środku Wezbranego Oceanu, białej plamy na mapie, prawie trzy tysiące kilometrów od najbliższego lądu i dwa razy tyle od kraju. Po kilkuset kilometrach kotły wystygną i crobuzońskie statki zatrzymają się.

Nie mają żagli. To koniec.

Nie ma dla nich nadziei.

Misja ratunkowa nie powiodła się. Mężczyzna wciąż jest w niewoli.

Patrzy w dół i z tępym zdziwieniem zdaje sobie sprawę, że znowu jest w jednej fazie z przestrzenią Bellis. Gdyby się teraz odwróciła, zobaczyłaby go. Mężczyzna odrętwiało całuje posążek i znika.

Zapadł zmierzch i sterowce z Pragnieniowic nareszcie wystartowały, każdy z krwiożerczą załogą na pokładzie. Sunęli nisko i szybko nad fusami bitwy. Wampiry.

Gotowe do akcji. Smagając długimi językami nocne powietrze, w oczekiwaniu na okazję.

Ale byli za późno. Bitwa się skończyła.

Latające maszyny bezproduktywnie kręciły się nad wodą zapaskudzoną pyłem węglowym, powykręcany metal, kwas, ropą naftową, tu i ówdzie opalizującą plamą skalnego mleka, żywicą i wielo galonami krwi.

Rozdział trzydziesty siódmy

Z początku miasto wezbrało wycieńczonym zachwytem, rodzajem obdarłej, okaleczonej euforii.

Nastrój ten nie utrzymał się długo. W kolejnych dniach Bellis miała dotkliwą świadomość panującej dokoła ciszy. Armada milczała. Ucichła zaraz po bitwie, kiedy ryki triumfu zgasły i ludzie uświadomili sobie skalę zniszczeń.

W noc po rzezi Bellis nie spała. O świcie wyszła na ulicę razem z tysiącami innych obywateli i chodziła otepiała po mieście. Jego topografia uległa różnym przeobrażeniom. Statki, na których kupowała papier czy piła herbatę albo przez które setki razy bezrefleksyjnie przechodziła, poznikały.

Croom Park pozostał nietknięty. Nic się też nie stało „Chromolitowi”, „Tolpandy” i oczywiście „Wielkiemu Wschodniemu”.

Bezpośrednio po bitwie Bellis wielokrotnie wyłaniała się z za rogu w jakimś labiryncie zaułków – albo przekraczała drewniany pomost czy wychodziła na jasno oświetlony plac – i widziała ludzi oplakujących swoich zmarłych. Niektórzy wpatrywali się w jakiś bolesny ślad po walce – w sfałowaną wodną dziurę po swoim statku mieszkalnym, rumowisko placu targowego, kościół zmiażdżony przez złamane maszyny.

„To niesprawiedliwe – pomyślała trawiona wyrzutami sumienia Bellis – że tak niewielu miejscom uczęszczanym przez mnie stała się krzywda. Jakim prawem?” Jej przecież nawet na nich nie zależało.

Ogromna rzesza Armadyjczyków poniosła śmierć. Było wśród nich kilku członków rady Bud i królowa Braginod z Czasów. Rada wybrała w głosowaniu nowych członków, a piecza nad Czasami bez zbędnych ceregieli przeszła na Dynicha, brata Braginod. Nikogo to szczególnie interesowało. Armada zostawiła w morzu tysiące ciał.

Ludzie zerkali na „Sorgo” i mruzczyli, że gra nie jest warta świeczki.

Bellis wędrowała przez spustoszony miejski krajobraz jak we śnie. Nawet tam, gdzie nie spadły żadne pociski, napięcia spowodowane przez wierzganie morza ciężko pouszkadzały architekturę. Łuki popękały, ich zworniki spoczęły na dnie morza. Pożary zrobiły swoje. Wąskie uliczki runęły w gruzy, rzędy domów, które zdawały się opierać o siebie, przemieszczały się, zderzały ze sobą, dachy pękały i budynki waliły się. Miasto doznało wielu szkód, które na lądzie nie byłyby możliwe.

Podczas swoich spacerów Bellis usłyszała setki historii: podrasowane opowieści bohaterskie i makabryczne opisy okaleczeń. Zaczęła nieśmiało szperać za konkretnymi informacjami. Motywowana niezrozumiałą dla niej samej ciekawością – w tych godzinach czuła się jak automat, poruszała się bez udziału swojej woli – wypytywała o los innych pasażerów „Terpsychorii”.

Krążyły sprzeczne wiadomości na temat pań Cardomium. Do Bellis dotarły też wieści o tych członkach załogi, którzy wciąż siedzieli w więzieniu, bo jeszcze nie ufano ich armadyjskiemu patriotyzmowi, bo jeszcze nie pogodzili się z

uprowadzeniem. Słyszała, że kiedy rozpoczął się ostrzał, na statkach więziennych przed dziobem Niszczukowód wybuchła potężna wrzawa: osadzeni co tchu w płucach wołali do swoich rodaków, żeby ich uwolnili.

Ale desant nawet nie zbliżył się do więzień i okrzyki pozostały bez odpowiedzi.

Siostra Meriope nie żyła. Wstrząsnęło to Bellis, ale jakoś dziwnie, abstrakcyjnie, jakby zobaczyła nieznany jej wcześniej kolor. W bitewnym chaosie ze szpitala dla obłąkanych uciekło kilkoro pacjentów, między innymi Meriope. Wydatnie brzuchata zakonnica przedostała się na rufowy skraj miasta i zaczęła biec ku crobuzońskim oddziałom desantowym, wykrzykując ekstatyczne pozdrowienia – i została zastrzelona. Nie sposób było ustalić, od czyjej padła kuli.

W słyszanych przez Bellis opowieściach scenariusz ten pojawi się wielokrotnie – stanąwszy przed niespodziewaną szansą powrotu do kraju, uprowadzona osoba usiłowała przejść na drugą stronę i przypląciła to życiu. Wyglądało na to, że zginęło w ten sposób wielu pasażerów „Terpsychorii”. Nawet jeśli ich liczba była zawyżona drastyczne szczegóły podkoloryzowane gwoili przestrogi – „taki spotka cię los, jeśli będziesz niełojalna” – Bellis była przekonana, że wielu jej dawnych rodaków istotnie straciło w ten sposób życie. Co do jednego nie miała wątpliwości – konstatacja ta nie wymagała zresztą wielkiej bystrości umysłu – że gdyby poszukała schronienia wśród oddziałów crobuzońskich, wcale nie byłaby bezpieczna. Już dawno postanowiła, że jeśli wróci do kraju, to na swój sposób. Zdawała sobie sprawę, że rządowi crobuzońskiemu nie zależy na tym, by przeżyła. Uciekła przecież przed nim i miała po temu dobre powody.

Podczas bitwy ogarnął ją uczuciowy paraliż, nie umiała zdobyć się na to, aby życzyć zwycięstwa którejś ze stron. Oglądała walkę jak przypadkowy widz meczu bokserskiego. Po triumfie Armady nie czuła ani ulgi, ani radości, ani rozpaczy.

Po zatonięciu okrętów wojennych pozostałe okręty floty Nowego Crobuzon odplynęły na północny zachód. Uciekły w panice, zbyt przerażone, żeby wywiesić białą flagę i błagać Armadyjczyków o wpuszczenie do portu. Crobuzończycy pierzchli, wmawiając sobie, że jest dla nich nadzieja, że dotrą do jakiegoś lądu. Wszyscy wiedzieli, że czeka ich śmierć.

Zwycięzcy zdobyli trzy crobuzońskie pancerniki i fregatę. Szybko wpleciono je w tkankę miejską Armady, ale tylko w niewielkim stopniu zrekompensowało to utratę dziesiątków jednostek. Znaczną część floty – dwa okręty podwodne i połowę pospiesznie przekwalifikowanych parowców – poświęcono dla zniszczenia okrętów wojennych. Nie było już „Trójzębu” i tuzinów mniejszych statków powietrznych. Wielki aerostat obsiadły golemi, ściągając go na dół w strefę wymiany ognia, który zerwał z niego skórę i potrzaskał mu szkielet.

Powrót do miasta z parowców-samobójców zajął rozbitkom wiele godzin – wiosłowali w pontonach ratunkowych, płynęli wplaw, trzymali się desek z rozbitych statków. Taumaturgowie i inżynierowie pracujący na dnie „Wielkiego Wschodniego” na ponad dobę zredukowali prędkość awanka. Zwierzę tępo płynęło przed siebie, a krwiożerczy chaos na górze nie zmacił mu spokoju.

Wśród rozbitków, którzy dotarli do miasta, siłą rzeczy trafiali się crobuzończycy. Być może paru co bardziej przedsiębiorczych zdjęło ubrania ze zwłok Armadyjczyków i wkradło się do nowego życia jako marynarze wszyscy co najmniej znośnie władali językiem salt. Większość przeżyła jednak zbyt wielką traumę, żeby kombinować, toteż wieczorem po bitwie na pokładach Armady zaczęli się pojawiać crobuzońscy marynarze, w przemokniętych, zniszczonych mundurach, sponiewierani strachem. Bardziej bali się utonięcia niż armadyjskiej zemsty.

W tych trudnych dniach zaraz po wojnie, pod niebem zasnutym czerwonymi i czarnymi dymami, ci przerażeni marynarze wywołali kryzys polityczny. Jak można się było spodziewać, Armadyjczycy wyładowywali swoją wściekłość na umęczonych jeńcach. Nowych przybyszów bito i chłostano – niektórych ze skutkiem śmiertelnym – a ich dręczyciele wykrzykiwali imiona swoich poległych przyjaciół. Ale w końcu górę wzięło zmęczenie, rozpacz i odrętwienie. Crobuzończyków umieszczono pod pokładami „Wielkiego Wschodniego”. W końcu dzieje Armady były zbudowane na asymilacji obcych i wrogów – po każdej bitwie, po każdym zdobyciu statku.

Tutaj okoliczności były bezprecedensowo burzliwe i makabryczne, ale nie ulegało kwestii, co należy zrobić z ujętymi nieprzyjaciółmi. Podobnie jak w wypadku „Terpsychorii” z ludzi podatnych na perswazję miano uczynić Armadyjczyków.

Tyle że tym razem Kochankowie podjęli inną decyzję.

Wrócili z bitwy rozjuszeni i naelyktryzowani, w uniesieniu, poznaczeni przypadkowymi ranami, które nie znajdowały swego odpowiednika u partnera – naprawa tego stanu rzeczy miała potrwać wiele nocy. Cały okręg, całe miasto było wstrząśnięte, kiedy wyciekła informacja, że Kochankowie chcą usunąć Crobuzończyków z Armady.

Na pospiesznie zwołanym wiecu, który odbył się na pokładzie „Wielkiego Wschodniego”, Kochanka przedstawiła swoje stanowisko. W płomiennej oracji przypominała swoim współobywatelom, że jeńcy i ich rodacy pomordowali członków ich rodzin, zbombardowali miasto, zniszczyli połowę armadyjskich statków. Nigdy wcześniej nie było tylu uprowadzonych do przyjęcia na pokład w jednym rzucie. Zasoby uszczuplone, Armada osłabiona, Nowe Crobuzon wypowiedziało wojnę – jak można próbować wchłonąć tak wielu nieprzyjaciół?

Ale wielu obecnych Armadyjczyków niegdyś było wrogami. Od zarania dziejów miasta obowiązywała zasada, że po ustaniu walki ma konfliktu z szeregowymi żołnierzami nieprzyjaciela. Należy ich przygarnąć i jeśli się uda, dokonać w nich przemiany, uczynić z nich obywateli. Bo czymże jest Armada, jeśli nie kolonią zaginionych, renegatów, dezertów, pokonanych w boju?

Crobuzońscy marynarze dygotali w swoich celach, nieświadomi burzy, jaka się wokół nic rozpętała.

To nie byłoby morderstwo, dowodziła Kochanka. Jeńców wsadzonoby na statek, odpowiednio ich zaopatrzwszy, i skierowano ku Bered Kai Nev. Całkiem niewykluczone, że dotrą do celu.

Ale to był lichy argument.

Zmieniła taktykę, przekonując ze złością, że po złapaniu awanka miasto musi płynąć dalej, że ma możliwość dotrzeć do miejsc, o których Armadyjczycy wcześniej nawet nie marzyli, dokonać rzeczy niewyobrażalnych, i że marnowanie zasobów na wycieranie nosa tysiacyom płacziwym przybyszom – morderców – to czystej wody idiotyzm.

Mimo że rany wciąż krwawiły, mimo że wspomnienie wojny wciąż dotkliwie bolało, nastroje tłumu obracały się przeciwko Kochance. Nie przekonała ludzi. Pozostali władarze przyglądali się bez słowa.

Bellis zrozumiała. Stanowisko zgromadzonych nie brało się z tego, że darzyli jeńców miłością litością czy współczuciem. Im nie chodziło o rannych żołnierzy gnieźdzących się w ciasnych ładowniach pod pokładem, im chodziło o ich miasto. „Tu jest Armada” – mówili. „Temu zawdzięcza swoją tożsamość. Jeśli to zmienimy, to skąd będziemy wiedzieli, kim jesteśmy? Skąd będziemy wiedzieli, jak żyć?”

Jedną oracją Kochanka nie mogła zdławić wielu stuleci tradycji – tradycji, na której miasto opierało swoje przetrwanie. Kochanka była na scenie sama i

przegrywała w tym sporze. Bellis nagle zadała sobie pytanie, gdzie jest Kochanek i czy podziela pogląd partnerki.

Wyczuwając nastrój niezadowolenia, ci spośród zebranych, którzy zgadzali się z argumentacją Kochanki, spontanicznie wzniesli okrzyki poparcia, nawołując do zemsty na jeńcach. Szybko zagłuszyły ich jednak głosy sprzeciwu.

Osiągnięty został jakiś punkt krytyczny. Nagle stało się oczywiste, że zgromadzeni nie pozwolą na zamordowanie Crobuzończyków, nawet powolną, niby miłosierną metodą zaproponowaną przez Kochankę. Nikt nie miał wątpliwości: trzeba będzie rozpocząć długi, czasem łatwy, czasem okrutny proces uobywatelniania uprowadzonych, uwięzionym pod pokładem ludziom trzeba będzie poświęcić wiele miesięcy starań i w końcu wielu z nich – choć nie wszyscy – pogodzi się z nowym życiem. Niepogodzeni pozostaną w więzieniu i dopiero w ostateczności, po długich działaniach perswazyjnych, być może zostaną straceni.

– Po co, kurwa, ten pośpiech? – krzyknął ktoś z tłumu – I gdzie wy nas, kurwa, ciągniecie?

W tym momencie Kochanka skapitulowała, szybko i z gracją. Wzruszywszy ramionami z teatralną pokorą oznajmiła, że odwołuje swój rozkaz. Nagrodziły ją wiwaty publiczności, która wciąż była gotowa wybaczyć jej wysuniętą w gniewie niedobrą sugestię. Kochanka nie odpowiedziała na agresywne pytanie.

Bellis przypomniała sobie, że niemal natychmiast dostrzegła w tym moment osiowy. „To była chwila – mówiła sobie w późniejszych tygodniach – kiedy wszystko się zmieniło”.

Statki, które doznały zbyt wielkich uszkodzeń, żeby pływać, zostały wpięte w miasto i ciągnął je niestrudzony awanck. Poruszał się jednostajnym tempem, bez nagłych szarpnięć i narowów, z prędkością nieco przekraczającą pięć węzłów.

Na północ.

W tych dniach odbywały się nabożeństwa za zmarłych: składano im hołd, głoszono homilie, wnoszono modły. Rozpoczęła się odbudowa. Skrzypiały żurawie. Ekipy zgaszonych robotników przystąpiły do remontu uszkodzonych budynków wszędzie tam, gdzie było to możliwe, przywracając stan poprzedni, a tam, gdzie nie było to możliwe, dokonując zmian. W tych strasznych dniach Armada nie kipiła życiem i radością. Wciąż krwawiła, jeszcze się nie zablizniła.

Ludzie zaczęli stawiać pytania. Delikatnie, bardzo ostrożnie, zaczęli obmacywać rany na duszy, zostawione przez wojnę okaleczenia. I wtedy zrodziły się straszne wątpliwości.

„Po co przyptynęli?” – mówili ludzie do siebie i do innych, kręcąc głowami i ze spuszczonego wzrokiem. „I jak nas, do cholery, znaleźli na drugim końcu świata?”

„Czy mogą zrobić to jeszcze raz?”

W tym powoli pączkującym klimacie gniewu i dociekliwości wyrosły kwestie szersze niż niedawna wojna. Każde pytanie prowadziło do następnych.

„Czym zwróciliśmy na siebie ich uwagę?”

„Co my robimy?”

„Dokąd płyniemy?”

Z upływem dni i bezsennych nocy odrętwienie Bellis zaczęło ustępować. Od zakończenia bitwy właściwie z nikim nie rozmawiała, z nikim się nie spotkała. Uther Doul radził sobie bez niej. Nie szukała towarzystwa Carrienne czy Johannaesa. Poza przesiewaniem plotek, które pieniały się jak chwasty, Bellis przez wiele dni prawie się nie odzywała.

Na drugi dzień po walce zaczęła myśleć. Coś się w niej ocknęło i spojrzała na zdewastowane miasto z pierwszym silniejszym uczuciem, jakiego doznała od dłuższego czasu – ze śmiertelną zgrozą. Z zaskoczeniem stwierdziła, że jest przerażona.

Podniósłszy oczy ku słońcu, poczuła drgnienia emocji, niepewności i strasznych pewności, które w sobie magazynowała.

– O bogowie. O bogowie.

Tak wiele wiedziała. Tak wiele spraw było teraz dla niej jasnych – i to w większości spraw tak strasznych, że na razie bała się z nimi zmierzyć, na razie nie mogła o nich myśleć. Nosila w sobie zrozumienie i wiedzę, ale uciekała przed nimi jak przed jakimś dręczycielem.

Tego dnia Bellis jadła, piła i spacerowała, jakby nic się nie zmieniło, ale podobnie jak inne sponiewierane istoty wokół niej, ruchy miała szarpane i niezdarne. Tylko od czasu do czasu krzywiła się – mrugała powiekami, syczała i zaciskała zęby – gdy zgromadzona w jej wnętrzu wiedza drgnęła. Bellis była nią brzemienna – i desperacko ignorowała to grube, diabelskie dziecko.

W głębi duszy wiedziała, że nie potrafi zdławić w sobie tej wiedzy, ale grała na czas, nie werbalizowała, odganiała noszone w sobie zrozumienie gniewnym, wystraszoną: „Nie teraz, nie teraz...”

Obserwowała zachód słońca przez nierówno wyrżnięte w blasze okna i ślęczała nad listem, próbując zebrać się do napisania o bitwie.

Nie wiedziała, co ze sobą począć. O dziesiątej usłyszała nieśmiałe pukanie i kiedy otworzyła drzwi, stał za nimi Tanner Sack.

Podczas walki został poraniony. Twarz miał pociętą, rany zakażone. Nie widział na lewe oko, bo za bardzo mu spuchło. Brzydkie macki przybandażował do piersi, z której wyrastały. W ręku trzymał pistolet, z którego mierzył w twarz Bellis. Dłoń była stanowcza.

Wpatrywała się w wylot lufy. Spasione, nienawistne zrozumienie, które w sobie wykarmiła, wyskoczyło z niej niepowstrzymanie. Znała prawdę. Wiedziała, dlaczego Tanner Sack jest gotów ją zabić. Miała też znużoną świadomość, że gdyby nacisnął spust, to w ciągu ułamka sekundy między hukem wystrzału a rozerwaniem jej mózgu przez kulę nie miałyby do niego pretensji.

Rozdział trzydziesty ósmy

– Jesteś morderczynią, ty pizdo!

Bellis przytrzymała się oparcia krzesła, dysząc i łzawiąc z bólu. Tanner Sack uderzył ją raz, mocny cios wierzchem dłoni rzucił nią o ścianę. Wyładował w ten sposób chyba cały swój fizyczny gniew i teraz czuł się na siłach tylko mówić do niej z nienawiścią. Dalej trzymał pistolet wymierzony w jej głowę.

– Nie wiedziałam – powiedziała Bellis. – Przysięgam, na Jabbera, że nie wiedziałam.

Nie czuła strachu, tylko gęsty wstyd i zamęt, który sprawiał, że mówiła bełkotliwie.

– Ty szmato pierdolona – wyzywał ją Tanner, niezbyt głośno. – Ty jędzo, ty pizdo, ty pizdo, pies cię jebał...

– Nie wiedziałam – powtórzyła. Pistolet ani drgnął.

Tanner znowu obrzucił ją długim stekiem inwektyw, a ona tym razem mu nie przerywała. Postanowiła poczekać, aż się zmęczy. Przeklinał ją długo, po czym nagle zmienił temat i przemówił prawie normalnym tonem.

– Tyle trupów. Tyle krwi. Byłem pod wodą, wiesz o tym? Pływałem w niej – wyszeptał. – Pływałem w zasranej krwi. Zabijali ludzi takich jak ja. Matołki z Nowego Crobuzon, które mogłyby być moimi kumplami. A gdyby zwyciężyli, gdyby zdobyli miasto, to zabijanie by nie ustało. Ja płynąłbym teraz do kolonii. Prze-tworzony niewolnik... Szekel, mój chłopak – powiedział spokojniejszym tonem. – znasz Szekla, nie? – Spiorunował ją wzrokiem. – Parę razy ci pomógł. On i jego pani, Angevine, zaplątali się w strefę walk. Ange da sobie radę, ale Szekel? Sprawił sobie strzelbę, głupek jeden. Kula trafiła w jakieś drzewce koło niego i drzazgi rozpruły mu twarz. Jest cała poharatana. A ja sobie myślę, że gdyby ten Crobuzończyk przesunął lufę o jeden zasrany centymetr, to byłoby po Szeklu. Pa, do widzenia. – Bellis nie umiała się odgrodzić od jego zrozpaczonego tonu. – Jak wszyscy inni, którzy zginęli. Kto ich zabił? Pytam się, kto ich zabił? Musiałaś wezwać pomoc, co? Przyszło ci do głowy, co się może stać? Pomyślałaś o tym? Obeszło cię to? Teraz cię obchodzi? – Tłukł ją tymi słowami po łbie i nawet kiedy zaprzeczyła ruchem głowy, jakby mówiła: „To nie tak było”, ogarnął ją głęboki wstyd. – Zabiłaś ich, ty zdradziecka szmato. I ja też. – Trzymał pistolet pewną ręką, ale twarz wykrzywiła się. – Ja też. Po co żeś mnie w to wciągała? – Oczy miał nabiegłe krwią. – O mało nie zabiłaś mojego chłopaka. Bellis zamrugła, żeby usunąć z oczu łzy.

– Tanner – powiedziała chrapliwym głosem, unosząc ramiona w geście bezradności. – Przysięgam ci, przysięgam ci, przysięgam... nie wiedziałam.

Podejrzewała, że od początku miał w sobie cień wątpliwości, niepewności, bo inaczej po prostu palnąłby jej w łeb. Mówiła do niego długo, potykając się na własnych słowach, próbując znaleźć sposób na wyrażenie tego, co nawet dla niej brzmiało niewiarygodnie, z gruntu fałszywie. Pistolet przez cały czas celował w jej twarz. Mówiąc Tannerowi o swoich olśnieniach, Bellis od czasu do czasu milkła, w pełni sobie uświadamiając, że jej podejrzenia były prawdziwe. Wyglądała przez okno, które widziała nad ramieniem Tannera Sacka. Tak było łatwiej, niż patrzeć mu w oczy. Za każdym razem, gdy na niego zerknęła, palił ją skandal dokonanej przez siebie zdrady, a przede wszystkim wstyd. – Wierzyłam w to, co ci powiedziałam. – Na wspomnienie o rzezi skrzywiła się tak gwałtownie, że aż ją zabolalo. – Mnie też okłamał.

– Nie mam bladego pojęcia, jak znaleźli Armadę – mówiła trochę później, wciąż mając przed sobą pogardliwego, wściekłego i niedowierzającego Tannera. – Nie wiem, jak to działa. Nie wiem, jak zrobili. Nie wiem, jakie wykradł informacje albo przyrzady, które to umożliwiły. Musiał coś schować. Musiał dać im coś, co im pozwoliło nas wytropić, w tej przesyłce...

– Którą dałaś mnie.

Bellis zawahała się, po czym skinęła głową.

– Którą on dał mnie, a ja tobie.

– Byłam przekonana, że... Na Jabbera, Tanner, jak myślisz, co ja robiłam na „Terpsychorii”? Uciekałam, do jasnej cholery. – Tanner nie reagował. – Byłam zbiegiem. Kurczę, nie podoba mi się tutaj, to nie jest mój kraj, ale uciekałam. Nie wezwałabym tych drani. Nie miałabym do nich zaufania. Uciekałam, bo bałam się o własne życie. – Spojrzał na nią z zaciekawieniem. – Zresztą... – zawahała się, bo miała obawy że zabrzmiałoby to jak mizdrzenie się, ale chciała powiedzieć mu prawdę. – Zresztą, i tak bym tego nie zrobiła. Nie zrobiłabym tego tobie ani żadnemu innemu z was. Nie jestem zasranym prokuratorem, Tanner. Nie chcę, żeby ich wymiar sprawiedliwości dopadł któregośkolwiek z was.

Wpatrywał się w nią z kamienną miną.

Jak później zdała sobie sprawę, tym, co przeważało szalę, co kazało Tannerowi uwierzyć w jej wersję, nie był jej smutek ani wstyd. Nie ufał tym uczuciom, o co nie miała do niego pretensji. O tym, że Bellis mówi prawdę, że tak jak on została oszukana, przekonała go jej wściekłość.

Zgnębiona Bellis długo milczała, czując, że dygocze, a jej zaciśnięte pięści były twarde jak kość i zbieleły.

– Ty gnoju – usłyszała własne słowa i pokręciła głową. Tanner wiedział, że Bellis nie ma na myśli jego. Myślała o Silasie Fennecu. – Okłamywał mnie – prychnęła nagle, zaskakując samą siebie. – Faszerał mnie kłamstwami, żeby móc mnie wykorzystać.

„Wykorzystał mnie, tak jak wykorzystał wiele innych osób. Widziałam go w akcji. Miałam świadomość, jak on działa, jak wykorzystuje ludzi, ale... ale nie sądziłam, że ze mną postępuje tak samo”.

– Upokorzył cię – powiedział Tanner. – Miałaś się za kogoś wyjątkowego, co? – zakpił. – Myślałaś, że go przejrzałaś? Myślałaś, że jesteście współnikami?

Patrzyła na niego rozpalona wściekłością i obrzydzeniem do siebie, dała się nabrać Silasowi jak jakaś pierwsza naiwna, jak jego marionetka, jak wszyscy inni. „Ja byłam większym frajerem niż ci wszyscy biedacy, którzy czytali broszury Simona Fencha. Ja byłam większym frajerem niż ci wszyscy krety, którzy działali jako jego wtyki”. Dostała mdłości na myśl, że z taką pogardą, z taką łatwością ją okłamywał.

– Ty gnoju zasrany – mruknęła. – Zajebię cię. Tanner uśmiechnął się kpiąco, tak żałośnie to zabrzmiało.

– Myślisz, że choć trochę z tego, co ci mówił, było prawdą? – spytał Tanner Sack.

Siedzieli razem, spięci i niepewni. Wciąż trzymał w ręku pistolet, ale już z mniejszą stanowczością. Nie stali się współkonspiratorami. Tanner patrzył na nią z niechęcią i złością. Nawet jeśli uwierzył, że nie życzyła Armadzie krzywdy, nie była jego towarzyszką. Wciąż pozostawała osobą, która namówiła go do wzięcia na siebie roli gońca. To ona uczyniła go współwinnym rzezi.

Bellis pokręciła z urazą głową.

– Czy myślę, że Nowe Crobuzon zostanie zaatakowane? – powiedziała z niesmakiem w głosie. – Czy myślę, że najpotężniejszemu państwu-miastu na świecie grozi niebezpieczeństwo ze strony wrednych ryb? Że jego dzieje po dwóch tysiącach lat niedługo dobiegną końca i że tylko ja mogę ocalić moją ojczyznę od zagłady? Nie, panie Sack, nie wierzę. Myślę, że chciał przesłać do kraju wiadomość i tyle. Myślę, że ten zasrany manipulant zagrał na mnie jak na flecie. Tak samo, jak robi ze wszystkimi innymi.

„Jest skrytobójcą, szpiegiem, agentem” – pomyślała. „Uosabia wszystko to, przed czym uciekałam. A przecież, samotna i łatwowierna jak jakaś zagubiona kretyńka, uwierzyłam mu”. Nagle naszło ją zupełnie inne pytanie: „Czemu po niego przyplłynęli? Przebyli cztery tysiące mil morskich, żeby uratować jednego człowieka? Nie chodziło o niego i nie sądzę, żeby chodziło o »Sorgo«”.

– Kryje się za tym coś więcej... – zaczęła, próbując nadać swoim myślom jakiś kształt. – Kryje się za tym coś więcej, niż widać.

„Nie wyprawiliby się tak daleko, nie ryzykowaliby tak wiele tylko ze względu na niego, choćby był najlepszym z agentów. On coś ma uzmysłowiła sobie. „Coś, co jest im potrzebne”.

– No to co zrobimy? – Widniało. Ptaki zaczęły śpiewać. Bellis była potwornie zmęczona. Bolała ją głowa. Na razie zignorowała pytanie Tannera. Za oknem zobaczyła czarne kreski omasztowania i architektury na tle jaśniejszego nieba. Panowała głucha cisza. Bellis w działała po bokach miasta fale, po których dało się poznać, że miasto płynie na północ. Powietrze było chłodne. Bellis potrzebowała jeszcze jednego punktu w czasie, jednej zatrzymanej chwili, żeby odetchnąć zanim odpowie Tannerowi i uruchomi nieestetyczną klaustrofobiczną rozgrywkę końcową. Znała odpowiedź na jego pytanie, ale nie miała ochoty jej udzielać. Nie patrzyła na Tannera. Wiedziała, że ponowi pytanie. Silas Fennec wciąż hasał sobie swobodnie po mieście, mając za sobą nieudaną próbę ucieczki, i pytanie, co należy zrobić, było retoryczne. Wiedziała, że Tanner o tym wie, że ją sprawdza, że na jego pytanie jest tylko jedna odpowiedź i że jeśli Bellis jej nie udzieli, Tanner wciąż może palnąć jej w łeb. – Co zrobimy? – powtórzył.

Podniosła na niego znużony wzrok.

– Przecież wiesz. – Zaśmiała się nieprzyjemnie. – Musimy się przyznać. Musimy powiedzieć wszystko Utherowi Doulowi.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Dryfujemy oto, blisko północnej granicy Wezbranego Oceanu, zaledwie - ile? – tysiąc, trzy i pół tysiąca kilometrów na zachód, na północny zachód, leży Morze Szczwane. W krzywiznach jego wybrzeża, w pasie nadbrzeżnym niezbadanego kontynentu, leży kolonia Nova Esperium.

Czy to jest małe, pogodne, roziskrzzone miasto, którego zdjęcia widziałam? Widziałam heliotypy jego wież, jego silosów zbożowych, otaczających go lasów i unikatowych zwierząt zamieszkujących okolicę: oprawione w ramki i pozowane, w tonacji sepii, ręcznie barwione. Nova Esperium każdemu daje szansę na nowe życie. Nawet prze-tworzeni, parobkowie i najmici mogą uzyskać wolność.

To oczywiście nieprawda.

Wyobraziłam sobie, że patrzę na tę osadę ze zboczy gór widocznych na tych zdjęciach, rozmytych przez dal, nieostrych. Że uczę się języków tubylców, obgryzając kości starych ksiąg, które być może znajdziemy w ruinach.

Z Nowego Crobuzon do ujścia, do skraja Zatoki Żelaznej, jest szesnaście kilometrów.

We wspomnieniach ciągle trafiam do tego miejsca za miastem, zawieszono między ziemią a morzem.

Pory roku mi uciekły. Wyjechałam, kiedy jesień przeszła w zimę i później już nigdy nie miałam tak silnego poczucia czasu. Od tej porze upał, chłód, mróz i znowu upał wydają mi się chaotyczne, niewychowane, losowe.

Być może w Nova Esperium znowu jest jesień.

W Nowym Crobuzon jest wiosna.

Mam wiedzę, której nie mogę wykorzystać, w podróży, na którą nie mam wpływu, której celów nie popieram i nie rozumiem, i tęsknię za ojczyzną, której uciekłam, jak również za krajem, którego nigdy nie Widziałam.

Za tymi ścianami są ptaki, wołają do siebie, agresywne i głupie, silują się z wiatrem. Z zamkniętymi oczami mogą udawać, że na nie patrzą; mogą udawać, że jestem na jakimkolwiek statku, gdziekolwiek na świecie.

Ale otwieram oczy - muszę – i wciąż jestem tutaj, w sali obrad Senatu, stoję obok Tannera Sacka, ze spuszczoną głową, skuta kajdanami.

Kilka kroków od Bellis i Tannera Uther Doula kończył swoje przemówienie do władarzy miasta: Kochanków, Dynicha, nowej Rady Bud i wszystkich innych. Było po zmroku, dlatego przyszedł też Brucolac. Ze wszystkich władców tylko na nim wojna nie odcisnęła swego piętna; wszyscy pozostali mieli blizny albo zdruzgotane miny. Słuchali Uthera Doula, od czasu do czasu spoglądając na aresztantów.

Bellis zerknęła ku nim i widziała gniew w ich oczach. Tanner Sack nie mógł się zdobyć na podniesienie wzroku. Był ciasno owinięty rozpaczą i wstydem.

– A zatem nie ma sporu – mówił Uther Doula. – Musimy działać szybko. Możemy przyjąć, że otrzymane przez nas informacje są zgodne z prawdą. Musimy jak najszybciej ująć Silasa Fenneca. Należy założyć, że albo już się domyślił, albo wkrótce się domyśli, że go ścigamy.

– Ale jak on to, kurwa, zrobił? – krzyknął król Friedrich. – Z tą zasraną przesyłką, z tym zasranym ostrzeżeniem to rozumiem... – Tu spiorunował Bellis i Tannera wzrokiem. – Ale skąd on, kurwa, wziął kamień magnetyczny? Do kurwy nędzy, fabryka kompasów jest silniej strzeżona niż mój skarbiec! Jak on się dostał do środka?

– Tego jeszcze nie wiemy – odparł Uther Doula. – Jest to jedna z pierwszych rzeczy, o które go spytamy. W miarę możliwości musimy się starać nie nagłaśniać tej sprawy. Jako Simon Fench... Fennec ma swoich zwolenników. – Kochankowie nawzajem unikali swego wzroku. – Nie powinniśmy ryzykować, że rozgniewamy niektórych obywateli. Musimy działać natychmiast. Czy ktoś wie, od czego moglibyśmy zacząć?

Dynich odchrząknął i podniósł dłoń.

– Dotarły do mnie pogłoski – powiedział z wahaniem – że Fench ma swoje centra operacyjne w pewnych spelunkach...

– Pozwól mi zabrać głos, królu – przerwał mu Brucolac swoim zdartym głosem. Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni. Wampir sprawiał wrażenie niepewnego, co rzadko się u niego widywało. Westchnął i rozwinął trzepoczący język, zanim podjął wystąpienie. – Nie jest tajemnicą, że Pragnieniowice pozostają w zasadniczym sporze z władcami Niszczukowód co do podniesienia awanka oraz trajektorii miasta, która wciąż nie została ujawniona – dodał z błyskiem gniewu w oczach. – Ale... – Powiódł po sali wyzywającym spojrzeniem. – Mam nadzieję, że nigdy nie pojawią się oskarżenia, jakoby Brucolac czy którykolwiek z moich podkomendnych nie był stuprocentowo lojalny wobec tego miasta. Pragniemy wyrazić głęboki żal, że nie mogliśmy się bić w obronie Armady podczas niedawnej wojny. Wiem – kontynuował na jednym oddechu – że moi poddani walczyli. My też mamy swoich poległych obrońców ojczyzny, choć nie ma wśród nich mnie ani nikogo z moich przybocznych. Leży nam to na sercu. Mamy wobec was dług. Otóż, wiem, gdzie jest Silas Fennec – zakomunikował ni stąd, ni zowąd.

Sala zareagowała chóralnym sapnięciem.

– Skąd wiesz? – spytała Kochanka. – I od jak dawna?

– Od niedawna – odrzekł Brucolac. Spojrzał jej w oczy, ale nie miał zbyt dumnej z siebie miny. – Wyśledziliśmy, gdzie Simon Fench znalazł przytulisko i gdzie

drukował swoje teksty. Ale wiedźcie, że nie mieliśmy pojęcia o jego zamiarach – stwierdził z pasją. – Nigdy byśmy do tego nie dopuścili.

Sens jego słów był oczywisty. Brucolac pozwolił Simonowi Fenchowi poszerzać swoje wpływy, drukować bibułę i rozpuszczać szkodliwe pogłoski, ponieważ sądził, że ofiarą tej działalności padną Niszczukowody, a nie całe miasto. Nic nie wiedział o wezwaniu przez Fenneca floty Nowego Crobuzon. Podobnie jak Tanner i Bellis został bezwiednie wciągnięty w tę zbrodnię przeciwko Armadzie.

Bellis szydziła w duchu z ostentacyjnie okazywanego oburzeń Kochanków. „Tak jakbyście sami nigdy nie zrobili czegoś podobnego albo jeszcze gorszego” – pomyślała. „Tak jakby to nie było nom w waszych wzajemnych przepychankach”.

– Mam świadomość, jak to wygląda – syknął Brucolac. – I chcę dorwać tego drania nie mniej od was wszystkich. Jego pojmanie jest dla mnie nie tylko obowiązkiem, ale i przyjemnością.

– Nie ty go pojdziesz – zaprotestował Uther Doul – tylko ja i moi ludzie.

Brucolac skierował na Doula spojrzenie swych żółknących oczu.

– Ja lepiej znam teren. Ta misja jest dla mnie ważna.

– Nie uzyskasz w ten sposób rozgrzeszenia, martwomościu – odrzekł zimno Doul. – Pozwalałeś mu bez przeszkód uprawiać jego gry, ze znanym skutkiem. A teraz wskaż nam miejsce jego pobytu i na tym skończy się twoja niechlubna rola.

Przez kilka chwil panowała cisza.

– Gdzie on jest? – krzyknęła nagle Kochanka. – Gdzie on się ukrywa?

– To kolejny powód, dla którego byłoby sensowniej, gdyby to moi podkomendni go zdjęli – odparł Brucolac. – Ścigany jest w miejscu, do którego wasi funkcjonariusze mogą nie chcieć pójść. Simon Fennec jest w nawiedzanej dzielnicy.

Doul nawet nie mrugnął powieką. Wbił w wampira nieugięte spojrzenie.

– Nie ty go pojdziesz – powtórzył. – Nie boję się.

Bellis słuchała tej dyskusji ze wstydem i rozżarzającą się powoli nienawiścią do Fenneca. „Ty gnoju” – pomyślała z okrutną satysfakcją. – „Zobaczymy, czy wyłgasz się z tego”. Chociaż Silas być może nadal był jej największą nadzieją na ucieczkę, nie mogła puścić temu bydlakowi płazem tego, że ją okłamywał i wykorzystał. Chciała mu się zrewanżować, niezależnie od ceny, jaką sama musiałaby za to zapłacić. Wolała już związać swe losy z Armadą, nawet gdyby to oznaczało kurs na Bliznę. „Czemu mi, kurwa, nie powiedziałaś? – pomyślała, dysząc z wściekłości. „Ja też chciałam się stąd wyrwać... i dalej chcę. Gdybyś powiedział mi prawdę, gdybyś był ze mną szczery, gdybyś e nie wykorzystał, to może bym ci pomogła. Może zrobilibyśmy to razem”.

Wiedziała jednak, że to nieprawda.

Chociaż rozpaczliwie pragnęła uciec z Armady, nie pomogłaby mu, gdyby znała jego plany. Nie chciałyby w nich uczestniczyć.

Z bolesnym obrzydzeniem do siebie Bellis uprzytomniła sobie, że Silas trafnie ją ocenił. Na tym między innymi polegała jego profesja: oszacować, ile komu można powiedzieć, na co gotowi są otaczający go ludzie, i okłamywać ich stosownie do tego. Silas musiał ocenić, co powiedzieć każdemu ze swoich pionków.

Co do niej się nie pomylił.

Bellis przypomniwała sobie, jak bardzo rozjuszył się Uther Doul, kiedy przyszła do niego z Tannerem.

Słuchał ich z coraz bardziej kamienną i zimną twarzą, z coraz ciemniejszymi oczami. Wzburzeni Bellis i Tanner po kolei usiłowali wyjaśnić, że o niczym nie wiedzieli, że oboje zostali wykorzystani.

Tanner gadał jak nakręcony, a Doul reagował obojętnością czekał aż Tanner skończy, i karał go swoim milczeniem. Potem skierował wzrok na Bellis i czekał na jej wyjaśnienie. Rozstroił ją – na jego twarzy nie drgnął ani jeden muskuł, kiedy powiedziała, że zna Silasa Fenneca vel Simona Fencha. Nie sprawiał wrażenia w najmniejszym stopniu zaskoczonego tą sensacyjną wiadomością. Spokojnie czekał na dalsze informacje. Ale usłyszawszy, że dała się Fennecowi zatrudnić jako kurierka, niespodziewanie wybuchnął gniewem.

– Nie! – krzyknął. – Co on zrobił?! – Kiedy wykrztusiła z czerwoną ze wstydu twarzą, że nie miała pojęcia, że nie przyszło jej do głowy, że nie mogła wiedzieć, spojrzął na nią bardzo ostro, z wyrazem okrucieństwa i zimnej niechęci, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziała. Poczucia to aż gdzieś w środku. – Jesteś pewna? – zakwestionował jej prawdomówność, co ją przeraziło. – Nie miałaś pojęcia? W ogóle nie przyszło ci to do głowy?

Uwolnił w jej głowie gąsienicę wątpliwości, która bezlitośnie przeżerała się przez jej wyrzuty sumienia i rozpacz.

„Czy ani przez chwilę niczego nie podejrzewałam? Czy ani przez chwilę nie wątpiłam?”

Włodarze miasta spierali się na temat geografii nawiedzanej dzielnicy, na temat ghuli i upiorów, na temat sposobu zakładania sidła.

– Wysoka izbo! – powiedziała Bellis, przekrzykując ich wszy kich. Umilkli. Doul spojrzął na nią oczami, w których nie było krzty przebaczenia. Nie odstraszyło jej to. – Jest jeszcze coś, o czym należy pamiętać – powiedziała. – Nie sądzę, aby Nowe Crobuzon pokonało tyle tysięcy kilometrów z miłości. Nie narażaliby się na utratę tylu statków, nie podejmowałiby takiej ciężkiej wyprawy, gdyby chodziło im tylko o „Sorgo”, a tym bardziej o sprowadzenie do kraju jednego człowieka. Silas Fennec ma coś, czego oni chcą. Nie wiem, co jest. Przysięgam, że nie wiem. Bezustannie mnie okłamywał, ale jedno wierzę, bo widziałam jego notatniki... że był w Cromlech, a ostatnio w Gengris. Powiedział mi, że grindyłow go ścigali. Może to też jest prawdą. Może ścigali go ze względu na coś, co zabrał... Coś tak cennego, że kiedy Nowe Crobuzon się o tym dowiedziało, postanowiło wyprawić się na drugi koniec świata. Wszyscy jesteście zgodni, że dokonał rzeczy praktycznie niemożliwych: kradł rzeczy, do których nie miał dostępu, włamywał się do pilnie strzeżonych miejsc. Może kryje się za tym coś, co Silas Fennec ukradł grindyłow, a Nowe Crobuzon po to przypląnęło. Mówię o tym przede wszystkim dlatego, że kiedy go wytropicie, może czegoś użyć... Bądźcie więc ostrożni. Po jej słowach zapadła długa, twarda jak skała cisza.

– Ona ma rację – powiedział ktoś.

– Co z nią? – spytał bojowo nastawiony młodzieniec z Rady Bud. – Co z nimi? Wierzyacie im? Że o niczym nie wiedzieli? Że próbowali tylko ocalić swoje miasto?

– Moim miastem jest Armada! – krzyknął raptem Tanner. Uther Doul spojrzął na Tannera, a ten powoli opuścił głowę.

– Nimi zajmiemy się później – odrzekł Doul. – Na razie ich zatrzymamy, do czasu, gdy będziemy mieli Silasa Fenneca. Po jego przesłuchaniu zdecydujemy o ich losie.

Uther Doul osobiście odprowadził Tannera i Bellis do aresztu.

Z sali senackiej zabrał ich do labiryntu tuneli złobiących „Wielki schodni”. Szli korytarzami wyłożonymi ciemnodrzewem, mijając stare heliotypy z crobuzońskimi marynarzami. Kiedy się w końcu zatrzymali, dochodziły ich dziwne dźwięki stygnącego metalu i pranych maszyn.

Doul pchnął Tannera, delikatnie, przez jakieś drzwi i Bellis zobaczyła ascetyczną celę: prycza, stół, krzesło i okno. Doul odwrócił się plecami do Bellis i ruszył dalej. Trafnie ocenił, że pójdzie za nim, prosto do swojej celi.

Ciemności za oknem więziennej kajuty nie były ciemnościami pochmurnej nocy. Znajdowali się poniżej linii wodnej, a iluminator wychodził na nieoświetlone morze. Bellis odwróciła się i przytrzymała drzwi, uniemożliwiając Doulowi ich zamknięcie.

– Panie Doul – powiedziała i czekała na jakąś oznakę miękkości, przyjaźni, pociągu czy przebaczenia. Niczego takiego nie zobaczyła. Czekał. – Jedna rzecz – podjęła, patrząc mu odważnie w oczy – Tanner Sack jest tutaj największą ofiarą. Nie zrobiłby nic, co miałoby zagrozić Armadzie. Tanner przeżywa piekło. Jest zdruzgotany. Jeśli zamierza pan kogoś ukarać... – Spazmatycznie zaczerpnęła tchu. – Próbuję panu powiedzieć, że jeśli leży panu na sercu sprawiedliwość, to przynajmniej jego niech pan nie karze. Niezależnie od innych decyzji. Tanner jest najlojalniejszym Armadyjczykiem i najlojalniejszym obywatelem Niszczukowód, jakiego znam.

Uther Doul przyglądał się jej długo z przekrzywioną na bok głową, jakby go zaciekawiała.

– Wielkie nieba, panno Coldwine – powiedział wreszcie spokojnym tonem, miększym i piękniejszym niż kiedykolwiek. – Na bogów, co za popis odwagi i ofiarności. Wziąć na siebie największą część winy, altruistycznie prosić o litość dla kogoś innego. Gdybym podejrzewał panią o niskie pobudki i manipulacje, gdybym zamierzał surowo panią potraktować za pani czyny, to w świetle pani szlachetnego altruizmu musiałbym chyba na nowo przemyśleć sprawę.

Bellis patrzyła na niego coraz szerzej otwartymi oczami. Kiedy tak z niej szczydził, jego głos podszedł sarkazmem.

Płonęła zrozpaczona, upokorzona i znowu sama.

– O – wydyszała.

Nie zdołała wykrztusić z siebie ani słowa więcej.

Uther Doul przekręcił klucz w zamku i zostawił ją samą, żeby mogła poobserwować ryby, które po kretyńsku podpłynęły całą chmarą do światła wylewającego się z jej okna.

Armada nie znała czegoś takiego jak cisza. W najspokojniejszych godzinach najdłuższej nocy, kiedy na zewnątrz nie było żywej duszy, miasto rozbrzmiewało rozmaitymi hałasami.

Wiatr i woda nieustannie tu grały. Armada pokonywała kolejne fale, kurcząc się i rozszerzając. Takielunek szeptał. Maszty i kominy chwiały się niespokojnie. Statki pukały o siebie godzina po godzinie, jak kości, jak ktoś nieskończenie głupi i cierpliwy pod drzwiami pustego domu.

Warunki najbardziej zbliżone do prawdziwej ciszy panowały w nawiedzanej dzielnicy, gdzie nikt nie mieszkał. Stukanie, skrzywienie i chlupot wody tutaj brzmiały jakoś bardziej głucho. Były też jednak inne, mniej czytelne dźwięki, groźne i odstraszające intruzów.

Powolny trzask, jakby przewrócił się stos drewna na podpałkę. Rytmiczne dudnienie czegoś mechanicznego przebijającego drewno. Nikłe popiskiwanie, podobne do gry na rozstrojonym flecie.

Nawiedzana dzielnica kołysała się wśród tych dziwnych dźwięków, powoli butwiała i pęczniała od wody, kontynuując swój długotrwały upadek. Nikt nie wiedział, co się kryje w jej sponiewieranych upływem lat łodziach.

Największą jednostką w nawiedzanej dzielnicy był „Spichlerz Słów”. Ten wiekowy statek z ochrowego drewna miał ponad sto dwadzieścia metrów. Intensywne kolory, którymi niegdyś go pomalowano, zostały wyżarte przez wiek i słone powietrze. Pokład był jednym wielkim rumowiskiem masztów, żurawi, sztagów i rei. Leżące na pokładzie klepki i paliki tworzyły szachownicowy wzór. Traciły swoją strukturę, powoli butwiejące i zjadane przez robaki.

Zbliżała się północ. Z dzielnic Pragnieniowice i Tobietwój dochodziły odgłosy pijaństwa i wszystkiego, co się z tym wiąże, a ponadto mechaniczne hałasy powojennej odbudowy. Pomosty łączące nawiewaną dzielnicę z innymi okręgami, stare i nieużywane, wciąż istniały, noc odpięto je w niepamiętnych czasach, uparcie odmawiały obrócenia się w pył.

Z prymitywnej barki na granicy okręgu Tobietwój jakiś mężczyzna brnął nad wodą ku zdezelowanym statkom. Maszerował bez strachu przez nautyczny krajobraz rozpadu: pleśń i rdza były żrące jak odmrożenia. Mężczyźni przyświecały tylko gwiazdy, ale znał drogę.

Na dziobie żelaznego trawlera rozwalone wielkie windy wylewały z siebie mechaniczne wnętrzości, jakby je zaszlachtowano. Między lepкими od smaru pozostałościami tej jatki mężczyzna przeszedł na „Spichlerz Słów”, którego długi pokład był trochę odchylony od poziomu.

Do dna tego trawlera zamocowane było ogniwo ogromnego, wykutego przed wiekami łańcucha, który ciągnął się w dół i pełnił rolę uprząży awanka.

Mężczyzna zstąpił w ciemności wnętrza nawiedzanego statku. Nie starał się zachowywać cicho. Wiedział, że gdyby został usłyszany wzięto by go za ducha.

Przemierzał skąpo oświetlone korytarze, z zarysami podświetlonymi taumaturgia i fosforyzującym murszem.

Mężczyzna zwolnił i rozejrzał się dokoła. Jego rysy zmarszczyły się zatroskaniem, a palce zacisnęły na posążku. U szczytu powleczonej błoną starości schodów przystanął i oparł wolną rękę o poręcz. Wstrzymał oddech i powoli odwrócił głowę, zaglądając w każdy zakamarek i nasłuchując.

Coś szeptało.

Mężczyzna nigdy wcześniej nie słyszał takiego dźwięku, nawet na tych dotkniętych plagą upiórów pokładach.

Odwrócił się i wbił wzrok w absolutną czerń na końcu korytarza, jakby to był pojedynek na spojrzenia, jakby chciał zastraszyć ciemności, żeby skapitulowały i wydały to, co w sobie ukrywały.

– Silas.

Z cienia wystąpił jakiś mężczyzna.

Silas Fennec błyskawicznie podniósł posążek do ust i wsadził mu język głęboko w gardziel. Mężczyzna biegł ku niemu z wyciągniętym przed siebie mieczem.

Nagle obskoczyli go inni. Srogie postacie wyłaniały się z kryjówek w drewnie i gnały ku niemu z szokującą prędkością, dzierżąc pistolety i broń sieczną.

– Brać go żywcem! – krzyknął Doul.

Silas Fennec poczuł drżenie lubieżnego jęzora kamiennej ikony i w jego żyłach zabuzowała moc. Wstąpił do góry – w przestrzenie jeszcze przed chwilą dla niego

niewidoczne i nieosiągalne, pierwszy gwardzista przebiegł pod nim jak krety, Silas jęknął, poczuwszy skręt kiszek. Z odrażającym charkotem rzygnął pociskiem zielonoczarnej, świecącej żółci, plunął taumaturgiczne naładowaną plazmą, której status ontologiczny mieścił się gdzieś pomiędzy lepką cieczą a czystą energią. Pocisk trafił napastnika prosto w twarz.

Silas Fennec szybko przemieścił się przez widoczne wymiary i opuścił korytarz, ulatując w górę. Opluty mężczyzna wrzasnął słabowicie wpił się pazurami sam w siebie i skonał.

Zaroilo się od gwardzistów, którzy wyskakiwali różnymi drzwiami i chwyтали go za ubranie. Wypadali z zamkniętych przestrzeni jak szczury, psy, robaki i bogowie raczą wiedzieć co, łapali go i wymachiwali klingami. Byli szybcy, wybrano ich ze względu na ich sprawność i odwagę. Plaga, zaraza. Inwazja osaczała go, zaciskała się wokół niego, dybała na niego.

„Na jebiącego Jabbera, okrążyli mnie” – pomyślał Fennec i po raz drugi łapczywie przycisnął usta do posążka. Płaszczyny i kąty składały się wokół niego, rekonfigurowały się przed nim i za nim. Skręciwszy ciało, śmignął po schodach do góry jak tonący, który chce zaczerpnąć powietrza. Był wściekły.

Funkcjonariusze z Niszczukowód łapali go, za co się dało. „Nie zadzierajcie ze mną, skurwysyny” – pomyślał i poczuł przyływ mocy. „Potrafię nie tylko uciekać”. Odwrócił się, warczał, pluł, pryskał i rzygał na napastników, wyrzucając z siebie zabójczy koagulat, który zgromadził się w nim podczas pocałunku z posążkiem. Mężczyzna trzepotał językiem i tryskał smarkowatymi pociskami tej mazi w otaczające go twarze.

Tam, gdzie trafił, plwocina wyżerała normalną przestrzeń jak kwas wielowymiarowy. Gwardziści wrzeszczeli ze straszego, nieznanego im bólu, kiedy ich oczy, kości i tkanki zapadały się w siebie i znikaly z wymiaru cielesności, rozpuszczały się, rozpraszały, odlatywały w niemożliwych kierunkach. Mężczyźni leżeli ranni i wrzeszczeli. Silas bez litości patrzył na ich twarze, odarte z rzeczywistości, krwawe lepka nicością, która pryskała i syczała jak rozgrzany olej. W głowach i torsach mieli wybite dziury, w których ziała pustka. Krwawili w antyprzestrzeń, śmiercionośna bezmaterialność szerzyła się jak gangrena od krawędzi ich ran, a ich ciała stały się trudno zauważalne, eteryczne i nieważne, a potem nagle przestały istnieć.

Napastnicy wili się i wrzeszczeli, dopóki mieli jeszcze usta.

Fennec cały czas biegł, z łomoczącym sercem. Biegł, całował posążek, swoimi misternymi krokami zakrzywiał przestrzeń, rozwijając wokół siebie dywany nowych płaszczyzn.

Uther Doul zdązał za nim z taką zaciekłością i wytrwalością, że chociaż był uwięziony w konwencjonalnej przestrzeni, siedział Fennecowi na ogonie.

Doul był nieustępliwy.

Fennec wypadł z ciemnych wnętrzości „Spichlerza Słów”, zderzył się z powietrzem i zawisł na chwilę, z językiem rozkrwawionym o marmurowe zęby posążka.

„Pierdolę was wszystkich” – pomyślał z nienawiścią. Cały strach uszedł z niego. Fennec wraził język głęboko w figurkę i poczuł, że moc zaiskrzyła, że rozjarzyła go jak ciemną gwiazdę. Wirując, przemykał przez porwany takielunek, podciągał się na cieniach żelaznych lin, zakrzywiał rzeczywistość wokół siebie, zaginał ją jak papier i ślizgał się wewnątrz zbudowanej w ten sposób rynny – do góry i poza zdezelowany statek.

Z klapy w dole wyskoczył oddział zawziętych gwardzistów, którzy w fachowym tempie rozlali się po pokładzie. Był z nimi Uther Doul. Spojrzał Fennecowi prosto w oczy.

– Fennec – powiedział i uniósł miecz.

Silas Fennec uśmiechnął się szeroko na widok jego rozwścieczonej miny i odpowiedział głosem, który rozchodził się w powyginanej przestrzeni, przez co zabrzmiał jak groźny szept tuż koło ucha Doula.

– Uther Doul.

Fennec wisiał ponad cztery metry nad pokładem w aureoli zakrzywionego eteru. Rzeczywistość falowała wokół niego. Był niewyraźny, jego obrys oscylował między wymiarami. Poruszał się z drapieżną morską gracją, na przemian widoczny i niewidoczny. Z ust i rozdartego języka ciekła mu krew. Wirował w powietrzu jak pika, trzymany w górze mocą pocałunku posążka, i patrzył w dół na mężczyzn, którzy go ścigali.

Unieśli broń. Fennec migotał, kule przelatowały przez miejsca, w których chwilę wcześniej się znajdował – przez najeżone powietrze – i spluwał, kiedy znikaly. Otwierał usta i chluśnięcia tych żrących ślinorzygowin wylatywały z niego jak szrapnel.

Trafiały napastników w twarze i słycać było rytmiczne wrzaski. Gwardziści rozpięchli się w panice.

Fennec skierował wzrok na Doula.

Doul uskakiwał plwocinie z drogi z brutalną oszczędnością ruchów, patrząc na Fenneca z napiętą twarzą. Ten zamigotał i znalazł się niżej, sunął nad pokładem, mrużąc z zachwytu i zostawiając po sobie lepki ślad kaustycznej śliny.

– No to weź mnie – szepnął Fennec z pijacką zuchwałością.

Gardło mu zachrypło od tej niesamowitej substancji, ale miał poczucie, że potrafi zrobić wszystko, na przykład wypalić dziurę we wszechświecie. Doul cofnął się przed sypiącą iskrami mocy postacią, podskakiwał, poruszał się z lakonicznym gniewem, zgrzytał zębami na głos Fenneca, który wciąż mrużąc blisko jego ucha – No, dalej...

Potem, przez światło, ciemności i ciężkość drewna, przez plusk wody – jakby dziesiątki piątek tłukły o powierzchnię morza – przez oddalone zaledwie o kilka metrów światła Armady, Fennec usłyszał za plecami czyjś głos.

– Siiiiiiilassssss.

Jak napaść monstrualnego węża.

Ze spazmującym sercem Fennec odwrócił się i wskroś wzburzonej przestrzeni zobaczył Brucolaca – zwierzęcego, rozżarzonego, do szpiku kości przesyconego nienawiścią. Brucolac wyskoczył z ciemności, rozwinąwszy ogromny język. Rzucił się na Fenneca.

Ten krzyknął i próbował jeszcze raz pocałować groteskę, ale Brucolac dotarł do niego i wyprostowanymi palcami dźgnął go w szyję.

Uderzenie posłało Fenneca do tyłu, na deski pokładu i odebrało mu dech. Brucolac upadł razem z nim, miotając oczami gromy. Fennec wciąż usiłował przysunąć figurkę do twarzy. Brucolac z pogardliwą łatwością chwycił go za wolną rękę i przyspilił ją do pokładu. Uniósł stopę – porażająco szybko – i spuścił ją na prawy nadgarstek Fenneca, tupnął brutalnie, wbił go w pokład i zmiażdżył.

Fennec wrzasnął piskliwym, głupkowatym vibrato, gdy jego sponiewierane palce zaczęły spazmatycznie drgać. Posążek potoczył się po okładzie.

Fennec leżał na deskach i wył, z ust, nosa i rozdartego nadgarstka lała mu krew. Krzyczał z bólu i zgrozy, bezproduktywnie pedałował nogami, próbując uciec. Znowu

był w pełni cielesny, pogruchotany i żałośnie obecny. Pojawił się Uther Doul i nachylił w jego pole widzenia.

Podczas upadku Fennecowi rozdarła się koszula, obnażając tors. Tors, który był cętkowany, lepki, pokryty wielkimi plamami brudnozielonych i białych przebarwień. Jarzył się niezdrowo jak ciało trupa. Tu i ówdzie sterczały nierówne kołnierze, wyrostki podobne do wąsów suma albo do płetw.

Doul i Brucolac zauważyli te zmiany.

– Co my tu widzimy... – mruknął Uther Doul.

– Czy o to w tym wszystkim chodziło? – syknął Brucolac patrząc na posążek, który trzymał teraz w ręku Doula. Fennec nadal wrzeszczał, pryskając smarkami z nosa. Kamienna lalka patrzyła na Uthera Doula nieprzenikniętym wzrokiem, mrugała do niego, jej otwarte oko było klarowne i zimne. Opasała się niewyraźnymi kończynami wykutymi z lodowatego kamienia, na przemian zielonoszarymi i czarnymi. Mamlając okropnymi okrągłymi ustami, pokazując zęby. Doul pomacał płat skóry wyrastający z pleców posążka. – To jest mocarna rzecz – powiedział Brucolac do Fenneca, który dygotał w szoku. – Ilu Armadyjczyków zabiła?

– Bierzcie go – powiedział Doul do tych spośród swoich ludzi, którzy nie odnieśli obrażeń. Podeszli parę kroków, lecz stanęli przestraszeni, gdy zobaczyli, że Brucolac nie ruszył się z miejsca. Interweniował wbrew rozkazom Doula i chociaż być może uratował mu życie, Doul nie raczył mu podziękować ani gniewnie, ani przepraszać. Patrzył na Brucolaca lodowatym wzrokiem, aż wreszcie wampir skapitulował i cofnął się o kilka kroków. – On jest nasz – szepnął Doul do Brucolaca, unosząc figurkę.

Na całym pokładzie gwardziści umierali w niepojętych mękach. Ich towarzysze podnosili Fenneca bez cienia litości, chwytali go brutalnie, nie zważając na jego wrzaski.

Mieszkańcy przygranicznych rejonów Pragnieniowic i Tobietwojego zadrżeli, słysząc odgłosy dochodzące z nawiedzanej dzielnicy, i wykonywali odczyniające znaki.

– Nigdy czegoś takiego nie słyszeliśmy – szeptali, kiedy cienki wrzaski rozrywały noc. – To nie jest upiór ani ghul... To jest coś nowego. Po co ono przylazło?

Wiedzieli, że to jest człowiek.

Rozdział czterdziesty

Uther Doul siedział na łóżku w celi Bellis. Pomieszczenie było ascetycznie urządzone, ale wszędzie zalegały rzeczy, które Doul sprowadził z jej mieszkania: zeszyty, trochę ubrań.

Patrzył na nią, kiedy obracała w dłoniach posążek grindylow. Ostrożnie, z ciekawością przebiegała palcami po misternościach rzeźbienia. Patrzyła na powykreślaną twarz figurki, zajrzała jej do ust.

– Niech pani uważa – poradził, kiedy dotknęła paznokciem jednego z zębów.

– Czy to jest... przyczyna tego wszystkiego? – spytała Bellis. Doul skinął głową.

– Nosił ten posążek przy sobie. Za jego pomocą zabił wiele osób. Zakrzywił nim przestrzeń, wyczyniał taumatyczne sztuczki, jakich w życiu nie widziałem. Tak się zapewne dostał do fabryki kompasów. – Bellis przytaknęła. Zrozumiała, o co chodzi: w ten sposób Fennec naprowadził Nowe Crobuzon na Armadę. Posyłając im jakieś tajne urządzenie, jakiś mechanizm. – Teraz nie ma już zagrożenia – ciągnął Doul. – Kompas na pewno znajdował się na „Porannym Wędrowcu”.

„Przypuszczalnie” – pomyślała Bellis. Urządzenie, które pomogło namierzyć Armadę. „Miejmy nadzieję, że nie wiezie się na jednym z tych pancerników, które dryfują spalone słońcem i pokancerowane, cuchnące trupami załogi, bo ktoś mógłby to kiedyś znaleźć”. Jeszcze raz uważnie przyjrzała się posążkowi.

– Z tego, co udało nam się wydobyć z Fenneca – podjął Doul – wynika, że posążek nie jest tutaj najważniejszy. Tak jak istotą pistoletu nie jest sam pistolet, tylko kula, najważniejszy jest nie posążek, lecz moc. Posążek tylko ją przewodzi. Źródło znajduje się tutaj. – Doul połaskotał twardy, cienki płat materii organicznej wrosnięty w plecy posążkaka. – To jest płetwa jakiegoś przodka, jakiegoś kapłana-skrytobójcy, jakiegoś taumaturga, jakiegoś czarownika. Przytwierdzona do jego kamiennego wizerunku. To jest relikwia po jakimś... świętym. Cuchnie mocą. Tak powiedział nam Fennec.

Bellis umiała sobie wyobrazić, jakimi metodami wyciśnięto z Fenneca odpowiedzi na te pytania.

– To się kryje za całą sprawą – powiedziała, a Doul przytaknął ruchem głowy.

– Posążek pozwolił Fennecowi dokonywać rzeczy niezwykłych. Mimo to myślę, że Fennec dopiero zaczynał się rozeznawać w jego działaniu. W moim odczuciu Nowe Crobuzon ma powody sądzić, że ten zaczarowany kawałek kamienia jest obdarzony znacznie większą mocą niż ta, którą Fennec nauczył się wykorzystywać. – Bellis z nabożną czcią spojrzała na trzymany w rękach przedmiot. – Wpadło nam w ręce coś wyjątkowego – powiedział Doul ze spokojem. – Znaleźliśmy coś wielkiego. Aż strach pomyśleć, jakie możliwości się przed nami otwierają.

„To jest przyczyna tego wszystkiego” – pomyślała. „Fennec ukradł ten posążek. Pośrednio przyznał się mi do tego. Powiedział Nowemu Crobuzon, że ma figurkę, ale oczywiście nie próbował jej przekazać, bo by po niego nie przyłynęli. Tym ich znęcił z drugiego końca świata. Uratujcie mnie, a posążek będzie wasz, brzmiało przesłanie. Dla tego posążka Nowe Crobuzon wyprawiło się na kraj świata i zaatakowało. Dla tego posążka ja bezwiednie zaprowadziłam Armadę na wyspę ludzi-moskitów. Aby wysłać do Nowego Crobuzon jakąś kłamliwą wiadomość, załatwiłam Armadzie awanka, zamiast wrzucić tę zasraną książkę Auma do morza.

Za tym wszyscy się uganiali.

Za płetwą czarownika”.

Bellis nie wiedziała, co o tym zdecydowało, ale odniosła wrażenie, że Doul jej przebaczył. Jego agresywne zachowanie wobec niej uległo zmianie. Doul przyszedł do niej, żeby jej pokazać, co wpadło w ręce, żeby z nią porozmawiać tak jak dawniej. Czuła się bardzo niepewnie, nie umiając zgłębić jego pobudek.

– Co z tym zrobicie? – spytała.

Uther Doul na powrót zawijał figurkę w mokre płótno. Pokręcił głową.

– Na razie nie mamy czasu porządnie się temu przyjrzeć. Za dużo innych rzeczy do zrobienia, za dużo się dzieje. Oderwano nas od innych spraw. To wszystko zdarzyło się w nieodpowiednim momencie – powiedział te słowa gładko, ale Bellis wyczuła, że nie mówi jej całej prawdy, bo zawahał się. – Poza tym posążek zrobił z Fennekiem różne rzeczy. Zmienił go. On sam nie rozumie, na czym to polega, a jeśli rozumie, to nic nie mówi. Nikt nie wie, jakie siły grindylow potrafią zaprzęgnąć do swoich celów. Nie umiemy odwrócić tego, co się stało Fennekiem, i jeszcze nie wiemy, jakie będą pełne skutki obcowania z figurką. Nikt nie ma ochoty zostać jej nowym kochankiem. Przechowamy ją więc w jakimś bezpiecznym miejscu aż do zakończenia naszego przedsięwzięcia. Będziemy wtedy dysponowali czasem i ludźmi do jej zbadania. Nie będziemy rozgłaszali tej sprawy, ale na wypadek, gdyby

ktos się dowiedział, co Fennec sprowadził na pokład, ukryjemy posążek w takim miejscu, żeby nikomu nie przyszło do głowy go tam szukać. Albo nie starczyło odwagi. Tam, gdzie jak wszyscy wiedzą, już teraz znajduje się kilka zaczarowanych skarbów, toteż wstęp dla osób nieupoważnionych wiąże się z poważnym ryzykiem...

Mówiąc te słowa, Doul odruchowo pogładził rękojeść Miecza Możliwości. Bellis wiedziała już, gdzie zostanie ukryta pletwa czarownika.

– A gdzie jest Fennec? – spytała. Doul zbadał ją wzrokiem.

– Zajęto się nim – odparł i skinął głową w stronę korytarza. – Jest przetrzymywany.

Zapadła cisza, która się przeciągała.

– Co pan tu robi? – spytała w końcu Bellis. – Od którego momentu mi pan wierzy?

Przyglądała mu się uważnie. Była już zmęczona swoją dezorientacją. „Odkąd znalazłam się w tym zaszranym mieście – pomyślała, doznawszy nagłego olśnienia – nerwy mam non stop napięte do granic. Jestem wykończona”.

– Od początku pani wierzyłem – odparł pozbawionym emocji głosem. – Ani przez chwilę nie sądziłem, aby z premedytacją sprowadziła nam pani na kark Nowe Crobuzon, chociaż wiem, zawsze wiedziałem, że nie darzy pani tego miasta miłością. Kiedy przyszła pani do mnie wcześniej, spodziewałem się usłyszeć co innego. Fennec to mówi, to milczy, to próbuje panią uwikłać, to się przyznaje. Ale prawda jest oczywista: była pani głupia – powiedział Doul beznamiętnym tonem. – Uwierzyła mu pani. Myślała pani, że ratuje pani swoją ojczyznę przed zagładą... Nie dążyła pani do zniszczenia Armady. Próbowwała pani ocalić swój kraj, żeby mogła pani kiedyś w przyszłości do niego wrócić. Nie życzyła nam pani zagłady, tylko była pani po prostu głupia. – Bellis płonęła z zastygłą miną. Doul przyglądał się jej badawczo. – Nawiązać kontakt ze swoim krajem uratować go... To przemówiło pani do wyobraźni, prawda? To wystarczyło. Wybawicielka ojczyzny... – Doul mówił miękkim, jednostajnym tonem, a ona słuchała go wpatrzona w swoje dłonie. – Założę się – podjął – że kiedy zastanawiała się pani nad tym, co usłyszała, to miała pani wątpliwości.

Powiedział to niemal życzliwie. Gąsienica niepewności znowu ożyła i żłobiła tunele w głowie Bellis.

– Na „Spichlerzu Słów” nie znaleźliśmy nic na jego temat. Urządził się w ładowni, miał tam czysto i sucho. Wszędzie poprzybijane były karteczki. Rozrysował sobie, kto jest czym człowiekiem, kto czym trzęsie, kto siedzi w czyjej kieszeni. Imponujące. Dowiedział się wszystkiego, co było mu potrzebne. Wplótł się w życie polityczne miasta. Siedział w ukryciu. Różne miejsca spotkań dla różnych informatorów i różne nazwiska – Simon Fench i Silas Fennec to tylko dwa spośród wielu. Ale na jego temat nic. Fennec jest jak pusta w środku kukła. Wszędzie wiszą kartki, jak plakaty, jest mała ręczna prasa drukarska, tusz i smar. W kufrze jego ubrania, w torbie notatnik – tylko tyle z rzeczy osobistych. Przedziwne. Choćby godzinami analizować pozostawione tam ślady, wciąż nie miałoby się pojęcia, jakim człowiekiem jest Silas Fennec. To tylko worek skóry wypchany intrygami.

„Ale teraz został spacyfikowany, a my dalej płyniemy na północ” – pomyślała Bellis. „Kochankowie wygrali. Kłopoty mają już za sobą, prawda?” Obdarzyła go spojrzeniem, które miało być próbą ponownego nawiązania łączącej ich dawniej nici sympatii.

– Co pani pisała, kiedy wszedłem? – spytał Doul, bulwersując ją. Pokazał na kieszeń, do której schowała list. Zawsze trzymała go przy sobie. Plik grubych kartek robił się coraz cięższy. Nie odebrano go jej bo w żaden sposób nie mógł jej pomóc w ucieczce. Od dłuższego czasu nie uzupełniała listu. Czasem zasiadała do niego tak regularnie jakby prowadziła dziennik, a czasem tygodniami go zaniebdywała – W małej, pozbawionej charakteru celi więziennej, z oknem wychodzącym na wodniste ciemności, próbowała wrócić do pisania, jakby liczyła na to, że list pomoże jej uspokoić psychikę. Stwierdziła jednak, że pisanie jest prawie niemożliwe. – Odkąd panią znam, zawsze ma pani przy sobie te kartki – powiedział Doul. – Nawet na sterowcu. – Bellis wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. – Co to jest? Co pani pisze?

Bellis uświadomiła sobie z przerażeniem, że to, co teraz powie, będzie miało dalekosiężne konsekwencje. Czekala, aż w głowie wszystko się jej poukłada. Czuła się tak, jakby wstrzymała oddech.

Wyjęła kartki z kieszeni i przeczytała to, co napisała.

„Pylnik, 9. cheta, 1780. Szósty playdi cielnika.

Witam ponownie”.

– To jest list – powiedziała.

– Do kogo? – spytał Doul.

Nie zajął do listu, tylko spotkał się z Bellis wzrokiem.

Z westchnieniem poszukała początku listu i podsunęła Doulowi, żeby mógł przeczytać pierwsze słowo.

„Drog...”, potem miejsce na brakującą literę i odstęp długości słowa.

– Nie wiem – oznajmiła.

– Właściwie to jest do nikogo – podjęła. – To smutne i żenujące, pisać list do nikogo. To nie jest list do zmarłej osoby ani żadna inna tego typu historia. Wręcz przeciwnie. List nie jest zamknięty, lecz otwiera się jak drzwi. Mógłby być zaadresowany do kogokolwiek. – Kiedy uzmysłowiła sobie, jak to wszystko musi brzmieć, ogarnęło ją przerażenie. – Zanim wyjechałam – ciągnęła spokojniejszym tonem – przez wiele tygodni, a nawet miesięcy żyłam w strachu. Znajomi znikali. Wiedziałam, że jestem ścigana. Nie był pan nigdy w Nowym Crobuzon, prawda? Chociaż zwiedził pan kawał świata, tam pan nigdy zawędrował. Nie zna pan strachu, który czuje człowiek osaczony przez milicję. Kogo już dopadli? Kogo zwinęli, poddali torturom, skorumpowali, zastraszyli, złamali groźbami, przekupili? Komu można zaufać? Strasznie ciężko jest być zdany na samego siebie. Na początku wydawało mi się, że piszę do siostry. Nie byłyśmy ze sobą zżyte, ale od czasu do czasu mam straszną ochotę z nią porozmawiać. Lecz pewnych rzeczy nigdy bym jej nie powiedziała. A że musiałam je powiedzieć, pomyślałam, że może list jest do któregoś ze znajomych.

Na liście możliwych adresatów pojawili się Mariel, Ignus, Tea Thighs Growing, człowiek-kaktus wiolonczelista, jedyny z przyjaciół Isaaca, z którym pozostała w kontakcie. Pojawili się też inni. „List mógłby być do każdego z was” – pomyślała teraz, chociaż wiedziała że to nieprawda. W tych zastrachanych miesiącach przed ucieczką odsunęła się od większości z nich, a już wcześniej z nielicznymi łączyła ją bliska przyjaźń. „Czy mogłabym napisać do któregoś z was?” – zastanowiła się nagle.

– Nieważne, do kogo się mówi albo pisze – podjęła. – Zawsze są rzeczy, które się pomija, cenzuruje. Im dłużej pisałam, im dłużej piszę, tym więcej muszę z siebie wyrzucić, tym większą mam potrzebę absolutnej szczerości. Więc piszę wszystko i odkładam na sam koniec decyzję, dla kogo list jest przeznaczony.

Pominęła milczeniem fakt, że list nigdy nie miał zostać wysłany, że miała go pisać na Armadzie aż do śmierci.

„Nie ma w tym nic dziwnego” – chciała powiedzieć Bellis. „To nie jest takie idiotyczne, jak się wydaje”. Rozpaczliwie pragnęła obronić sensowność swego epistolarnego projektu. „Nie myśl o tym w ten sposób, że po drugiej stronie jest pustka” – przekonywała go zawzięcie w duchu. „Absolutnie nie”.

– Musi pani pisać czujnie i tylko o sobie – stwierdził Doul. – Żadnych wspólnych kontekstów. List na pewno jest trochę zimny. – „Chyba masz rację” – pomyślała Bellis. – Wy wygnańcy z waszym pisaniem. Silas Fennec jest taki sam. Gdyby pani teraz do niego zajrzała, to by pani zobaczyła, że skrobie coś w notatniku, lewą ręką.

– Zostawiliście mu notatnik? – zdziwiła się Bellis.

Zadała sobie pytanie, co się stało z prawą ręką Silasa, ale podejrzewała odpowiedź. Uther Doul ostentacyjnie rozejrzał się po celi: ubrania, notatniki, list.

– Widzi pani, jak traktujemy naszych więźniów – powiedział. Bellis przypomniała sobie, że jest aresztantem, zupełnie tak samo Tanner Sack, zupełnie tak samo jak Fennec. – Dlaczego nie powiedziała pani o tym Kochankom – spytał nagle Doul – kiedy usłyszała i od Fenneca, że Nowe Crobuzon jest w niebezpieczeństwie? Dlaczego nie próbowała pani wysłać ostrzeżenia tym kanałem?

– Nie przejęliby się tym – odrzekła. – A może nawet by ich to cieszyło: jeden rywal mniej na morzu. No i te wszystkie kości do obgryzienia. Nic by nie zrobili.

Miała rację i czuła, że Doul o tym wie. Mimo to gąsienica znowu drgnęła.

Wtem coś przyszło jej do głowy.

– Niech pan przejrzy list – zaproponowała. – Przekona się pan, że o niczym nie wiedziałam.

Doul długo nie odpowiadał.

– Została pani osądzona – powiedział wreszcie.

Krew oziębła się jej w żołądku. Z drżącymi rękami przełknęła kilka razy ślinę i zacisnęła usta.

– Po przesłuchaniu przez nas Fenneca zebrał się senat – kontynuował. – W powszechnym przekonaniu Sack i pani nie wzięliście świadomego udziału w wezwaniu Nowego Crobuzon. Wasza wersja została przyjęta. Nie musi pani pokazywać mi listu. – Bellis skinęła głową i poczuła, że serce bije jej jak oszalałe. – Sami się zgłosiliście i powiedzieliście nam, co wiecie. Znam was. Oboje byliście bacznie obserwowani. – Ponownie przytaknęła ruchem głowy. – Uwierzono wam i sprawa jest zakończona. Wyjdzie pani na wolność, jeśli pani zechce... – Urwał na ułamek sekundy. Bellis wspominała później to zamilknięcie i nie umiała mu wybaczyć. – Sama wybierze sobie pani karę...

Bellis odwróciła wzrok, przyglądała list, przez chwilę oddychała głęboko i znowu spojrzęła na Uthera.

– Karę? Przecież powiedział pan, że mi pan wierzy...

– Bo wierzę. To głównie dzięki mnie wszyscy pani uwierzyli. – Nie powiedział jednak tego takim tonem, jakby oczekiwał wyrazów wdzięczności. – I dlatego pula kar jest taka, a nie inna. To dlatego będzie pani żywa, a nie martwa jak Silas Fennec, kiedy uzyskamy już od niego wszystkie potrzebne nam informacje. Przecież wiedziała pani, że nie uniknie kary. Odkąd to zamiar decyduje o wyroku? Niezależnie od tego, co pani sądziła albo co sobie pani wmówiła, ponosi pani odpowiedzialność za rozpętanie wojny, która zabiła tysiące moich ludzi: Głos mu zhardział. – Powinna pani dziękować losowi, że chcemy zachować sprawę w tajemnicy. Gdyby obywatele się dowiedzieli co pani zrobiła, to byłoby po pani. Nieujawnianie szczegółów pozwala

nam na łagodne potraktowanie pani. Powinna się pani cieszyć, że zaświadczyłem o pani prawości. Mocno się namęczyłem, żeby pomóc wam obojgu odzyskać wolność. Jego piękny głos przerażał ją.

– Niech mi pan powie – usłyszała swoje słowa.

– Senat Armady upoważnił mnie do poinformowania Tannera Sacka i Bellis Coldwine o wyroku – powiedział oficjalnym tonem patrząc jej w oczy. – Dziesięć lat w tej pojedynczej celi albo okres już odsiedziany plus chłosta. Wybór należy do pani.

Niedługo potem Doul wyszedł, zostawiając Bellis bardzo samotną. Fennec ją oszukał. Nie będzie broszur Simona Fencha. Bellis nikt nie posłucha. Miasto nie zawróci z drogi.

Doul nawet nie poprosił o pokazanie listu. Nie odebrał go jej. Nie spojrzął jej przez ramię. Nie okazał żadnego zainteresowania listem.

„Nie rozumiesz, co ci powiedziałam? Wiesz, jakie można tu znaleźć rewelacje. To nie jest zwykła korespondencja, same osobiste sekrety, szczegóły, aluzje i konteksty czytelne tylko dla dwóch osób. To jest coś jedyne w swoim rodzaju – ujawniam tutaj wszystko, co w sobie mam, niezafalszowanym głosem, wszystko, co tutaj robiłam i widziałam. Nie chcesz tego przeczytać, Doul?”

Doul wyszedł zaraz po wybraniu przez nią kary, nie spojrzawszy na wciąż przez nią trzymany gruby plik kartek. Wszystkie dowody pozostały nieprzeczytane, w otchłaniach niezakomunikowania.

Bellis kartkowała list, odtwarzając sobie swoje armadyjskie losy. Próbowwała się uspokoić. Musiała się zmierzyć z pewnym ważnym zagadnieniem. Jej plany runęły w gruzy. Ponieważ Fenneca złapano, nie było komu upowszechnić posiadanych przez nią informacji, nie było komu powstrzymać uknutego przez Kochanków obłąkanego planu przekroczenia Ukrytego Oceanu. Należało się zastanowić, jak upublicznić sprawę.

Nie umiała jednak skupić się na niczym oprócz tego, co właśnie powiedział jej Uther Doul.

Ręce jej dygotały. Tak ją to rozwścieczyło, że zazgrzytała zębami. Przeczesawszy włosy dłońmi, wypuściła głośno powietrze, ale nie powstrzymała tym drżenia. Musiała mocno dociskać długopis, żeby słowa nie zrobiły się nieczytelne. Naskrobała jedno szybkie długie zdanie i przerwała. Siedziała wpatrzona w papier. Nie potrafiła nic więcej napisać. Raz po raz czytała słowa, które miała przed oczami.

„Jutro mnie wychłostczą”.

Interludium IX. BRUCOLAC

Teraz, w tym najgłębszym rynsztoku nocy, gdzie chwile leżą bez ruchu jak przestraszone stworzenia, a my, którzy nie śpimy, jesteśmy uwolnieni z kajdan czasu, idę pospacerować.

Moje miasto porusza się. Jego obrys ciągle ulega zmianie.

Iglice zbiegają się i rozchodzą, liny napinają się jak mięśnie i biorą na siebie naprężenia, kiedy panorama Armady łamie się, goi, znowu łamie.

Dzikie zwierzęta żyjące w cieniach duszą w sobie skamlenie, wciągają w nozdrza mój martwy zapach i idą dalej - na czterech łapach, na dwóch – chyże i wystraszone przez nieregularnie ząbkowany nautyczny krajobraz, wzdłuż rowów z cegły i drewna na przebudowanych pokładach. Trupy statków włączone w tkankę miejską. Baksztagi, kokpity, drągi przeciwpoślizgowe, żurawiki i kotbelki zamknięte pośród zaprawionej solą wieków architektury.

Za każdym murem marynistycznych cząstek kryje się mumia, ofiara, jak zamordowany służący, którego zakopano w fundamentach świątyni. To miasto duchów. Każda dzielnica jest nawiedzana. Żyjemy jak cmentarne robaki na naszych martwych statkach.

Zwiędłe kwiaty i zielska rwą się ku skąpemu światłu latarń pożytki w ścianach, przez wyłobienia w betonie i drewnie. Życie jest uparte, o czym my, którzy umarliśmy, dobrze wiemy.

Smugi kurzu, okrawków kości i cegły, obok poszarpanych ran po chirurgii bombowej: węgiel i gruzy, wysypiskowa interpunkcja nudnego miejskiego monologu. Farba, wiek, wszelkie śmieci miejskiego przypadku odciskają swoje piętno na krępych wieżowcach - na przednich pokładach - i czynszówkach - w cieniu bukszprytów. Doniczki i koła jak wyblakłe tatuaże, celowe zezwolenia. Niezliczone znaki, rzeźby przypadkowe i świadomie stworzone; szarzyzna upstrzona znamionami życia i preferencji, ozdobne daszki, wstążki na pogrążonej we śnie trzodzie.

Wszelkie szkło jest pęknięte i porysowane - misternie żłobione przez cienie. Rozświetlone okna są obwiedzione falbankami ciemności ascetyczne i zimno błyszczące.

Ćmy i nocne ptaki, stworzenia ożywające w świetle księżyca, podźwiękują z cicha. Nieliczne odgłosy kroków rozpierzchają się, szybko tracąc swoją postać. Można by pomyśleć, że miasto spowija mgła, chociaż tak nie jest. My, którzy chodzimy dzisiaj po mieście, wyskakujemy znikąd i szybko tam wracamy.

Mijamy fabryki, sale rewii, kościoły; pokonujemy pomosty, które grzechoczą jak kości. Armada jedzie na falach niema i niezatapialna jak nakrapiane rdzą zwłoki.

Przez deszczułki nadbudówki widać morze. Spoglądam na siebie - okrytego cieniem i niewyraźnego, ale dzięki temu przeze mnie na czarną wodę. Patrzę w ciemności tak głębokie, nawet mimo rozbłyskujących tu i ówdzie chemicznych światełek podobnych do robaczków świętojańskich, jakby usiłowały coś mi zakomunikować w nieznanym mi języku. Mają swoją własną gramatykę. Kieruję niewidzący wzrok na hodowlane ryby krążące autystycznie w klatkach, na łodziach, na pokreskowane atramentem mroku kile, rury i szczeliny, na wolne przestrzenie, na łańcuchy obrosłe skorupiakami i śliskie od alg, na wielki, niewidoczny kształt, który nas ciągnie, idiotycznie i niepotrzebnie.

Historia zewsząd na mnie napiera, bezkształtna i dokuczliwa, ale wcisnę ten koszmar w ramy sensu.

Daje się wyczuć jakiś rytm, wysnuty z tajnej kryjówki, udziela tej nocy kształtu, znowu podaje jej tempo i zegary, które wstrzymały oddech, wypuszczają powietrze.

Zmierzam po dachach na swój księżycowy statek. Po kamiennych dachówkach, gontach i mieszańcach tych dwóch gatunków, przez niski, naturalnie oświetlony las kanałów dymowych, iglic, wież wodnych, przez swoje dzielnice. Nie rządzą tutaj, nie pobieram podatku posocznego, minął dzień od ostatniego posiłku i bez trudu mógłbym ześliznąć się po tej rynnie jak te wapienne krople, które przyprawiły jej brodę. Nie trzeba wielkiego wysiłku, żeby znaleźć napelnionego krwią nocnego spacerowicza i wyssać go do cna, ale te dni minęły, jestem teraz urzędnikiem, a nie drapieżką i zdecydowanie bardziej mi to odpowiada.

Do świtu zostało mnóstwo czasu, ale jakiś etap dobiegł końca. Zmierzamy w stronę poranka. Mój czas minął.

Jestem na trawlerach, statkach mieszkalnych, niepewnym krokiem sunę przez Ałozowice z ich wiejskimi chatami i zakładami przemysłowymi. Dalej, na mój

korpułentny statek. Pragnieniowice, gdzie pokancerowane ulice są cichsze i przykryte dywanem kurzu.

Skąd bierze się kurz? Jest nawiewany godzina po godzinie przez neurotyczny morski wiatr?

W niektórych światłkach - które są marzeniami sennymi, ale w żadnym stopniu nie tracą przez to swojego realnego charakteru – widzę kurz gęsty jak śnieg, a moją trasę do domu zatykają pajęczyny. Tonę w kurzu i krztuszę się nim, dławią mnie wysuszone spaliny czasu.

Coś drgnęło, a ja to wyczuwam. Znam wszystkie rytmy miasta. Pojawiło się coś nowego.

Na księżycowobiałych pokładach „Uroca” są ślady. Jakaś nieznana mi ręka trzymała się tych want.

Rozglądam się za przybyszem.

Spójrzmy.

Coś ty za jeden?

Na korytarzach prowadzących do mojej kajuty zostawiłeś trop. Parę kropel słonej wody. Smugi czegoś śluzowatego. Porysowany lakier i żelazo. Coś ty za jeden?

Ty się przede mną nie chowasz. Ty witasz mnie w domu.

A, rozumiem, na moim progu zostawiłeś dla mnie krew.

Poproszyłeś nią deskę jak cukrem.

Słyszę cię za moimi drzwiami.

W moim pokoju pachnie jak w ujściu rzeki. Rzecznym koagulatem i krwią trzewną ryb. Przyzywasz mnie grzechotaniem kości, obca istota. Nie otworzyłem żadnych śluz, żeby pozwolić księżycowi oświetlić moją komnatę sypialną, ale światło jest dla żywych. Oczy, które na ciebie patrzą, są oczami wampira.

Witam, witam.

Roztroiłeś się, tworząc makabryczne tableau: wyciągnięty na moim łóżku koło okna i teraz przy mnie, zamykasz za mną drzwi, z szacunkiem wprowadzasz mnie do mojego domu.

Co ja tu widzę?

Widzę, że migoczesz przede mną, wielkie ogony salamandry leżą poukładane w warstwy na podłodze, opływowe czaszki przypominają chauliodusy, zęby sterczą jak garście gwoździ, oczy czarne i wielkie niby wiadra smoły, mokra skóra naciągnięta na umięśnioną kość jak żywica na sękatę drewno. Widzę cię w moim pokoju.

Spoczywasz na mojej pościeli niby modelka pozująca do aktu malarskiego, na twojej rybiej twarzy gości pozbawiony podtekstów szeroki uśmiech, na szyi zawiesiłeś zakłęcia i kości, przyzywasz mnie uprzejmie do siebie, czyjąż to twarz trzymasz w dłoni?

Czyjąż to głowę uciąłeś, żeby przynieść mi krew? Co to była za kobieta? Strażniczka, która na ciebie trafiła? A może zginęła podczas wojny z Nowym Crobuzon, utonęła lub została rozerwana pociskiem, a ty ciachnąłeś ją w szyję, żeby zdobyć to odkształcone trofeum? Cięcie jest wystrzępione, krwawe i włókniste.

Płowowłosa kobieta wpatruje się we mnie z twojej dłoni.

Co ty robisz?

Upuszczasz martwą głowę i podnosisz się jak jakaś nieznana mi istota.

– Seigneur Brucolac – mówisz głosem zimniejszym od mojego. – Musimy porozmawiać.

Nie mam nic przeciwko temu. Porozmawiam z tobą. Wiem, kim jesteś. Myślę, że spodziewałem się ciebie.

Godziny staczają się ku porankowi, a my - och, jakież wykrywamy spiski i tajemnice!

Przybyłeś za późno. Rzeczna istota. Rzeczniaku. Przybyłeś za późno z Morza Zimnego Pazura, szukając w tych słonych prądach tego, co ci odebrano. Nic z tego, co mówisz do mnie tą poruszającą się spastycznie, zachłapaną krwią szczęką, nie jest dla mnie jasne. Jak przystało na rzeczną istotę, szarpanymi ruchami przybliżasz się do sensu swojej wypowiedzi i rozgrzebujesz szlam namuliskowych słów, które przesłaniają twoje intencje. Ja jednak miałem do czynienia z jasnowidzami, poetami i Tkaczami, toteż wiem, w którą stronę zmierzały twoje insynuacje.

Polowałeś na prądach morskich. Przywierałeś pasożytniczo do boków naszych napastników, a potem oderwałeś się pośród bitewnej nędzy, aby kolekcjonować ciała trupów i konających.

A potem – jak mam to rozumieć? Ukryłeś się i wykorzystywałeś ich. Niektórych oszczędziłeś, karmiłeś ich powietrzem i przesłuchiwałeś ich. Przesłuchiwałeś ich po śmierci, dobrze zrozumiałem? Uczyłeś się od nich - struchleli ze zgrozy na przedmieściach śmierci wszystko ci wygadali, nieruchomi w wodzie, uwięzieni pod swoimi domami.

Jesteś tu zaledwie od kilku dni, ale jak najwytrawniejszy szpieg wiesz już o tym mieście wszystko.

I dlatego - taki jest sens twoich słów? – przyszedłeś do mnie.

Ktoś zabrał ci coś z twoich wież na drugim końcu świata, coś cennego i jedyne w swoim rodzaju, i ty chcesz to odzyskać. Sprawca uciekał przed tobą, przemierzając setki kilometrów, przemierzając całe kontynenty, aż trafił tutaj, do mojego miasta. Wytropienie go zajęło ci bardzo wiele czasu, ale ten człowiek był skończonym durniem, jeśli sądził, że mu odpuszczisz.

Wyśledziłeś go. Znalazłeś jego dom.

Ale na wyższych piętrach było jakieś zamieszanie, kiedy ty tak leżałeś, czekałeś, przygotowywałeś się i zadawałeś pytania każdemu, kogo udało ci się porwać z pokładów Armady. I chociaż zapewne jesteś przebiegły, drapieżny i nieustraszony, nad tobą jest ich zbyt wielu, nie ma szans, żebyś rozgromił całe miasto. Po wyjściu z wody jesteś bezukryty i z myśliwego stajesz się zwierzyną.

Nie możesz znaleźć obiektu swojej pogoni. Ten człowiek zniknął. Nie odda ci dobrowolnie tego, po co przybyłeś, trzeba go zmusić. Gdybyś poprosił o pomoc władarzy miasta, a oni nie stanęliby po twojej stronie, to zgrałbyś wszystkie swoje atuty i nie mógłbyś się bronić, jeśli zwróciliby się przeciwko tobie. Nie jest was aż tak wielu. Nie możesz wypowiedzieć nam wojny. Nie możesz szukać tego, kto ci uciekł.

Chyba że z czyjąś pomocą.

Dlaczego przyszedłeś do mnie?

Dlaczego przyszedłeś do mnie, głębinowcu?

Przybywasz do mojego miasta, zabijasz moich poddanych i stajesz przede mną, Brucolakiem, z bezczelnością szantażysty. Skąd wiesz, że cię nie unicestwię?

Rozumiem.

Och, jesteś znakomity, jesteś doskonałym szpiegiem. Podziwiam cię, imponuje mi, że przez te kilka dni i nocy tak wiele się dowiedziałeś. Pozwól, że uchylę przed tobą czoła.

Czy jest coś, czego się nie dowiedziałeś? Czego nie rozumiałeś?

Przyszedłeś do mnie, bo wiesz, że jestem zły.

Wiesz, co przywołali Kochankowie. Może nawet wiesz, dokąd płyniemy.

Wiesz, że ja się na to nie godzę. Że jestem jedyną siłą, która im się przeciwstawia.

Może wiesz, że biorę pod uwagę bunt.

Czy w tym, co zastałeś, wielokrotnie pojawiało się moje imię? Jestem tego pewien. Wiesz, że jestem najpotężniejszą spośród osób, które czegoś pragną, które są wściekle, które życzą sobie zmiany status quo.

Wiesz, że można mnie kupić.

Czy taka jest twoja propozycja, hakenmannie?

Są pewne działania, które tylko ty jesteś władny podjąć, a które mogłyby przeważać szalę. Które mogłyby stworzyć nowe okoliczności, zmienić układ sił, wymusić zmiany. Wykreować fakty.

Tę wyprawę, tę idiotyczną pielgrzymkę, być może da się zatrzymać.

O tak, gdybyś tego dokonał, gdybyś zastopował naszą podróż...

Tylko ty możesz mi pomóc, mówisz mi na swój skomplikowany sposób. Tylko ty możesz zahamować tę obłąkaną ekspedycję. Jakie jest zatem moje zadanie?

Chyba nawet ja nie potrafiłbym przebić się przez rzesze strażników, którzy pilnują maszyn i ostróg skalnego mleka. Nie wiem, co trzeba zrobić. Ale jest inny sposób - coś innego, pewna siła - na spowolnienie i zastopowanie naszej jazdy. Można zatrzymać zwierzę.

Byłoby znakomicie, gdybyś to zrobił.

A w zamian? Widzisz? mówisz mi, z dziwną dumą połyskującą niby łuski, znasz się na handlu wymiennym, który stanowi treść naszego i życia.

W zamian? Pomogę ci znaleźć ukrytego człowieka, który ci uciekł.

Może nie wiesz, co to jest śmiech. A już z całą pewnością nie wiesz, dlaczego śmieję się tak długo.

Nie możesz wiedzieć.

Nie możesz wiedzieć, kogo powaliłem i rozkrwawiłem. Co widziałem w jego ręku. Nie możesz wiedzieć, że będąc lojalny wobec Armady i pozbawiony innej możliwości, schowałem do kieszeni swój gniew na Kochanków i oddałem im tego człowieka, chociaż wstydziłem się, ponieważ ponoszę część odpowiedzialności za rzeź, którą on na nas sprowadził. On nie jest zwykłym złodziejem, ten zbrodniarz wojenny, i trzymają go w czystcu do czasu, aż będziemy mogli odpowiednio go ukarać. Czyli już po naszej obłąkanej wyprawie.

Przybyłeś trochę późno.

Ale nie za późno. Nie jest jeszcze za późno, aby odwrócić bieg wydarzeń.

Wiem, gdzie go trzymają.

Nie możesz wiedzieć, że gdybyś złożył mi taką propozycję w każdym innym momencie, to bym cię zabił. Nie możesz wiedzieć, że mam dosyć tego groźnego szaleństwa, w które pcha się moje miasto. Że jeśli do zawrócenia nas z kursu konieczny będzie bunt, to nie zawaham się go wywołać.

To nie jest zwykły moment, głębinowcu. Przychodzisz do mnie w czas wojny.

Potrzebujesz jakiejś osłony? Jakiegoś wabika, który odciągnie od ciebie uwagę na czas poszukiwań?

Mam coś, co doskonale nada się do tego celu.

Cicho. Pozwól, że ja ci powiem, jak to będzie. Co ty zrobisz, co ja zrobię. Pomogę ci go znaleźć i zrobisz to dla mnie. A ja ci powiem, gdzie jest to, czego szukasz.

A teraz zaplanujmy wszystko szczegółowo, dobrze?

Nie przerywaj.

Musimy ustalić wszystko do końca. Widzisz, o tam? Zdażymy.

Niebo jeszcze nie jest jasne.

CZĘŚĆ SIÓDMA. CZUJKA

Rozdział czterdziesty pierwszy

Kiedy Armada zmierzała na północ przez osowiałe powietrze – umiarkowane fronty przemieszczały się tak powoli, jakby pogoda na coś czekała – a nastrój oczekiwania udzielił się wszystkim obywatelom, Bellis leżała złożona gorączką.

Przez dwa dni w ogóle nie myślała. Rozpalały ją tak wysokie temperatury, że jej pielęgniarze martwili się o nią. Bellis uciekała przed majakami, dostawała napadów wrzasku, których później nie pamiętała. Awank ciągnął jednostajnym tempem, nie szybko, ale zdecydowanie szybciej, niż miasto kiedykolwiek wcześniej podróżowało. Kształty fal zmieniały się wraz z prądami.

Tanner Sack jest twardszy od Bellis. Zwalniają go pod opieką Szekla, kory płacze ze zmartwienia, który rzuca mu się na szyję z wrzaskiem ulgi zmieszanej z rozpaczą, gdy widzi, że Tanner utyka. Ten krzyczy z bólu, kiedy dłonie Szekla naciskają jego pochlastane plecy. Ich głosy splatają się ze sobą, po czym Szekel prowadzi Tannera tam, gdzie czeka Angevine.

– Co oni ci zrobili? – jęczy raz po raz Szekel. – Za co?

Tanner uspokaja go i mówi nieskładnie, że były powody i że nie będą o tym rozmawiali, że sprawa jest zamknięta.

Są to historyczne dni. Podejmuje się wielkie decyzje. Zwolowane są publiczne spotkania, na których dyskutuje się o wojnie, dziejach miasta, awanku, pogodzie i przyszłości.

Bellis nic o tym nie wie.

Wiele dni później Bellis Coldwine usiadła na łóżku, z temperaturą już tylko trochę podwyższoną. Zjadła i wypła sama, mnóstwo rozlewając, bo palce trzęsły się jej gwałtownie. Każdy ruch sprawiał jej tak potworny ból, że musiała zacisnąć zęby, aby nie wrzasnąć. Nie wiedziała, że strażnicy na korytarzu przywykli do jej krzyków.

Na drugi dzień wstała, poruszając się powoli i niepewnie jak pomarszczona staruszka. Upięła byle jak włosy i narzuciła na siebie długą, bezkształtną koszulę.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Bellis przestała być więźniem Już przed tygodniem.

Korytarzami więziennego skrzydła „Wielkiego Wschodniego” przechadzali się strażnicy. Zawołała jednego z nich i próbowała spojrzeć mu w oczy.

– Pójdę teraz do domu.

Kiedy usłyszała swój głos, zachciało jej się płakać.

Osobą, która pomogła jej przedostać się do domu, był Uther Doul. Zbulwersowało ją to.

„Chromolit” znajdował się tylko dwa statki na lewo od „Wielkiego Wschodniego”, ale Doul wziął taksówkę powietrzną. Siedziała w gondoli odsunięta od niego i przerażona, że wrócił strach przed Doulem, wiele miesięcy wcześniej wyparty przez inne uczucia. On przyglądał się jej wzrokiem, w którym nie widać było współczucia.

Rzecz jasna, to nie on ją skazał, ale za każdym razem, gdy wracała pamięcią do tej dłużącej się, krwawej, morderczej, katorżniczej godziny sprzed tygodnia i migaly jej w głowie obrazy bólu i krzyku, widziała w nim osobę, którą przecież był: przedstawiciela Armady, władzy, która jej to zrobiła. Człowiek, który dzierżył pejcz, wykonywał rozkazy.

Doul wszedł za nią do mieszkania, niosąc rzeczy. Nie zwracała na niego uwagi. Poruszając się ostrożnie, znalazła lustro.

Gwałt dokonany na jej plecach rozprzestrzenił się i zdewastował jej twarz. Bellis wyglądała na odsączoną z krwi. Zmarszczki i kurze stopki, które powoli ją żłobiły od kilkunastu lat, teraz przypominały nacięcia, rany wyrżnięte w twarzach Kochanków. Bellis ze zgrozą dotykała policzków i oczu.

Jeden z zębów popękał i odłupało się kilka kawałków, kiedy za niego pociągnęła. To na skutek zaciśnięcia szczęki na kiju, który dali jej do zagryzienia.

Kiedy zmieniła pozycję i płótno koszuli przesunęło się po poszarpanych plecach, syknęła z bólu.

Doul stał za nią, jego obecność była jak skaza na szkle. Chciała, żeby wyszedł, ale nie mogła się zdobyć na powiedzenie mu tego. Snuła się po pokoju na osłabionych gorączką nogach. Bandaże przylegały jej, pieców w miejscach, gdzie płakały rany.

Ból w plecach był dotkliwy, ale w miarę jednolity. Bellis traktowała go jak szum tła, nie zwracała na niego uwagi, jakby był czymś z nią niezwiązanym. Stała w oknie i potoczyła w krąg spojrzeniem, patrzyła na aerostaty i ptaki, na ściany Armady bezrefleksyjnie kołysane przez lekki wiaterek. Przemysł funkcjonował na pełnych obrotach, ludzie pracowali zapamiętali, tak jak pierwszego dnia, kiedy odciągnęła zasłony w kominie „Chromolitu” i zobaczyła swoje nowe miasto.

Stopniowo dotarło do niej, że coś się zmieniło. Inne było powietrze, sposób ujeżdżania prądów przez Armadę, samo morze. Otaczające miasto statki nie łączyły już własnymi ścieżkami aż po horyzont: stado okrętów – choć wciąż naznaczonych przez wojnę – płynęło w zwartym szyku za rufą miasta, jakby bały się je zgubić.

Morze też było odmienione.

Odwróciła się, aby spojrzeć na Doula.

– Jest pani wolna – powiedział ze sporą dozą delikatności w głosie – i zbędna. Krüach Aum od dawna pani nie potrzebuje. Rany muszą się zagoić. Dla dobra miasta wszelkie informacje o pani przypadkowym udziale w rozpętaniu wojny zostały utajnione. Jestem pewien, że w bibliotece przyjmą panią z powrotem...

– Co się stało? – spytała Bellis zachrypłym, skrzypiącym głosem, który zostawiła jej chłosta i choroba. – Wszystko jest jakieś inne. Co się stało?

– Dwa dni temu, o ile można to tak dokładnie stwierdzić, przekroczyliśmy jakąś granicę. Wszyscy to czują. Flocie – pokazał na statki za miastem – ciężko się płynie. Są dziwne prądy. Statki nie radzą sobie z nimi, bo mają za słabe maszyny.

Opuściliśmy Wezbrany Ocean – powiedział, patrząc na nią beznamiętnym wzrokiem. – znajdujemy się na obrzeżach nowego akwenu. – To... – Szybkim ruchem ramienia pociągnął dłonią od horyzontu do horyzontu. – To jest Pusty bądź Ukryty Ocean.

„Tak daleko od domu” – pomyślała Bellis, zaskoczona własną furią. „Zabierają nas, mnie, coraz dalej i dalej. Postawili na swoim”. Usłyszała brzęczenie w uszach. „Wszystko, co zrobiliśmy, dobrego i złego straciło znaczenie. Tak łatwo im przyszło, żeby nas zawlec na skraj tego zasranego morza, którego nie przepłynie żaden statek. Fru na Pusty Ocean i do widzenia, moja ojczyzno”.

Sama myśl o Kochankach napawała ją zgrozą: ich miłosne świergolenie. Te ich chore, codzienne, postawione na ostrzu noża zaślubiny Chcieli tutaj dopłynąć. Bellis usiłowała zawrócić ich z drogi, ale nie zdołała, przegrała.

– Czyli ściągnęli nas tutaj? – spytała Uthera chłodnym tonem, stwierdziwszy, że znowu się go nie boi. Zadarła podbródek. – Wiem, jaki jest następny etap. Blizna.

Jeśli go zaskoczyła, to dobrze ukrył ten fakt. Spojrzał na nią bez emocji.

„Czyli Fennec za bardzo się ślimaczył ze swoją bibułą i pogłoskami” – pomyślała. „To nie znaczy, że sprawa jest przesądzona. To nie znaczy, że musimy pogodzić się ze swoim losem”.

Otworzywszy Bellis drzwi, Szekel długo wpatrywał się w nią bez słowa, kompletnie dezorientowany.

Poznał ją, ale natychmiast doszedł do wniosku, że musiał się pomylić. Ta biała jak płótno niewiasta z suchymi czarnymi włosami, które opadają na ramiona jak wiechcie wyschniętej trawy i rysami, w które wpisane są lata cierpienia, to nie może być Coldwine, tylko jakaś podobna do niej zniszczona życiem łazęga.

– Wpuść mnie, Szekel – powiedziała głosem, do którego zupełnie się nie poczuwała. – Muszę porozmawiać z Tannerem Sackiem.

Niemy i przerażony, odstąpił w lewo.

Tanner Sack przewrócił się na drugi bok i bredził coś kołovatym językiem. Oczy miał kaprawe. Nagle zerwał się, rozrzucając wokół siebie pościel. Wycelował palcem w Bellis.

– Wypieprz ją stąd, Szekel! – krzyknął. – Wypieprz ją stąd!

– Posłuchaj mnie! – powiedziała Bellis gardłowym głosem. – Proszę cię...

– Mam w dupie twoje gadanie, ty suko!

Tanner trząsał się z wściekłości. Za plecami Bellis rozległ się terkot silnika. Podjeżdżała do nich Angevine.

– Musisz mnie wysłuchać – wyburczała Bellis, usiłując krzyknąć. – Masz dużo znajomych. Możesz to rozgłosić po mieście... – urwała i skrzyła się z bólu, bo Angevine położyła jej rękę na plecach. – Wiesz, dokąd płyniemy? – zdołała wydusić.

– Wiesz, po co jesteśmy na tym morzu, na którym nic nie porusza się tak, jak powinno? – Tanner spojrział na Szekla, potem na Angevine. Wszyscy troje mieli osłupiałe miny. – Posłuchajcie! – krzyknęła Bellis, kiedy Angevine wypchnęła ją za drzwi do wtóru ostatniej wiązanki Tannera.

Bellis powoli maszerowała w stronę biblioteki. Krew przesiąkła przez bandażę i na koszuli wykwitły czerwone plamy. Znalazła zbombardowaną dzielnicę z „Pinchermarnem”, gdzie bibliotekarze wydobywali książki spod rumowiska.

– Bellis!

Carrienne zbaraniała na jej widok. Bellis znowu trochę majaczyła.

– Musisz mnie posłuchać – wykrztusiła.

Wyszły na zewnątrz i Carrienne opasała ją opiekuńczo ramieniem. Bellis cierpiała potworny ból i mówiła z wykrzywioną twarzą:

– Johannes. Tearfly. Carrienne, musisz mi pomóc w znalezieniu Johannes'a Tearfly'a...

Carrienne skinęła głową.

– Wiem, Bellis. Już mi o tym powiedziałaś.

Znalazły się w pomieszczeniu, którego Bellis nie rozpoznała, potem w innym. Była tak zmęczona, że bliska omdlenia. Carrienne i Bellis zawisły nad miastem w ciemnym powietrzu, światła Armady gasły w skomplikowanej sekwencji. Bellis kilka razy usłyszała własny głos, który zabrzmiał jej zupełnie obco.

Przeszył ją ekstatyczny, zimny ból, podniosła wzrok i stwierdziła, że jest we własnym łóżku, w swoim kominowym mieszkaniu. Pamięć – a może wyobraźnia – podsunęła jej obraz Carrienne zdejmującej bandażę i smarującej plecy Bellis maścią. Zamknęła oczy. Coś usłyszała, jakiś cichy, rytmiczny dźwięk.

– Bogowie. Bogowie. Bogowie. Bogowie.

Był to głos Carrienne. Bellis przekręciła głowę i zamglonymi oczami zobaczyła nad sobą twarz przyjaciółki, skrzywionej, zagryzającej wargę, wcierającej maść.

„Co się stało?” – próbowała spytać Bellis, która w pierwszej chwili pomyślała, że jej przyjaciółkę coś boli, ale zaraz sobie przypomniała, co się stało. Nie umiała odmówić sobie pożalenia się nad swoim losem.

Kiedy następnym razem otworzyła oczy, w pokoju oprócz Carrienne był też Johannes. Pili herbatę i z zakłopotaniem na twarzach rozmawiali, siedząc przy jej łóżku.

Była noc. Bellis pojaśniało w głowie.

Johannes szarpnął się, kiedy zobaczył, że Bellis się poruszyła.

– Bellis, Bellis – powiedziała łagodnie Carrienne. – Na litość bogów, dziewczyno, coś ty zrobiła?

Carrienne była przerażona. Jej troska napełniła Bellis głęboką wdzięcznością. Nie mogła im jednak wyjaśnić, skąd wzięły się rany.

– Nie chce z nami o tym rozmawiać – stwierdził Johannes speszonym tonem. Sprawiał wrażenie szczerze zatroskanego, ale i zakłopotanego. – Przecież widzisz... musiała być na bakier z... Przypuszczalnie ma szczęście, że w ogóle tu jest.

– Do ciemnej cholery, Bellis! – Carrienne wściekła się. – W dupie ich mam! – Jednym pociągnięciem ramienia ogarnęła całą władzę. – Powiedz nam, za co ci to zrobili.

Bellis nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. „On ma rację” – pomyślała, podnosząc zamglone oczy na Johannes'a. „On jest śmierdzącym tchórzem, a ty, bogowie raczą wiedzieć dlaczego, moją wspaniałą, odważną i lojalną przyjaciółką, Carrienne... Ale to on ma rację. Nie powinnaś się do tego mieszać. I ja do tego nie dopuszczę, choćby nie wiem co. Jestem ci to winna”.

– Czyli znalazłaś go? – zdołała powiedzieć.

– Carrienne bardzo się postarała – stwierdził Johannes. – Przekazała mi wiadomość.

Bellis usiadła na łóżku wyprężona i zacisnęła zęby, bo popękana skóra zaprotestowała.

– Muszę z wami porozmawiać – rzekła nieco silniejszym głosem. Powoli pokręciła głową. – Przez ten ostatni tydzień... byłam sama. W tym czasie dookoła wszystko się zmieniło. Na pewno zauważyliście. Wiem, z czego to wynika. Wiem, co się dzieje. – Zamknęła oczy i długo milczała. – Wiecie, gdzie jesteśmy? Wiecie, na jakie wody wpłynęliśmy?

Carrienne i Johannes wymienili spojrzenia.

– Na Ukryty Ocean – odparła Carrienne ostrożnym tonem.

Bellis zdołała uśmiechnąć się nieznacznie.

– Tak jest.

„Do licha z wami wszystkimi” – pomyślała. „Nie potrzebuję tego zdrajcy i zasrańca Fenneca. Sama sobie poradzę”.

– A wiecie, dokąd płyniemy? – spytała.

– Do Blizny – odrzekł Johannes.

Słowa uwięzły jej w gardle. Wytrzeszczyła na niego oczy i zobaczyła, że Johannes patrzy na nią z zatroskaniem i dezorientacją, a potem kieruje wzrok na Carrienne, która kiwa głową.

– Do... Blizny.

Słowa te zabrzmiały w jej ustach niepewnie i głupio, nie były objawieniem, tylko absurdalnym echem.

Złamali ją. Wygrali. Nie zostało w niej nic, absolutnie nic.

Po wyjściu Johannes Bellis i Carrienne siedziały do późna i rozmawiały. Carrienne wszystko jej opowiedziała.

„Co za tydzień” – Ten nedorzeczny eufemizm tłukł się jej w głowie. „Żeby akurat taki tydzień przegapić”.

Kochankowie obwieścili to publicznie.

Nie dało się ukryć przed armadyjskimi pilotami, kapitanami i nauskopistami, że charakterystyka wody i powietrza uległa zmianie. Nie dało się przed nimi ukryć nagłych przeciwprądów, które biegły pod powierzchnią w kierunku przeciwnym do fal. Kompas zaczęły wariować, czasem na wiele minut gubiąc północ. Odległość od horyzontu była zmienna. Armadyjskiej flocie płynęło się coraz trudniej.

Awank nic sobie, rzecz jasna, nie robił z tych sił. Ani odrobinę nie zbaczal z kursu, ciągnąc za sobą miasto.

Zaroilo się od plotek, ale w mieście było tylu doświadczonych, odczytanych marynarzy, że prawdy nie dało się ukryć. Awank, kierowany przez pilotów z Niszczukowód, ciągnął Armadę na Ukryty Ocean. Wszystkie historie na temat tego akwenu znajdowały potwierdzenie.

A potem, szóstego khandi kwarty cielesnej, Kochankowie zorganizowali szereg publicznych spotkań w swoim okręgu i w tych sprzymierzonych.

– Z Kochanka jest zajebisty mówca – powiedziała Carrienne. – Słyszałam go w Książkowicach. „Kiedy tu przyjechałem, byłem nikim” – mówił. „Zacząłem się stwarzać, i dzieła tego dokończyła moja Kochanka, która stworzyła mnie, stworzyła siebie i stworzyła to miasto”. Aż głos mu drżał. „I czy dzięki nam Armada nie stała się potęgą?” Ludziom strasznie się to podobało. Bo to prawda. To były dobre lata świetne zbiory i łupy. No i „Sorgo” – nie było cię, kiedy ją sprowadzili, prawda? – Carrienne uśmiechnęła się i pokręciła z podziwem głową. – Zrobił z nas potęgę, tego nikt mu nie odbierze. A potem ten zajebisty awank...

– Myślałam, że jesteś lojalną obywatelką Pragnieniowic – przerwała jej Bellis, a Carrienne przytaknęła skwapliwie.

– Bo jestem, ale twierdzę, że w tym wypadku... Myślę, że Brucolac nie ma racji. Jak dla mnie to wszystko jest sensownie pomyślane.

„Istnieje źródło siły – powiedział Kochanek do tłumów – na krańcu świata. Miejsce przejmujące grozą: rozdarcie, przez które wielkie fale mocy napierają na rzeczywistość. Na Armadzie jest człowiek, który ma na to dowody i wie, jak można podłączyć się do tej mocy. Do tej pory dotarcie tam było jednak niemożliwe”.

„Jest takie zwierzę – mówił Kochanek dalej – niesamowita istota, która od czasu do czasu przenika do Bas-Lag, po czym wraca do siebie. Armada sprowadziła pewnych wybitnych ludzi, którzy umieli złowić to zwierzę”.

„Kobieta, która mnie stworzyła – grzmiał, pokazując na Kochankę – zrozumiała, że dzięki temu drugiemu faktowi można wykorzystać ten pierwszy”.

„Źródło tej mocy – powiedział Kochanek – znajduje się na drugim końcu Ukrytego Oceanu. Mówi się jednak, że żaden statek w przepłynął przez Ukryty Ocean. Przyjaciele – tu rozpostarł ramion w triumfalnym geście, który powieliła teraz Carrienne – awank jest statkiem”.

A zatem Kochanek wyjawiał prawdę, którą razem ze swoimi ludźmi przez lata ukrywał, wyjawiał plany, które istniały już wtedy, kiedy zatrudnili Tintinnabuluma, ukradli „Sorgo”, polecili na wyspę anopheliusów, podnieśli awanka. Przyznał się do tego w taki sposób, że nie został ukamienowany za swoje manipulacje i kłamstwa, lecz nagrobny brawami.

„Możemy przepłynąć przez Ukryty Ocean!” – krzyczał do wiwatującego tłumu. „Możemy czerpać moc z Blizny!”

– Kiedy to wszystko takie niepewne – powiedziała Bellis i Carrienne pokiwała głową.

– Oczywiście.

– Statki, flota... Carrienne znowu przytaknęła.

– Niektóre już są przycumowane do miasta. A jeśli reszta nie będzie mogła za nami płynąć, to nic nie szkodzi. Nasze statki nawet miesiącami pływają samopas i zawsze znajdują drogę do Armady. Te, które za nami płyną, wiedzą, co jest grane, a te, których nie ma... no, to nic nowego. Miasto wędrowało swoimi ścieżkami. Nie znikniemy na Ukrytym Oceanie, Bellis. Nie przyplłynęliśmy tutaj na zawsze. Znajdziemy Bliznę i wrócimy.

– Ale to morze jest kompletnie popieprzone! – pomstowała Bellis cieniutkim głosem. – Nie mamy pojęcia, co nas tu czeka, jakie siły, jakie stworzenia, jacy wrogowie.

Carrienne zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– To wszystko prawda. Rozumiem. – Wzruszyła ramionami. – Jesteś przeciwna temu pomysłowi. W porządku, nie jesteś w tym odosobniona. Bodajże za dwa dni wypływa statek z takimi sceptykami jak ty, wracają na Wezbrany Ocean i będą czekali na powrót miasta. Ale... – urwała. Uświadomiły sobie jednocześnie, że Bellis nie należy do kategorii osób, które uzyskają przepustkę. – Większość z nas uważa, że gra jest warta świeczki.

– Wcale nie – powiedziała cicho Carrienne po pewnym czasie. – Ufam Brucolacowi i jestem pewna, że ma powody, by przeciwstawiać się planom

Kochanków. Jestem taka przejęta, Bellis! Czemu nie mielibyśmy spróbować? To może być najdonioślejsza chwila w dziejach naszego miasta. Musimy spróbować.

Bellis ogarnęło uczucie, którego w pierwszej chwili nie rozpoznała. Nie przygnębienie, nie żal, nie sceptycyzm, tylko rozpacz. Poczucie, że wszystkie plany, wszystkie opcje umierają.

„Przegrałam” – pomyślała bez melodramatyzmu czy nawet gniewu.

Carrienne nie była wypraną z mózgu idiotką, która bezrefleksyjnie ulega demagogii. Znała argumenty za i przeciw, nawet jeśli były one nieobiektywne i stronnicze. Z całą pewnością uzmysłowiła sobie, że całe przedsięwzięcie zaplanowano dawno temu, a zatem większość mieszkańców miasta była oszukiwana.

A jednak, wzięwszy pod uwagę wszystkie czynniki, uznała plan Kochanków za dobry.

„To był podły numer” – mówiła w myślach Bellis do Kochanków. „Chwyć poniżej pasa. Tego nie przewidziałam. Kłamstwa, manipulacje, przekupstwo, przemoc, korupcja, to owszem, ale zupełnie się nie spodziewałam, że po prostu zainicjujecie publiczną debatę i wasze stanowisko przeważą”.

Przemknęła jej przez głowę myśl o nic teraz niewartej broszurze Fench. Jej ramionami zatrząsł bezgłośny śmiech. OTO, JAKA JEST PRAWDA! – krzyczała zapewne broszura. NISZCZUKO WODY WLEKĄ ARMADĘ DO BLIZNY!

„Prawda”.

„Wygraliście” – pomyślała i porzuciła nadzieję. „Zostanę tutaj aż do śmierci. Zestarzeję się tutaj, zrędliva staruszka uwięziona na statku. Będę drapała blizny na plecach, bogowie kochani, ale będą potwornie swędziały, będę mruzczała i wyklinała pod nosem. Albo zginę razem z wami wszystkimi, także z moimi przywódcami, w jakimś głupim, makabrycznym wypadku na Ukrytym Oceanie. Tak czy owak jestem wasza, czy tego chcecie, czy nie. Zwyciężyliście. Zabieracie mnie ze sobą. Zabieracie mnie do Blizny”.

Rozdział czterdziesty drugi

W miejscu, gdzie od początku wisiał cień, teraz nic nie mąciło błękitu nieba.

„Arogancja” zniknęła.

Na pokładzie „Wielkiego Wschodniego” leżała końcówka liny cumowniczej. Lina została odcięta i aerostat odfrunął.

– Hedrigall – mówili ludzie dokoła Bellis.

Stała wśród tłumu, który zebrał się po to, żeby popatrzeć na dziurę w panoramie miasta. Gwardziści z początku usiłowali zatarasować gapiom drogę, ale dali za wygraną widząc, ilu ich jest.

Bellis mogła teraz poruszać się swobodniej. Nadal krzywiła się z bólu, kiedy ktoś dotknął ją w plecy, ale krwawienie ustało. Niektóre z mniejszych strupów zaczęły strzępić się po bokach. Trzymała się na skraju tłumu.

– Hedrigall... odleciał sam.

Wszyscy to mówili.

Im bardziej Armada zagłębiała się w Ukryty Ocean, z tym większą trudnością nadążały za nią statki. Płynęły jej tropem niby wylęknione kaczuszki, a te, które przywiązano do miasta, zgasiły silniki, nieznacznie zwiększając obciążenie awanka.

Na drugi dzień po rozmowie z Carrienne, która była dla Bellis szokiem i objawieniem, statki i okręty podwodne pozostające w orbicie Armady zawróciły. Nie potrafiły już dłużej walczyć z narowami Ukrytego Oceanu. Utworzyły nerwowy konwój i zmagając się ze swarliwymi wiatrami, odpłynęły pod parą na południe. Trzymały się razem ze względów bezpieczeństwa, aby móc też się nawzajem holować w razie awarii. Wracaly na pewniejsze, bardziej zrozumiałe wody Wezbranego Oceanu, gdzie planowały czekać.

Miasto miało po nie wrócić w ciągu miesiąca, góra dwóch.

A gdyby nie wróciło? Wtedy miały uznać się za wolne. Decyzja taka zapadła bez przeszkód, a jej konsekwencje nie zostały przedyskutowane.

Bellis oglądała z okna rejteradę armadyjskich statków. Inne były przykute do burty Armady niby ślimaki morskie do skał lub kołysać się trwożnie na wodach portów Basilio i Jeżowca, otoczone jednostkami tworzącymi nabrzeża i keje. Były uwięzione. Za długo zwlekały żeby teraz odpłynąć, mogły tylko stać bez celu, jakby ładowały lub rozładowywały towar, i czekać.

Armadyjczycy nigdy wcześniej nie widzieli swego miasta bez aureoli statków. Zgromadzili się na krawędzi miasta, żeby popatrzeć na morze. Pustka była przytłaczająca. Ale nawet te bezkresne połacie wody tak ich nie zaniepokoiły jak ucieczka Hedrigalla.

Nikt niczego nie widział. Nikt niczego nie słyszał. „Arogancja” wymknęła się potajemnie. Dla Niszczukowód była to szokująca strata.

„Jak to możliwe?” – pytali ludzie. Sterowiec był uszkodzony, a Hedrigall uchodził za stu procentowo lojalnego.

– Miał wątpliwości – powiedział Tanner do Szekla i Angevine. – Mówił mi o tym. Że był lojalny, to bez dwóch zdań, ale od samego początku uważał, że ta awantura z awankiem nie jest dobra dla miasta. A Blizna jeszcze gorsza. Ale nikogo nie udało mu się przekonać.

Tanner był przerażony ucieczką Hedrigalla. Zabolalo go to. Ale myślał głośno, próbując zobaczyć sprawę w takim świetle, w jakim je widział jego enigmatyczny przyjaciel. „Pewno czuł się w pułapce” – pomyślał Tanner. „Żył tutaj od tylu lat, a tu nagle miasto robi wszystko inaczej. Nie czuł się związany z Dreer Samher, a jeśli z Armadą też przestał czuć się związany, to co mu zostało?”

Wyobraził sobie, jak Hedrigall naprawia po godzinach zepsute silniki „Arogancji”. Wszyscy wiedzieli, że Hedrigall jest samotnikiem i że spędza na pokładzie „Arogancji” znacznie więcej czasu, niż potrzeba. Czy rozprostował pręty w jej płetwach? Czy sprawdził tłoki, które od dziesięcioleci ani drgnęły?

„Od jak dawna to planowałeś, Hedrigall?” – pomyślał Tanner Sack.

Nie mógł ujawnić się ze swoimi zastrzeżeniami? Czyżby uważał, że nie ma sensu choćby spróbować powalczyć o swoje miasto? Czyżby przestał uważać je za swoje?

„Gdzie teraz jesteś, chłopie?”

Tanner wyobraził sobie ten wielki, koślawy aerostat lecący na południe z samotnym Hedrigallem u steru. Założę się, że płacze”.

Był to rodzaj samobójstwa. Hedrigall nie mógł zgromadzić dostatecznej ilości paliwa, żeby dotrzeć do stałego lądu, bez szans. Gdyby doleciał do czekającej floty armadyjskiej, to by go spytali, dlaczego opuścił miasto, dlatego na pewno starał się ich ominąć.

Na pewno mógł liczyć na pomoc wiatrów. Komory gazowe były bardzo mocne, mogły utrzymać go w powietrzu przez wiele lat. „Ile jedzenia zmagazynowałeś, chłopie?” – zastanawiał się Tanner.

Przed oczyma stanął mu następujący obraz: „Arogancja” przez całe lata dryfuje kilkaset stóp nad wodą, a w kabinie kapitana powoli rozkładają się zwłoki Hedrigalla. Niesiony przez wiatr grobowiec.

A może zdoła przeżyć. Może przez właz drzwi „Arogancji” wystawi absurdalnie wielką wędę. Tanner wyobraził sobie, że żyłka śmiga w powietrzu niby rozkręcająca się sprężyna i wreszcie haczyk dotyka wody. Ludzie-kaktusy byli wegetarianami z wyboru, ale w razie konieczności mogli się odżywiać rybami i mięsem.

Oto Hedrigall siedzi na krawędzi włazu, fika nogami jak dziecko i wciąga ryby. Gumowate istoty trzepoczą po drodze do góry, toną w powietrzu i docierają do Hedrigalla dawno zdechłe. Mógł tak żyć przez wiele lat, miotany wiatrami po całym świecie. Wessany przez wieniec wiatrów okrążających Wezbrany Ocean, lata w kółko, starzeje się, na skutek monodiety dostaje osteoporozy, skóra mu się marszczy, a kolce siwieją. Samotność odbiera mu rozum. Hedrigall mówi do portretów i heliotypów wiszących na ścianach „Arogancji”.

Aż tu pewnego dnia los wypycha go z tego szerokiego pasa wiatru, aerostat mknie na południe, na północ czy licho wie dokąd i pewnego dnia na horyzoncie pojawia się ląd.

Hedrigall leci nad górami, zrzuca kotwicę, zahacza się o drzewo schodzi na dół. Znowu czuje grunt pod stopami.

„Czy szukanie Blizny to jest aż tak kurewsko zły plan, Hedrigall?”

Tanner zdawał sobie sprawę, że Hedrigalla należałoby uznać za zdrajcę. Zdezerterował, ukradł bocianie gniazdo Armady, okłamał ich władców i przyjaciół. Zabrakło mu odwagi, aby przedstawić swoje racje. Jako lojalny obywatel okręgu Tanner miał świadomość, że powinien potępić renegata. Ale nie umiał się na to zdobyć.

„Powodzenia, kolego” – powiedział po pewnym czasie, z wahaniem unosząc dłoń i kiwając głową. „Nie potrafię źle ci życzyć”.

Władcy Niszczukowód poczuli się skarceni. Hedrigall uchodził za lojalnego obywatela i jego odlot wzbudził bezprecedensową falę dyskusji, niepewności i krytyki projektu Kochanków.

Kilka kilometrów pod powierzchnią morza awank kontynuował swoją podróż. Tylko nieznacznie zwolnił po wplynięciu na nowe wody.

Tanner Sack pływał i kąpał sponiewierane plecy w morzu. Ostatnimi czasy miał niewielu nurków pod sobą i niewielu pływaków nad sobą. Ludzie bali się, że porwie ich jakiś nieprzewidywalny prąd i zanieśie do jakiejś martwej sadzawki w Ukrytym Oceanie.

Tanner nie zauważył żadnych niepokojących zjawisk. Razem z ludźmi-rybami i Bastard Johnem myszkował wokół i między zwieszonymi w dół potężnymi łańcuchami. Pływali szybko i uważali, żeby miasto im nie uciekło, ale nie widzieli w wodzie żadnych nowych niebezpieczeństw. Chaos funkcjonował w większej skali – był groźny dla wielkich intruzów takich jak statki i okręty podwodne. Nawet morskie wyrmeny nie mogły już ciągnąć swoich znarowionych statków-rydwanów, toteż odplynęły razem z flotą na Wezbrany Ocean.

Żyło się teraz spokojniej, mniej ludzi i mniej rzeczy odwracało uwagę Tannera. Życie Armady w dużym stopniu zamarło.

Rzecz jasna, farmerzy nadal dbali o swoje rośliny i trzody, nad i pod wodą, i zbierali plony, kiedy przyszła pora żniw. Wciąż były do wykonania tysiące drobnych prac naprawczych i konserwacyjnych. Wewnętrzna machineria miasta nadal się kręciła: piekarze, lichwiarze, kucharze i aptekarze wystawiali szyldy i brali pieniądze. Do tej pory Armada była jednak miastem zorientowanym na zewnątrz, na piractwo, na handel. Teraz działalność portowa – ładunek, wyładunek, sztauerka, klarowanie i taklowanie – pogrążyła się w застоju.

Tanner nie musiał zatem codziennie nurkować do pęknięć, przecieków i innych usterek. Pływał dla własnego zdrowia, a przede wszystkim ze względu na swoje plecy: czuł, że sól przywraca jego skórę d życia.

– Wskakuj, Szek – powiedział.

Miał świadomość rozprzestrzeniającego się po całej Armadzie nacięcia, niepewności, jakby Hedrigall w chwili odlotu rozlał za sobą truciznę. Tanner chciał zaproponować Szeklowi miejsce, w którym trucizna mogłaby się rozpuścić.

Za narastającymi obawami ludzi kryły się też inne powody. Do Tannera dotarły dziwne pogłoski. Z trzech różnych źródeł usłyszał, że jakiś człowiek, gwardzista albo inżynier z Niszczukowód, zniknął, nie zabierając niczego z domu; w jednej z wersji na stole stał zjedzony do połowy obiad. Niektórzy mówili, że to też była ucieczka, a według innych... to sprawka duchów z Ukrytego Oceanu.

Będąc w wodzie, Tanner miał wrażenie, że wszystko, co złe, niebezpieczne i niepewne rozpuszcza się w prądach morskich. Zaproponował Szeklowi tę samą chwilę wytchnienia. Przekonał chłopaka, żeby z nim popływał. Baseny między statkami Armady były teraz prawie puste. Szekel ucieszył się z tego, że należy do tych nielicznych odważnych, którzy wchodzą do wody. Wielkie belki statków poruszały się dostojnie nad nimi i wokół nich: niemożliwe, żeby miasto im uciekło. Szekel pływał agresywnym, nieestetycznym pieskiem. Tanner chciał mu pokazać jakiś lepszy styl, ale uzmysłowił sobie, że nie zna żadnego, który by się nadawał dla osób oddychających powietrzem.

Szekel naciągnął na oczy ciężką maskę i trzymał głowę pod powierzchnią do momentu, gdy kiepsko przylegająca uszczelka zaczęła wpuszczać wodę. Razem z Tannerem przyglądali się ławicom ryb z gatunków, jakich nigdy wcześniej nie widzieli. Wielobarwne, z misternymi płetwami, jaskrawe i cudaczne jak ryby tropikalne, mimo że temperatura wód Ukrytego Oceanu była umiarkowana. Podobnie jak u skorpen i buławików, szpeciły je patykowate wyrostki, a oczy świeciły nieprawdopodobnymi kolorami.

Kiedy Szekel i Tanner wypływali na powierzchnię, czekała na nich Angevine, na ogół z butelką piwa lub czegoś mocniejszego. I mimo faktu, że Tanner i Angevine nadal odnosili się do siebie odrobinę nieufnie – i zdawali sobie sprawę, że już zawsze tak będzie – wspólne Uczucie do Szekla wytworzyło między nimi więź opartą na wzajemnym szacunku.

„Jesteśmy jak rodzina” – pomyślał Tanner.

Bellis wiedziała, że nie będzie kłopotów ze znalezieniem Uthera Doula. Wystarczy stanąć na pokładzie „Wielkiego Wschodniego” i zaczekać, aż w końcu się pojawi. Kipiła w niej od pretensji i urazy. Nie mogła uwierzyć, że ją tak porzucił.

Kiedy do niego podeszła, spojrzął na nią ale bez odrazy, której się obawiała. Bez wrogości, bez zainteresowania, bez jakichkolwiek emocji czy choćby oznak rozpoznania. Po prostu spojrzął.

Wyprostowała plecy. Włosy znowu zaczęła wiązać z tyłu i wiedziała, że wyraz tępego bólu stopniowo znika z jej twarzy. Nadal poruszała się sztywno, ale od chłosty upłynęły już dwa tygodnie i było już znacznie lepiej.

– Chcę się zobaczyć z Fennekiem – powiedziała, nie przywitawszy się z Doulem.

Uther wpadł w krótki namysł, po czym skinął głową.

– Dobrze.

Chociaż osiągnęła swój cel, znienawidziła za to Doula, bo wiedziała, dlaczego się zgodził: nie mogła powiedzieć Fennecowi niczego, co mogłoby zaszkodzić Armadzie. Zgrała już wszystkie swoje karty i nie stanowiła żadnego zagrożenia.

Bellis była teraz osobą pozbawioną znaczenia, więc można było sobie pozwolić na pobłażliwość wobec niej.

Odebrano mu płetwę maga, ale widać było na pierwszy rzut oka, że Niszczukowody nadal boją się Silasa Fenneca. Na korytarzu prowadzącym do jego celi mrowiło się od strażników. Ponieważ znajdowali się poniżej linii wodnej, wszystkie drzwi wymieniono na wodoszczelne.

Pod drzwiami celi Fenneca siedzieli mężczyzna i kobieta, pochyleni nad jakąś ezoteryczną maszyną. Bellis poczuła na skórze suche wyładowania taumaturgiczne.

Cela była duża, z kilkoma iluminatorami, za którymi falowała ciemna woda. W wyodrębnionej żelaznymi kratami części pomieszczenia, pozbawionej okien i drzwi, Silas Fennec siedział na drewnianej ławie i patrzył na Bellis.

Ogarnęła go wzrokiem i w jej głowie wyświetliła się szybka sekwencja związanych z nim obrazów – wspólnie spędzany czas, przyjazny, oziębły, erotyczny, potajemny. Wykrzywiła usta na jego widok; poczuła w nich kwaśny smak.

Był chudy, w brudnym ubraniu. Nie uciekł ze wzrokiem. Przeżyła wstrząs: prawe ramię Fenneca kończyło się ciasno zabandażowanym nadgarstkiem. Zobaczył, że Bellis zauważyła jego kalectwo i skrzywił się mimo woli.

Westchnął i spojrzął na nią zaczepnie.

– Co tu robisz? – spytał z posępną wrogością. Zamiast odpowiedzieć, Bellis rozglądnęła się po celi. Zobaczyła zmięte ubrania, papier, węgiel drzewny, znany jej gruby notatnik. Żelazne pręty krat były poowijane kablami, które wychodziły po drzwiach na korytarz. – Podłączone do tych maszyn – wyjaśnił zmęczonym tonem, zauważwszy tor jej wzroku. – To jest dławik. Powąchaj powietrze. Można to nawet usłyszeć. Zabija taumaturgony. Żadne zaklęcie tu nie zadziała. – Wciągnął powietrze przez nos i uśmiechnął się bez entuzjazmu. – Wszystko na wypadek, gdybym miał jakiś tajny plan. Powiedziałem im, że znam ze trzy niegroźne zaklęcia, które i tak by mnie stąd nie wydostały, ale nie uwierzyli mi, wyobrażasz sobie? – Fennec miał rozpiętą koszulę. Bellis zauważyła, że jego skóra wygląda dziwnie, martwiczo, roi się na niej od zgrubień jak u istot ziemnowodnych i pulsuje. Fennec zapiął koszulę. Zrobiła wielkie oczy, odwróciła się i zaczęła przechadzać po celi. – Proszę cię, nie – powiedział nagle Fennec niemal życzliwym tonem.

– Co „nie”, do cholery? – spytała Bellis i ucieszyła się, że jej głos zabrzmiał zimno.

Przeszył ją znaczącym spojrzeniem, które zagotowało w niej krew.

– Nie rób tego – mówił. – Nie przychodź tutaj. Nie pytaj mnie o nic. Po co tu jesteś, Bellis? Nie po to, żeby się na mnie wydrzeć. To nie w twoim stylu. Nie

zbluzgasz mnie. Złapali mnie... I co z tego? Ciebie też, kurwa, złapali. Jak plecy? – Wprawilo ją to w takie osłupienie, że przez moment nie mogła oddychać. Zamrugala, bo obraz jej się rozmazał. Fennec patrzył na nią bez jakiegoś szczególnego okrucieństwa czy złościwości. – Niczego się ode mnie nie dowiesz, Bellis – zakomunikował jej niezmiennym głosem. – Nic ci z tego nie przyjdzie. Nie przeżyjesz katharsis i nie poczujesz się lepiej po wyjściu stąd. Tak, okłamałem cię, wykorzystałem cię. Razem z mnóstwem innych ludzi. Nie miałem żadnych rozterek. Zrobiłbym to jeszcze raz. Chciałem wrócić do kraju. Gdybyś była pod ręką i mógłbym cię bez problemu zabrać, to bym cię zabrał, ale tylko pod takimi warunkami. Bellis... – Pochylił się i potarł kikut dłoni. – Nie poczuwam się do żadnej winy. – Pokręcił powoli głową bez śladu zakłopotania. Bellis dygotała z nienawiści. Miał rację, że nie powiedział jej prawdy o swoich planach: nie pomogłaby mu, mimo że rozpaczliwie pragnęła wrócić do domu. – W żaden sposób cię nie wyróżniłem. Potraktowałem cię tak samo jak wszystkich innych. Nie myślałem o tobie ani więcej, ani mniej. Jedyna różnica jest taka, że tylko ty do mnie przysłaś. I uważasz, że to ma sens. Że musimy, nie wiem... Wszystko sobie wyjaśnić? – Silas Fennec, prokurent Nowego Crobuzon, pokręcił współczująco głową. – Nie ma niczego do wyjaśniania, Bellis. Idź stąd. – Położył się i wbił wzrok w sufit. – Idź stąd. Chciałem wrócić do kraju i byłaś mi do tego potrzebna. Wiesz, co zrobiłem i wiesz, dlaczego to zrobiłem. Nie ma żadnej tajemnicy do rozwikłania ani wspólnej rezolucji do uchwalenia. Idź stąd.

Bellis została jeszcze kilka chwil, ale zdołała wyjść, zanim znowu się odezwała. Powiedziała wszystkiego cztery słowa. W żołądku się jej kotłowało od intensywnego uczucia, którego nie umiała nazwać.

„Nie zabiją go” – pomyślała ponuro. „Nawet go nie ukarzą. Nawet go nie wychłostają. Jest dla nich zbyt cenny i za bardzo się go boją. Sądzą, że mogą się czegoś od niego nauczyć i wydobyć z niego jakieś informacje. Może się nie mylą”.

Wychodząc, musiała sama przed sobą przyznać, że Fennec w co najmniej jednej sprawie miał rację.

Wcale nie poczuła się lepiej.

Bellis z zaskoczeniem odkryła, że Johannes pozostał w jej życiu. Swego czasu odnosiła wrażenie, że jest nią zniesmaczony i nie ma ochoty się z nią widywać.

Nadal uważała go za człowieka pozbawionego kręgosłupa. Mimo że jej lojalność wobec Nowego Crobuzon była zjawiskiem dziwnym i nieuporządkowanym, nie umiała myśleć o Johannesie inaczej jak o renegacie. Tempo jego aklimatyzacji na Armadzie wzbudziło w niej odrazę.

Teraz w jego zachowaniu było jednak coś błagalnego. Skwapliwość, z jaką chciał odnowić przyjaźń, wydawała się jej trochę żalosa. Ale chociaż starała się spędzać jak najwięcej czasu z Carrienne, którą bardzo lubiła za jej obrazoburstwo i ciepło – a ta nie przepadała za Johannesem, Bellis od czasu do czasu pozwalała mu pobyc trochę u siebie. Budził w niej litość.

Kiedy awank został schwytany i zaprzęgnięty, a ekipa Tintinnabuluma odpłynęła, Johannes nie miał nic więcej do roboty. Chociaż tak bardzo się zasłużył, teraz został odstawiony na boczny tor. Krüach Aum współpracował obecnie z taumaturgami Kochanków i Utherem Doulem, wprowadzony w nowy, wewnętrzny krąg, który miał za zadanie zgłębiać tajniki eksploatacji możliwości. Jak podejrzewała Bellis, Johannes zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą wiele lat życia jako jeniec Armady.

Należał wprawdzie do grupy pilotującej awanka, która zajmowała się zliczaniem przepłyniętych mil morskich, szacowaniem biomasy na danym obszarze i

przewidywaniem taumatycznych przepływów, ale z reguły musiał wymyślać sobie robotę. Po pijanemu skarżył się, że wyciśnięto go jak gąbkę i wyrzucono do śmieci. Bellis i Carianne szydziły z Johannesesa za jego alkoholicznymi plecami.

Johannes ostrożnie wyrażał wątpliwości co do trajektorii Armady, co do pomysłu wypuszczenia się na wody Ukrytego Oceanu. Bellis była mile zaskoczona, że również w tych kręgach wyprawa Kochanków nie cieszy się absolutnym poparciem. Między innymi dlatego zgadzała się na wizyty Johannesesa.

Tchórzliwość nie pozwalała mu przyznać się do tego, ale chciał, żeby zawrócili, podobnie jak Bellis. Im bardziej zagłębiali się na niezbadane wody Ukrytego Oceanu, tym częściej Bellis się przekonywała, z przebłyskami nieoczekiwanej nadziei, że ona i Johannes nie są w tym odosobnieni.

Dezercja Hedrigalla była raną która nie chciała się zagoić.

Armada płynęła teraz po wodach, które nie przestrzegały żadnych praw znanych oceanologom. Obywatele miasta, w których nie wygasło jeszcze patriotyczne uniesienie wywołane wojennym zwyciężeniem i retoryką najwybitniejszych przywódców w dziejach Niszczukowód, zapewne potraktowaliby to jako przygodę albo przeznaczenie sądzone przez bogów, ale potem lojalny, godzien najwyższego zaufania Hedrigall uciekł, co zupełnie zmieniło emocjonalne zabarwienie wyprawy.

„Arogancja” szybko znalazła następcę. Nad dzielnicą zawisł inny statek powietrzny, który obserwował horyzont. Był jednak mniejszy a przede wszystkim znacznie niższy, co zredukowało zasięg widzenia. Wywołało to negatywne skutki psychologiczne, nawet u lojalnych obywateli.

– Co ten Hedrigall zobaczył? – mruzcili. – Co on zobaczył?

Miasto sunęło do przodu pchane własną dynamiką. Nikt nie opowiadał się publicznie za zawróceniem. Nawet ci, których przywódcy nie zaakceptowali planu Kochanków, skapitulowali albo wyrażali swoją krytykę wyłącznie w okolicznościach prywatnych. Nad wszystkimi unosiło się jednak dysydenckie widmo Hedrigalla i towarzyszący początkom podróży nastrój triumfalnego entuzjazmu ulotnił się bezpowrotnie.

Tanner i Szekel nadawali imiona stworzeniom, które widzieli pod wodą: biegnące, tańczące muchy, żółtogłowy.

Patrzyli, jak armadyjscy przyrodnicy prowadzą podwodne badania, łapią niektóre z osobliwych zwierząt w sieci, lecz trzymają się na dystans od wielkich żółtogłów o spłaszczonych łbach, heliotypując je nieporęcznymi podwodnymi aparatami wyposażonymi w fosforyzujące flary.

Ławice ryb śmigły między rurami i kadłubami, które sterczały w dole jak korzenie. Mieszały się z bardziej rozpoznawalnymi gatunkami – nawet w Ukrytym Oceanie żyły witlinki i różne gatunki rybek przynętowych – zjadały je lub były przez nie zjadane.

Tanner dał nura i podrażnił mackami dwa osobniki wielkości dłoni. Szekel patrzył z góry na bliźny przyjaciela.

Coraz głębiej i głębiej w to morze.

Nocą rozlegały się dziwne dźwięki: wołania godowe niewidocznych zwierząt obdarzonych głosem byka. Zdarzały się dni, kiedy nawet najbardziej zahartowani i dociekliwi nurkowie nie pływali, a ludzie-ryby chowali się w małych „piwnicach” miasta. Wody Ukrytego Oceanu były niebezpieczne. Armadzie zagrażały takie

zjawiska jak wrzące prądy, tereny łowieckie piasów czy żywe wiry, które drapieźnie okręzały miasto, ale trzymały się na dystans.

W bezksiężycowych ciemnościach pod wodą migotały światełka, niby bioluminescencja stukrotnie powiększonych stworzeń z oceanicznych głębin. Bywało, że chmury nad miastem przemieszczały się znacznie szybciej, niż wynosiła prędkość wiatru. Pewnego dnia, kiedy powietrze było suche jak elyktryczność, za sterburką miasta pojawiły się jakieś kształty, jakby małe wysepki. Były to tratwy nieznanego zielska, wielkie zbrylenia zmutowanego morszczyku, które nagle się oddaliły, poruszane jakąś własną siłą napędową.

W każdym okręgu Armady, czy to w slumsach, czy to w najokazalszych miejskich pałacach, panowało napięcie, atmosfera neurotycznego wyczekiwania. Ludzie źle spali. Bellis pobladła, kiedy to się zaczęło, bo przypomniała sobie plagę nocnych koszmarów, która spadła na Nowe Crobuzon i doprowadziła do jej wygnania z miasta. „Z jednej epidemii chorych nocy w drugą” – pomyślała po kilku ciężkich godzinach bezsenności.

W niektóre z tych smętnych nocy Bellis chodziła na „Wielki Wschodni”, aby poobserwować podróż miasta po tajemniczych morzach. Patrzyła na bezkres wód, aż w końcu, przytłoczona ich ogromem, uciekała w głąb wielkiego statku, wiedzona wewnętrznym przymusem, którego nie rozumiała.

Labiryntem pustych korytarzy meandrowała ku zapomnianej strefie parowca, do kanciapki, którą pokazał jej Doul. Tam zaś, zmieszana i wzburzona, wsłuchiwała się w odgłosy kopulacji i sypialniane rozmowy Kochanków.

Nawyk ten obrzydzał ją, ale nie umiała się oprzeć poczuciu zakulisowej władzy, którą jej to dawało. „Mój mały bunt, mój mały eskapizm. Ktoś was podsłuchuje, a wy o tym nie wiecie” – myślała, słuchając, jak Kochankowie mruczą do siebie mokro i obściskują się z zapamiętaniem, które wciąż ją przerażało.

Nigdy nie uzyskała w ten sposób żadnych sensacyjnych informacji. Kochankowie nie rozmawiali o ważnych sprawach, a wyłącznie kotłowali się, leżeli obok siebie i szeptali fetyszystyczne zaklęcia. Kochanka z nocy na noc brzmiała coraz bardziej gorączkowo i brutalnie, natomiast Kochanek poniżał się przed nią pragnąc się w niej zatracić.

„Nie chcę tutaj być” – myślała Bellis z pasją. W końcu wypowiedziała te słowa na głos, do Carrienne, wiedząc, że jej przyjaciółka nie zgodzi się z nią.

– Nie chcę tutaj być. – Bellis zakręciła winem w kieliszku. – Po koszmarach sennych przyjdą zaburzenia świadomości. Już coś takiego przeżyłam. A co będzie, jak dopłyniemy do tego okropnego miejsca? Albo zginiemy, albo Kochankowie będą mieli do swojej dyspozycji najstraszliwszą moc. Czy ty naprawdę im ufasz, Carrienne? – naciskała po pijacku. – Ufasz temu pochlastanemu zasańcowi i tej psycholce? Powierzyłabyś im taką moc? Nie chcę tutaj być.

– Wiem, Bellis – odparła Carrienne, szukając odpowiednich słów. – Ale ja chcę zobaczyć, co tam jest. Myślę, że to jest coś niesamowitego, rozumiesz? Nawet jeśli Kochankowie mieliby dostać to w swoje ręce. Nie, nie ufam im. Nie zapominaj, że jestem z Pragnieniowic. Ale coś ci powiem. Odkąd Hedrigall dał dyla, na mojego czują coraz więcej ludzi się z tobą zgadza.

Zaskoczona Bellis skinęła głową i uniosła kieliszek w ramach toastu. Carrienne przepiła do niej z kpiącym uśmiechem.

„Ona ma rację” – pomyślała Bellis. „Daljabber, ona ma rację. Coś się zmienia”.

Awank zwalniał.

Jakieś dziesięć dni po wypłynięciu na wody Ukrytego Oceanu ludzie zaczęli to zauważać.

Jako pierwsi dostrzegli to Bastard John, ludzie-ryby, ludzie-raki, Tanner Sack i ci nieliczni powierzchniacy, którzy nadal pływali: łatwiej im było dotrzymać miastu tempa. Po kilku godzinach podwodnych igraszek mięśnie mniej ich paliły, niż się tego spodziewali. Armada nie płynęła już tak szybko.

Wkrótce zmianę zauważyli także obywatele oddychający powietrzem. Bez punktów odniesienia, bez wysp i lądów, na nieznanym morzu, niełatwo było zliczać pokonywany dystans, ale istniały na to metody.

Coś się działo z długą na ponad tysiąc pięćset metrów istotą schowaną w głębinach. Zaszła jakaś zmiana. Awank zwalniał.

Z początku ludzie mieli nadzieję, że zmiana jest tymczasowa i awank przyspieszy, ale mijały dni i prędkość nadal spadała.

Zachwycony i triumfujący Johannes nagle wrócił do łask. Kochankowie zwołali jego stary zespół, aby poczynił jakieś ustalenia.

Bellis zdziwiła się, że Johannes nadal rozmawia z nią i Carrienne o swojej pracy, mimo że ponownie znalazł się w wewnętrznym kręgu.

– Całe miasto wie, przecież to widać gołym okiem – powiedział im pewnego wieczoru, zmęczony i zbulwersowany. – Kochankowie czekają na rozwiązanie zagadki. – Pokręcił głową. – Nawet Aum zgłupiał. Silnik na skalne mleko wciąż steruje uprzężą, awank wciąż płynie, tyle że coraz wolniej.

– Działa tu coś związanego z Ukrytym Oceanem? – zasugerowała Bellis.

Johannes zagryzł wargę.

– Niemożliwe – odparł. – Czy w Bas-Lag może istnieć coś, co miałoby wpływ na awanka?

– Może zachorował – powiedziała Carrienne. Johannes skinął głową.

– Ja też tak sądzę. Krüach jest przekonany, że go wyleczymy, ale mnie się wydaje, że za mało wiemy.

Powietrze nad Ukrytym Oceanem zrobiło się suche i gorące. Roślinność na Armadzie więdła w oczach.

Wszystkie okręgi zamknęły się w sobie i idiotyczne pozory normalności zaczęły się sypać. Ludzie przestali pracować. Piraci-obywatele siedzieli w domach, chroniąc się przed suchym żarem, który lał się z nieba. Wyblakłe miasto straciło swoją wyrazistość. Kołysząc się jak szalupa ratunkowa, prawie stało w miejscu, zdane wyłącznie na siebie.

Kilwater z dnia na dzień nikt.

Tliła się panika. Zwoływano publiczne spotkania. Po raz pierwszy nie organizowali ich władarze miejscy, lecz ponadokręgowe komisje społeczne. Początkowo w ich skład wchodziły prawie wyłącznie mieszkańcy Bud i Pragnieniowic, lecz udział liczebny Czasów, Książkowic i Niszczukowód rósł z dnia na dzień. Debatowali gorączkowo, szukając odpowiedzi, których nikt nie potrafił im udzielić.

Coraz trudniej było odegnać od siebie koszmary obraz: pozbawiona napędu Armada dryfuje po jałowych wodach Ukrytego Oceanu. Albo stoi na niewyobrażalnie ciężkiej kotwicy ze znieruchomiałego awanka.

Prędkość, z jaką poruszało się miasto, nadal spadała.

Znacznie później Bellis uświadomiła sobie, że dzień, w którym dolegliwość awanka stała się szokująco oczywista, dzień, w którym tak wiele osób zmarło, to

według kalendarza crobuzońskiego był pierwszy meluara – rybnik. Z jej ust dobył się gorzki śmiech, a raczej coś bardziej zbliżonego do kaszlu.

Morskie nieczystości pojawiły się w późnych godzinach rannych.

Ci, którzy je zobaczyli, początkowo wzięli je za kolejne skupiska niby-czujących wodorostów, ale szybko zmienili zdanie. Obiekty te były lżejsze i unosiły się niżej – rozległe barwne plamy, rozmazujące się na brzegach.

Skazy te wykwitły na trasie miasta wiele kilometrów dalej. Wiadomość o tym zjawisku rozniosła się po mieście i ludzie ściągnęli tłumnie do Ogrodu Rzeźb, na dziobie Armady, żeby popatrzeć.

Z czasem zobaczyli masę lepkiej cieczy, gęstej jak muł. Kiedy do plamy docierały fale, zmniejszały się do postaci koślawych zmarszczek, które pętały po powierzchni plamy i były przez nią pochłaniane.

Barwą substancja ta przypominała bladą, białozółtą dżdżownicę.

Bellis przełknęła ślinę i ze strachu dostała mdłości, lecz kiedy wiatr zmienił kierunek, zrozumiała, że zemdlili ją nie strach, tylko fetor.

Zalały ich kłęby smrodu. Obywatele Armady bledli i rzygali. Bellis i Carrienne miały miękkie nogi i były białe jak płótno, ale nie przyłączyły się do zgodnego chóru charkotów. Rozkolebana breja cuchnęła najgorszą, najbardziej ohydłą zgnilizną, jak zepsute w zamknięciu mięso.

– Niech Jabber ma nas w swojej opiece! – wysapała Bellis.

Nad jej głową krążyły padlinożerne ptaki Armady. Niby żywa chmura poszybowała ku obmierzłej masie, lecz nagle odskoczyły, jakby poziom zepsucia nawet dla nich był nie do zniesienia.

Miasto dotarło na obrzeża śmierdzącej substancji. Z przodu ciągnęły się jej wielkie połacie, rozkołysana ropna masa.

Większość ludzi przybyłych do Ogrodu Rzeźb uciekła do domów, żeby zapalić kadzidelka. Bellis i Carrienne zostały, obserwowały Johannesesa i jego kolegów, którzy stanęli przy relingu – zasłoniwszy twarze chusteczkami nasączonymi perfumami – i spuścili na dół wiadro na linie. Po wciągnięciu go z powrotem na pokład przystąpili do oględzin.

Po chwili szarpnęło nimi gwałtownie do tyłu.

Kiedy Johannes zobaczył Bellis i Carrienne, pognął ku nim, zrywając po drodze maskę z twarzy. Był blady i drżący, a na jego skórze kroplił się pot.

– To jest ropna wydzielina – powiedział, wskazując rozdygotanym palcem ku morzu. – Plama ropy.

Rozdział czterdziesty trzeci

Awank jest chory.

Usiłuje być posłuszny rozkazom silnika na skalne mleko i nadal płynąć bezmyślnie przed siebie. Co właściwie mu dolega? Krwawi jest ranny? Ma gorączkę? Obca rzeczywistość dokoła głęboko otarła mu skórę? Jest za bardzo niemy, za bardzo głupi albo za bardzo posłuszny, żeby odczuwać bądź okazywać po sobie ból, a rany się nie goją, tylko chlustają ropą, która wypływa na wierzch i zwiększa objętość w miarę spadku ciśnienia. Porywa ze sobą do góry ryby i rośliny, toteż ze śluzowym chlupnięciem wyskakuje na powierzchnię hałaśliwy koagulat infekcji i stłamszonego morskiego życia.

Trzy do czterech tysięcy kilometrów w głąb Ukrytego Oceanu awank zachorował.

Kilka kilometrów od odrażających płacht ropy awank stanął w miejscu.

Zwiększono natężenie sygnałów silnika na skalne mleko, ale nie było reakcji. Awank znieruchomiał.

Zawisł wiele kilometrów pod wodą, nie mogąc albo nie chcąc się poruszyć.

Kiedy opiekunowie awanka i lekarze zrobili już wszystko, na co pozwalała im ich wiedza, lecz nic to nie pomogło, kiedy wypróbowano wszystkie dostępne długości fal celem pobudzenia zwierzęcia, a reakcja była zerowa, pozostało już tylko jedno rozwiązanie. Miasto nie mogło w nieskończoność stać w miejscu i obrastać pleśnią.

Awank był chory i żaden z uczonych nie znał przyczyny. Należało zbadać zwierzę fizykalnie, z bliska.

Batysfera kołysała się jak wahadło zegara pod dźwigiem „Nosidla”, statku fabrycznego stojącego przy dziobie „Wielkiego Wschodniego”. Z kulistej powierzchni okrętu podwodnego sterczały bezładnie rurki i nity, wypustki z hartowanego żelaza. Silnik miał z tyłu wybrzuszenie kojarzące się z turniurą. Cztery iluminatory i chemiczna latarnia były przeszklone materiałem grubym na piętnaście centymetrów.

Inżynierowie i ekipy remontowe pospiesznie sprawdzali stan techniczny batysfery i przygotowywali ją do zanurzenia.

Załoga „Meduzy” wkładała skafandry na pokładzie „Nosidla”, zaglądając do książek i traktatów, które mieli ze sobą. Pilotka-strupodziejka imieniem Chion, z twarzą pokrytą śladami po rytualnych nacięciach; Krüach Aum – Bellis pokręciła głową na widok swego niegdysiejszego ucznia, którego aparat gębowy był rozarty z emocji; i na samym przedzie, po trochu przejęty, dumny i wystraszony, Johannes Tearfly.

Nie miał wyboru, musiał wziąć udział w tej ekspedycji – poza Krüachem Aumem nikt tak dobrze jak on nie znał się na awanku, a zwierzęciu należało zapewnić możliwie najbardziej fachową opiekę. Bellis wiedziała, że Johannes by popłynął, nawet gdyby Kochankowie go nie zmusili.

– Schodzimy do awanka – wyjaśnił wcześniej Bellis, patrząc na nią z identycznym jak teraz wyrazem twarzy. – Rzucimy na niego okiem. Musimy go wyleczyć – stwierdził nie mniej uradowany niż przerażony.

Jako naukowiec był zafascynowany. Bellis dostrzegła też strach, ale wolny od złych przeczuc. Przypomniała sobie, jak kiedyś opowiadał jej o bliźnie po ataku sarduli. Jego bezmierna tchórzliwość ograniczała się do stosunków międzyludzkich. Bellis nigdy nie widziała, żeby uchylał się przed niebezpieczeństwami, jakie pociągały za sobą jego badania. Także teraz bez wahania podjął się tej niebezpiecznej misji.

– Do zobaczenia za parę godzin – powiedziała do niego Bellis. Johannes był taki podniecony, że wyważony, neutralny ton, który zadawał kłam znaczeniu jej słów i podkreślał grozę sytuacji, umknął jego uwagi. Johannes skinął naiwnie głową, nieporadnym gestem ścisnął Bellis za ramię i poszedł.

Przygotowania trwały długo. Liczba osób, które przyszły popatrzeć i wyprawić ekspedycję w drogę, nie była duża. Nie dlatego, żeby ludzi to nie obchodziło – ściśnięte powietrze nad miastem odebrało im energię, wysssało ich do cna.

Johannes pomachał garstce gapiów i wszedł do kabiny „Meduzy”.

Bellis patrzyła, jak przykręcają klapę wjazdu. Patrzyła, jak batyskaf jest przeciągany nad wodą i chybotaje w sposób przyprawiający o chorobę morską. Przypomniała sobie, że tak samo to wyglądało, kiedy schodziła pod powierzchnię na Salkrikaltorze. Ogromne koło na „Nosidle” zaczęło się obracać, wypuszczając dziesiątki metrów żelaznego kabla w otulinie gumowej.

Batyskaf cicho plusnął o wody Ukrytego Oceanu i jednostajnym ruchem schodził coraz głębiej. Dotarcie do awanki miało zająć co najmniej trzy godziny. Bellis obserwowała nękające zmarszczki na wodzie, aż do chwili, gdy poczuła, że ktoś za nią stanął. Odwróciła się i zobaczyła Uthera Doula.

Zacisnęła usta i czekała. Przez kilka chwil w milczeniu badał ją wzrokiem.

– Martwi się pani o przyjaciela – orzekł. – „Wielki Wschodni” jest zamknięty na czas tej ekspedycji, ale jeśli pani chce, może pani tam poczekać na jego powrót.

Zabrał ją do małego pomieszczenia blisko rufy. Przez iluminator widać było „Nosidło” z wciąż kręcącym się kołem windy. Doul wyszedł bez słowa i zamknął za sobą drzwi, ale pokój, do którego ją przyprowadził, był bardziej komfortowo urządzone niż jej mieszkanie, a po pięciu minutach jeden z niszczukowodzskich pokojowych przyniósł jej herbatę.

Bellis popijała bursztynowy płyn, wpatrzona w wodę. Była zdezorientowana i nieufna. Nie rozumiała, dlaczego Doul tak ją rozpieszcza.

Z początku w maleńkiej sferycznej kabinie „Meduzy”, z trzema oddychającymi istotami na pokładzie, było tylko ciepło. Musieli dokonywać cudów ekwilibrystyki, żeby móc jednocześnie wyglądać przez maleńkie bulaje.

Światło umykało do tyłu zaskakująco szybko, co Johannes obserwował z nerwową fascynacją. Schodzili obok jednego z wielkich łańcuchów, do których przywiązany był awank. Mijali kolejne potężne ogniwa, pokryte łuszczycą skorupiaków i wielu pokoleń wodorostów. Osowiałe ryby z krowimi oczami przyglądały się intruzom, okrężały rurki podające tlen, uciekały przed bąbelkami, którymi pryskała batysfera.

Kiedy światło niemal całkiem zgasło, łańcuch nabrał groźnego wyglądu. Czarne kolumny skierowane były prawie pionowo w dół. Sposób łączenia się ogniwi ze sobą nagle zaczął się wydawać tajemniczy i złowroźny, jak hieroglify nieznanego języka.

Na granicy absolutnych ciemności morze sprawiało wrażenie zupełnie nieruchomego, nie przecinały go drapieżne prądy Ukrytego Oceanu. Nie rozmawiali ze sobą. W kabinie było ciemno. Mieli ze sobą chemiczne lampy i latarnie, ale nie chcieli ryzykować ich zużycia po drodze – widzieć potrzebowali dopiero u celu. Siedzieli więc ściśnięci jak sardynki, w najgłębszych ciemnościach, jakich w życiu doświadczyli.

Słuchać było tylko świst oddechów, szept pompowanego powietrza i lekki stuk rozprostowywanych kończyn o metal i o siebie nawzajem. Silnik był wyłączony – w dół ciągnęła ich grawitacja.

Johannes zauważył, że cała trójka podświadomie zsynchronizowała oddech. Oznaczało to, że po każdym wypuszczeniu powietrza zapadała cisza i Johannes przez ułamek sekundy mógł udawać, że jest sam.

Zeszli daleko poniżej zasięgu promieni słonecznych. Teraz to oni podgrzewali morze. Wysoka temperatura przeciekała z kotłów parowych do kabiny, a stamtąd przez metalową skórę batysfery do wody, która łąpczywie ją pożerała.

Czas nie mógł przeżyć w tych warunkach – w litych, gorących ciemnościach, pośród monotonnego szumu powietrza i skrzypienia skóry. Był połamany i krwawił. Poszczególne chwile nie przechodziły płynnie jedno w drugie, lecz rodziły się martwe. „Jestem poza czasem” – pomyślał Johannes.

Klaustrofobia żółcią podeszła mu do gardła, ale znieruchomiał, zamknął oczy – ciemności, które znalazł za powiekami, nie mniej głębokie od tych, od których się odgrodził, nie przyniosły mu jednak ulgi – przełknął ślinę i zwalczył w sobie to uczucie. Po omacku znalazł szkło bulaju, które okazało się zimne i mokre od skroplonej pary. Woda na zewnątrz była lodowata.

Nieskończenie długie minuty, po których ciemności na zewnątrz na moment się rozproszyły i załoga sapnęła, kiedy czas wrócił do nich jak kopnięcie prądem elektrycznym. Mijała ich jakaś żywa lampa, jakieś zaopatrzone w macki stworzenie, które przenicowało swoje ciało w perystaltyczną falę, owinęło się luminescencyjnymi wnętrzościami i pomknęło w dal; ascetyczny poblask wkrótce zgasł.

Chion zapaliła lampę na czole batysfery. Fosforowe światło wyróżnęło w ciemnościach stożek, ze ścianą tak wyraźną, jakby była z marmuru. W oświetlonym polu nie zobaczyli nic oprócz zupy maleńkich cząstek, które zdawały się lecieć do góry, ale było to tylko złudzenie wywołane ruchem „Meduzy”. Nie zobaczyli natomiast ani dna oceanu, ani żadnych oznak życia. Miażdżąca pustka, którą rozświetlili, przygnębiła ich bardziej niż wcześniejsze ciemności. Dalej schodzili już po ciemku.

Żelazny pancerz zaczął skrzypieć pod naporem wody. Co dziesięć czy dwanaście sekund rozlegał się kolejny zgrzyt, jakby ciśnienie zmieniało się skokowo, a nie liniowo.

Perkusyjny odgłos przybierał na natężeniu, aż w końcu Johannes zdał sobie sprawę, że trzęsie się nie tylko ich pojazd, ale również całe morze – tony wody wibrowały, spazmowały echem grzmistych uderzeń dochodzących z dołu.

Serce awanka.

Kiedy z potężnego koła na „Nosidle” odwinęło się już kilka kilometrów kabla, zapadka zabezpieczająca zaskoczyła i zahamowała zjazd batysfery ku dnu. „Meduza” szarpnęła się, łomotana przez arterialny huk. Serce awanka sprawiało wskroś metalu wrażenie czegoś lekkiego.

Chion zapaliła latarnię. Popatrzyli nawzajem na swoje mokre od potu twarze w tonacji sepii. Wyglądali groteskowo, zatopieni w cieniach. Przy każdym uderzeniu serca, które wprawiało batysferę w drgania, każdy z nich miał tik trwożnego podziwu. Wokół ciasnej kabiny, z jej wskaźnikami i zegarami, migotały ciemności.

Chion zaczęła poruszać dźwigniami i wkładać karty perforowane do maszyny analitycznej. Serca w nich zamarły, kiedy w pierwszej chwili nie było żadnego efektu, lecz potem batysfera zawibrowała odgłosem silników.

– Powinniśmy mieć pod sobą paręset metrów – oceniała Chion. – Zejdziemy powoli.

Z terkoczącym stęknieniem „Meduza” zaczęła po krzywej sunąć ku awankowi.

Lampa znowu rozbłysła. Zimny snop światła przeszył nieustające podmorskie życie. Johannes przyglądał się zawieszonym w wodzie cząstkom i zobaczył, że dygoczą w rytm tętna awanka. Usta napełniły mu się śliną na myśl o milionach ton wody gotowej ich zmiażdżyć.

Pod nimi objawiła się obecność jakiejś czującej istoty – duch, nie duch? Johannes zmroziło. Schodzili ku wielkiej płaskiej strefie lżejszych ciemności – porozrywany, wysypany kamykami polu, które wśliznęło się w zasięg ich wzroku. Z początku nikłe, nabierało substancjalności, fosforowy promień łapał jego przypadkowe, strzępiaste kontury. Oślizłe i kamieniste, ciągnęło się na wszystkie strony, poznaczone plamami głębinowych porostów. Dawało mieszkanie głębokowodnej faunie. Johannesowi mignęły przed oczami ślepe, węgorzowate śluzice, napęczniałe szczetnice, ociążałe, zbieleń trylobity.

– Jesteśmy w złym miejscu – powiedziała Chion przez ściśnięte gardło. – Zeszliśmy na dno oceanu.

Jeszcze zanim zdążyła powiedzieć to zdanie do końca, jej głos przeszedł w drżący szept, bo zdała sobie sprawę, że jest w błędzie. Johannes skinął głową z poczuciem triumfu i trwożnej czci, jak człowiek, któremu objawił się jego bóg.

Serce awanka znowu zabiło i na płaskim polu wyrósł potężny grzbiet, wysoki na sześć metrów, wzbijając kłęby cząstek kurzu i szlamu. Grzbiet wybiegał poza zasięg lampy, rozwidlając się na dwoje i troje, tworząc na płaskowyżu siatkę ścieżek.

Była to żyła.

Napełniała się krwią, wybrzuszała, żeby po chwili opaść.

Okręt podwodny zjechał we właściwe miejsce. Znajdowali się nad grzbietem awanka.

Nawet Krüach Aum, człowiek pozbawiony emocji, sprawiał wrażenie osłupiałego. Zsunęli się głowami i nawzajem dodawali sobie odwagi.

Krajobraz pod nimi był topografią zwierzęcia.

„Meduza” sunęła powoli, siedem i pół metra nad powierzchnią awanka, mając pod sobą dolinę między dwiema żyłami. Zahipnotyzowany Johannes przez gęstą wodę obserwował ubarwienie potwora. Spodziewał się anemicznej bieli, a tymczasem nakrapiana epidemia mieniła się setkami odcieni, pozwijanych w spirale równie charakterystyczne jak odciski palców: marmurkowe szarości, czerwienie ochry...

Miejscami z grzbietu awanka sterczały wypustki, które przypominały skałę albo róg – witki wyrastające wokół „Meduzy” niby skamieniałe drzewa. Chion lawirowała między nimi ostrożnie.

Przeplęwali nad otworami w epidermie awanka, zmarszczonymi wyrwami, które nagle się powiększały i ukazywały ziejące sztolnie, gładkie, pulsujące tunele, które prowadziły do wnętrza ciała, pokryte pęcherzykami większymi od człowieka.

„Meduza” unosiła się nad grzbietem awanka jak pyłek.

– Na bogów, na co my się porywamy? – szepnął Johannes. Krüach Aum szkicował coś i robił notatki, podczas gdy Johannes wybałuszonymi oczami wpatrywał się w istotę, w której przywołaniu brał udział.

– Światła mamy na góra dwie godziny – powiedziała Chion z niepokojem w głosie.

Okręt podwodny przeskoczył nad zagajnikiem tych włosów wielkości wieży kościelnej i zszedł między dwie narośle – końcówki skrzeli, blizny, może płetwy. Krajobraz marszczył się od ruchu. Jego kontury powoli się zmieniały, płaska powierzchnia opadała w dół.

– Docieramy do jego boku – stwierdził Johannes. Nagle zaczerniała pod nimi otchłań, przepaść ze ścianami ze zrogowaciałej epidermy. Johannes usłyszał, że jego oddech utracił regularność, kiedy awank się skończył i „Meduza” rozpoczęła zjazd wzdłuż jego boku. Światło grało na warstwach komórek i pasożytniczego życia, którego nagle się wokół nich namnożyło. Na widok geografii swego pacjenta poczuli

się bardzo mali. Pojawiły się zmarszczki, dziesiątki wielkich kolein jak na tektonicznym uskoku, zakrzywiających się w stronę udźca, płetwy albo ogona. – Myślę, że dopływamy do jakiejś kończyny – oznajmił, pokazując palcem. Woda na przemian drgała spazmatycznie i nieruchomiła. Żłobienia w skórze awanka zagęściły się. Po każdym uderzeniu serca wyskakiwały ogromne siatki potężnych żył, misterne jak na pękniętym szkłe, przecinające mięśnie wielkie jak góry. Kraby chowały się w tych bruzdach przed światłem. W wodzie unosiły się nieczystości. Lampa złapała chmurę atramentowatej cieczy – Co to jest? – szepnął Johannes.

„Krew” – napisał Krüach Aum.

Serce znowu się skurczyło i ciemna substancja chlusnęła do wody, aby rozpląnąć się na wszystkie strony. Światło latarni kluczyło między mackami krwi i trafiło na jakąś twardą regularną powierzchnię z tyłu.

Batynauci zachłysnęli się powietrzem: była to końcówka masywnej żelaznej uprzęży. Obrośnięta skorupą muszli ślimaków dawno zabitymi przez ciśnienie i prymitywnymi organizmami głębin. Jedno ogniwo powielalo swym kształtem krzywiznę awanka.

– Bogowie, może to przez nas – szepnęła Chion. – Może to łańcuchy, cugle go poharatały.

„Meduza” zawróciła i podsakała w krwawych turbulencjach. Krew bryzgała zza pagórków na ciele awanka.

– Patrzcie! – krzyknął nagle Johannes. – Tam!

Sześć metrów niżej skóra awanka była okaleczona, sączyła krwią i ropą. Przypominało to kopalnię odkrywkową: szeroki, długi rów o głębokości co najmniej dziesięciu metrów, umykający w mrok. Jego ściany były miazgą pogruchotanych komórek zapaskudzonych osadem tej oleistej wydzieliny ropnej. Na oczach batynautów półpłynne zakrzepy odrywały się, wzbijały do góry, rozciągały w sznury i pękały.

Na dnie wyrwy fosfor wyłowił mokrą plamę czerwieni mięsa.

– Na kopulującego Jabbera! – syknął Johannes. – Nic dziwnego, że zwolnił.

Krüach Aum napisał coś pospiesznie i ustawił kartkę do światła latarni. „To jest nic w stosunku do rozmiarów awanka” – przeczytał Johannes. „Musi być coś jeszcze”.

– Patrzcie – powiedziała Chion. – Ta wyrwa nie styka z wędzidłem. To nie metal go okaleczył. – Zapadła cisza. – Musieliśmy coś przeoczyć.

Po obu stronach wznosiły się ściany pokancerowanego naskórka, opuszczali się jakby na dno kanionu. Jak podróżnicy nanoszący na mapy jakąś nieznaną rzekę, usiłowali dotrzeć do źródeł rany.

Koniec wąwozu zniknął przed nimi w ciemnościach na długo przed punktem zbiegu perspektywy. Po każdym uderzeniu serca awanka wzbierała wokół nich krew i zanim się rozproszyła, przez chwilę nic nie widzieli.

Wyczuwali w dole i po bokach jakieś niewielkie ruchy – padlinożercy karmili się obnażonym mięsem.

Okręt podwodny sunął powoli w cieniach tego organicznego parowu. Wszyscy pasażerowie wypełnionego powietrzem metalowego bąbla zadawali sobie w duchu pytanie: „Jaka jest przyczyna?”

Skęcali razem z wąwozem, kiedy wyrastały przed nimi ściany zniszczonej skóry. „Meduza” meandrowała w wodzie.

– Coś się poruszyło, widzieliście?

Chion zbieleła na twarzy.

– Tam! Tam! Widzieliście? Widzieliście?

Cisza. Wytrysk krwi. Cisza.

Johannes próbował dojrzeć to, co zobaczyła Chion.

Parów rozszerza się. Są nad krawędzią głębokiego dołu z krwią i ropą na dnie, ciągnącego się na dziesiątki metrów. Rana awanka.

Coś się porusza. Johannes krzyczy, pozostała dwójka idzie w jego ślady.

W krwi coś się porusza.

– Bogowie kochani – szepcze Johannes, po czym jego głos zamiera i przeistacza się w myśl. „Bogowie”. Dzieje się coś nieuchronnego i złego.

„Meduza” podskakuje do wtóru kolejnych krzyków. Coś nią poniewiera.

Johannes ma częściowo sparaliżowany umysł. „Musimy to znaleźć i wyleczyć, musimy zlokalizować źródło choroby i usunąć je, wyciąć”. Ale kiedy zjeżdżają do wnętrza dołu, do jądra dolegliwości awanka, na Johannesesa spływa trauma strachu.

„Był we mnie, odkąd fale zamknęły się nad moją głową”.

Zepsuta krew pulsuje dziwnymi prądami. Okręt podwodny znowu wibruje, gdy trafia weń coś ciężkiego, niewidocznego. Chion zaczyna wyć.

Kręcąc powoli głową, w nagle zakrzepłym czasie, Johannes obserwuje dłonie strupodziejki, ociężałe i niezdarne jak kikuty, szarpiające za dźwignie, żeby dać całą wstecz. W batysferę znowu coś łomocze.

Johannes uzmysławia sobie, że razem z Chion krzyczy: „Uciekajmy, uciekajmy!”

Słychać stukanie o właz „Meduzy”.

Johannes wrzeszczy ze strachu, wpatrzony w hemorówninę na dole.

W oscylującym świetle lampy wykwitła gęstwina czarnych kwiatów, strzelających grubymi łodygami ku temu zimnemu, fałszywemu słońcu, muskularnych i żylastych. To nie łodygi, lecz ramiona, to nie kwiaty, lecz dłonie, z zakrzywionymi szponami, drapieźnie rozpostarte. Teraz unoszą się torsy, głowy i całe ciała, wyskakują z chmury krwi, w której kąsały i pluły jadem.

Jak duchy wyrastające spod cmentarnej ziemi, istoty te wznoszą się do góry, roztrzępują ogonami krew, patrzą na przybyszów gigantycznymi oczami, w które Johannes zagląda z trwożnym podziwem. Ich twarze zastygły w nieświadomym wyrazie uśmiechów, które kpią z niego. Spomiędzy zębów większych od jego palców sterczą strzępy mięsa.

Stworzenia te z wdziękiem węgorza płyną ku batysferze, która obraca się pod ich ciężarem, która jest wciskana w dół ich wyciągniętymi rękami, bulaje nagle ulatują do góry, załoga wpada na siebie, leżą i wrzeszczą, wrzeszczą i w dogorywającym świetle latarni patrzą na twarze w iluminatorach, na łapczywe dłonie.

Johannes wie, że usta ma rozciągnięte, ale nie słyszy swojego krzyku. Choć cała trójka w panice okłada się pięściami, Johannes nic nie czuje.

Światło wylewa się z „Meduzy” i jest pochłaniane przez czeluść. Johannes patrzy, jak groźne stworzenia naciskają na bulaje i w głowie tłucze mu się histerycznie jedna myśl: „To one są chorobą, to one są chorobą”.

Ale one tłoczą się teraz wokół batysfery. Rozbijają lampę fosforową, która przyska bąbelkami, i teraz wykrzywione strachem twarze oświetla tylko mizerny, żółty blask latarni wewnętrznej.

Sześć kilometrów pod powierzchnią morza Johannes wpatruje się w parę oczu za iluminatorem. Uświadamia sobie z całą wyrazistością, jak musi się jawić tym oczom: twarz poobijana na skutek kotłowania ze żłobieniami uwydatnionymi przez światło latarni, zastygła w wyrazie najwyższej zgrozy.

Johannes patrzy, jak na poniewieranych bulajach wykwitają żyłki. Patrzy, jak pęknięcia rozpełzają się na wszystkie strony. Szkło skrzypi okręt podwodny trzęsie się. Johannes odsuwa się od zniszczonego iluminatora, jakby te parę centymetrów mogło go zbawić.

Kiedy batysferą wstrząsają przedśmiertne konwulsje, kiedy zbryzgane krwią istoty i morze faluje żarłocznym wyczekiwaniem, latarnia gaśnie i w chaotycznej, rozgrzanej plątaninie trzech głosów i ciał Johannes jest zupełnie sam.

Rozdział czterdziesty czwarty

Słońce zaszło, ale woda wciąż była ciepła. I prawie nieruchoma. Pod jej powierzchnią konstelacja baniek światła wydobywającego się z okien statków wyławiała z ciemności podbrzusze Armady.

Tanner i Szekel pływali między „Nosidłem” i „Doberem”, skamieniałym wielorybem, w szerokiej na dwanaście metrów wodnej koleinie. Byli odgradzeni od odgłosów miasta. Dolatywały do nich tylko dźwiękowe odpadki, podskakując na powierzchni wody jak foki.

– Nie podpływajmy za blisko – ostrzegał Tanner. – To mogłoby być niebezpieczne. Trzymajmy się tej strony statku.

Szekel chciał zanurkować na metr lub dwa – głębiej by się nie odważył – i spojrzeć przez okulary na linię biegnącą w dół do batysfery. Tannerowe opisy łańcuchów awanka zawsze go fascynowały, ale uprząż była dla niego widoczna tylko jako majaczący ciemny kształt, nawet jeżeli zebrał się na odwagę i zanurkował poniżej statków o największym zanurzeniu. Chciał zobaczyć taki sznur ciągnący się z powietrza w ciemną otchłań. Chciał mieć wyobrażenie o skali zjawiska.

– Wątpię, żebyś zobaczył – mówił Tanner, obserwując entuzjastyczny, lecz mało wydajny styl pływacki chłopca – ale zobaczymy, jak blisko uda się podpłynąć, dobra?

Morze otulało Tannera. Rozciągał się w nim, rozwijał dodatkowe kończyny. Zanurkował do szybko ciemniejącej wody i poczuł, że oplatają go zimne światła statku.

Tanner oddychał wodą, płynąc metr za Szeklem i śledząc jego poczynania. W wodzie jakby coś zawibrowało. Uwrażliwił się na te małe drgnienia morza. „Pewnie kabel. Spuszczają batysferę niżej” – pomyślał.

Dziewięć metrów od nich wyrastały z wody okazałe, wzmocnione wspornikami podpory „Sorgo”. Słońce zaszło dokładnie za platformą, której zastrzały i wieże wiertnicze odcinały się od nieba kreskami.

– Nie podpływajmy za blisko – ostrzegł ponownie Tanner, ale Szekel go nie słuchał.

– Patrz! – entuzjazmował się, pokazując palcem.

Wytracił impet i na moment poszedł pod wodę, żeby wypłynąć ze śmiechem i jeszcze raz pokazać na dalszy koniec „Nosidła”. Zobaczyli gruby kabel, sztywno naprężony, schodzący do wody.

– Trzymaj się z daleka, Szek. Teraz już wystarczy. – Kabel wbijał się w wodę jak igła. – Szekel! – zawołał Tanner stanowczym tonem i chłopak odwrócił się, plując wodą. – Wystarczy. Sprawdźmy, co uda nam się zobaczyć, póki nie jest jeszcze całkiem ciemno.

Tanner dopłynął do Szekła, zanurkował i spojrzał do góry. Chłopiec naciągnął okulary na oczy, zaczerpnął powietrza i też dał nura, trzymając Tannera za rękę.

Kontury miasta rysowały się groźnie jak chmury burzowe. Tanner odliczał w głowie, przyjąwszy, że zmagazynowanego powietrza starczy Szekłowi na dwadzieścia sekund. Przewiercał się wzrokiem przez zmierzch w Ukrytym Oceanie, szukając nitki kabla.

Kiedy rzucił się w górę i zaholował chłopca na powierzchnię, ten był uśmiechnięty.

– Zajeździe, Tanner! – powiedział i zakrzuszył się słoną wodą. – Zróbmy to jeszcze raz!

Tanner zabrał go głębiej. Sekundy mijały powoli i Szekel nie okazywał po sobie, że ma jakieś problemy.

Znajdowali się trzy metry pod wodą, koło obrośniętej morskimi żyjątkami burty „Nosidla”. Snop światła księżycowego z chlupotem wpadł do wody i Szekel pokazał na coś palcem. Dwanaście, piętnaście metrów dalej przez moment mignął im kabel okrętu podwodnego.

Tanner przytaknął, ale odwrócił głowę ku ciemnościom zakrzepłym pod statkiem fabrycznym. Usłyszał jakiś dźwięk.

„Czas wypływać” – pomyślał. Dotknął Szekła w ramię i pokazał do góry. Szekel uśmiechnął się szeroko, obnażając zęby, choć uciekły mu w ten sposób resztki powietrza.

Coś węzowatego i bardzo szybkiego z bulgotem oscylowało w polu widzenia Tannera. Pojawiało się i znikowało, pojawiało się i znikowało, jak migająca ryba. Zbaraniały Tanner zamrugnął powiekami. Szekel patrzył na niego zdezorientowany i wystraszony. Zmarszczył brwi, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, i z wielkim, czkającym rykiem wypuścił całe powietrze.

Zszokowany Tanner rzucił się ku niemu i zobaczył, że za bąbelkami wypryskującymi z ust Szekła poszło jeszcze coś ciemnego. W pierwszej chwili Tanner sądził, że ma przed oczyma rzygowiny, ale była to krew.

Nadal ze zdezorientowaną miną, Szekel zaczął tonąć. Tanner oplótł go mackami i popłynął do góry, mając w uszach potworny huk. Krew buchała wściekle nie tylko z ust Szekła, ale również z potężnej rany na jego plecach.

Wydawało się, że do powierzchni jest bardzo daleko.

W głowie Tannera kołatało tylko jedno słowo: „Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie”.

Wykrzykiwał je bezgłośnie, jego opatrzone przyssawkami polipowate ramiona wczepiały się w skórę Szekła i szarpanymi ruchami ciągnęły go ku powierzchni. Wokół Tannera śmigły niewyraźne kształty, wyskakiwały z cieni i znowu się w nich chowały, złowrogie i drapieżne jak barakuda, zginały się wpół i wykręcały, poruszając się bez wysiłku z rybią swobodą, w obliczu której czuł się niezdarny i ciężki. Szamotał się z chłopakiem, uciekając z morza. Był intruzem, który daje dyla przed prawdziwymi morskimi stworzeniami. Jego prze-tworzone ciało nagle zaczęło zakrawać na kiepski żart. Krzyczał i miotał się ze swoim brzemieniem, walcząc z wodą, która była teraz zupełnie obcym dla niego żywiołem.

Powierzchnię wody przebił z wrzaskiem na ustach. Zobaczył przed sobą twarz Szekła, drgającą, chlupającą z ust morską wodą i krwią, popiskującą z cicha.

– Pomocy! – dał się Tanner Sack. – Pomocy! – Nikt go jednak nie słyszał. Tanner przyssał się swymi idiotycznymi kończynami do burty „Nosidla” i usiłował wydzwignąć się z wody. – Pomocy!

Coś jest nie tak! Coś jest nie tak!

Przez wiele godzin ekipa na pokładzie „Nosidla” doglądała wielkich pomp parowych, które tłoczyły powietrze do „Meduzy”, i przygotowywała się do wyciągnięcia batysfery na powierzchnię. Jeden po drugim zapadali w rodzaj sennego odrętwienia. Niczego nie zauważyli, dopóki kobieta smarująca kabel zabezpieczający nie zaczęła ryczeć.

– Coś jest, kurwa, nie tak! – wrzasnęła i przybiegli spanikowani. Patrzyli na kabel z łomoczącymi sercami. Wielkie koło – na którym zostało ledwie parę obwodów liny – trzęsło się gwałtownie, wibrowało o pokład, wprawiało w drgania śruby mocujące. Kabel zaczął świszzczeć i rozwinął się poza granicę bezpieczeństwa.

– Wyciągnąć ich! – krzyknął ktoś i ekipa podbiegła do potężnej windy.

Rozległ się huk i zgrzyt kół zębatach. Tłoki waliły w siebie jak bokserzy. Tryby silnika chciały się obracać, ale kabel stawiał im opór. Był napięty jak struna wiolinowa.

– Wyciągnąć ich, wyciągnąć ich – krzyczał ktoś bezproduktywnie, a potem z ohydny zgrzytem ogromna winda odchyliła się gwałtownie do tyłu. Silnik dymił, buchał parą i skomlał dziecinnie, kiedy jego wnętrzości zaczęły się swobodnie obracać. Skomplikowane koła zapadkowe i zamachowe rozmyły się, wirowały tak szybko, że były niewyraźne jak zjawy.

– Ruszyła! – zakomunikowała kobieta-kaktus, co spotkało się z entuzjastycznym aplauzem. – Idzie do góry!

Batysfera nie była jednak przystosowana do tak szybkiego wypływania na powierzchnię.

Koło nabierało prędkości z idiotycznym pośpiechem, oszalamiająco szybko nawijając kabel. Tryby rozgrzały się do czerwoności i wydzielały suchy zapach spieczonego metalu.

Spuszczenie „Meduzy” na dno zajęło trzy godziny. Tarcza nawiniętego kabla rosła w oczach i wiedzieli, że zakończenie całej operacji jest kwestią minut.

– Wypływa za szybko! Odsuńcie się!

W miejscu, gdzie kabel grubości uda był wydzierany morzu, wrzała chmura słonej wody. W burcie „Nosidla” kabel wyłobił głęboką bruzdę, skowycząc monsunem iskier.

Inżynierowie i sztauerzy na złamanie karku uciekali od maszynierii, która siłowała się z nielicznymi ocalałymi śrubami niby przerażony człowiek.

Tanner Sack wspiął się na pokład „Nosidla”, wlokąc mokry, stygnący kształt Szekla.

– Pomocy! – krzyknął ponownie, ale i tym razem nikt go nie usłyszał.

Na skraju Pragnieniowic Brucolac stał wychylony za burtę „Uroca” i z wytężeniem wpatrywał się w wodę. Wyrosła pod nim sklepiona, zębata głowa w koronie zmarszczek wody, skinęła raz i zniknęła. Brucolac odwrócił się do swoich pretorian.

– Już czas – powiedział.

Rozpościerając pióropusz wody, koniec kabla wyskoczył z morza i wielkim łukiem poleciał nad wirującą windą. Ciężka metalowa lina śmigła w stronę pokładu, ukazując urwany, postrzępiony koniec.

Ekipa na „Nosidle” patrzyła ze zgrozą.

Strzępiasty koniec kabla huknął o pokład z apokaliptycznym dźwiękiem, zostawiając po sobie długą smugę połamanego drewna i opiłków żelaza. Winda wciąż wirowała i koniec kabla rytmicznie biczował statek.

– Wyłączcie! – krzyknął szef ekipy, ale nawet gdyby ktoś go usłyszał pośród świstu liny, do wyłącznika nie dało się podejść. Silnik obracał wielkim kołem, chłuszcząc „Nosidło”, aż do wybuchnięcia kotła.

Kiedy eksplozja zasypała statek fabryczny roztopionymi szczątkami maszynierii, nastąpiła chwila traumatycznej ciszy. A potem „Nosidło” znowu zatrzęsło się od pożarów i wewnętrznych eksplozji.

W całym mieście zawyły syreny alarmowe.

Uzbrojeni gwardziści i ludzie-kaktusy z Niszczukowód i Czasów zajmowali stanowiska na jednostkach wokół „Nosidla”, na którego pokładzie jarzyło się i huczało wielkie ognisko. Załoga w popłochu umykała po linowych pomostach na sąsiednie statki. „Nosidło” był ogromnym okrętem, z którego trzewi wylewały się potoki mężczyzn i kobiet, uciekali stamtąd w kłębach dymu.

Odcinając się czarną plamą od płomieni, jakaś postać powoli brnęła ku jednemu z pomostów, ugięta pod brzemieniem, które kolebało się bezwładnie i ociekało. Usta tego człowieka były szeroko otwarte, ale jego słów nie dało się usłyszeć.

– Wszyscy wiecie, co macie robić? – szepnął lakonicznie Brucolac. – To do dzieła.

Tak szybko, że oko z trudem za tym nadążało, rój postaci wzbił się nad „Uroca”.

Mknęli jak mały, swobodnie i bezgłośnie śmigając nad dachami i takielunkiem. Niewyraźny pułk rozbił się na mniejsze oddziały.

– Ciepłarnia i Budy nie pomogą, ale nie będą też przeszkadzały – powiedział im wcześniej. – Dynich jest młody i nerwowy – zaczeka i sprawdzi, skąd wieje wiatr. Jedyna dzielnica, która może nam wejść w paradę, to Ałozowice, ale istnieje sposób na szybkie usunięcie ich z gry.

Pluton wampirów swoim niezwykłym sposobem przemieszczał się ku Ałozowicom, ku „Człekoźwierzowi” i Holowi Kurhanu, ku pałacowi generała. Zasadniczy korpus cwałował w stronę rufową wyciągając rozgorączkowane i przejęte kończyny, zmierzając ku Niszczukowodom.

Za nimi szybkim krokiem maszerował Brucolac, nie próbując jednak ani biec, ani się chować.

Na „Nosidle” coś się stało. Ludzie, którzy uciekli na sąsiednie jednostki, padali na ziemię, z trudem łapali powietrze i wykrzykiwali przestrogi.

Coś przebiło kadłub statku, gdzieś w najniższych partiach, i wydrążyło w metalu pionowy tunel. Kiedy silnik wirował i chłostał pokład kikutem kabla od „Meduzy”, z

niższych pokładów wyłoniły się jakieś istoty i zaatakowały ludzi na mostku, w kotłowni i w maszynowni, rozerwały statek na strzępy.

Istoty te trudno było opisać – w krążących po mieście relacjach pojawiały się klekoczące zęby podobne do ostrych jak brzytwa kamiennych płyt i ogromne, trupie oczy.

Na pokładzie „Wielkiego Wschodniego” nie było prawie nikogo, czasem przebiegał jakiś służący czy urzędnik. Gwardziści stali na straży przy wejściach na prowadzące do niego pomosty – nie mogli pozwolić, żeby chaos rozlał się na okręt flagowy. Na dachach, balkonach i w wieżach statków wokół „Nosidla” zebrały się tłumy. Ludzie parli do przodu. Aerostaty podlatywały blisko buchającego gorącym prądem wstępującego pożaru.

Zapomniana w pokoju z tyłu „Wielkiego Wschodniego” Bellis ze zgrozą obserwowała rozwój wydarzeń.

„Johannes nie żyje” – pomyślała, patrząc na rumowisko silnika windy.

Johannes nie żył – wstrząs i poczucie osierocenia, którego doznała, nie dałyby się wyrazić słowami.

Patrzyła na trawlerzy koło „Nosidla”. Na ich pokładach mrowiło się od przerażonych, rannych ludzi, których odciągano jak najdalej od płomieni.

Na jednym ze statków Bellis zobaczyła Uthera Doula. Krzyczał coś, poruszając się oszczędnie i strzelając oczami na wszystkie strony.

Pożar na „Nosidle” zmniejszał się, mimo że Armadyjczycy go nie gasili.

Bellis uchwyciła się parapetu. Przez okna statku fabrycznego widziała ruchome cienie. Widziała, co jest w środku.

Z terenu całego miasta przybywali uzbrojeni piraci. Zajmowali stanowiska, przede wszystkim koło pomostów prowadzących na „Nosidło”, i sprawdzali broń.

Ze spowitego dymem mostka statku fabrycznego coś bryznęło: gejzer turbulencji, który wygiął powietrze i uderzył w drewniany maszt szkunera za „Nosidłem”.

Wzburzone cząstki wirowały wokół masztu i wnikały w niego. Potem Bellis wydała z siebie odgłos zaskoczenia. Maszt topił się jak воск. Wielki słup wyginał się niby wąż, jego materia wyciekała sama z siebie, a spływając, tryskała w nieistnienie i z powrotem, zostawiając w powietrzu jakąś efemerydę – okaleczoną rzeczywistość, spod której wзираła pustka. Fałdy tracącego swą naturę drewna sunęły po zatłoczonym pokładzie niby fala toksycznych ścieków.

Wspomagając się ruchem miecza, Uther Doul polecił oddziałowi ludzi-kaktusów wycelować kuszarpacze w okna „Nosidla”, kiedy gdzieś poza polem widzenia Bellis wzbił się chóralny okrzyk. Zobaczyła, że ludzie na dole kierują uwagę gdzie indziej, a zgroza i zdziwienie przenika ich jak wirus.

Coś zbliżało się do miasta od dziobu, zmierzając ku zgromadzonym piratom – coś na razie dla Bellis niewidocznego. Zobaczyła, że zbrojne oddziały idą w rozsypkę, patrząc ku nowemu zagrożeniu z wypisanym na twarzach przerażeniem. Bellis wybiegła z pokoju, żeby wydostać się na pokład i sprawdzić, co to lub kto.

Na „Wielkim Wschodnim” panował zamęt. Nerwowe patrole wciąż pełniły wartę przy pomostach. Strażnicy nie mieli pewności, jakie są rozkazy. Z rozpaczą patrzyli na burzę strzał i pocisków armatnich, które spadały na „Nosidło”. Piraci opuszczali „Wielki Wschodni”, aby dołączyć do swoich towarzyszy.

Bellis podbiegła do burty, chowając się w ciemnościach za mostkiem kapitańskim. Znajdowała się na poziomie dachów Armady. Próbowała wyrobić sobie obraz sytuacji.

„Nosidło” był ostrzeliwany, wraz z całą swoją zabudową. Ukryty nieprzyjaciel słał coraz więcej dziwnych i zabójczych, taumaturgicznych pocisków, na przykład fajerwerków rozpuszczających materię statków i atakujących Armadyjczyków. Bellis zobaczyła jednak, że trochę dalej tworzy się drugi front walk. Widziała niezdyscyplinowane, chaotyczne ataki, słyszała nieregularne staccato ognia karabinów.

Nowi napastnicy zbliżyli się do gąszczy łodzi na dole, gdzie większość gwardzistów z Niszczukowód czekała na możliwość odbicia „Nosidła”. Nagle zobaczyła, kto przypuścił ten drugi atak, od strony miasta: siły Niszczukowód zostały otoczone przez wampiry z Pragnieniowic.

Bellis rozejrzała się dokoła z dłonią na ustach, dysząc ciężko. Nic z tego nie rozumiała – nagła utrata zaufania, jakaś zemsta? Bunt pod wodzą Brucolaca.

Nie umiała utrzymać wampirów w polu widzenia. Poruszali się jak nocne mary. Z drapieżną prędkością zbijali się, rozpadali na poszczególne atomy i przegrupowywali.

Z przerażającą gracją wpadali do jakiejś ślepej uliczki, w której mogło walczyć tylko kilku uzbrojonych wojowników i rozprawiali się z obrońcami przerażająco brutalnie: przebijali im gardła twardymi jak róg paznokciami, wgrzali się w nich okrutnymi zębami, aż brody mieli kapiące posoką, ślinili się i warczeli żądzą krwi. A potem znikali. Przeskakiwali przez padające na ziemię ciała i gnali do jakiegoś betonowego bloku, mostu, baszty armatniej czy ruin. Szeleszcząc niby jaszczurki, ginęły z pola widzenia.

Bellis nie umiała powiedzieć, ilu ich jest. Jak okiem sięgnąć, toczyły się walki, ale tylko wojska niszczukowodzkie widziała wyraźnie.

Uther Doul przerzucił uwagę na wampiry. Bellis zobaczyła, że spycha ludzi z drogi i pędzi z powrotem na „Wielki Wschodni”, aby z wysokości ogarnąć sytuację. Kręcił się jak fryga i wydawał rozkazy, kierując posiłki na miejsce rozmaitych starć. Potem zeskoczył na rufę starego jak świat trimarana koło burty „Wielkiego Wschodniego”, obciążonego ceglana zabudową. Przez gęstwinę podartego prania Bellis zobaczyła tam brutalną kotłownicę.

Od tego miejsca dzieliło ją zaledwie sześćdziesiąt metrów, tak że widziała, jak Doul zbiega po stromym pomoście, wypróbując pod kciukiem Miecz Możliwości, który zamigotał i stał się tysiącem quasi-mieczów. Doul zniknął za wydętym prześcieradłem, jakby go połknęło. Zza łopoczącego na wietrze prześcieradła dochodziły jakieś hałasy.

Nagle biały len nasaczył się czerwienią.

Prześcieradło dwa razy zatrzepotało, jakby odniosło obrażenia, po czym zostało zerwane ze sznura, bo konający człowiek chwycił za nie i zwałił się na ziemię, wykręcając je w zaimprovizowany całun i odsłaniając scenę walki. Doul stał pośród kłębowiska rannych ludzi, którzy wiwatowali i kopali zakutane w len zwłoki wampira.

Ich triumf był krótkotrwały. Taumaturgiczna energia plunęła z „Nosidła” niby rozgrzany tłuszcz, drewno i metal wokół nich zaczęły się wyginać i roztopiać. Ociekającym czerwienią mieczem Uther Doul pokazał wyczerpanym wojownikom, żeby uciekali z trimarana.

Wampir, którego zostawili, nie był jedynym, który poległ. Bellis nie widziała zbyt wiele walki – zastaniały jej brukowane kocimi łbami ulice, place budowy, żurawie i szpalery krępych drzew. Miała jednak wrażenie, tu i ówdzie widzi ich więcej. Były

zatrważająco szybkie i silne, ciągnął się za nimi szlak podziurawionych zębami trupów, ale przeciwnicy mieli nad nimi ogromną przewagę liczebną.

Swoimi sprzymierzeńcami uczynili architekturę i cienie, ale nie mogli uchylić się przed wszystkimi pociskami i ciosami mieczy, które spadały na nich istną powodzią. I chociaż rany te nie były dla nich śmiertelne, sprawiały ból i spowalniały je. Zdarzało się również, że banda zdjętych zgrozą piratów osaczyła jedną z tych wierzgających, Warczących jak psy postaci i odrąbywała jej głowę albo tak bezlitośnie szlachtowała, że nawet nadprzyrodzona zdolność regeneracyjna wampirów nie wystarczała do naprawy zdewastowanych kości i wnętrza.

Z samymi wampirami wojownicy z Niszczukowód przypuszczalnie by sobie poradzili, ale zbyt wielu z nich było zaangażowanych w walkę z niewidzialnym wrogiem na „Nosidle”.

Spuszczono na wodę dwunastometrowe, niskoburtowe łodzie z działami i miotaczami ognia na pokładach. Mknęły przez zatoczkę ku statkowi fabrycznemu, żeby wziąć go w okrążenie.

Ale z wody wokół „Nosidla” wyrastały jakieś kształty.

Blask pożarów i błyski wystrzałów oświetlały morze, dlatego nawet przez metr morskiej wody Bellis mogła wyłowić kontury tych istot: rozdęte ciała kolebiące się jak worki zepsutego mięsa; diaboliczne świńskie oczka; zdegenerowane kikuty płetw; szerokie otwory gębowe z krzywymi, długimi na trzydzieści centymetrów zębami z półprzezroczystej chrząstki.

Wynurzały się oscylująco. „Na Jabbera, cóż to jest?” – pomyślała oszołomiona Bellis. „Przecież Brucolac nie zapanuje nad tymi stworami! Co on najlepszego zrobi?” Oddziały desantowe oddały kilka salw i stwory zniknęły.

Ale gdy łodzie się przybliżyły i snajperzy wychylili się, żeby ponownie wycelować, szybkimi organicznymi drgnięciami zostali porwani pod wodę.

Armada rozszarpywała się na kawałki. Bellis usłyszała wystrzały, odwróciła głowę i na granicy Pragnieniowic i Niszczukowód zobaczyła błyski ognia. Nadciągnęło pospolite ruszenie z dzielnicy wampirów, którego członkowie toczyli pojedynki z niszczukowodzкими marynarzami. Teraz nie była to już wojna miasta z wampirami – wieści o buncie rozniosły się po całej Armadzie i wszyscy przeciwnicy planów Kochanków stanęli do walki. Hotchi dźgali kolcami w ludzi, a ludzie-kaktusy zderzali się ze sobą masywnymi ciałami, tworząc paskudne zbitki.

Walki nie miały żadnej struktury. Miasto płonęło. Sterowce fruwały tu i tam w niedystyngowanej panice. Nad wszystkim górował „Wielki Wschodni”, milczący i pusty, nadal porzucony.

Umysł Bellis powoli uznawał, że jest to nienormalne. Spojrzała na tryerę w dole. Pomost łączący łódź z „Wielkim Wschodnim” został odrąbany. Następny też.

Bellis przywarła do ściany, wysunęła głowę i wyglądnęła na pokład główny. Zobaczyła trzy niewyraźne postacie, które poruszały się z prędkością wampirów, odrąbując łańcuchy i liny pomostów. Kiedy jeden z nich spadł do wody, tłukąc o burtę statku, do którego był przymocowany z drugiego końca, przystąpili do demontowania kolejnego.

Żołądek podskoczył Bellis do gardła. Za chwilę będzie odcięta na „Wielkim Wschodnim”, z wampirami. Jeszcze mocniej przycisnęła się do ściany i nie mogła się poruszyć, jakby przytrzymała ją lodowa otoczka.

Na starym trawlerze, pod butwiejącym okapem, Uther Doul przeszył mieczem twarz mężczyzny. Odwrócił się od rozplątanej, wrzaskliwej istoty, którą stworzył, i podniósł głos, żeby przekrzyczeć bitewny zgiełk.

– Kurwa, gdzie jest Brucolac? – ryknął.

Mówiąc te słowa, skierowany był twarzą w stronę „Wielkiego Wschodniego”. Przebiegł wzrokiem wzdłuż relingu, ale nie mógł zobaczyć pokładu, a tym bardziej wielu kilometrów korytarzy, gdzie Kochankowie zwołali nadzwyczajną naradę ze swoimi konsultantami naukowymi.

– Dalijabber! – krzyknął i puścił się biegiem.

Bellis usłyszała jakiś głos.

Dochodził z bardzo bliska, zza rogu nadbudówki, do ściany której stała przyklejona. Wstrzymała oddech, a serce miała zziębnięte ze strachu.

– Rozumiecie? – usłyszała lakoniczny, chrapliwy, gardłowy głos Brucolaca. – Będzie gdzieś w tej części – nie wiem dokładnie gdzie, ale na pewno go znajdziecie.

– Rozumiemy. – Bellis zamknęła oczy, kiedy usłyszała ten okropny drugi głos, który zabrzmiał tak, jakby wypowiedziane szeptem słowa były przypadkowymi echami w rozstępującym się szlamie. – Znajdziemy go, odbierzemy ukradzioną nam własność, a potem odejdziemy i awank znowu będzie mógł swobodnie się poruszać.

– Dobrze, ale pospieszcie się – odrzekł Brucolac. – Są jeszcze dwie osoby, które muszą zabić.

Bellis usłyszała niknący odgłos kroków. Zaryzykowała otworenie oczu i nieznaczny ruch głową. Zobaczyła, że Brucolac podkrada się do tej części nadbudówki, w której znajdowały się sale obrad.

Usłyszała dźwięk otwierania drzwi i mokry odgłos przesuwania się intruzów przez próg.

Kiedy zrozumiała, o co chodzi, tak ją to rąbnęło, że zachwiała się na nogach. Doznała nagłego olśnienia i wiedziała, kim są przybysze i czego – jak również kogo – szukają.

„Tak daleko? Tak daleko?” Trudno było w to uwierzyć, ale nie miała wątpliwości. Wstrzymała oddech, żeby dysząca zgroza jej nie zdradziła, i wyjrzała zza węgła. W polu widzenia nie było nikogo. „Co robić?” – zastanawiała się zdesperowana. Ze statków w dole dobiegł ją odgłos nagłego natarcia i seria potępieńczych wrzasków. Bellis nie mogła powstrzymać łkania, kiedy zobaczyła, jakich spustoszeń dokonała taumurgia intruzów i jaki los wciąż spotykał mieszkańców Armady. Pokręciła głową i jęknęła, porażona widokiem krwi i zmasakrowanych ciał. Od strony „Nosidla” przyleciała kolejna fala energii i w trzewiach Bellis nagle usadowił się ostry gniew, wprawiając ją w drgawki. Strach pozostał, ale wściekłość była znacznie silniejsza. Wściekłość na Silasa Fenneca. „Ty draniu pierdolony! Ty zasrany, kretyński, samolubny bydlaku! Popatrz, co żeś zrobił! Popatrz, co żeś sprowadził!”. Obserwowała rzeź. Na jej dłoniach nie było krwi. „Muszę to powstrzymać”.

Wiedziała, jak to zrobić.

Wiedziała, co zostało ukradzione i gdzie się znajduje.

Kiedy wampiry odpilowały skamieniałą ze starości linę ostatniego z pomostów „Wielkiego Wschodniego”, po jego deskach pobiegła do góry postać z mieczem. Zaskoczone wampiry odstały do tyłu i dobyły broni.

Uther Doul dotarł na pokład. Wampirzyca, która stała najbliżej niego, wycelowała ze skałkówki, trzaskając językiem jak biczem, warcząc i obnażając kły. Doul tak od niechcienia, jakby pogardliwym ruchem uciął jej głowę.

Jej dwaj towarzysze przyglądali się tatuazowi jej pięty na drewnie. Kiedy Doul ruszył ku nim bez wahania, uciekli.

– Gdzie jest Brucolac? – ryknął za nimi Uther Doul.

Krzycząc przy każdym zamachu, Bellis z całej siły waliła w klamkę i zamek znalezionym gdzieś świecznikiem. W końcu wsunęła świecznik w szczelinę między drzwiami a framugą i użyła jako dźwigni. W drewnie powstało wgłębienie i odłupywały się drzazgi, ale drzwi były grube i solidne, toteż upłynęło kilka hałaśliwych minut, nim zamek ustąpił. Bellis zaryczała triumfalnie, kiedy drzwi się otworzyły, sypiąc kawałkami drewna.

Otwierała szafy Doula, grzebała pod łóżkiem, kopała klepki podłogi, szukając posążka. Nie było go na stojaku z bronią ani koło dziwnego instrumentu, który Doul nazwał artefaktem Imperium Widmowców. Mijały kolejne minuty i Bellis cierpiała męki na myśl o krwawej jatce, która z pewnością nadal szalała na zewnątrz.

Nagle znalazła. Zawinięty w płótno posążek leżał na dnie cylindra, w którym Doul trzymał strzały i oszczepy. Z nabożnym lękiem wzięła ciężki przedmiot w obie dłonie i pobiegła pustymi korytarzami „Wielkiego Wschodniego”. Szybko zorientowała się w terenie, bo pamiętała, gdzie ją więziono. Szukała zabezpieczonego skrzydła starego statku. Wyglądała zupełnie tak, jakby trzymała na ręku niemowlę.

Kochankowie siedzieli w sali obrad z tymi nielicznymi konsultantami, których udało im się sprowadzić. Walki rozpoczęły się zaledwie przed niecałą godziną.

Kochanek wrzeszczał bezproduktywnie na wystraszonych naukowców, mówił im, że Aum i Tearfly nie żyją, że coś rozszarpuje miasto na strzępy, że muszą się dowiedzieć, co to jest i pokonać to, kiedy nagle rozprysnął się skobel i drzwi otworzyły się z impetem.

Wstrząśnięci naukowcy bez słowa patrzyli na Brucolaca.

Stał w progu, dysząc ciężko, obnażywszy diaboliczne zęby. Skosztował powietrze wężowym językiem i powiódł po zebranych spojrzeniem żółtych oczu. Potem pociągnął ramieniem, obejmując tym gestem wszystkich oprócz Kochanków.

– Wyjdźcie – szepnął.

Wybiegli w kilka sekund. Kochankowie zostali sami z Brucolakiem.

Patrzyli na niego bez strachu, tylko z nieufnością.

– Koniec tego dobrego – szepnął, podchodząc do nich. Rozumiejąc się bez słów, Kochankowie rozstąpili się, tworząc dwa osobne cele. Każde z nich wyjęło pistolet. Brucolac zatarasował im drogę do drzwi. – Nie chcę rządzić – powiedział z autentyczną nutą rozpaczony w głosie – ale z waszym planem koniec. To nie jest plan, tylko kompletne szaleństwo. Nie pozwolę wam zniszczyć miasta.

Wywinął wargi i skulił się do skoku. Wymieniwszy krótkie spojrzenie, Kochankowie unieśli pistolety, chociaż wiedzieli, że nic to nie da.

– Poddaj się.

W drzwiach stał Uther Doul. W jego dłoni połyskiwał biały jak kość miecz.

Brucolac nie odwrócił się. Nie odejmował wzroku od Kochanków.

– Wiem o tobie co najmniej jedno – powiedział. – Armada jest twoim domem i potrzebujesz jej. Wiem, że przy tym całym swoim podniosłym gadaniu o lojalności, miasto jest jedyną rzeczą na świecie, której byś nie zdradził. A przecież wiesz, że oni doprowadziliby do jego zagłady.

Urwał, jakby czekał na odpowiedź.

– Poddaj się – powtórzył Doul.

– Jeśli ta pierdolona Blizna istnieje – szepnął Brucolac, wciąż bez odwracania się – jeśli tam dotrzemy i jakimś zaszranym cudem przeżyjemy, to i tak nas zniszczą. Nie jesteśmy oddziałem ekspedycyjnym ani pielgrzymką religijną, do kurwy nędzy! To jest miasto. Żyjemy, kupujemy, sprzedajemy, kradniemy, handlujemy. To jest port. Nie chodzi o to, żeby przeżyć przygodę. – Nareszcie się odwrócił i spojrzał na Uthera Doula zjadliwym wzrokiem. – Wiesz o tym. Dlatego tu jesteś: bo miałeś dosyć przygód. Wprowadźmy jakiś element racjonalności... Nie potrzebujemy tej zaszranej bestii. Nie potrzebujemy włóczyć się po całym świecie. Ważne jest nie to, że jakiś pomyleniec przed wiekami wykuł te łańcuchy. Ważne jest to, że były puste. Nawet jeżeli przeżyjemy to szaleństwo, to dopóki będziemy ciągnięci przez awankę, ci dwoje zabiorą nas na kolejną zaszraną wyprawę, aż w końcu wszyscy wyginieją. Nie taka jest logika naszego funkcjonowania, Doul. Nie po to istniejemy. Nie pozwolę im zniszczyć Armady.

– To nie jest twoja decyzja, Brucolacu – odrzekł Doul.

Oczy wampira otworzyły się szerzej, a jego twarz pobruździły srogie zmarszczki.

– Na bogów... Wiesz, że mam słuszość, prawda? Widzę to po tobie. Co ty kombinujesz? – syknął. – Co sobie zaplanowałeś?

– Poddasz się, martwomościu.

– Tak sądzisz, żywomościu? – szepnął Brucolac głosem szorstkim od tłumionej wściekłości. Z potężnych zębów zwisały długie nitki śliny, a kości dłoni zatrzeszczały, kiedy zacisnął pięści. – Tak sądzisz? Jesteś dzielnym żołnierzem, żywomościu. Widziałem cię w akcji. Walczyłem nawet u twojego boku... Aleja mam ponad trzysta lat, Doul. Poradziłeś sobie z paroma moimi pretorianami i wydaje ci się, że możesz zmierzyć się ze mną? Nie było cię jeszcze na świecie, kiedy ja po trupach osiągnąłem swoją pozycję w tym mieście. Zdobyłem władzę w swoim okręgu ogniem i mieczem. Zabiłem istoty, których żaden żywomość nigdy nie widział. Jestem Brucolac i twój miecz cię nie uratuje. Myślisz, że możesz zmierzyć się ze mną?

Korytarze „Wielkiego Wschodniego” były zupełnie puste. Bellis schodziła w stronę więzienia, a odgłosy jej kroków wracały do niej echem.

Nawet na korytarzu z celą Fenneca nie było nikogo, bo strażnicy poszli bronić Niszczukowód razem z innymi. Doznała nagłego olśnienia: o to właśnie chodziło. Te puste korytarze były prezentem Brucolaca dla intruzów.

Zostali tylko taumaturgowie pod drzwiami Fenneca, ale oboje nie żyli. Krew rozlewała się po podłodze. Mężczyzna próbował jeszcze użyć jakiegoś zaklęcia, łuczki energii wytrysnęły z jego palców i rozproszyły się jak statyczna elektryczność. Palce drgały konwulsyjnie, kiedy nerwy skonały. Kobieta leżała obok niego z rozrzuconymi na boki kończynami, rozplątana.

Bellis była sparaliżowana strachem, który wezbrał w niej jak mdłości. Stała pod celą w kałuży krwi, z ręką nad klamką, zastygła ze zgrozy. Toczyła wewnętrzne zmagania, targana wahaniem.

„Po prostu wrzuć do środka” – mówił jeden głos. „Zostaw pod drzwiami” – doradzał inny. „Uciekaj”. W tym momencie zza drzwi dobiegł ją wrzask, potworny okrzyk przerażenia. Bellis zawtórowała mu, otworzyła drzwi i weszła do środka.

– Mam go! – krzyknęła, zrywając płótno z ohydneho posążka i unosząc go jak dar wotywny. – Powstrzymaj rzeź! Mam go! Weź go! Możesz go wziąć i wyjść!

Na drugim końcu pomieszczenia, oddzielony od Bellis kratami, Silas Fennec czołgał się z wrzaskiem do tyłu, wciskał się w kąt celi. Nawet na nią nie spojrzał. Raczując jak dziecko, osłupiały ze strachu patrzył na to, co po niego przyszło.

Bellis podążyła za jego wzrokiem i ze spazmem wstrząsu, od którego się potknęła, zobaczyła grindyłow.

Było ich trzech. Wpatrywali się w nią.

Szczęki mieli prognatyczne, obłe zęby zastygły w niezrozumiałych grymasach, ogromne oczy były otchłannie ciemne i nieruchome. Ramiona i torsy mieli humanoidalne, prężące się muskularnie pod napiętą skórą, szarozielone i czarne, połyskliwe jakby od śluzu. Poniżej talii ciała grindyłow przechodziły w płaskie ogony kilka razy dłuższe od torsów.

Grindyłow pływali w powietrzu. Machali ułożonymi w kształt litery „S” ogonami, posyłając wzdłuż nich gibką falę. Ramionami poruszali jak w chaotycznym tańcu, niby nurkowie, którzy bronią się przed siłą wyporu, rozpościerając i zsuwając obciążone błoną szpony.

Poruszali się absolutnie bezgłośnie. Mimo że zwrócili ku niej swe obrzydliwe twarze, Bellis była zahipnotyzowana ich uwodzicielskimi, nieustannymi, milczącymi ruchami. Machając ogonami, utrzymywali się w powietrzu z głowami na poziomie jej głowy.

Jeden z nich był obwieszony naszyjnikami z kamienia i kości, zachlapanymi ludzką krwią.

„Na bogów i Jabbera, co wam odbiło?” – pomyślała Bellis swoistym mentalnym piskiem. „Co wam odbiło? Wlekiście się z drugiego końca świata...”

Grindyłow czekali.

– Macie... – Głos wiązał jej w gardle ze strachu. Wyciągnęła ku nim posążek, trzymając go ostrożnie, żeby jej nie wypadł z trzęsących się gwałtownie dłoni. – Przyniosłam go dla was – szepnęła. Możecie wracać. Możecie wracać. – Zimni i niemi jak ryby głębinowe, grindyłow tylko na nią patrzyli, śmigając ogonami. – Proszę was, weźcie – powiedziała. – Proszę was, przyniosłam wam to, co wam ukradziono. Weźcie i wracajcie. Do Gengris.

„Zostawcie nas w spokoju” – modliła się. „Dajcie nam życie”.

Posążek ciążył jej w wyciągniętych rękach.

Szybkim trzepnięciem ogona grindyłow z naszyjnikami podpłynął do niej przez powietrze.

Bellis szarpnęła się gwałtownie, kiedy Fennec Silas wrzasnął do niej:

– Bellis, wynoś się stąd!

Grindyłow przekręcił ku niej głowę. Krew płynęła po jego skórze strumyczkami we wszystkich kierunkach, na przekór grawitacji. Przeciągnął ziewnięciem grindyłow rozwarł szczęki.

Bellis wzdrygnęła się i krzyknęła mimo woli.

Z gardła grindyłow dobyło się jednak głębokie, dyszące kaszlnięcie. Koralki krwi oblepiającej zęby spryskały trzymany przez Bellis posążek. Potem rozległa się rytmiczna seria kolejnych kaszlnięć: „Uch... uch... uch...”

Grindyłow śmiał się.

Makabryczna, nieudolna parodia ludzkiego śmiechu.

Grindyłow patrzył na nią bez zmrużenia oka, kiedy opuściła rozdygotane ręce. Z kamiennym odgłosem zacisnął zęby, rozwarł je ponownie i przemówił wprost z gardzieli obdarzonej precyzją ludzkich ust:

– Myślisz, że to? – szepnął głos, bez żadnej modulacji czy intonacji. – Ty kobieto myślisz, że to było zabrane? Dla tego ty kobieto myślisz, że my telepiemy się na drugi koniec świata? My rodzeństwo przychodzimy z ciemnego zimna jeziora, z pokarmowych wież i kadzi, z pałacu alg, z Gengris. Tropimy to miasto od dwóch czterech ośmiu wielu tysięcy kilometrów, wielu tysięcy. Zmęczeni, głodni i wściekli. Wiele miesięcy. My rodzeństwo siedzimy i czekamy pod waszym miastem, i polujemy, i nareszcie znajdujemy wiadomość, ciągle szukamy tego człowieka. Tego rabusia, złodzieja. Dla tego? – Grindyłow pływał w powietrzu tam i z powrotem, patrząc na Bellis i pokazując palcem posążek. – Dla tego myślisz, że przybyliśmy? Dla tej kamiennej rzeczy? Płetwy maga? Jak prymitywne ludy myślisz, że poniżamy się przed bożkami wyrzeźbionymi w kamieniu? Dla zabawek hokuspokus? – Grindyłow wykonał gwałtowny ruch i Bellis zachłysnęła się powietrzem, szarpnęła ręką do tyłu, jakby posążek parzył, i grindyłow złapał figurkę, zanim zaczęła spadać. Uniósł ją i filigranem skóry pogładził kamienny policzek. – Tutaj jest esencja, ale mimo wszystko, dla tego? – Gardło sapnęło z oburzenia. – Myślisz, że jesteśmy dzieci, żeby lecieć na drugi koniec świata dla obdarzonej mocą zabawki?

Przeciągłym, przerysowanym, spowolnionym i zniecierpliwionym ruchem grindyłow zatoczył ramieniem wielki łuk, rzucając figurką w powietrze. Z pewnością leciała bardzo szybko, ale Bellis widziała wyraźnie, jak wiruje w stronę krat, z dłońmi zaciśniętymi na podwiniętym do góry ogonie, precyzyjnie i odstręczająco wykonana, wielkie usta wydęte i gotowe do akcji, oko sypiące iskrami zimnego rozbawienia.

Z potężnym hukiem figurka uderzyła o żelazo i rozbiła się.

Poleciały odłamki i zimne krople czegoś podobnego do oleju.

Bellis osłupiała. Patrzyła, jak cząstki osiadają, a potem poczuła, że coś w eterze rezonuje i ucieka z pomieszczenia.

Na środku podłogi, otoczony kamiennym pyłem i żelatynowatym osadem, leżał płąt mięsa. Płetwa maga, podobna do zepsutego, pomarszczonego filetu.

Nie patrząc na nią, grindyłow zatrzepotali ogonami i przybliżyli się do krat, za którymi kulił się ze strachu Silas Fennec.

– Dowiedzieliśmy się, co zostało nam ukradzione – szepnął jeden z nich. Potem poruszył się z dziwną gwałtownością, jakby powietrze stawiało mu opór, i rozsunął pręty, jakby to były sznury wodorostów. Ale gdy tylko znalazł się po drugiej stronie, pręty wróciły na swoje miejsca i na powrót stwardniały. Grindyłow podleciał nad skulonego Silasa Fenneca, okładając go cieniem. Bellis nie mogła patrzeć na Fenneca tak poniżonego, tak odartego z wszelkiej godności. Nigdy nie podejrzewała, że Silas potrafi tak bardzo się bać. – Mamy to, co zostało zabrane – mruknął, po czym zamachnął się dłonią wyposażoną w ostre jak nóż palce i dziabnął nimi w dół. Nie usłyszawszy krzyku ani mokrego odgłosu, otworzyła oczy i zobaczyła, że grindyłow pogrzebał w szmatach leżących na podłodze jak zrzucone skóry i znalazł notatnik Silasa Fenneca.

Bellis dobrze go pamiętała: gruby, w czarnej oprawie, rozpulchniony powkładanymi kartkami. Pamiętała dziesiątki stron niezrozumiałych notatek, heliotypów, niewydarzonych szkiców, pytań i zapisów.

Grindyłow powoli przewracał kartki. Od czasu do czasu przystawiał zeszyt do krat, pokazując Bellis coś, co nic jej nie mówiło.

– Kadzie z salpami. Farmy zbrojeniowe. Zamek. Nasza anatomia. Słownik geograficzny drugiego miasta. A tutaj – powiedział z czymś w rodzaju triumfu – mapy wybrzeża. Góry między oceanem i Morzem Zimnego Pazura. Nasze placówki. Miejsca, gdzie przebiegają szczeliny, gdzie skała jest najślabsza. – W umyśle Bellis

coś drgnęło, pierwsze przebłyski zrozumienia. – Powiedziałybyś swoim panom, gdzie najlepiej zrobić przekop, rabusiu? – spytał grindyłow.

Przyciskając do ciała kikut ramienia, Fennec próbował odsunąć się jeszcze dalej.

Bellis już wcześniej widziała kartkę, na której grindyłow otworzył notatnik, w swoim pokoju, w Parku Crooma, przed wieloma miesiącami. Wykonane kilkoma pociągnięciami rysunki maszyn, czerwone linie sił i typy skały cieniowane atramentem. Ukryte pozycje grindyłow po stronie Morza Zimnego Pazura; paradoksy i fortyfikacje; pułapki.

Zrozumienie spływało po niej jak zimna woda. Przypomniała sobie rozmowy, jakie toczyli z Fennekiem, kiedy się do siebie zbliżyli. Przypominała sobie jego niezwykle opowieści z podróży. Przypomniała sobie, co wtedy mówił.

Jeżeli przebrniesz przez Zimne Pazury, jeżeli dotrzesz do wysp i na drugi brzeg, jeżeli pokonasz te niezliczone kilometry nieprzychylniej geografii, jeżeli dopłyniesz do kopalń Shatterjack i do Hinter, do tych wygłodniałych partnerów handlowych i tych kilometrów nietkniętych zasobów naturalnych, to rozbijesz bank. Ale większości się to nie udaje, ponieważ droga jest najeżona niebezpieczeństwami, ponieważ nie ma dostępu od południa, ponieważ Gengris kontroluje południowy kraniec Morza Zimnego Pazura i nie przepuszcza obcych.

„A gdyby dotrzeć tam prosto z południa?” – pomyślała Bellis. „Nie jakąś podupconą karawaną, która gubi zapasy, maszyny i ludzi, zostawiając w górach i na stepie widoczny na kilometry trop, tylko statkiem. A gdyby się dało popłynąć z Nowego Crobuzon prosto na północ, w bezpiecznej odległości omijając Gengris?”

– Dobrzy bogowie – mruknęła i spojrzała na Fenneca. – Kanał. Planują budowę kanału.

Bardzo sensowny pomysł. Mierzeja oddzielająca słodkie wody Morza Zimnego Pazura od słonych wód Wezbranego Oceanu w najszerszych miejscach miała zaledwie sześćdziesiąt kilometrów, a górski grzbiet przecinały doliny. Bellis umiała to sobie wyobrazić. Gigantyczny projekt, ale jakie otworzyłby możliwości!

Statki płyną z Zatoki Żelaznej na północ, obok nieregularnej linii brzegowej Lubbock Scrub i Bezheks, potem kierują się na pełne morze, aby ominąć ruiny Suroch i dookolny osad Momentu, przeciskają się cieśninami między Wyspami Pirackimi a stałym lądem, i wreszcie, po tygodniu żeglugi kursem północnym, po lewej stronie, czyli na zachodzie, wyrosłyby krzemienne grzbiety osłaniające Morze Zimnego Pazura.

Ale teraz już do przebycia. Przerwane.

Szeroka koleina wyżłobiona w dnie doliny. Wysokie żaglowce i parowce statecznie płyną między nawisami skalnymi i piarżyskami.

I byłyby śluzy. Ogromne śluzy dzielące kanał na odcinki, potężne drewniane wrota i najwyższe osiągnięcia inżynierii krok po kroku przybliżają statki do Zimnych Pazurów. Wchodziliby po stopniach kanału, a przywarte do kadłubów pąkle słabłyby i konały na skutek spadku zasolenia wody.

Aż w końcu... Co?

Znowu morze.

Kamienne monolity rozstępują się przed statkami i kanał wlewa się do głębokiego morza słodkowodnego: Morza Zimnego Pazura.

Może w notatkach Fenneca zawarte były plany budowy kanału, który wyłaniałby się na północ od Gengris. Może kupcy, przemysłowcy i żołnierze crobuzońscy mogliby nie zważać na grindyłow, popłynąć obok nich do łakomych kąsków na

Północy, zostawiając ich wściekłych, żalonych i zlekceważonych w ich południowym zakątku.

Ale w notatniku Fenneca było również mnóstwo szczegółów, pracownice i potajemnie zebranych, na temat strategii, uzbrojenia i planów grindyłow. Być może taka bezczelność ze strony Nowego Crobuzon automatycznie oznaczałaby wojnę i Fennec gromadził te informacje po to, aby jego mocodawcy w niej zwyciężyli.

Nowe Crobuzon zyskałoby dostęp do konstelacji miejsc, które do tej pory miały charakter raczej mityczny. Poszedłby za tym handel, kolonizacja i tak dalej. Bellis przypominała sobie historie na temat bogactw i bestialstw w Nova Esperium.

Poza wszystkim przełamany zostałby monopol grindyłow na terror w rejonie Morza Zimnego Pazura. Crobuzoński kanał stworzyłby wolny rynek władzy – tylko Nowe Crobuzon mogłoby przejąć nad tym rynkiem kontrolę.

Zaskoczona Bellis pokręciła głową. To nie była jakaś dramatyczna eskapada spod znaku płaszcza i szpady. Dokonana przez Fenneca kradzież została starannie zaplanowana, analizę kosztów i trudności przeprowadził ekspert. Cała sprawa w bardziej zrozumiałym świetle stawiała samych grindyłow. W tym kontekście nie przypominali już mściwych straszyciel rodem z bajek, które czytała Szeklowi, uganiających się za symbolem. Ich pobudki były jasne: chronili źródło całej swojej władzy, chronili swoje interesy i swój narodowy byt.

– Posążek to był tylko bibelot, prawda? – spytała Bellis i mimo strachu Fennec na chwilę spotkał się z nią wzrokiem. – Twoja osobista nagroda? To nie po niego Nowe Crobuzon posłało cię do Gengris i nie po niego przybyli tutaj grindyłow. Robieś studium wykonalności...

Mógł wysłać papiery do kraju, ukryć je w woreczku, który dał Bellis, żeby je za niego przekazała jak idiotka, ale wtedy jego zwierzchnicy nie przybyliby mu na ratunek. Zatrzymał więc wyniki swoich badań, wiedząc, ile są warte, wiedząc, że dla tych bazgrołów Nowe Crobuzon wyśle swoją marynarkę wojenną na drugi koniec świata.

Ale nie odbili z rąk Armady ani jego, ani tych bezcennych notatek. „Nie będzie kanału” – pomyślała Bellis, obserwując grindyłow. „Teraz nie ma już na to szans”.

Fennec bredził. Bellis sądziła, że Silas ma atak i wyrzuca z siebie przypadkowe dźwięki, ale po chwili zdała sobie sprawę, że jest to jakaś uproszczona, ludzka wersja mowy grindyłow. Oparł się o ścianę, żeby nie upaść, i perorował z kontrolowaną paniką. Jak podejrzewała, błagał o życie.

Nie miał jednak żadnego argumentu przetargowego, bo grindyłow dostali już to, co chcieli.

Stwór przed Silasem uniósł szpony i odezwał się głośno w swoim języku. Silas Fennec wrzasnął jak opętany. Bellis poczuła, że powietrze koło niej zadrgało wzburzone: pozostali dwaj grindyłow węzowato poruszyli całym ciałem, posyłając falę od ramion przez brzuch do wydłużonych ogonów. Z podwodną gibkością zbliżyli się do krat. Ich przywódca kilkoma magicznymi gestami zmiękczył żelazo i precyzyjnie się do celi.

Fennec zaczął wrzeszczeć głośniej, kiedy otoczyli go.

Przekonana, że go ukatrupią, Bellis dostała potwornych mdłości i mimowolnie zaprotestowała. „To już koniec” – pomyślała.

Tymczasem grindyłow splekli się wokół niego, tworząc gęszcz kończyn, w którym trudno było odróżnić, co należy do kogo, wczepili się w Silasa swymi misternymi, okrutnymi palcami i unieśli go do góry.

Zawiśli nad podłogą. Wrzaski Fenneca cichły. Jego stopy nie dotykały ziemi. Lewitował spowity kończynami i grubymi, węgorzowatymi ogonami.

Mag grindyłow w jednej ręce trzymał notatnik, a drugą wykonał gest w stronę największego iluminatora w celi. Kości na jego szyi zagrzechotały złowieszczo.

Jakby było płynne, jakby było stawem, do którego ktoś wrzucił kamień, szkło bulaju zmarszczyło się i pokryło siateczką żyłek. Kiedy Bellis zrozumiała, co się za chwilę stanie, wyrwała się z otępienia – drętwy spowodowanej obrzydzeniem, szokiem i strachem – ruszyła ku drzwiom i pośliznęła się na krwi.

Usłyszała jeszcze jeden krzyk Fenneca, wilgotny wydech, a potem jakby chlupnięcie – mag przyssał się swoją wielką gębą do ust Fenneca, ciachając mu twarz swoimi ostrymi zębami, ale też wdmuchując weń powietrze, co bardzo się przydało, bo zaczarowane szkło pękło jak bąbel na skórze i do pomieszczenia wdarło się morze.

Po paru sekundach na podłodze stało już kilkanaście centymetrów wody. Bellis zdrętwiałymi palcami nacisnęła klamkę drzwi, na które napierała woda. Zdołała pociągnąć je do siebie i na moment zatrzymała się w progu. Spódnica otulała ją mokro, a rwący potok zimnej wody wylewał się na korytarz, przejmując ją chłodem.

Grindyłow unosili się w tym wtargnięciu oceanu. Dłonie Fenneca wystawały z płataniny kończyn, otwierając się i zamykając. Kiedy linia wody zaczęła się przybliżać do iluminatora, triumwirat grindyłow ścisnął się niemożliwie ciasno, po czym idealnie zsynchronizowanym machnięciem ogonów przemknęli przez bulaj, razem z Fennekiem, zabierając to, co zostało im skradzione – informacje, tajemnice w morze.

Bellis zamknęła wodoszczelne drzwi do rozerwanej celi. Na korytarzu kołysała się cienka warstwa wody, ilustrując ruchy „Wielkiego Wschodniego”.

Bellis usiadła oparta o ścianę. Woda obmywała jej uda i tyłek, ale ona nic nie czuła, ogarnięta spazmatycznymi drgawkami. Nie płakała, ale kiedy adrenalina rozpięzła się po organizmie, zaczęła wydawać z siebie chrapliwe zwierzęce wrzaski i wyrzygiwać cały wezbrany w niej strach, zupełnie nie panując nad swoją fizjologią.

A potem długo siedziała bez ruchu.

Gdzieś w zimnych i ciemnych głębinach, pośród nocy, był Silas Fennec. Zabrali go. Żeby go przesłuchać lub wymierzyć mu niewyobrażalną karę. Wzięli go żywcem.

Wydostanie się z więziennych piwnic „Wielkiego Wschodniego” zajęło Bellis mnóstwo czasu. Długa, przemoczona spódnica ocierała jej skórę. Wytrwale stawiała krok za krokiem, nie myśląc o niczym. W życiu nie była taka zmęczona i zziębnięta.

Kiedy wreszcie wynurzyła się na nocne powietrze, pod łagodnie rozkołysanym, starym takielunkiem i gigantycznymi żelaznymi masztami, z osowiałym zaskoczeniem stwierdziła, że wszystko jest po staremu, że nic nie zniknęło.

Była sama. Wciąż dało słyszeć krzyki i huk pożarów, ale gdzieś w oddali.

Sapiąc ciężko, Bellis powoli podeszła do relingu, oparła się o niego policzkiem i zamknęła oczy. Kiedy je na powrót otworzyła, zdała sobie sprawę, że patrzy na „Nosidło”. Kontury dużego okrętu powoli się wyostrzyły. Na statku fabrycznym już się nie paliło.

Fale pluskały delikatnie o boki miasta. Dzięki wrażliwości, którą bezwiednie w sobie wyhodowała, Bellis uświadomiła sobie, że Armada znowu się porusza.

Bardzo powoli, na razie nie szybciej niż wtedy, kiedy ciągnęły ją chmary holowników. Ale znów sunęła do przodu. Awank ruszył, ból rany ustępował.

Grindyłow odeszli.

A Silas żyje.

Trzymając się relingu, Bellis zdążyła ku dziobowi „Wielkiego Wschodniego”. Mijając grupę domków, usłyszała jakieś dźwięki. Z przodu byli ludzie.

Przebiegła wzrokiem Niszczukowody, Pragnieniowice, Czasy i Książkowice. Bitewne hałasy były cherlawe. Nie słyszała już odgłosów przemieszczania się rzesz ludzkich ani nieprzerwanej kanonady strażów. Docierały do niej tylko pojedyncze okrzyki i huki.

Wojna zamierała. Bunt dobiegł końca.

Nikt nie wygłaszał żadnych deklaracji. Na podstawie tego, co ją otaczało, nie sposób było stwierdzić, która strona zwyciężyła. Lecz kiedy Bellis wyszła zza węgła i zobaczyła scenę, która rozgrywała się na przednim pokładzie „Wielkiego Wschodniego”, nie była zaskoczona. Przy burtach okrętu flagowego stali posępni przedstawiciele wszystkich ras, okaleczeni i zakrwawieni, z bronią w ręku.

Mieli przed sobą stos zwłok. Wiele z nich było zmiażdżonych, z rozerwanymi klatkami piersiowymi, wypalonymi albo wypatroszonymi. Większość miała ucięte głowy, które leżały porzrucane beładnie po pokładzie, rozdziawione, straszące kłami i wężowymi językami.

Wampiry. Dziesiątki wampirów. Pokonanych. Straconych, uśmierconych. Losy bitwy odwróciły się, kiedy ich tajemniczy sprzymierzeńcy zniknęli, a spontaniczne rozruchy wspierające bunt wygasły. Bez wsparcia mieszkańców Pragnieniowic i szerokich rzesz innych obywateli Armady rewolta była z góry skazana na porażkę. Wojownicy z Niszczukowód w końcu przewyciężyli strach i kiedy prawdziwy terror zniknął wraz z grindyłow, terroryzm nie miał już szans na zwycięstwo.

Bellis usłyszała nad głową jakiś ruch. Spojrzawszy na fokmaszt „Wielkiego Wschodniego”, zszokowana wybałuszyła oczy. I pomyślała: „A, od tego zaczęła się ich klęska. Wampiry z Pragnieniowic nie miały już szans wygrać. Od kiedy to makabryczne wahadło zadyndało na maszcie, strach, który szerzyli, musiał zgasnąć jak echo”.

Trzy metry nad pokładem – przywiązany do poprzeczki jak do krzyża, z jęzorem wywalonym na wierzch niby u zdechłego zwierzęcia, z zębami i wargami zabarwionymi własną krwią – wisiał Brucolac.

Rozdział czterdziesty piąty

Kiedy wstał świt, Brucolac znalazł w sobie siły, żeby wrzasnąć.

Słońce paliło go. Zamknął oczy i bezproduktywnie rzucał głową, usiłując wytrząsnąć z nich światło. Skórę poprzecinały pręgi, jakby oblano go jakimiś niebezpiecznymi chymikaliami. Srogoblada twarz poczerwieniała, zaczęła się łuszczyć i ropieć w świetle dnia.

Brucolac miotał się nieestetycznie jak wyrzucone na brzeg morskie stworzenie. Siły z niego wyciekały. Wydawał z siebie ciche jęki bólu.

Był silny, dlatego słońce na razie go nie zabiło, ale przyprawiło go o kalectwo, a przede wszystkim o potworne cierpienie. Dwie godziny po świcie był zbyt otępiaty z bólu, żeby choć pisnąć. Z ust ciekła mu ślina i jad, tracąc swoją naturę.

Światło słoneczne wyżerało też skórę jego ukatrupionych pretorian. Z upływem dnia dziesiątki zastygłych ciał były coraz bardziej zapęcherzone i odkształcone. O zmierzchu wrzucono je wszystkie do morza.

Ciemności podziały na Brucolaca jak kojąca maść. Ból powoli ulatniał się z niego. Wampir z wysiłkiem rozwarł zasklepienie ropą oczy. Organizm zaczął się regenerować, ale spustoszenia poczynione przez słońce były znaczne i dopiero koło północy znalazł w sobie dość sił, żeby wydobyć z siebie jakiś głos.

Nikt nie zwrócił uwagi na jego skrzeczący jęk. Nie zaopiekowano się nim. Nie nakarmiono go. Kurcze i bóle paraliżowały mu kończyny. Przez całą noc wył o pomoc lub zmiłowanie. Próbował wykrzykiwać groźby, ale jego słowa wyradzały się w rozpaczliwy skowyt zwierzęcia. Godziny mijały leniwie i w końcu zobaczył, że ciemności rozcieńczają się na wschodzie.

Proces gojenia dopiero się rozpoczął. Rany wciąż były rozjątrzone, kiedy słońce wypęzło zza horyzontu i zaczęło je obmacywać sadystycznymi palcami. Dzień znowu był na górze, jakby obróciło się koło zębate w jakiejś bezlitosnej maszynie.

Przystąpiono do sprzątnięcia miasta. Na stygnące jeszcze „Nosidło” weszły ekipy inżynierów, aby oszacować szkody i zdecydować, co nadaje się do uratowania.

Gorąco odkształciło całe pomieszczenia i korytarze, zmieniając stan skupienia ścian. Znajdowano sporo ciał: niektórych nienaruszonych, niektórych w rozmaity sposób uszkodzonych.

W całych Niszczukowodach i na obrzeżach sąsiednich okręgów konflikt pozostawił po sobie ślady z rozbitego szkła, dziur po pociskach i plam krwi w rynsztokach. Gruz wywożono do fabryk, a złom do odlewni.

Lojaliści Niszczukowód patrolowali ulice. W okręgach Ciepłarnia i Budy panował spokój. Ich władcy nie wiedzieli nic o buncie i czekali sparaliżowani, obserwowali zmagania, próbując ocenić, kto ma przewagę, gotowi włączyć się do walki, gdyby porażka Niszczukowód wydawała się już tylko kwestią czasu. Ale wampiry zostały pokonane. Władcy Ciepłarni i Bud woleli się nie wychylać, ze strachu przed Kochankami.

Generał z Ałozowic nie żył, zabity przez wampiry, którzy wzięli go na zakładnika i wpadli w panikę, kiedy usłyszeli, że ich przywódcę ujęto. W rewanżu wszyscy zostali uśmierceni, przy wielkich stratach wśród strupodziejów. Ściany Holu Kurhanu oszpeciły wielkie, lejące się, ciemnoczerwone rzeźby – rozbryzgi krwi strupodziejów.

Nikt nie wiedział dokładnie, jak liczna była drużyna Brucolaca i nikt nie potrafił precyzyjnie określić, ilu jego pretorian zabito. Nie ulegało wątpliwości, że niektórzy przeżyli. Pokonani, z pewnością zeszli do podziemia, wtapiając się w margines społeczny Armady. Mieszkali na dziko w ruinach lub ukryli się w przytułkach. Niewidoczni.

Na pewno bardzo uważali podczas żerowania. Musieli być wybiórczy, powściągliwi i brutalni – nie było mowy o pozostawianiu ofiar przy życiu. Za to niszczukowodczy funkcjonariusze zaklinali się, że wyłapią wszystkie wampiry, a los schwytanych był przesądzony.

Strach przed wampirami zgasł.

Tymczasem największy zdrajca, Brucolac, wisiał na swoim metalowym krzyżu, skwiercząc w słońcu i powoli zdychając z głodu.

Awank trochę przyspieszył, ale nadal ciągnął wolniej niż przed chorobą i z niejednostajną prędkością. Po paru dniach nawigatorzy nabrali przekonania, że rany awanka, odniesione w tajemniczych okolicznościach znanych tylko garstce Armadyjczyków, nie goją się. Zwierzę nadal krwawiło i traciło siły.

Nie było zemsty na obywatelach Pragnieniowic. Kochankowie obwieścili lakonicznie, że nie są oni współwinni grzechów swego władcy. Ogłoszono nawet amnestię dla tych, którzy przyłączyli się do buntu. „W tym chaosie nikt nie wiedział, co się dzieje, zapanował zamęt” – orzekli Kochankowie. „Teraz jest czas pojednania, a nie karania” – powiedzieli.

A jednak najliczniejsze i najlepiej uzbrojone patrole gwardzistów z Niszczukowód i straży obywatelskiej wysyłano do dzielnicy wampirów. Mieszkańcy okręgu patrzyli na nie spode łba, ukrywając stłuczenia i rany odniesione w tamten wieczór, bo nie ufali miłosierdziu Kochanków.

Razem z dymem pożarów nad miastem rozprzestrzeniło się w noc buntu coś jeszcze, do tej pory nierozwianego: dręcząca niepewność, podejrzliwość wobec władz. Uczucia te ogarnęły nawet tych, którzy dzielnie walczyli przeciwko Brucolacowi.

Krew, przemoc i strach – wydawało się, że taka jest spuścizna projektów Kochanków. Po stuleciach pokoju Armada w ciągu trzydziestu dni stoczyła dwie wojny – w tym jedną sama ze sobą. Fanatyzm Kochanków zaburzył delikatną równowagę sił, sieci zobowiązań i interesów porwały się, wewnętrznie konfliktując miasto.

Kochankowie podporządkowali wszystko poszukiwaniom abstrakcyjnej mocy Blizny. Oznaczało to zerwanie z merkantylną mentalnością Armady: tego rodzaju zuchwała wyprawa rządziła się inną, starszą logiką. Obywatele Armady byli piratami i w miarę poznawania szczegółów projektu Kochanków narastało w nich poczucie wyalienowania. Kochankowie nie proponowali złodziejstwa czy lichwy ani nawet taktyki przetrwania. Proponowali coś zupełnie innego.

Kiedy Armada zapisywała na swoim koncie kolejne niewiarygodne sukcesy, kiedy jej potęga wzrastała, Kochankowie mobilizowali obywateli swoją retoryką i pasją.

Kradzież „Sorgo” stanowiła największe osiągnięcie wojskowe we współczesnych dziejach Armady i widać było gołym okiem, że potęga miasta wzrosła, bo statki i maszyny miały więcej paliwa. Kiedy podniesiono awanka, Kochankowie mówili o łańcuchach sprzed stuleci, o wypełnieniu tajnej, historycznej misji Armady, o możliwości szybkiego przemieszczania się po morzach i łupienia dalekich lądów.

Teraz okazało się jednak, że był to jeden wielki kant. Kochankowie zabrali ich bowiem na jakieś mistyczne poszukiwania. I chociaż przedsięwzięcie to wciąż emocjonowało tysiące Armadyjczyków, znacznie większa liczba obywateli zniechęciła się do niego, a coraz liczniejsze rzesze czuły się oszukane.

Zresztą odkąd awank osłabł – czego nie dało się ukryć – nawet prawdziwy cel jego przywabienia, czyli poszukiwanie Blizny, stanął pod znakiem zapytania. Jeśli awank nadal będzie zwalniał, to co wtedy?

Bunt Brucolaca, z jego śmiertelnym żniwem i utratą zaufania do władz, nadszarpanął morale Armadyjczyków, które i tak stale się pogarszało. Lojalne patrole Niszczukowód wyczuwały narastającą wrogość, nieukierunkowany gniew – nawet w ich własnej dzielnicy.

Setki Armadyjczyków poniosły śmierć. Rozszarpani, trafieni przypadkową kulą pogryzieni, sparaliżowani i wysrani z krwi przez wampiry, zgnieceni przez walące się budynki, strawieni przez ogień, zatłuczeni. Dużo więcej ofiar pociągnęła za sobą bitwa z Nowym Crobuzon, ale trauma była teraz nieporównanie dotkliwsza. Ci ludzie zginęli z ręki swoich ziomków, w wojnie domowej. Mieszkańców Armady to wszystko paraliżowało i porażało.

Niektórym z tych, co widzieli grindylow, przyszło do głowy, że Brucolac nie potrafiłby zatrzymać awanka i zakrzywić rzeczywistości tymi taumaturgicznymi erupcjami, ale tylko garstka Armadyjczyków знаła prawdę o zawartej umowie. Ludzie z reguły ograniczali się do zdawkowych uwag na temat niesamowitej magii wampirów i nie drążyli tego tematu.

Grindylow zniknęli tak szybko, jak się pojawili i prawie nikt z tych nielicznych, którzy ich widzieli, nie miał pojęcia, co to były za istoty. Zagadka pozostała niewyjaśniona i przestłonięta przez wojnę domową.

Setki Armadyjczyków poniosły śmierć z rąk współobywateli.

Krüach Aum nie żył. Bellis nie płakała po nim – rozstrajał ją socjopatyczny spokój naukowca i jego mózg podobny do dyferencjału – ale doceniała patetyczność jego losów.

Uciekinier z więziennej wyspy zamkniętej przez własną historię. Przybywa do najdziwniejszego miasta w całym Bas-Lag, gdzie jest wykorzystywany równie bezwzględnie jak poprzednio przez władze Gnurr Kett, a potem ginie podczas próby wyleczenia istoty, w której wyczarowaniu brał udział. Co za dziwne, mizerne życie.

Johannes Tearfly nie żył. Bellis z zaskoczeniem stwierdziła, że jest jej z tego powodu autentycznie smutno. Wspominała go ze ściśniętym gardłem. Okoliczności jego śmierci były niewyobrażalne – jakież to musiało być przerażające, tak ciemno i zimno, tak klaustrofobicznie, tak głęboko pod powierzchnią świata. Przypominała sobie, jaki był przejęty i zafascynowany, kiedy przygotowywał się do zejścia na dno. Jak na tchórza zachował się imponująco.

Szekel nie żył.

To ją załamało.

Nazajutrz po buncie, kiedy na tyle odzyskała siły w nogach, że mogła chodzić, łąziła bezwiednie po miejscach walk, scenach wojny, mijając trupy, roznosząc na butach ślady krwi.

Na jednym z trawlerów koło zniszczonego „Nosidla”, w cieniu drewnianego magazynu, który rozpościł swoje okapy nad zakrwawionymi kocimi łbami, Bellis znalazła Tannera Sacka, zgiętego w pół, pod ścianą. Tuż obok niego zobaczyła Angevine, przetworzoną kobietę, na której twarzy łyzy żłobiły bruzdy w brudzie.

Bellis od razu wiedziała, nad czym pochyla się porażony zgryzotą Tanner. Z ręką na ustach puściła się biegiem i zobaczyła wypatroszone zwłoki Szekla. Sprawiał wrażenie osłupiałego, zaskoczonego stanem, w jakim się znajduje.

Musiła chodzić pośród wspomnień o nim. Nienawidziła tego. Nienawidziła smutku, jaki ją wtedy opadał. Nienawidziła rozpacz, nienawidziła zdziwienia, jakie odczuwała, kiedy pomyślała o tym, że Szekel nie żyje. Bardzo lubiła tego chłopca.

A już najbardziej nienawidziła poczucia winy, w którym była zanurzona po uszy. Wykorzystała Szekla. Oczywiście w dobrej wierze, ale wykorzystała go. Miała okropną, pulsującą świadomość, że gdyby nie jej poczynania, Szekel by żył. Gdyby nie wzięła od niego książki i nie spożytkowała do swoich celów albo gdyby ją po prostu wyrzuciła.

Aum nie żył, Johannes nie żył, Szekel nie żył.

A Silas Fennec żyje.

Znacznie później Bellis spotkała Carrienne, która błąkała się oszołomiona uliczkami wokół swojego domu. Całą noc przesiedziała za zamkniętymi na klucz drzwiami, aby stwierdzić po wyjściu na zewnątrz, że jest mieszkanką nieistniejącego okręgu.

Nie mogła uwierzyć, że Brucolac usiłował przejąć władzę i nie mogła uwierzyć, że go pojmano. Była jak dziecko we mgle, oglądała wydarzenia, których nie rozumiała.

Bellis nie mogła powiedzieć Carrienne o tym, co robiła i widziała na dnie „Wielkiego Wschodniego”. Powiedziała jej tylko, że Szekel nie żyje.

Razem poszły posłuchać przemówienia Kochanków.

Po dwóch dniach od buntu włodarze Niszczukowód zwołali wiec na pokładzie „Wielkiego Wschodniego”. Carrienne najpierw powiedziała, że nie pójdzie. Słyszała, co zrobiono z Brucolakiem i oznajmiła, że nie ma ochoty widzieć go w takim położeniu. Uważała, że nie zasłużył sobie na ten gwałt. „Nieważne, co zrobił. Nie zasłużył sobie na taki los” – dowodziła.

Bellis nie miała jednak kłopotów z przekonaniem jej do zmiany decyzji. Trzeba pójść i posłuchać, co Kochankowie mają do powiedzenia. Znali sytuację, wiedzieli, co się dzieje w mieście. Była to z ich strony próba odzyskania kontroli nad Armadą.

Na przednim pokładzie czekał gęsty tłum poobijanych, okaleczonych ludzi, zmizerowanych i posępnych.

Nad ich głowami Brucolac bełkotał i skowyczał z cicha w słońcu. Jego poparzona i plamista skóra przypominała mapę.

Na jego widok Carrienne krzyknęła z obrzydzenia i rozpacz, po czym powiedziała do Bellis, że wraca do domu. Po chwili jednak znowu zerknęła na wampira. Pomysł, że ta wycieńczona, owrzodziła, śliniąca się i kłapiąca szczękami postać to Brucolac, wydał się jej niepoważny. Ten bredzący wrak budził w niej tylko litość.

Kochankowie wstąpili na podwyższenie i stanęli twarzami do tłumu, mając u boku Uthera Doula. Wyglądali na zżeranych troskami i potwornie zmęczonych. Zgromadzeni obywatele patrzyli na nich z dziwnym połączeniem szacunku i napastliwości.

„No to przekonajcie nas ponownie” – mówiły ich spojrzenia. „Powiedzcie nam, że gra jest warta świeczki”.

I sprawili się imponująco. Bellis słuchała i patrzyła, jak nastroje łagodnieją.

Kochankowie byli prawdziwymi zawodowcami. Nie zaczęli od bombastycznego przechwalania się, jak to odparli zagrożenie i urwali głowy hydrze zdrady dzięki swej potędze i przebiegłości.

– Wielu spośród poległych – zaczął Kochanek – wielu spośród wojowników, którzy ponieśli śmierć, było lojalnymi obywatelami. Ci uczciwi ludzie walczyli w przekonaniu, że tego wymaga od nich dobro miasta.

Przemawiał dalej w tym samym duchu, z szacunkiem i wyczuleniem na tragizm niedawnych wydarzeń.

Zabierali głos na przemian, nawołując, aby zebrani nie tracili ducha.

– Jesteśmy bardzo blisko – powiedziała Kochanka z odcieniem podniecenia w głosie. Bardzo blisko mocy, które dawniej nie mieściły się w sferze wyobrażeń. Bardzo blisko wyniesienia Armady do prawdziwej potęgi – dynamo zasilane potencjalnością potrafiłoby dokonać wszystkiego, także sprzecznych rzeczy jednocześnie.

– Bunt to nie jest sposób – powiedział Kochanek. – Aby nasz projekt mógł być kontynuowany, musi być wspólnym projektem nas wszystkich.

– To wy nas tutaj sprowadziliście – powiedziała ludziom. – To wasze dzieło, dzieło wiekopomne.

„Nie czas na podziały” – mówili Kochankowie. „Jedność oznacza jedność celu, a obecnym celem jest znalezienie Blizny. Opłaci się. Opłaci się fantastycznie, wprost niewiarygodnie”.

Kochankowie wznosili się na coraz wyższe szczyty retoryki. Po oddaniu hołdu poległym odwołali się do perspektyw, jakie czekały dzieci Armadyjczyków po przystąpieniu do eksploatacji bliźnianego źródła możliwości.

Wygłosili dobre przemówienie, nacechowane wrażliwością i szczerością. Ich fascynacja Blizną była zaraźliwa. Wśród tłumu dawało się wyczuć autentyczny szacunek. Kochankowie jeszcze nie przekonali Armadyjczyków, ale zyskali trochę czasu.

„Wystarczy, że na jakiś czas uciszą sceptyków” – pomyślała Bellis. „To niemożliwe, żebyśmy byli daleko od Blizny. Jeśli mają rację, jeśli Blizna istnieje, to niedługo tam dotrzemy”.

Uther Doul, który stał trochę za Kochankami, spotkał się z nią wzrokiem. Dopiero wtedy w pełni sobie uświadomiła, na co się porwała w noc buntu, jakie ryzyko na siebie wzięła. Włamała się do pokoju Doula, ukradła egzotyczny artefakt i dostarczyła go najeźdźcom. Była jednak za bardzo zmęczona strachem, żeby go w tej chwili doznawać.

Kiedy Kochankowie zakończyli swoje przemówienie i ludzie się rozeszli, Doul podszedł do Bellis z miną, która nie wyrażała ani pretensji, ani życzliwości.

– To pani była w moim pokoju – powiedział miękko. – Zabrała pani posążek. Znalazłem w celi okrucy. I pletwę maga, która gniała. Spaliłem ją. Nie po to przybyli?

Bellis pokręciła głową.

– Po co innego, ale ja sądziłam, że po posążek i dlatego... Przepraszam za wylamanie drzwi. Chciałam się pozbyć tych stworów. Powiedzieli, że zostawią nas w spokoju, kiedy odzyskają to, co im zabrano. Ale nie chodziło im o posążek. To oni... Fennec... – Doul skinął głową. – On żyje – szepnęła Bellis, zadając sobie pytanie, czy to wciąż jest prawda.

Doul błysnął oczami.

Bellis ze znużonym zdenerwowaniem czekała na jego reakcję. Było wiele rzeczy, za które mógł ją ukarać. Przez nią Armada straciła figurkę grindylow, zupełnie niepotrzebnie. A może w Doulu drzemie iskra dawnej zażyłości?

Ale w jego zachowaniu nie dostrzegła niczego prócz obojętności i rezygnacji, toteż nie była zaskoczona, kiedy w końcu skinął głową, odwrócił się i odszedł. Uszło z niej powietrze, jak odprowadzała go wzrokiem. „Co Kochankowie o tym myślą?” – zastanawiała się. Nie umiała sobie wyobrazić, żeby ze spokojem przyjęli wiadomość o utratę płetwy maga. „Nie obchodzi ich to? Czy oni w ogóle wiedzą? – pomyślała nagle. „A jeśli tak, to czy wiedzą, że to przeze mnie?”

Tego wieczoru przyszedł do niej Tanner Sack. Zaskoczył ją.

Stał w progu z takimi przekrwionymi oczami i taką szarą skórą, że wyglądał jak ćpun. Przez kilka milczących chwil patrzył na nią z niechęcią po czym podał jej plik kartek.

– Weź – powiedział. Rozpoznała entuzjastyczne pismo Szekla. Były to listy słów, które widział i które chciał zapamiętać na wypadek, gdyby trafił na nie w żarłocznie pochłanianych książeczkach dla dzieci. – Nauczyłaś chłopaka czytać i był tym zachwycony. – Tanner nie odrywał od niej tępego wzroku. – Pomyślałem, że może będziesz chciała zachować część tych kartek na pamiątkę.

Bellis była zszokowana i zażenowana. Miała zupełnie inną konstrukcję psychiczną. Zbieranie sentymentalnych pamiątek po zmarłych sprzeciwiało się wszelkim jej instyktom. Nie zrobiła tego nawet po śmierci rodziców, to co dopiero mówić o chłopaku, którego ledwo знаła, nawet jeżeli boleśnie przeżyła jego odejście.

Niewiele brakowało, a nie przyjęłaby daru Tannera. Niewiele brakowało, a wymyśliłaby jakiś tekst o tym, że sobie nie zasłużyła – tak jakby można było sobie zasłużyć na te wymiętoszone świstki – ale powstrzymały ją dwa czynniki.

Czynnik pierwszy: poczucie winy. „Nie uciekaj przed tym, ty tchórze” – pomyślała. Nie mogła sobie pozwolić na taką ucieczkę. Moje pojęcie śmierci nie ma tu nic do rzeczy, powiedziała sobie – jakże wygodnie byłoby podeprzeć nim decyzję o odrzuceniu tych pamiątek. Czynniki drugi: szacunek do Tannera Sacka.

Wyciągał ku niej rzeczy, które z pewnością były dla niego bardzo cenne, ofiarowywał je osobie, która ściągnęła na niego moc cierpienia. I to nie dlatego, że „żałoba ich połączyła”, bla, bla, bla. Przyniósł jej te kartki, bo był dobrym człowiekiem i wyobrażał sobie, że ona też straciła Szekla.

Zawstydzona wzięła te notatki i podziękowała skinieniem głowy.

– Jeszcze jedno – powiedział Tanner. – Jutro pogrzeb. – To ostatnie słowo wypowiedział niemal bez zajknięcia. – W parku Crooma.

– Jak? – zaczęła zaskoczona Bellis.

Armadyjczycy chowali swoich zmarłych w morzu. Tanner przerwał jej ruchem dłoni.

– Szek nie był do głębi serca morskim stworzeniem – wyjaśnił. – Był z niego raczej miejski chłopak. No i są pewne tradycje, od których mi się wydawało, że odszedłem... Chcę wiedzieć, gdzie on jest. Jak mi powiedzieli, że mi nie wolno, to ja im na to: „Spróbujcie mnie powstrzymać!”

– Dlaczego park Crooma, Tanner? – spytała, kiedy odwracał się już do wyjścia.
– Powiedziałas mu kiedyś o nim, poszedł obejrzeć i był zachwycony. Myślę, że park przypominał mu Rudewood.

Po jego wyjściu Bellis wybuchła płaczem, nie mogła się powstrzymać. Powiedziała sobie z furją, że to ostatni raz.

Nabożeństwo było krótkie, chaotyczne i przejmujące. Skundlona teologia: crobuzońscy i armadyjscy bogowie zostali z pokorą poproszeni o opiekę nad duszą Szekla.

Nikt nie miał pewności, których bogów uznawał Szekel i czy w ogóle jakichś uznawał.

Bellis przyniosła kwiaty, skradzione z wielobarwnych gazonów w innych częściach parku.

Miasto było ciągnięte w kierunku wschód północny wschód, stopniowo zwalniając wraz z awankiem. Nikt nie wiedział, jak ciężko ranne jest zwierzę. Nie zaryzykowali spuszczenia kolejnego batyskafu.

Tuż po wojnie, a zwłaszcza po pogrzebie Szekla, Bellis nie umiała na niczym się skupić. Sporo czasu spędzała z Carrienne, która była równie zgaszona i nie chciała nawet rozmawiać o tym, dokąd płynie miasto. Trudno się było skoncentrować na wyprawie i nie sposób było wyobrazić sobie, co się stanie po przybyciu na miejsce.

Jeśli niszczukowodzcy uczeni nie popełnili błędu w obliczeniach, miasto zbliżało się do celu. „Jeszcze dwa tygodnie, może jeden” – szeptano. Kilka dni i Armada dotrze do rany w tym pustym morzu. A potem uruchomione zostaną ukryte maszyny i ezoteryczna wiedza, możliwości kłębiące się wokół Blizny zaczną być eksploatowane.

W powietrzu unosiło się wyczekiwanie, strach.

Otwierając rano oczy, Bellis miała czasem wrażenie, że eter jest najeżony, jakby wokół krążyły jakieś niezrozumiałe dla niej siły. Mnożyły się dziwne pogłoski.

Najpierw o hazardzistach, szulerach grających do późna w nocy w dzielnicy Tobietwój. Podobno karty się zmieniały z chwilą, gdy zostały podniesione, barwne stroje waletów, dam i królów migotały jak w kalejdoskopie i dopiero kiedy już zostały rozdane, zastęgały w jakimś konkretnym układzie.

Opowiadano o natrętnych duchach, brunatniakach albo kelkinach, które przemykały niewidoczne przez miasto i ruszały różne rzeczy. Odkładano jakiś przedmiot, aby później znaleźć go parę centymetrów dalej – w miejscu, w którym mógł być zostawiony, ale nie był. Przedmioty, które spadły i się rozbiły, później były całe albo nawet czekały tam, skąd niby zleciały.

„Blizna” – pomyślała Bellis z tępym zdziwieniem. „Krwawi”.

Morze i niebo w błyskawicznym tempie robiły się niebezpieczne. Chmury deszczowe pojawiały się, szalały i bardzo szybko znikały, o włos omijając miasto. Awank ciągnął Armadę przez wyraźnie odgraniczone obszary wzburzonej wody, otoczone prawie gładką taflą.

Tanner już nie pływał, tylko raz dziennie zanurzał się w wodzie. Ale nie na długo, bo się bał. Podmorskie dźwięki i błyski osiągnęły teraz takie natężenie, że nawet ludzie na powierzchni mogli je usłyszeć i zobaczyć – emanacje niewidocznych obiektów.

Od czasu do czasu mijały Armadę kępy czujących wodorostów, zdarzały się też inne kształty na falach – ruchome i nietławe do zidentyfikowania, z wyglądu jednocześnie organiczne, przypadkowe i sztuczne.

Brucolac wciąż opadał z sił i nie umierał. Plamił pokład swoimi wydzielinami.

Chodząc po pokładach i korytarzach „Wielkiego Wschodniego”, Bellis słyszała nikłą, zaszyfrowaną muzykę, która wybijała się ponad cichy miejski szum. Trudna do zlokalizowania, przenikała między częstotliwościami, słyszalna w przypadkowych chwilach i miejscach. Bellis wyęczała słuch i czasem udało się jej ogarnąć jakiś fragment. Muzyka była brzydka i nieziemska: siateczka półtonów i akordów molowych, podszyta zmiennym rytmem. Pieśń żałobna z podkładem smyczków. Kiedy Bellis usłyszała japo raz drugi, nie miała wątpliwości: muzyka dochodziła z pokoju Uthera Doula.

Śmieci na powierzchni, dziwne prądy w morzu i niezrozumiałe wydarzenia na Armadzie z upływem dni zyskiwały na częstotliwości i niezwykłości. Nikogo już nie zdziwiło, kiedy piątego dnia po buncie trzy kilometry od miasta pojawiło się coś podskakującego na falach. Ale kiedy zwrócono w tamtą stronę teleskopy, gruchnęła wrzeszcząca kakofonia podniecenia. Obserwatorzy z „Wielkiego Wschodniego” krzyczeli: „Uwaga! Uwaga!” i biegali jak szaleni z pokoju do pokoju, szukając Kochanków.

Wiadomość błyskawicznie rozniosła się po wszystkich okręgach i obywatele tłumnie ścignęli na rufowy kraniec Czasów. Zmagając się ze zdradliwymi turbulencjami, mały aerostat pomknął ku plamce, która kołysała się coraz bliżej miasta. Ludzie wymieniali się przy teleskopach i kiedy było już wiadomo, co widzą, głośno wyrażali swoje zdumienie.

Na sponiewieranej tratwie z drewna i ochrowego brezentu, zmęczonym wzrokiem patrząc na swoje miasto, siedział człowiek-kaktus, Hedrigall, renegat.

„Dawać go tutaj!” „Co się, kurwa, stało?” „Gdzie żeś poleciał, Hed?” „Gdzie żeś był”. „Dawać go tutaj, do jasnej ciasnej!”

Kiedy mieszkańcy Armady zobaczyli, że statek powietrzny, który po niego poleciał, wraca na „Wielki Wschodni”, rozległy się gniewne okrzyki. Zderzając się ze sobą, ludzie biegli zatłoczonymi ulicami w stronę sterowca, żeby spróbować go przechwycić.

Bellis obserwowała to wszystko przez okno ze struchlałym sercem. Kiedy ludzie ruszyli w stronę okrętu flagowego, przyłączyła się do nich, nie do końca rozumiejąc swoje pobudki. Dotarła na przedni pokład parowca, kiedy statek powietrzny był jeszcze na tyle wysoko, że nikt nie mógł z niego wysiąść. Czekala na niego grupa lojalistów, otaczających Uthera Doula i Kochanków.

Gęstniejący tłum napierał na gwardzistów, chcąc zobaczyć powrót zbiega.

– Hedrigall! – krzyczeli. – Co się, kurwa, stało?

Kiedy wysiadł wychudzony i wyczerpany, powitał go ryk tłumu, ale błyskawicznie obkoczyli go uzbrojeni ludzie. Zaczęli go prowadzić w stronę drzwi do niższych pokładów, a na czele szedł Doul i Kochankowie.

– Powiedzcie nam! – Okrzyki były coraz bardziej natarczywe i agresywne. – On jest jednym z nas! Oddajcie go nam!

Zdenerwowani strażnicy dobyli skałków, kiedy natarł na nich tłum Armadyjczyków. W pierwszym szeregu Bellis zobaczyła Angevine i Tannera Sacka.

Widać było głowę Hedrigalla, pochyloną i spłowiałą od słońca. Kolce miał zwiednięte i połamane. Odwrócił się do obywateli, którzy wyciągali ku niemu ręce i wznosili życziwe okrzyki, zadartł głowę i zaczął wyć:

– Jak się macie? Jesteście martwi. Widziałem, że wszyscy umarliście...

Zapadła zbulwersowana cisza, a potem wybuchł kakofoniczny zgiełk. Ludzie znowu zaczęli napierać. Gwardziści odepchnęli ich. Tłum zaczął wydawać groźne pomruki.

Bellis zobaczyła, że Uther Doul bierze Kochanków na bok, mówi coś do nich ostro i pokazuje na drzwi. Kochanek skinął głową i podszedł do tłumu z rozpostartymi ramionami.

– Na litość bogów, Armadyjczycy, zaczekajcie! – krzyknął.

Z jego głosu przebijał autentyczny gniew. Hedrigall znowu zaczął wrzeszczeć, jakby w gorączce:

– Jesteście martwi, wszyscy jesteście martwi!

Gwardziści pociągnęli go ku drzwiom, sycząc z bólu, bo kolce przebijały im skórę.

– Nikt z nas nie wie, co się stało – tłumaczył Kochanek – ale, na Crooma, spójrzcie na niego! Jest wrakiem. Jest ciężko chory. Zabieramy go na dół, do naszego mieszkania, żeby wypoczął z dala od wszystkiego, żeby wyzdrowiał.

Kipiąc niezadowoleniem, ruszył w stronę eskortowanego przez gwardzistów Hedrigalla. Uther Doul przepatrolował tłum srogim spojrzeniem.

– Tak nie może być! – krzyknął ktoś zniechęcony, występując przed szereg. Był to Tanner Sack. – Hed! – zawołał. – To jest mój kumpel, a Jabber jeden wie, co wy z nim zrobicie! – Rozległy się okrzyki poparcia, ale impet tłumu wygasał. Posypały się przekleństwa, ale nikt nie próbował odbić Hedrigalla. Niepewność była zbyt duża. Bellis zdała sobie sprawę, że Uther Doul wyłowił ją wzrokiem z tłumu i patrzy na nią usilnie. – Tak nie może być! – wrzeszczał Tanner.

Żyły wyszły mu na wierzch z wściekłości, kiedy Kochankowie i prowadzony przez strażników Hedrigall weszli do środka. Uther Doul nie odejmował wzroku od onieśmiałej Bellis. – To mój kumpel! – powtórzył Tanner. – Tak nie może być! Mam prawo usłyszeć, co on ma do powiedzenia...

W tym momencie stało się coś niezwykłego.

Spojrzenia Doula i Bellis nadal się krzyżowały i kiedy Tanner powoływał się na swoje kumpelskie prawa, oczy Doula drgnęły gwałtownie i otworzyły się szeroko ze zgoła erotyczną pasją. Osłupiała Bellis patrzyła, jak jego głowa pochyła się o ułamek centymetra, jakby zapraszająco lub potwierdzająco.

Doul patrzył na nią jeszcze wtedy, gdy szedł tyłem w stronę drzwi, tuż przed zniknięciem za nimi sugestywnie uniósł brwi.

„O bogowie”.

Bellis czuła się tak, jakby ktoś jej przyłożył w splot słoneczny.

Spłynęła na nią wielka fala olśnienia: z osłupieniem przeniknęła niezliczone warstwy oplatających ją manipulacji, wykorzystywana, wymanewrowana, wyzyskiwana, wspierana i zdradzona.

Nadal nie rozumiała prawie nic z tego, co się wokół niej działo, co robiono, co zaplanowano, a co stało się w sposób przypadkowy.

Ale pewne rzeczy wiedziała, nagle i z pokorą.

Wymagało ogromu wysiłku i planowania, żeby akurat w tej chwili ściągnąć ją akurat w to miejsce i dać jej możliwość wysłuchania akurat tych słów. Wszystko zbiegało się w tym punkcie; wszystko krystalizowało się i nabierało jasności.

Zdumiona i pełna podziwu, mimo gniewu i upokorzenia, że sterują nią jak marionetką, Bellis skłoniła głowę i zaczęła się wewnątrz przygotowywać, wiedząc, że ma jeszcze jedno zadanie do wykonania, jeszcze jedną zmianę do przeprowadzenia. Wiedziała, że nie będzie gardziła sobą za swoją żądę zemsty i że nie uchyli się od tego zadania.

– Tanner – powiedziała do nurka, który wściekał się i przeklinał, perorował z furją, usiłował przekrzyczeć większość, która mówiła mu, że przesadza, że Kochankowie wiedzą, co robią. Urwał i spojrzał na nią ze złością i zdziwieniem. Przywołała go palcem. – Tanner – szepnęła, żeby tylko on ją usłyszał. – Zgadzam się z tobą. Moim zdaniem masz wszelkie prawo usłyszeć, co powie Hedrigall w mieszkaniu Kochanków. Chodź ze mną.

Nietrudno było znaleźć drogę przez puste korytarze „Wielkiego Wschodniego”. Lojalni strażnicy obstawili tylko przejścia do mieszkania Kochanków, a Tanner i Bellis zmierzali gdzie indziej.

Prowadziła go trasą, której nauczyła się na pamięć podczas tygodni folgowania swojej – nie było na to innego słowa – perwersji.

Mijali magazyny, maszynownie i zbrojownie. Szybko, ale bez przemykania jak złodzieje, schodzili coraz niżej, na słabo oświetlone dolne pokłady.

Nie wiedząc o tym, Bellis przeszła z Tannerem niedaleko silników na skalne mleko, które wirowały, buczały i sypały iskrami, wciąż poganiając awanka.

Wreszcie, w ciemnym i wąskim przejściu, gdzie zamiast starej tapety, heliotypów i rycin ściany zdobiły węzłaste rury rozwidlające się jak żyłki, Bellis odwróciła się do Tannera i skinęła na niego, żeby wszedł do małego pomieszczenia. Kiedy oboje byli już w środku, przytknęła palec do ust.

Tanner rozglądał się dokoła, patrzył to na sufit – jak ona niegdyś – to na Bellis.

Dźwięk otwierania się i zamykania drzwi na górze był tak głośny i wyraźny, że Tanner gwałtownie zeszytniał. Bellis nigdy nie widziała pomieszczenia, które mieli nad głowami, ale doskonale знаła jego akustykę. Wiedziała, gdzie zlokalizowane są krzesła, stoły, łóżko. Wodziła wzrokiem za krokami czterech osób – lekkimi, cięższymi, cięższymi oraz potężnymi i powolnymi – tak jakby wskroś sufity-podłogi widziała Kochankę, Kochanka, Doula i Hedrigalla.

Tanner pobiegł za nią wzrokiem i wybałuszył oczy. Osoby na górze dało się dokładnie umiejscowić: jedna przy drzwiach, dwie w pobliżu łóżka, teraz zagłębiają się w fotele, jedna, ta wielka, chodzi tam i z powrotem pod przeciwległą ścianą nogi się szczipają jak to u zaspanych lub zmęczonych ludzi-kaktusów, ciężar napiera na drewno.

– Mów, Hedrigallu – rozkazał srogo Uther Doul, którego głos docierał do nich zaskakująco wyraźnie. – Powiedz nam, dlaczego uciekłeś. I w jaki sposób trafiłeś tutaj z powrotem.

– O bogowie – był to głos osoby psychicznie wykończonej i zdruzgotanej, niezbyt podobny do głosu Hedrigalla. Tanner pokręcił głową ze zdumienia. – O bogowie, bogowie kochani, nie zaczynajcie od nowa! – skomlił płaczącym głosem. –

Nie rozumiem, co wy do mnie mówicie. Nigdy w życiu nie uciekłem z Armady. Nigdy bym tego nie zrobił. Kto wy jesteście? – wrzasnął zniecierpliwiony. – Co wy jesteście? Czy ja jestem w piekle? Widziałem, jak umieracie...

– Co się z nim stało? – szepnął przerażony Tanner.

– Pierdolisz od rzeczy, Hedrigall, ty zdrajco zasrany! – wykrzyknął Kochanek. – Spójrz na mnie, ty psie! Bałeś się, co? Srałeś w portki, dlatego potajemnie wyremontowałeś „Arogancję” i bryknałeś. A teraz mów, dokąd poleciałeś i jak tu wróciłeś?

– Nie zdradziłem Armady! – odparł Hedrigall. – Nigdy bym nie zdradził! Na Crooma, co ja robię, kłócę się z trupem! Kto ty jesteś? Widziałem, jak wszyscy zginęliście.

Mówił jak człowiek obłąkany ze strachu lub szoku.

– Kiedy, Hedrigallu? – spytał Doul ostrym, groźnym głosem. – I gdzie? Gdzie zginęliśmy?

Chociaż wyszeptana odpowiedź Hedrigalla nie zaskoczyła Bellis, ciarki ją przeszły. Skinęła głową.

– Blizna.

Uspokoiwszy Hedrigalla, Uther Doul i Kochankowie zaczęli się po cichu naradzać na drugim końcu pokoju.

– ...obłąkany... – powiedział Kochanek -...albo... dziwne...

– Musimy wiedzieć. – To był głos Doula. – Jeśli nie zwariował, to jest niebezpiecznym kłamcą.

– To nie ma sensu – zdenerwował się Kochanek. – Po co miałby nas okłamywać?

– Albo jest kłamcą, albo...

Tanner i Bellis nie potrafili stwierdzić, czy Kochanka dokończyła swoją myśl ciszej, czy też ją urwała.

– Jak to się stało?

– Od ponad miesiąca byliśmy na Ukrytym Oceanie. – Upłynęło wiele minut. Hedrigall milczał, a Kochankowie debatowali tak cicho, że Bellis i Tanner przestali ich słyszeć. Nagle Hedrigall odezwał się nieproszony, głosem tak cichym i matowym, jakby był naćpany. Kochankowie i Uther Doul czekali. Hedrigall mówił tak, jakby wiedział, co pragną usłyszeć. Nie przerywali mu. Mówił z nienaturalnym wdziękiem, z elokwencją zawodowego bazarza, ale jego głos był podszyty wahaniem i traumą, która budziła grozę. Hedrigall co jakiś czas potykał się, urywał, panicznie zaczerpywał tchu. Ale mówił długo. Publiczność, ta na górze i ta pod podłogą, słuchała go w milczeniu i z wyłożoną uwagą. – Od ponad miesiąca byliśmy na Ukrytym Oceanie.

Rozdział czterdziesty szósty

– Od ponad miesiąca byliśmy na Ukrytym Oceanie... i morze ogarnął chaos. Nie dało się wyznaczyć kursu, nie dało się utrzymać strzałki kompasu w jednej pozycji,

nie dało się nawigować. Każdego dnia patrzyłem w dal z pokładu „Arogancji”, wypatrując Blizny, Pękniętej Ziemi czy czegoś innego. Nie było nic. Wy pchaliście się dalej. Przekonywaliście nas, mobilizowaliście. Mówiliście nam, że kiedy dotrzemy do Blizny, będziemy mieli pod swoją kontrolą potężne moce. Nie będę udawał, że nie było opozycji. Im dłużej płynęliśmy, tym ludzie bardziej się bali. I zaczęli szeptać, że może Brucolac miał rację, wszczynając bunt. Że może nie należało porywać się na tę awanturę, tylko żyć jak dawniej. Przychodzili do was... przychodziliśmy do was i prosiliśmy, żebyście zawrócili. Mówiliśmy, że byliśmy zadowoleni z tego, jak nam się wcześniej żyło. Że nie jest nam to do niczego potrzebne, że już stało się wiele złego i boimy się, że czekają nas jeszcze gorsze rzeczy. Niektórych z nas dręczyły okropne koszmary. W mieście wyczuwało się ogromne napięcie. Jak u kota, którego futro sypie iskrami. Prosiliśmy was, żebyście zawrócili. Zanim będzie za późno. Baliśmy się. Nie wiem, jak wam się to udało, ale ludzie na razie byli, nie powiem zadowoleni, nie powiem napaleni, ale na pewno posłuszni. Czekaliśmy i mimo strachu pozwalaliśmy wam ciągnąć się w nieznane.

– Myślę, że gdyby potrwało to jeszcze tydzień dłużej, to już byśmy tego nie wytrzymali. Myślę, że zmusilibyśmy was do zawrócenia i wtedy byście wszyscy nie zginęli. Ale stało się inaczej, co? Było za późno. O szóstej rano dziewiątego playdi cielnika z kabiny „Arogancji” coś zobaczyłem, sześćdziesiąt kilometrów od miasta, u samego horyzontu. Jakieś zawirowanie w powietrzu, bardzo niewielkie, bardzo zatrważające. I coś jeszcze zauważyłem: horyzont znajdował się zbyt blisko... Po godzinie, siedem kilometrów dalej, wiedziałem już na pewno, że dopływamy do czegoś. A horyzont cały czas się przybliżał. Wysyłałem na dół wiadomości. I widziałem, jak wszyscy się szykują. Widziałem zbite w kupę statki, przeróżne kolory, przeróżne kształty. Widziałem, jak załogi ustawiają na nabrzeżu żurawie, zapalają silniki i tak dalej. Uruchamiają całą inżynierską maszynę, którą przygotowywali. Obserwowałem miejsce, gdzie morze spotykało się z niebem. Długo nie wierzyłem własnym oczom. Byłem pewien, że mam coś nie w porządku z oczami i zaraz wszystko się wyjaśni, ale przyszedł taki moment, że nie mogłem już zaprzeczyć, że widzę to, co widzę. Horyzont ciągnął się zaledwie trzydzieści kilometrów od Armady. Widziałem bardzo wyraźnie, że powierzchnię morza przecina Blizna... To było tak, jakbym zobaczył boga.

– Kiedy opisywaliście Bliznę, właściwie nic nam nie powiedzieliście. „To jest wielkie rozdarcie rzeczywistości, rana zadana przez Widmowców, mówiliście nam, i znajdują się w nim złoża wszystkich możliwych zdarzeń. Wielka rana na rzeczywistości”. A ja myślałem, że to jest takie poetyckie ujęcie.

– Kiedy Widmowcy wylądowali na tym kontynencie, siła uderzenia rozdarła ziemię, spowodowała pęknięcie, które ciągnęło się na trzy tysiące kilometrów przez Bas-Lag.

– To pęknięcie to jest Blizna. Pełna zdarzeń, do których nie doszło, ale mogło dojść. Znajdowaliśmy się zaledwie kilka kilometrów od niej. To była rozpadlina w morzu.

– Nie biegła pionowo w dół, tylko ukośnie, przez co horyzont wydawał się nachylony. Ponieważ była poszarpana, nie rozcięcie, tylko pęknięcie. Miejscami mogłem zajrzeć w dół. Ocean był wzburzony, płynął silny prąd na północ, chociaż wiatr wiał na południe. Fale parły na północ, niosąc ze sobą miasto, i kiedy docierały na skraj Blizny, to jakby trafiły na mur, przezroczysty mur. Na pionową, gładką jak

szkło tafłę wody. Ciemnej, ruchomej wody opartej nie wiadomo o co i trzymającej się mocno. A za nią... Puste powietrze... Przepaść... A dziesiątki kilometrów dalej, sto kilometrów dalej, ledwo widoczna, przeciwległa ściana rozpadliny, z tej odległości rozmyta. A między tymi ścianami pustka, z której buchały najprzeróżniejsze moce. Kipiały z tego rozdarcia. Z Blizny.

– Nie umiem sobie wyobrazić, jak ludzie zareagowali. Bo na pewno zobaczyli. Wybuchła panika? Albo radość?

Kochankowie oczywiście nie odpowiedzieli.

– Wiedziałem, jaki jest plan. Zatrzymujemy się kilka kilometrów od Blizny i wysyłamy sterowiec, żeby sprawdzić, czy pokona ten krótki dystans. Ja miałem czuwać na bocianim gnieździe. W razie niebezpieczeństwa miałem wystrzelić flary, wywiesić flagi, wezwać sterowiec do powrotu... Nie wiem, z jakimi niebezpieczeństwami się liczyliście. Myślę, że nie mieliście pojęcia, czego się spodziewać. Nie wiedzieliście przecież nawet, co to jest Blizna. Co sobie wyobrażaliście, że kłębi się w niej od Możliwych Zwierząt? Że będą ją patrolowały stworzenia, które mogły wyewoluować, ale nie wyewoluowały? Nic z tych rzeczy. A ogrom rozpadliny był zatrważający. Miasto nie zwolniło – powiedział.

Umilkł na kilka chwil. To ostatnie zdanie wypowiedział tym samym hipnotyzującym, monotonnym głosem, toteż Bellis nie od razu zrozumiała jego sens.

Serce skoczyło jej do gardła i zaczęło dudnić jak oszalałe.

– Nie zwolniło – powtórzył Hedrigall. – Wręcz przeciwnie, awank przyspieszył. Znajdowaliśmy się piętnaście kilometrów od Blizny, potem siedem, potem pięć, a miasto nie zatrzymywało się, nie zwalniało. Świat się skrócił. Horyzont był tylko kilka kilometrów od nas i przybliżał się z każdą chwilą a Armada przyspieszała. Zacząłem panikować – w głosie Hedrigalla nie było żadnych emocji, jakby na morzu został z nich kompletnie wyprany. – Zacząłem odpalać flary, próbując ostrzec was przed tym, o czym musieliście wiedzieć. Podejrzewam, że w mieście wybuchła panika, ale nie wiem, nie widziałem. Może wszyscy patrzyliście jak zaczarowani, głupkowatym, szklanym wzrokiem. Ale myślę, że nie, że wybuchła panika, kiedy koniec świata przybliżył się do nas. Moje flary rozświetlały się nad wami, ale nikt nie zwracał na nie uwagi... Cztery kilometry, trzy... Bardzo długo siedziałem bez ruchu jak sparaliżowany. Południowy wiatr był silny i odciągał „Arogancję” od Blizny, jakby sterowiec się bał, tak samo jak ja. To mnie ocuciło.

– Czy ktoś wie, co się stało? Może wy wiedzieliście, zanim zginęliście. Mnie przy tym nie było. Może zawinił awank. Może po tygodniach postuszeństwa wyzwolił się spod władzy impulsów, którymi go karmiono. Może pękł jakiś bolec wetknięty w jego

mózg i zwierzę się obudziło, zdezorientowane i spętane, i pognało do przodu, żeby uwolnić się od więzów. Może zawiodły silniki na skalne mleko. Może z Blizny wylała się jakaś możliwość, na przykład możliwość awarii silników. Bogowie raczą wiedzieć, co się stało... Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że wszędzie spuszczone są łodzie i ludzie gorączkowo chwytają za wiosła albo stawiają żagle, żeby uciec. Ale morze nie było dla nich łaskawe. Żagle wydymały się we wszystkich możliwych kierunkach. Miotające się na falach szalupy, jachty i skify pomknęły na północ, wyprzedzając miasto, chociaż chciały popłynąć w drugą stronę. Prądy i fale ciągnęły je z takim zapamiętaniem, jakby były głodne. Po zaledwie kilku minutach pierwsza łódź dotarła do Blizny. Patrzyłem, jak wiruje ku krawędzi Blizny i zobaczyłem punkciki ludzi wskakujących do morza, a potem rufa poszła do góry i wpadła w tę pustą czeluść. Między miastem a Blizną zaroilo się od łodzi pchanych na północ. I od sterowców. Większości z nich nie udało się wzbić w powietrze, bo za dużo ludzi wsiadało albo czepiało się lin, a przeciążone tym sterowce ślizgały się po nabrzeżu, wpadały do wody, wirowały jak zdechłe wieloryby i gnały ku Bliżnie, gubiąc po drodze załogę.

– Armada zaczęła się powoli obracać, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Horyzont szarpał się i pochylał. Kiedy byliśmy kilometr od Blizny, poczułem chłód w głowie i nagle wiedziałem, co muszę zrobić. Wziąłem do ręki kuszarpacz, ustawiłem się nad włazem i zacząłem strzelać do liny cumującej sterowiec. Lina była grubości uda, kołysała się jak pyton, przywiązana do sterowca dziewięć metrów pode mną. Miałem sześć chakri. Najpierw trzy razy spudłowałem, i to bardzo. Czwarty pocisk trafił, ale niedokładnie, rozciął linę do połowy. Piąty przeleciał obok i została mi tylko jedna szansa. Ale chociaż uspokoilem dłonie i wydawało mi się, że dobrze wycelowałem, znowu chybiłem. Wiedziałem, że już po mnie. Rzuciłem kuszarpacz i zgrabiętymi palcami chwyciłem się krat obok włazu. Poniewierany przez wiatr, patrzyłem, jak lina się strzępi, lecz o wiele za wolno, żeby mnie uratować.

– Dachy, dachówki, wieże, taksówki powietrzne, bandery, małe oszalałe ze strachu, którego źródeł nie rozumiały, obywatele biegający idiotycznie w tę i w tę, jakby którekolwiek miejsce miało zostać oszczędzone. Obserwowałem to przez teleskop. Ciekawe, jak było w morzu. Ciekawe, jak zachowywali się ludzie-raki, ludzie-ryby i Bastard John. Może przeżyli, kto wie? Może odpłynęli. Może porzucili pędzące ku zagładzie miasto.

– Platforma „Sorgo”, park Crooma, „Wielki Wschodni” i ja jako pierwsi dotarliśmy nad krawędź. Wiatr na chwilę się zmienił, przez co „Arogancja” przeleciała nad wodnym klifem i mogłem zajrzeć w czeluść. Czas płynął bardzo powoli, kiedy sunęła nad Blizną. Trwało to tylko kilka sekund, które jednak ciągnęły się w nieskończoność.

– Przeleciałem nad krawędzią morza i spojrzałem na ścianę wody. Słońce wbijało się w powierzchnię morza, aby przefiltrowane i załamywane przez wodę wyjść przez pionowy klif. Trzydzieści metrów pod powierzchnią widziałem większe ode mnie ryby, które wystawiały pyski na powietrze. Na obrzeżach Blizny na pewno istnieje odrębny system ekologiczny. Nawet trzy, cztery kilometry w głąb, gdzie panuje bezlitosne ciśnienie, woda jest nasłoneczniona. Ta lita ściana wody, z ruchomymi warstwami kolorów, ciągnęła się przez wiele kilometrów. Widok nie podlegał regułom perspektywy... A potem było błoto: pokład gęstego, czarnego błota na dnie morza. A potem warstwa skały, wielokrotnie grubsza od warstwy wody. Czerwona, czarna i szara skała, gładko rozplątana. I głęboko w dole ruchomy,

plonący blask, z tej odległości matowy. Rzeki płynnego kamienia, geotermalne pływy... A co jeszcze niżej? Jeszcze niżej pustka.

Głos Hedrigalla rozbrzmiewał głuchą zgrozą.

– Patrzyłem na to wszystko ledwo kilka sekund, ale pamiętam wszystkie pokłady koloru, jakby ktoś wsypał piasek do butelki. Oko nie radziło sobie ze skalą tego wszystkiego. Armada zatrzymała się na kilka chwil. Znieruchomiła kawałek od otchłani, i awank po raz ostatni szarpnął do przodu... Najpierw zobaczyłem zwierzę przez wodę, sześć kilometrów w dół, tuż nad ciemnym dnem morskim. W głębinach pojawił się jakiś kształt, który przybliżał się do przepaści. Potem z apokaliptycznym hukiem zaczął się przebijać przez morskowodny klif. Półtora kilometra cielska. Wyskoczyła głowa, woda rozłupywała się i rozpryskiwała wokół niej, długie na tysiące metrów katarakty dudniły i rozszczepiały się, krople wody wielkości domów wirowały i eksplodowały, spadały ku pustce, w głąb Blizny. Zobaczyłem pierwszy z łańcuchów, gigantyczny, tworzący rozdarcie w morzu między awankiem a miastem w górze. Potem przebiły się kolejne łańcuchy, morska ściana była okaleczona równoległymi pionowymi wyrwami, jakby ją podrapał jakiś olbrzymi drapieżny ptak. Ciało awanka wysuwało się coraz dalej, płetwy, kolce, rzęski, i kiedy znalazło się w powietrzu, zawładnęła nim grawitacja i tor lotu wygiął się w dół. Łańcuchy naprężyły się, dziobowe krańce Armady dotarły na skraj przepaści i miasto zaczęło się wysuwać nad otchłań. Awank wydał z siebie dźwięk, który rozbił wszelkie szkło wokół mnie. Kadłuby okrętów podwodnych, na których wspierała się „Sorgo”, przebiły pionową ścianę wody, a potem dziobowe obszary Niszczukowód, Ciepłarni i Bud dotarły do końca morza, wyskoczyły, zadygotały i spadły.

– Na Armadzie jest tyle statków... Parowce dotarły do krawędzi bokiem i przekreśliły się wzdłuż własnej osi, domy i wieże osypywały się z nich jak okruszki, spadł deszcz cegieł i ciał, setki wierzgających konwulsyjnie ludzi leciały wiele, wiele kilometrów w dół, mijając wszystkie wewnętrzne warstwy świata. A ja nawet się nie modliłem. Nie znalazłem w sobie siły. Potrafiłem tylko patrzeć... Pomosty i cumy pękały. Trawlery rozpadały się w powietrzu. Barki, szalupy, holowniki, drewniane okręty wojenne trzaskały, wybuchały, stawały w ogniu od wypluwanych przez kotły rozżarzonych do czerwoności węgli. Wielowiekowe statki długie na sto osiemdziesiąt metrów koziółkowały w dół. Wreszcie nad Blizną znalazła się rufa „Wielkiego Wschodniego”, która sterczała w powietrze. Armada przelała się przez wargę oceanu i rozpadła się na chaotyczną, pikującą konstelację elementów, żywi i martwi spadali pośród lawiny cegieł i masztów. Nie słyszałem nic oprócz rozbryzgującej się wody i wołania awanka. Sto dziewięćdziesiąt metrów „Wielkiego Wschodniego” wystawało nad przepaść, a mniejsze statki wokół chlustały do wąwozu. Nagle ciężar okrętu flagowego zrobił swoje, usłyszałem tak potężny trzask, jakby jakimś bogu pękła kość. Tylina część statku, do której był przywiązany mój aerostat, odłamała się i runęła, pociągając mnie na dół. Opasany ramionami wokół jakiejś rozpórki, leciałem w czeluść Blizny... Jesteście ciekawi, jak umrzecie, prawda? Dzielnie, z wrzaskiem, bezwiednie czy jak? Mnie śmierć zabrała oszołomionego, z ustami rozdziawionymi jak u kretyna, kiedy tyłek parowca pociągnął mnie na dół. Przeleciałem obok krawędzi Blizny, zostawiając nad sobą powierzchnię morza.

– Przez moment widziałem przez wodę kile statków, które znajdowały się nade mną, patrzyłem, jak zmierzają ku zagładzie. Mknąłem w przepaść razem z resztą „Wielkiego Wschodniego” i wszystkimi innymi statkami Armady. Parę razy wpadły mi

w oko sterowce. Małe taksówki, ludzie w uprzęży, widać zdążyli zeskoczyć z pokładów swoich statków, kiedy te runęły. Próbowali posterować balonami do góry, ale lawina miażdżyła ich i zabijała. Ginęli trafieni przez spadający kadłub czy odłamek bloku mieszkalnego. „Arogancja” pikowała coraz szybciej. Zamknąłem oczy i próbowałem umrzeć... Nagle, sześć kilometrów pode mną, awank się poruszył. Musiał cierpieć męki, jego ciało pękało i krwawiło w powietrzu, przełamało się na pół pod własnym ciężarem, kiedy wyskoczyło z wodnej ściany. Kilometr grzbietu wystawał nad otchłań Blizny. Może spowodował to spazm bólu, w każdym razie awank nagle przepchnął się cały, wypadł z morza i poleciał w dół. Znowu wydał z siebie ten krzyk, spadając z prędkością większą od grawitacyjnej. Kiedy łańcuchy znowu wyciągnęły się na całą długość, szarpnął za miasto i przeciągnął jego resztę nad krawędzią. Rufa „Wielkiego Wschodniego” teraz została gwałtownie szarpnięta i lina cumująca „Arogancji” pękła.

– Pękła... – Rozwarłem powieki, kiedy aerostat pomknął ku niebu, wymijając się ze spadającymi fragmentami miasta, wydostał się z cienia tej ściany oceanu, bombardowany lawiną metalu i rozplatanego drewna, wyfrunął z Blizny pod niebo. Wyrwałem się z tego wąwozu, oplatając ramionami rozpórkę. Przeżyłem. Pode mną końcówka Armady zsuwała się do Blizny. Deszcz małych statków Targu Zimowej Słomy. „Uroc”, „Człekoźwierz”, zakład dla obłąkanych, stare łodzie z trocin w nawiedzanej dzielnicy... wszystko unicestwione. Wszystko spadało, rozbryzgując wodę, aż w końcu powierzchnia Ukrytego Oceanu wygładziła się. Wzlatując, spojrzałem w głąb Blizny. Spadająca Armada wyglądała z tej odległości jak obłok kurzu. Wirujący awank owijał się w trzydzieści kilometrów łańcucha, bezskutecznie usiłując wyrwać się ze szponów grawitacji. Nawet ten gigantyczny stwór w końcu zmniejszył się do rozmiarów punkcika. Zadarłem głowę, wykończony i oszołomiony faktem, że żyję, a kiedy ponownie spojrzałem w dół, nie zobaczyłem już nic.

Hedrigall umilkł, aby po kilku chwilach podjąć swoją opowieść.

– Poleciałem wyżej niż kiedykolwiek. Tak wysoko, że mogłem zobaczyć Bliznę w jej właściwym wymiarze: rysa na obliczu świata, nic więcej. Nie wiem, czy jacyś inni aeronauci się uratowali. Leciałem na wysokości ponad półtora kilometra i nikogo nie widziałem. Wiatr w górze był mocny, godzinami gnał mnie na południe. Odciągnął mnie od tego zabójczego miejsca, gdzie wszystkie prądy morskie zbiegają ku Bliźnie. Z „Arogancji” uchodził gaz. Odłamki rozprysniętego miasta uszkodziły komorę. Traciłem wysokość. Wiedząc, co mnie czeka, ze skóry komory i drewna kabiny zrobiłem sobie tratwę. Czekałem przy władze i kiedy mknęliśmy nisko nad wodą, zrzuciłem tratwę i skoczyłem w ślad za nią. Dopiero wtedy, skulony na tratwie, dopuściłem do siebie wspomnienie o tym, co widziałem.

– Przez dwa dni byłem sam z tymi obrazami. Myślałem, że umrę. Chwilami łudziłem się, że jeśli utrzymam się przy życiu dostatecznie długo, to może prądy zanoszą mnie na Wezbrany Ocean, tam gdzie czekają nasze statki. Ale nie jestem naiwny, wiedziałem, że to mrzonki. I nagle... to. – Po raz pierwszy, odkąd rozpoczął swoją niezwykłą opowieść, Hedrigall sprawiał takie wrażenie, jakby zamierzał znowu się załamać. – Co to jest? – pytał histerycznie. – Co to jest? Myślałem, że jesteście przedśmiertnym majakiem. Przecież widziałem, jak zginęliście – wyszeptał. – Widziałem, jak zginęliście. Kto wy jesteście? Co to za miasto? Co się ze mną dzieje?

Hedrigall zrobił się niebezpieczny, wrzeszczał rozgorączkowany i przerażony. Kochankowie uspokajali go, ale upłynęła dłuższa chwila, zanim jego bredzenia ucichły i zapadł w nerwowy sen.

Zapadła długa cisza. Bellis wskoczyła z powrotem we własną skórę, kiedy przysłuchała opowieści Hedrigalla. Jej skóra była naładowana elektrycznie, iskrzyła napięciem. Bellis czuła się pijana zgrozą.

– Co się stało? – syknął zimno Kochanek stęszącym głosem.

– Wiem, o co chodzi – szepnął Tanner do Bellis. – Jesteśmy już w zasięgu wycieków z Blizny. Ten człowiek na górze... – urwał i pokręcił głową ze zniechęcą i osłupiałą miną. Bellis wiedziała, co zaraz usłyszy. – To nie jest prawdziwy Hedrigall, ten faktyczny, ten... stąd. Nasz Hedrigall dał dyla. Ten Hedrigall wyciekł z innej możliwości. To jest Hedrigall z tej możliwości, w której on został, a my doptłynęliśmy do Blizny trochę szybciej. Z tej możliwości, która się stała... która się stanie.

– Jabberze kochany i jasna cholera.

W pokoju na górze Kochankowie i Uther Doul kłócili się. Któryś z mężczyzn wysunął tę samą hipotezę co Tanner. Kochanka zareagowała gwałtownie.

– Nie pieprz bzdur! – bluznęła. – To tak nie działa. Nawet gdyby rzeczywiście wyciekł, to myślicie, że byśmy na niego trafili? Ukartowali to sobie. To jest nasz Hedrigall, który nie uciekł. Ukartowali to sobie, żebyśmy zawrócili. Nie gadaj mi tu o jakichś zasranych wybroczynach z Blizny! – Była wściekła. Nie dopuszczała nikogo do głosu. Złorzeczyła Utherowi Doulowi, a nawet, ku zdumieniu Bellis, Kochankowi. Błagał ją żeby się uspokoiła, żeby spróbowała pomyśleć logicznie. Dotarli tak blisko celu, lecz wyprawa była zagrożona, dlatego Kochanka grzmiała. – Coś wam powiem – denerwowała się. – Nie nabiorę się na te brednie. Przetrzymamy tego gnoja, dopóki nie wyciśniemy z niego prawdy. Powiemy ludziom, że musi odzyskać siły. Wydobędziemy z niego, co się naprawdę stało. Nie nabiorę się na te brednie – powtórzyła.

– Czy ona zwariowała? – syknął Tanner Sack do Bellis. – O czym ona gada?

– Widać gołym okiem, że chcą wywołać panikę – podjęła Kochanka. – Chcą pokrzyżować nam plany. Hedrigall spiknął się z bogowie wiedzą kim, ale my im nie pozwolimy dopiąć swego. Uther, zabierz go do celi. Dokładnie poucz strażników, a przede wszystkim starannie ich wybierz. Wybierz tych, których jesteś pewny. Ostrzeż ich, jakie kłamstwa mogą od niego usłyszeć. Położymy temu tamę – zakomunikowała stanowczo. – Nie pozwolimy tym wichrzycielom zwyciężyć. Ta historia nie może się wydostać poza te ściany. Gęby na kłódkę i płyniemy dalej. Wszystko ustalone?

Bellis nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Być może Kochanek i Uther Doul skinęli głowami.

Pod koniec tyrady Kochanki Bellis obserwowała Tannera. Patrzyła, jak nurek słucha swojej władczyni, tej, której poprzysiągł absolutną lojalność, a teraz snującej plan oszukania całego miasta. Zachowania w tajemnicy wszystkiego, co usłyszała. I pchania się dalej ku Bliznie.

Twarz Tannera zaciągnęła się zimną, martwą, zatrwającą powłoką. Mięśnie szczęki skurczyły się. Bellis wiedziała, że Tanner myśli o Szeklu.

„Czy przypomina sobie, jak mówił kiedyś ze szczerego serca, jakie szczęście ich spotkało, że zostali uprowadzeni?” Bellis nie była pewna, ale na twarzy Tannera coś drgnęło i spojrzał na nią z ogniem wściekłości w oczach.

– Mnie nie zamknie gęby na kłódkę – syknął.

Rozdział czterdziesty siódmy

Tanner Sack był w mieście znany. To on walczył z rybą pancerną w obronie umierającego człowieka. Z własnej woli poddał się prze-tworzeniu w istotę wodno-lądową, aby móc lepiej służyć Armadzie. Stracił Szekla, który był dla niego jak syn.

Tanner był w mieście znany i szanowany.

Tannera się słuchało, Tannerowi się wierzyło.

Bellis nie potrafiła nikomu nic powiedzieć. Usta miała twarde i zimne jak kamień.

Musiła posłużyć się innymi.

Wszyscy znali Tannera Sacka.

Gdyby Bellis spróbowała upowszechnić tajemnice, które usłyszała w tej klaustrofobicznej klitce, nie uwierzono by jej. Nie słuchano by jej. Zabrała jednak ze sobą człowieka, który mógł przemówić zamiast niej i przekazać ogółowi prawdę.

Nie mogła się powstrzymać od kiwania głową, od uśmiechu w duchu.

„Bogowie, dobra robota” – myślała w uznaniu fachowości tego, który to wszystko zaaranżował. Czuła, że oplatają ją nitki przyczyny, skutku, starań i interakcji. Czuła, że wszystko zbiegło się ku tej chwili i temu miejscu, żeby ona mogła wykonać swoje zadanie. „Dobra robota”.

Przystąpili do dzieła niemal natychmiast po wyjściu na pokład.

Zamrugła powiekami i spojrzała dokoła na bandery, pranie, pomosty i wieże, wszystko nadal solidne i spojone zaprawą murarską. Prześladowały ją obrazy z opowieści Hedrigalla. Rozpryskujące się i pikujące w dół miasto miała przed oczyma tak wyraźnie, że kamień spadł jej z serca, kiedy wyszła na pokład i zobaczyła je nienaruszone.

Kochankowie wciąż się zastanawiali, jak ukryć Hedrigalla, wciąż knuli na dole, kiedy Tanner zabrał się do rzeczy.

Najpierw poszukał ludzi, których dobrze znał. Mówił szybko i z pasją. Odnalazł Angevine i udał się wraz z nią do dokerów, którzy jej nie znali.

Mówił spontanicznie, z serca. Nie zastanawiał się nad tym, jakich użyć środków retorycznych.

Bellis patrzyła, jak Tanner idzie przez tłum wciąż kłębiący się na pokładzie „Wielkiego Wschodniego” i gniewnym głosem powtarza to, co opowiedział Hedrigall. Na ogromnym starym okręcie pozostało jeszcze wielu piratów i Tanner mówił do nich wszystkich.

Dygotał z wściekłości. Bellis podążała za nim w dyskretnym oddaleniu. Jego żarliwość robiła na niej wielkie wrażenie. Osłupiałe reakcje rozlewały się wśród ludzi jak choroba. Niedowierzanie szybko przeszło w pewność, że Tanner mówi prawdę, potem w strach i gniew, potem w determinację.

Tanner stwierdził, że mają prawo poznać prawdę i w Bellis drgnęła niepewność.

Nie wiedziała, jaka jest prawda. Nie miała pewności, w co wierzy. Nie miała pewności, co się kryje za niezwykłą opowieścią Hedrigalla. Możliwości było kilka. To nie miało jednak znaczenia. Zabroniła sobie myśleć o tym w tej chwili. Postawiono ją w tym miejscu z zadaniem do wykonania i nie zamierzała się od niego uchylać.

Bellis patrzyła, jak ci, którzy usłyszeli słowa Tannera, przekazują je dalej i wkrótce opowieść rozpełzała się sobie tylko znanymi drogami. Większość tych, którzy w mniej lub bardziej zniekształconej wersji powtarzali historię ucieczki Hedrigalla z Blizny, nie umiałyby powiedzieć, skąd ją zna.

Kochankowie przekazali obywatelom – w spopularyzowanej formie – znaczną część tego, co wiedzieli na temat Blizny. Niełatwo byłoby znaleźć Armadyjczyka, który by nie wiedział, że z Blizny wylewają się możliwości i takie jest źródło jej mocy. Szerokie rzesze mieszkańców widziały włączony miecz Uthera Doula, mogąc się naocznie przekonać, jak w praktyce wygląda eksploatacja potencjalności. Tutaj, na krańcu Ukrytego Oceanu, tak niedaleko od Blizny, która buchała możliwościami jak plazmą, nietrudno było uwierzyć, że Hedrigall – ten Hedrigall, złoścący na dolnych pokładach parowca – mówi prawdę.

Ich własny Hedrigall uciekł wprawdzie przed wieloma tygodniami i przypuszczalnie znajdował się tysiące kilometrów dalej – unosił się nad oceanem albo utonął, albo był rozbitkiem w jakiejś obcej krainie – ale ten Hedrigall, którego wyłowili z wody, był prawie-człowiekiem. Uchodząc z makabrycznych obszarów Bas-Lag, do których zmierzała Armada.

– Dwa dni temu – powiedziała zatrwożonym głosem jakaś kobieta w zasięgu słuchu Bellis. – Od dwóch dni wszyscy nie żyjemy.

Trudno było zlekceważyć takie ostrzeżenie.

Kiedy słońce zsunęło się na najniższą kwartę nieba, historia Hedrigalla rozczapierzyła palce, dosięgając wszystkich okręgów. Powietrze nad miastem zgęstniało od niej.

Hedrigall siedział już w celi, ale Kochankowie popełnili głupi błąd: zostali na dole i opracowywali plan działania. Nad ich głowami Tanner biegał ze statku na statek, wykrzykując ostrzeżenie.

Bellis czekała na „Wielkim Wschodnim” i przypominała sobie opowieść Hedrigalla, która szczelnie wypełniła jej głowę. Katastrofa znowu stanęła jej przed oczyma. Bellis nie próbowała oceniać tego, co powiedział Hedrigall. Była to przejmująca i przejmująco opowiedziana historia. Tylko to się liczyło.

Obserwowała Armadyjczyków, którzy kręcili się wokół niej, debatowali i naradzali się ponuro. Coś planowali, coś szykowali. Wszystko zmierzało do jakiegoś celu.

Czas płynął szybko. Słońce zbliżało się do linii horyzontu. Na terenie całych Niszczukowód zamykano warsztaty i robotnicy gromadzili się na „Wielkim Wschodnim”.

O szóstej Kochankowie wyszli na pokład. Przez skórę przeniknęła do nich świadomość, że coś się dzieje, że ich okręg i całe miasto ogarnął kryzys.

Za ich plecami wyłonił się Uther Doul, ze srogą, ale podszytą nerwowością miną. Na widok rzesz obywateli, które stały przed nimi, cała trójka przeżyła wstrząs. Setki Armadyjczyków, niby niezdyscyplinowana armia: hotchi i ludzie-kaktusy wymieszani z ludźmi, było nawet trochę Ilorgissów z Niszczukowód.

Nad nimi Brucolac, którego umierające w słońcu nerwy drgały. Na czele tłumu, trochę wysunięty, z butnie uniesioną głową, stał Tanner Sack.

Kochankowie potoczyli spojrzeniem po swoich poddanych i Bellis dałaby sobie uciąć głowę, że zadrżeli. Po chwili przeniosła wzrok na ich najemnika. Uther Doul nie spotkał się z nią spojrzeniem.

– Rozmawialiśmy z Hedrigallem – zaczęła Kochanka bez cienia niepokoju w głosie.

O zgrozo, Tanner Sack jej przerwał.

– Oszczędźcie nam tego – powiedział.

Ludzie wymieniali spojrzenia, ośmieleni mocą jego głosu. Oczy Kochanków otworzyły się nieznacznie, lecz ich twarze pozostały nieprzeniknione.

– Dosyć tych kłamstw – ciągnął Tanner. – Znamy prawdę. Wiemy, gdzie był Hedrigall, ten prawie-Hedrigall, którego zamknęliście w celi, którego przed nami ukrywacie. Wiemy, skąd przyszedł. – Postąpił kilka kroków do przodu, a zdeterminowany tłum ruszył za nim. – Jaddock, Corscall, Guddrunn, idźcie znaleźć Hedrigalla! – krzyknął. – Jest gdzieś na dole. Przyprawdźcie go tutaj.

Grupka ludzi-kaktusów zaczęła niepewnie podchodzić do drzwi, które tarasowali Kochankowie i Uther Doul.

– Stać! – krzyknęła Kochanka. Ludzie-kaktusy zatrzymali się i spojrzeli na Tannera. Ten przesunął się o kilka kroków, a tłum za nim. Ludzie-kaktusy ruszyli ośmieleni. – Doul... – powiedziała groźnym tonem.

Wszyscy stanęli jak wryci.

Uther Doul wystąpił do przodu i zatrzymał się w połowie drogi między Kochankami a napierającymi Armadyjczykami. Po chwili wahania Tanner wyszedł mu na spotkanie.

– Zamierzasz walczyć z nami wszystkimi? – spytał głośno, żeby wszyscy go słyszeli. – Myślisz, że dasz nam radę? Bo zamierzamy sprowadzić na górę Hedrigalla i jeśli będziesz próbował ich zatrzymać... – pokazał na kaktusów -...to pójdziemy wszyscy. Myślisz, że dasz nam radę? Kurde, może i dasz, ale co potem? Kim będą rządzili twoi szefowie?

Setki stojących za nim Armadyjczyków kiwały głowami, a niektórzy wznosili wtórujące mu okrzyki.

Uther Doul przeniósł spojrzenie z Tannera na tłum i z powrotem. A później okazał słabość, jego władcza postawa rozsypała się, z wahaniem odwrócił głowę, aby zasięgnąć opinii swoich szefów. Jego ramiona poruszyły się nieznacznie, a głowa przekrzywiła na bok, jakby mówił: „On ma rację. Co chcecie, żebym zrobił? Mam ich wszystkich pozabijać?”

To odwrócenie się, to okazywanie wahania, oznaczało zwycięstwo Tannera. Nurek znowu skinął na ludzi-kaktusów, którzy minęli Doula i Kochanków, żeby poszukać Hedrigalla. Odczuwali skrępowanie, ale nie strach, bo wiedzieli, że nic im nie grozi.

Kochankowie nawet na nich nie spojrzeli. Wpatrywali się w Tannera Sacka.

– Czego jeszcze chcecie? – spytał Tanner wrogim głosem. – Pokazano wam, co nas czeka, ale wam tak odjębało na punkcie tej misji, że zamierzacie zlekceważyć takie ostrzeżenie. Zamierzacie płynąć dalej? Chcieliście ukryć przed nami prawdę. Chcieliście nas okłamać i pozwolić, żebyśmy na ślepo pędzili przed siebie i runęli w przepaść jak jakiś kretyński awank. Dosyć tego. Koniec z waszym szaleństwem. Dalej nas nie zabierzecie. Zawracamy.

– Psiakrew jedna! – Kochanka dziabnęła Tannera palcem w oko i splunęła mu pod nogi. – Ty zasrany tchórz! Ty idioto! Naprawdę uważasz, że historia, którą nam opowiedział, jest prawdziwa? Zastanów się, do ciężkiej cholery! Myślisz, że Blizna naprawdę tak wygląda? I myślisz, że trafiliśmy na Hedrigalla przez czysty przypadek, jakby Ukryty Ocean to było jakieś zasrane jeziorko? Uważasz za zbieg okoliczności, że nasz Hedrigall ucieka, a potem spotykamy innego, z innej rzeczywistości, karmiącego nas historiami, które mają nas odstraszyć? To jest ten sam człowiek! Uknął sobie ten plan. Nie widzisz tego, do kurwy nędzy? Myśleliśmy, że nas zostawił,

ale tak nie było. Dokąd miałby polecieć? Odciał „Arogancję” i schował się gdzieś. I teraz, kiedy jesteśmy tak blisko najniezwyklejszego miejsca na całym świecie, wychodzi z ukrycia, żeby nas zniechęcić. Czemu? Bo jest tchórzem, tak jak ty, tak jak wy wszyscy. Taki obmyślił sobie plan. Nie starczyło mu nawet odwagi, żeby okryć się hańbą i uciec jak szczur. Wolał poczekać i zabrać was wszystkich ze sobą.

Niektórzy zaczęli mieć wątpliwości. Mimo furii Kochanki jej argumenty trafiały do przekonania.

Ale Tanner nie ustąpił ani na krok.

– Chcieliście zachować to przed nami w tajemnicy – powiedział. – Chcieliście nas okłamać. Popłynęliśmy z wami na koniec świata, a wy zamierzaliście nas okłamać. Bo jakaś poroniona chciwość tak was zaślepiła, że nie chcieliście się narażać na nasz sprzeciw. Nic nie wiesz o Bliznie! – krzyknął zniechęcony. – Nic! Nie mów mi o zbiegach okoliczności. Nie mów mi, że to niewiarygodne. Może właśnie tak działa Blizna. Skąd miałabyś cokolwiek o tym wiedzieć? Wszystko, co wiemy, to to, że jeden z najwspanialszych obywateli Niszczukowód, jakich znam, siedzi w waszym więzieniu i ostrzega nas, że jeśli popłyniemy do Blizny, to zginimy. I ja mu wierzę. Koniec waszej przygody. Teraz my decydujemy, co dalej. Przejmujemy dowodzenie. Zawracamy. Twój rozkaz, żeby płynąć dalej, niniejszym zostaje unieważniony. Nie możesz nas wszystkich zabić ani wsadzić do pierdła.

Rozległ się entuzjastyczny ryk tłumu, a tu i ówdzie ludzie skandowali: „Sack! Sack! Sack!”

Uwagę Bellis zaprzętnęło jednak inne zjawisko. W tle całej wrzawy rozgrywało się coś innego, niemal niedosłyszalnego.

Kochanek patrzył i słuchał tego wszystkiego zza pleców Uthera Doula ze straszną niepewnością w oczach. Dotknął Kochankę w ramię i powiedział do niej coś, na co ona zareagowała z niedowierzaniem i wściekłością.

Kochankowie kłócili się.

Kiedy fakt ten dotarł do świadomości ludzi, zapadła cisza. Bellis wstrzymała oddech. Była zaszokowana, że mogą syczeć do siebie z coraz bardziej czerwonymi twarzami, że zbieleją z wściekłości bliznami, że mogą przerzucać się coraz głośniejszymi burknięciami, a w końcu wrzaskami, nie zważając na tłum, który patrzył na nich ogłupiały ze zdumienia.

– On ma rację! – darł się Kochanek. – On ma rację! Nie wiemy!

– Czego nie wiemy? – krzyknęła rozjuszona Kochanka. – Czego nie wiemy?

Górami przeleciało stadko wystraszonych ptaków miejskich, aby usiąść gdzieś dalej, poza polem widzenia. Armada skrzybiała. Cisza przedłużała się. Tanner Sack i jego buntownicy zastygli bez ruchu. Kłótnię Kochanków obserwowali z taką zgrozą, jakby na ich oczach rozpętała się jakaś klęska żywiołowa.

Kiedy Bellis odprowadzała wzrokiem ptaki, jej spojrzenie padło na zdewastowaną postać Brucolaca i zatrzymało się na niej, chociaż wampir budził w niej przerażenie. Jego konwulsje wygasły, ciało uspokajało się. Otworzył oczy, oślepienie i wyżarte do białości przez światło słońca, i powoli przekręcił głowę.

Bellis nie miała wątpliwości: słuchał.

Kochankowie nie zwracali uwagi na otoczenie. Uther Doul bezgłośnie usunął się na bok, jakby nie chciał zasłaniać zgromadzonym widoku.

Nie było słychać nic oprócz kłótni.

– Nie wiemy – powtórzył Kochanek. Bellis miała wrażenie, że między oczami Kochanków przeskokczył łuk gorąca albo elektryczności. – Nie wiemy, co jest przed nami. On może mieć rację. Skąd możemy mieć pewność? Czy możemy ryzykować?

– Och... – Kochanka odpowiedziała jakby swarliwym westchnieniem. Z jej oczu przebijało potworne rozczarowanie i smutek. – Do ciężkiej cholery! Niech bogowie wyjebią cię od tyłca na śmierć!

Potem Kochankowie długo mierzyli się wzrokiem na oczach wstrząśniętego tłumu.

– Nie możemy ich zmusić – powiedział wreszcie Kochanek trzęsącym się gwałtownie głosem. – Nie możemy rządzić bez ich przyzwolenia. To nie jest wojna. Nie możemy posłać Doula do walki z nimi.

– Jak możesz odwracać się ode mnie w takiej chwili? – natarła Kochanka chwiejnym tonem. – Tyle razem przeszliśmy. Stworzyłam cię. Nawzajem się stworzyliśmy. Nie zapieraj się mnie...

Kochanek powiódł wzrokiem po twarzach Armadyjczyków i ogarnęła go panika.

– Wejźmy do środka.

Kochanka zeszywniała, usiłując zapanować nad kipiącą w niej wściekłością. Jej blizny pałały. Pokręciła głową.

– Czy my jesteśmy jakieś parobki, żeby się przejmować, że ktoś nas usłyszy? Co to ma być? Co ci się stało? Jesteś tak samo głupi jak ta banda idiotów? Te łgarstwa, którymi nafaszerował nas ten drań, wydają ci się wiarygodne? Wierzysz mu?

– Czyja nadal jestem tobą, a ty mną? – odpowiedział wrzaskiem Kochanek. – To jest w tej chwili jedyne istotne pytanie. – Czuł, że coś traci, że coś mu ucieka. Więź o równie żywotnym znaczeniu jak pępownina przecierała się i wiodła, aby w końcu wyschnąć i pęknąć. Wymachując rękami, tocząc pianę z ust, zdjęty zgrozą i po raz pierwszy od wielu lat sam, próbował jeszcze coś powiedzieć. – Nie możemy płynąć dalej. Nie możemy. Przez ciebie stracimy wszystko...

– Miałam o tobie lepsze mniemanie – powiedziała Kochanka z lodowatą miną. – Myślałam, że znalazłam pokrewną duszę i zespoliłam się z nią.

– Bo tak było, tak było! – powtarzał gorączkowo Kochanek, który był w tym tak żaloszny, że Bellis odwróciła ze wstydem głowę.

Ludzie-kaktusy wyprowadzili Hedrigalla, a raczej przydźwigali na ramionach. Powitała go fala przyjaznej radości.

Wszyscy bombardowali go pytaniami, przed którymi się uchylał, bo nie znał na nie odpowiedzi. Ludzie tańczyli, krzyczeli i wołali jego imię, on zaś spozierał na nich pijany zdezorientowaną zgrozą. Ludzie-kaktusy, na których jego kolce nie robiły wrażenia, wzięli go na barana i z tej chwiejnej pozycji rozglądał się wokół z oślepiałą miną.

– Cała wstecz! – krzyknął Tanner Sack. – Zawracamy miasto! Sprowadzić Kochankę! Sprowadzić kogoś, kto wie, jak to się robi. Posłać ludzi do wind od upręży. Wysyłamy awankowi sygnał. Zawracamy!

Rozentuzjasmowany tłum rozglądał się za Kochankami z żądaniem wyjaśnienia, jak to się robi, ale Kochankowie zniknęli.

Kiedy ludzie w karnawałowej atmosferze otoczyli Hedrigalla, Kochanka odwróciła się rozjuszona i pobięła do swojego pokoju, a Kochanek za nią.

W bezpiecznej odległości, gotowa pójść inną trasą, śledziła ich Bellis Coldwine, w ramach ostatniej próby zrozumienia tego, co zrobiła i co jej zrobiono.

Tuż za drzwiami na korytarz usłyszała kolejną wymianę zdań.

– Jesteśmy włodarzami tego miasta – powiedział Kochanek stęszącym głosem. – Rządzimy Armadą. Nie niszczy tego. Przez ciebie wszystko stracimy.

Kochanka wykonała piruet i Bellis znalazła się w jej polu widzenia. Kochanka zauważyła ją, ale było jej wszystko jedno, kto ją usłyszy.

– Wiesz... – powiedziała, dotykając twarzy Kochanka. Pokręciła głową, po czym mówiła smutnym i zdecydowanym głosem: – Masz rację. Już tutaj nie rządzą. Ale nie taki był sens mojego bycia tutaj. Nie poproszę cię, żebyś poszedł ze mną – głos prawie jej się załamał. – Ktoś mi cię ukradł: ty sam.

Odwróciła się i chociaż Kochanek błagał, aby go wysłuchała, aby nie zatykała uszu na głos rozsądku, aby zrozumiała – odeszła.

Bellis miała już pełny obraz sytuacji. Długo stała pośród starych heliotypów, które dawno utraciły sens. W końcu wróciła na pokład, gdzie ludzie świętowali, a Tanner usiłował wydawać rozkazy, usiłował zawrócić miasto z kursu.

Ekipy pracowników technicznych z niechęcią kręciły windami, które ciągnęły za wodze awanka. Z tępyim posłuszeństwem awank wykonał skręt o promieniu wielu kilometrów i potężny kilwater Armady wygiął się w półkole.

Manewr zawracania zajął im resztę dnia. Kiedy miasto zataczało ogromny, płaski łuk na pozbawionym jakichkolwiek punktów orientacyjnych morzu, piraci-urzędnicy z Niszczukowód biegali w panice po swoim okręgu, usiłując ustalić, kto teraz rządzi.

Prawda ich przeraziła: w tych godzinach anarchii nikt nie wydawał rozkazów. Nie było łańcucha decyzyjnego, nie było dyscypliny, nie było hierarchii, była tylko chaotyczna, przypadkowa demokracja na bieżąco klecona przez Armadyjczyków. Urzędnicy nie mogąc się z tym pogodzić, dostrzegli przywódców w Tannerze Sacku i Hedrigallu. Ci dwaj byli jednak tylko uczestnikami tego eksperymentu: jeden entuzjastycznym, drugi zagubionym, noszonym na ramionach jak maskotka.

„Czy tak się to kończy?” Bellis jest oszołomiona i osłabiona z przejęcia. Zapadła już noc i biegnie z tłumem uśmiechniętych obywateli wzdłuż nabrzeża Czasów, aby popatrzeć, jak dobijają do brzegu łodzie windowe. Uświadamia sobie, że sama też się uśmiecha. Nie wie, od którego momentu. „Czy już po wszystkim? Czy tak się to kończy?”

Władza, która oficjalnie rządziła Niszczukowodami, a w praktyce całą Armadą, nie istnieje. Od tak dawna sprawowała rządy silnej ręki, a teraz rozplynęła się tak błyskawicznie i po cichu, że Bellis nie może wyjść z osłupienia. „Gdzie oni się wszyscy podzieli?”

Włodarze zniknęli, a wraz z nimi lepsze prawa i kontrole, gwardziści i inni wykonawcy ich woli.

Przywódcy innych okręgów roztropnie zachowali milczenie i trzymali się w ukryciu. Próba zapanowania nad wściekłością i rozradowaniem ludu skończyłaby się klęską. Nie są tacy głupi. Czeka ją.

Lęki, urazy i niepewności, wzbierające w obywatelach od wielu tygodni, osadzające się za każdym razem, gdy mieli wątpliwości, choć zatrzymywali je dla siebie. To było motorem napędowym tego ruchu. Tego buntu. Niezwykła, nieprawdopodobna historia Hedrigalla wyzwoliła ich, dała im pewność, której potrzebowali.

Zawracają miasto.

Bellis nie widzi żadnego plądrowania, żadnej przemocy, pożarów czy strzelanin. Tu chodzi tylko o jedno: żeby nie umrzeć, żeby ująć z życiem z tego okropnego morza. Awank nadal jest ranny, ale płynie. Bellis widzi gwiazdy i wie, że zwierzę kieruje się ku Wezbranemu Oceanowi.

Tego właśnie chciała. Każdy kilometr, który oddalał ją od Nowego Crobuzon, był porażką. Bellis robiła wszystko, aby zawrócić to zakichane miasto, aby skierować je w stronę jej kraju. I teraz, ni stąd, ni zowąd, zupełnie niewytłumaczalnie, odniosła sukces.

„Jak to się stało?” – myśli sobie. Powinna triumfować, odczuwać dumę, a tymczasem jest jak zdumiony, szczęśliwy obserwator z zewnątrz. Wie, skąd się to bierze. Chowa w sobie pytania i urazy. Pamięta, co zobaczyła w oczach Doula. „Znowu zostałam wykorzystana” – myśli przerażona i pełna wątpliwości. „Znowu zostałam wykorzystana”.

To był skomplikowany łańcuch manipulacji. Bellis nie może go teraz rozplątywać. Nie ten czas.

Flar, za pomocą których piloci dawali sygnały łodziom windowym, użyto w wielkim pokazie fajerwerków. Był to gest celebracyjny, ale też prowokacyjny – nie są nam już potrzebne, mówili w ten sposób buntownicy.

Ludzie nadal świętowali zawzięcie, kiedy niebo na wschodzie pojaśniało.

Bellis stała na pokładzie „Wielkiego Wschodniego”, blisko drzwi na korytarze, które prowadziły do pokojów Kochanków. Czekala tutaj od jakiegoś czasu. Pamiętała słowa Kochanki: „Nie poproszę cię, żebyś poszedł ze mną”. Coś się kończyło i Bellis chciała być tego świadkiem.

Na okręcie flagowym byli też inni, w większości zmęczeni i pijani, śpiewali i patrzyli w morze, ale ucichli, kiedy na pokładzie pojawiła się Kochanka z Utherem Doulem u boku. Ludzie przypomnieli sobie o swoim gniewie i mogli im coś zrobić, ale ta nieprzyjemna chwila szybko minęła.

Kochanka, która patrzyła tylko na Doula, niosła dziwnie powybrzuszane pakunki. Bellis zauważyła, że w jednym z pakunków jest byćmożnik, nietypowy instrument Doula.

– Czy to jest wszystko? – spytała Kochanka i Doula skinął głową.

– Wszystko, co udało mi się zgromadzić, poza moim mieczem. Twarz Kochanki zastygła w wyrazie hardego spokoju.

– Łódź gotowa? – dociekała i Doula ponownie przytaknął. Ruszyli razem, obserwowani przez piratów, lecz niemolestowani, w stronę lewej burty „Wielkiego Wschodniego”, a potem, ulicami wijącymi się po zbitej masie statków, zmierzali ku portowi Basilio.

Bellis zerknęła ku drzwiom. Spodziewała się, że stanie w nich Kochanek i zawoła swoją kochankę albo pobiegnie za nią i powie, że on też popłynie, że nic ich nie rozdzieli... ale nie pojawił się.

Nigdy nie zespolili się ze sobą duszami. Nigdy nie przyświecał im ten sam cel. Może tylko przypadek sprawił, że tak daleko razem zawędrowali.

Przy burcie Niszczukowód Kochanka zatrzymała Uthera Doula i odwróciła się, żeby po raz ostatni spojrzeć na okręt flagowy. Słońce jeszcze nie weszło, ale niebo było jasne, dzięki czemu Bellis wyraźnie widziała twarz Kochanki.

Na prawym policzku, od włosów do żuchwy, biegła nowa rana, połyskująca cienką warstwą maści. Była głęboka, ciemnoczerwona, przecinała kilka innych, starszych ran, jakby chciała je unieważnić.

Bellis nigdy nie słyszała żadnych opowieści na temat tej ostatniej wędrówki, co ją zaskoczyło. Armada całymi tygodniami rozprawiała o buncie, ale Bellis ani razu nie słyszała, żeby ktoś mówił o Kochance i Doulu podążających statecznym krokiem przez zmęczone i pijane rebelię miasto.

Umiała sobie jednak wyobrazić ich wspólny marsz. Kochanka smutna i zamyślona, rozgląda się dokoła, karbuje w pamięci detale miasta, którym tak długo współrządziła. Dźwiga pakunek, czuje ciężar wszystkich ksiąg z ezoterycznymi naukami, traktatów o kopalnictwie możliwości, starodawnych urządzeń otrzymanych od Doula.

Doul kroczy obok niej z dłonią na rękojeści miecza, chroni ją podczas ostatnich minut jej pobytu na Armadzie. Czy to było konieczne? Czy musiał interweniować? Bellis nie słyszała żadnych opowieści o zaszlachtowanych przez niego Armadyjczykach.

I czy Kochanka naprawdę odpłynęła sama?

Trudno było uwierzyć, że nie znalazł się nikt gotowy jej towarzyszyć. Jej wewnętrzna opowieść bazowała na innej logice niż logika zysku napędzająca Armadę, ale czy rzeczywiście była obca wszystkim obywatelom miasta? Kochanka nie umiałaby sama pokierować statkiem, nawet niewielkim. Bellis łatwiej było sobie wyobrazić, że kiedy szła przez miasto, powyciągała trochę ludzi z ich kryjówek, że wyczuli jej obecność i wyszli do niej. Wyalienowani, kierujący się innymi pobudkami niż ich sąsiedzi, ustawili się sznurem za Kochanką i Utherem Doulem, spakowani i gotowi opuścić miasto.

Romantycy, bazarze, wyrzutki społeczne, samobójcy i obłąkańcy. Oczyma duszy Bellis widziała ich za Kochanką.

Miała nieodparte odczucie, że kiedy Kochanka mijała opuszczone magazyny portowe, podążała za nią gromada tych odmieńców. Wsiedli na przygotowany wcześniej statek, dosypali węgla do kotła i rzucili cumy, pożegnawszy się z Armadą.

Była to jednak tylko hipoteza. Nie dało się wykluczyć, że Kochanka popłynęła sama.

Bellis wiedziała tylko tyle, że po niecałej godzinie, kiedy słońce stało bardzo nisko na niebie, w wąskim wyjściu z portu Basilio pojawił się żagiel i wypłynął na morze. Statek nie był duży. Na pokładzie Bellis zobaczyła rozmaite dźwigi, windy, kotły i silniki, których przeznaczenia nie знаła. Statek wydawał się dobrze wyposażony i sklarowany.

Bellis nie widziała go zbyt wyraźnie. Patrzyła nad nieregularnymi konturami Armady, płaskimi i skośnymi, szarymi i czerwonymi, łupkowymi, betonowymi i żelaznymi. Z trudem wyławiała statek spośród oleistego światła poranka. Widziała snujący się kominem dym drzewny, gdy żaglowo-parowa jednostka dała się porwać dziwnym prądem Ukrytego Oceanu.

Obserwował to również Kochanek, stojący parę kroków od Bellis.

Oczy miał tak czerwone od łez, jakby wtarł w nie piasek. Rzecz jasna, na jego policzku nie pojawiła się żadna nowa blizna.

Statek sunął po wodzie z prędkością, jakiej Bellis nigdy nie widziała na Ukrytym Oceanie. Bez ceregieli, bez salw armatnich i fajerwerków, zmierzał na północ, w kierunku dokładnie odwrotnym niż Armada – w stronę Blizny.

Długo po zniknięciu statku Kochanki za horyzontem Uther Doul wrócił na „Wielki Wschodni” sam.

Doul stanął pod masztem, na którym ukrzyżowany był Brucolac. Również o wschodzie słońca rozpoczęły się poranne wrzaski wampira, z początku churlawe.

– Odciąć go – powiedział nie znoszącym sprzeciwu tonem Uther Doula do grupy mężczyzn i kobiet. Spojrzeli na niego zdziwieni, ale nie oponowali. – Odciąć go i zabrać do domu.

W ten niezwykle poranek, kiedy miasto po omacku wypracowywało sobie nowe zasady funkcjonowania i na razie nikt nie wiedział, co jest dozwolone, normalne, dopuszczalne i słuszne, miłosierny rozkaz Uthera Doula został wykonany.

„Już nie jesteś Kochanką” – pomyślała nagle Bellis. Patrzyła ku horyzontowi, za którym zniknął stateczek. Pomyślała o kłótni Kochanków, o nowej ranie – świeżej bliźnie na policzku, która odmieniała i wyodrębniała Kochankę. „Już nie jesteś Kochanką”.

Bellis usiłowała zbudować sobie nowy obraz Kochanki, która stała za sterem swego statku i zmierzała ku najbardziej niezwykłemu miejscu na świecie. Usiłowała przemyśleć ją na nowo, spojrzeć obiektywnym okiem, sprawiedliwie obdzielić ją zasługami i winami, uczciwie ocenić kobietę, która pilotowała swój statek na koniec świata, kierując się wyłącznie własnymi planami i pragnieniami.

Bellis nie umiała jednak myśleć o niej inaczej jak o Kochance.

Nie знаła imienia tej kobiety.

KODA. Tanner Sack

Wszystko tu powariowało. Nigdy byś nie uwierzył, co ja robię.

Nie płyniemy już do Blizny. Wracamy tam, gdzie byliśmy przedtem.

Dziwne. Tak sobie myślę, że nie znałem Armady w czasach, kiedy jeszcze nie tęskniła za Ukrytym Oceanem. Ty też. Wszystko było podporządkowane temu, żeby nas tam zawieść. Nie mieszkaliśmy na Armadzie w czasach, kiedy była tylko portem pirackim.

Ty też.

Spędzam trochę czasu z Twoją Angevine. Skłamałbym, gdybym powiedział, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Można powiedzieć, że jesteśmy trochę skrępowani. Ale widujemy się i rozmawiamy, głównie o Tobie.

Okłamywali nas, i mieliśmy tego dosyć, i narażali nas na śmierć, do cholery, to kazaliśmy im zawrócić.

Cały czas myślę o tym, że Cię nie ma.

Ja już tutaj nie mieszkam. Nigdzie nie mieszkam. To miasto Cię zabiło.

Nie wiem, co to były za istoty w wodzie. Na pewno wiem, że tej nocy nie walczyliśmy z wampirami. Nikt nie mówi o tych stworach. Nikt nie wie, co to było. Wiemy tylko, że pomagały zawrócić miasto.

Bastard John je widział. Poznaje po jego świńskich oczkach. Ale milczy jak grób.

To ja zawróciłem miasto. Tym stworom, które Cię zabiły i wampirem, które walczyły ramię w ramię z nimi, to się nie udało.

Ja to zrobiłem. Zawróciłem miasto.

Nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać, ale nie chcę już tu mieszkać, a nie mam jak odejść.

Jestem teraz morskim stworzeniem. Kiepski żart. Obaj wiemy, jak wyglądają prawdziwe morskie stworzenia, jak się poruszają, jak szybko. Inaczej niż ja, który niezdarnie trzępię koślawymi, ukradzionymi płetwami, prze-tworzony.

Ale nie mogę już żyć w powietrzu. Ta opcja jest dla mnie zamknięta.

Co zrobię? Nie mogę wrócić do Nowego Crobuzon, a gdybym mógł, to bym zdechtł bez morskiej wody.

Zmuszę się do pływania. Z czasem będzie mi łatwiej.

Nie mogą mnie tu zatrzymać. Mogę odejść. Może podpłyniemy kiedyś do jakiegoś wybrzeża, to ucieknę. Zamieszkać w płytkiej wodzie, żeby widział pod sobą skałę, żeby drzewa i kamienie spotykały się ze sobą w wodzie. Mogę żyć sam. Mam dosyć życia tutaj, powiem Ci.

Nie mam nic. Nie mam nic.

Z czasem poczuję się lepiej, mówią mi. Nie chcę, żeby czas mnie uleczył. To nie jest kaprys, że czuję się źle.

Chcę, żeby czas oszpecił mnie i okaleczył utratą Ciebie, naznaczył mnie. Nie zgadzam się, żeby zagłaskał Twoje odejście.

Nie mogę powiedzieć Ci „żegnaj”.

Pylnik 2 tathisa, 1780. Armada.

Awank znowu zwalnia, po raz ostatni.

Rany zadane przez grindylow wciąż się nie zagoiły, nie zabiły, nadal jątrzą paskudnie. Od czasu do czasu przepływamy przez bajora jego ropy.

Sądzę, że jego serce dogorywa.

Wszyscy wiemy, że awank umiera.

Może szuka swojego domu. Może próbuje odnaleźć drogę do wszechświata pozbawionej światła morskiej wody, z którego został przez nas wyłowiony. Jest coraz bardziej chory i słaby, krew mu gęstnieje i robią się w niej zakrzepy, coraz wolniej merda swoimi wielkimi płetwami.

Na szczęście jesteśmy już blisko krańca Ukrytego Oceanu. Niebawem go opuścimy – to jest kwestia dni, a może nawet godzin – i będzie na nas czekała armadyjska flota. Awank dożyje tej chwili.

Ale nieuchronnie zbliża się dzień, kiedy Armada ostatecznie stanie w miejscu.

Zatrzymamy się na środku morza przyczepieni do organicznej kotwicy, miliony ton trupiego mięsa będą gnily na dnie otchłani.

Pięć łańcuchów, pięć kajdan do zrzucenia. Każdy łańcuch do odcięcia w dwóch miejscach. Każde ogniwo grube na dziesiątki centymetrów i taumaturgicznie hartowane. Trochę to potrwa, ale w końcu kilometry metalu odpadną.

Cóż to będzie za katastrofa dla przydennych stworzeń – jak kara bogów. Tony metalu z coraz większą prędkością polecą na dno, sześć, siedem kilometrów, aby w końcu walnąć w osad na dnie morza i wbić się głęboko w skałę. Może wylądują na grzbiecie biednego awanka i rozprują go, a kilometry jelit zapaskudzą ciemne dno oceanu.

Może z czasem wykształcą się tam niezwykle bogate ekosystemy.

My będziemy już gdzie indziej.

Dotrzemy do naszej floty, zaprzęgniemy ją i życie potoczy się dawnym trybem. Rzecz jasna, po rzezi Wojny Crobuzońskiej będzie mniej statków holujących, ale z drugiej strony Armada pozbędzie się niezliczonych tysięcy ton łańcucha, co najmniej rekompensując utratę tych statków.

Armada powróci do dawnych obyczajów.

Znowu na Wezbranym Oceanie, znowu na najbardziej ruchliwe szlaki kupieckie, znowu plądrowanie portów i handel. Armadyjscy piraci, którzy czekali wiele miesięcy, namierzając miasto przy użyciu dziwnych urządzeń, znowu je znajdują. Popłyniemy ku Morzu Dżentelmena, Hebdomad, Gnurr Kett, Kanałowi Bazyliszka.

Ku Nowemu Crobuzon.

Minął już miesiąc od odejścia kobiety, której imienia nie znam. Wiele się zmieniło.

Buntownicy bardzo szybko utracili kontrolę nad miastem. Nie mieli programu, nie tworzyli zwartej grupy. Łączyło ich ze sobą tylko to, że odkryli, iż byli okłamywani oraz że nie chcieli umrzeć. Zdobyli władzę w wyniku anarchicznego zamachu stanu i łatwo ją oddali.

Po paru dniach Kochanek wrócił na scenę polityczną. Pojawił się na pokładzie „Wielkiego Wschodniego” i zaczął wydawać rozkazy. Ludzie chętnie je wykonywali. Nikt się mu nie sprzeciwia.

Ale wszyscy wiedzą, że jest zagubiony. Wzrok mu się błąka, a jego polecenia są nieprecyzyjne. Chyba że Uther Doul szepnie mu coś do ucha, a on powtórzy za nim.

Doul nie pozwoli jednak, żeby taka sytuacja – on rozkazuje ustami Kochanka – się utrzymywała. Jest najemnikiem: pracuje za pieniądze, sprzedaje swoją lojalność. Jeśli już musi rządzić, to o ile go znam, nie chce, żeby to się odbywało tak mało subtelnie.

Ukrywa fakt, że rządzi, dla wolności płatnej subordynacji. Wydaje mi się, że to jedno o nim wiem.

Nie mam natomiast pojęcia, co takiego się stało, że tak panicznie się boi sprawować władzę wprost.

W życiu nie spotkałam tak skomplikowanego człowieka ani, jak podejrzewam, tak tragicznej postaci. Z jego własnych losów wykwitły przecież idee, które zaprowadziły nas tutaj, tak daleko od tego, czego Doul szukał na Armadzie. Trudno powiedzieć, co sobie zamierzył, a co było tylko dostosowywaniem się do okoliczności. Nie wierzę, że obecna sytuacja z Kochankiem jest dla niego zadowalająca, że przygląda się jej z boku, kiwa głową i mówi: „Tego właśnie chciałem”.

Uther Doul albo w pełni nad wszystkim panuje, albo żyje w panicznym strachu. Albo ma wszystko w oszałamiającym stopniu zaplanowane, albo miota nami wszystkimi rozpaczliwie z kryzysu w kryzys, nie wiedząc, czego chce, nie okazując po sobie żadnych emocji.

Kochanek martwym wzrokiem wpatruje się w horyzont. Kochanka budziła pogardę i strach jako kłamczyni, ale w przeciwieństwie do swego niegdysiejszego partnera nie stała się osobą godną politowania. Podejrzewam, że Kochanek tego nie przeżyje. Być może któregoś dnia przekona się, że Doul nie jest już po jego stronie. Zwłaszcza, że Brucolac wrócił do władzy w Pragnieniowicach.

Niewielu Armadyjczyków faktycznie widziało grindylów, a jeszcze mniej osób o nich mówi. Tylko ja nie mogę o nich zapomnieć. Widziałam Brucolaca nocą jak chodził po mieście.

Słońce okryło go bliznami, które już nigdy nie znikną. Jest zgaszony. Carianne mówi o nim ze swoistą surową czułością. Mieszkańcy jego okręgu stanęli za nim murem, a większość pozostałych Armadyjczyków szybko mu wybaczyła – nawet ci,

którzy w noc buntu stracili kochanków. Poprowadził swoich pretorian przeciwko Niszczukowodom, bo chciał zawrócić miasto z drogi ku zagładzie. Miał słuszość, a cel, który sobie postawił, został później osiągnięty.

Nie ma wojny między Pragnieniowicami i Niszczukowodami.

Doul odwiedza Brucolaca w nocy, na „Urocu”. Mówiła mi Carrienne.

Spędzam z Carrienne wiele dni. Moja towarzyszka nie wspomina o tym, że kiedyś popierała projekt Kochanków. Przez prawie dwa tygodnie w ogóle mało się odzywała. Może trawił ją wstyd, że znalazła się po jednej stronie barykady z kobietą gotową nas okłamywać, gotową pchnąć nas w objęcia śmierci.

Taka jest obowiązująca wersja. Wierzymy w to, co powiedział Hedrigall. Dlatego zawróciliśmy.

Tanner Sack i ja widujemy się okazjonalnie. Tanner wrócił do pracy pod miastem. Ani razu nie wspominał o naszym wspólnym pobycie w kabinie podsłuchowej, który dał mu powód do wywołania buntu.

„Czy to była moja zasługa? Czy beze mnie rebelia by nie wybuchła?” Miasto znowu płynie na południe, ku znanym nam wodom, ku miejscom, które coś dla mnie znaczą... „Czy to moja zasługa? Czy to oznacza, że wygrałam?”

Może dotarła bezpiecznie do Blizny, zacumowała statek do krawędzi wody, spuściła sprzęt w otchłań, wydobyla wszystkie potrzebne jej energie i jest teraz mocarna jak bóg. Może wpadła w czeluść. Może nie było do czego wpaść.

Hedrigall jest chory, mający po swoich przejściach gdzieś w trzewiach „Wielkiego Wschodniego”. Przynajmniej tak nam mówią. Kiedy to słyszę, myślę sobie: „Okłamyją nas”.

Kobieta miała rację. Tylko idiota uwierzyłby w taki zbieg okoliczności, w taki łańcuch nieprawdopodobnych zdarzeń: nasz Hedrigall ucieka, a w prawie-świecie inny Hedrigall zostaje, gubi się, a potem prądy morskie kierują go akurat na naszą trasę. Nie mówią nam prawdy.

Pamiętam, jak spojrzał na mnie Doule.

Szukał mnie na „Wielkim Wschodnim” i kiedy mnie znalazł, pokazał mi wzrokiem, żebym poszła, podsłuchiwała i położyła kres wyprawie. Tym jednym spojrzeniem powiedział mi bardzo wiele, lecz jeszcze więcej pozostawił w sferze domysłów. Jasne było dla mnie tylko to, że na skutek jego manipulacji doprowadziłam do zawrócenia Armady z kursu.

Wyobrażam sobie, jak Doule spotyka się z Hedrigallem, lojalnym człowiekiem-kaktusem, który jest ciężko przerażony planem Kochanków. Doule wyluszcza swoje zamiary. Ukrywa Hedrigalla w jakimś sekretnym miejscu. Ukradkiem, jak tylko on umie, odcina „Arogancję”. Po jakimś czasie wyciąga Hedrigalla z nory, żeby nastraszył ludność opowieściami o kanionach w morzu. Dzięki temu sam Doule nie musi nic mówić. Jest bezpieczny w swojej lojalności.

A może to Fennec zasugerował, żeby Hedrigall się ukrył: plan awaryjny na wypadek, gdyby odsiecz crobuzońska nie zdołała zawrócić nas z drogi.

Ale spojrzenie Doula było jednoznaczne. Jeśli za wszystkim stał Fennec, to Doule wiedział o jego planie i dopomógł w jego realizacji.

Wspominam te wszystkie spotkania, podczas których Doule powiedział mi albo zasugerował, dokąd płyniemy i co nas tam czeka. Wiedząc, że znam Silasa Fenneca

vel Simona Fench, wiedząc, że wszystko mu przekażę. I zezłościł się na mnie, kiedy wszczęłam nie ten bunt, co trzeba.

Spędzał ze mną sporo czasu, żeby wytworzyła się między nami zażyłość. I wytworzyła się. Użył mnie w funkcji przekaźnika.

Nie mogę wyjść ze zdumienia, kiedy sobie uświadamiam, jak dużo wiedział. Dużo bym dała za wiedzę, kiedy to się zaczęło – czy byłam wykorzystywana przez wiele, wiele miesięcy, czy tylko w ostatnich dniach. Nie wiem, w jakim stopniu Doul kierował się świadomą strategią, a w jakim odruchami warunkowymi. Niewątpliwie wiedział znacznie więcej, niż sądziłam.

Pozostaję w niepewności co do tego, jak bardzo zostałam wykorzystana.

Jest też inna możliwość. Nie daje mi ona spokoju.

Nieraz słyszałam z ust wielu osób, że ten Hedrigall nie jest całkiem taki sam jak nasz. Inaczej się zachowuje, mówi z większym wahaniem. Mówią, że jego twarz jest bardziej – albo mniej – pokryta bliznami. Ludzie wierzą, że ten Hedrigall jest uchodźcą z innego świata.

Możliwe. Możliwe, że powiedział nam prawdę.

Ale nawet jeśli tak, to sam los nie mógł tego wyreżyserować. Widziałam Doula: czekał na nowego Hedrigalla i na mnie. A zatem to nie przypadek sprawił, że Hedrigall znalazł się na naszej trasie. Istnieje inne wytłumaczenie.

Może to było dzieło Doula. Słyszałam muzykę. Może sprawił to Doul, grając na możliwościach, tworząc koncert zdarzeń prawdopodobnych i nieprawdopodobnych.

Czy grywał na byćmożniku nocami, kiedy zbliżaliśmy się do Blizny, kiedy możliwe światy wokół nas zaczęły mocniej napierać? Czy znalazł ten świat, w którym Hedrigall przeżył, i wciągnął go do naszego świata?

Taki kruchy łańcuch: że będąc tam z kimś, komu ludzie uwierzą, że Doul znajdzie mnie oczami. Tak wiele zbiegów okoliczności: Doul musi być największym farciarzem w Bas-Lag. Albo zaplanował to, czego nie da się zaplanować. Przygotował mnie do tej chwili.

Czyżby umiał po wirtuozersku grać na możliwościach, przywołać akurat tę, w której ja stoję na pokładzie „Wielkiego Wschodniego”, obok Tannera, obserwując przybycie Hedrigalla, gotowa do działania?

A jeśli faktyczna Bellis nie mogłaby tam być w tym momencie? Czy sprowadziłby inną? Taką, która znalazłaby się na właściwym miejscu o właściwej porze, stosownie do jego planów?

Czy jestem prawie-Bellis?

A jeśli tak, to co się stało z tą drugą, faktyczną?

Zabił ją? Czy jej ciało rozkłada się w morzu skubane przez padlinożerców? „Czy jestem zamiennikiem? Wciągnięty do istnienia w miejsce martwej kobiety – żeby była tam, gdzie Doul jej potrzebował?”

A wszystko po to, żeby Doul mógł zawrócić miasto z kursu. Czy nie było innego sposobu? Niezauważenie osiągnął swój cel.

Nigdy nie będę miała pewności, co się stało, nigdy nie będę do końca wiedziała, w jaki sposób i w jakim stopniu zostałam wykorzystana pośród tego chaosu, walki i rozlewu krwi.

Bo że zostałam wykorzystana, nie mam najmniejszych wątpliwości.

Doul przestał się mną interesować.

Zawsze kiedy byliśmy razem, używał mnie jako swojego pośrednika w dziele zawrócenia miasta, aby samemu zachować czyste ręce. Lojalny najemnik, który przywraca miastu jego piracki status.

Teraz, kiedy spełniłam już swoje zdanie, jestem dla niego mniej niż nikim.

To dziwne, stać się pionkiem w grze. Upokorzył mnie, ale jestem za stara, żeby czuć się urażona jego oszustwem.

Mimo to dwa razy usiłowałam się z nim spotkać, aby lepiej wszystko zrozumieć. Dwa razy zapukałam do jego drzwi, a on otworzył mi i patrzył na mnie bez słowa jak na nieznaną osobę. Za jednym i drugim razem słowa zwarzyły mi się w ustach.

„Nie ma niczego do wyjaśniania” – skarcił mnie kiedyś Silas Fenec.

To chyba najlepsza rada.

W tej chwili istnieje garstka hipotez, które tłumaczą to, co się stało. Każda z nich może być prawdziwa. Gdyby Doul wyparł się udziału we wszystkich tych scenariuszach, miałabym mniej materiału do poukładania w sensowną całość. Musiałabym zmierzyć się z możliwością, że nie było żadnego planu... że nie ma czego wyjaśniać.

„Po co miałabym narażać się na coś takiego? Po jakie lichy miałabym rezygnować z tych wyjaśnień, którymi dysponuję?”

Przyszedł do mnie Tanner Sack. Angevine zaczekała na niego na pokładzie „Chromolitu”. Jej gąsienice nie pokonałyby moich schodów.

Jestem pewna, że dodają sobie nawzajem otuchy, ale słowa, które wymieniali między sobą w mojej obecności, były niepewne i ostrożne, i sędzę, że się rozejdą. Podejrzewam, że wspólna żaloba przestanie im wystarczać.

Tanner przyniósł mi znaleziony przez siebie heliotyp: z Szeklem, który uśmiecha się szeroko, trzymając dwie książki pod biblioteką. Tanner uznał, że wszystko, co łączy się z Szeklem i książkami, należy do mnie. Czuję się zakłopotana. Nie wiem, jak mu powiedzieć, żeby dał sobie spokój.

Po jego wyjściu obejrzałam sepiowy heliotyp. Odbitka była kiepskiej jakości. Architektoniczne i biologiczne majaki wżarte w papier, kaleczące go. A potem gojące się w nowej konfiguracji. Blizny to pamięć.

Swoje wspomnienia o Armadzie noszę na plecach.

Kilka tygodni temu zdjęłam opatrunki i ustawivszy pod kątem lustro, zobaczyłam, co napisały na mnie Niszczukowody. Paskudny, sporządzony brutalnym pismem tekst.

Coś jak szwy: przyszłość jest do mnie przyfastrygowana.

Patrzę na nie ze zdumieniem. Nie czuję, żeby miały ze mną coś wspólnego. Armada jest przszyta do moich pleców i wiem, że będę ją wszędzie ze sobą nosiła.

Tak wiele prawd przede mną ukrywano. Ta burzliwa, bezsensowna podróż ocieka krwią. Czuję się nią napęczniała i zemdlona. Nie ma tam żadnych pozytywnych treści. Nie ma żadnej nauki do wyciągnięcia. Nie ma ekstatycznego zapomnienia. Morze nie zmywa bólu.

Nosząc Armadę na plecach, zabiorę ją ze sobą do kraju.

Do kraju.

Kiedy po raz drugi zapukałam do drzwi, chyba zobaczył coś na mojej twarzy. Skinął głową i powiedział:

– Już dosyć się pani z nami nawożowała. Odwieziemy panią z powrotem.

Z powrotem.

Oślupiałam. Skłoniłam głowę i podziękowałam mu.

Ofiarował mi powrót. I to nie w imię życzliwości, którą kiedyś wobec mnie pozorował.

Wynagradza mnie. Płaci mi.

Za to, co zrobiłam. Odkąd zaczął mnie wykorzystywać.

Doul za moim pośrednictwem przekazywał informacje Fennecowi, aby ten mógł je rozgłosić po mieście. Ale Fennec zgrzeszył, a Kochankowie nas przechytrzyli, mówiąc mieszkańcom prawdę. Doul znalazł więc dla mnie inne zadania.

A teraz zabierze mnie do domu. Nie z sympatii czy poczucia sprawiedliwości. Taka propozycja zapłaty.

Przyjmę ją.

Nie jest głupi. Wie, że po powrocie do Nowego Crobuzon nie mogę zrobić nic, co zagroziłoby bezpieczeństwu Armady. Nie wysłuchano by mnie, gdybym próbowała powiedzieć wszystko Parlamentowi, a zresztą jestem renegatką, po co miałabym to robić?

W bliżej nieokreślonej przyszłości z Armady wypłynie statek obarczony zadaniem splądrowania Kanału Bazyliszka. Ja znajdę się na jego pokładzie. Potem wsadzą mnie do szalupy, którą dopłynę do tego brzydkiego portu Qe Banssa, który widziałam z pokładu „Terpsychorii”. Tam zaczekam, aż pojawi się statek crobuzoński, zmierzający do Zatoki Żelaznej i Wielkiej Smoły, do miasta.

Uther Doul nie odmówi mi tego. Nic go to nie kosztuje.

Minęło wiele miesięcy, odkąd wyszliśmy z Zatoki Żelaznej. Zanim znowu mnie tam zawiozą upłynie grubo ponad rok. Przybiorę inne nazwisko.

„Terpsychoria” przepadła. Nie ma powodu, aby miasto nadal ścigało Bellis Coldwine. A nawet jeżeli jakiś wścibski bydlak w Nowym Crobuzon rozpozna mnie i doniesie jakiemuś umundurowanemu draniowi, będę miała dosyć uciekania. Ale nie umiem uwierzyć, że tak się stanie. Ten rozdział w moim życiu jest zamknięty. Rozpoczęła się nowa epoka.

Po tym, co się stało – po wszystkich moich panicznych, bezowocnych próbach ucieczki – dowiaduję się, że nieświadomie zrobiłam wszystko, co było konieczne, aby wywalczyć sobie powrót do kraju, ze wspomnieniami o Armadzie przyszytymi do skóry.

Jestem zaskoczona, że znowu piszę do Ciebie ten list. Kiedy powiedziałam Utherowi Doulowi prawdę o nim, miałam wrażenie, że już do niego nie wrócę.

Kiedy wszystko mu wyznałam, poczułam się jak samotne dziecko. Czy jest coś bardziej godnego politowania niż te kartki papieru, na których wysłaniu tak bardzo mi zależało, mimo że nie zdecydowałam nawet, do kogo zostaną zaadresowane?

Odłożyłam je wtedy w ką.

Ale to jest nowy rozdział. Miasto cofa się w czasie, wraca do zwykłego piractwa na bogatych wybrzeżach blisko mojej ojczyzny. Wszystko się zmieniło i stwierdzam, że drzę z podniecenia, pragnąc dokończyć ten list.

Nie wstydzę się za niego. Ten list mnie otwiera.

To jest List Możliwy. Aż do ostatniej chwili, kiedy napiszę Twoje imię obok naniesionego wiele miesięcy temu słowa „Drog...” i uzupełnię je o brakującą literkę, będzie to List Możliwy, nabrzmiały potencjalnością. Jestem teraz obdarzona wielką mocą. Jestem gotowa eksploatować możliwości, uczynić jedną z nich faktem.

Nie byłam dla Ciebie najlepszym przyjacielem i proszę Cię o wybaczenie. Przypominam sobie moich crobuzońskich znajomych i zadaję sobie pytanie, którym z nich będziesz.

Jeśli ten list ma być pamiątką, sposobem na powiedzenie „żegnam”, a nie „witam znowu”, to będziesz Carrienne. Jesteś moją serdeczną przyjaciółką i fakt, że Cię nie znałam, kiedy zaczęłam pisać ten list, nic nie znaczy. W końcu jest to List Możliwy.

Kimkolwiek się okażesz, nie byłam dla Ciebie najlepszą przyjaciółką, za co Cię przepraszam.

Dopływamy do floty, która czeka zaraz za granicą Ukrytego Oceanu, niby falanga niespokojnych wartowników, a ja piszę list do Ciebie, aby opowiedzieć Ci wszystko, co mi się przydarzyło. I kiedy Ci opowiadam, uświadamiam sobie, że zostałam zmanipulowana, wykorzystana, że nawet kiedy nie pracowałam jako tłumaczka, też tylko pośredniczyłam w przekazywaniu informacji. Mam poczucie, że nic mnie nie wiąże z wiedzą, która przeze mnie przechodziła.

To nie znaczy, że jest mi to wszystko obojętne. To nie znaczy, że nie jestem zła: za to, że mnie wykorzystano, i za okropne, makabryczne zdarzenia, do których nieświadomie się przyczyniłam.

Ale nawet kiedy mówiłam za innych, bezwiednie bądź nie, robiłam różne rzeczy w swoim imieniu. Przez cały czas we wszystkim uczestniczyłam. A poza tym, kiedy siedzę tutaj, piętnaście tysięcy kilometrów od Nowego Crobuzon, za nieznanymi morzami, wiem, że powoli zmierzamy do kraju. I chociaż smutek i poczucie winy są do mnie na trwale przyszyte razem z bliznami, dwie rzeczy nie ulegają dla mnie wątpliwości.

Po pierwsze, wszystko się zmieniło. Nikt mnie już nie wykorzysta. Tamte czasy minęły. To wiem na pewno. Wszystko, co teraz robię, robię w swoim imieniu. I chociaż tak wiele się wydarzyło, mam poczucie, że moja podróż dopiero się zaczyna. Że to był tylko prolog.

Po drugie, moje neurotyczne pragnienie wysłania tego listu, dostarczenia go komuś, Tobie, zapisania się w dziejach Nowego Crobuzon – pragnienie to rozwiązało się. W Smołuujsciu, a potem na Salkrikaltorze byłam zdesperowana, żeby nadać ten list, w ostatniej chwili zdecydować, kim jesteś, i wysłać go, żebym została zauważona przez historię... Już mi to przeszło.

Minęło mi. Nie odczuwam już takiej potrzeby.

Wracam do domu. Zgromadzę jeszcze wiele wrażeń do przekazania Ci podczas podróży powrotnej, która potrwa długo, ale kiedyś się skończy. Nie muszę wysłać tego listu. Niezależnie od tego, jaką podejmę decyzję co do Twojej tożsamości, sama Ci go dam.

Doręczone go osobiście.
